

**David Morrell**

## **Piąta profesja**



*Sarie – córce i przyjacielowi*

- Nie rozumiem — powiedziała Alicja. — To okropnie zagmatwane.  
— Są to skutki życia na wspak — powiedziała łagodnie Królowa. — Wszystkim się od tego początkowo kręci w głowie...  
— Życia na wspak! — powtórzyła Alicja z ogromnym zdumieniem. — Nigdy nie słyszałam o czymś takim.  
— ...ale to ma jedną wielką zaletę: pamięć działa w obie strony.  
— Jestem pewna, że moja działa tylko w jedną stronę — zauważyła Alicja. — Nie jestem w stanie zapamiętać rzeczy, które się jeszcze nie wydarzyły.  
— To bardzo nędzny rodzaj pamięci, taki, który działa tylko w przeszłość — zauważyła Królowa.  
*Lewis Carroll, „O tym, co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra”, tłum. Maciej Słomczyński, Czytelnik, Warszawa 1972, s. 69-70.*

Ścieżka obrońcy to świadoma zgoda na śmierć.  
*Miyamoto Musashi, siedemnastowieczny samuraj*

## **Prolog**

### **Śluby wierności**

#### **Piąta profesja**

Z początkami profesji Dzikusa nie wiąże się żadne wydarzenie historyczne. Pierwszych wykonawców fachu, któremu się poświęcił, spowija mgła mitu. Na początku byli łowcy, potem rolnicy, kiedy zaś wymiana zaczęła przynosić zyski, pojawiły się prostytutki i politycy. Pozostawiając na boku kwestię kolejności, takie właśnie były pierwsze cztery ludzkie zajęcia.

Jeżeli jednak pojawia się jakiś zysk, powinien on być chroniony — i to było powodem powstania zawodu Dzikusa: piątej profesji. Choć same jej narodziny nie zostały udokumentowane, niechaj dwa poniższe przykłady zilustrują jej chwalebne tradycje.

#### **Drużynnicy**

Gdy w czterysta lat po Chrystusie Anglosasi najechali Brytanię, przynieśli ze sobą germański kodeks absolutnej lojalności wobec wodza swego plemienia. Kodeks ten w skrajnych wypadkach nakazywał członkowi drużyny wodza, zwanej comitatus, bronić go aż do śmierci pod groźbą utraty honoru. Jednym z najbardziej wyrazistych przykładów tak całkowitego oddania swemu panu jest wydarzenie, jakie miało miejsce w 991 roku u brzegów rzeki Blackwater w pobliżu miasteczka Maldon w Essex.

Po złupieniu portów na wschodnim wybrzeżu Brytanii grupa skandynawskich piratów rozłożyła się obozem na wyspie, którą podczas odpływu łączyła ze stałym lądem wąska

grobla. Na tę to groblę przywiódł swoich wiernych drużynników Birhtnoth, miejscowy książę anglosaski, i odciął wikingom przejście, ale wrogowie stanęli do walki. Błysnęły miecze i krew zboczyła groblę. Gdy bitwa przybrała na sile, jeden z giermków Birhtnotha stchórzył i uciekł. Inni, sądząc że to sam Birhtnoth się wycofuje, również uciekli. Na miejscu pozostał jedynie Birhtnoth w otoczeniu straży przybocznej.

Trafiony oszczepem, zdołał go wyrwać i przeszyć mieczem napastnika, gdy jednak topór wikinga odrąbał jego zbrojne ramię, nie mógł się już bronić i został posiekany na kawałki. Choć jednak Birhtnoth już nie dowodził nimi, jego wierni drużynnicy wciąż trwali na stanowisku. Broniąc jego ciała i mszcząc jego śmierć, uderzali z tym większym męstwem.

Drużynnicy ginęli śmiercią okrutną, ale radośnie, gdyż nie sprzeciwiali się kodeksowi lojalności.

Ówczesny anglosaski dokument, opisujący tę heroiczną klęskę, kończy się takimi słowami:

Godryk często hucał włócznią, miotając mordercze drzewce ku wikingom. Dzielnie następował wraz ze swoimi braćmi, rąbiąc i kładąc trupem wrogów, póki nie padł w bitwie. To nie był ten Godryk, który uciekł z pola walki.

Owych dwóch Godryków reprezentowało zasadniczy konflikt w profesji Dzikusa. Drużynnik był powołany do ochrony wodza, w jakim jednak momencie, gdy sprawa wyglądała na przegraną, a wódz był martwy, powinien zacząć chronić samego siebie? Ilekroć Dzikus zaczynał rozważać ten problem moralny, przypominał sobie Akirę i zdarzenie z całkiem odmiennego kręgu kulturowego, które dobrze ilustrowało skrajności w dziejach owej piątej, najszlachetniejszej profesji.

## **Czterdziestu siedmiu roninów**

W Japonii podobną funkcję pełnili samurajowie. Owi powołani do ochrony wojownicy doszli do znaczenia w dwunastym wieku po Chrystusie, gdy prowincjonalni władcy, tak zwani daimyo, zaczęli odczuwać gwałtowną potrzebę posiadania lojalnych gwardii przybocznych w celu kontrolowania swoich włości. Z upływem czasu jeden z wojskowych przywódców, zwany shogunem, rozciągnął swoją władzę nad pozostałymi daimyo, niemniej jednak ich samurajowie czuli się związani przede wszystkim ze swoimi bezpośrednimi panami. Na tle tej skomplikowanej siatki zależności zdarzył się w 1701 roku incydent, który stał się zaczątkiem jednej z najsłynniejszych legend japońskich.

Trzej daimyo zostali wezwani na dwór shoguna w Edo (obecnie Tokio) z nakazem złożenia ślubów wierności. Ponieważ niewiele wiedzieli o dworskich manierach, dwóch z nich zwróciło się o pomoc do eksperta w dziedzinie etykiety, a ten, zjednany darami, odwdzieczył im się poradą.

Trzeci z nich jednak, pan Asano, był zbyt prostolinijny, aby stosować wobec nauczyciela etykiety, pana Kiry, takie metody. Kira poczuł się urażony i ośmieszył Asano w obecności shoguna. Poniżony Asano nie miał innego wyboru — aby uratować swój honor, wy dobył miecz i ranił Kirę.

Obnażenie miecza w obecności shoguna było ciężkim przestępstwem, shogun nakazał więc, by Asano odpokutował je przez wydobycie własnych wnętrzności. Daimyo usłuchał, jego śmierć jednak nie rozwiązała problemu. Samurajowie Asano byli posłuszni rygorystycznemu prawu gin, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „brzemie

obowiązku", które nakazywało pomścić śmierć ich pana przez zabicie tego, kto zapoczątkował ciąg zniewag — pana Kiry.

Tak silny był nakaz prawa giń, iż shogun nie miał wątpliwości, że nastąpi dalszy przelew krwi, aby więc przerwać pasmo zbrodni, wysłał swych wojowników z nakazem oblężenia zamku Asano i zmuszenia jego samurajów do złożenia broni. W tej sytuacji kapitan samurajów pana Asano, Oishi Yoshio, zwołał swoich ludzi na naradę. Jedni głosowali za

oporem przeciwko wojskom shoguna, inni proponowali popełnienie rytualnego samobójstwa wzorem ich pana, Oishi wyczuł jednak, że większość uważała, iż ich powinność wygasła wraz ze śmiercią władcy. Jako test zaproponował im podział majątku Asano. Wielu niegodnych wojowników chętnie skorzystało z tej możliwości, Oishi wypłacił im ich udział i zezwolił na odejście. Z ponad trzystu samurajów zostało się jedynie czterdziestu siedmiu i z nimi Oishi zawarł pakt, przypieczętowany krwią z naciętych i złączonych rąk.

Tych czterdziestu siedmiu poddało się wojsku shoguna i oświadczyło, że wyrzekają się wszelkich zobowiązań wobec prawa giri i swego zmarłego pana. Pozornie zgodzili się oni zostać roninami, czyli wędrownymi, bezpiecznymi samurajami, i każdy z nich wyruszył swoją własną drogą. Shogun był jednak podejrzliwy, wysłał więc za nimi szpiegów, aby się upewnić, że nie będzie pomsty. Żeby ich zwieść, każdy z roninów świadomie postarał się stoczyć jak najniżej. Jedni zaczęli udawać pijaków, inni zajęli się stręczycielstwem. Jeden z nich sprzedał swoją żonę do domu publicznego, inny zabił swego teścia, jeszcze inny postarał się, aby jego siostra została kochanką znieawidzonego pana Kiry. Bezkarne opluwani, pozwalając rdzewieć swoim mieczom, wydawali się rzeczywiście nurzać w hańbie, po dwóch latach zatem szpiegzy shoguna nabrali przekonania, że zemsta nie będzie kontynuowana, i shogun odwołał nadzór nad roninami.

W 1703 roku czterdziestu siedmiu roninów spotkało się ponownie i zaatakowało zamek Kiry. W wybuchu długo powstrzymywanej wściekłości wyróżnili niczego nie podejrzewające strażę swego wroga, wysłedzili i pozbawili głowy człowieka, którego tak nienawidzili, a następnie obmyli tę głowę i udali się na pielgrzymkę do grobu Asano, gdzie złożyli to trofeum na mogile nareszcie pomszczonego pana.

Na tym jednak łańcuch powinności jeszcze się nie kończył. Wypełniając nakaz giri, roninowie sprzeniewierzyli się rozkazowi shoguna, aby przerwać wendetę. Jeden kodeks honorowy kłócił się z drugim. Pozostało tylko jedno możliwe rozwiązanie. Shogun wydał wyrok, a roninowie go wypełnili. Triumfalnie przebijali swe brzuchy mieczami, prowadząc ostrze od lewej do prawej, a potem ku górze, zgodnie ze szlachetnym rytuałem samobójstwa, zwanym seppuku. Groby czterdziestu siedmiu roninów są czczone po dziś dzień jako narodowy pomnik Japonii.

Drużynnicy i czterdziestu siedmiu roninów, Dzikus i Akira, kodeksy i powinności, honor i lojalność, ochrona, a jeżeli okoliczności zmuszą, zemsta, nawet za cenę życia — oto piąta i najszlachetniejsza profesja.

## I.

### Powrót zmarłego

#### Labirynt

.Posłuszny regułom swojego zawodu, Dzikus skierował windę o piętro niżej, niż potrzebował. Aby winda dotarła na najwyższe piętro, trzeba było wsunąć w szczelinę na płycie kontrolnej kartę z kodem komputerowym. Dzikus otrzymał taką kartę, ale wołał jej nie używać. Z zasady nie znosił wind. Stwarzane przez nie ograniczenie było niebezpieczne. Nigdy nie wiedział, co go może spotkać, gdy drzwi się rozsuną. Co prawda tym razem nie spodziewał się trudności, gdyby jednak zrobił jedno odstępstwo od swych zwykłych metod postępowania, za nim poszłyby inne, i wtedy w razie prawdziwych kłopotów nie byłby w stanie zareagować właściwie.

Tego ciepłego wrześniowego popołudnia w Atenach dręczyła go poza tym ciekawość, jakie środki bezpieczeństwa podjęła osoba, z którą umówił się na spotkanie. Chociaż przywykł do kontaktów z ludźmi bogatymi i wpływowymi, większość z nich stanowili

politycy lub biznesmeni, nie co dzień jednak zdarzało mu się spotkać kogoś, kto nie tylko miał związki z tymi dwoma dziedzinami, ale był ponadto żywą legendą kina.

Kiedy winda stanęła i drzwi otworzyły się z lekkim stuknięciem, Dzikus usunął się w bok. Wyjrzał na zewnątrz i ocenił sytuację, ale ponieważ nie zobaczył nikogo, rozluźnił się i pomaszerował ku drzwiom, na których napis po grecku wskazywał wyjście pożarowe. Zgodnie z tą informacją klamka nie stawiała oporu.

Ostrożnie przekroczył próg i znalazł się na klatce schodowej. Gumowe podeszwy jego butów głośno odgłos kroków na betonowym podeście. Skierował się ku drzwiom po prawej stronie i ujął ich gałkę, ale nie zdołał jej obrócić. Dobrze — drzwi były zaryglowane, tak jak należało. Bez wątplenia przycisk po drugiej stronie otwierał dostęp dotychczas schodów w razie nagłej potrzeby, ale z tej strony nieproszony gość miał zamkniętą drogę na górę. Dzikus wsunął w dziurkę od klucza dwa cienkie metalowe paski — jeden z nich miał posłużyć za dźwignię, drugim zaś manipulował tak, aby uwolnić zapadki rygla. Już po siedmiu sekundach otworzył drzwi, zaniepokojony, że zamek okazał się tak prosty, powinno mu to bowiem zabrać przynajmniej dwa razy tyle czasu.

Wślizgnął się przez drzwi, delikatnie zamknął je za sobą i czujnie zbadał prowadzące ku górze schody. Nie było żadnych ukrytych kamer, poza tym mętne światło dawało mu ochronny cień, gdy wspinał się ku podestowi i dalej, po następnym odcinku schodów. Nie widział żadnego strażnika, a kiedy pchnął drzwi u szczytu schodów, zmarszczył brwi — drzwi nie były zamknięte. Co gorsza, kiedy je otworzył, również nie ujrzał straży.

Niemal bezgłośnie posuwał się wzdłuż miękko wyścielonego korytarza. Zerknąwszy na drzwi skierował się w stronę malejących numerów, by trafić do tego, który mu podano. Tuż przed skrzyżowaniem korytarza w nozdrza uderzył go zapach tytoniowego dymu. Po prawej stronie miał windę, zwrócił się więc w lewo i wtedy ich zobaczył.

Naprzeciw drzwi w drugim końcu korytarza stało trzech mężczyzn. Pierwszy z nich trzymał ręce w kieszeniach, drugi zaciągał się papierosem, a trzeci sączył kawę z filiżanki.

Amatorszczyzna, pomyślał Dzikus, nigdy nie należy mieć zajętych rąk. Kiedy strażnicy go spostrzegli, pospiesznie przybrali pozę gotowości. Zbudowani byli jak piłkarze, garnitury oblepiały więc ciasno ich bycze karki i klatki piersiowe. Dla kogoś, kto nie był fachowcem, mogli wyglądać onieśmielająco, ich rozmiary jednak nie pozwalały im zniknąć w tłumie, a nadmiernie rozrośnięte mięśnie sprawiały, że nie byliby w stanie zareagować szybko w sytuacji kryzysowej.

Dzikus rozluźnił mięśnie twarzy, starając się nadać jej niegroźny wygląd, a choć ponad metr osiemdziesiąt wysoki, przygarbił tak swą żyłastą sylwetkę, że wydawał się znacznie niższy. Idąc korytarzem udawał, że strażnicy wywarli na nim duże wrażenie, wyprężyli więc plecy w aroganckim poczuciu triumfu.

Zrobili całe przedstawienie z kontroli jego dokumentów, zwykłych falsyfikatów z nazwiskiem używanym tylko w tym miesiącu. Obszukali go też, ale nie użyli ręcznego wykrywacza metali i dlatego nie znaleźli małego noża, ukrytego za klapą marynarki.

— Tak, czekają na pana — powiedział pierwszy. — Dlaczego nie skorzystał pan z windy?

— Karta komputerowa nie zadziałała — odpowiedział Dzikus, zwracając ją. — Musiałem wsiąść piętro niżej i wejść po schodach.

— Ale drzwi na klatkę schodową są zamknięte — odezwał się drugi.

— Ktoś z hotelu musiał je zostawić otwarte.

— Ktokolwiek zapomniał je zamknąć, jego dupa już zimna — dorzucił trzeci.

— Rozumiem, co pan ma na myśli. Ja też nie znoszę niedbalstwa. Pokiwali głowami, zerkając po sobie, rozluźnili ramiona i odprowadzili go do apartamentu.

Nie tak, pomyślał Dzikus, zasadą jest, aby nigdy nie opuszczać posterunku.

Salon w apartamencie był duży i umeblowany ze smakiem, Dzikus przede wszystkim jednak zwrócił niechętną uwagę na ścianę na wprost drzwi. Zwisające tam ciężkie zasłony były rozsunięte, ukazując ogromne, sięgające od podłogi do sufitu okno ze wspaniałym widokiem na Partenon na Akropolu. Ateny zazwyczaj spowijał smog, teraz jednak wiatr

oczyścił powietrze sprawiając, że kolumnada ruin lśniła w popołudniowym słońcu.

Dzikus pozwolił sobie jednak na zachwyt tym widokiem dopiero wtedy, gdy zajął pozycję w głębi pokoju, nie znosił bowiem wielkich okien z rozsuniętymi zasłonami — ewentualnemu wrogowi dawały one niepotrzebną przewagę, otwierając łatwy dostęp teleskopom, mikrofalowym mikrofonom kierunkowym i, co najważniejsze, kulom snajperów.

Potencjalnego klienta, który go wezwał na to spotkanie, jeszcze nie było, otaksował więc wzrokiem drzwi w ścianie po lewej stronie. Mogła to być garderoba, łazienka albo sypialnia. Jego uwagę zwrócił przyciszony kobiecy głos, dobiegający zza drzwi w ścianie po prawej — te drzwi z pewnością prowadziły do sypialni. Ponieważ nie słyszał odpowiedzi, domyślił się, że kobieta rozmawiała przez telefon. W jej głosie brzmiało ponaglenie, jak gdyby od dłuższego czasu nie mogła skończyć tej rozmowy.

Z dobrze wytrenowaną cierpliwością Dzikus powędrował wzrokiem dalej w prawą stronę, ku ścianie, w której znajdowały się drzwi wejściowe. Rozpoznał na niej dwa płótna Moneta i trzy van Gogha.

Jego krzepcy strażnicy stracili wszelkie zainteresowanie swoją pracą, gdy spostrzegli, że ich chlebodawca jest nieobecny. Żadnej widowni, żadnych pochwał za dobre spełnianie obowiązków. Dwaj z nich, pełni rozczarowania, poszurali nogami, poprawili krawaty i powrócili na swoje miejsca w hallu, z pewnością po to, aby dalej pić kawę i palić papierosy. Trzeci zamknął drzwi i oparł się o nie ze skrzyżowanymi ramionami, starając się wyglądać na zapracowanego.

Kiedy zaszumiał klimatyzator, Dzikus odwrócił się od obrazów w kierunku szklanej gabloty z kolekcją chińskich waz.

Pozostały na posterunku goryl wyprostował się.

Drzwi po prawej otworzyły się i z sypialni wyszła kobieta-legenda.

Jej wiek oficjalna biografia określała na czterdzieści pięć lat, niemniej, co było zdumiewające, wyglądała tak samo jak w swoim ostatnim filmie nakręconym dziesięć lat temu — wysoka, szczupła, nieco kanciasta. Jej oczy były głęboko błękitne, a twarz miała zarys wykwintnego owalu, którego zmysłową linię obramowywały sięgające do ramion, zbiegające od słońca włosy. Skórę miała gładką i opaloną. Istne marzenie fotografa.

Dziesięć lat temu, podczas konferencji prasowej z okazji przyznania jej przez Akademię Filmową nagrody dla najlepszej aktorki, zaskoczyła cały świat, ogłaszając rezygnację z zawodu. Jej małżeństwo w miesiąc później z absolutnym władcą niewielkich, lecz zasobnych wyspiarskich włości, sąsiadujących z Riwierą Francuską, było nie mniej zdumiewające. Kiedy mąż zapadł na zdrowiu, sama objęła prowadzenie jego interesów, podwajając wpływy z turystyki i kasyn gry, które stanowiły źródło dobrobytu wyspy.

Rządziła tak, jak grała, w stylu, który krytycy filmowi nazwali „ogniem i lodem” — z zaangażowaniem, ale kontrolowanym, z pasją, ale i z odpowiedzialnością. W scenach miłosnych zawsze odgrywała rolę dominującą. Film, w którym uwodziła genialnego złodzieja klejnotów, przewrotnie odrzucając jego względy, stał się klasycznym przykładem obrazowania napięć uczuciowych. Wiedziała, czego chciała, ale brała to tylko wtedy, gdy własne zachcianki nie narażały jej na ryzyko, i wydawała się czerpać przyjemność z dawania więcej niż wzięła, z łaskawego podarowania złodziejowi niezapomnianej nocy.

Podobnie i wyspiarscy poddani musieli zabiegać o jej względy. Reagowała na te zabiegi, ale zawsze z dystansu, z wyjątkiem chwil, kiedy niespodziewanie ujawniała swą wspaniałomyślność dla chorych, bezdomnych lub osieroconych. Wyglądało na to, że współczucie traktowała jako objaw słabości, ogień, który zagrażał rozpuszczeniem jej lodowatej samokontroli. Jeżeli jednak było to korzystne ze względów politycznych, emocje były dopuszczalne, a nawet demonstrowane w nadmiarze, jeśli tylko nie narażało to jej na niebezpieczeństwo, a zaskarbiało miłość poddanych. Podchodząc do Dzikusa uśmiechnęła się promiennie — okruczeństwo kina w codziennym życiu. Ze swej strony Dzikus podziwiał, jak

zręcznie zaaranżowała swoje entree. Wiedział, że doskonale zdawała sobie sprawę, jakie to wywierało wrażenie.

Miała na sobie czarne sandały ręcznej roboty, plisowane spodnie koloru czerwonego wina, jedwabną bluzkę, błękitną jak jajeczka rudzika (górne trzy guziki były odpięte, odsłaniając opaleniznę u nasady piersi, a kolor z pewnością dobrała w ten sposób, by podkreślał lazur jej oczu), zegarek marki Cartier oraz diamentowy wisiołek z takimiż kolczykami, których blask jeszcze bardziej uwydatniał kolor jej oczu i spłowiałych włosów.

Przystanąła na chwilę przed Dzikusem, a potem zwróciła się do stojącego pod drzwiami strażnika, odprawiając go:— Dziękuję panu.

Krzepki facet wycofał się, zły, że nie mógł przysłuchiwać się rozmowie.

— Przepraszam, że kazałam panu czekać — powiedziała, podchodząc bliżej i pozwalając Dzikusowi wdychać delikatny zapach jej perfum. Miała lekko ochrypy głos i silny uścisk ręki.

— Pięć minut...? Nie ma za co przepraszać. — Dzikus wzruszył ramionami. — W moim zawodzie przywykłem czekać znacznie dłużej. A poza tym miałem czas, aby podziwiać pani kolekcję. — Wskazał ręką szklaną gablotę z wazami. — Bo przypuszczam, że to pani własna kolekcja. Wątpię, aby jakikolwiek hotel, nawet „Georges Roi II”, powierzał swoim klientom bezcenne dzieła sztuki.

— Zabieram je zawsze ze sobą w podróż, żeby czuć się bliżej domu. Czy pan też lubi chińską ceramikę?

— Czy lubię? Tak, chociaż zupełnie się na niej nie znam. W każdym razie uwielbiam piękno, Wasza Wysokość, włączając — jeśli pani wybaczy ten komplement — panią. Spotkanie z panią jest dla mnie zaszczytem.

— Jako władczynią czy jako była osobistością filmu?

— Była aktorką. Skinęła głową i mrugnęła.

— Jest pan bardzo miły. Chyba czułby się pan lepiej, gdybyśmy dali spokój formalnościom. Proszę nazywać mnie moim poprzednim nazwiskiem, Joyce Stone.

Dzikus powtórzył jej pełne wdzięku skinienie.

— Tak, panno Stone.

— Ma pan zielone oczy.

— To nie jest zbyt widoczne — odrzekł Dzikus.— Wręcz przeciwnie. Bardzo widoczne. Kolor kameleona. Pańskie oczy dopasowują się do ubrania — szara marynarka, niebieska koszula... Pobieźny obserwator określiłby pańskie oczy jako...

— Szaroniebieskie, a nie zielone. Jest pani spostrzegawcza.

— A pan zna się na złudzeniach optycznych. Umie się pan przystosować.

— To użyteczne w mojej pracy. — Dzikus obrócił się ku obrazom. — Wspaniałe. Jeżeli się nie mylę, „Cyprysy” van Gogha zostały niedawno zakupione na aukcji u Sotheby'ego. Nieznany nabywca zapłacił ładną sumkę.

— Pamięta pan, ile?

— Piętnaście milionów dolarów.

— Teraz zna pan już tajemniczego kupca.

— Panno Stone, to dla mnie uprzywilejowana informacja. Już jutro wypadłbym z interesu, gdybym nie zachował tajemnicy. Pani słowa to dla mnie jak spowiedź dla księdza.

— Spowiedź? Mam nadzieję, że to nie znaczy, iż nie mogę panu zaproponować czegoś do picia?

— Dopóki nie pracuję dla pani.

— Ale ja przypuszczałam, że po to właśnie pan przyszedł.

— Przyszedłem po to, żeby porozmawiać o pani problemach — powiedział Dzikus. — Nie zostałem jeszcze zaangażowany.

— Z pańskimi świadectwami? Już się zdecydowałam wynająć pana.

— Pani wybaczy, panno Stone, ale przyjąłem pani zaproszenie, by sprawdzić, czy ja chcę, żeby pani mnie wynajęła.

Joyce Stone przyglądała mu się badawczo.

— No, no. — Nie spuszczała z niego uporczywego spojrzenia. — Ludzie zazwyczaj chętnie dla mnie pracują.

— Nie chciałem pani obrazić.

— Oczywiście. — Ruszyła w stronę kanapy.

— Jeśli pani pozwoli, panno Stone... Uniosła brwi.

— Wolałbym, żeby usiadła pani tam, na tamtym krześle. Ta kanapa stoi zbyt blisko okna.

— Okna...?

— Albo niech mi pani pozwoli zaciągnąć zasłony.

— Ach tak, teraz pojmuję. — Wydawała się rozbawiona. — Ponieważ lubię światło słoneczne, usiądę tam, gdzie pan proponuje. Niech mi pan powie, czy zawsze jest pan taki opiekuńczy wobec osób, dla których jeszcze nie zdecydował się pan pracować?

— Siła przyzwyczajenia.

— Intrygujące przyzwyczajenie, panie... Obawiam się, że zapomniałam pańskie nazwisko.

Dzikus powątpiewał w to. Wyglądała na osobę, która pamięta wszystko.

— To nieważne. Nazwisko, które pani podano, nie jest moje. Normalnie używam pseudonimu.

— To jak mam pana przedstawiać?

— Nie będzie pani tego robić. Jeżeli dojdziemy do porozumienia, proszę nigdy nie zwracać na mnie uwagi.

— Publicznie tak, ale jeśli zechcę zwrócić się do pana prywatnie?

— Dzikus.

— Przepraszam...?

— To przezwisko. Pod nim jestem znany w mojej pracy.

— A zdobył je pan podczas służby w SEAL? Dzikus nie pokazał po sobie zaskoczenia.

— Nazwa tej pańskiej jednostki to skrót, zgadza się? Od słów „SEa, Air, Land”.

Komandosi Marynarki Stanów Zjednoczonych.

Dzikus zdusił w sobie pokusę, żeby się nasrożyć.

— Mówiłam panu, że pańskie referencje wywarły na mnie wrażenie — powiedziała. — Korzystanie z pseudonimów świadczy, że pan bardzo ceni sobie swoją prywatność, ja jednak byłam uparta i wywiedziałam się paru szczegółów z pańskiej przeszłości. Żeby pana uspokoić, chciałabym powiedzieć wyraźnie, że nic z tego, co mi opowiadano, nie zagraża pańskiej anonimowości. Ale krążą o panu pewne plotki. Powszechnie uznanie zdobył pan sobie, udzielając pomocy pewnemu posłowi do brytyjskiego parlamentu — przypuszczam, że przeciwko terrorystom z IRA. Ten człowiek prosił mnie, żebym raz jeszcze podziękowała panu za uratowanie mu życia. Podobnie wdzięczny panu jest pewien włoski finansista za odzyskanie porwanego syna. A pewien przemysłowiec z Niemiec Zachodnich uważa, że jego firma zbankrutowałaby, gdyby nie wykrył pan konkurenta, który podkradał jego tajemnice.

Dzikus milczał.

— Nie musi pan być taki skromny — powiedziała.

— Pani też. Pani źródła są pierwszorzędne.

— Jedną z wielu korzyści wżenienia się w sfery panujące. Włoski finansista okazywał swoją wdzięczność wyjątkowo natarczywie, spytałam go więc, jak mogłabym się z panem skontaktować. Dał mi numer telefonu pańskiego... sądzę, że w moim poprzednim wcieleniu nazwałabym go pańskim agentem.

— Ale mam nadzieję, że nie poznała pani jego nazwiska?

— Nigdy nie rozmawiałam z nim wprost, tylko przez pośredników.

— To dobrze.

— Co sprowadza mnie znów do mojego problemu...

— Panno Stone, to jeszcze jeden mój wyuczony obyczaj. Niech pani nie mówi o szczegółach w tym pokoju.

— Nikt nas nie może podsłuchać. Nie ma tu żadnych ukrytych mikrofonów.



— Jest pani tego pewna?  
— Moi strażnicy sprawdzili go dziś rano.  
— W takim razie powtarzam...  
— Nie mówić o szczegółach w tym pokoju? Czyżby moi strażnicy nie zrobili na panu wrażenia?  
— Zrobili, a jakże.  
— Ale nie takie, jak trzeba?  
— Staram się nie krytykować.  
— Kolejny chwalebny obyczaj. A więc dobrze, Dzikusie. — Uśmiech jej dorównywał blaskiem skrzyń diamentowych kolczyków. Wychyliła się z krzesła i dotknęła jego ręki. — Ma pan ochotę obejrzeć jakieś ruiny?

Czarny rolls-royce odłączył się od strumienia pojazdów i zatrzymał na owalnym parkingu. Wsiadł z niego Dzikus oraz dwaj strażnicy. Trzeci pozostał w hotelu, aby pilnować apartamentu. Ocenivszy przewalające się wokół tłumy, strażnicy skinęli w stronę wnętrza samochodu.

Joyce Stone wysiadła, pilnowana z obu stron.

— Pokrąż w pobliżu. Wrócimy za godzinę — powiedziała do kierowcy, który wycofał rollsa i znów włączył się do ruchu.

Rozbawiona, zwróciła się do Dzikusa:

— Pan wciąż mnie zaskakuje.

— Tak?

— W hotelu sprzeciwiał się pan, żebym usiadła przy oknie, ale ani słowem nie zaprotestował pan przeciwko memu wyjściu między ludzi.

— Jeżeli ktoś jest sławny, to jeszcze nie znaczy, że ma być pustelnikiem. Jeśli tylko nie rozgłasza pani wszystkim wokół zamierzonej trasy, sprawny kierowca może bardzo utrudnić komuś śledzenie pani — Dzikus wskazał ręką na ciżbę samochodów — szczególnie w Atenach. Poza tym umie pani ubrać się tak, by nie odróżniać się od otoczenia. Pani również ma zdolności przystosowawcze, tak jak ja.

— To sztuczka, której się nauczyłam, kiedy byłam aktorką. Jedna z najtrudniejszych ról... wyglądać przeciętnie.

Przebrała się, zanim opuścili hotel. Zamiast specjalnie projektowanych spodni i bluzki miała teraz na sobie sprane dzinsy i luźny szary sweter z golfem. Diamenty znikły. Drogi zegarek zastąpił zwykły timex, na jej nogach zaś pojawiły się przykurzone buty popularnej firmy Reebok. Zwracające uwagę spłowiałe włosy ukryła pod miękkim słomianym kapeluszem, a okulary słoneczne skutecznie przysłaniały jej intensywnie niebieskie oczy.

Chociaż przechodnie przystawali, aby popatrzeć na rollsa, nie okazywali jednak specjalnego zainteresowania kobietą, która z niego wysiadła.

— Gra pani swoją rolę z powodzeniem — powiedział Dzikus. — W tej chwili żaden producent nie zatrudniłby pani, nawet w charakterze statystki.

Dygnęła żartobliwie.

— Miałbym jednak pewną propozycję — powiedział.

— Coś mi mówiło, że tak będzie.

— Niech pani przestanie używać rollsa.

— Ale to mi sprawia przyjemność.

— Nie można zawsze mieć tego, czego się pragnie. Radziłbym zatrzymać rollsa na specjalne okazje. Niech pani kupi bardzo sprawny, ale raczej skromny z wyglądu samochód. Oczywiście trzeba go będzie zmodyfikować.

— Oczywiście.

— Wzmocnione okna, przyćmiona tylna szyba, kuloodporna wykładzina...

— Oczywiście.

— Niech się pani ze mnie nie wyśmiewa, panno Stone.

— Nie wyśmiewam się. Po prostu sprawia mi radość widok człowieka, który cieszy się swoją pracą.

— Cieszy? Nie robię tego dla zabawy. Moja praca służy ratowaniu życia.

— I nigdy pan nie zawiódł?

Dzikus zawahał się. Zaskoczony zniecacka, poczuł naraz przyływ dręczących wspomnień: błysk miecza, strumień krwi.

— Tak — powiedział. — Raz.

— Pańska uczciwość wprawia mnie w zdumienie.

— I tylko raz. Dlatego właśnie jestem taki skrupulatny, dlatego nigdy więcej nie zawiodę — ale jeśli moja szczerowość sprawia, że pani wątpi w moje...

— Wprost przeciwnie. Mój trzeci film był kompletną klapą. Mogłam to zignorować, ale ja ten fakt wzięłam pod uwagę i wyciągnęłam z niego naukę. Zdobyłam Oscara, bo ciężiej pracowałam, chociaż zabrało mi to jeszcze siedem filmów.

— Kino to nie prawdziwe życie.

— Ani śmierć, prawda? Powinien pan przeczytać recenzje z tego trzeciego filmu. Byłam pogrzebana.

— Wszyscy będziemy.

— Pogrzebani? Niech pan mnie nie przygnębia, Dzikusie.

— Czy nikt pani nie uświadomił?

— W sprawie seksu? Nauczyłam się tego wcześniej. Śmierci? To z jej powodu istnieją tacy ludzie jak pan. Po to, aby opóźnić jej nadejście tak długo, jak tylko można.

— Tak — rzekł Dzikus. — Śmierć to wróg.

Poszli za grupą turystów w stronę zachodniego stoku Akropolu, tradycyjnej drogi dostępu do ruin, gdyż pozostałe zbocza były o wiele za strome na budowę wygodnych ścieżek. Idąc wśród świerków osiągnęli starożytne kamienne wejście, zwane Bramą Beulego.

— Był pan tu już kiedyś?

— Kilka razy — odpowiedział Dzikus.

— I ja też. Mimo to wątpię, żeby przychodził pan tu z tych samych powodów co ja. Dzikus czekał na jej dalsze słowa.

— Ruiny uświadamiają nam, że nic, ani bogactwo, ani sława czy władza, nie trwa wiecznie.

*Spójrz na me dzieło, o Potężny, i rozpaczaj.*

Popatrzyła na niego, wyraźnie poruszona.

— To z „Ozymandiasa” Shelleya.

— Chodziłem do dobrej prywatnej szkoły.

— Ale nie powie pan, jak ona się nazywała? Stale ta anonimowość. Czy pamięta pan dalszy ciąg poematu?

Dzikus wzruszył ramionami.

*...wokół szczątków*

*Tego kolosalnego wraku pustynia się roztacza,*

*Naga, dzika i płaska, bez końca ni początku.*

— Shelley wiedział, co to precyzja. Gdyby był Japończykiem, pisałby wspaniałe haiku.

— Goryl cytujący poezje...?

— Nie jestem zwykłym gorylem, panno Stone. Moim zadaniem jest nie tylko usuwanie przeszkód.

— Kim więc pan jest?

— Samodzielnym obrońcą. Wie pani, poemat Shelleya przywodzi na myśl...

Wskazał na stopnie, po których wspinali się ku górze. Ich marmur był zniszczony przez czas, użytkowanie i rozmaitych najeźdźców oraz samochodowe wyziewy, najgorsze ze wszystkiego.

Przeszli przez monumentalne Propyleje, których bezcenną, a niszczącą posadzkę chroniły drewniane pomosty. Pięć bram z kolumn rosło wszcz i wzwyż, prowadząc ich ku ścieżce, która rozwidlała się w prawo i w lewo.

Umiarkowane temperatury, jakie przyniósł po letnim upale wrzesień, sprzyjały rozpoczęciu sezonu turystycznego. Zwiedzający przepychali się obok nich, jedni bez tchu po wspinaczce, inni już zajęci obfotografowywaniem ze wszystkich stron każdego zabytku.

— Niech pani powie swoim strażnikom, aby szli za nami — powiedział Dzikus. — Ja zajmę się tym, co z przodu.

Skreśli w prawo i podeszli do wielkiego prostopadłościanu Partenonu. W 1687 roku konflikt pomiędzy najeźdźcami sprawił, że pocisk z weneckiego działa trafił w turecki magazyn prochu w Partenonie, który w starożytności był świątynią Ateny. Wybuch zniszczył znaczną część zabytku, przewracając kolumny i powodując zawalenie prawie całego dachu. Jego rekonstrukcja wciąż jeszcze nie była ukończona — rusztowania przesłaniały piękno zachowanej doryckiej kolumnady, a barierki powstrzymywały zwiedzających przed dalszym dewastowaniem wnętrza.

Dzikus odłączył się od turystów i podeszedł do południowej ściany Akropolu. Oparł się o zwaloną kolumnę. W dole rozpościerały się Ateny. Wiejący wcześniej wiatr ucichł i nad miastem zaczynał gromadzić się smog.

— Tu możemy rozmawiać bez obawy, że będziemy podsłuchani — rzekł Dzikus. — Panno Stone, nie jestem pewien, czy chcę dla pani pracować dlatego, że...

— Ale jeszcze pan nie wie, po co jest mi pan potrzebny.

— ...że samodzielny obrońca jest zarazem sługą i panem. Pani kieruje swoim życiem — decyduje, gdzie ma zamiar pójść i co robić — ale to pani obrońca wskazuje, jak tam się dostać i jakie środki bezpieczeństwa zastosować. To delikatna równowaga, pani jednak ma reputację osoby samowolnej. Nie wiem, czy jest pani przygotowana na przyjmowanie poleceń od kogoś, kogo pani zatrudnia. Westchnęła i usiadła obok niego.

— Jeżeli taki jest pański problem, to nie ma żadnego problemu.

— Nie rozumiem.

— Nie ja jestem w tarapatach, lecz moja siostra.

— Proszę jaśniej.

— Czy pan coś o niej wie?

— Nazywa się Rachel Stone. Dziesięć lat młodsza od pani, ma trzydzieści pięć lat.

Wyszła za mąż za senatora z Nowej Anglii, który brał udział w kampanii prezydenckiej.

Kula z pistoletu nieznanego zabójcy uczyniła ją wdową. Jej związki z polityką oraz posiadanie siostry- gwiazdy sprawiły, że wzbudzała powszechne zainteresowanie. Zalecał się do niej grecki magnat okrętowy, z którym wzięła ślub w zeszłym roku.

— Moje uznanie. Dobrze się pan przygotował.

— Nie gorzej niż pani.

— Ich małżeństwo przypomina Partenon: to też ruina. — Joyce Stone pogrzebała w swojej jutowej torbie, a kiedy znalazła paczkę papierosów, bezskutecznie usiłowała uruchomić zapalniczkę. — Nie jest pan dżentelmenem — warknęła po chwili.

— Bo nie przypalam pani papierosa? Właśnie tłumaczyłem, że jeśli chodzi o ochronę, pani jest sługą, a ja panem.

— To nie ma sensu.

— Ma, jeżeli zechce sobie pani uświadomić, że muszę mieć wolne ręce, na wypadek gdyby pani coś zagrażało. Dlaczego chciała się pani ze mną zobaczyć?

— Moja siostra chce się rozwieść.

— W takim razie nie ja jestem tu potrzebny, ale adwokat.

— Ten skurwiel, jej mąż, nie pozwoli na to. On ją więzi — chce, żeby zmieniła zdanie.

— Więzi...?

— Nie zakuł jej w kajdany, jeśli tak to pan sobie wyobraża, ale w każdym razie jest więźniem. I nie jest torturowana — Joyce udało się wreszcie zapalić papierosa — jeśli nie brać pod uwagę gwałtu rano, w południe i wieczorem. On mówi, że to po to, aby nie zapomniała, co straci. Zasluguje na kulę prosto w ten swój świński łeb. Nosi pan ze sobą broń? — spytała wydmuchując dym.

— Rzadko.

— To jaki z pana pożytek? Dzikus wyprostował się.

— Popęłniła pani błąd, panno Stone. Jeżeli pani potrzebny morderca...

— Nie. Ja chcę tylko odzyskać moją siostrę. Oparł się znów o kolumnę.

— Mówi pani o odzyskaniu...

— Niech pan to nazywa, jak się panu żywnie podoba.

— Gdybym zdecydował się przyjąć to zlecenie, moja zapłata...

— Zapłacę panu milion dolarów.

— Marny z pani negocjator. Mogłem wymienić niższą sumę.

— Ale to jest moja oferta.

— Zakładając, że ją przyjmę, chciałbym na początek połowę sumy na konto depozytowe, a drugą połowę po wywiązaniu się z umowy. Plus wydatki.

— Jeśli o mnie chodzi, może pan sobie mieszkać w najlepszych hotelach i jadać co pan chce i za ile chce. Parę tysięcy więcej nie robi różnicy.

— Pani mnie nie zrozumiała. Kiedy mówię „wydatki”, mam na myśli nie kilka tysięcy, a kilkaset tysięcy.

— Co?

— Prosi mnie pani o wystąpienie przeciwko jednemu z najpotężniejszych ludzi w Grecji. Ile on może mieć majątku — z pięćdziesiąt miliardów? Jego ochrona będzie solidna i jej przełamanie musi kosztować. Niech mi pani powie, gdzie przebywa pani siostra, a ja zrobię analizę ryzyka i za tydzień powiem pani, czy zdołam ją wydostać.

Zgniotła niedopałek papierosa i powoli obróciła się.

— Dlaczego...?

— Nie wiem, co pani ma na myśli.

— Mam wrażenie, że dla pana ta praca jest ważniejsza od pieniędzy. Dlaczego w ogóle bierze pan pod uwagę moją propozycję?

Na chwilę w myślach Dzikusa pojawił się przyprawiający o dreszcz obraz błysku stali i tryskającej krwi. Zdusił to wspomnienie, unikając zarazem odpowiedzi na jej pytanie.

— Mówiła pani kierowcy: „godzina”. Już prawie minęła. Chodźmy więc. A kiedy wrócimy do samochodu, niech pani powie kierowcy, żeby wracał do hotelu kluczając.

Stosując się do własnych rad, Dzikus również powracał krętą drogą do Akropolu, a raczej do dzielnicy, która leżała bezpośrednio na pomoc od niego. Dzielnica ta zwała się Plaka i stanowiła główny teren zakupów wszystkich turystów w Atenach. Zagłębił się

w wąskie, zatłoczone uliczki, pełne setek straganów i sklepików. Mimo powrotu smogu wyczuwał dymny aromat szisz kebab, który za chwilę ustępował miejsca delikatnemu zapachowi świeżo ściętych kwiatów. Hałaśliwi sprzedawcy gestami zapraszali do kupna ręcznie tkanych dywanów, wyrobów skórzanym, ceramiki, miedzianych naczyń i srebrnych bransolet.

Dotarł do labiryntu wąskich zaułków, zatrzymał się we wnęce, upewnił się, że nie jest śledzony, po czym minął tawernę i wszedł do sąsiedniego sklepu, gdzie sprzedawano bukłaki do wina.

Wnętrze pełne było bukłaków zwisających w pęczkach z haków na krokwiach. Wydzielały mocny, ale przyjemny zapach skóry. Dzikus musiał się schylić, aby przejść pod nimi i zbliżyć do tłustej kobiety za ladą.

Jego znajomość greckiego była ograniczona. Potrafił powiedzieć tylko kilka wyuczonych

zdań.

— Potrzebuję specjalnego wyrobu. Bukłaka innego typu. Gdyby pani szanowny pracodawca mógł poświęcić mi parę chwil...

— Pańskie nazwisko? — zapytała kobieta.

— Proszę mu powiedzieć, że to przeciwieństwo... cywilizowanego. Kiwnęła z szacunkiem głową i weszła schodami na górę. W parę sekund później wróciła i gestem wskazała mu, aby wszedł.

Dzikus minął wnękę, z której przypatrywał mu się zarośnięty facet ze strzelbą, i wdrapał się po schodach. Drzwi na górze były otwarte. Ujrzał przez nie pokój — jego jedyne umeblowanie stanowiło biurko, przy którym muskularny człowiek w czarnym garniturze nalewał sobie ouzo do szklanki.

Gdy Dzikus wszedł, mężczyzna spojrzął na niego ze zdziwieniem, jakby nie został powiadomiony o przybyciu gościa.

— Czy to duch? — Chociaż był Grekiem, mówił dobrze po angielsku.

Dzikus uśmiechnął się.

— Przyznaję, że dawno mnie tu nie było.

— Niewdzięczny łajdak, któremu nie chciało się trudzić i podtrzymywać naszej przyjaźni.

— Zatrzymywały mnie interesy.

— Te tak zwane interesy to musi być wymysł.

— To były naprawdę ważne sprawy, ale teraz chciałbym ci jakoś zrekompensować moją nieobecność.

Dzikus położył na biurku plik banknotów greckich, odpowiadający dziesięciu tysiącom dolarów amerykańskich. Rozłożone pieniądze przykryły wzór z kolistych plam, jakie pozostawiła szklanka, obowiązkowo dzień w dzień napełniana ouzo. Pokój wypełniał zapach anyżku.

Greki zauważył, że Dzikus spojrzął na butelkę, i zapytał:

— Może dasz się skusić?

— Jak wiesz, rzadko piję.

— Skaza charakteru, którą ci wybaczam.

Pierś Greka zafalowała i wydobył się z niej basowy chichot. Nie widać było po nim żadnych oznak alkoholizmu. Wydawało się, że ouzo, jak formalina, konserwowało jego ciało. Był czysto wygolony, połyskliwe czarne włosy miał doskonale przystrzyżone. Pociągnął ze szklanki, odstawił ją, a potem przyjrzał się pieniądzom. Wyglądał na zakłopotanego, kiedy przeliczył całą sumę.

— To zbyt uprzejme. Za dużo. Niepokoisz mnie.

— Załatwiłem również prezent. Za godzinę, jeśli zgodzisz się dostarczyć mi informacje, jakich potrzebuję, posłaniec przyniesie ci skrzynkę najlepszego ouzo.

— Naprawdę najlepszego? Znasz mój gust...

— Rzeczywiście znam, ale pozwoliłem sobie wybrać coś jeszcze bardziej wyjątkowego.

— Co takiego?

Dzikus podał nazwę firmy.

— To niezwykle uprzejmie z twojej strony.

— W hołdzie dla twego talentu — rzekł Dzikus.

— Jak to wy powiadacie w swoim kraju... — Grek pociągnął łyk ze szklanki — ...jesteś oficerem i dżentelmenem.

— Byłem oficerem — poprawił go Dzikus. Nie podkreśliłby tego szczegółu, gdyby nie wiedział, że tamten już go znał. — A ty jesteś zaufanym informatorem. Ile to już czasu upłynęło od chwili, kiedy pierwszy raz skorzystałem z twoich usług?

Greki skoncentrował się.

— Sześć lat radości. Moje byłe żony i dzieci są ci wdzięczne za wielokrotne wsparcie.

— Będą jeszcze bardziej wdzięczne, kiedy potroję sumę, która leży na biurku.

— Wiedziałem to, przeczuwałem. Kiedy obudziłem się rano, powiedziałem sobie, że

dziś trafi mi się wyjątkowa okazja.

— Ale nie bez ryzyka. Grek odstawił szklanę.

— Każdy dzień niesie ryzyko.

— Jesteś już gotów przyjąć wyzwanie?

— Tylko się wzmocnię. — Grek spełnił szklanę do dna.

— Najpierw powiem ci nazwisko — powiedział Dzikus.

— Jak powiadał największy z angielskich bardów...

— Nie sądzę, żeby ci się spodobało. — Dzikus sięgnął za plecy i wydobył spod marynarki butelkę najlepszego z najlepszych, trudno dostępnego ouzo.

Greki rozjaśnił się.

— To nazwisko lubię, a to drugie?

— Stavros Papadropolis. Grek trzasnął szklanką o blat.

— Kurwa mać. — Szybko nalał sobie następną porcję ouzo i wychylił ją. — Co ci odbiło, żeby porywać się na śledzenie tego człowieka?

Dzikus rozejrzył się po niemal pustym pokoju.

— Zakładam, że byłeś ostrożny jak zawsze. Mam nadzieję, że twój nałóg nie sprawił, iż porzuciłeś obyczaj codziennych porządków.

Greki wyglądał na skrzywdzonego.

— Kiedy zobaczysz tu inne meble poza biurkiem i krzesłem, będziesz wiedział, że nie jestem godzien zaufania.

Dzikus kiwnął głową. Grek zredukował do minimum nie tylko umeblowanie — na podłodze nie było dywanu, a na ścianach żadnych obrazów; nie było nawet telefonu. Surowość urządzenia pokoju sprawiała, że trudno byłoby komuś ukryć tu mikrofon. Niemniej co dzień rano Grek kontrolował pomieszczenie za pomocą dwóch wymyślnych aparatów elektronicznych. Jednym z nich sprawdzał cal po calu cały pokój w poszukiwaniu sygnałów radiowych lub mikrofalowych, które pojawiłyby się, gdyby jakaś „pluskwa” przekazywała stąd dźwięki — to urządzenie było w stanie wykryć tylko aktywny, stale działający mikrofon. Mikrofon pasywny, który pozostawał nieczynny, gdy w pokoju nie było żadnych dźwięków, lub też mógł być zdalnie wyłączany w wypadku, gdy podsłuchujący podejrzewał kontrolę, można było wykryć tylko za pomocą drugiego aparatu, zwanego nieliniowym detektorem złącz. Przez przystawkę, przypominającą ssawkę ręcznego odkurzacza, aparat ten wysyłał wiązkę mikrofal, lokalizującą diody w obwodach ukrytych magnetofonów i przekaźników. Choć jego skuteczne wykorzystanie zabierało więcej czasu, Grek posługiwał się nim zawsze, nawet w tych rzadkich wypadkach, gdy pierwsze urządzenie ujawniło mikrofon, doświadczony podsłuchiwacz bowiem zawsze umieszczał zarówno aktywne, jak i pasywne urządzenia podsłuchowe — na wypadek, gdyby mniej dokładny kontroler poczuł się usatysfakcjonowany i przerwał poszukiwania po wykryciu tylko aktywnego mikrofonu. Z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru Grek nazywał te codzienne przeszukiwania „dezynfekcją”.

— Przepraszam za to śledztwo — powiedział Dzikus. — Jestem tylko ostrożny i nie chciałem cię obrazić.

— Gdybyś nie zapytał, miałbym wątpliwości, czy ty zasługujesz na zaufanie.

— Jesteś wyrozumiały jak zawsze.

Greki pociągnął ze szklanki i lekko machnął ręką.

— To wymóg przyjaźni — powiedział, ale po chwili wsparł dłoń na biurku i dodał: — Dotychczas nie odpowiedziałeś mi jednak na moje pytanie. O co ci chodzi z Papadropolisem?

— Potrzebuję informacji na temat jego spraw rodzinnych.

— Nie interesów? Dzięki Zeusowi, bo już się wystraszyłem. Ten łajdak ma dwieście statków, które dają raczej skromne zyski z transportu zboża, maszyn i nafty, ale prawdziwą fortunę zbil na przemyśle broni i narkotyków. Każdy, kto za dużo węszy wokół tej dochodowej kontrabandy, wkrótce karmi ryby w Morzu Egejskim.

— Może równie troskliwie dba o swoje życie rodzinne?

— Niewątpliwie. Grek może zabić w obronie honoru swojej rodziny, choćby naprawdę wiele o nią nie dbał. Jednak interesy to sprawa życiowa, i dlatego ich sekrety są ściśle strzeżone, a o tajemnicach rodzinnych i tak z góry wiadomo, że prędzej czy później są przedmiotem plotek.

— Zbierz mi więc trochę plotek — powiedział Dzikus.

— Na jaki temat?

— O Papadropolisie i jego żonie.

— Słyszałem już to i owo.

— To dowiedz się czegoś więcej — rzekł Dzikus. — Gdzie ona przebywa i jak jest traktowana. Chciałbym to porównać z tym, co mi powiedziano.

— Mogę wiedzieć, dlaczego?

— Niewiedza będzie twoją ochroną. — Dzikus potrząsnął głową.

— I twoją też. Jeżeli nie będę wiedział, co zamierzasz, nie będę mógł tego ujawnić, gdyby ktoś mnie przepytował używając mocnych argumentów.

— Ale to się nie zdarzy — powiedział Dzikus — jeśli będziesz ostrożny.

— Zawsze jestem ostrożny. Tak jak ty, korzystam z pośredników, a nawet z posłańców pomiędzy nimi. Bezpośrednio rozmawiam tylko z klientami i paroma pracownikami, z którymi mam umowy. Ale ty wyglądasz na zmartwionego, mój przyjacielu.

— Pół roku temu zdarzyło się coś, dzięki czemu jestem dwa razy bardziej ostrożny...

Na samo wspomnienie Dzikus poczuł, jak go ściska w dołku.

— Bardzo słusznie, niemniej jednak chciałbym zwrócić uwagę na lakoniczność twojego wyznania.

Dzikus zwalczył pokusę, aby mówić dalej.

— To sprawa osobista. Nieważne.

— Nie jestem przekonany co do tak zwanej nieważności, ale szanuję twoją tajemnicę.

— Dowiedz się tylko tego, o co proszę. — Dzikus podszedł do drzwi. — O Papadropolisie i jego żonie. Dwa dni — tylko tyle czasu mogę ci dać. Kiedy wrócę, chcę wiedzieć wszystko.

Cyklady to archipelag małych wysp na Morzu Egejskim na południowy wschód od Aten. Jego nazwa, która pochodzi od greckiego słowa *kyklos*, czyli krąg, związana jest z przekonaniem starożytnych, iż tworzące go wyspy otaczały Delos, mityczne miejsce narodzin słonecznego boga Apolla. W rzeczywistości jednak Delos znajduje się nie w centrum, a w pobliżu wschodniego skraju archipelagu. Parę kilometrów dalej na wschód, już na samym brzegu Cykladów, leży Mykonos, jeden z ważniejszych wakacyjnych regionów Grecji, gdzie turyści czczą swego własnego boga słońca.

Dzikus leciał w stronę Mykonos dwusilnikową śmigłową cessną, uważając, by nie zbliżyć się do wyspy prostą drogą. Dlatego najpierw skierował się z Aten prosto na wschód, a dopiero potem skręcił na południe i leciał nad Morzem Egejskim aż do chwili, gdy osiągnął wschodnie wybrzeże celu swej wyprawy. Powiadomił przez radio kontrolera na lotnisku w Mykonos, że nie zamierza tu lądować, leci bowiem tylko dla wprawy i przyjemności, gdyby jednak kontroler był tak uprzejmy i powiadomił go, jakich korytarzy powietrznych należy unikać, z wdzięcznością zastosuje się do jego instrukcji.

Kontroler był uprzejmy.

Na wysokości pięciuset metrów i w takiej samej odległości od brzegu Dzikus włączył automatycznego pilota i wziął się za robienie zdjęć. Jego nikon wyposażony był w teleobiektyw firmy Bausch and Lomb, dający bardzo duże przybliżenie, a po wywołaniu zdjęcia miały być jeszcze wielokrotnie powiększone. Najważniejszą rzeczą, jaką zapamiętał ze swego szkolenia, była zasada, aby wykonać jak najwięcej fotografii, i to nie tylko samego obiektu, ale i jego otoczenia. Niejednokrotnie szczegóły, które chwilowo mogły wydawać się bez znaczenia, odgrywały później kluczową rolę w konstruowaniu planu działania.

Tak, jak najwięcej zdjęć.

Choć często musiał przerywać, aby skorygować działanie automatycznego pilota, zaraz

potem wracał do swej dokumentacji fotograficznej. Pogoda była wspaniała, niebo błękitne, a cessa wydawała się ślizgać po wysłanej jedwabiem szosie. Jego ręce pewnie trzymały kamerę, wygaszając znikome drgania samolotu, warunki do wykonania ostrych zdjęć były więc idealne.

Pierwszym obiektem było samo miasto Mykonos na zachodnim wybrzeżu wyspy, które rozciągało się wokół dwóch małych zatok, częścią zabudowy wkraczając na dzielący je półwysep. Oślepiająco białe domy kształtami przypominały przenikające się sześciany. Wznoszące się tu i tam kopuły, czerwone lub niebieskie, wskazywały kościoły, a całe molo obsiadły wiatraki.

Uwagę Dzikusa przyciągało jednak nie piękno, a rozplanowanie miasteczka. W dawnych czasach Mykonos często bywało celem pirackich napadów. Aby łatwiej móc bronić swych domów, miejscowa ludność rozplanowała ulice miasta na kształt labiryntu. Atakujący piraci nie napotykali trudności przy wejściu do miasta, kiedy jednak już znaleźli się głębiej i wchodzili na zbocza, wkrótce stwierdzali, że w skomplikowanej płataninie zaułków zawodzi ich poczucie kierunku. Mogli dostrzec własne statki w porcie w dole, lecz aby do nich dotrzeć, zmuszeni byli próbować to tej, to innej drogi, na każdej z nich napotykając przygotowane przez mieszkańców zasadzki. Po kilku podobnych porażkach piraci pozostawili wreszcie Mykonos w spokoju, zadowolając się łatwiejszą zdobyczą na innych wyspach.

Tak, to labirynt, myślał Dzikus, i być może będę musiał się nim posłużyć.

Okrążając dalej wyspę i cały czas fotografując, dotarł do dużej zatoki na północy — może to dobre miejsce na przerzut...? Potem starannie obejrzał nieprzyjemnie wyglądający przylądek na wschodzie — atak od tej strony tylko w wyjątkowym wypadku... Wreszcie osiągnął swój główny cel: posiadłość Papadropolisa nad Zatoką Anny na południowo-wschodnim brzegu.

Od chwili spotkania z greckim informatorem dwa dni temu Dzikus był bardzo zajęty, dzięki temu wiele jednak się wtedy dowiedział, co dawało mu uczucie ostrożnego zadowolenia.

W tym czasie spotkał się ze swymi dwoma innymi informatorami w Zurichu i Brukseli, którzy stanowili najbardziej godne zaufania w Europie źródła wiadomości o czarnorynkowym handlu bronią i systemach ochrony stosowanych przez przemytników.

Dzięki pozornie zdawkowym rozmowom oraz hojnym „prezantom” Dzikus stwierdził to, czego się już wcześniej domyślał. Papadropolisa zżerała arogancja. Grecki miliarder był zbyt upojony swą władzą, aby wynająć obrońców o dostatecznie wysokich walorach zawodowych — takich, którzy potrafiliby wydawać polecenia swoim pracodawcom.

Dzikus wywiedział się również, iż Papadropolisa fascynowały wszelkie nowinki techniczne. Folgując swej namiętności do komputerów i gier telewizyjnych, magnat okrętowy wynajął eksperta od systemów zabezpieczających, aby zbudował sieć przeszkód anty-włamaniowych wokół jego różnych europejskich posiadłości.

Dzikusa interesowała wyłącznie posiadłość na Mykonos. Z chwilą gdy poinformowano go, kto projektował jej zabezpieczenia, wiedział — tak jak historyk sztuki wie, z jakim stylem architektonicznym ma do czynienia — jakie trudności może napotkać.

Jego stary zaufany grecki informator potwierdził wszystko to, co mówiła Joyce Stone. Siostra gwiazdy filmowej rzeczywiście była więziona w luksusowej letniej siedzibie swego męża miliardera na Mykonos.

Lato jednak minęło i nastał wrzesień. Początek sezonu turystycznego w Atenach oznaczał jego koniec na Mykonos z powodu spadku temperatury. Dodatkową wymyślną zniewagą ze strony Papadropolisa było zmuszenie żony do pozostania na wyspie przez jesień, a może nawet i przez zimę.

Dzikus odłożył aparat fotograficzny, wyłączył automatycznego pilota i ujął stery cessa w ręce. Od sześciu miesięcy, to znaczy od czasu tragicznych wydarzeń, z których niemal się zwierzył swemu greckiemu informatorowi, przebywał w odosobnieniu, starając się wrócić do zdrowia. Jego ramiona, nogi, głowa i plecy wciąż jeszcze bolały od odniesionych



wówczas obrażeń i prześladowały go koszmarne wspomnienia, usilnie starał się jednak uświadomić sobie, że przeszłości nie sposób zmienić. Liczyła się tylko terażniejszość — i praca.

Musiał wrócić do swojej pracy, aby sprawdzić się sam przed sobą. Zmienił kurs, kierując się na północ od Mykonos. Lecąc nad bajecznym, ciemnym jak czerwone wino Morzem Egejskim, poklepywał swoją kamerę. Dobrze było znowu wykonywać zadanie.

Dzikus stanął w wodzie i pobrnął w kierunku brzegu. Jego czarny kombinezon nurkowy zlewał się z ciemnością nocy. Przycupnął za skałami i przyjrzał wznoszącemu się nad nim mrocznemu urwisku, po czym obrócił się w stronę morza. Pilot motorówki, angielski najemnik, którego Dzikus często zatrudniał, miał nakazane oddalić się jak najszybciej z tego miejsca, gdy tylko jego pasażer znajdzie się w wodzie w odległości pół kilometra od brzegu. Motorówka nie używała żadnych świateł, noc była ciemna, bezksiężycowa, a nadciągające burzowe chmury przesłaniały nawet gwiazdy, wartownicy nie mogli więc zobaczyć łodzi. Nie mogli też jej usłyszeć z powodu łomotu fal, rozbijających się o skały. Dzikus zresztą na wszelki wypadek obudował silnik motorówki dźwiękoszczelną osłoną izolacyjną.

Upewniwszy się, że dotarł na miejsce niepostrzeżenie — o ile strażnicy nie mieli noktowizorów — pociągnął za mocny nylonowy sznur owinięty wokół pasa. Poczul opór, szarpnął więc mocniej i wkrótce wyciągnął na brzeg małą gumową tratwę. Kryjąc się za skałami przed pianą przyboju, rozpiął wodoszczelny pojemnik tratwy i wyjął z niego pękaty plecak.

Kiedy płynął z tratwą ku brzegowi, kombinezon nie pozwalał lodowatej wodzie wysssać ciepła z jego ciała, teraz jednak musiał go z siebie zdjąć, ogarnęły go więc dreszcze. Stojąc nagi, pospiesznie wygrzebywał z plecaka i nakładał na siebie czarne wełniane odzienie. Wybrał wełnę, ponieważ jej włókna mają wspaniałe własności izolacyjne, nawet gdy są wilgotne. Jego skarpetki i czapka były zrobione również z czarnej wełny. Naciągnął mocne, sięgające kostek buty na protektorach i dokładnie je zasznurował. Kiedy poczul znów ciepło, nałożył sobie na twarz warstwę czarnej maskującej maści, a dłonie osłonił czarnymi wełnianymi rękawiczkami, wystarczająco cienkimi, by palce nie utraciły swobody ruchów.

W plecaku pozostały rozmaite narzędzia, które mogły mu się przydać, każde z nich zawinięte w szmatkę, aby metal nie dzwonił o metal. Dzikus zarzucił plecak, umocnił rzemienie i dociągnął pas. Plecak był ciężki, ale nie tak jak ekwipunek, który nosił służąc w SEAL, jego mocne plecy przyjęły więc bez trudu to brzemię. Schował kombinezon, rurkę do oddychania, maskę i płetwy do pojemnika, zamknął go na zamek błyskawiczny i zabezpieczył tratwę, przywiązując ją do skały. Nie wiedział, czy będzie zmuszony powrócić w to miejsce, w razie potrzeby jednak wolał mieć tratwę tutaj. Strażnicy Papadropolisa nie zauważą jej przed świtem, a później ich odkrycie, jeśli do tego czasu nie wróci, nie będzie miało żadnego znaczenia.

Podszedł do urwiska. Wiatr przybrał na sile, burzowe chmury już całkiem pokryły niebo. Powietrze pachniało bliskim deszczem. To dobrze, pomyślał Dzikus. Właśnie dlatego wybrał tę noc, aby przedostać się do posiadłości Papadropolisa. Wszystkie prognozy pogody były zgodne — około pomocy powinien spaść pierwszy jesienny deszcz.

Musiał jednak wydostać się na szczyt urwiska, zanim deszcz utrudni wspinaczkę. Wyciągnął rękę, wymacał chwyt, czubek jednego z butów zaklinował we wnęce i ruszył w górę. Chociaż wysokie na siedemdziesiąt metrów, urwisko było pełne szczelin i występów, Dzikus więc, będąc doświadczonym wspinaczem, nie przewidywał trudności w jego przejściu po ciemku.

Wiatr nasilił się. Bryzgi fal kłuły go w twarz i czyniły skałę śliską. Dzikus mocniej zaciskał urękawiczone palce na chwytach, głębiej klinował buty i wspinał się z większą ostrożnością. W połowie drogi napotkał szczelinę. Przypomnił sobie z przestudiowanych wcześniej fotografii, że zaprowadzi go ona na samą górę, wcisnął się więc do niej, butami wparł się w obie ściany, po omacku wyszukał oparcie dla rąk i zaczął wspinać się dalej.

Jego wewnętrzny zegar mówił mu, że wspina się już prawie dziesięć minut. Szczelina

chroniła od wiatru, ale bryzgi fal zastąpiła niespodziewanie kaskada wody deszczowej — tak gwałtowna, że całym wysiłkiem woli musiał powstrzymać się od przyspieszania wspinaczki. Macając dalej wyczuł pustkę i odetchnął głęboko, gdyż oznaczało to, że osiągnął wierzchołek urwiska.

Deszcz padał coraz gęstszy, przemaczając go do suchej nitki, była to jednak korzystna okoliczność, gdyż ulewa dawała mu dodatkową osłonę. Wypełził ze szczeliny, przerzucił ciało przez krawędź urwiska i zapadł pomiędzy krzakami. Błoto oblepiało mu kolana, a w żołądku czuł nerwowy niepokój, jak zawsze, gdy rozpoczynał nowe zadanie. Poza tym trawił go lęk, że pomimo starannych przygotowań może zawieść, tak jak zdarzyło się to pół roku temu.

Była tylko jedna metoda sprawdzenia, czy wrócił już do formy. Wciągnął powietrze, koncentrując się na przeszkodach, jakie miał do pokonania, i stłumił rozpraszające go emocje. Następnie wpatrzył się w burzliwą noc i, nie widząc żadnych straży, wyczołgał się spomiędzy krzaków.

Wykonane przez niego zdjęcia jako pierwszą przeszkodę ujawniły płot z drucianej siatki, otaczający całą posiadłość. Nie był w stanie określić wysokości płotu na podstawie fotografii, ale standard wynosił około dwóch metrów. Na dużych powiększeniach zauważył,

że płot był zwieńczony kilkoma pasmami drutu kolczastego, przymocowanymi do słupów, które rozchylały się na zewnątrz i do wewnątrz na kształt litery V.

Deszczowa noc była tak ciemna, że Dzikus w ogóle nie widział płotu, niemniej jednak z zapamiętanych zdjęć i porównania teoretycznej wysokości ogrodzenia z jego odległością od krzaków zdołał wykalkulować, że od tej bariery dzieliło go jakieś osiemnaście metrów. Fotografie nie ujawniły żadnych kamer telewizyjnych zamontowanych na płocie, nie obawiał się więc, że zostanie dostrzeżony przez jakiś zdalnie kierowany noktowizor, mimo to jednak z przyzwyczajenia czuł się całą drogę. Pod sobą czuł papkowatą, nasiąkniętą wodą ziemię.

Przy płocie zatrzymał się, aby zdjąć plecak, z którego wyjął latarkę i okulary — jedno i drugie na podczerwień. Światło tej latarki było niewidoczne dla nie uzbrojonego oka, ale przez swoje okulary Dzikus widział zielonkawą poświatę. Skierował teraz promień na metalowy słup i przesunął go w górę, w stronę wystających ramion, na których rozpięty był drut kolczasty.

Szukał czujników drgań, ale nie znalazł żadnego. Tak jak się spodziewał, ten płot był tylko linią demarkacyjną, barierą, nie wykrywaczem intruzów. Mógł powstrzymać zabłąkanych wędrowców przed przypadkowym wtargnięciem, a jego zbrojony drutem kolczastym szczyt odstraszał mniej doświadczonych natrętów. Jeżeli natknęło się na ten płot jakieś zwierzę — na przykład bezdomny pies — żaden alarm nie odwracał niepotrzebnie uwagi strażników.

Dzikus schował latarkę i okulary do plecaka, zarzucił ładunek na plecy i umocował go. W deszczu przechodzącym w ulewę odsunął się dalej od płotu, przyjął postawę startową i rzucił się naprzód.

Siła rozpędu wyniosła go do połowy wysokości płotu. Sięgnął do wystającego metalowego ramienia na szczycie, przerzucił ciało nad wiązką drutów kolczastych, uchwycił drugie ramię litery V, przewinał się nad następną wiązką drutów i wylądował miękko na zgiętych kolanach po przeciwnej stronie ogrodzenia. Jego wełniana odzież i rękawice były poszarpane w wielu miejscach, a na rękach i nogach miał mnóstwo piekących zadrapań, obrażenia te były jednak niegroźne. Drut kolczasty mógł odstraszyć tylko nowicjusza.

Przycupnięty przy ziemi otarł oczy zalewane deszczem i wpatrzył się w mroczną przestrzeń przed sobą. Jego nauczyciel, Anglik, który wykształcił go na samodzielnego obrońcę, lubił mawiać, że życie to bieg z przeszkodami i łowy padlinożercy.

No cóż, teraz miał się rozpocząć bieg z przeszkodami.

Wyspa Mykonos jest górzysta, o płytkiej glebie, spod której przebijają liczne skały. Papadropolis ulokował swoją posiadłość na jednym z niewielu względnie płaskich wzniesień. Ze zdjęć Dzikusa wynikało, że właśnie to zbocze, które sforsował, prowadziło do domu milionera.

Z domu podstawa stoku nie była widoczna i zapewne dlatego Papadropolis zdecydował, że nie trzeba otaczać posiadłości bardziej estetycznym od drucianej siatki kamiennym murem. Ostatecznie, jeśli sam właściciel nie widział płotu, wyglądającego jak ogrodzenie wokół fabryki, nie mógł go on razić, a metal zawsze budził większy respekt w potencjalnym intruzie niż kamień i zaprawa.

Dzikus starał się wczuć w myśli swego przeciwnika. Ponieważ Papadropolis nie widział tego skalistego stoku i najprawdopodobniej unikał go ze względu na ostry spadek, większość czujników anty-włamaniowych powinna się znajdować na tym właśnie terenie. Zdjęcia posiadłości ujawniły drugi płot, niższy od pierwszego — ale nie na tyle, by dało się go przeskoczyć. Znajdował się w połowie zbocza.

Dzikusa martwiło jednak to, czego nie było widać na fotografiach, a mianowicie czujniki, ukryte prawdopodobnie w gruncie między pierwszym a drugim płotem. Zdjął plecak i wyjął z niego urządzenie wielkości typowego walkmana — był to bateryjny woltomierz, który rejestrował impulsy elektryczne, wysyłane przez podziemne czujniki nacisku. Dzikus nie posługiwał się urządzeniem z oświetloną skalą, ponieważ nie mógł ryzykować zbyt wczesnego ujawnienia, wybrał więc model wyposażony w słuchawki.

Błysnęło. W słuchawkach rozległo się zawrozczenie. Dzikus zamarł w bezruchu. Znowu zapadła ciemność i jęk w słuchawkach natychmiast ustał. Woltomierz zareagował na elektryczność atmosferyczną, której źródłem była błyskawica, a nie na ukryty czujnik — w przeciwnym razie dźwięk by nie ustał po zgaśnięciu pioruna.

Błysk światła, choć zaskakujący, ułatwił Dzikusowi zadanie, ukazał bowiem zarysy płotu w odległości zaledwie paru metrów. Było to również ogrodzenie siatkowe, jednakże bez drutu kolczastego na szczycie i Dzikus rozumiał, dlaczego. Każdy, kto pokonał bardziej imponujący pierwszy płot, mógł łatwo ulec pokusie wdrapania się na tę pozornie mniej obronną barierę.

Dzikus zbliżał się do niej ostrożnie. Kolejna błyskawica oświetliła małe metalowe skrzynekczki, przyczepione do słupów podtrzymujących siatkę. Były to czujniki drgań. Jeżeli ktoś uchwyciłby siatkę i zaczął się po niej wspinać, system alarmowy natychmiast ostrzegłby strażników w budynku, a sterujący systemem komputer wskazałby miejsce włamania.

Teoretycznie czujniki drgań stanowiły przeszkodę nie do przebycia, Dzikus wiedział jednak, że są one wyregulowane tak, by dopiero pewne określone natężenie bodźców wywołało reakcję alarmową. W przeciwnym razie nawet wiatr szarpiący ogrodzeniem czy też przysiadający na nim ptak stawiałyby bez potrzeby straż w stan pogotowia. Po kilku takich fałszywych alarmach strażnicy mogliby stracić zaufanie do działania czujników i przestać sprawdzać przyczyny ich zadziałania. Wynikało stąd, że jedyną metodą przedostania się przez płot jest pójście na pozornie największe ryzyko, czyli przecięcie drutów... ale nie w byle jaki sposób.

Dzikus odpiął plecak i wyjął z niego nożyce do drutu. Przyklękawszy wybrał drut na poziomie ramion i przeciął go, potem spokojnie odczekał czterdzieści sekund i przeciął drugie ogniwo, a po następnych czterdziestu sekundach trzecie. Każde kolejne cięcie nie powodowało więcej wstrząsu niż gwałtowne uderzenie deszczu, całkiem naturalne tej nocy. Ich staranne rozłożenie w czasie sprawiało, że bodźce nie kumulowały się dostatecznie, aby pobudzić czujniki.

W dwanaście minut później Dzikus odłączył od płotu kwadrat siatki o półmetrowym boku. Przerzucił plecak przez otwór, a potem sam przepelzł powoli przez niego, pilnując się, by nie dotknąć brzegów.

Schował nożyce i z powrotem założył plecak. Oprócz woltomierza trzymał teraz w rękach miniaturowy bateryjny detektor mikrofal, założył też znowu okulary na podczerwień, jego zdjęcia ujawniły bowiem jeszcze jedno zabezpieczenie. Był to rząd metalowych, niczym nie połączonych słupów w pobliżu szczytu zbocza, który wyglądał jak nie dokończony ogrodzenie, oczekujące na rozciągnięcie drutów. Dzikus jednak wiedział dobrze, co to znaczy.

Założył okulary, bo chciał się przekonać, czy przerwy między słupami wypełniało promieniowanie podczerwone. Gdyby jego podejrzenia okazały się słuszne, to przechodząc między słupami wywołałby alarm. Podkrażał się coraz bliżej szczytu sieczonego deszczem wzgórze, okulary jednak wciąż nie ujawniały obecności podczerwieni, co mogło znaczyć...

W chwili gdy ta myśl przemknęła mu przez głowę, w słuchawkach detektora mikrofal rozległ się pisk.

Zatrzymał się gwałtownie.

Oczywiście, pomyślał, to mikrofałe. Byłby rozczarowany, gdyby Papadropolis użył podczerwieni. Ten typ promieniowania był zbyt wrażliwy na fałszywy alarm, spowodowany deszczem, mikrofałe natomiast były znacznie mniej wrażliwe na pogodę, a co więcej, tworzyły absolutnie niewidoczną barierę.

Słuchawka woltomierza Dzikusa odezwała się znowu przy następnej błyskawicy. Zatrzymał się, na wypadek gdyby reakcja na błysk zbiegła się przypadkowo z sygnałem od wkopanego w ziemię czujnika nacisku, ale gdy dźwięk się urwał, wiedział już, że jedyną przeszkodą jest mikrofałowe ogrodzenie.

Zbliżył się do niego i w blasku kolejnej błyskawicy ujrzał najbliższy słup. Po jego prawej i lewej stronie ciągnęły się podłużne szczeliny, poprzez które były emitowane i odbierane wiązki mikrofal. Słup był zbyt wysoki, aby przeskoczyć zaporę, a gleba za płytka, by się pod nią przekopać.

Pomimo całej swojej przemyślności instalator popełnił jednak błąd, ponieważ system ten działał najlepiej nie wtedy, gdy słupy stały w jednej linii, lecz gdy były rozstawione nierównomiernie po linii łamanej, w ten sposób, że wiązki mikrofal nakładały się na siebie. Gdyby intruz próbował przedostać się na drugą stronę, zawsze musiałby natknąć się na wiązkę mikrofal. Tu jednak słupy stały w linii prostej.

Taką przeszkodę można było pokonać.

Dzikus wyjął z plecaka metalową klamrę i zacisnął ją na słupie ponad nadawczo-odbiorczymi szczelinami, a następnie skreślił z kilku odcinków grubego drutu metalowy, metrowej długości pręt i umieścił go w klamrze, skierowany ku sobie. Potem przerzucił plecak nad słupem, uchwycił pręt i podciągnął się na niego. Przez pełną grozy chwilę nie mógł złapać równowagi – szarpał nim wiatr, a pręt stał się śliski od deszczu – wreszcie jednak rowki w podeszwach butów chwyciły podpórę. Dzikus zdołał ustabilizować swoje ciało, po czym odbił się i skoczył ponad szczytem słupa, omijając barierę z mikrofal.

Łądując, wywinął salto. Jego ramiona, plecy i biodra złagodziły impet uderzenia o miękkie, nasiąknięte wodą grunt, mimo to jednak aż skurczył się z bólu, ożywiającego wspomnienia ran odniesionych pół roku temu. Nie zważając jednak na protestujące mięśnie zgrabnie wyszedł z przewrotu i przypadł do ziemi, obserwując jednocześnie krawędź stoku.

Otaczała ją aureola słabego światła, rozpraszanego w deszczowej mgle. Nigdzie ani śladu straży. W pośpiechu, ale ostrożnie, zdjął klamrę i pręt i schował je do plecaka wraz z niepotrzebnymi już okularami na podczerwień, a potem ruszył przed siebie, trzymając w pogotowiu woltomierz i wykrywacz mikrofal.

U szczytu położył się na rozmięklej ziemi i przyjrzał swemu celowi. Łukowe lampy, przyćmione przez deszcz, oświetlały trawnik. Jego uwagę przyciągnęła znajdująca się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej rozłożysta rezydencja – nagromadzenie sześcianów i kopuł, imitujące domy w mieście Mykonos. Z wyjątkiem łukowych światel na rogach i oświetlonego okna w końcu lewego skrzydła, reszta domu tonęła w mroku.

Fotografie Dzikusa nie były na tyle dokładne, aby mógł stwierdzić, czy nad drzwiami są

zamontowane kamery telewizyjne, wołał jednak założyć, że są, chociaż podczas takiej burzy powinny dawać raczej mętny obraz, zresztą o trzeciej nad ranem strażnik przy monitorach nie był już chyba zbyt czujny.

Gdy Dzikus skoczył ku domowi, w tej samej chwili dostrzegł kamerę nad wybranymi drzwiami po prawej stronie, daleko od światła w oknie w przeciwnym skrzydle. Zmusiło go to do skrętu jeszcze dalej w prawo, do domu podbiegał więc pod kątem, ściskając w rękę pojemnik, który wyjął z plecaka.

Kiedy dopadł z boku do drzwi, uniósł pojemnik i spryskał wodą pod ciśnieniem obiektyw kamery. Obiektyw zaparował, jakby trafiła go struga deszczu. Ściekająca woda powinna popsuć i tak marny obraz, nie zaciemniając go jednak całkiem. Zaniepokoił to czuwającego przy monitorze strażnika, lecz nie do tego stopnia, by podniósł alarm.

Dzikus zabrał się za zamek. Był to dobry zamek ze ślepym rygłem, ale dał mu radę w dwanaście sekund. Nie otworzył od razu drzwi, lecz wyjął z plecaka detektor metalu i przebadał nim ich brzeg. Pisk w słuchawce ujawnił kawałek metalu po prawej stronie, metr dwadzieścia poniżej klamki. Był to jeszcze jeden czujnik antywłamaniowy, ale Dzikus znał zasadę jego działania. Ukryty w drzwiach magnes przytrzymał metalową dźwignię we framudze — w razie otwarcia drzwi dźwignia podnosiła się i zamykała obwód sygnału alarmowego.

Żeby tego uniknąć, Dzikus wyjął z plecaka silny podkowiasty magnes i przycisnął go do framugi, drugą ręką delikatnie popychając drzwi. Jego magnes zastąpił magnes w drzwiach, powstrzymując dźwignię przed zwarciem obwodu. Wciskając się przez powstałą szczelinę, przesunął magnes na drugą stronę framugi i nie odsuwał go, dopóki nie zamknął drzwi, wtedy bowiem dźwignię przytrzymał już znowu ukryty w nich magnes.

Był w środku, ale nadal nie mógł pozwolić sobie na chwilę oddechu.

Joyce Stone opisała mu rozkład domu. Mając w pamięci ten plan, Dzikus posuwał się powoli ciemnym korytarzem. Zajrzał do drzwi po lewej i dostrzegł oświetlony zegar w piecyku. Była to obszerna kuchnia, pełna zapachów oliwy i czosnku, pozostałych po kolacji. Minawszy ladę wkroczył do mrocznej jadalni. Stał tu prostokątny stół — tak długi, że przy każdym jego boku mogło zasiadać kilkunastu gości, wraz z panem domu i jego żoną u szczytów.

Papadropolisa nie było jednak w rezydencji. Jeden z wywiadowców Dzikusa doniósł, że tego dnia rano odleciał swoim prywatnym samolotem na Kretę w otoczeniu świty goryli. Wyjazd satrapy był niespodziewanym uśmiechem losu. Dzięki temu zmniejszyła się liczebność straży w domu, a i pozostali mieli osłabione poczucie obowiązku.

W każdym razie Dzikus liczył na to. Czy słusznie, wkrótce miał się przekonać.

Przy wyjściu zatrzymał się, usłyszał bowiem stłumione głosy. Głosy trzech ludzi z klatki schodowej po lewej. Ich śmiech odbijał się echem od sklepienia. No pewnie, pomyślał Dzikus, cieszą się, bo jest im sucho i ciepło.

Brnąc dalej wśród cieni wszedł do mrocznego salonu. W połowie drogi usłyszał skrzypnięcie krzesła, skrył się więc za kanapą. Dźwięk dobiegł zza przeciwnych drzwi. Powstrzymując oddech przesunął się bliżej i dostrzegł rozproszoną przez deszcz poświatę zewnętrznej lampy, sącząca się przez dwa zakratowane okna, które flankowały frontowe drzwi domu. Inna poświata w przedsionku — czerwonawy blask palącego się papierosa — zdradziła obecność strażnika we wnęce po drugiej stronie drzwi. Dzikus uniósł pistolet. Była to broń nie na kule, lecz na pociski ze środkiem usypiającym, a jej muszka i szczerbinka były pomalowane podczerwoną farbą, widoczną przez jego okulary jako świecące punkty, co umożliwiało celowanie po ciemku.

Strzał był niemal bezgłówny. Dzikus natychmiast ruszył przez przedsionek tak szybko, jak było to możliwe bez czynienia hałasu. Schwycił osuwającego się z krzesła strażnika oraz jego uzi, zanim zdążyło upaść z trzaskiem na marmurową podłogę. Usadził strażnika za krzesłem i podkułił mu nogi, aby nie wystawały z wnętrza.

Przewiesiwszy sobie uzi przez ramię, przyjrzał się krętej klatce schodowej. Dochodzące z

góry światło wskazywało hali, o którym mówiła Joyce Stone. Omiatając wzrokiem to przedsionek, to korytarz w górze, ruszył powoli po schodach.

U góry rozplaszczyl się na lewej ścianie i ostrożnie zerknął przez łukowato sklepione przejście w prawo, w głąb oświetlonego korytarza. Nie widział go do końca, ale na razie nie było ani śladu straży. Ponieważ jednak sypialnia Rachel Stone znajdowała się gdzieś tutaj, przyjął jako pewnik, że przed jej drzwiami będzie wartownik.

Zaryzykował i wychylił się jeszcze dalej, by mieć lepszy widok na korytarz, lecz wciąż nie dostrzegał strażników. Wreszcie wysunął całą głowę — strażnik był. Siedział na krześle w końcu korytarza i czytał jakiś magazyn.

Dzikus stopniowo wycofał się z pola widzenia, starając się nie zwrócić uwagi strażnika gwałtownym ruchem.

Czy drugi koniec korytarza jest również strzeżony?

Cicho przeszedł na prawą stronę i ostrożnie zajrzał w lewe odgałęzienie, ale natychmiast się cofnął, bo zaalarmował go szczęk poprawianej broni.

Po lewej stronie też był strażnik. Dzikus odruchowo nacisnął spust i strażnik zatoczył się do tyłu, próbując wyrwać wkłuty w szyję pocisk, ale jego oczy już zaszyły mgłą i kolana ugięły się pod nim.

Dzikus pomodlił się w duchu, aby pistolet strażnika nie wypalił przy uderzeniu o podłogę, i jednocześnie z obrotu strzelił w prawo. Siedzący tam strażnik widział, jak pada jego towarzysz. Rzucił swoją lekturę, chwycił pistolet i uniósł się z krzesła, lecz pistolet Dzikusa odezwał się jeszcze raz. Pocisk trafił strażnika w lewe ramię. Starał się jeszcze wycelować broń, ale tylko wyrzucił oczy i upadł.

Dzikus liczył na to, że gruby dywan stłumił dostatecznie łoskot padających ciał. Z łomoczącym sercem rzucił się w prawo, ku drzwiom, za którymi, jak mówiła Joyce Stone, znajdował się pokój jej siostry. Nacisnął klamkę, ale drzwi były zamknięte. Przypuszczał, że można je otworzyć tylko z zewnątrz. Szybko uporał się z zamkiem, sprawdził za pomocą wykrywacza metalu, czy nie ma tu systemu alarmowego, pospieszenie wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Sypialnia była urządzona z przepychem, ale Dzikus niemal nie zauważał jej kosztownego wyposażenia, wodząc dookoła wzrokiem w poszukiwaniu Rachel Stone. Palila się nocna lampka, a w łóżku jeszcze niedawno ktoś spał, o czym świadczyła odrzucona na bok narzuta, pokój jednak był pusty.

Dzikus zajrzał pod łóżko, potem za zaciągnięte zasłony, zauważył kraty w oknach, wreszcie poszukał za sofą i krzesłem. Gdzie ona była, u diabła?

Otworzył drzwi, jak się okazało do łazienki, i włączył światło. Kabina z natryskiem była zamknięta, ale stwierdził, że i tam nikogo nie ma.

Otworzył następne drzwi. To była garderoba. Suknie... Rachel Stone wyskoczyła spomiędzy nich, w jej rękę błysnęły nożyczki. Dzikus ledwie zdołał chwycić ją za nadgarstek, zanim zdążyła wbić mu je w lewe oko.

— Ty skurwielu!

Wykrzywiona gniewem twarz przybrała naraz wyraz zaskoczenia. Rachel dostrzegła umazaną czarną farbą twarz Dzikusa i rzuciła się w tył.

— Kto...?

Dzikus zamknął jej usta dłonią i potrząsnął głową. Wyrwał Rachel z garści nożyczki i wargami uformował bezgłośnie słowa: „**Nic nie mów**”, po czym wyjął z kieszeni kartkę, zamkniętą w wodoszczelnej kopercie z przezroczystego plastiku.

Rachel przeczytała odręcznie napisane słowa:

***Twoja siostra przysłała mnie, abym cię stąd wy dostał.***

Obrócił kartkę, ukazując dalszy ciąg tekstu:

***W tym pokoju mogą być ukryte mikrofony. Nie możemy rozmawiać.***

Przyjrzała się kartce, a potem jemu. Jej podejrzliwość zmalala na tyle, że kiwnęła głową.

Dzikus wyjął drugą kartkę:

**Ubieraj się. Uciekamy, i to już.**

Rachel Stone ani drgnęła, Dzikus obrócił więc kartkę:

**Twoja siostra kazała mi to pokazać na dowód, że to ona mnie wysłała.**

W ręku trzymał zaręczynowy pierścień z ogromnym diamentem.

Tym razem Rachel Stone kiwnęła głową z pełnym przekonaniem, ale kiedy sięgnęła do garderoby po sukienkę, Dzikus powstrzymał ją. Wskazał jej dzinsy, sweter i buty do biegania.

Zrozumiała i bez śladu zakłopotania zrzuciła z siebie nocną koszulę. Dzikus starał się nie dostrzegać jej nagości, całą uwagę skupiając na drzwiach, przez które w każdej chwili mogli wpaść strażnicy.

Szybciej, błagał w myślach, a puls walił mu coraz mocniej.

Kiedy znów spojrzął w jej kierunku, prawie nie zwrócił uwagi na gładkie, zmysłowe uda i jedwabne majteczki bikini, spod których przezierały włosy łonowe. Jego uwaga skupiła się na dwóch innych, ważniejszych aspektach jej wyglądu.

Po pierwsze, Rachel Stone, chociaż o dziesięć lat młodsza od siostry, wyglądała jak jej bliźniaczka. Tak samo wysoka, szczupła i silna, miała również takie same głęboko błękitne oczy i piękny owal twarzy, którą okalały wspaniałe, sięgające ramion włosy. Joyce Stone wprawdzie była blondynką, a Rachel miała włosy kasztanowate, ale to nie stanowiło istotnej różnicy. Podobieństwo między starszą i młodszą siostrą i tak pozostawało niesamowite.

Po drugie, w odróżnieniu od Joyce Stone, której twarz była gładka i opalona, twarz Rachel była cała spuchnięta i posiniaczona. Poza ciągłym gwałceniem Papadropolis bił swoją żonę, i to tak, aby nie dało się ukryć śladów pięści. Chciał ją stłamsić i zapanować nad nią.

Ale to już się skończyło, pomyślał Dzikus. Po raz pierwszy czuł się nie tylko zawodowo, ale i moralnie odpowiedzialny za wykonanie swego zadania. Rachel Stone mogła być, i najprawdopodobniej była, zepsuta przez luksus, ale nikomu nie dawało to prawa do tak brutalnego jej traktowania.

No dobra, Papadropolis, myślał Dzikus, zacząłem tę robotę dla siebie, żeby się sprawdzić, ale na koniec dobioreę się do ciebie, ty skurwysynu. Wściekłość rozsadzała mu czaszkę.

Kiedy odwrócił się od drzwi, zobaczył, że Rachel Stone była już ubrana. Przynurzył się do jej ucha i szepnął niemal niesłyszalnie: **„Weź tylko absolutnie niezbędne rzeczy”**.

Kiwnęła głową i przysunęła się blisko do niego, szepcząc nie głośniejszym od oddechu: **„Dam ci wszystko, czego chcesz, tylko mnie stąd zabierz”**.

Dzikus skierował się do drzwi.

Rachel Stone z gracją tancerki zbiegła bezgłośnie po schodach • do mrocznego przedsiionka. Dzikus ujął ją za ramię, zamierzając przejść wraz z nią przez salon do korytarza obok kuchni i opuścić dom tymi samymi drzwiami, przez które wszedł, ale ona wywinęła mu się i pobięła szybko w stronę drzwi frontowych. Dzikus rzucił się za nią, aby ją powstrzymać, zanim otworzy drzwi i włączy alarm, lecz Rachel sięgnęła najpierw do wyłącznika alarmu nad drzwiami. Odetchnął z ulgą. Mimo przemożnego pragnienia ucieczki zachowała jednak wystarczająco dużo zdrowego rozsądku.

Otworzyła drzwi. Deszcz zaczął aż pod balkon. Dzikus wyszedł za nią na białe szerokie stopnie i ostrożnie zamknął za sobą drzwi, czując się nieswojo w świetle przymglonych świateł lamp hakowych. Kiedy obrócił się, aby powiedzieć jej, co ma robić dalej, Rachel już przy nim nie było. Zbiegła po stopniach między kolumnami prosto w deszcz.

Rzucił się za nią w pościg. Chryste, czyż ona nie rozumie, że tam mogą być strażnicy? Chyba nie będzie wlaźić na płot — zaraz przecież napatoczy się na urządzenia alarmowe!

Deszcz padał gęstszy i chłodniejszy niż wtedy, gdy wkładał się do domu. Wstrząsały nim

dreszcze. Uświadomił sobie nagle, że oprócz kropel wody po jego twarzy spływają strugi potu — ze strachu.

Dopadł Rachel i chciał ją przytrzymać, zamierzając odciągnąć pod osłonę dużej rzeźby po lewej, ale zmienił zdanie. Nie biegła na oślep, lecz trzymała się betonowego podjazdu, który łukiem otaczał front domostwa. Skręcając wciąż w prawo osiągnęła krzyżującą się z podjazdem krótką alejkę. U jej końca zmętniała od deszczu lampa łukowa oświetlała długi wąski parterowy budynek, do którego wiodło sześcioro odsuwanych ku górze drzwi.

A więc to był jej cel — garaż. No cóż, mogli się za nim schować i wtedy wytłumaczyłby, jak zamierza ją przeprowadzić między czujnikami. Przyspieszył, zrównał się z Rachel i powiedział cicho, ale z naciskiem:

— Biegnij za mną, za garaż.

Rachel jednak nie posłuchała go i rzuciła się ku drzwiom w bocznej, skierowanej ku domowi ścianie garażu. Nacisnęła klamkę, ale ta ani drgnęła.

— Jezu, zamknięte na klucz — załkała.

— Musimy schować się z tyłu, tu nas widać. Rachel wciąż szarpała się z klamką.

— Chodź — powiedział Dzikus.

Obrócił się, słysząc krzyk od strony domu. Przez frontowe drzwi wyskoczył strażnik z pistoletem i starał się coś dostrzec w zacinającym deszczu. O kurwa, pomyślał Dzikus.

Z domu wypadł drugi strażnik. Dzikus pocieszał się nadzieją, że deszcz był zbyt gęsty, aby mogli zobaczyć garaż.

Potem wybiegł jeszcze trzeci człowiek i Dzikus pojął, że wkrótce wszyscy strażnicy zaczną przeczesywać teren.

— Nie ma wyboru — powiedział. — Miałś głupi pomysł, ale w tej chwili nie jestem w stanie wymyślić niczego lepszego. Odsuń się.

Gdy mocował się z zamkiem, deszcz przemoczył go zupełnie. Zaraz po otwarciu drzwi Rachel przepchnęła się obok niego i sięgnęła do wyłącznika. Zdołał zatrzaskać drzwi, zanim nagła iluminacja zwróciła uwagę strażników.

Przed nimi ciągnął się długi szereg luksusowych samochodów.

— To byłoby zbyt piękne, gdybyś wzięła ze sobą kluczyki, co? Mogę zrobić zwarcie w jednym z tych wozów, ale zabierze mi to z minutę, a dzięki tobie nie mamy już tyle czasu.

Rachel skoczyła w stronę czterodrzwiowego mercedesa.

— Kluczyki są w środku.

— Co...?

— Żaden złodziej nie ośmieliłby się okraść mojego męża.

— To dlaczego drzwi były zamknięte?

— Czy to nie oczywiste?

— Nie.

— Żebym ja nie wzięła samochodu, gdyby jakoś udało mi się wydostać z domu.

W czasie tej rozmowy Dzikus biegł za nią do mercedesa, ale zanim zdążył ją powstrzymać, już siedziała za kierownicą i zatrzaskała za sobą drzwiczki. Kluczyk był w samochodzie, włączyła więc starter. Doskonale wyregulowany silnik zawarczał i zaczął pluć gryzącymi spalinami do garażu.

Rachel natychmiast wcisnęła przycisk zdalnego sterowania na tablicy rozdzielczej. Załomotało i drzwi garażu gładko uniosły się do góry przed mercedesem.

Dzikus zaledwie zdołał otworzyć drzwiczki z drugiej strony i wgramolić się do środka, gdy Rachel kopnęła pedał gazu. Głowa odskoczyła mu do tyłu. Zdażył zatrzaskać drzwiczki w ostatniej chwili, zanim roztrzaskałyby się o framugę garażu.

— Omal mnie nie zostawiłaś.

— Wiedziałam, że zdążysz.

— Ale co by było, gdybym nie zdążył?

Rachel obróciła kierownicę w lewo i ruszyła poślizgiem przez alejkę biegnącą od garażu. Łuna lampy łukowej padła na jej posiniaczoną i opuchniętą twarz. Jeszcze mocniej nacisnęła na pedał gazu i znów skręciła kierownicę, tym razem w prawo, kierując



samochód w stronę podjazdu, który prowadził do domu. Zanim Dzikus zdążył nałożyć pasy, rzuciło go w tę stronę.

— Co by się stało, gdybyś nie dopadł samochodu, zanim ruszyłam? — spytała Rachel. — Coś mi się wydaje, że umiałbyś dać sobie radę.

— A mnie się coś wydaje, że jesteś dziwką.

— Mój mąż często mnie tak nazywał.

— Przepraszam.

— Nie rozczulaj się nade mną. Potrzebny mi wybawca z ikłą.

— Właśnie teraz potrzebne ci są przede wszystkim — Dzikus sięgnął do deski rozdzielczej i nacisnął przełącznik — włączone wycieraczki.

— Mówiłam, że dasz sobie radę.

Dzikus rozejrzał się dookoła i zobaczył strażników, którzy rozpaczliwie starali się powstrzymać samochód. Wszyscy mieli broń, lecz nikt nie próbował jej użyć.

Dlaczego? To wszystko nie miało sensu.

A jednak miało. Z radością rozwaliliby mi łeb, pomyślał Dzikus, i dostaliby za to nagrodę, ale nie śmieli strzelać ze strachu, że trafią żonę Papadropolisa. W takim wypadku nie byłiby nawet rozstrzelani, Papadropolis nakarmiłby nimi rekiny.

Kiedy spojrział w przód, uderzył piorun i w tej oślepiającej iluminacji dojrzał na drodze człowieka. Trzymał on strzelbę i tak jak inni strażnicy nie unosił jej do strzału, w odróżnieniu od tamtych miał jednak również wielką latarkę, którą ustawił tak, by silny snop światła padał na siedzenie kierowcy — liczył pewnie na to, że oślepi Rachel i zmusi ją do zjechania z drogi.

Rachel szybko uniosła rękę, by osłonić oczy, i skierowała się wprost na człowieka z latarką, ale ten zręcznie uskoczył z drogi. Musi mieć za sobą niezły trening gimnastyczny, pomyślał Dzikus. Wylądowawszy bezpiecznie po prawej stronie, strażnik nie przestawał oświetlać ich latarką. To również wydawało się bez sensu. Nie mógł się przecież spodziewać, że uda mu się oślepić Rachel z boku. Po chwili jednak wszystko stało się logiczne. Strażnik kierował światło latarki nie na Rachel, lecz na Dzikusa.

Chce mi się dobrze przyjrzeć, aby opisać mój wygląd Papa-dropolisowi, bo może ktoś będzie w stanie mnie zidentyfikować, uznał Dzikus.

Szybko zakrył twarz rękoma i jednocześnie schylił się, na wypadek gdyby tamten zaryzykował strzał do niego.

W chwili kiedy samochód przemknął obok strażnika, Dzikus spojrział do tyłu. Pozostali strażnicy biegli drogą wyjazdową. W domu świeciły się wszystkie światła, dzięki czemu mimo nocy i deszczu ich sylwetki były doskonale widoczne. Człowiek z latarką stał obrócony plecami do domu, patrząc spode łba na mercedesa. Światło reflektorów uniemożliwiało dotychczas Dzikusowi dojrzenie twarzy przeciwnika, teraz jednak było wyłączone. Kolejna błyskawica wydobyła z mroku rysy strażnika.

Obraz nie był doskonały — deszcz ściekał po tylnej szybie, wzrok Dzikusa jeszcze nie odzyskał pełnej sprawności po oślepieniu latarką, a mercedes szybko oddalał się — ale Dzikus zobaczył dosyć. Strażnik był Azjata. Czyżby jego zręczny unik przed samochodem był efektem nie tylko zwykłego gimnastycznego treningu, jak w pierwszej chwili przypuszczał, lecz także mistrzowskiego opanowania sztuki walki?

Cztery sekundy — tylko tyle miał Dzikus na przyjrzenie się temu człowiekowi. Błyskawica zgasła i wszystko okryła noc, ale te cztery sekundy wystarczyły. Był to mężczyzna po trzydziestce, wzrostu metr siedemdziesiąt pięć, o schludnym wyglądzie. Ubrany był w ciemne spodnie, dopasowaną wiatrówkę i sweter z golfem. Jego brunatna kwadratowa twarz, z silnie zaznaczoną szczęką i wystającymi kośćmi policzkowymi, była surowa, lecz przystojna.

Niewątpliwie Azjata, ale Dzikus mógł powiedzieć więcej — ten człowiek był Japończykiem. Jego narodowość była dla Dzikusa równie oczywista jak świadomość wstrząsu, jakiego w czasie tych czterech sekund doznał, stwierdzając niesamowite podobieństwo tego człowieka do...

Nie chciał nawet o tym myśleć.

Akira?

Nie, to niemożliwe.

Kiedy jednak mercedes oddalał się coraz bardziej od domu, przeanalizował raz jeszcze to krótkie spotkanie ze strażnikiem i stwierdził, że najważniejszą cechą, jaka rzuciła mu się w oczy, była nie muskularna sylwetka czy też surowe, ostre rysy, lecz melancholia, jaka wycierała z oczu Japończyka.

Otóż Akira był najsmutniejszym człowiekiem, jakiego Dzikus kiedykolwiek spotkał.

Ale to nieprawdopodobne.

Głęboko poruszony, Dzikus obrócił się do Rachel.

— Nie przedostaniesz się przez bramę.

— Zobaczysz. — Zwiększyła prędkość.

— Ale brama jest ze stali. I jest wzmocniona.

— Tak jak ten samochód. Jest opancerzony. Złap się deski rozdzielczej, bo kiedy uderzy w bramę, zadziała jak czołg.

Strażnicy przed nimi rozprysnęli się na boki. Brama z siatki szybko rosła. Wstrząs, szarpnięcie i samochód przedarł się przez zaporę. Dzikus obrócił się, by spojrzeć przez zalaną deszczem tylną szybę, i zobaczył reflektory ścigającego ich samochodu.

Siedział w milczeniu. Rosła w nim pewność, że człowiek, który prowadził tamten samochód, to jednak Akira.

— Czy cię wystraszyłam? — zachichotała Rachel.

— Nie, skądże.

— To dlaczego jesteś taki blady?

— Być może właśnie zobaczyłem ducha.

Dzikus zaplanował kilka dróg ucieczki z wyspy. W sprzyjających warunkach pospieszyliby do motocykla, który jeden z członków jego zespołu ukrył pół kilometra stąd, wśród skał na stoku. Stamtąd mieli udać się do jednej z trzech odległych od siebie małych zatoczek. W każdej z nich czekała mała, lecz szybka motorówka, która dostarczyłaby ich na pokład rybackiego trawlera, krążącego wokół wyspy.

Jednym z nieprzewidywalnych czynników, jakie musiał uwzględnić w swoich planach, była pogoda. Kiedy wdarł się na teren posiadłości, burza go wspomagała — im gęstszy deszcz, tym lepszą stanowił dla niego osłonę — miał jednak nadzieję, że pogoda poprawi się w czasie ucieczki. Tymczasem burza przybrała na sile. Silny wiatr i wzburzone morze uniemożliwiłyby im na pewno dotarcie motorówką do trawlera, który zresztą prawdopodobnie sam był w opałach i poszukiwał schronienia.

Oczywiście Dzikus nigdy w swych planach nie bazował wyłącznie na nadziei, że pogoda się poprawi, nawet jeśli prognozy były korzystne. Jeden z jego zwiadowców znalazł ustronną pieczarę, w której mogliby ukryć się do chwili, gdy warunki pozwolą na użycie łodzi. Dzikus nie martwił się specjalnie, że mogłyby ich wytropić psy, ponieważ Papadropolis ich nie znosił i nie pozwalał trzymać na swoim terenie. Zresztą nawet gdyby użyto psów, ich węch nie na wiele by się przydał z powodu deszczu.

Wziął również pod uwagę możliwość, że strażnicy wykryją łodzie w zatokach, przygotował więc helikopter, który czekał na sąsiedniej wyspie Delos. Wystarczyłoby tylko nadać sygnał przez nadajnik, który miał w plecaku, i maszyna przyleciałaby w umówione miejsce, aby ich zabrać.

Przypuśćmy jednak, że pogoda nie poprawi się i helikopter nie będzie mógł przylecieć — co wtedy? A co, jeśli w miejscu spotkania znajdą się ludzie Papadropolisa? Wtedy Dzikus nie mógłby zaprowadzić Rachel do jaskini. W tej sytuacji pozostawał mu ostatni, najbardziej desperacki wariant planu.

— Ta droga wkrótce się rozwidła. Skręćisz w lewo — powiedział.

— Ale ona prowadzi na pomocny zachód. W stronę...

— Mykonos — rzucił Dzikus.  
— To miasto stanowi istny labirynt. Złapią nas, zanim zdążymy się ukryć.  
— Nie zamierzam się ukrywać. — Dzikus spojrział w tył na reflektory, które wciąż rosły w uporczywym pościgu. Akira? Nie, to przecież niemożliwe.

— Co to znaczy, że nie zamierzasz się ukrywać? Co my...  
— Jest rozwidlenie. Rób, co ci powiedziałem. Skręcaj w lewo. Kiedy przedarli się przez bramę, betonowy podjazd ustąpił miejsca

gruntowej drodze. Deszcz rozmiękczył nawierzchnię i ciężki, opancerzony mercedes tonął w błotnistych kałużach. Samochód brnął z wysiłkiem naprzód, ślizgając się i zarzucając tyłem. Ale ścigający ich samochód walczył z tymi samymi trudnościami. Wkrótce jednak w oddali pojawiły się reflektory nowych uczestników pościgu.

Grząskość drogi sprawiła, że mercedes musiał zwolnić do trzydziestu kilometrów na godzinę. Mimo to Rachel miała trudności z opanowaniem kierownicy i powstrzymaniem samochodu przed ześlizgnięciem się do rowu, gdy posłusznie wykonywała polecenie Dzikusa, skręcając w lewo.

— Zadowolony?

— Na razie. Tak przy okazji, dobrze prowadzisz.

— Chcesz poprawić moje samopoczucie?

— To nigdy nie zawadzi — powiedział Dzikus. — Ale ja nie kłamałem.

— Mój mąż kłamie cały czas. Skąd miałam wiedzieć...

— Że ja nie? Twoje bezpieczeństwo zależy ode mnie, więc gdybyś nie potrafiła prowadzić samochodu, zmusiłbym cię do zamiany miejsc.

— Komplement przyjęty. — Ze zmarszczonym czołem zwiększyła szybkość.

Dzikus znów zerknął na reflektory z tyłu. Nie doganiały ich, ale również się nie oddalały, i to go martwiło.

— Mój mąż wynajął durniów. Kiedy mieli okazję, zaraz na początku, nie pomyśleli nawet, żeby strzelać w opony.

— To by nic nie dało.

— Nie rozumiem.

— Taki ciężki wóz jak ten ma wzmocnione opony. Można je trafić ze strzelby albo z czterdziestkapiątki, a i tak będą się nadawały do użytku.

Gwałtowny podmuch wiatru wstrząsnął samochodem i Rachel omal nie zjechała z drogi. Trzęsącym się głosem zapytała:

— Co będzie, kiedy dojedziemy do Mykonos?

— Jeśli w ogóle dojedziemy do Mykonos... Zajmuj się tym co teraz. Dojechali do wsi Ano Mera. O tak późnej godzinie była pogrążona

w mroku i śnie. Mercedes nabralł szybkości na brukowanej ulicy, wioska jednak szybko pozostała za nimi, droga znów stała się błotnista i Rachel zwolniła nacisk na pedał gazu.

Dzikus westchnął głęboko.

— Czy zrobiłam coś nie tak? — zapytała Rachel.

— Nie. Bałem się, że strażnicy zatelefonują i ostrzegą ludzi, których twój mąż wynajął, żeby zwracali uwagę na wszystkich przechodzących przez wieś w stronę jego posiadłości. Mogliśmy natknąć się na blokadę.

— Nieźle się przygotowałeś.

— Staralem się, ale zawsze jest ryzyko, że pojawi się coś nieprzewidzianego. Wiedza to siła, niewiedza...

— Dokończ. Co miałeś na myśli?

— Niewiedza to śmierć. Wydaje mi się, że te światła się zbliżają.

— Zauważyłam to w lusterku. Jeżeli nas złapią...

— Tobie nic się nie stanie.

— Dopóki nie wróci mój mąż. Stłucze mnie znowu, a potem zgwałci, ale ciebie...

— Zabiją.

— To dlaczego mi pomagasz? Ile ci płaci moja siostra?

- Nieważne. Patrz na drogę — powiedział Dzikus. — Jeśli dotrzemy do Mykonos, a to tylko osiem kilometrów stąd, musisz postępować dokładnie według moich instrukcji.
- Więc jednak masz jakiś plan.
- Miałem kilka, ale jestem zmuszony użyć właśnie tego. Powtarzam — Dzikus obejrzał się ku wydającym się zbliżać reflektorom — twoje życie zależy od tego, czy będziesz całkowicie posłuszna. Rób wszystko, co ci każę.
- Kiedy mój mąż wydawał mi rozkazy, sprzeciwiałam się, ale kiedy ty to robisz, jestem gotowa pójść za tobą do piekła.
- Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała tego udowodniać.

Światła ich samochodu wydobyły z mroku kwadratowe ściany domów, oślepiająco białe nawet w tej mieszaninie ciemności i deszczu.

- Mykonos. — Rachel nacisnęła mocniej pedał gazu.
- Nie! — krzyknął Dzikus.

Za późno. Gwałtowny skok prędkości sprawił, że mercedes popłynął po błocie, wpadł w poślizg, obrócił dwukrotnie, nie reagując zupełnie na kierownicę, i rąbnął o płot na poboczu.

Rachel przerzuciła dźwignię biegów na wsteczny, znowu wciskając pedał gazu.

— Stop! — zawołał Dzikus, ale najgorsze już się stało. Zamiast odsunąć samochód od płotu w stronę drogi, Rachel spowodowała, że ześlizgnął się w bok na mały wzgórek i oparł się na nim kolumną kierownicy. Koła kręciły się w powietrzu. Samochód był bezużyteczny. Dwojgu ludziom nie wystarczyłoby siły, by zepchnąć go z tego wzgórka.

Światła pościgu zbliżały się coraz bardziej.

Rachel wygramoliła się z samochodu, a Dzikus pospiesznie do niej dołączył. Buty zapadały mu się i ślizgały w błocie. Niemal stracił równowagę, lecz udało mu się nie upaść, ale Rachel się przewróciła. Podniósł ją, przytrzymał mocno za ramię i popchnął do przodu. Miał wrażenie, że znajdują się w jakimś koszmarnym śnie, biegnąc tak przez błoto, a mimo to stojąc w miejscu.

Białe kwadratowe domy rosły przed nimi, coraz silniej rozświetlane przez reflektory za ich plecami.

Nagle koszmarny bieg w miejscu skończył się. Kamienny bruk pod stopami Dzikusa sprawił, że miał wrażenie, jakby pękła przytrzymująca go lina. Oboje z Rachel rzucili się przed siebie, biegnąc po twardej nawierzchni.

Z chwilą kiedy znaleźli się w miasteczku, Dzikus zorientował się, że mercedes i tak nie przydałby się im tu na nic. Ulica, którą biegli, była wąska i kręta, a ponadto rozwidlała się tworząc tak ostre kąty, że duży samochód nie mógłby tu manewrować nawet przy małej prędkości. Słyszając silniki ścigających ich samochodów, Dzikus wybrał lewe odgałęzienie i pobiegł nim, ale niespodziewanie natknął się na nowe rozwidlenie. Skonsternowany, zdał sobie sprawę, że niezależnie od wyboru kierunku wkrótce napotka następne rozgałęzienia.

Był to labirynt Mykonos, płatanina ulic rozmyślnie zbudowanych w ten sposób, aby zmylić starożytnych piratów i ułatwić mieszkańcom wyłapywanie maruderów, a współczesnym łowcom pozwolić osaczyć ich ofiarę.

Za sobą Dzikus usłyszał trzaskanie drzwiczek samochodów, gniewne głosy i pospieszne kroki, odbijające się echem od ulicy. Przyjrzał się obu rozwidleniom przed sobą. Lewe skręcało pod górę, prawe prowadziło w dół. Wybór był oczywisty, musiał bowiem kierować się w stronę portu. Prowadząc Rachel pobiegł w prawo tylko po to, żeby po chwili stwierdzić, iż ulica skręca pod górę — prowadziła więc do punktu wyjścia. Obrócił się, zmuszając Rachel, aby poszła w jego ślady. Oprócz szumu ulewy i gniewnych głosów ich prześladowców w miasteczku panowała cisza. Tylko biel domów, przypadkowe światło w oknie i sporadyczne błyskawice pozwalały Dzikusowi odnajdywać drogę.

Odnalazł zaułek, który przeoczył, biegnąc tą drogą wcześniej. Zaułek prowadził w dół i był tak ciasny, że ramiona Dzikusa ocierały się o ściany budynków. Wydostał się na szerszą

uliczkę, biegnącą poziomo, i nie mógł się zorientować, w którą biec stronę, aby zejść niżej. Nagle odgłos kroków z lewej sprawił, że rzucił się w prawo, pociągając Rachel za sobą. Tym razem z końca, uliczki było tylko jedno wyjście, na prawo — i wiodło do góry.

Nie, przecież musimy kierować się do portu, pomyślał.

Obrócił się i spojrzął w uliczkę, którą właśnie przebiegli. Kroki i przekleństwa strażników rozbrzmiewały coraz bliżej. U końca uliczki błysnęły latarki. Jeden ze strażników obrócił się do kolegi, oświetlając mu twarz.

Ten drugi był Japończykiem. Nawet z tej odległości niepokojąco przypominał Dzikusowi Akirę. Japończyk chwycił pierwszego strażnika za rękę i odsunął latarkę od swojej twarzy, po czym obaj ruszyli uliczką w kierunku Dzikusa.

Nie dostrzegli ich jeszcze, ale niedługo zobaczą.

But Dzikusa potrafił jakiś przedmiot na skraju uliczki. Pod pomalowaną do połowy na biało ścianą leżała drabina. Oparł ją pionowo i Rachel szybko wspięła się na górę. Kiedy Dzikus wchodził za nią, zauważył, że latarki zbliżają się, kontrolując po drodze wszystkie bramy i przejścia.

Gdy znalazł się już na dachu, wciągnął drabinę za sobą, ale zgrzytnęła po murze i latarki skierowały się w stronę źródła hałasu. Trafiony światłami Dzikus oślepnął na moment. Rzucił się w tył, ciągnąc drabinę za sobą, i usłyszał charakterystyczny stłumiony odgłos wystrzału z pistoletu z tłumikiem, a kula bżyknęła mu koło ucha. W chwilę potem był już niewidoczny z ulicy.

Chciał już porzucić drabinę, ale nagle zmienił zamiar.

— Rachel, weź drugi koniec.

Z wysiłkiem przenieśli pospiesznie drabinę przez dach i zatrzymali się na jego skraju, gdzie przerwa między domami odsłaniała kolejną ulicę.

W oddali, w przesłoniętym deszczem porcie, Dzikus widział mętne światła.

— Przejdziemy po drabinie.

Przerzucił ją przez przerwę, opierając drugi koniec o przeciwległy dach i starając się unieruchomić ten po swojej stronie.

Rachel zaczęła czołgać się po drabinie, ale szczeble stały się śliskie od deszczu, w pewnym momencie więc jej kolano ześlizgnęło się i cała noga wpadła między szczeble. Zawisała przez chwilę, po czym złapała oddech, uniosła kolano i popęzła dalej.

Dzikus uspokoił rozkołysaną drabinę i spojrzął w dół, na ulicę — żadnych latarek, chociaż słyszał jakieś okrzyki. Obejrzał się za siebie, w stronę miejsca, w którym oboje weszli na mur, ale na skraju dachu nie było widać nikogo.

Deszcz siekł go po twarzy, mimo to jednak zmrużywszy oczy mógł dostrzec Rachel na przeciwległym dachu. Położył się płasko na drabinie i zaczął się ślizgać podciągając rękoma, co ułatwiały mu wilgotne szczeble. Po drugiej stronie wstał i przeciągnął drabinę do siebie, po czym potaszczyli ją oboje ku kolejnej przerwie między domami, kierując się w dół, coraz bliżej portu.

Po przekroczeniu za Rachel jeszcze jednej przerwy Dzikus obejrzał się za siebie i aż się cofnął, spoza krawędzi ściany ukazała się bowiem oświetlona błyskawicą głowa. Głowa Japończyka. Dzikus przypomniał sobie błysk miecza. To... Nagle tamten wyprostował się, a obok niego pojawił się drugi człowiek, który uniósł pistolet i wymierzył w Dzikusa.

Nieoczekiwanie Japończyk poślizgnął się na mokrym dachu. Wcześniej poruszał się tak zręcznie, że wydawało się niemożliwe, aby w ogóle kiedykolwiek mógł stracić równowagę, niemniej jednak teraz potrafił człowieka z pistoletem. Strzał poszedł bokiem, a strzelający zatoczył się do tyłu i z jękiem spadł z dachu.

Japończyk popatrzył za nim w dół, a potem pomknął za Dzikusem i Rachel, znów poruszając się z poprzednią zręcznością.

Będzie musiał się zatrzymać, powiedział Dzikus do siebie, nie może przecież pokonać tych dwóch przerw, które przeszliśmy po drabinie.

Nie oszukuj się. Jeżeli to Akira, to znajdzie sposób.

Ale przecież wiesz, że to nie może być Akira.

Dzikus podniósł z pomocą Rachel drabinę i jeszcze raz spojrzął na Japończyka, spodziewając się, że ten przystanie, gdy dobiegnie do rozdzielającej dachy ulicy. Wbrew tym oczekiwaniom Japończyk jeszcze przyspieszył i skoczył. Jego zwinne ciało z rozłożonymi ramionami przemknęło łukiem wśród deszczu, jak gdyby szybując. Wylądował na przeciwległym dachu, przygiął kolana, przeokoziółkował, aby wygasić impet, i jednym płynnym ruchem stanął na nogach, po czym podjął pościg.

Obciążeni drabiną Dzikus i Rachel dobrnęli do następnej ulicy, tym razem jednak, zamiast przerzucić pomost ponad przerwę, Dzikus opuścił drabinę i oparł ją o ścianę. Kiedy Rachel pospiesznie schodziła w dół, Dzikus obejrzał się i z przerażeniem zobaczył, jak Japończyk przeskakuje kolejną przeszkodę.

W pobliżu pokrzykiwali strażnicy. Dzikus zgramolił się z drabiny i odsunął ją od ściany, aby Japończyk nie mógł z niej skorzystać. Uliczka w prawą stronę schodziła w dół, oboje pobiegli więc w tym kierunku. Z tyłu dobiegał Dzikusa szaleńczy tupot stóp Japończyka, zbliżającego się do skraju dachu.

Zawiśnie na brzegu i spadnie, pomyślał z nadzieją Dzikus.

Akurat, on jest jak kot.

Uliczka skończyła się i Dzikus zatrzymał się przed kolejną poziomą przeczną. Znów stanął zdezorientowany, nie wiedząc, w którą iść stronę, aby zbliżyć się do portu. Światło z okna odbiło się w kałuży na ulicy i Dzikus z bijącym mocno sercem zauważył, że woda spływa

w lewo. Pobiegli z Rachel w tę stronę. Za nimi rozbrzmiewało echo krzyków, kroki słyhać było coraz bliżej, a z przodu błysnęły latarki.

Po prawej otworzył się zaułek, opadający stromo w dół. Dzikus wiedział, że im bliżej portu, tym miasteczko staje się węższe, tworząc coś w rodzaju klina, ostrzem skierowanego ku morzu. Dla nich oznaczało to mniej rozgałęzień i mniejsze ryzyko skierowania się niechcący pod górę, oddalenia od celu. Musiał jednak pamiętać, że ścigający ich ludzie domyślali się zapewne, jaki to cel, i będą starali się ich wyprzedzić. Liczył tylko na to, że strażnicy byli równie skołowani tym labiryntem, jak i on.

Na tle dobiegających z tyłu przekleństw, którym towarzyszyły błyski latarek na skrzydłach, wybijał się jeden uporczywy rytm ścigających ich kroków — to był Japończyk.

Niespodziewanie, jakby zdjęto z nich urok, wydostali się z miasta. Droga przed nimi była teraz prosta, przez plażę do portu, i nie zagradzał jej żaden wróg. Skrajnie wyczerpana Rachel słała się, dysząc chrapliwie.

— Trzymaj się — powiedział cicho Dzikus. — Już prawie koniec.

— O Boże, mam nadzieję — wysapała.

— Jeśli to coś w ogóle znaczy — szepnął — to jestem dumny z ciebie. Zachowujesz się wspaniale.

Nie był to pusty komplement, bo współdziałała z nim dzielnie i sprawnie, ale ta zachęta, niewątpliwie pierwsze życzliwe słowa, jakie usłyszała od długiego czasu, działała cud. Rachel sięgnęła po ostatni zapas sił i pobiegła tak szybko, że niemal go wyprzedziła.

— Mówiłam szczerze — wydyszała. — Pójdę za tobą do piekła.

Jacht, który był ostatnią nadzieją Dzikusa, stał przycumowany wśród kilku innych w głębi basenu. Jeżeli łodzie w zatokach zostałyby odkryte, jeśli rybacki trawler pogoda zmusiłaby do wycofania się do portu, jeżeli helikopter nie mógłby wystartować z Delos i odebrać ich z umówionego miejsca, ostatnią możliwością ucieczki miał być ten właśnie jacht, pozostawiony w porcie Mykonos przez jednego z jego ludzi.

Dzikus skoczył na pokład, zdjął cumy z pachołków, odsłonił pokrywę silnika i sięgnął po kluczyk startera, przyklejony pod pokładem. Włożył go do gniazdka na tablicy kontrolnej. Poczł, że rozpiera go uczucie triumfu, gdy silnik zaterkotał. Potem pchnął dźwignię gazu i z satysfakcją zaczął wyprowadzać jacht z basenu.

— Dzięki. — Rachel uściskała go.

Kiedy jacht oddalił się od nabrzeża, Dzikus zerknął do tyłu. Morze rzucało jachtem w górę i w dół, ale pomimo tego utrudnienia dostrzegł człowieka biegnącego wzdłuż basenu. To był Japończyk.

Światła na nabrzeżu ukazywały jego twarz, melancholijną jak twarz Akiry, chociaż widoczne na niej były także inne uczucia: zmieszanie, rozpacz i gniew, a przede wszystkim strach.

Nie miało to sensu, ale nie było żadnej wątpliwości — najsilniejszym uczuciem widocznym na tej twarzy był strach.

— Dzikus...? — Głos był zniekształcony i przytłumiony przez szalejącą burzę.

— Akira? — Okrzyk Dzikusa urwał się, zagłuszony falą, która chlusnęła mu w twarz i wypełniła usta, zmuszając do kaszlu.

Na nabrzeżu pojawili się obok Japończyka inni strażnicy. Celowali w stronę jachtu, ale żaden nie odważył się wystrzelić, świadomy ryzyka trafienia żony swego chlebowodawcy.

Japończyk wołał:

— Przecież widziałem ciebie... Burza wymazała jego dalsze słowa.

— Ty mnie? — wrzasnął Dzikus. — To ja widziałem ciebie.

Nie mógł się jednak rozpraszać. Musiał wykonać swoje zadanie i jak najszybciej wyprowadzić jacht z portu.

— ...zmarłego — dokończył Japończyk. Rachel spojrzała ku niemu z pokładu.

— Znasz tego człowieka?

Ręce Dzikusa zacisnęły się na sterach, a łomocące serce przyprawiało go o mdłości. Kręciło mu się w głowie.

— Czy go znam? — odezwał się do Rachel, podczas gdy jacht walczył z falami u wyjścia z portu. — Chyba tak.

— Ten wiatr! Nic nie słyszę!

— Widziałem go martwego pół roku temu.

## Samodzielna obrona

Pół roku temu Dzikus był zatrudniony na wyspach Bahama, wykonując spokojną pracę, która polegała na pilnowaniu, aby dziewięcioletni synek pewnego amerykańskiego producenta kosmetyków nie został porwany w czasie, gdy cała rodzina korzystała z uroków wakacji. Z przeprowadzonego przez Dzikusa wywiadu wynikało, że ludziom tym nigdy nie podobnego nie groziło, jego prawdziwe zadanie polegało więc na zapewnieniu chłopcu towarzystwa, kiedy jego rodzice przebywali w miejscowych kasynach. Teoretycznie każdy mógł pełnić tę funkcję, ale okazało się, że ojciec chłopaka często pozwalał sobie na rasistowskie występy wobec miejscowej ludności, Dzikus przyjął więc, że owi potencjalni porywacze mogą mieć skórę ciemniejszą niż jego pracodawca. W takim razie jednak, zastanawiał się, dlaczego ten przedsiębiorca wybrał się właśnie na wyspy Bahama, a nie na przykład do Las Vegas? Prawdopodobnie dlatego, że spędzenie tutaj dwóch tygodni mogło wyrzucić o wiele większe wrażenie na znajomych.

Wszystko to nie podobało się Dzikusowi, ale nie dał tego po sobie poznać. Bądź co bądź, jego praca nie wymagała sympatii do klienta, lecz zapewnienia mu bezpieczeństwa. Poza tym, mimo awersji do pracodawcy, niezmiernie polubił towarzystwo jego synka. Choć nigdy nie pozwolił sobie na zaniedbanie obowiązków służbowych, zdołał nauczyć chłopca windsurfingu i nurkowania z maską. Za pieniądze jego ojca wynajął też łódź rybacką — własność miejscowego szypra — i zamiast wędkować, pokazywał malcowi pełne wdzięku skaczące maruny. Jednym słowem, zachowywał się tak, jak powinien postępować prawdziwy ojciec tego przemilego dziecka.

Kiedy chłopiec odleciał ze swą rodziną do Atlanty, Dzikus poczuł pustkę. No dobrze,

myślał sobie, miałeś przynajmniej trochę frajdy, nie każda robota jest równie miła. Pozostał na Bahamach jeszcze przez trzy dni, robiąc sobie wakacje, w czasie których pływał i biegał, aby wzmocnić mięśnie, ale potem jego zwykła aktywność znów wzięła górę. Zadzwonił do znajomego restauratora z Barcelony, będącego jedną z jego skrzynek kontaktowych. Dowiedział się, że rozmawiał on z pewnym jubilerem z Brukseli, który donosił, że jeśli Dzikus jest wolny, jego agent chętnie zamieniłby z nim parę słów.

Graham Barker-Smythe, Anglik, który wyszkolił Dzikusa, a teraz był jego agentem, mieszkał w przebudowanej wozowni przy eleganckiej, wybrukowanej klinkierem uliczce w Nowym Jorku, tuż obok Washington Square. Jak lubił mawiać, „o północy słychać było tu wycie ćpunów”.

Graham miał teraz pięćdziesiąt osiem lat i spory brzuch od nadmiaru kawioru i szampana, ale kiedy jeszcze był szczupły i młody, służył w Special Air Service, brytyjskiej elitarniej jednostce komandosów, po zwolnieniu z wojska zaś zajmował się ochroną kilku premierów. Z czasem jednak stwierdził, że jego dochody na państwowej posadzie są żałośnie mizerne w porównaniu z tym, co mógłby zarobić, działając na własną rękę, zwrócił się więc ku Ameryce, która oferowała najciekawsze perspektywy.

— Było to już po zastrzeleniu prezydenta Kennedy'ego — mówił Graham. — Potem zabito Martina Luthera Kinga i Roberta Kennedy'ego. Każdy człowiek z elity władzy obawiał się, że go mogą zamordować. Oczywiście Secret Service sama opanowała rynek na polityków wysokiej rangi, mogłem się więc zająć tylko co ważniejszymi biznesmenami. Po fali terroryzmu w latach siedemdziesiątych zarobiłem na nich niezłe pieniądze.

Chociaż Graham od dwudziestu lat mieszkał w Ameryce, wciąż zachowywał angielską wymowę, aczkolwiek jego słownik stał się teraz intrygującą mieszanką wyrażeń amerykańskich i brytyjskich.

— Wielu z tych biznesmenów, których ochraniałem — Graham zacisnął wargi — to były zwykle zbóje w garniturach od Braci Brooks. Elegancy po wierzchu, ale żadnej klasy. To nie arystokraci, dla których przywykłem pracować. W każdym razie nauczyłem się jednego — obrońca powinien tłumić w sobie złą opinię o pracodawcy. Jeżeli niechęć weźmie górę, można nieświadomie popełnić omyłkę, która będzie kosztowała życie twojego klienta.

— Powiadasz, że obrońca nigdy nie może osądzać postępowania klienta?

— Gdybyśmy pracowali tylko dla tych, których cenimy, praca trafiałaby się nam rzadko. Nikt nie jest doskonały, chociaż i ja mam swój standard minimum. Nigdy nie pomógłbym handlarzom bronią i narkotykami, terrorystom, gangsterom, zbrojczencom czy ekstremistom, bo nie potrafiłbym powstrzymać uczucia odrazy na tyle, żeby ich ochraniać. Jeżeli jednak nie masz do czynienia z niewątpliwym złem, nie wolno ci pozwolić sobie na uczucie niechęci w stosunku do klienta. Oczywiście zawsze możesz mu odmówić, jeżeli płaci ci za mało albo zadanie jest zbyt niebezpieczne. To, że jesteśmy tolerancyjni, nie oznacza, że można nas robić w konia. Trzeba być pragmatycznym i dostosowywać się do okoliczności.

Graham zawsze uwielbiał takie filozoficzne dyskusje, podczas których, wbrew zaleceniom swego kardiologa, rozkoszował się ogromnym cygarem.

— Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego przyjąłem cię na naukę? — zapytał.

— Uznałem, że to z powodu mojego przeszkolenia w SEAL.

— Tak, taki trening wywiera wrażenie, bez dwóch zdań. Kiedy przyszedłeś do mnie, widziałem w tobie silnego młodego człowieka, przywykłego do działania w warunkach śmiertelnego zagrożenia. Dobrze przygotowanie i obiecujące, jednak niezbyt wyrafinowane, powiedziałbym nawet — trochę prostackie. Tylko nie rób takiej obrażonej miny, bo właśnie chciałem powiedzieć ci komplement. Otóż przyznaję, że SEAL to jedna z najlepszych w świecie formacji komandosów, chociaż moja własna SAS jest oczywiście klasą samą dla siebie. — W oczach Grahama zamigotała iskierka. — Wojsko jednak kładzie nacisk na bezwarunkowe posłuszeństwo, a samodzielny obrońca jest nie tylko podwładnym, lecz i przełożonym. Mówiąc ściślej, obrońca koegzystuje z pracodawcą w stanie chwiejnej



równowagi, albowiem rozkazuje, ale zarazem i podporządkowuje się, pozwalając klientowi robić co zechce, dbając wszakże o to, aby robił wszystko tak, a nie inaczej. Taki układ nosi nazwę symbiozy.

— To słowo nie jest mi obce — zauważył oschle Dzikus.

— Dawać i brać... — ciągnął Graham. — Zgadza się, że obrońca powinien mieć specjalne umiejętności wojskowe. Musi mieć jednak również talent dyplomaty, a nade wszystko sprawny umysł. Właśnie twój umysł był dla mnie najbardziej pociągający. Odszedłeś z SEAL...

— Bo nie zgadzałem się z tym, co stało się na Grenadzie.

— A tak, amerykańska inwazja na tę karaibską wysepkę. To było parę lat wcześniej, zanim zjawiał się u mnie. Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, inwazja odbyła się dwudziestego piątego października osiemdziesiątego trzeciego roku.

— Twoja pamięć nigdy nie zawodzi.

— Jako Brytyjczyk mam wrodzone poczucie precyzji. W ataku na Grenadę wzięło udział sześć tysięcy żołnierzy z połączonych jednostek zwiadu, piechoty morskiej, SEAL i spadochroniarzy. Jego celem miało być odbicie tysiąca amerykańskich studentów medycyny, więzionych przez kubańskie i sowieckie wojska.

— Prawdopodobnie więzionych.

— Mówisz to z takim samym gniewem jak w dniu, kiedy się poznaliśmy. W dalszym ciągu uważasz, że ta inwazja nie była usprawiedliwiona?

— Tak. Na wyspie rzeczywiście były wtedy zamieszki. Pozbawiono władzy premiera, który był prokubański, a ten, który go zastąpił, był marksistą. Różne odcienie czerwonego. Zamach stanu spowodował wrzenie. Wojsko zastrzeliło stu czterdziestu demonstrantów, a obalony premier został zamordowany, ale amerykańscy studenci przebywali w swoim obozie i żadnemu nie stała się krzywda. Była to po prostu walka o władzę między dwoma komunistycznymi politykami. Nie wiem wprawdzie, dlaczego Amerykanie studiowali medycynę na tej prokubańskiej wysepce, ale cały ten zamach stanu w ogóle nie naruszał równowagi sił w Ameryce Łacińskiej.

— A co powiesz o tych doradcach technicznych z Kuby, Niemiec Wschodnich, Korei Północnej, Libii, Bułgarii i Związku Radzieckiego, którzy w większości okazali się żołnierzami?

— Gruba przesada amerykańskiego wywiadu. Ja widziałem tylko miejscowych żołnierzy i kubańskich robotników budowlanych. Jasne, że kiedy doszło do inwazji, Kubańczycy chwycili za broń i walczyli, jakby byli wyszkoleni, ale czy na Kubie w ogóle są młodzi ludzie, którzy nie byli szkoleni wojskowo?

— A budowa trzykilometrowego pasa startowego, mogącego przyjmować bombowce dalekiego zasięgu?

— To, co ja widziałem, było o połowę krótsze i nadawało się w sam raz dla cywilnych samolotów z turystami. Inwazja była zrobiona na pokaz, dla celów propagandowych. Kiedy w siedemdziesiątym dziewiątym w Iranie wzięto personel naszej ambasady jako zakładników, Stany Zjednoczone były bezsilne. Reagan pokonał Cartera w wyborach, ponieważ przysiągł, że zachowa się zdecydowanie, jeżeli życie obywateli amerykańskich zostanie jeszcze raz zagrożone. Tymczasem zaraz po przewrocie na Grenadzie w nękanym wojną Libanie arabski terrorysta wprowadził całą ciężarówkę materiałów wybuchowych do koszar amerykańskiej piechoty morskiej. Na skutek wybuchu zginęło dwustu trzydziestu strzegących pokoju żołnierzy. Czy Reagan odparował cios w tym rejonie? Nie, a to dlatego, że sytuacja na Bliskim Wschodzie była zbyt skomplikowana. Co więc uczynił, żeby uratować twarz? Ano, wskazał amerykańskiemu wojsku łatwy do zaatakowania cel na Karaibach pod pozorem ratowania domniemanych zakładników.

— Ale amerykańska opinia publiczna odebrała sprawę Grenady jako ważne zwycięstwo Stanów Zjednoczonych w walce z komunistycznym zagrożeniem zachodniej półkuli.

— Ponieważ reporterom nie pozwolono obserwować całej operacji, wiadomości pochodziły wyłącznie ze źródeł wojskowych. W życiu prywatnym nazywa się to kłamstwem,

a w polityce dezinformacją.

— Tak — powiedział Graham. — Dezinformacja. Właśnie na to słowo czekałem. Jak już powiedziałem, pociąga mnie w tobie twój umysł. Twoja zdolność do wyjścia poza ramy wykształcenia wojskowego, zdolność rozpoznawania prawdy i niezależnego myślenia. Ale dlaczego zareagowałeś tak ostro?

— Przecież już wiesz. Wchodziłem w skład pierwszej grupy desantowej, która miała wylądować na wyspie. Wskoczyliśmy na spadochronach z samolotu transportowego, a potem zrzucono tratwy, mieliśmy bowiem dotrzeć na wyspę z morza. Dowództwo marynarki źle jednak oceniło pogodę. Wiatr był silniejszy, niż przewidywano, i podnosił tak wielkie fale, że w nocy nie mogliśmy dostrzec tratw. Wielu z nas — wielu moich przyjaciół — potonęło, zanim do nich dotarliśmy.

— Zginęli śmiercią walecznych.

— Tak.

— Służąc swemu krajowi.

— Służąc prezydentowi-gwiazdorowi, który wysłał nas niepotrzebnie do walki, żeby z siebie zrobić bohatera.

— A więc, rozczarowany, odmówiłeś przedłużenia kontraktu z marynarką, pomimo przynęty w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów — bo tyle ci przecież proponowano, prawda? Taki doskonały, lecz zniechęcony były komandos z SEAL mógł jednak żądać nawet i większej zapłaty od werbowników najemnych żołnierzy.

— Nie chciałem być najemnikiem.

— Wiem, ty pragnąłeś godności. Byłeś tak mądry, że pojąłeś, iż twoim prawdziwym powołaniem jest nie służba żołnierza, lecz obrońcy.

Graham rozparł się za wielkim mahoniowym biurkiem, z lubością kopcąc cygaro. Miał na sobie doskonale skrojone ubranie, które zmniejszało jego rozmiary — szary trzyczęściowy garnitur w drobne paseczki, brązowy krawat i chusteczkę w kolorze delikatnego błękitu, umieszczoną w górnej kieszonce marynarki.

„Chusteczka nigdy nie powinna być tego koloru co krawat — podkreślał zawsze, instruując Dzikusa, jak należy się ubrać, gdy eskortuje się dystyngowanego klienta w półoficjalnych okolicznościach. — Twój ubiór powinien pasować do otoczenia, nigdy jednak nie zakładaj garnituru bardziej eleganckiego niż ten, który nosi twój klient.”

Umiejętność dobrania właściwego ubioru stanowiła zaledwie małą część tego, co Graham wpoił Dzikusowi na temat zasad obowiązujących obrońcę. Była to praca znacznie bardziej skomplikowana, niż Dzikus mógł sobie wyobrazić w chwili, gdy pierwszy raz spotkał się z Grahamem w jesieni 1983 roku. Na jego plus trzeba jednak odnotować, że wcale nie uważał doświadczenia zdobytego w jednej z najlepszych na świecie formacji wojskowych za wszystko, czego mu potrzeba. Wręcz przeciwnie — dotychczasowe wykształcenie nauczyło Dzikusa uświadamiania sobie obszarów niewiedzy i wartości starannego przygotowania się do wypełnienia zadania. Wiedza to potęga, niewiedza to śmierć, i właśnie dlatego zgłosił się do Grahama, pragnąc nauczyć się od tego światowej klasy eksperta wszelkich tajników nowo wybranej profesji.

Na temat broni Dzikus nie potrzebował żadnych wyjaśnień. Znał się na wszelkich jej rodzajach i każdym potrafił posługiwać się skutecznie, niewiele jednak wiedział o technice nadzoru, jego dotychczasowe szkolenie miało bowiem na celu atak, a nie obronę.

Również pytanie o „pluskwy” wprawiało go w zakłopotanie. Wiedział oczywiście, jak zwalczać te i inne niebezpieczne insekty, nie kojarzył ich sobie jednak z miniaturowymi mikrofonami, ukrywanymi w telefonach, lampach i ścianach.

Nie znał się też na technikach ucieczki samochodem, nie miał bowiem zwyczaju unikać przeciwnika. W czasie służby cała jego jednostka zawsze była transportowana do samolotu lub statku, który przewoził ich na miejsce akcji, Dzikus prowadził więc samochód tylko na przepustkach, kiedy wynajętym wozem wólczył się dla rozrywki od baru do baru.

— Rozrywka? — skrzywił się wtedy Graham. — Wyleczę cię z takich ciągót. Szykowne

samochody są zakazane, a co do barów, to nauczysz się pić umiarkowanie, na przykład wytworne wino do obiadu, ale nigdy w czasie wykonywania zlecenia. Palisz?

Dzikus palił.

— To nie będziesz. Jak mógłbyś zauważyć, że coś grozi pryncypałowi?

— Komu...?

— Pryncypałowi. W zawodzie, który masz zamiar wykonywać, kłopot nazywany jest pryncypałem. Jest to właściwa nazwa, bo pryncypał jest twoim głównym, a raczej jedynym przedmiotem zainteresowania. Jak mógłbyś zauważyć, że coś grozi pryncypałowi, jeżeli byłbyś zajęty zapalaniem papierosa? Myślisz, że przeczę sam sobie, ponieważ palę cygara? Pozwalam sobie na to dopiero teraz, kiedy zrezygnowałem z ochrania na rzecz nauczania i wyszukiwania pracy dla moich uczniów, za prowizję agenta oczywiście. Ale jak ty mógłbyś bronić pryncypała, jeżeli miałbyś rękę zajęętą papierosem? Widzę, że musisz się jeszcze wiele nauczyć.

— To ucz mnie.

— Najpierw musisz wykazać, że jesteś tego godny.

— Jak?

— Powiedz mi, dlaczego chcesz zostać...

— Ochroniarzem?

— Samodzielnym obrońcą! — oburzył się Graham. — Ochroniarz to bandyta, a obrońca to artysta. Dlaczego wybrałeś ten zawód?

Dzikus przywykł do poniżających wrzasków instruktorów wojskowych, wybuch Grahama nie wywołał więc w nim gniewu. Zamiast tego posłusznie dokonał rachunku sumienia, starając się jak najlepiej oddać słowami swoje motywy:

— Chciałbym być pożyteczny. Graham uniósł brwi.

— Nie najgorsza odpowiedź, ale może ją rozwiniesz.

— Na świecie jest tyle cierpienia...

— To dlaczego nie wstąpiłeś do Korpusu Pokoju? Dzikus wyprostował się.

— Ponieważ jestem żołnierzem.

— A teraz chciałbyś zostać obrońcą? Jednym z drużynników? O, widzę, że nie znasz tego pojęcia. Nic nie szkodzi. Wkrótce je zrozumiesz, ponieważ zdecydowałem się przyjąć cię na naukę. Przyjdź tu znów za tydzień. Przeczytaj „Iliadę” i „Odyseję”, bo będziemy rozmawiać o etyce.

Dzikus nie kwestionował tego pozornie pozbawionego sensu polecenia. Oczywiście nawykł do posłuchu, ale poza tym wyczuwał, że rozkaz Grahama nie służył jedynie wypróbowaniu jego zdyscyplinowania, lecz był również wprowadzeniem na drogę zdobywania wiedzy nowego rodzaju, nowej umiejętności. Jego wcześniejsze wyszkolenie, aczkolwiek doskonałe, jawiło się teraz jako zaledwie wstępne minimum wobec znacznie większych wymagań tego, co według późniejszych słów Grahama było piątą profesją.

Po „Iliadzie” i „Odysei” Graham zażyczył sobie dyskusji na temat innych klasycznych dzieł, w których występowały wątki zarówno militarne, jak i związane z samodzielną obroną.

— Widzisz, najważniejsze sprawy to tradycja i twoja postawa. Obowiązują tu prawa i kodeksy, etyka, no i estetyka. W odpowiednim czasie nauczę cię taktyki, na razie jednak wyszkolisz się w pięknej umiejętności całkowitego oddania swemu pryncypałowi, połączonej z bezwzględnym obowiązkiem utrzymywania nad nim kontroli. Jest to niezwykle, delikatnie wyważona kompozycja — po prostu dzieło sztuki.

To właśnie Graham sprawił, że Dzikus przeczytał anglosaską relację o lojalnych drużynnikach, walczących na śmierć i życie w obronie ciała swego pana przed zbrodniczymi wikingami w bitwie pod Maldon, i to on zaznajomił go z niezwykle japońską opowieścią, która stała się legendą, opowieścią o czterdziestu siedmiu roninach, krwawo mszczących hańbę swego zmarłego protektora, a później posłusznie podporządkowujących się woli shoguna, nakazującej im popełnić rytualne samobójstwo.

Kodeksy i powinności...

— Mam dla ciebie zlecenie — powiedział któregoś dnia Graham.

— Dlaczego mówisz tak uroczyście? Czy to niebezpieczne?

— Właściwie to zwykła rutyna, poza jedną rzeczą. — Graham wyjaśnił mu, o co chodziło.

— Klient to Japończyk? — zdumiał się Dzikus.

— Dlaczego się krzywisz?

— Nigdy nie pracowałem dla Japończyka.

— Czyżby to cię onieśmielało? Dzikus zastanowił się.

— Z przedstawicielami większości narodów jestem w stanie nawiązać kontakt bez większych trudności, dzięki czemu pracuje mi się łatwiej, ale Japończycy... Za mało o nich wiem.

— Przyjęli wiele amerykańskich obyczajów. Sposób ubierania, muzykę i...

— To z powodu amerykańskiej okupacji po wojnie. Chcieli zrobić przyjemność zwycięzcom. Ich sposób myślenia jest jednak zupełnie inny i nie mam tu na myśli jedynie różnicy pomiędzy Wschodem a Zachodem. Komunistyczny Chińczyk na przykład myśli w sposób znacznie bardziej zachodni niż Japończyk.

— Wydawało mi się, iż twierdziłeś, że nie wiesz nic o Japończykach.

— Nie wiem o nich zbyt dużo, ale to nie znaczy, że nie interesowałem się nimi. Wiedziałem, że przyjdzie taki dzień, kiedy Japończyk poprosi mnie o ochronę, i chciałem być na to przygotowany.

— A czy jesteś już przygotowany?

— Musiałbym to przemyśleć.

— Boisz się?

Urażony w swej dumie Dzikus zeszywniał.

— Czego?

— Że chociaż dobry z ciebie drużynnik, to możesz się nie sprawdzić jako samuraj.

— Amae.

Graham uniósł głowę.

— Nie znam tego słowa.

— To po japońsku. Oznacza przymus dostosowania się do grupy.

— Tak? I co z tego? Nie rozumiem.

— Omote i ura, czyli myślenie publiczne i osobiste. Tradycyjnie wychowany Japończyk nigdy nie ujawnia swoich prawdziwych przekonań, lecz mówi to, co według niego zaakceptuje grupa.

— Wciąż nie...

— Japoński system kastowy, polegający na absolutnej władzy pana nad wasalami. Zanim Japonia się uwspółcześniła, porządek społeczny wyglądał tak, że na górze był shogun, a na niższych szczeblach drabiny znajdowali się kolejno daimyo, samuraje, rolnicy i kupcy, na samym dole zaś nietykalni, którzy wykonywali nie cieszące się prestiżem społecznym zawody — takie jak na przykład rzeźnik lub grabarz. Poza tą hierarchią był jeszcze cesarz, który miał bardzo ograniczoną władzę, lecz za to cieszył się ogromnym autorytetem, był bowiem potomkiem japońskich bogów. Wydawało się, że ten sztywny układ został wymazany przez demokratyczne reformy, wprowadzone w czasie amerykańskiej okupacji, ale on wciąż istnieje.

— Moje gratulacje.

— Co?

— Jak zwykle, dobrze się przygotowałeś.

— Słuchaj dalej — ciągnął Dzikus. — W jaki sposób mógłbym ochraniać człowieka, który uważa, że powinien podporządkować się grupie, więc nie ujawni mi swoich myśli — a ponadto w głębi duszy żywi przekonanie, że jest znacznie bardziej wartościowy od ludzi z innego kręgu kulturowego, więc także ode mnie? Dodajmy do tego, że Japończycy

bardzo niechętnie przyjmują cudzą pomoc, bo nakłada to na nich obowiązek odplacenia jeszcze większą uprzejmością. Co więcej, czują się śmiertelnie obrażeni, jeżeli jakaś „niższa” istota sprawuje nad nimi władzę.

— I dalej nie...

— Wszystko, czego mnie uczyłeś, sprowadza się do jednego — jako obrońca muszę być jednocześnie i panem, i sługą. Sługą, ponieważ zostałem wynajęty do obrony, panem zaś dlatego, że jestem zobowiązany wymagać od mego pracodawcy posłuchu dla moich instrukcji. Równowaga, powiadasz, sztuka dawania i brania — powiedz mi więc, jak mam wypełnić te zobowiązania wobec pryncypała, który nie chce ujawnić mi treści swoich myśli, nie ma zamiaru być wdzięczny istocie niższej i nie przyjmuje poleceń?

— Przyznaję, że to niewątpliwie dylemat.

— A mimo to zachęcasz mnie do przyjęcia tego zlecenia?

— W celach szkoleniowych.

Dzikus spojrział na Grahama i naraz się roześmiał.

— Z ciebie jednak jest sukinsyn.

— Możesz to traktować jako wyzwanie, okazję do pogłębienia twoich umiejętności.

Dotychczas odnosiłeś sukcesy i za to należy ci się pochwała, jednakże nie osiągnąłeś jeszcze pełni swoich możliwości. Niewiedza to śmierć. Aby zostać najlepszym, musisz nauczyć się jak najwięcej, a tradycja samurajska stwarza po temu doskonałą okazję. Proponuję ci, abys wgryzł się jeszcze głębiej w kulturę narodu twego pryncypała.

— Czy wynagrodzenie, jakie proponuje, sprawia, że ten wysiłek...

— Wyzwanie?

— ...opłaci się?

— Nie rozczarujesz się. To więcej niż tylko wyrównanie.

— Za co?

— Giń — odpowiedział Graham, zaskakując Dzikusa znajomością tego rdzennie japońskiego wyrażenia. — Ciężar zobowiązania wobec twego pana i każdego, kto uczyni ci uprzejmość. Nawet jeśli ta służba przebiegnie bez specjalnie ekscytujących wydarzeń, nie będziesz się nudził, mój drogi.

Z nieba koloru sadzy sączyła się obrzydliwa mżawka. Krople deszczu rozpryskiwały się na tłustej, smołowanej nawierzchni, tworząc brudną mgłę, która skraplała się na zakurzonych oknach portu lotniczego La Guardia.

Dzikus siedział w zatłoczonej hali American Airlines i obserwował DC-10 zbliżającego się do stanowiska przyłotów. Od czasu do czasu rozglądał się w poszukiwaniu potencjalnych źródeł zagrożenia, ale nie wyczuwał niczego złego. Oczywiście przeciwnik znający się co nieco na metodach śledczych starałby się nie zwracać na siebie uwagi, Dzikus więc pozostawał czujny.

— Jak się nazywa mój pryncypał? — zapytał wczoraj Grahama.

— Muto Kamichi.

Japończycy stawiają nazwisko przed imieniem. Formalny grzecznościowy zwrot „san”, który odpowiada naszemu „pan”, stosuje się nie do nazwiska, lecz do imienia, i dodawany jest po nim, do pryncypała należało zatem zwracać się „Kamichi-san”.

— Przylatuje do Nowego Jorku jutro — dodał Graham. — Po przejściu przez Biuro Imigracyjne i cło w Dallas.

— Jaki jest cel jego wizyty? Graham wzruszył ramionami.

— Kim on jest — biznesmenem, politykiem? No? — nalegał Dzikus.

Graham potrząsnął głową.

— Ura, czyli osobista część myśli, którą, jak słusznie zauważyłeś, Japończycy cenią sobie tak bardzo... Pryncypał woli zatrzymać cel swojej podróży dla siebie.

Dzikus sapnął gwałtownie.

— Waśnie dlatego mam opory przed podjęciem tej roboty. Jeżeli nie znam bodaj

ogólnie powodu jego przyjazdu, jak mam ocenić niebezpieczeństwo, które mu ewentualnie grozi? Polityk obawia się morderstwa, ale dla finansisty największym zagrożeniem jest porwanie. Każda z tych możliwości wymaga odmiennych metod ochrony.

— Oczywiście, ale zapewniono mnie, że potencjalne niebezpieczeństwo jest raczej niewielkie — powiedział Graham. — Pryncypał ma swoją własną eskortę — jednego człowieka. Gdyby się czegoś obawiał, wziąłby więcej ludzi. Od ciebie chce tylko, żebyś był jego szoferem i spełniał funkcje ochrony, kiedy jego własny strażnik będzie spał. Proste zlecenie. Pięć dni pracy za dziesięć tysięcy dolarów plus moje wynagrodzenie.

— Za prowadzenie samochodu? To za dużo.

— Płaci i żąda najlepszego.

— A jego strażnik?

— Nazywa się Akira.

— I to wszystko?

— On postępuje zgodnie z tym, co i tobie zaleciłem, czyli używa pseudonimu, aby przeciwnik nie mógł go zidentyfikować poprzez nazwisko.

— To dobrze, ale czy ten Akira jest sprawny?

— Według moich danych tak, i to wyjątkowo. Jak ty. Tak przy okazji, problemów językowych nie będzie, obaj mówią płynnie po angielsku.

Ale Dzikus nie był jeszcze całkiem upewniony.

— Czy nie byłoby to za wiele, gdybym oczekiwał, że pryncypał poinformuje mnie zawczasu, dokąd będę jechał?

— To nie jest człowiek nierozsądny, a ty oczywiście będziesz jechał dość daleko. — Graham wyglądał na rozbawionego. — Upoważnił mnie do przekazania ci tej zapieczętowanej koperty z instrukcjami.

DC-10 dotarł na stanowisko przylotów. Jazgot silników ustał, a krewni i przyjaciele ruszyli hurmem ku drzwiom, pragnąc jak najszybciej spotkać swoich najbliższych.

Dzikus obejrzał ich i przestał się nimi interesować, przenosząc uwagę na stojących na uboczu gapiów. Wciąż żadnego śladu zagrożenia. Zbliżył się do skraju tłumu oczekujących. Jak zwykle, dokowanie trwało denerwującą minutę, po czym pusty dotychczas pomost wypełniła struga pasażerów. Dookoła wymieniano uściski i pełne uczucia pocałunki.

Dzikus raz jeszcze przypatrzył się otoczeniu, ale wszystko wyglądało normalnie, ponownie więc skierował uwagę na pomost wyjściowy.

Nadeszła chwila próby. Jego pryncypał wraz z eskortą leciał pierwszą klasą, a dodatkowa opłata oznaczała nie tylko większe fotele, nadskakującą obsługę, lepsze posiłki i darmowe koktajle w dowolnej ilości, lecz również dawała przywilej wchodzenia na pokład i opuszczania go przed innymi pasażerami.

Wcześniejsze zajęcie miejsca było korzystne, można było bowiem uniknąć ewentualnego niebezpieczeństwa, grożącego w tłumie, wcześniejsze wyjście jednak narażało na zetknięcie z witającymi i nieprzewidywalne niebezpieczeństwa, profesjonalny opiekun nalegałby więc, aby jego pryncypał zaczekał do chwili, gdy większość pasażerów opuści samolot. Dzikus poczuł otuchę, kiedy nie dostrzegł żadnego Azjaty wśród ubranych z krzykliwą elegancją, migoczących złotymi zegarkami pasażerów pierwszej klasy, którzy kroczyli poprzez ciżbę z wysoko uniesionymi głowami, dzierżąc swoje teczki. Wielu z nich nosiło kosztowne buty kowbojskie i stetsony. Samolot przyleciał z Dallas, gdzie wcześniej lądował boeing 747 z Japonii, najwidoczniej jednak jego japońscy pasażerowie pozostali na miejscu albo wybrali połączenia do innych niż Nowy Jork miast.

Dzikus czekał.

Kolejna fala białych przyniosła jeszcze więcej wylewnych powitań, a potem strumień pasażerów zaczął się sączyć coraz cieńszą nitką. Kiedy pracownik American Airlines przepchnął przez drzwi starszą panią w fotelu na kółkach, DC-10 powinien już być teoretycznie pusty.

Teoretycznie.

Dzikus obejrzał się za siebie. Tłum oczekujących rozproszył się, podczas gdy inna niecierpliwa gromada kierowała się ku samolotom mającym niedługo odlecieć.

Ta część hali była już niemal pusta. Dozorca opróżnił popielniczki, a jakaś młoda para oddalała się z zawiedzionymi minami, znalazła się bowiem zbyt daleko na liście rezerwowej.

Żadnych zagrożeń.

Dzikus obrócił się znów ku bramie przylotowej, w której ukazał się Japończyk ubrany w ciemny golf, ciemne spodnie i ciemną wiatrówkę. Był to mężczyzna po trzydziestce, o schludnym wyglądzie. Choć jego muskulatura nie rzucała się w oczy, widać było, że nie należy do słabeuszy. Żyłasty i prężny, poruszał się płynnie i z gracją, w kontrolowany i oszczędny sposób, nie wykonując żadnych zbędnych gestów. Był jak tancerz, ale taki, który zna się na sztuce walki, gdyż czubki palców i kanty dłoni miały zgrubienia charakterystyczne dla kogoś, kto trenował karate. Równie wymowne było to, że jego ręce nie były obciążone żadną teczką czy torbą. Przystojny Japończyk wzrostu około metra siedemdziesięciu pięciu, o ciemnej cerze i krótkich czarnych włosach, z silnie zarysowaną szczęką i wydatnymi kośćmi policzkowymi, podkreślającymi kwadratowy kształt twarzy, oraz oczami jak lasery, wychwytyjącymi każdy szczegół.

Akira, bo to on był z pewnością, wywarł na Dzikusie niemałe wrażenie. Ewentualny napastnik musiałby nie mieć oleju w głowie, żeby wystąpić przeciwko temu człowiekowi, nawet gdyby okoliczności były sprzyjające. Dzikus przywykł mieć do czynienia ze średniakami, więc teraz niemal się uśmiechnął na myśl o współpracy z prawdziwym mistrzem.

Za Akirą zszedł z pomostu następny Japończyk, już dobrze po pięćdziesiątce, lekko przygarbiony i z wydatnym brzuchem. Ubrany był w niebieski garnitur, a w ręku niósł teczkę. Pasma siwizny w czarnych włosach i obwisłe smagłe policzki dopełniały obrazu zmęczonego urzędnika, nie zmyliło to jednak Dzikusa. Japończyk ten, jeśli tylko zechciał, z łatwością mógł wyprostować plecy i wciągnąć brzuch. Był to bez wątpienia Muto Kamichi, pryncypał Dzikusa. Najwidoczniej i on, podobnie jak Akira, miał za sobą trening w sztuce walki, jego dłonie bowiem również znaczyły zgrubienia.

Dzikus został poinstruowany, że powinien mieć na sobie brązowy garnitur i wzorzysty krawat. Kiedy Kamichi i Akira zbliżyli się do niego, nie wyciągnął ręki na powitanie, ponieważ gest ten skompromitowałby go jako obrońcę i tylko wzorem japońskim skłonił się lekko.

Obaj Japończycy zachowali obojętny wyraz twarzy, w ich oczach jednak mignęło zaskoczenie na widok przedstawiciela cywilizacji zachodniej, któremu nieobce są zasady japońskiej etykiety. Dzikus wcale nie oczekiwał od nich rewanżu, ale obaj odpowiedzieli mu, choć w znacznie bardziej oszczędny sposób — Akira właściwie tylko poruszył głowę, nie przerywając ani na chwilę obserwacji hali.

Uprzejmym gestem Dzikus zachęcił ich, aby poszli za nim. Szedł przodem, uważnie rozglądając się dookoła, za nim postępował Kamichi, Akira zamykał pochód.

Kiedy Dzikus ujrzał swego pryncypała, nacisnął guzik baterijnego przekaźnika w zewnętrznej kieszeni, przesyłając w ten sposób sygnał radiowy do odbiornika w samochodzie, który jeden z jego współpracowników podstawił na parking lotniska. Na dźwięk brzęczyka powinien ruszyć im na spotkanie.

Cała grupa dotarła do krańca hali i zeszła po schodach do pełnej rozgardiaszu strefy odbioru bagażu, gdzie zmęczeni pasażerowie zdejmowali walizki z transportera, spiesząc się, aby wyjść i złapać taksówkę. Dzikus obejrzał zaaferowany tłum, ominął go w bezpiecznej odległości i wskazał ręką rozsuwane drzwi. Kamichi i Akira poszli za nim, nie dbając o swoje bagaże.

Dobrze, pomyślał Dzikus. Ci dwaj rozumieli, na czym polegała ta gra.

Wyszli na zatłoczony chodnik pod kopułą z betonu. Na zewnątrz nadal mżyło. Temperatura, wysoka jak na kwiecień, wynosiła około piętnastu stopni. Wiał wilgotny letni

wietrzyk.

Dzikus spojrział w lewo i ucieszył się, gdy zobaczył, że ciemnoniebieska limuzyna skręca ku krawężnikowi. Rudowłosy mężczyzna, który z niej wysiadł, szybko przeszedł na chodnik i otworzył tylne drzwi pasażerom. Kamichi, zanim wsiadł, wręczył rudzielcowi kilka kwitów bagażowych. Dzikus z aprobatą stwierdził, że jego pryncypał jest dostatecznie doświadczony, aby nie wyręczać się Akirą i nie osłabiać jego czujności.

Dzikus zasiadł za kierownicą, nacisnął guzik, który blokował wszystkie drzwi, po czym założył pas bezpieczeństwa. W tym czasie rudowłosy oddalił się po bagaże. Ponieważ Kamichi i Akira rozważnie opóźnili wyjście z samolotu, ich walizki niemal z pewnością znajdowały się teraz na transporterze.

W minutę później rudzielec ułożył trzy walizki w bagażniku plymoutha i zatrzasnął pokrywę. Dzikus natychmiast odjechał od krawężnika, a jego asystent udał się w kierunku postoju taksówek.

Dzikus zakładał, że ponieważ obaj Japończycy postępowali z taką znajomością zasad bezpieczeństwa, będą rozumieli również, dlaczego wybrał samochód tak nie rzucający się w oczy i przez to niełatwy do śledzenia. Nie chodziło o to, że obawiał się pościgu, jak bowiem powiedział Graham, ryzyko tym razem miało być niewielkie. Niemniej jednak Dzikus nigdy nie zmieniał swych podstawowych zasad, dlatego też i teraz plymouth, pozornie całkiem zwyczajny, miał dodatkowe zabezpieczenia — kuloodporne szyby, opancerzenie, wzmocnione zawieszenie oraz ośmiocylindrowy silnik z doładowaniem.

Przy wtórze kłapania wycieraczek i świstu opon na mokrym asfalcie Dzikus zręcznie przemykał się wśród samochodów, po opuszczeniu terenu lotniska kierując się na zachód przez Grand Central Parkway. Koperta, którą mu dał Graham, spoczywała w kieszeni płaszcza, nie sięgał jednak po nią, gdyż wyuczył się instrukcji na pamięć. Nie dawało mu spokoju pytanie, dlaczego Kamichi wybrał La Guardię zamiast portu lotniczego w Newark. Droga samochodem byłaby wówczas krótsza i mniej zakłócona. Chociaż teraz kierował się na Manhattan, ostateczny cel podróży wymagał przecięcia pomocnego cypla wyspy i dalszej jazdy na zachód przez New Jersey do Pensylwanii. Logika Kamichiego, która kryła się u podłoża tej labiryntowej trasy, wymykała się rozumowi Dzikusa.

O piątej mżawka ustała. Kiedy Dzikus przejeżdżał przez most George'a Washingtona, zatłoczony o tej porze szczytowego natężenia ruchu, zwrócił się do swego pryncypała z pytaniem, czy nie miałby ochoty na sake, którą trzymał podgrzaną w termosie, w temperaturze może nie idealnej, lecz możliwej do przyjęcia. Ten jednak odmówił.

Dzikus poinformował swego klienta, że jeśli ma ochotę z kimś się porozumieć, samochód jest wyposażony w telefon.

Znowu odmowa — i na tym zakończyła się ich konwersacja.

Dopiero kiedy przejechali dwadzieścia mil w kierunku zachodnim po międzystanowej drodze nr 80, Kamichi i Akira zamienili ze sobą parę słów po japońsku.

Dzikus znał biegle kilka europejskich języków, co było niezbędne w jego pracy, japoński jednak, z jego skomplikowanym systemem przedrostków i przyrostków, był dla niego zbyt trudny. Dlaczego Kamichi postanowił wyłączyć go z tej rozmowy, chociaż sam mówił po angielsku? Jak można dobrze wykonywać swoją pracę, kiedy nie Tozumie się, co mówi człowiek, którego ma się chronić?

Akira nachylił się do przodu.

— Przy następnym zjeździe zobaczysz zespół hotelowo-restauracyjny. Nazywa się chyba „Howard-Johnson's". Bądź uprzejmy zatrzymać się po lewej stronie basenu.

Dzikus zmarszczył czoło. Po pierwsze, Akira świetnie znał szczegóły drogi, po drugie zaś jego wymowa angielska była bez zarzutu. Japoński nie robi różnicy między r i l, Akira jednak nie mówił „prease" czy też „Howald Johnson's". Jego akcent również był bezbłędny.

Posłuszny otrzymanym poleceniom, Dzikus skinął głową i zjechał z autostrady. Z lewej strony basenu, tam gdzie stała tabliczka z napisem ZAMKNIĘTE, spoza budynku



gospodarczego wyszedł łysiejący mężczyzna w dresie, zauważył dwóch Japończyków na tylnym siedzeniu i podniósł do góry teczkę.

Była to metalowa aktówka z zamkiem szyfrowym, identyczna z tą, którą Kamichi wyniósł z samolotu.

— Czy można cię prosić — odezwał się Akira — abyś wziął teczkę mego pana, wysiadł z samochodu i wymienił jedną teczkę na drugą?

Dzikus zrobił, co mu kazano. Wróciwszy do samochodu wręczył zamienioną teczkę swemu pracodawcy.

— Mój pan bardzo ci dziękuje — powiedział Akira. Dzikus skłonił głowę, zaintrygowany wymianą teczek.

— Moim celem jest służba. Arigato.

— Mój pan docenia twoją uprzejmość.

Po powrocie na autostradę Dzikus sprawdził w lusterku, czy nie są przypadkiem śledzeni, jednak samochody za nimi wciąż zmieniały pozycję. W porządku.

Było już ciemno, kiedy przekroczyli obramowaną górami granicę pomiędzy New Jersey i Pensylwanią. Reflektory nadjeżdżających z przeciwka samochodów pozwalały mu obserwować w lusterku twarze pasażerów. Siwowłosego pryncypała wydawał się pograżony we śnie, a może w medytacjach, lecz Akira wciąż pełnił straż, siedząc sztywno, jakby połknął kij. Jego twarz, podobnie jak twarz jego pana, nie ujawniała żadnych myśli, spokojna i obojętna, jednak w jego oczach widać było smutek.

Japończycy z natury skłonni są do melancholii. Surowe obowiązki, jakie nakładał na nich skomplikowany tradycyjny system wartości, uczyniły z Japończyków ludzi pełnych rezerwy i czujności, baczących, aby nieświadomie kogoś nie obrazić lub nie zaciągnąć wobec kogoś długu wdzięczności. Dzikus wyczytał gdzieś, że w dawnych czasach Japończyk wahałby się, czy powiedzieć przechodniowi, że właśnie zgubił sakiewkę, a to dlatego, że poczucie honoru nakazywałoby owemu przechodniowi zrewanżować się nagrodą o wartości większej niż zgubione pieniądze. Czytał również stare opowieści o człowieku, który wypadł z łódki do rzeki i tonął, a mimo to został zignorowany przez ludzi na brzegu, albowiem uratowanie ofiary wypadku oznaczałoby obciążenie jej obowiązkiem wynagradzania wybawcy przez całą ziemską egzystencję, chyba że miałyby szczęście odplacić mu również uratowaniem życia.

Osobowość Japończyka kształtuje wstydlivość i poczucie obowiązku. Oddanie sprawie honoru wymaga wielu wyrzeczeń. Nieraz jedynym wyjściem stawało się seppuku — rytualne samobójstwo.

W trakcie swoich studiów Dzikus przekonał się, że ta charakterystyka miała zastosowanie tylko wobec nie zepsutych Japończyków, którzy oparli się infekcji amerykańskiej kultury w czasie powojennej okupacji. Akira sprawiał wrażenie nie zepsutego i był na pewno patriotą, niemniej jednak to, co wyzierało z jego oczu, było czymś więcej niż zwykłą japońską melancholią. Jego smutek sięgał korzeniami głębi duszy, taki był mroczny i głęboki, czarny i otchłanny. Dzikus czuł, jak wypełnia wnętrze samochodu.

O jedenastej znaleźli się na bocznej drodze, wijącej się pośród • spowitych przez noc gór i prowadzącej do miasteczka Medford Gap. Kamichi znowu zamienił parę japońskich słów z Akirą, po czym Akira nachylił się do przodu, do Dzikusa.

— Bądź uprzejmy na głównym skrzyżowaniu w mieście skrócić w lewo.

Dzikus posłuchał. Oddalając się od świateł Medford Gap, jechał wąską, krętą drogą, cały czas mając nadzieję, że nie spotka żadnego jadącego z przeciwka samochodu. Na poboczach niewiele było miejsc dogodnych do parkowania.

Po obu stronach gęsto rosły drzewa. Droga wspinała się coraz wyżej, światła samochodu ukazywały pryzmy zleżającego śniegu na poboczach. Po dziesięciu minutach droga przestała

się wznosić, a jej ostre serpentyny przeszły w łagodne zakręty. W przodzie, ponad pokracznymi sylwetkami drzew, Dzikus ujrzał poświatę. Minał otwartą bramę, okrążył stertę głazów i wjechał na rozległą polanę. Z obu stron rozciągał się uśpiony ogród. Latarnie oświetlały ścieżki, ławki i żywopłoty. Uwagę Dzikusa przyciągnął przedziwny budynek, wznoszący się wprost przed nim.

W pierwszej chwili wydawało mu się, że jest to kilka budynków, z których jedne były z cegły, inne z kamienia albo drewna. Różniły się wysokością — miały po trzy, cztery albo pięć pięter — poza tym zaś każdy był w innym stylu. Ściany były gładkie lub zaokrąglone, a rozmaite kominy, wieżyczki, szczyty i balkony dopełniały wrażenia dziwaczного architektonicznego chaosu.

Kiedy jednak Dzikus podjechał bliżej, zorientował się, że wszystkie te pozornie odrębne twory są złączone i tworzą razem jedną ogromną, zdumiewającą całość. Mój Boże, pomyślał, jak długie to może być — trzysta metrów?

W żadnej z części domu nie było drzwi — poza jedynymi pośrodku, w miejscu, gdzie droga podchodziła do szerokich drewnianych schodów wiodących do ganku, na którym oczekiwał ich mężczyzna w uniformie. Uniform ten, ze złotymi szamerowaniami i epoletami, przypominał Dzikusowi mundury portierów w luksusowych hotelach. Na ganku zauważył szyld, na którym widniała nazwa GÓRSKIE USTRONIE W MEDFORD GAP i dopiero wtedy zrozumiał, że ten dziwny budynek był w rzeczywistości hotelem.

Gdy samochód zatrzymał się przy schodach, człowiek w uniformie ruszył w dół.

Dzikus zeszywniał.

Dlaczego, do cholery, nie dostałem pełnych instrukcji? Powiniennem wiedzieć, gdzie się zatrzymamy. To miejsce... na szczycie góry, kompletnie odizolowane, tylko ja i Akira do ochrony Kamichiego, żadnego wyjaśnienia, dlaczego właśnie tu przyjechaliśmy, żadnego sposobu kontrolowania, kto wchodzi i wychodzi z tak ogromnego domu... koszmar dla ochrony.

Przypomniawszy sobie tajemniczą wymianę teczek, Dzikus obrócił się do Kamichiego, aby powiedzieć mu, że ura, czyli prywatne myśli, to piękna rzecz w Japonii, ale tu doprowadzają tylko obrońcę do rozpacz, i o co w ogóle, do diabła, chodzi?

— Mój pan docenia twoją troskliwość — przerwał mu Akira. — Przyznaje również, że te pozornie ryzykowne okoliczności mogą budzić twoje obiekcje, ale powinieneś wiedzieć, że poza jeszcze paroma gośćmi cały hotel będzie pusty, a ci goście również mają ochronę. Droga będzie strzeżona. Nie spodziewamy się żadnych incydentów.

— Nie jestem główną eskortą — odpowiedział Dzikus. — To ty nią jesteś. Z całym należnym szacunkiem muszę jednak powiedzieć, że w istocie jestem zaniepokojony. Czy tobie samemu odpowiada ten stan rzeczy?

Akira skłonił głowę, rzucając melancholijne spojrzenie na Kami-chiego.

— Robię to, czego sobie życzy mój pan.

— Tak jak i ja. Ale to mi się nie podoba.

— Twój sprzeciw został odnotowany. Mój pan zwalnia cię z odpowiedzialności.

— Wiesz dobrze, że jeśli sam się zobowiązałem, nie można mnie zwolnić.

Akira ponownie się skłonił.

— Oczywiście. Przystudiowałem twoje listy polecające. Dlatego właśnie zgodziłem się, kiedy mój pan zdecydował się na ciebie zatrudnić.

— Wiesz zatem, że cała ta rozmowa jest bez sensu. Zrobię, co będzie konieczne — powiedział Dzikus. — Wszystko. Ale nigdy więcej nie będę współpracował z tobą i z twoim panem.

— Ten jeden raz wystarczy.

— No to do roboty.

Człowiek w uniformie wciąż czekał. Dzikus nacisnął guzik od-blokowujący drzwi i bagażnik, po czym wysiadł i kazał portierowi wnieść walizki. Rozejrzał się uważnie wokół, a potem powiodł za sobą Kamichiego i Akirę w górę po schodach.

Westybul wyglądał jak zabytek z dziewięćdziesiątych lat ubieg-•łego wieku. Ściany pokrywała stara sosnowa boazeria, żyrandole zrobione były z kół wozów. W pobliżu imponujących starych schodów znajdowała się pojedyncza prymitywna winda. Całe to historyczne wnętrze zalatywało jednak pleśnią i zapachem rozkładu. Hotel duchów. Dzikus stanął plecami do Kamichiego, obserwując opustoszały westybul. Akira zrobił to samo z drugiej strony, podczas gdy ich pryncypał rozmawiał szeptem ze starszą kobietą o włosach jak pajęczyna, stojącą za kontuarem.

— Nie pojedziemy windą — powiedział Akira.

— Zawsze to odradzam moim pryncypałom, jeśli tylko jest to możliwe.

— Tym razem chodzi o to, że mój pan woli te niezerównane schody. Jak gdyby Kamieni już tu kiedyś przebywał.

Trzecie piętro. Przy każdym kroku do góry Dzikus słyszał głośnie sapanie służącego dźwigającego walizki. Niedobrze, pomyślał, winda byłaby dla ciebie lepsza. Ale winda to pułapka, a poza tym wyglądało na to, że tu obowiązują inne reguły gry.

Człowiek w uniformie zatrzymał się przy drzwiach.

— Dziękuję. Proszę zostawić walizki tutaj — powiedział Dzikus.

— Jeżeli pan tak woli.

— A napiwek...

— To już załatwione, proszę pana.

Służący podał trzy klucze, ale nie wręczył ich Dzikusowi lub Akirze, lecz Kamichiemu. Dzikus patrzył za nim, aż zniknął na schodach. Czyżby ten człowiek również był wyszkolony w ochronie? Wiedział, że ręce eskorty powinny być wolne...

Kamichi otworzył drzwi i usunął się, przepuszczając Akirę, aby dokonał inspekcji.

Gdy Akira wrócił, skinął głową Kamichiemu i zwrócił się do Dzikusa, unosząc brwi:

— Czy zechciałbyś...?

— Oczywiście.

Wyposażenie pokoju było prymitywne. Kaloryfer nie pomalowany, pod sufitem mętna żarówka, zniszczona podłoga z gołych desek sosnowych, a jedyne okno zakrywały tanie zasłony. Wąskie i zapadnięte łóżko przykrywała bardzo stara narzuta domowej roboty. W łazience ręczny prysznic zwisał na zaczepie nad obskurną baterią. Wszystko przeniknięte było zapachem pleśni. W pokoju nie było telewizora, ale był telefon, staromodny, duży i czarny, z tarczą zamiast przycisków.

Dzikus zajrzał do jedynej szafy w ścianie. Była płytka i zionęła stęchlizną. Przeszedł do drzwi, które znajdowały się obok okna i kaloryfera, i wyrzął przez nie na mały balkon. Światła z tylnej ściany domu odbijały się w powierzchni owalnego jeziora wprost pod stopami. Z prawej otaczały je urwiska, po lewej widać było przystań. Z drugiej strony jeziora pogrążona w cieniu ścieżka wiodła do sosnowego zagajnika, a potem w górę, na mroczne zbocze.

Dzikus poczuł ciarki na skórze i wyszedł z pokoju.

— Czy kwatery mego pana zyskała twoje uznanie? — spytał Akira.

— Jeżeli lubi harcerskie warunki.

— Harcerskie warunki?

— To dowcip.

— Aha. — Akira zdobył się na uśmiech.

— Chciałem powiedzieć, że pokój nie jest przesadnie luksusowy. Większość moich klientów nie zgodziłaby się w nim zamieszkać.

— Mój pan woli prostotę.

— Ależ oczywiście, to, czego życzy sobie Kamichi-san, jest najważniejsze. — Dzikus skłonił się swemu pracodawcy. — Ale martwi mnie balkon — ten i inne. Ktoś mógłby bardzo łatwo przejść z jednego na drugi i wejść do pokoju.

— Balkony po obu stronach należą do naszych pokoi, a poza tym, jak już mówiłem, w hotelu przebywa tylko kilku innych gości — powiedział Akira. — Zarówno oni, jak i ich

eskorta są godni zaufania. Są współpracownikami mego pana. Nie przewiduję żadnych incydentów.

— Niepokoją mnie również drzewa po drugiej stronie jeziora. Nie mogłem im się dobrze przyjrzeć, ale w nocy, przy zapalonych światłach w hotelu, ktoś mógłby mieć doskonały widok na pana Kamichiego przy oknie.

— Ktoś ze strzelbą? — Akira potrząsnął głową.

— Tak mnie nauczono myśleć.

— Mój pan docenia twoją ostrożność, ale nie ma żadnego powodu lękać się o swoje życie. Nadzwyczajne środki bezpieczeństwa nie będą potrzebne.

— Ale...

— Mój pan idzie się teraz kąpać.

Dzikus wiedział, że kąpiel jest jedną z największych przyjemności Japończyka, oznaczającą dla niego dużo więcej niż tylko proste oczyszczenie ciała. Kamichi najpierw napełni wannę i wyszoruje się dokładnie, po czym wypuści wodę, umyje wannę, napełni ją ponownie i zacznie się moczyć. Być może powtórzy to wszystko kilkakrotnie.

— Doskonale — powiedział Dzikus. — Ale obawiam się, że woda nie będzie tak gorąca, jak by sobie życzył. — Japończycy lubili wodę o temperaturze nie do zniesienia dla większości białych.

Akira wzruszył ramionami.

— W podróży zawsze trzeba pogodzić się z pewnymi niewygodami. Kiedy mój pan będzie się kąpał, zamówię dla niego posiłek, a gdy już będzie gotowy do snu, wrócę i zwolnię cię na spoczynek.

Kamichi zebrał swoje bagaże, dbając, aby ręce Akiry pozostały wolne, Akira zaś uklonił się Dzikusowi, wszedł za swoim panem do pokoju i zamknął drzwi.

Dzikus pozostał na straży. W samotności stał się bardziej wrażliwy na ciszę panującą w hotelu. Popatrzył na walizki, swoją i Akiry, po czym przesunął wzrok na milczące drzwi, ciągnące się szeregiem wzdłuż korytarza, i na wiszące na ścianach fotografie — stare, wyblakłe zdjęcia przedstawiające otoczone urwiskami jezioro z czasów przed wybudowaniem hotelu, brodatych mężczyzn i kobiety w czepkach w powozach z ubiegłego wieku i jakieś dawno już nieżyjące rodziny na piknikach u brzegów jeziora.

Znowu poczuł niepokój. Obróciwszy się w lewo przyjrzał się szczytowi majestatycznych schodów. Za nimi ciągnął się jeszcze przez niemal sto metrów opustoszały korytarz. Z prawej strony widział następny odcinek korytarza, zakończony załomem i zastawiony staromodnymi fotelami na biegunach.

Ostrożnie zbliżył się do tej zawady w swym polu widzenia. Korytarz zakręcał dalej ostro w stronę wejścia do hotelu, po czym ponownie skręcał, biegnąc znowu sto metrów przez dalszą część budynku. Ta jego część wydawała się jeszcze bardziej opustoszała.

Dzikus poczuł chłód na karku.

W dwie godziny później leżał w swoim pokoju na zapadniętym materacu i czytał broszurkę, którą znalazł na nocnym stoliku. Dowiedział się z niej, że „Górskie Ustronie” miało fascynującą historię. W 1870 roku pewne menonickie małżeństwo, które prowadziło gospodarstwo na pobliskich nizinach, wybrało się na wycieczkę na górę Medford. Małżonkowie zdumieli się, gdy odkryli, że na samym jej szczycie znajduje się kotlina, a w niej owalne jezioro, utworzone przez bijące tu źródło. Miejsce to wydało się im naznaczone przez samego Boga.

Zbudowali chatę w miejscu, gdzie obecnie znajduje się westybul hotelu, i poczęli spraszać inne menonickie rodziny, aby wspólnie czcić chwałę niebios na ziemi. Tak wielu współwyznawców odpowiedziało na ich zaproszenie, że chatę trzeba było rozbudować.

W 1910 roku z nie wyjaśnionych przyczyn wybuchł pożar, który strawił doszczętnie chatę i jej przybudówki. Małżeństwo, które odkryło jezioro, odeszło już wtedy z tego świata, ich córki i synowie jednak, czując się w obowiązku kontynuować dzieło rodziców,

natychmiast zabrali się do odbudowy schroniska. Będąc wszakże rolnikami, stwierdzili, że nie dadzą sobie rady bez fachowej pomocy. Wynajęli więc pewnego nowojorskiego architekta, który porzucił swój zawód, bo nie lubił życia w mieście. Architekt ten przeszedł na wiarę menonitów i całkowicie poświęcił się ich sprawie.

Intuicja mieszkańca wielkiego miasta podpowiedziała mu, że aby zmusić niedowiarków do porzucenia brudu i nędzy ich życia, schronisko winno być czymś całkiem wyjątkowym, jedynym w swoim rodzaju.

Zgodnie z tym założeniem każda przybudówka powstawała wedle odmiennego projektu, a w miarę jak interes rozkwitał, budynek się rozrastał i wydłużał. Goście przybywali z daleka, nawet z San Francisco, i wielu z nich corocznie żądało tego samego pokoju.

Dopiero w 1962 roku spadkobiercy fundatorów hotelu zezwolili na zainstalowanie telefonów w pokojach — niemniej jednak, zgodnie z surowymi obyczajami menonitów, wciąż obowiązywał zakaz używania aparatów radiowych i telewizyjnych. Zakazane były również tańce i gra w karty oraz picie alkoholu i palenie tytoniu.

Z nieznanych przyczyn ten ostatni zakaz został prawdopodobnie uchylony tym razem, gdyż następnego ranka, gdy Dzikus towarzyszył Kamichiemu przy zejściu na parter, zobaczył trzech mężczyzn w salonie — i dwóch z tej trójki paliło papierosy.

Stały tam wielkie drewniane kolumny, które wspierały ciężkie belki stropowe. Okna salonu odsłaniały widok na jezioro i zalesione zbocza góry, a w obszernym kominku płonęły bierwiona, płosząc chłód poranka. W jednym rogu stał duży fortepian, wszędzie rozstawione były fotele na biegunach, ale uwagę Dzikusa przykuł przede wszystkim długi stół konferencyjny pośrodku pokoju, od którego na powitanie Kamichiego podniosło się trzech mężczyzn.

Wszyscy trzej, podobnie jak Kamichi, byli po pięćdziesiątce, nosili kosztowne garnitury i mieli wyrachowane oczy dyplomatów lub wysokiej klasy finansistów. Amerykanin, Włoch i Hiszpan. Nie znali japońskich obyczajów, a może świadomie woleli trzymać się zwyczajów Zachodu, wszyscy bowiem uścisnęli rękę Kamichiego, zamiast odpowiedzieć ukłonem na jego ukłon. Po krótkiej wymianie uprzejmości usiedli przy stole. Z twarzy znikły wymuszone uśmiechy i rozpoczęła się poważna dyskusja.

Dzikus pozostał przy wejściu do salonu. Było to zbyt daleko, aby słyszeć treść rozmowy, dobiegały go tylko ich stłumione głosy. Przypatrzył się ścianom po prawej i lewej stronie — przy jednej stał włoski, a przy drugiej hiszpański strażnik, obaj na baczność, zwrócenie plecami do swoich pryncypałów, z uwagą skierowaną ku oknom i balkonom z obu stron salonu. W głębi pomieszczenia amerykański strażnik obserwował okno, z którego roztaczał się widok na jezioro.

Zawodowcy.

Również i Dzikus obrócił się tyłem do salonu i począł obserwować pusty westybul, oczekując ewentualnych intruzów. Przypuszczał, że trzej rozmówcy Kamichiego mieli liczniejszą ochronę osobistą — część ludzi patrolowała okolicę, reszta zaś spała tak jak Akira, który stał na warcie przed pokojem swego pana od drugiej w nocy do świtu, kiedy to zmienił go Dzikus.

Spotkanie rozpoczęło się o wpół do dziewiątej. Od czasu do czasu przyciszone głosy stawały się podniecone, po czym znowu się uspokajały. O wpół do dwunastej rozmowa się zakończyła.

Kamichi wstał i wyszedł z salonu, a za nim podążyła reszta w otoczeniu eskorty. Goście nie wyglądali na zadowolonych, więc Dzikus przyjął za niemal pewne, iż wkrótce zaczną zbierać się do odjazdu. Poczul się zaskoczony, kiedy Kamichi powiedział:

— Muszę teraz pójść do pokoju i przebrać się. W południe będę grał z kolegami w tenisa.

Kiedy Kamichi wraz z Hiszpanem zaczęli rozgrywać debła przeciwko Amerykaninowi i Włochowi, Akira już się obudził i zajął miejsce Dzikusa. Niebo było bezchmurne, a temperatura znowu skoczyła do góry. Gracze musieli często ocierać pot z twarzy.

Dzikus zdecydował się na przechadzkę po terenie, ponieważ chciał rozprostować mięśnie, a poza tym był ciekaw, czy przedsięwzięto jakieś dodatkowe środki ostrożności.

Kiedy dotarł do ścieżki, która wiodła wśród bezlistnych drzew między gładzami w górę stoku nad jeziorem, przypatrzył się urwisku i dostrzegł nad nim człowieka ze strzelbą i radiotelefonem. Strażnik zauważył Dzikusa, ale najwyraźniej rozpoznał w nim członka zespołu, zignorował go bowiem i ponownie zwrócił oczy ku drodze prowadzącej do hotelu.

Dzikus szedł dalej w górę krętą ścieżką, napotykając w lesie płyty śniegu i lodu, i zatrzymał się dopiero na skraju urwiska, skąd roztaczał się wspaniały widok na uprawne ziemie w dolinie, otoczonej zewsząd górami. W dół zbrocza ku skalnej półce prowadziły drewniane stopnie, przeznaczone, jak mówiła tabliczka, „tylko dla doświadczonych wspinaczy”.

Zawracając z powrotem do hotelu, Dzikus zauważył jeszcze jednego człowieka ze strzelbą i radiotelefonem, który krył się pomiędzy sosnami na krawędzi urwiska. On również spostrzegł Dzikusa, kiwnął mu głową i dalej prowadził obserwację.

Kiedy Dzikus powrócił do hotelu, mecz już się zakończył. Zwycięski Kamichi poszedł do swego pokoju, wykąpał się i zjadł obiad w towarzystwie Akiry, podczas gdy Dzikus stał na straży w korytarzu. O drugiej po południu konferencja rozpoczęła się na nowo i trwała do piątej. Pryncypałowie znów wstali od stołu niezadowoleni, szczególnie Amerykanin, którego twarz była aż czerwona z gniewu.

Całą grupą przeszli do wielkiej jadalni na drugim piętrze, gdzie zasiedli wśród opustoszałych stolików i nie tylko palili, ale łamali również jeszcze jeden zakaz, pijąc koktajle. Wcześniejsza zgryźliwość ustąpiła miejsca nieoczekiwanej wesołości. Po kolacji i kieliszku koniaku wszyscy udali się na spacer w otoczeniu eskorty, a o ósmej powrócili do swych pokojów.

Dzikus stał na warcie do północy, Akira do świtu. O wpół do dziewiątej kolejne spotkanie rozpoczęło się w atmosferze napięcia i gniewu, jak gdyby wczorajsza komitywa nigdy nie istniała.

Pod koniec trzeciego dnia obradujący podnieśli się od stołu konferencyjnego w salonie, uścisnęli sobie ręce i rozeszli się do swoich pokojów. Wszyscy wyglądali na bardzo zadowolonych.

— Akira spakuje moje riaczy — powiedział Kamieni, kiedy wraz z Dzikusem wszedł na piętro. — Wyjeżdżamy dzisiaj wieczorem.

— Jak pan sobie życzy, Kamichi-san.

Nagle serce Dzikusa zamarło, usłyszał bowiem ciche skrzypnięcie klamki. Z pokoju naprzeciwko wybiegło na korytarz czterech mężczyzn, czterech muskularnych, ciemno odzianych Japończyków po trzydziestce. Trzech z nich dzierżyło miecze zwane bokkenami. Ich klingi zrobione były nie ze stali, lecz z drewna.

Kamichi sapnął.

Dzikus odepchnął go na bok, krzyząc:

— Uciekaj! — i rzucił się pomiędzy atakujących i swego pryncypała. Myśl o tym, że sam mógłby uciec, w ogóle nie przyszła mu do głowy. Nie mógł sobie pozwolić na lęk o własne życie.

Najbliższy napastnik zadał cios bokkenem. Dzikus odparował ten cios kopnięciem i trafił w nadgarstek atakującego, zbijając drewniany miecz z linii uderzenia. Obrócił się i wyprowadził cios kantem dłoni, starając się trafić w szyję drugiego napastnika, ale jego ręka nie dotarła do celu. Bokken trzasnął Dzikusa w ramię. Paraliżujące uderzenie dobiło mu ramię do boku. Chrupnęła kość, Dzikus jęknął.

Choć ta ręka była już do niczego, rzucił się znów przed siebie, starając się unikać drewnianego miecza i siekać drugą, jeszcze sprawną dłonią. Tym razem udało mu się złamać nos jednemu z napastników.

Niespodziewanie wyczuł obok obecność kogoś, kogo tu być nie powinno. Kamichi.

— Nie! — krzyknął.

Kamichi kopnął napastnika.

— Uciekaj!

Bokken uderzył Dzikusa w drugie ramię. Znów jęknął, gdy pękła kość.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Akira wypadł ze swego pokoju. Drewniane miecze zawirowały wokół niego, a on ciął i kopał.

Drewniany miecz lupnął Dzikusa w żebra, aż zgiął się wpół, nie mogąc złapać tchu. Starając się wyprostować zobaczył, jak Akira zwałił z nóg jednego z napastników.

Kamichi nagle krzyknął, ugodzony drewnianym mieczem. Obie ręce Dzikusa były bezwładne, mógł więc posłużyć się tylko kopniakami. Zdołał wykonać zaledwie jeden. Trafił napastnika w pachwinę, lecz drugi trzasnął go mieczem w prawe kolano. Noga się pod nim załamała, ale zanim upadł, twarz wykrzywił mu ból od ciosu w drugie kolano, kręgosłup i wreszcie w tył głowy.

Dzikus padł twarzą na podłogę. Po chwili zdołał unieść głowę i choć ból mroczył mu oczy, ujrzał, jak Akira zwijał się, rozdzielając wokół ciosy rąk i nóg.

Tylko trzech napastników posługiwało się bokkenami. Czwarty z Japończyków cały czas stał za nimi, z pustymi na pozór rękami, teraz jednak sięgnął do boku ruchem zbyt szybkim dla oka i naraz w jego ręku ukazała się katana, długi zakrzywiony miecz samurajski. Błysnęła polerowana stal.

Burknął jakiś rozkaz po japońsku i trzech mężczyźni wycofali się. Zamachnął się kataną. Ostra jak brzytwa klinga świsnęła, trafiła Kamichiego w pasie i rozcięła go na pół, nie wytracając prędkości, jakby przeszła przez powietrze. Górna i dolna połowa Kamichiego upadły w przeciwnych kierunkach.

Trysnęła krew, na podłogę wylały się pokaleczone wnętrzości.

Akira zawył ze zgrozy i rzucił się, aby zadławić mordercę, zanim zdoła zadać drugi cios, było już jednak za późno. Zabójca oczekiwał go, dwoma rękami dzierżąc katanę.

Z bolesnej perspektywy Dzikusa na podłodze mogło się wydawać, że Akira zdołał uskoczyć na czas, aby umknąć ostrza, ale człowiek z mieczem nie uderzył po raz drugi. Stał i patrzył obojętnie, jak głowa Akiry spada z karku.

Jak z przeciętej szyi chluszcze krew.

Jak jego tułów stoi groteskowo przez trzy sekundy, po czym upada.

Głowa Akiry uderzyła o podłogę z głuchym stuknięciem, potoczyła się i zatrzymała na wprost Dzikusa, oparłszy się na kikucie szyi. Jej oczy znalazły się na wprost jego oczu.

Oczy były otwarte.

Mrugnęły.

Dzikus wrzasnął, niemal nie słysząc zbliżających się kroków. Nagle poczuł, jakby tył głowy rozpękł mu się na pół. Ujrzał czerwień, potem biel, potem nic.

Powieki ciążyły Dzikusowi, jakby leżały na nich monety. Z ogromnym wysiłkiem próbował je otworzyć. Wydawało mu się to najtrudniejszym zadaniem, jakie kiedykolwiek podejmował, ale w końcu udało się. Światło sprawiło, że skręcił się z bólu. Prędko znowu zamknął oczy, ale jasność kłuła teraz nawet przez powieki, chciał więc unieść rękę, by je osłonić, lecz nie mógł. Czuł się, jakby do rąk miał przywiązane jakieś ciężary.

Nie tylko jednak rękami — nogami również nie mógł poruszyć.

Starał się pomyśleć, zrozumieć, co się stało, ale głowę wypełniała mu tylko wirująca mgła.

Bezradność sprawiła, że ogarnął go paniczny, palący trzewia strach. Nie mogąc poruszyć ciała, zaczął rzucać głową z boku na bok, ale poczuł tylko, że obejmowało ją coś miękkiego i grubego. Strach narastał.

— Proszę się uspokoić — odezwał się jakiś głos. Głos należał do mężczyzny.

Dzikus przemógł się i znów otworzył oczy.

Jakiś cień uniósł się, przesłaniając kłujące światło. Siedzący na krześle mężczyzna obrócił się i przekręcił dźwignię, opuszczając żaluzje w oknie.

Mgła w głowie Dzikusa zaczęła się rozpraszać. Stwierdził, że leży na wznak w łóżku.

Spróbował się unieść, ale nie mógł. Miał trudności z oddychaniem.

— Proszę, niech pan się nie rusza — powiedział mężczyzna i podszedł do łóżka. — Miał pan wypadek.

Dzikus rozchylił wargi, aby zaczerpnąć powietrza. Słyszał łomotanie swego pulsu i czuł się, jakby gardło miał wypełnione cementem.

— Wypadek? — Jego głos zgrzytał jak żwir na ścieżce.

— Nie pamięta pan?

Dzikus potrząsnął głową i nagle jęknął od piekącego bólu.

— Bardzo pana proszę — z naciskiem powiedział mężczyzna — niech pan nie porusza głową. Jest uszkodzona!

Oczy Dzikusa rozszerzyły się.

— Nie powinien się pan denerwować. To był poważny wypadek.

Niebezpieczeństwo chyba już minęło, ale nie chcę niczego zostawiać przypadkowi. — Mężczyzna nosił okulary, miał biały fartuch, a na szyi słuchawki. — Wiem, że ma pan teraz w głowie zamęt, i stąd bierze się strach. Tego należało oczekiwać, ale niech pan stara się nad tym zapanować. Po rozległych obrażeniach ciała, a szczególnie głowy, czasem dochodzi do częściowej utraty pamięci. — Przyłożył słuchawki do piersi Dzikusa. — Jestem doktor Hamilton.

Tego, co powiedział doktor, było za dużo, i było to za bardzo skomplikowane, aby Dzikus mógł wszystko pojąć. Musiał najpierw się cofnąć i przypomnieć sobie szczegóły minionych wydarzeń.

— Gdzie ja jestem? — wymamrotał. Głos doktora budził zaufanie.

— W szpitalu. Niech pan się pogodzi z tym zamętem w głowie. Wiem, że jest pan zdezorientowany, ale to minie. Na razie niezbędne dla pańskiego powrotu do zdrowia jest, aby starał się pan nie denerwować.

— Nie to chciałem... — Wargi Dzikusa drętwiały. — Gdzie?

— Nie rozumiem... ach tak, oczywiście. Chciał pan wiedzieć, gdzie znajduje się ten szpital?

— Tak. — Dzikus odetchnął.

— W Harrisburgu, w Pensylwanii. Pierwszej pomocy udzielono panu sto mil na północ stąd, ale prowincjonalna klinika nie miała wyposażenia, jakiego wymagał pana wypadek, jeden z naszych zespołów urazowych przewiózł więc pana tutaj helikopterem.

— Tak. — Powieki Dzikusa zatrzepotały. — Uraz. — Mgła powracała. — Helikopter. Ciemność.

Obudził go ból. Każdy jego nerw drżał od największych męczarni, jakie dotychczas przeżywał. Poczł ucisk na prawą dłoń. Skierował przerażony wzrok na pielęgniarkę, która właśnie wyjmowała strzykawkę z rurki kroplówki, podłączonej do żyły na jego dłoni.

— To środek przeciwbólowy. — Przy łóżku ukazał się doktor Hamilton. — Demerol.

Dzikus mrugnął oczami na znak zrozumienia, przytomny na tyle, by zdawać sobie sprawę, iż kiwnięcie głową sprawiłoby mu jeszcze więcej bólu. Ból miał jednak i dobrą stronę, dzięki niemu bowiem widział wszystko z nieprawdopodobną ostrością. Po prawej stronie łóżka na metalowym stojaku wisiała kroplówka. Płyn w zbiorniku był żółty.

— Co to? — zapytał.

— Odżywka — odpowiedział doktor. — Ostatecznie jest pan tu już od pięciu dni, a nie mogliśmy pana karmić doustnie.

— Pięć dni? — Dzikusowi zakręciło się w głowie.

Jego wyostrzona przez ból świadomość dała mu znać, że nie tylko całą głowę miał w bandażach, również obie ręce i nogi były w gipsie, doktor zaś — dlaczego takie szczegóły wydawały mu się ważne? — był blondynem po czterdziestce z piegami na policzkach.

— Bardzo ze mną źle? — Na twarz Dzikusa wystąpił pot. Doktor zawahał się.

— Obie ręce i nogi miał pan złamane w kilku miejscach. Dlatego właśnie założyliśmy



panu kropłówkę na dłoni, bo gips na wszystkich kończynach uniemożliwia dostęp do żył.

— A te bandaże na głowie?

— Czaszka z tyłu jest pęknięta. Ma pan również pęknięte czwarte, piąte i szóste żebro po prawej stronie.

Dzikus naraz zorientował się, że jego klatka piersiowa ściśnięta jest ciasno bandażami. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego miał trudności z oddychaniem i skąd brał się przeszywający ból przy każdym wdechu.

Pod działaniem demerolu jego udręka stopniowo ustępowała, ale lek stępiał nie tylko ból, lecz również i myśli.

Nie! Nie mógł sobie na to pozwolić. Miał zbyt wiele pytań. Z wysiłkiem starał się skoncentrować.

— Czy to najgorsze z mbich urazów?

— Niestety nie. Miał pan odbite nerki, pęknięty wyrostek robaczkowy i śledzionę oraz krwotok wewnętrzny. Musieliśmy operować.

Pomimo narastającego odrętwienia spowodowanego demerolem Dzikus zauważył coś jeszcze — miał założony cewnik, który odprowadzał mocz do niewidocznego zbiornika, zawieszzonego w nogach łóżka.

— Reszta pańskich urazów to już drobiazgi, powierzchowne obrażenia — powiedział doktor.

— Mówiąc inaczej, jestem cały rozpieprzony.

— Doskonale. Poczucie humoru to oznaka powracania zdrowia. Dzikus z wysiłkiem porządkował myśli.

— To był wypadek? — zapytał po chwili.

— Wciąż pan nie pamięta? — Doktor zmarszczył brwi.

— To tak, jakbym patrzył przez mgłę. Jakiś czas temu... tak, pamiętam, że byłem na Bahamach.

— Kiedy? — szybko zapytał doktor. — Czy przypomina pan sobie, w jakim miesiącu? Dzikus wyteżył pamięć.

— Na początku kwietnia.

— Mniej więcej dwa tygodnie temu. Czy może mi pan powiedzieć, jak się pan nazywa?

Dzikus znowu niemal popadł w panikę. Jakiego nazwiska używał?

— Roger Forsyth.

Czy prawidłowo odgadł?

— To nazwisko na prawie jazdy, które znaleźliśmy w pańskim portfelu. A adres?

Dzikus skupił się i podał adres z prawa jazdy, farmę w pobliżu Alexandrii w Wirginii. Jej posiadaczem był Graham, pod fałszywym nazwiskiem oczywiście, i użyczył jej Dzikusowi oraz paru innym obrońcom.

Graham? Serce Dzikusa забиło w szybszym tempie. Tak, pamiętał Grahama całkiem dobrze.

Doktor skinął głową.

— To właśnie jest adres z pańskiego prawa jazdy. Dostaliśmy z informacji numer telefonu i staraliśmy się dodzwonić na farmę, ale bez powodzenia. Policja stanowa z Wirginii wysłała tam funkcjonariusza, ale i on nie zastał nikogo w domu.

— Mieszkam sam.

— Czy ma pan jakichś przyjaciół lub krewnych, z którymi chciałby się pan skontaktować?

Demerol coraz bardziej oszalał Dzikusa, tak że obawiał się popełnić jakąś omyłkę w odpowiedzi.

— Nie jestem żonaty.

— A rodzice?

— Nie żyją. Nie mam także braci ani siostr. — Oczy same mu się zamykały. — I nie chciałbym niepokoić moich przyjaciół.

— Jest pan tego pewny?

— Tak, absolutnie.

— No cóż, przynajmniej pana odpowiedzi zgadzają się z tym, co znaleźliśmy w pana portfelu. To potwierdza to, o czym panu mówiłem wczoraj. Cierpiał pan na częściowy zanik pamięci, co nie zawsze jest następstwem urazu czaszki, ale też nie jest niczym nadzwyczajnym.

Dzikus wysiłkiem woli starał się nie zasnąć.

— Ale pan wciąż nie odpowiedział na moje pytanie. Co to był za wypadek?

— Czy przypomina pan sobie „Górskie Ustronie” w Medford Gap?

Pomimo spowijającej go mgły przypomnienie wywołało szok.

— Medford Gap? Tak, hotel. Dziwny...

— Doskonale, już panu wraca pamięć. — Doktor Hamilton podszedł bliżej. — Był pan tam gościem. Wyszedł pan na przechadzkę...

Rzeczywiście, Dzikus pamiętał spacer przez las.

— ...i spadł pan z urwiska.

— Co?

— Administrator hotelu upiera się, że schodki na urwisku były wyraźnie oznakowane: „Tylko dla doświadczonych wspinaczy”, ale pan zaczął schodzić. Przypuszczalnie stracił pan oparcie pod nogami na płacie lodu. Gdyby nie półka dziesięć metrów niżej, spadłby pan trzysta metrów w dół. Szczęściarzem z pana. Kiedy nie wrócił pan do hotelu na kolację, służba wyszła na poszukiwania. Udało im się znaleźć pana tuż przed zachodem słońca i tu dodam, że w samą porę. Mógł pan się wykrwawić na śmierć lub umrzeć z wyziębienia.

Twarz doktora rozplynęła się we mgle. Dzikus z wysiłkiem starał się wyostrzyć wzrok.

— Spadłem...? Ale to nie... — Mimo przerażenia i zamętu w głowie wiedział, że to nie była prawda, że przydarzyło mu się coś znacznie bardziej okropnego.

Krew — w mrokach pamięci widział krew. Błysk ostrego jak brzytwa metalu. Coś spadło... tak, jak on teraz spadał w czarną otchłań.

Przecięte ciało Kamichiego rozpadło się w dwie strony. Z pozbawionego głowy ciała Akiry chlusnęła krew. Głowa stuknęła o podłogę i potoczyła się, zatrzymując na wprost Dzikusa. Oczy Akiry mrugnęły.

Dzikus obudził się z krzykiem.

Całe jego ciało, nawet skóra pod bandażami i gipsowymi opatrunkami, było lepkie od potu. Dyszał głęboko, pomimo że przeszywający ból w żebrach odzywał się za każdym poruszeniem klatki piersiowej. Do pokoju wbiegła pielęgniarka.

— Panie Forsyth, jak pan się czuje? — Pospiesznie sprawdziła jego puls i ciśnienie krwi. — Pan się zdenerwował. Dam panu jeszcze demerolu.

— Nie.

— Co takiego?

— Nie chcę brać środków uspokajających.

— Ale to polecenie doktora Hamiltona. — Wyglądała na wzburzoną. — Muszę panu dać demerol.

— Nie. Proszę mu powiedzieć, że potrzebuję jasności myśli. Niech pani mu powie, że demerol blokuje mi pamięć, a właśnie zacząłem...

— Tak, panie Forsyth? — Jasnowłosa lekarz wszedł do pokoju. — Co pan zaczął?

— Przypominać sobie.

— Okoliczności wypadku?

— Tak — skłamał Dzikus. Jego instynkt samozachowawczy ostrzegał: mów tylko to, czego od ciebie oczekują. — Administrator hotelu miał rację. Przy zejściu z urwiska było wyraźne ostrzeżenie, że jest to niebezpieczna droga, ale ja się kiedyś wspinałem. Cóż, byłem za bardzo pewny siebie. Chciałem przejść po oblodzonej skale, straciłem równowagę i...

— Spadł pan. Nieszczęśliwy błąd w ocenie sytuacji. W każdym razie jednak pan przeżył.

— Nie chce brać demerolu — poskarżyła się pielęgniarka.

— O — zakłopotał się doktor Hamilton. — To niezbędne dla pana dobra, panie Forsyth. Bez środków uśmierzających pańskie bóle...

— Będą ciężkie, rozumiem, ale demerol mroczy mi umysł. Sam nie wiem, co gorsze.

— Rozumiem, że dla pana rekonstrukcja ostatnich dni przed wypadkiem jest bardzo ważna, ale czy uświadamia pan sobie natężenie bólu...

— Kiedy wchłonę resztki demerolu? — Dzikus chciał dorzucić: „cierpienie to moja specjalność”, ale zamiast tego, czując powracający ból, powiedział: — Pójdźmy na ugodę. Połowa dawki i zobaczymy, jak to zniosę. Zawsze przecież możemy wrócić do poprzedniej, zalecanej przez pana.

— Pacjent targuje się z lekarzem? Nie przywykłem do... — Doktor Hamilton zmrużył oczy. — Zobaczymy, jak sobie da pan radę. Może...

— Jestem dobrej myśli.

— Nie wątpię. A ponieważ jest pan w wojowniczym nastroju, może udałoby się panu coś zjeść.

— Krakersy i rosół z kurczaka.

— Właśnie to chciałem zaproponować — rzekł doktor.

— Jeśli tego nie zwrócę, kroplówka będzie niepotrzebna.

— Racja. Odstawienie kroplówki byłoby moim następnym krokiem.

— A ponieważ demerol zmniejsza produkcję moczu, po zmniejszeniu dawki środka uśmierzającego powinienem być w stanie siusiać sam, bez tego cholernego cewnika...

— Za dużo, panie Forsyth, i za wcześnie. Jeżeli przyjmie pan połowę dawki demerolu i jeśli nie zwróci pan krakersów i rosółu, odłączę panu kroplówkę i cewnik. Zobaczymy, czy wtedy, mówiąc pańskimi słowami, nie będzie pan potrzebował pomocy przy siusianiu.

— Chce pan jeszcze soku jabłkowego?

— Proszę. — Dzikusa krępowało, że nie mógł posługiwać się rękoma. Powoli ssał płyn przez słomkę, wdzięczny pielęgniarce za pomoc.

— Muszę przyznać, że zrobił pan na mnie wrażenie — powiedział doktor Hamilton. — Ponieważ zdołał pan przyjąć obiad i kolację, jutro spróbujemy czegoś solidniejszego. Kawalek mięsa, a może pudding.

Dzikus zwalczył spazm bólu, skręcający całe jego ciało.

— Jasne, pudding. Wspaniale. Doktor zmarszczył brwi.

— Czy chciałby pan, żebym zwiększył dawkę demerolu?

— Nie. — Dzikus skrzywił się z bólu. — Czuję się doskonale.

— Oczywiście. Pańska cera normalnie jest taka szara, a wargi zagryza pan z radości.

— Muszę poprzestać na minimalnej ilości demerolu. Chcę mieć jasny umysł.

I znów z przeraźliwą dokładnością ujrzał zapamiętany obraz: katanę rozcinającą na pół ciało Kamichiego, spadającą na podłogę głowę Akiry, tryskającą krew.

Tyle krwi.

Spadłem z urwiska? Kto wymyślił tę historię? Co się stało z ciałami Akiry i Kamichiego?

Muszę mieć się na baczności. Nie mogę popełnić omyłki i powiedzieć czegoś, co by przeczyło oficjalnej wersji. Muszę dojść, o co tu chodzi.

Fala strasznego bólu przerwała jego rozmyślenia. Wstrzymał oddech, hamując mimowolny jęk.

Doktor podszedł bliżej, jeszcze bardziej nachmurzony.

Ból zelżał na tyle, że Dzikus mógł oddychać. Zamknął oczy, potem znów je otworzył i zwrócił się do pielęgniarki:

— Poproszę jeszcze soku. Doktor odetchnął.

— Nie miałem jeszcze pacjenta o takiej sile woli jak pan.

— Zawdzięczam to medytacjom. Kiedy pozbędę się kroplówki i cewnika?

— Być może jutro.

— Rano?

— Zobaczymy, a na razie mam dla pana niespodziankę.  
— O...? — Dzikus stężał.  
— Mówił pan, że nie chce powiadamiać swoich przyjaciół o tym, co się panu przydarzyło, ale jeden z nich jakoś się o tym dowiedział. Przyjechał niedawno i czeka za drzwiami. Nie chciałem go jednak wpuszczać, dopóki nie stwierdzę, jaki jest pana stan, i oczywiście dopóki pan nie udzieli mi pozwolenia na wprowadzenie gościa.  
— Przyjaciół?  
— Philip Hailey.  
— Nie, naprawdę? Kochany stary Phil. — Dzikus nigdy o nim nie słyszał. — Niech go pan wypuści, ale, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wołałbym rozmawiać z nim na osobności...  
— Oczywiście, lecz po wizycie pańskiego przyjaciela...  
— Czy coś nie tak?  
— No... widzi pan, minęło już parę dni i powinien się pan wypróżnić, a z rękami i nogami w gipsie nie będzie pan mógł tego zrobić sam.  
— Po prostu cudownie.  
Doktor wyszedł rozbawiony, a wkrótce po nim wyszła również pielęgniarka.  
Dzikus czekał z lękiem.

Drzwi otworzyły się. Chociaż Dzikus nigdy nie słyszał o Philipie Haileyu, umysł miał dostatecznie trzeźwy, by rozpoznać mężczyznę, który wszedł do pokoju. Był to kosztownie ubrany Amerykanin po pięćdziesiątce o wyrachowanym spojrzeniu dyplomaty lub wysokiej klasy biznesmena — jeden z pryncypałów z konferencji w Medford Gap.

Dzikus zdawał sobie sprawę z tego, że w końcu go znajdą. Był to jeden z powodów, dla których upierał się, aby zachować swój umysł w stanie jak najmniej zaćmionym demerolem. Mimo to jednak jego ciało było skrępowane bandażami i gipsowymi opatrunkami, chociaż więc był ekspertem w technice obrony, teraz był zupełnie bezbronny. Philip Hailey mógł go zabić bez najmniejszego wysiłku — wystarczyłby szybki zastrzyk, kropla płynu do ust lub prysznica aerozolem z pojemnika podsuniętego pod nos.

Gość trzymał w jednym ręku bukiet róż, a w drugim pudełko czekoladek. Oba przedmioty mogły kryć broń. Mężczyzna miał wąsy i zmarszczki wokół oczu, a w klapie nosił znaczek Ivy League, którego szpilka mogła być pokryta śmiertelnie trującym, choć niewykrywalnym związkiem chemicznym.

— Mam nadzieję, że zapach róż nie przyprawi pana o mdłości — powiedział gość.  
— Jeżeli pan go wytrzyma, to i ja zdołam — odrzekł Dzikus.  
— Coś pan podejrzewa? — Mężczyzna położył róże i czekoladki na krześle.  
— Z nawyku.  
— To dobry nawyk.  
— Philip Hailey?  
— Nazwisko równie dobre jak każde inne. Anonimowe. Czysto amerykańskie. Tak samo jak Roger Forsyth.  
— Przyznaję, że mój pseudonim jest nijaki, ale, jak pan zauważył, o to właśnie chodzi — powiedział Dzikus.  
— Rzeczywiście, chociaż człowiek, który wybiera sobie taki pseudonim, nie musi być nijaki. Pan ma charakter.  
— Chyba nie. Stałem się nieostrożny i upadłem — odpowiedział Dzikus.  
— Straszliwa tragedia.  
— Tak, upadłem na podłogę w korytarzu hotelu w Medford Gap.  
— To nie tak źle jak upadek z urwiska, ale i tak jest to równie wielka tragedia.  
— Przez pewien czas niczego nie pamiętałem. Kiedy zacząłem sobie przypominać, trzymałem usta na kłódkę i przytakiwałem oficjalnej wersji — powiedział Dzikus.  
— Tak przypuszczaliśmy, sądząc po pańskiej reputacji. Mimo to jednak musiałem dla pewności trochę popytać.

Atak bólu sprawił, że Dzikus się skrzywił.

— A co z Kamieciem i Akirą? Co stało się z ich ciałami?

— Zostały szybko usunięte. Niech pan się nie martwi — potraktowaliśmy je z szacunkiem. Skrupulatnie dopełniono japońskiego rytuału. Prochy pańskiego pryncypała i jego strażnika spoczywają wraz z ich szacownymi przodkami.

— A co z policją? Jak wytłumaczyliście...

— Nic nie tłumaczyliśmy — odrzekł Philip Hailey. Dzikusowi pękała głowa.

— Nie rozumiem.

— To raczej proste. Władze nie miały z tym nic do czynienia.

— Ale przecież personel hotelu powinien je wezwać. Philip Hailey potrząsnął głową.

— Zostały przedsięwzięte specjalne środki. Ten tragiczny wypadek mógł całkiem zniszczyć reputację hotelu. Przy tak małej liczbie gości obsługa była zredukowana do minimum i wszyscy oni otrzymali sowite wynagrodzenie w zamian za milczenie. Wszyscy przyjęli łapówkę, jeżeli więc nawet teraz by się zreflektowali, to i tak nie zawiadomią władz ze strachu przed oskarżeniem o ukrywanie przestępstwa. Co więcej, policja i tak nie znalazłaby żadnych dowodów.

— Ale krew... tam było tyle krwi.

— Ten korytarz w hotelu jest teraz całkowicie przerobiony — powiedział Philip Hailey.

— Jak pan wie, zdolny zespół laboratoryjny potrafi znaleźć krew nawet w miejscu pozornie idealnie wyczyszczonym, wymieniliśmy więc nie tylko wykładzinę, ale i podłogę, ściany, drzwi, a także sufit, a to, co zabraliśmy, zostało spalone. Nie został nawet najmniejszy ślad krwi.

— W tej sytuacji pozostają mi tylko dwa pytania. — Głos Dzikusa zabrzmiał ochryple. — Kto ich, do cholery, zabił i dlaczego?

— Ci z nas, którzy przeżyli, są równie wstrząśnięci i oburzeni jak pan, z przykrością muszę jednak odmówić odpowiedzi na pańskie ostatnie pytanie. Motywy tej zbrodni wiążą się niewątpliwie z celem konferencji, ponieważ jednak nie jest to pańska sprawa, nie wolno mi z panem omawiać przyczyn zabójstwa pańskiego pryncypała. Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że ja i moi współpracownicy mamy kilka wrogich nam grup. Natychmiast rozpoczęliśmy śledztwo i spodziewamy się, że wkrótce znajdziemy i ukarzymy winnych, ktokolwiek by to był.

— O czym pan mówi? Interesy? Agencje wywiadowcze? Terrorysty?

— Nie mam nic do dodania.

— Zabójcy byli Japończykami.

— Wiem o tym. Widziano ich podczas ucieczki, ale japońscy zabójcy mogli być wynajęci przez nie-Japończyka. Narodowość mordercy nic nie znaczy.

— Poza tym, że Kamieć i Akira też byli Japończykami.

— Akira dysponował biegłością w sztuce walki, która być może wymagała przeciwstawienia podobnych umiejętności — powiedział Philip Hailey. — To też nie dowodzi, że zleceniodawcą był Japończyk. Bardzo proszę, niech pan uważa tę sprawę za zamkniętą. Przyszedłem tu w celu zapewnienia pana o naszym współczuciu dla pańskich cierpień i by powiadomić, iż zostało zrobione wszystko, co można, aby pomścić ten straszliwy czyn.

— Inaczej mówiąc, trzymaj się pan od tego z daleka.

— Czy ma pan jakiś wybór, biorąc pod uwagę pańskie obrażenia? Uważamy, że pańskie zobowiązania już wygasły.

Philip Hailey sięgnął za pazuchę i wyjął grubą kopertę. Pokazał Dzikusowi jej zawartość — okazały plik studolarowych banknotów, a następnie zapieczętował i położył pod prawą dłoń Dzikusa.

— Sądzi pan, że mogę przyjąć pieniądze, jeśli zawiodłem w ochronie mego pryncypała?

— Pańskie rany świadczą, że bronił go pan bohatercko.

— Nie byłem dość dobry.

— Nie uzbrojony? Przeciwko czterem mistrzom szermierki? Nie opuścił pan swego

pryncypała. Zachował się pan honorowo, nieomal płacąc życiem. Moi współpracownicy również pana chwala. Niech pan traktuje te pieniądze jako wyrównanie długów. Zapłaciliśmy również pańską należność za leczenie. To zachęta, demonstracja naszej dobrej woli. W zamian Uczymy na pańską dobrą wolę. Niech pan nas nie zawiedzie.

Dzikus wpatrywał się w rozmówcę. Doktor Hamilton otworzył drzwi.

— Przepraszam, ale muszę pana poprosić, panie Hailey, żeby pan wyszedł. Pański przyjaciel spóźnia się na zabieg.

Philip Hailey wyprostował się.

— Właśnie zamierzałem się pożegnać. — Obrócił się do Dzikusa. — Mam nadzieję, Roger, że trochę ci poprawiłem humor tymi różami i czekoladkami. Przyjdę znowu, jak tylko będę mógł.

— Będę czekał, Phil.

— Kiedy poczujesz się lepiej, pomyśl o wakacjach.

— Dzięki — powiedział Dzikus. — Doceniam twoją troskę.

— Od tego są przyjaciele. — Philip Hailey wyszedł. Doktor Hamilton uśmiechnął się.

— Czuje się pan lepiej?

— O, tak. Czy mógłby mi pan podać telefon?

— Chce pan porozmawiać z jeszcze jednym przyjacielem? Doskonale. Pańska niechęć do utrzymywania kontaktów towarzyskich już mnie niepokoiła.

— Nie musi się pan już dłużej niepokoić.

Powiedział lekarzowi, jakie numery należało wcisnąć, i poprosił:

— Niech pan mi włoży słuchawkę pod brodę. — Doktor posłuchał. — Wspaniale. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, prosiłbym jeszcze o pozostawienie mnie samego przez minutę.

Doktor Hamilton wyszedł.

Dzikus z bijącym sercem wsłuchiwał się w sygnał telefonu na drugim końcu Unii.

„Liczymy na pańską dobrą wolę. Proszę nas nie zawieść”, powiedział Philip Hailey. Poczciwy stary Phil nie musiał dodawać, że jeśli Dzikus nie będzie posłuszny, jeżeli nie będzie się trzymał z dala od ich spraw, to jego prochy zostaną zmieszane z prochami Kamichiego i Akiry.

Usłyszał w słuchawce sygnał automatycznej sekretarki. Nie poprzedzała go żadna zapowiedź. Teraz powinien włączyć się magnetofon.

— Tu mówi Dzikus. Jestem w szpitalu w Harrisburgu, w Pensylwanii. Przyjedź jak najszybciej.

Numer, pod który Dzikus dzwonił, nie był numerem domu Grahama na Manhattanie, lecz biura zgłoszeń. Graham korzystał z niego, ponieważ czasami klienci uważali, że bezpośredni kontakt byłby zbyt niebezpieczny. W rzeczy samej niektórzy z klientów mieli tak potężnych wrogów, że Graham kontaktował się z nimi tylko w pośredni sposób z obawy, że wrogowie ci mogliby wykryć, która agencja ochrony działała przeciwko nim, i poszukać zemsty. Raz dziennie Graham wybierał na chybił trafił płatny automat i nakręcał zastrzeżony dla siebie numer w biurze zgłoszeń, a następnie przykładł do mikrofonu słuchawki przyrząd do zdalnego sterowania, który po naciśnięciu guzika wydawał serię dźwięków. Uruchamiało to magnetofon, który odtwarzał wszystkie zarejestrowane wiadomości. Wyśledzenie tą drogą odbiorcy było absolutnie niemożliwe.

Gdyby Dzikus był w stanie poruszać się o własnych siłach, skorzystałby z automatu w hallu szpitala, dzwoniąc nie do biura zgłoszeń, lecz wprost do domu Grahama. Ponieważ jednak nie mógł użyć nawet rąk, był zmuszony prosić doktora Hamiltona o nakręcenie numeru, a w takim wypadku nie chciał narazić na szwank bezpieczeństwa Grahama przez podanie jego prywatnego telefonu.

Czas. Co będzie, jeżeli Graham dzwonił już dzisiaj do biura zgłoszeń? A co, jeżeli zanim Graham ponownie tam zadzwoni, Philip Hailey uzna, że jednak nie można polegać na jego

obietnicy milczenia? Co się stanie, jeżeli Graham wyjechał gdzieś na wieś i minie parę dni, zanim tu się pojawi? Czas.

Z bólu były na niego siódme poty. Marzył o odrobinie demerolu, ale przecież musiał być czujny. W każdej chwili mógł pojawić się posłaniec od Phihpa Haileya, przynosząc śmierć zamiast róż i czekoladek. Chociaż właściwie co za różnica, czy był, czy nie był przytomny? Gips na rękach i nogach unieruchamiał go tak, że nie byłby w stanie się obronić.

Nie mogę się poddawać. Nie mogę tak leżeć i mieć nadzieję, że mnie nie zabiją.

Mimo wszystko Dzikus pozwolił wreszcie doktorowi Hamiltonowi zaaplikować sobie więcej demerolu, po czym zapadł w odrętwienie i zasnął, szczęśliwie wyzwolony od bólu. Choć jednak pogrążony w nieświadomości, nie uwolnił się od grozy — skrwawiona głowa Akiry wciąż toczyła się ku niemu mrugając.

I znów Dzikus obudził się z krzykiem. Lęk rozproszył oszołomienie i sprawił, że mógł natychmiast stwierdzić trzy fakty. Kroplówka została usunięta, podobnie jak cewnik, a z korytarza dochodził oburzony głos, który z angielskim akcentem mówił:

- Chce pan, żebym nie dopalił kubańskiego cygara? Nareszcie! To był Graham. Jego mentor — łyсы, korpulentny i doskonale ubrany — wszedł do pokoju.
- Coś podobnego! — Tyle tylko zdołał powiedzieć, gdy zobaczył jego obrażenia.
- Tak — powiedział Dzikus. — Nie poszło mi najlepiej.
- Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem.
- Wierzę — odrzekł Dzikus. — A teraz zabierz mnie stąd jeszcze szybciej.

Dom stał na południe od Annapolis, u szczytu porośniętego lasem urwiska, skąd roztaczał się wspaniały widok na zatokę Chesepeake. Łóżko Dzikusa stało tuż przy oknie, podparwszy głowę poduszkami mógł więc spoglądać na smagane wiatrem białe, grzywiaste fale. Uwielbiał obserwować żaglówki, których przybyło z nadejściem maja. Uwieczony w gipsowym pancerzu wyobrażał sobie, jak stoi na pochyłym pokładzie jednej z tych łodzi, z rozwianym włosiem, trzymając oburącz koło sterowe. W marzeniach czuł słony smak piany i słyszał chrapliwy krzyk mew, niespodziewanie jednak wracała pamięć toczącej się ku niemu głowy Akiry, żaglówki znikwały, a ich miejsce zajmowały koszmarne wspomnienia przewracających się ciał i tryskającej krwi, i znów Dzikus czuł się więźniem w gipsowych okowach.

Miał dwóch strażników i ta sytuacja wprawiała go w zakłopotanie. Ironia losu sprawiła, że obrońca sam potrzebował obrony.

Graham wynajął ponadto zaufanego lekarza, który codziennie kontrolował stan zdrowia Dzikusa, oraz równie zaufaną pielęgniarkę, przebywającą przez cały czas na miejscu. Co piątek Dzikus sadzany był w furgonetce i wieziony na prześwietlenie, aby sprawdzić, czy jego popękane i połamane kości zrastają się bez komplikacji.

Graham odwiedzał go w każdą sobotę, przywożąc wykwintne maleńkie ostrygi, kawior z białugi lub homary. Chociaż uporczywie palił cygara, to jednak zawsze troskliwie otwierał okno, ciepłe majowe powietrze pozostawało więc świeże.

— Ten domek i jego obsługa, wszystko to musi kosztować cię majątek — powiedział Dzikus.

Graham pociągnął z kieliszka łyk wychłodzonego Dom Perignon i wypuścił kłęb dymu z cygara.

— Jesteś tego wart. Jesteś najlepszym obrońcą, jakiego kiedykolwiek wyszkoliłem. Moje wydatki są znikome, po prostu mała inwestycja w porównaniu z zarobkami, jakie będę uzyskiwał w dalszym ciągu dzięki tobie. Poza tym, rzecz jasna, w grę wchodzi również lojalność — nauczyciela wobec ucznia, przyjaciela wobec przyjaciela. Ty mnie nigdy nie zawiodłeś, a więc i ja nie zamierzam zawieść ciebie.

— Mógłbym zrezygnować... Graham zakrztusił się szampanem.

- Spaskudziłeś takie piękne popołudnie.
- Kiedy mi zdejmą gips, nie ma żadnej gwarancji, że będę tym samym człowiekiem co przedtem. Przypuśćmy, że będę powolniejszy albo zostanę kaleką, albo — tu Dzikus zawahał się — już nigdy więcej nie potrafię ryzykować swojego życia.
- To są przyszłe problemy.
- Nie sądzę. Kiedy zobaczyłem przecięte na pół ciało Ka-michiego...
- W SEAL musiałeś widzieć gorsze rzeczy.
- Tak, widziałem przyjaciół rozdartych wybuchem tak, że nie można ich było rozpoznać, ale naszym celem było starcie z wrogiem. W miarę możliwości chroniliśmy się nawzajem, jednak nie to było naszym głównym zadaniem.
- Obrona? Rozumiem. Pierwszy raz nie udało ci się obronić pryncypała.
- Gdybym tylko był bardziej czujny...
- Słowa „gdybym” używają gracze. Prawda jest taka, że zostałeś pokonany przez większą siłę. Nawet najlepszy obrońca czasami ponosi klęskę.
- Ale ja byłem zobowiązany.
- A dowodem twego oddania jest twoje okaleczone ciało. To do mnie przemawia. Postąpiłeś najlepiej, jak tylko mogłeś.
- Niemniej Kamichi nie żyje. — Dzikusowi załamał się głos. — I Akira także.
- Co cię obchodzi strażnik twego pryncypała? Jego obowiązki były takie same jak twoje. Z chwilą gdy podporządkował się Kamichiemu, musiał zaakceptować wszelkie konsekwencje.
- Co mnie obchodzi Akira? — zadumał się Dzikus. — Myślę, że odczuwałem z nim jakąś więź.
- To całkiem normalne. Oddawaj mu cześć, ale nie porzucaj swego zajęcia z jego powodu.
- Muszę to przemyśleć.
- Myślenie jest ryzykowne. Skoncentruj się na swoim wyzdrowieniu. Przygotuj się na piątek. Następnego dnia, kiedy tu znowu przyjadę, będę miał przyjemność zobaczyć twoje ręce i nogi uwolnione z gipsu.
- Tak, i wtedy niech się Bóg nade mną zmiłuje, bo zaczniesz się prawdziwy ból.

Gdyby Dzikus miał złamaną tylko jedną rękę lub nogę, mógłby zachować aktywność i ćwiczyć pozostałe kończyny, jednakże z obrażeniami obejmującymi większą część ciała nawet po zdjęciu gipsu był wciąż jeszcze bardzo słaby. Ręce i nogi wyschły mu na wiór, a nigdy twarde mięśnie zwiotczały. Nie miał dość siły, aby podnieść kończyny, a przy próbach ich zgięcia cierpiał męczarnie. Doprowadzało go to do rozpacz.

Codziennie rano i wieczorem pielęgniarka przez godzinę obracała jego ręce i nogi, a potem powoli je unosiła, aż Dzikus kulił się z bólu. Jego łokcie i kolana wydawały się zrobione z drewna, ale jak drewno mogłoby przewodzić taki ból?

Kiedy Graham pojawił się z kolejną wizytą, ze współczuciem potrzęsął głową.

- Przywiozłem ci prezent.
- Te dwie gumowe kulki?
- Ściskaj je w dłoniach. Pomagają rozwinąć mięśnie przedramion. — Graham umocował w nogach łóżka deskę. — A o nią opieraj się stopami. To wzmocni twoje łydki i uda.

Dzikus spocił się z wysiłku, ciężko dyszał przy każdym oddechu.

- Cierpliwości — uspokajał go Graham.

Przez otwarte okno Dzikus usłyszał głosy i jakiś łomot.

- Jezu, co to...?

— Nie masz się czym przejmować. Po prostu jeszcze jeden prezent. Wynająłem ludzi, aby ci zainstalowali basen do gorących kąpieli. Nie wiedzą, że tu jesteś, a nawet gdyby wiedzieli, to mam do nich zaufanie, bo często dla mnie pracowali. W basenie jest wirnik do



wprawiania wody w ruch. Po całodziennych ćwiczeniach taki wir gorącej wody ukoji twoje obolałe mięśnie...

Dzikus, który wciąż jeszcze rozmyślał o Kamichim i Akirze, przypomniał sobie, że Japończycy uwielbiali moczyć się w niemal wrzącej wodzie.

— Dzięki, Graham.

— ...nie mówiąc już o tym, że terapia wodna korzystnie wpłynie na odzyskanie przez ciebie sprawności.

— Wciąż mną manipulujesz, jak zawsze.

— Za dużo myślisz. Masz tylko wyciskać ostatnie soki z tych kulek. Dzikus roześmiał się.

— W porządku — powiedział Graham. — Nie straciłeś poczucia humoru.

— Tyle że nie bardzo jest z czego się śmiać.

— Mówisz o swoich bólach czy o Kamichim i Akirze?

— I o tym, i o tym.

— Mam nadzieję, że nie myślisz już o wycofaniu się z roboty.

— Kto na nich napadł, Graham? Zawsze powtarzałeś, że powinność obrońcy wobec klienta nie kończy się wraz z jego śmiercią.

— Ale facet, który przedstawił się jako Philip Hailey, zwolnił cię z tej powinności.

Twierdził, że jego ludzie są już na tropie tego, kto kazał zabić Kamichiego, i zapewnił, że śmierć twego pryncypała będzie pomszczona. Ponadto dawał do zrozumienia, że tylko byś im przeszkadzał.

— Przypuśćmy jednak, że Haileyowi się nie udało?

— Cała wina spadnie na niego. Twoim jedynym obowiązkiem jest dochodzić do zdrowia. Wypoczywać, spać. Przypuszczam, że masz miłe sny.

v

— Gówno prawda.

Powoli, z męczeńską pilnością, Dzikus nauczył się zginać • kolana i łokcie. Po wielu dniach cierpienie zdołał wreszcie podnieść ramiona i nogi, a nawet usiąść. Jego pierwsza próba przechadzki o kulach skończyła się jednak żałościwie, pielęgniarka musiała go bowiem podnosić z podłogi.

Dzikus poprosił strażnika, aby umocował mu; nad łóżkiem parę kółek gimnastycznych. Wyciągał ku nim ręce, aż ich wreszcie dosięgnął i zaczął próbować unosić ciało z łóżka. Wzmocnił w ten sposób ręce, dzięki czemu był w stanie lepiej manewrować kulami.

W końcu poczuł znowu, że jego nogi są z ciała, a nie z drewna. Tej nocy, kiedy po raz pierwszy nie musiał wzywać pielęgniarki, aby pomogła mu pokuśtykać do toalety, żeby się wypróżnić, był z siebie bardzo dumny.

Pod koniec każdego dnia niezmiennie błogosławił Grahama za basen do gorących kąpiel. Mocząc się w wirującej, buchającej parą wodzie starał się skoncentrować, aby uwolnić myśli od wszelkich kłopotów i odnaleźć wewnętrzny spokój, ale przeszkadzała mu w tym pamięć o Kamichim i Akirze. W takich chwilach ogarniało go poczucie nie tylko wstydu, ale i gniewu na ludzi, którzy zabili jego pryncypała. Wszystko, co wycierpiał od chwili napaści w górskim schronisku, wydawało mu się niedostateczną pokutą za niedopełnienie obietnicy ochrony. Postanowił karać swe ciało poprzez coraz intensywniejsze ćwiczenia, bez względu na towarzyszący im ból.

Graham odwiedził go znowu. Ulokował swoje ciężkie ciało na leżaku obok basenu. Chociaż założył okulary przeciwsłoneczne, jego trzyczęściowy garnitur i tak nie pasował do otoczenia.

— A więc twój ojciec był w CIA.

Dzikus gwałtownie zwrócił głowę ku niemu.

— Nigdy ci o tym nie mówiłem.

— Zgadza się. Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, unikałeś pytań na jego temat, ale chyba nie spodziewałeś się, że zrezygnuję. Musiałem przeprowadzić kontrolne dochodzenie, zanim przyjąłem cię na naukę.

— Słuchaj, Graham, po raz pierwszy naprawdę mnie wkurzyłeś.  
— Nie musiałem ci wcale mówić, co robiłem. Nie ryzykowałbym twojej niechęci, gdybym nie miał powodu.

Dzikus podniósł się z wody.

— Zaczekaj, podam ci kule.

— Zostaw to, do cholery. — Dzikus chwycił się barierki. Jego wychudłe nogi drżały, ale mimo to krótkimi, ostrożnymi krokami zdołał dojść do leżaka obok Grahama.

— Imponujące. Nie przypuszczałem nawet, że poczyniłeś takie postępy.

Dzikus rzucił mu wściekle spojrzenie.

— Wspomniałem twojego ojca, ponieważ wiąże się to z twoją groźbą odejścia z pracy. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty pierwszy. Kuba.

— I co?

— Klęska w Zatoce Świń.

— No i co?

— Twój ojciec, pracując w CIA, był jednym z organizatorów tej akcji, ale rząd Kennedy'ego działał nerwowo i wahał się. Zmienili plany i inwazja, ugrzęznawszy w bagnach, zakończyła się klęską. Biały Dom nie mógł przyznać się do swoich błędów, trzeba było więc zrzucić na kogoś całą winę. Najlepiej na pracownika CIA, chłopca do bicia lojalnego do tego stopnia, że nie zaprotestuje i nie wskaże, kto jest naprawdę winny.

— Mojego ojca.

— Został otoczony publiczną pogardą, ale po cichu dano mu premię za wycofanie się i zgodę na ośmieszenie.

— Mój wspaniały ojciec... — Głos Dzikusa był ochryply. — Jak on kochał swój kraj, jak szanował swoje obowiązki. Byłem jeszcze dzieckiem i nie rozumiałem, dlaczego nagle przestał wychodzić z domu. Przedtem zawsze był taki zajęty, tak dużo czasu spędzał w pracy, w jakichś tajemniczych podróżach. Ale wiesz, kiedy już był w domu, potrafił wyrównać czas swoich nieobecności. Chodziliśmy na mecze, do kina, na pizzę — traktował mnie wspaniale. Kocham twoją matkę, mawiał, ale to ty jesteś moją dumą. A potem wszystko się zmieniło. Nie mając gdzie iść ani co robić, stopniowo coraz bardziej ograniczał się do picia piwa i oglądania telewizji. Później piwo zastąpiła wódka, następnie przestał patrzeć w telewizor, aż wreszcie się zastrzelił.

— Strasznie mi przykro — powiedział Graham. — To bolesne wspomnienia, ale nie miałem wyboru. Musiałem ci to przypomnieć.

— Musiałeś? Graham, ty mnie nie tylko wkurzasz. Zaczynam cię nienawidzić.

— Miałem powody.

— Pewnie były kurewsko dobre.

— Twój ojciec załamał się pod ciężarem klęski. Ja go nie oskarżam. Na pewno podjął tę decyzję po starannym namyśle, ale potem rozpacz wzięła górę. W Japonii na przykład samobójstwo uważane jest za honorowe rozwiązanie problemów, które przerastają ludzkie możliwości, w Ameryce jednak jest hańbą. Nie zamierzam nikogo potępiać, w każdym razie jednak, kiedy poznałem warunki, w jakich się wychowałeś, zaniepokoiło mnie to, że twoją reakcją na samobójstwo ojca była ostatecznie decyzja o wstąpieniu do najtrudniejszej formacji amerykańskich wojsk, do SEAL. Wielokrotnie zadawałem sobie pytanie, dlaczego, i w końcu doszedłem do wniosku — wybacz mi, proszę — że w ten sposób chciałeś jakoś odkupić ojcowskie załamanie, jego zgodę na klęskę.

— Dosyć już usłyszałem.

— Nie, jeszcze nie. Kiedy dowiedziałem się tego wszystkiego, zacząłem się zastanawiać, czy ten kandydat, chociaż utalentowany, zasługuje na to, by stać się obrońcą. W rezultacie doszedłem do wniosku, że twoje pragnienie, aby zmasać winy ojca, to najsilniejsza motywacja, z jaką kiedykolwiek miałem do czynienia — przyjąłem cię więc na naukę. Chciałbym ci jednak powiedzieć, że całkiem niedawno zacząłem się lękać, iż możesz pójść w jego ślady i sam popełnisz samobójstwo z powodu swojej własnej klęski. Proszę cię, nie załamuj się. Wiele lat temu powiedziałeś mi: na świecie jest tyle cierpienia. Tak, prawda,

jest tylu poszkodowanych. Oni oczekują twojej pomocy.

- A co by było, gdybym to ja potrzebował pomocy?
- Udzieliłem ci jej. Mam nadzieję, że w następną sobotę nastrój ci się poprawi.

Dzikus ćwiczył jeszcze ciężiej, nie tyle by ulżyć swej rozpaczycy — lecz żeby ukarać siebie samego za niepowodzenie w ochronie Kamichiego, będące przyczyną tej rozpaczycy. Ból i wyczerpanie pomagały mu również nie myśleć o ojcu.

Ale przecież nie dlatego wstąpiłem do SEAL, myślał Dzikus, a potem zostałem obrońcą, by odkupić jego winę. Robiłem to wszystko, aby się sprawdzić i aby ojciec, choć już nieżyjący, mógł być ze mnie dumny. Chciałem pokazać tym skurwysynom, którzy zagnali go w ślepią uliczkę, że wyrobił we mnie charakter.

A zresztą może to i to samo, o czym myślał Graham. Może rzeczywiście starałem się zatrzeć pamięć klęski ojca i tak jak on zawiodłem.

Przysiady. Na początek pięć, potem każdego dnia o jeden więcej. Kółka nad łóżkiem wzmocniły mu ręce na tyle, że mógł zacząć robić pompki, również stopniowo zwiększając ich codzienną porcję. Wreszcie zdołał zejść o kulach po trawiastym stoku w dół do zatoki. Lekarz przestał go odwiedzać, a i pielęgniarka okazała się niepotrzebna, odeszła więc, pozostawiając Dzikusa pod opieką dwóch strażników.

Nadszedł czerwiec. Każdej soboty Graham wychwalał postępy Dzikusa. Wciąż jeszcze czynił różne zaczepne uwagi, Dzikus jednak uznał, że nie będzie ujawniał swego przygnębienia i odpowiadał Grahamowi w uspokajającej tonacji, zgodnie z jego oczekiwaniami.

Na święto Czwartego Lipca Graham przywiózł fajerwerki. Wraz z zapadnięciem zmroku uczeń i nauczyciel, rozradowani jak dzieci, zaczęli odpalać najrozmaitsze rodzaje sztucznych ogni. Z odległych domostw dobiegały odgłosy podobnej zabawy. Nad powierzchnię zatoki z ogłuszającym „bum” wzniosła się jak rakietą migotliwa raca. Graham pohamował śmiech, wystrzelił korkiem z nowej butelki Dom Perignon i usiadł na trawie, nie zważając na rosę, która zmoczyła mu spodnie od garnituru.

- Jak wspaniale. Tak, jak się spodziewałem.
- Czemu? — spytał Dzikus. — Bo te fajerwerki to nie tylko prezent, ale i test?

Graham zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi?
  - Odgłos odpalania fajerwerków brzmi jak strzały. Chciałeś sprawdzić moje nerwy.
- Graham roześmiał się ponownie.

- Nieźle cię wyszkoliłem.
- I wciąż próbujesz mną manipulować.
- Co w tym złego?
- Nic, dopóki rozumiemy się nawzajem.
- Musiałem się upewnić.
- Oczywiście. Nauczyciel musi poddawać swego ucznia próbom, ale ty testowałeś również naszą przyjaźń.

— Przyjaciele zawsze testują się wzajemnie, tyle że się do tego nie przyznają.

— Nie musiałeś się trudzić. Czy strażnicy nie powiedzieli ci, że ćwiczę się w strzelaniu do celu?

- Tak, na krótki dystans.
- No to pewnie powiedzieli ci też, że jestem już niemal tak dobry jak dawniej.
- Niemal? To jeszcze za mało.
- Poprawię się.
- Czy wciąż jeszcze obawiasz się, że zabójcy Kamichiego albo ludzie Haileya mogą cię dopaść?

Dzikus potrząsnął przecząco głową.

- Uderzyliby wtedy, kiedy byłem bezbronny.
- Gdyby cię odnaleźli. Może wciąż jeszcze szukają. Dzikus wzruszył ramionami.
- Teraz już wydobrzałem na tyle, że potrafię się obronić.
- To się jeszcze zobaczy. Jutro lecę do Europy, na pewien czas trzeba więc będzie zawiesić nasze cotygodniowe spotkania. Twoi strażnicy również będą potrzebni gdzie indziej, mówiąc ściślej — w Europie, wraz ze mną. Przykro mi to mówić, ale zostaniesz tu sam.
- Dam sobie radę.
- Będziesz musiał. — Graham wstał z trawy i otrzepał spodnie. — Mam nadzieję, że nie będziesz się czuł zbyt samotnie.
- Zmęczenie to dobre lekarstwo na samotność. Poza tym, jak przypuszczam, lato w zatoce Cheseapeake jest tak wspaniałe, że zrekompensuje mi wszystkie inne braki. Już się cieszę na ten spokój.
- Gdyby każdy tak myślał, zostałbym bez pracy.
- Spokój — to warte przemyślenia.
- Ostrzegam cię, nie myśl zbyt intensywnie.

W połowie lipca Dzikus był w stanie odbywać co rano dziesięciomilowe spacerki, a w sierpniu zaczął biegać. Robił po sto przysiadów i pompek. Jego mięśnie odzyskały uprzednią twardość i sprężystość. Pływał w zatoce, walcząc z prądem wody. Kupił sobie również łódź wiosłową, aby ćwiczyć ręce i nogi, poza tym każdego wieczora doskonalił swe umiejętności strzeleckie.

Wkrótce pozostała mu już tylko jedna rzecz do zrobienia, mianowicie odzyskanie poprzedniej biegłości w sztuce walki, do czego dyscyplina duchowa była równie niezbędna jak siła fizyczna. Pierwsze próby skończyły się niepowodzeniem, albowiem wstyd i gniew wciąż nie pozwalały Dzikusowi osiągnąć pełnego spokoju ducha. Destrukcyjna siła emocji powodowała rozproszenie myśli. Musiał doprowadzić do ładu swą duszę i stopić ją w jedno z ciałem. Dopiero wtedy instynkt mógł się stać jego przewodnikiem w walce. Myślenie było równoznaczne ze śmiercią, przeżycie mogło zapewnić tylko działanie odruchowe. Aby odzyskać stwardnienia na dłoniach, długi czas bił ich kantami w betonowe bloki. W trzecim tygodniu września był gotów.

Wiosłował samotnie po zatoce, rozkoszując się wysiłkiem i czując w powietrzu zapowiedź nadchodzącego deszczu ze zbliżających się szarych chmur, gdy naraz o jakieś sto metrów od siebie dostrzegł kołyszącą się na falach motorówkę, z której obserwowało go dwóch mężczyzn.

Kiedy nazajutrz rano biegł do lasu, zauważył tego samego niebieskiego pontiaca, którego widział dzień wcześniej stojącego na pobliskiej wiejskiej drodze. Z samochodu przyglądało mu się dwóch innych mężczyzn.

Tego wieczoru jak co dzień zgasił światło o wpół do jedenastej — i chyłkiem wykradł się z domu.

Chmury pokrywały niebo. Brak gwiazd sprawiał, że noc wydawała się niezwykle ciemna. Ubrany na czarno i pomazany na twarzy i rękach maskującą maścią, Dzikus wyczołgał się z ganku, przepełził przez trawnik obok basenu i skierował się w stronę mrocznej gęstwiny drzew. Ukryty wśród krzaków czekał. Wokół grały świerszcze, poskrzypywały poruszone wiatrem gałęzie, o brzeg uderzały fale.

Naraz jakaś gałąź trzasnęła, ale nie na drzewie. Na ziemi. Na lewo od niego.

Zaszeleściły krzaki po prawej stronie. Spomiędzy drzew wyłoniło się dwóch mężczyzn. Dołączyli do innych dwóch, którzy wyszli z domu. Otworzyli drzwi i weszli do środka, a po dziesięciu minutach trzech z nich wróciło i rozpląnęło się w mroku pośród drzew.

Dzikus ścisnął w dłoni pistolet i czekał.

O świcie z domu wyszedł człowiek w trzyczęściowym garniturze, rozsiadł się na leżaku przy basenie i zapalił cygaro.

Graham.

Ty skurwysynu, pomyślał Dzikus. Wyszedł z kryjówki i zbliżył się do domu.

— Co za uroczy poranek — powitał go Graham.

— Wystrychnąłeś mnie na dudka.

— Z przykrością stwierdzam, że tak.

— Chryste Panie! I to wszystko po to, żeby sprawdzić, czy zauważę tych dupków w łodzi i w samochodzie?

— Musiałem się upewnić, że wyzdrowiałeś.

— Przecież byli widoczni na kilometr.

— Tylko dla fachowca.

— A nie pomyślałeś...

— Że zachowałeś swoje umiejętności? Powtarzam, musiałem mieć pewność.

— Dziękuję za zaufanie.

— A czy ty ufasz sobie? Czy jesteś gotów przyjąć nowe zlecenie?

## Tropiciel

Dzikus walczył z burzą o utrzymanie panowania nad jachtem. Gęsty deszcz w połączeniu z ciemnościami nocy sprawiał, że niemal nie widział wyjścia z portu. Prowadziło go tylko światło rozjaśniających od czasu do czasu niebo błyskawic. Zerknął pospiesznie za siebie i zmarszczył brwi na widok przesłoniętych ulewą białych domów Mykonos i mętnych świateł u krańca nabrzeża. Strażnicy, którzy ścigali jego i Rachel od posiadłości Papadropolisa, wciąż wpatrywali się, bezradni i wściekli, w umykający im po wzburzonym morzu jacht, lecz nie strzelali w obawie, że mogliby niechcący trafić żonę swego pracodawcy.

Pomimo ciemności i oddalenia jeden ze strażników zwrócił na siebie uwagę Dzikusa. Był to przystojny, muskularny, smagłolicy mężczyzna o oczach tak smutnych, jakich Dzikus jeszcze nigdy nie widział. Japończyk.

— Dzikus? — wykrzyknął, dobiegając do skraju basenu.

— Akira?

Ależ to niemożliwe!

Strażnicy ruszyli z powrotem. Japończyk ociągał się, patrząc w ślad za Dzikusem, potem jednak pospiesznie dołączył do reszty. Wchłonęła ich ciemność.

Jacht kołysał się, miotany wiatrem. Fale przelewały się przez burtę. Leżąca płasko na pokładzie Rachel zerknęła w górę.

— Znasz tego człowieka?

Błyskawica oświetliła pokaleczoną i nabrzmiałą twarz siostry Joyce Stone. Przemoknięte dżinsy i sweter kleiły się do jej silnego ciała.

Dzikus wpatrywał się w oświetlone przyrządy kontrolne. Grzmot wstrząsnął nadbudówką. Zrobiło mu się niedobrze, ale nie z powodu wzburzonego morza, lecz prześladowującej go uparcie wizji Akiry.

— Czy go znam? Bóg mi świadkiem, że tak.

— Ten wiatr! Nic nie słyszę.

— Widziałem go martwego pół roku temu. — Fala wtłoczyła mu krzyk z powrotem do gardła.

— Dalej nie... — Rachel podczołgała się ku niemu, chwyciła za podporę i próbowała wstać. — Zdawało mi się, że powiedziałeś...

— Nie ma czasu na tłumaczenia. — Dzikus trząsł się, ale nie z zimna. — Nie wiem

zresztą, czy potrafiłbym. Zejdź na dół. Załóż na siebie coś suchego.

Wielka fala uderzyła w jacht, niemal go przewracając.

— Zabezpiecz wszystkie luki. Sprawdź, czy wszystko jest umocowane, i sama przywiąż się do czegoś.

Kolejna fala runęła na jacht. -

— Ale co z tobą?

— Nie mogę opuścić mostka. Rób, co ci powiedziałem. Na dół. Wpatrzył się w smagane deszczem okienko. W świetle potężnej

błyskawicy zauważył, że już minęli wyjście z portu. Przed sobą widział tylko czarne, rozwścieczone morze. Nowy piorun załomotał oknem.

Podwietrzna i zawietrzna, tył i przód nie znaczyły nic, stały się słowami bez sensu w szalejącym dookoła żywiole. Dzikus czuł, że całkiem stracił orientację.

I co teraz, myślał. Nie mógł znaleźć map nawigacyjnych w konsoli sternika, lecz obawiał się zostawić ster, aby poszukać ich gdzie indziej. Uświadomił sobie zresztą, że nawet gdyby je znalazł, i tak nie mógłby ich przejrzeć nie odrywając się od sterów.

Nie mając innego wyjścia musiał polegać na tym, czego dowiedział się w trakcie rozpoznania. Pamiętał, że najbliższą wyspą na południe stąd była Delos, gdzie z jego polecenia oczekiwał helikopter — na wypadek, gdyby zawiódł pierwotny plan ewakuacji i oboje z Rachel musieliby się wydostać z Mykonos drogą powietrzną.

Delos leżała blisko, zaledwie sześć mil od Mykonos, ale była to wyspa mała, o powierzchni półtorej mili kwadratowej. Można było ją ominąć i ryzykując zatonięcie próbować dotrzeć do następnej wyspy, leżącej dwadzieścia pięć mil dalej. Można było również kierować się na południowy zachód, w stronę Rhinei, wyspy większej od Delos, położonej zaledwie o ćwierć mili dalej. Wybór ten wydawał się rozsądny. Ale co będzie, jeśli nie trafię i na tę wyspę? Utoniemy, zanim pogoda się poprawi, myślał Dzikus.

Popatrzył na oświetloną tarczę kompasu i obrócił koło sterowe, ustawiając kurs na południowy zachód.

Jacht przechylił się na szczycie fali i niemal pionowo ześlizgnął w dół. Impet był tak wielki, że niemal oderwał ręce Dzikusa od koła i rzucił go na pokład, zdołał mu się jednak oprzeć. Właśnie się prostował, gdy zauważył, że po prawej promień światła przebija ciemności.

Uniosła się pokrywa luku, a zza niej wyjrzała Rachel. Miała na sobie żółtą sztormówkę. Najprawdopodobniej posłuchała Dzikusa i włożyła również suche ubranie. Dzikus obawiał się, że zimny deszcz wyiębi ją do tego stopnia, iż znajdzie się na granicy hipotermii. Jej długie kasztanowe włosy były przemoczone i kleiły się do policzków.

— Mówiłem ci, żebyś została pod pokładem.

— Zamknij się i weź to. — Podała mu sztormówkę.

W świetle przyrządów nawigacyjnych Dzikus dostrzegł błysk determinacji w jej oczach.

— I załóż suchą koszulę i sweter... Wiem, co to hipotermia. Dzikus spojrzał zezem na ubranie i kurtkę, a potem podniósł

wzrok na jej pokaleczoną, pełną napięcia twarz.

— W porządku, twoje na wierzchu.

— Żadnej dyskusji? Zaskakujesz mnie.

— To ja jestem zaskoczony. Przez ciebie. Możesz przejąć ster? Kierowałaś już kiedyś jachtem?

— Sam zobacz. — Chwyciła koło sterowe. Zawahał się, ale przenikający do szpiku kości dreszcz przynaglił go do zwolnienia chwytu.

— Utrzymuj kompas tak, jak jest w tej chwili. Idziemy na południowy zachód.

W kącie pod nadbudówką, która częściowo osłaniała go od deszczu i wiatru, pospieszenie zmienił ubranie. Kiedy zrobiło mu się ciepło i sucho, poczuł przyływ nowych sił. Osłonięty sztormówką, ponownie ujął koło sterowe i sprawdził kompas.

Dokładnie na kursie.

Wspaniale. Zamierzał właśnie ją pochwalić, gdy o jacht rozbiła się fala, zalewając ich

kaskadami wody. Rachel zaczęła się słaniać, chwycił ją więc za ramię i przytrzymał.

— Co miałaś na myśli mówiąc, że cię zaskoczyłam? — zapytała, kiedy zdołała odzyskać oddech.

— Bogaci ludzie, dla których pracuję, są przeważnie zepsuci. Spodziewają się, że będę im służył. Nie rozumieją...

— ..jak bardzo ich życie zależy od ciebie? Od ciebie zależy przede wszystkim mój honor. Siedziałabym wciąż w tym więzieniu, błagając męża, żeby mnie znów nie gwałcił. Gdybyś mnie nie wyratował, byłabym nadal jego workiem treningowym.

Mignęła błyskawica i Dzikus aż się zatrzęsł z wściekłości, kiedy znowu zobaczył obrzmiałe szramy na twarzy Rachel.

— Wiem, że to niewiele pomoże, ale naprawdę współczuję ci z powodu tego, co przeszłaś.

— Wystarczy, że mnie od niego zabierzesz.

Gdyby mi się tylko udało, pomyślał Dzikus, wpatrując się w miotane konwulsjami morze.

— Co z ludźmi mojego męża?

— Wątpię, żeby ścigali nas podczas takiego sztormu. Na ich miejscu poczekałbym, aż to się skończy, a potem użyłbym helikopterów.

— Dokąd płyniemy?

— Na Delos albo Rhineę. Jeśli tylko kompas jest sprawny i prąd nas nie znosi.

— A gdzie pojedziemy potem?

— Cicho...

— Co?

— Daj mi posłuchać.

— Ale czego? Słyszę tylko grzmot.

— Nie — powiedział Dzikus. — To nie jest grzmot. Przechyliła głowę i naraz jęknęła:

— O Jezu!

Przed nimi coś dudniło.

— To fale — rzekł Dzikus. — Uderzają o skały.

Dudnienie nasilało się, było coraz bliższe i bliższe, aż wreszcie przeszło w ogłuszający ryk. Ręce Dzikusa kurczowo ścisnęły koło sterowe. Wyteżał wzrok aż do bólu, próbując przeniknąć ciemności. Wstrząsy sprawiały, że dzwoniło mu w uszach. Gorączkowo starał się skierować jacht na pomoc, jak najdalej od przyboju, jednakże połączone siły wiatru i fal spychały go w bok, nieubłaganie przybliżając do przeciągłego „buum”.

Jacht przechylił się niebezpiecznie i, pchnięty silnym wschodnim wiatrem, zakołysał się. Woda chlusnęła na pokład.

— Obawiam się, że nas wywróci — zawołał Dzikus. — Przygotuj się

Rachel nie posłuchała go jednak i pobiegła pod pokład, do kabiny.

— Nie! — krzyknął.

— Nic nie rozumiesz. Widziałam tam kamizelki ratunkowe.

— Co takiego? Powinnaś mi to powiedzieć wcześniej. To pierwsza rzecz, jaką powinniśmy...

Ale ona wynurzyła się już z powrotem z luku i wręczyła mu kamizelkę, zakładając jednocześnie swoją.

Jacht zakołysał się jeszcze gwałtowniej i skreślił na zachód. Woda zaczęła przelewać się przez lewą burzę, pokrywając cały pokład i przechylając jacht ku zachodowi.

— Trzymaj się mnie! — krzyknął Dzikus.

Kolejna fala uderzyła ich jak rakietą. Wszystko zawirowało i jacht przewrócił się.

Dzikus wciągnął powietrze, stracił równowagę, upadł na pokład, pochwycił Rachel, ześlizgnął się i sturlał po burcie. Pochłonęło go morze. Szamotał się i jęczał, łykając wodę, z

Rachel uczeponą jego kamizelki. Poderwał głowę do góry, dysząc spazmatycznie.

— Uderzaj nogami! — zdołał wykrzyknąć, zanim następna fala wepchnęła go pod powierzchnię.

Trzeba oddalić się od jachtu. Byle tylko nas nie uderzył, byle nie wessał nas, kiedy będzie tonął.

— Uderzaj nogami, kop!

Rachel wypuściła z ręki jego ramię, tym mocniej zacisnęła więc dłoń na jej kamizelce.

Kop, wołał w myślach. Znowu poszedł pod wodę. Kop, do cholery. Zdołał wystawić głowę nad powierzchnię, wciągnął powietrze, nałykał się wody i zaczął konwulsyjnie kasłać. Dookoła panowała nieprzenikniona ciemność, koszmar czarnego, wściekłego szaleństwa.

Błyskawica wybuchła, niemal go oślepiając. W aż bolesnej jasności ujrzał ogromne fale, grożące mu przygnieceniem, a za nimi fale jeszcze wyższe, nieprawdopodobnie wielkie.

Nie, pojął naraz, te ciężkie zarysy to nie fale. To wzgórze.

Przycisnął mocniej Rachel do siebie i poczuł, jak ściska mu się żołądek, gdy zagarnęła ich fala. Z jej szczytu, na chwilę przed zgaśnięciem błyskawicy, ujrzał głazy u podnóża wzgórz i roztrzaskujące się o nie fale.

Znowu otoczyła go ciemność. Burza zebrała siły i gwałtownie wypchnęła go w stronę brzegu.

Rachel krzyknęła. Dzikus również zaczął krzyczeć, gdy został rzucony o skałę, ale woda zdusiła jego głos.

Tonął.

Wydawało mu się, że znów leży w szpitalu w Harrisburgu, pogrążony w mrokach demerolu. A zaraz potem — że ponownie jest w „Górskim Ustroniu” w Medford Gap i po niezliczonych ciosach japońskich drewnianych mieczy zapada w ciemną otchłań.

Widział, jak połyskliwy stalowy miecz, ostra jak brzytwa samuraj-ska katana, rozcina szyję Akiry.

Widział tryskającą krew.

Widział, jak głowa Akiry ze stukiem uderza o podłogę.

Widział, jak toczy się i staje pionowo na kikucie szyi, a jej oczy mrugają.

Obłąd. Chaos.

Pochłonęła go kipiela.

— Szsz — szepnął Dzikus. — Cicho.

Ale Rachel nie przestawała jęczeć. Położył jej rękę na ustach. Przebudziła się i szarpnęła w tył, odpychając jego rękę z dzikim wyrazem oczu, jakby wydawało się jej, że to Papadropolis zjawił się tutaj, by znowu ją bić.

Przerażenie minęło dopiero wtedy, kiedy go rozpoznała. Westchnęła, przestała się szamotać i odprężyła.

Zdjął dłoń z jej ust, ale wciąż trzymał Rachel w ramionach, tuląc do piersi. Siedzieli w płytkiej niszy w ścianie urwiska, którą otaczały wielkie głazy. Poranne słońce świeciło już wysoko nad nimi, grzejąc ich i susząc odzienie. Niebo było niemal bezchmurne i wiał łagodny

wietrzyk.

— Miałaś zły sen — ciągnął dalej szeptem. — Zaczęłaś krzyczeć, musiałem cię więc uciszyć, aby tamci nie usłyszeli.

— Tamci...?

Wskazał palcem szczelinę pomiędzy głazami. Sto metrów w dole fale nieustannie rozbijały się o brzeg stromego granitowego zbocza. Burza wyrzuciła jacht na skały. Jego szczątki leżały porozrzucane na płyciźnie. Na brzegu stali dwaj krępi mężczyźni — greccy rybacy, jak można było się domyślać po ich strojach. Podparłszy się pod boki, oglądali to, co zostało z wraku.

— Jezu, oni są od mojego męża?

— Nie sądzę. Oczywiście to, że są ubrani jak rybacy, nic nie znaczy. Ludzie twojego męża



mogli się tak przebrać, aby nie odróżniać się od miejscowej ludności, ale nie widzę, żeby mieli broń. Nie mają też radiotelefonów. — Dzikus zastanowił się chwilę. — Ale nigdy za dużo ostrożności. Zanim zdecyduję, co robić, nie chciałbym, żebyśmy się ujawniali.

— Gdzie my jesteśmy?

— Skąd mam wiedzieć? Fala przerzuciła nas nad skałami. Zemdlałaś, kiedy znaleźliśmy się na brzegu. — Po roztrzaskaniu się jachtu Dzikus z całych sił starał się nie wypuścić z rąk jej kamizelki ratunkowej, wiedząc, że jeśli się rozdzielią, nigdy już jej nie odnajdzie. Cofające się fale próbowały go wessać, udało mu się jednak stanąć na nogach. Fala wprawdzie przewróciła go i poszedł pod wodę, ale wstał znowu i walcząc z morzem wywłókł Rachel na brzeg. — Doaiosłem cię tu i znalazłem tę kryjówkę. Sztorm ucichł dopiero o wschodzie słońca. Bardzo się o ciebie niepokoiłem. Nie byłem pewien, czy w ogóle się obudzisz.

Uniosła głowę z jego piersi, próbując usiąść, i jęknęła.

— Co cię boli?

— Zapytaj raczej, co nie boli?

— Obejrzałem twoje ręce i nogi. Nie sądzę, aby były złamane. Poruszyła ostrożnie kończynami i skrzywiła się.

— Zdrętwiały, ale w każdym razie działają.

Dzikus podniósł palec i poruszył nim przed jej oczami, najpierw z boku na bok, a potem w górę i w dół. Podążyła wzrokiem za jego dłonią.

Wystawił trzy palce.

— Ile? Odpowiedziała prawidłowo.

— A teraz ile?

— Jeden.

— Czy jest ci niedobrze? Rachel potrząsnęła głową.

— Nie czuję się najlepiej, ale nie mam zamiaru wymiotować.

— Powiedz mi od razu, jeżeli zrobi ci się mdło albo zaczniesz widzieć nieostro.

— Obawiasz się, że miałam wstrząs mózgu?

— Miałas na pewno. W przeciwnym razie nie straciłabyś przytomności na tak długo.

Miejmy nadzieję, że nie jest to nic poważnego.

I że twoja czaszka jest cała, dodał w myślach.

— Oni coś tam robią — powiedziała Rachel. Dzikus spojrział przez szczelinę pomiędzy skałami.

Dwaj mężczyźni brnęli przez wodę w stronę dużego fragmentu jachtu, który wklinał się między skały, ale fale broniły im dostępu.

Mężczyźni obrócili się ku sobie, mówiąc coś i podkreślając słowa gestami. Jeden z nich kiwnął głową i pobiegł w prawo wzdłuż brzegu. Szybko zniknął za zakretem. Drugi mężczyzna przyjrzał się dokładnie wrakowi, spojrział na brzeg po lewej stronie, po czym obrócił się w stronę zbrocza.

— Zastanawia się, czy ktoś przeżył — powiedział Dzikus. — Jeśli miałem rację i oni nie pracują dla twojego męża, można przypuszczać, że tamten pobiegł do wsi po pomoc. Największy fragment jachtu jest o wiele za duży, żeby mogli go wydostać sami, ale to kuszący łup. Kto wie, może sądzą, że znajdą tam sejf pełen pieniędzy i biżuterii?

— Ale kiedy tamten człowiek wróci z posiłkami...

— Przeszukają cały teren. — Puls Dzikusa zaczął bić szybciej. — Musimy się stąd wynosić.

Usiadł w kucki. Rachel krzywiąc się przyklękła obok niego.

— Jesteś pewna, że dasz radę? — spytał Dzikus.

— Tylko powiedz mi, co mam robić.

— Jak tylko ten facet przestanie patrzeć w naszym kierunku, ruszaj za mną. Trzymaj głowę nisko. To nie będzie nawet czołganie. Wyobraź sobie, że jesteś wężem.

— Będę naśladować każdy twój ruch.

— Poruszaj się powoli. Staraj się stopić z ziemią. Rachel wskazała ręką mężczyznę na

brzegu.

— On odwraca się w stronę wraku.

— Teraz! — Dzikus położył się na spągu jaskini i wyczołgał na zewnątrz, a Rachel poszła w jego ślady.

— Nie patrz w jego stronę — szepnął Dzikus. — Czasem ludzie wyczuwają, że są obserwowani.

— Jedyna osoba, którą obserwuję, to ty.

Dzikus pełził pod górę z wytężoną uwagą, cal po calu. Choć słońce przygrzewało mocno, czuł, jak mu ciarki chodzą po plecach. W każdej chwili spodziewał się, że człowiek na brzegu zacznie krzyczeć, ale mijały sekundy, a potem minuty, i żaden dźwięk nie kazał mu przypaść nieruchomo do ziemi. Przy stopach wyczuwał ręce Rachel, wyszukujące szczeliny wśród skał. Kiedy dotarł do szczytu zbocza, ześlizgnął się w zagłębienie gruntu, poczekał, aż Rachel znajdzie się obok niego, a potem obrócił twarzą ku niebu i odetchnął z ulgą.

Mógł sobie jednak pozwolić tylko na chwilę wypoczynku. Zaledwie wytarł pot zalewający oczy, już powoli uniósł głowę, aby przypatrzeć się wzgórzom. Kiedy zwrócił oczy ku brzegowi, usłyszał jakieś głosy. Mężczyzna, który wcześniej gdzieś pobiegł, wracał teraz pospiesznie, wiodąc za sobą gromadę kobiet, dzieci i innych rybaków.

Ludzie przyglądali się wrakowi z mieszaniną lęku i podniecenia, ale dzieci zaraz rozbiegły się, aby obejrzeć połamane deski, rozrzucone po brzegu, a kobiety zajęły się gadaniną. Kilku mężczyzn przyniosło ze sobą liny i kije. Obwiązawszy się linami w pasie pobrnęli w kipieli przyboju, próbując pchnięciami kijów uwolnić szczątki jachtu spomiędzy skał, gdy tymczasem pozostali na brzegu trzymali drugie końce lin, gotowi wyciągnąć swych współtowarzyszy, gdyby fale groziły im zatopieniem. Mężczyzna, który pozostał na miejscu, kiedy jego kolega udał się po pomoc, wydał jakieś polecenie kobietom i dzieciom, wskazując na wznoszące się za nimi zbocze, a one szybko rozproszyły się i ruszyły w górę, zaglądając za każdy kamień.

— Wkrótce odnajdą naszą kryjówkę.

Dzikus zaczął się wycofywać, ale nagle się zatrzymał.

— Co się stało? — spytała Rachel.

Wskazał na morze. Z jaskini widoczność była ograniczona i nie mógł widzieć całego horyzontu, ale teraz, ze szczytu pagórka, dostrzegł małą wysepkę, leżącą o ćwierć mili na wschód od nich.

— Teraz już wiem, gdzie jesteśmy. Na Rhinei, dokładnie na zachód od Delos.

— To dobrze czy źle?

— Na Delos jest helikopter. Wynająłem go, aby nas zabrał, gdybyśmy nie mogli wydostać się z Mykonos łodzią. Nie mógł wystartować w czasie takiej burzy. Gdybyśmy przedostali się przez tę cieśninę...

— A jeśli pilot już nie czeka?

— Miał nakazane pozostać na Delos przez czterdzieści osiem godzin, na wypadek gdybym miał trudności w nawiązaniu kontaktu. Mój sprzęt został na jachcie, nie mogę więc zawiadomić go przez radio, że się zbliżamy, ale musimy dostać się tam do jutra.

— Jak?

— W jedyny możliwy sposób. Delos jest za daleko, aby przepłynąć tam o własnych siłach, musimy więc ukraść łódź.

I znów, gdy tylko zaczął się czołgać, coś go zatrzymało. Z daleka dochodziło brzęczenie. Dzikus skrzywił się.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Dzikus skoncentrował się, próbując określić kierunek, z którego dochodził niepokojący odgłos. Nad morzem ukazał się punkt, który szybko rósł, aż przybrał kształt groteskowej ważki. Słońce połyskiwało na łopatach wirnika. Helikopter obniżył lot i skierował się ku wyspie. — Nie ma wątpliwości, kto to — powiedział Dzikus. — Sprawdźmy wybrzeże, a kiedy zobaczą tych ludzi, kiedy znajdą wrak... Prędko!

Zaczęli się znów czołgać, aż wreszcie wzgórze przesłoniło ich na tyle, że mogli wstać i pobiec, nie będąc widziani z helikoptera. Wyspa była niemal całkiem jałowa. Poza rzadkimi

kępami lichej trawy 118

i karłowatych kwiatów Dzikus widział tylko zwietrzałe granitowe wzgórze. Usilnie starał się przypomnieć sobie, czego się dowiedział podczas swoich wstępnych badań, ale zasób tych informacji był dość ograniczony. Ostatecznie to Mykonos była jego głównym celem, sąsiednim wyspom poświęcił więc mniej uwagi.

Nawet jednak to, co wiedział, niezbyt go pocieszało. Rhinea była niewielka — wszystkiego pięć mil kwadratowych. Mieszkało na niej mało ludzi, a i turyści rzadko ją odwiedzali. Jedyłą jej atrakcją było to, że w starożytności służyła za cmentarzysko, ale liczne grobowce, sarkofagi i ołtarze pogrzebowe nie mogły się równać ani rozmiarami, ani wspaniałością z ruinami Delos.

Ludzie w helikopterze spostrzegą wieśniaków i odnajdą wrak, myślał Dzikus nie ustając w biegu, potem wezwą pomoc i przeszukają wyspę, a ponieważ jest taka mała, nie zabierze to im wiele czasu.

Zerknął na Rachel, aby się upewnić, czy dotrzymuje mu kroku.

Co będzie, jeśli zemdleje na skutek wstrząsu? I gdzie, do diabła, możemy się ukryć?

Kiedy Rachel potknęła się, Dzikus obrócił się i zdołał ją chwycić, zanim upadła. Wsparała się o niego, ciężko dysząc.

— Już dobrze. Po prostu zaczęłam o coś stopą.

— A naprawdę?

— Nawet ty potknąłeś się przed chwilą. — Pot lał się strumieniami po jej pokrytej szramami twarzy. Obejrzała się za siebie ze strachem. — Ruszajmy.

Lomotanie silnika helikoptera ustało pięć minut temu. Dzikus domyślił się więc, że pilot odnalazł skrawek płaskiego terenu w pobliżu wraku. Wkrótce nadejdą posiłki na łodziach i innych helikopterach.

Słońce wzniosło się wyżej, świecąc oślepiająco. Przed nim rozciągały się wzgórza.

Nagle Rachel upadła na twarz. Dzikus zawrócił i doczołgał się do niej. Na szczęście wysunęła ręce do przodu, amortyzując upadek. Ciężko dyszała z wyczerpania.

— Miałaś rację.

— A więc przedtem to nie było zwykłe potknięcie?

— Kręci mi się w głowie.

— Może nie od wstrząsu. Parę minut odpoczynku...

— Nie. Tak wiruje...

O, cholera, pomyślał Dzikus.

— Chce mi się wymiotować.

— To ze strachu. Musisz mi zaufać. Wyciągnę cię z tego.

— Marzę o tym.

— Odsapnij chwilę. Im trzeba trochę czasu na zorganizowanie się. Nie zaczną szukać tak od razu.

— Ale co potem?

Dzikus sam chciałby wiedzieć.

— Przepraszam — powiedziała.

— Za upadek? No, to się zdarza.

— Nie, za to, że cię wplątałam w to wszystko.

— Ty mnie nie wplątałaś. Nikt mnie nie zmuszał. Wiedziałem, na co się narażam. —

Dzikus pomógł jej wstać. — Tylko się nie poddawaj. Twój małżonek jeszcze nie wygrał.

Rachel uśmiechnęła się, podniesiona na duchu.

Dzikus popatrzył przed siebie. I co teraz? Oddychając głęboko rozglądał się dookoła w poszukiwaniu jakiegokolwiek kryjówki.

Granitowe wzgórze pocętkowane były małymi ruinami — wszystkie okrągłe, zbudowane z płaskich kamieni, a choć ich sklepienia pozapa-dały się, kształt zachowanych ścian

pozwał się domyślać, że niegdyś wyglądały jak ule. To były grobowce.

Może by schować się w... Nie, to zbyt oczywiste. To pierwsze miejsce, gdzie będą nas szukać.

Ale przecież nie możemy tak stać.

Rachel uścisnęła jego dłoń.

— Jestem gotowa.

Dzikus ruszył przed siebie, trzymając ją pod rękę.

Niespodziewanie ziemia pod nimi poruszyła się. Jego stopy straciły oparcie, uderzył biodrem o granitową skałę i zapadł się w dół. Upadek był tak nieoczekiwany, że Dzikus nie zdołał złagodzić uderzenia. Leżał na plecach, łapiąc powietrze. Obok niego z jękiem wylądowała Rachel. Kurz powoli opadał kłując w oczy. Kiedy Dzikus odzyskał ostrość widzenia, stwierdził, że znalazł się w głębokiej jamie. Prawie dwa metry nad nimi słońce przeświecało przez wlot szybu. Odkaszlnął i nachylił się nad Rachel.

— Nic ci się nie stało?

— Chyba nie. Poczekaj, sprawdzę... — Zdołała usiąść. — Tak. Ja... Co się stało?

— Jesteśmy w grobie szybowym.

— Co?

Zaczął jej tłumaczyć, przerywając dla złapania oddechu. Grecy w starożytności stosowali różne typy pochówków. Na powierzchni pozostały ruiny po tak zwanych tholosach — ich nazwa pochodziła od greckiego przymiotnika odnoszącego się do ich kształtu. Czasami jednak kopano jamy, których ściany wzmacniano kamieniami, a wejście przykrywano granitową płytą. Ciało zmarłego umieszczano na dnie szybu w marmurowym pojemniku w pozycji siedzącej, z podkurczonymi nogami i opuszczoną głową, a wokół sarkofagu układano broń, żywność, odzienie i kosztowności. Żałobnicy starali się, jeśli to było możliwe, zasypać grób ziemią, Rhinea była jednak skalista, ten szyb pozostał więc pusty. Kiedy Dzikus przyjrzał mu się dokładniej, zauważył, że o wyborze miejsca zadecydowało pęknięcie w granitowej skale. Dopiero u samej góry, gdzie szczelina się rozszerzała, wklinowano płaskie kamienie, które podtrzymywały płytę przykrywającą wejście.

— Rabusie grobów — stwierdził Dzikus. — Podnieśli płytę, skradli kosztowności i położyli płytę z powrotem na miejscu, aby nikt się nie domyślił, co tu się stało. Wygląda na to, że działali w pośpiechu i spartaczyli robotę. Ten róg, na który nastąpiliśmy, nie był podparty.

Dzikus wskazał przechyloną w dół płytę.

— Poruszyła się pod naszym ciężarem. Jej brzegi wciśnięte są między ściany szybu. Kiedy się obróciła, zadziałała jak pułapka.

Rachel skuliła się nerwowo.

— Mogła przechylić się jeszcze bardziej, a gdyby jej brzeg ześlizgnął się... — powiedziała.

— Pokrywa wpadłaby do szybu i zgmiotła nas. — Dzikus rozejrzał się dookoła. Jego wzrok przywykł już do mroku, rozjaśnionego wąskim promieniem słonecznego światła. — Ale może wyhamowałby ją sarkofag.

Upadli tuż obok marmurowego sześcianu, którego każda krawędź miała około metra, a podstawa była zagłębiona w ziemi. Sarkofag stał pośrodku szybu, po obu jego stronach było zostawione miejsce na dobytek nieboszczyka. Jego boki zdobiła płaskorzeźba, przedstawiająca wojowników i konie.

Dzikus spojrział znów w stronę nachylonej pokrywy szybu.

— Chyba znaleźliśmy naszą kryjówkę.

— Kryjówkę? To raczej pułapka. Przecież zauważą otwór i wysłedzą nas tutaj.

— A jeśli nie będzie otworu?

Dzikus podniósł się i zbałał pokrywą. Dawała się poruszyć, jakby była na zawiasach.

— Ostrożnie! — zawołała Rachel.

Dzikus skulił się pod pokrywą i podniósł jej dolny brzeg. Zaczęła się zasuwac, promień słońca stawał się coraz cieńszy. Serce załomotało gwałtownie Dzikusowi, gdy przez szczelinę posłyszał helikopter. Potem pokrywa zamknęła się ze zgrzytem i w ciemnościach slychać było tylko urywany oddech Rachel.

— Liczę na to, że nie cierpisz na klaustrofobię. — Szept • Dzikusa odbił się echem od ścian szybu.

— Czy myślisz, że po tym wszystkim, co przeszłam, robi na mnie wrażenie zamknięcie w grobie?

Dzikus nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— W każdym razie możesz teraz odpocząć. Siadaj obok mnie. — Objął ją ramieniem. — Wciąż kręci ci się w głowie?

— Nie. — Rachel oparła głowę na jego barku.

— A czy nie ściska cię w żołądku?

— Tak, ale... Może jest mi niedobrze dlatego, że nic nie jadłam.

— To się da naprawić.

Otworzył zamykaną na suwak kieszeń w nogawce spodni i wyjął z niej paczuszkę owiniętą w plastik.

— Co to takiego? — spytała Rachel.

— Suszona wołowina i liofilizowane owoce. Odgryzła kawałek mięsa.

— Chyba jestem naprawdę głodna, bo to smakuje cudownie. Zupełnie nie tak, jak przypuszczałam.

— Nigdy przedtem nie jadłaś suszonej wołowiny?

— Jestem bogatą i zepsuta. Roześmiał się i zaczął żuć swoją porcję.

— Na pewno jesteś spragniona, ale nie mogę nic na to poradzić.

— Jak długo możemy wytrzymać bez wody?

— Bez wysiłku? Parę dni, chociaż nie wiem, czy nie czułabyś się wtedy wyschnięta na wiór, ale my wyjdziemy stąd jeszcze tej nocy.

Skłamał, żeby dodać jej otuchy. Z powodu braku wentylacji w szybie było tak gorąco, że pot spływał mu po policzkach. Wkrótce woda mogła okazać się im bardzo potrzebna. Powietrze było duszne i zatęchłe.

— Muszę...

— Co?

— Muszę się wysiusiać — powiedziała Rachel.

— Nie ty jedna.

— Ale ja się wstydzę.

— Nie ma czego. Wejdz za sarkofag. Zanim to się skończy, nie będziemy mieli przed sobą żadnych tajemnic.

Zawahała się chwilę, a potem posłusznie weszła za sarkofag.

Dzikus, siedząc w ciemności i czując ucisk w piersiach, starał się przeanalizować czekające ich problemy.

Ludzie Papadropolisa musieli przerwać poszukiwania wraz z zapadnięciem nocy, o ile nie posłużyli się latarkami i flarami, a może nawet reflektorami na helikopterach. W każdym razie na pewno zdążyli przed nocą przeszukać całą powierzchnię tak małej wyspy i teraz zapewne sądzą, że ich przeoczyli, lub też przypuszczają, że utonęli albo jakoś uciekli.

Na co więc liczysz? — pytał Dzikus siebie w myślach. Oni boją się Papadropolisa i nie zrezygnują. A Akira? Jeżeli to był Akira — ale Dzikus nie miał wątpliwości, że to on.

Akira... który patrzył wstrząśnięty i smutny na umykającego jachtem Dzikusa... który wołał go po imieniu w porcie... Akira, którego ścięta głowa zatrzymała się przed Dzikusem pół roku temu... i mrugnęła.

Akira nadejdzie. On nigdy nie przerwałby pościgu, dla niego konfrontacja z Dzikusem jest ważniejsza niż ujęcie żony Papadropolisa.

Zginął, a teraz mnie prześladowuje, myślał Dzikus.

Coś się wydarzyło pół roku temu, ale co, na Boga?

Zlany potem Dzikus spojrzął na świecące wskazówki swego zegarka dla nurków. Dziewiąta czterdzieści siedem. Słońce na pewno już zaszło. Poszukujący ich ludzie powinni się teraz zebrać razem, aby przedyskutować dalsze działania. W ustach miał zupełnie sucho, a myśli mąciło mu zatechłe powietrze. Trącił Rachel, po czym wstał, zachwiał się, ale znów odzyskał równowagę.

— Już czas — powiedział.

Oprócz krótkiej rozmowy zaraz po zamknięciu pokrywy szybu niemal cały czas milczeli, wymieniając przytłumionym głosem parę słów tylko wtedy, gdy chciał się dowiedzieć, czy Rachel w dalszym ciągu nic nie dolega. Nawet i te kilka uwag niosło ze sobą ryzyko, nie wiedzieli bowiem, czy szyb przypadkiem nie wzmacniał dźwięków, które mogły zaalarmować kogoś, kto poszukiwał ich w pobliżu grobowca.

Większość czasu drzemali, a teraz Rachel nie chciała się obudzić. Trącił ją jeszcze raz, już nie tak łagodnie, i ucieszył się, gdy zobaczył, że zareagowała, chociaż poruszała się apatycznie i z trudem. Obawiał się, że skutki wstrząsu mogą się pogłębić.

— Ruszaj — powiedział. — Poczujesz się lepiej, kiedy odetchniesz świeżym powietrzem.

Ta obietnica dodała jej sił na tyle, że zdołała wstać.

Dzikus po omacku przedostał się pod pokrywę, sięgnął do jej przeciwległej krawędzi i pchnął w górę, ale pokrywa ani drgnęła. Nacisnął mocniej, z wysiłkiem, aż serce ścisnęła mu niewidzialna ręka.

Co będzie, jeśli pokrywa obsunęła się przy zamykaniu i już nie da się jej obrócić?

Jeżeli ustawiła się całkiem na płask, to nawet wspólnymi siłami nie będą mogli poruszyć takiego ciężaru. Uduszą się tutaj. Dzikus pchał z całych sił, choć ręce mu się trzęsły. Pot sączył się z niego wszystkimi porami. Był już niemal oszalały, gdy wreszcie usłyszał zgrzyt i na ten dźwięk zmówił w myślach dziękczynną modlitwę.

Płyta przesunęła się może o ćwierć cala, obracając się na krawędzi wpartej w ścianę szybu. Pchał bez przerwy, aż nagle pokrywa przechyliła się, tak samo jak wtedy, gdy oboje wpadli do grobowca.

Przez metrowej szerokości otwór widać było gwiazdy i światło księżyca, co ważniejsze jednak, wiał przezeń wiatr, chłodząc Dzikusowi twarz. Łapczywie zaciągnął się świeżym powietrzem.

Rachel wcisnęła się obok niego i również odetchnęła pełną piersią. — To jest jak...

Dzikus nakrył jej usta dłonią, wpatrzył się w noc i nasłuchiwał uważnie. Czy ktoś ich usłyszał? Noc milczała. Żadnych nerwowych szeptów czy ukradkowych kroków.

Sięgnął poza krawędź, wymacał kamień i wetknął go pod pokrywę, tak aby ciężka płyta nie przytrzasnęła ich w trakcie wydostawania się na zewnątrz. Wypchnął Rachel przez otwór, poczekał, aż wyszła, a potem wyjrzał, aby się upewnić, czy nie podniosła się po wyjściu. Następnie sam uchwycił krawędź szybu i podciągnął się w górę, przeciskając się obok ciężkiej, pochylonej płyty skalnej.

Leżąc płasko na brzuchu zlustrował otoczenie, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego wśród otaczających ich cieni.

Kiwnąwszy z ulgą głową wyciągnął kamień, którym podparł pokrywę szybu, i pchnął płytę z powrotem na miejsce. Jeżeli szukający ich ludzie przyjdą tu jutro, nic nie będzie wskazywało, że tu byli.

Obrócił się do Rachel i wskazał drogę, którą przeszli wczoraj, a ona skinęła głową, zrozumiawszy, że mają ją przejść z powrotem.

Po paru minutach mozolnego czołgania znów się zatrzymał. Wyciągniętą w przód ręką wymacał wodę, którą wczorajsza burza wypełniła zagłębienie w skale. Polizał palce i

stwierdził, że choć ciepława, nadaje się do picia. Przekazał tę wiadomość Rachel, maczając znowu palce w kałuży i dotykając nimi jej warg.

Poderwała głowę, ale natychmiast z powrotem przywarła ustami do palców Dzikusa. Ssała je przez chwilę w napięciu, ale zaraz zrozumiała, skąd wzięła się woda, szybko przeczołgała się obok niego, dopadła kałuży i zanurzyła w niej całą twarz. Dzikus przestraszył się, że wypije tyle, iż może to jej zaszkodzić, i łagodnie odciągnął ją na bok. Zrobiła gniewną minę, lecz ustąpiła. Dzikus wychleptał swoją porcję wody z piaskiem, wytarł usta, rozejrzał się po mrocznej okolicy i dał sygnał do dalszej drogi.

Pół godziny później zatrzymali się na grzbiecie wzgórza, skąd było już widać morze. Światło księżyca migotało na falach. Wybrzeże, przy którym zatonął jacht i gdzie zgromadzili się rybacy, było teraz puste.

Dzikus przesunął się w prawo. Wczoraj wieśniacy nadbiegli stamtąd, przypuszczał więc, że tam znajdują się ich domostwa. W chwilę potem przekonał się, że miał rację.

Z góry widać było skupisko kilkunastu zbudowanych z kamienia chałup, w ich oknach połyskiwały światelka. Po prawej ręce Dzikusa, na płaskim skrawku wybrzeża, stały poza zasięgiem fal dwa helikoptery. Pomiedzy domami krążyli muskularni mężczyźni w nylonowych kurtkach, uzbrojeni w automaty. Niektórzy używali radiotelefonów, rzucając do mikrofonów krótkie, rozkazujące zdania.

Dzikus rozglądał się dalej. Z lewej strony prymitywny basen portowy zajęty był przez sześć motorówek, z których każda mogła pomieścić z tuzin ludzi. Jeszcze dalej w lewo na kamienistej plaży spoczywało osiem jednomasztowych łodzi rybackich

Wygładają kusząco, pomyślał, ale po chwili zorientował się, że o to właśnie chodzi. Straż pilnuje helikopterów, a nie łodzi, a zatem łodzie to pułapka.

A więc jak można wydostać się z wyspy? Pięć minut później już wiedział. Gestami starał się przekazać Rachel, co powinna zrobić, ale go nie zrozumiała, zmuszony był więc wyszeptać jej to do ucha:

— Pójdziesz wzdłuż tego urwiska w prawo. Kiedy znajdziesz się jakieś pięćdziesiąt metrów za wsią, zatrzymaj się i czekaj na mnie. To może potrwać dobrą chwilę. Nie wpadaj w panikę, kiedy usłyszysz strzały.

— Ale...

— Przyrzekłaś zrobić wszystko, co ci każę.

Wygłądała na wystraszoną. Popatrzył na nią z naganą i wskazał kierunek, poczołgała się więc niechętnie w prawo.

Było mu jej żal, bo wiedział, jak bardzo boi się pozostać sama, ale nie miał wyboru. Nie mógł jej pozwolić zostać ze sobą. W tym, co zamierzał zrobić, byłaby nie tylko zawadą — mogła przyczynić się do śmierci ich obojga.

Począł czekać, aż zniknęła w ciemnościach, a potem skoncentrował się na obserwacji wsi. Łodzie rybackie po lewej wciąż kusily. Pułapka była tak oczywista, że nie wątpił ani chwili, iż pilnują ich ukryci strażnicy.

Gdyby starał się dopaść łodzi, natychmiast zostałby zastrzelony. Być może zapaliłyby się wówczas reflektory, aby strażnicy mogli lepiej celować... trzeba to sprawdzić. Poczołgał się w dół zbocza.

Powiedział Rachel, że może to potrwać dobrą chwilę, ale ponieważ musieli zachować ciszę, nie mógł wytłumaczyć jej, że owa „dobra chwila” mogła oznaczać nawet godziny. Musiał poruszać się tak powoli jak cienie rzucane przez słońce po niebie księżyc.

Po półgodzinie, w czasie której przebył nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, zamarł bez ruchu. Jakiś słaby dźwięk zaalarmował jego zmysły. Tuż przed nim, spoza szeregu wielkich głazów, dochodził cichy odgłos przypominający tarcie tkaniny o skałę. Ostrożnie uniósł głowę i zobaczył wartownika, który siedział osłonięty, niewidoczny z góry, i trzymał karabin wycelowany w stronę rybackich łodzi.

Dzikus przysunął się bliżej, wyrzucił obie ręce przed siebie i szarpnął głowę strażnika do

tyłu, a potem ją obrócił. Suche trzaśnięcie było zbyt słabe, aby zwrócić czyjąś uwagę. Martwe ciało zwiotczało.

Dzikus wśliznął się za głazy, gdzie znalazł snajperski karabin z lunetą oraz rewolwer magnum. Kieszenie zabitego strażnika były pełne amunicji. Zgarnął broń i ruszył z powrotem pod górę. Było oczywiste, że w pobliżu kryją się inni snajperzy, ale droga, którą tu dotarł, okazała się bezpieczna, mógł więc pozwolić sobie na nieco większe tempo czółgania.

Na szczycie zatrzymał się, aby sprawdzić, czy nic nie zaalarmowało ludzi w wiosce, nikt jednak nie szukał osłony ani nie biegł w górę zbocza, co byłoby naturalne, gdyby dotarło do nich ostrzeżenie o pojawieniu się intruza. Pierwsza część planu została wykonana i co dalej? Część druga była tak ryzykowna, że niemal cofnął się przed jej wykonaniem.

Jeżeli to się nie uda, nie będziemy już mieli żadnych szans, pomyślał, ale nie możemy przecież siedzieć tu mając nadzieję, że nie będą przeszukiwać wyspy ponownie. Im dłużej się ukrywamy, tym więcej tracimy sił z braku żywności, a poza tym przy następnym przeszukaniu mogą nas znaleźć. Rachel również może się załamać od tego napięcia. Jest już u kresu sił...

Trzeba to zrobić. Teraz.

Powiedział Rachel: „*Czekaj na mnie. Kiedy usłyszysz strzały, nie wpadaj w panikę*”.

Wypalił z karabinu i puścił się biegiem w głąb łądu. Strzał rozległ się gromkim echem wśród wzgórz.

Kiedy usłyszał krzyki od strony wsi, pociągnął za spust rewolweru i biegł dalej. Krzyki wzmagaly się. Znowu wystrzelił z karabinu, a zaraz potem z rewolweru.

Noc wypełniła się zamętem. Kamienie pryskały spod butów strażników, biegnących od wsi w górę zbocza. Strzelił jeszcze trzy razy i zmienił kierunek biegu, skręcając w lewo.

Okrzyki stawały się coraz bliższe i głośniejsze, ludzie byli już niemal na grani wzgórza. Pochylił się i biegnąc skulony skręcał wciąż w lewo.

Ludzie rozbiegli się po wzgórzach. Na niebie zawisła rakietka, rozświetlając teren, z którego padły pierwsze strzały. Dzikus pochylił się jeszcze bardziej i przyspieszył biegu, kryjąc się przed światłem.

Mógł teraz przewidzieć dalszy bieg wydarzeń. Słyszając odgłosy dwóch różnych rodzajów broni ludzie będą przypuszczać, że była to wymiana strzałów pomiędzy Dzikusem i wartownikiem, teraz więc rozproszą się i będą starannie szukać, posuwając się w głąb łądu.

Poprzez nocny mrok pospieszył na drugą stronę wsi, dopadł wzgórze i zaczął rozglądać się za Rachel, ale nigdzie jej nie było.

Ruszył dalej wzdłuż grzbietu wzgórze i nagle odskoczył przed jakimś cieniem, który rzucił się w jego kierunku. Niewiele brakowało, a zaatakowałby, lecz w ostatniej chwili zorientował się, że to Rachel. Drżała, gdy chwycił ją w ramiona, ale nie miał czasu, aby ją uspokajać. Na brzegu rozległ się skowyt silnika helikoptera i jego wirnik zaczął się powoli obracać. Jednocześnie na niebie rozbłysła następna rakietka, oświetlając górski grzbiet po drugiej stronie wsi. Dzikus odnotował z satysfakcją, że poszukiwania nabierały rozmachu. Rozsypani w tyralierę strażnicy posuwali się w głąb wyspy, a teraz zażądali startu helikoptera, aby dołączył swe reflektory do światła rakiet.

Rachel przytuliła się mocniej do Dzikusa. Przycisnęła usta do jej ucha i wyszeptała:

— Nie panikuj. Przynajmniej nie teraz. Jeszcze pięć minut, a wydostaniemy się stąd.

Pociągnął ją za sobą w dół zbocza.

Łopaty wirnika helikoptera poruszały się coraz szybciej i coraz głośniej wył jego silnik. Światło księżycy i poświata zegarów kontrolnych obrysowywały sylwetkę pilota, widoczną przez pleksiglasowe okna kabiny. Drugi pilot biegł już ku maszynie.

Dzikus pociągnął Rachel jeszcze mocniej w dół.

Drugi pilot otworzył właz do kabiny i był już niemal w środku, kiedy padł na ziemię, trafiony w szczękę ciosem kolby trzymanej przez Dzikusa strzelby. Dzikus odsunął go, rzucił strzelbę i wycelowawszy magnum we wnętrze kabiny warknął do zaskoczonego pierwszego pilota:



— Spieprzaj stąd albo zginiesz.

Pilot pogmerał przy swym pasie bezpieczeństwa, chwycił ramę włazu i jednym skokiem znalazł się na ziemi.

Dzikus wgramolił się do środka, ciągnąc za sobą Rachel, ale ona nie potrzebowała zachęty. Odepchnęła go, dysząc ciężko i krzyknęła:

— Ruszaj!

Zatrzasnął właz, nie zwracając uwagi na pasy, wparł nogi w pedały, a rękoma uchwycił dźwignie. Jego program szkolenia w SEAL nie obejmował pilotażu śmigłowców, ale Graham upierał się, że obrońca musi również znać się na prowadzeniu samolotów. Nie chodziło o odrzutowce, wymagały one bowiem długiej i intensywnej nauki, lecz o samoloty śmigłowe i zwykle helikoptery, których pilotowania można było nauczyć się w parę miesięcy, trenując w wolnych chwilach.

Dzięki Bogu, pomyślał Dzikus, że to nie wojskowy helikopter. Ich pulpity przyprawiły go o zawrót głowy. Ta maszyna przeznaczona była jednak tylko dla cywilnych pilotów, wozących turystów, jej tablica kontrolna nie zawierała więc żadnych wymyślności typu: „zrób to, a potem tamto według instrukcji”.

Zawodzenie silników przeszło w ryk. Wirnik obracał się tak szybko, że wydawał się nieruchomy.

— Ruszaj! — ponownie krzyknęła Rachel.

Dzikus nacisnął pedały, poruszył dźwigniami i śmigłowiec uniósł się w powietrze. Siła ciągu sprawiła, że żołądek zjechał mu w dół, jak w windzie, ale za chwilę poczuł się lekki. Byli wolni.

Kierował helikopter w górę i przed siebie, nabierając szybkości. Kiedy wreszcie odważył się spojrzeć do tyłu, ujrzał małe figurki, które ze wzgórz i ze wsi biegły na brzeg. Mimo szybko rosnącego dystansu dostrzegł płomyki u wylotów luf. Za późno, pomyślał.

Umocował pasy bezpieczeństwa i obrócił się do Rachel:

— Zapnij swój pas.

— Już to zrobiłam.

— Jesteś naprawdę wyjątkowa. Muszę ci powiedzieć, że mnie zdumiewasz. Niewiele...

Nagle krzyknęła. Nie zdążył się opanować i aż podskoczył, a kiedy się odwrócił, zobaczył wycelowany w swoją głowę pistolet. Za pistoletem ujrzał twarz Akiry.

— Nie zapominaj, gdzie się znajdujemy. — W oczach Akiry był ten sam smutek, który Dzikus tak dobrze pamiętał. — Nie, nie sięgaj po broń. Strzelę i zginiesz, a helikopter wymaga pilotowania. Zanim zdążę cię odciągnąć od sterów i samemu dobrać się do dźwigni i pedałów, rozbijemy się. Zginę ja, ale zginie również twoja pryncypała.

— Jak...

— Jacht rozbił się o skały, ale zastanawiałem się, czy ktoś zdołał się uratować. Wiedziałem, że byłeś kiedyś w SEAL i jesteś mistrzem w technikach przetrwania. Zastanawiałem się, co zrobiłbym będąc na twoim miejscu. Staralbym się jak najszybciej wydostać z wyspy, zanim utracę siły na skutek głodu i pragnienia. Nie miałem wątpliwości, że gdzieś w pobliżu, najprawdopodobniej na Delos, ukryłeś grupę ratowniczą.

Odnalazłem ten helikopter. Myślałem dalej i doszedłem do wniosku, że pragnąłbyś dostać się na Delos, zanim twój odwód zrezygnuje z dalszego czekania i opuści wyspę. Bo w takim wypadku jaki miałbyś wybór? Kradzież łodzi rybackiej była na tyle oczywista, że ludzie mojego pryncypała przygotowali się odpowiednio na tę ewentualność, rozmieszczając wszędzie strzelców wyborowych. Ale ty przecież potrafisz takie rafy omijać. Co zatem wchodziło w rachubę? Próba przerzutu powietrzem? Rozważyłem twoje możliwe wybory i postanowiłem ukryć się w tym helikopterze. Ostatecznie cóż miałem do stracenia? Parę godzin leżenia bez ruchu? Potrafię to robić przez kilka dni. No i proszę, trafiłem na ciebie.

— Nie byłeś taki rozmowny, kiedy pracowaliśmy razem w „Górskim Ustroniu” w Medford Gap. — Dzikus spojrzał z ukosa na pistolet Akiry. Zadrżał i przeniósł wzrok na

zamyślane oczy człowieka, którego widział kiedyś bez głowy.

— „Górskie Ustronie”? Tak, dlatego tu jestem — odezwał się Akira. — Dlatego ciebie tropiłem i po to tu się skryłem. Muszę ci zadać jedno pytanie: dlaczego wciąż żyjesz? Pół roku temu widziałem cię martwego.

Dzikus był tak wstrząśnięty, że na chwilę stracił kontrolę nad helikopterem, który gwałtownie przechylił się i zaczął opadać ku morzu. Pospiesznie skorygował położenie dźwigni i pedałów, i maszyna odzyskała poprzednią wysokość. Wrócił normalny rytm oddechu, ale w głowie wciąż mu się kręciło od zdumiewających słów Akiry.

— Widziałeś mnie? Ależ to ja ciebie widziałem...

— Gonią nas! — zawołała Rachel.

Kolejny szok. Dzikus wykręcił się, aby obejrzeć się za siebie. Akira również się obejrzał. Teraz mógłbym zabrać mu broń, pomyślał Dzikus. Ale wiedział, że Akira nigdy nie pozwala sobie na całkowite rozproszenie uwagi.

— Dobrze — powiedział Akira. — Pokonałeś pokusę.

— Jak się domyśliłeś, że nie będę próbował?

— Liczyłem na twój zdrowy rozsądek, ale w ogóle byłoby lepiej, gdybyśmy zaufali sobie nawzajem. Jako wyraz moich intencji...

Akira schował pistolet do kabury pod wiatrówką i od razu kabina wydała się luźniejsza.

Dzikus wpatrywał się w nocny mrok za śmigłowcem.

— Nie widzę, żeby ktoś nas ścigał.

— O, tam. — Rachel wskazała na lewo. — Światło.

— To motorówka?

— Drugi helikopter — odrzekł Akira.

— O Boże! Czy on jest uzbrojony? — zapytała.

— Ludzie w nim mają na pewno automaty, ale sam śmigłowiec jest bliźniaczo podobny do tego i nie ma żadnych bocznych urządzeń.

— Jeżeli nas dogonią — odezwała się Rachel — otworzą właz i będą strzelać.

— Nie, nie będą — odpowiedział Akira.

— Skąd wiesz?

— Nie będą strzelać z tego samego powodu — wtrącił się Dzikus — z jakiego nie strzelali do nas, kiedy uciekaliśmy z domu. Boją się trafić ciebie zamiast mnie.

— Ale to ich nie powstrzymało od strzelania, kiedy zawładnęliśmy helikopterem.

— Przypuszczam, że byli tak zaskoczeni, iż zareagowali bez zastanowienia, ale teraz mieli dość czasu, żeby zrozumieć, jak głupio postąpili. Gdyby ten helikopter rozbił się przez nich, Papadropolis obciąłby im...

— Tak. — Twarz Rachel drgnęła. — Mój mąż jest zdolny do wszystkiego.

— A więc jesteś naszą osłoną — odezwał się Akira.

— Naszą? Jesteś przecież po ich stronie — powiedział Dzikus.

— Już nie. Przyjechałem przedwczoraj, by zastąpić jednego ze strażników, który zachorował. — Akira obrócił się ku Rachel. — Z chwilą jednak, kiedy zrozumiałem, po co zostałem wynajęty... miałem trzymać cię pod strażą, aby twój mąż mógł cię bić i gwałcić — wiedziałem, że sumienie nie pozwoli mi pozostać. Obmyśliłem sobie nawet, jak cię samemu wyratować. Ponieważ Papadropolis wykroczył poza warunki ustalone w zleceniu — twierdził, że potrzebuje obrońcy, albowiem mu grożono — uznałem, że nasza umowa jest nieważna.

— To dlaczego celowałeś do mnie z pistoletu? — zapytał Dzikus.

— Aby cię powstrzymać od ataku. Chciałem, żebyś wysłuchał moich wyjaśnień.

— Światła się zbliżają — zawołała Rachel.

— Mogą próbować zmusić nas do lądowania. Po prawej jest jakaś wyspa. — Dzikus wskazał nieruchomy kształt. Zwiększył prędkość. Silnik zaryczał tak, że kadłub wpadł w drgania. Wskaźnik paliwa opadł do połowy skali. Dzikus potrząsnął głową z dezaprobatą. — Lecąc tak, szybko zużyjemy całą benzynę.

— Oni zużywają tyle samo paliwa co my — odrzekł Akira. — Ja bym się tym nie

przejmował. Ich zbiorniki nie były pełne i wkrótce będą musieli wrócić. Spokojnie. Oboje jesteście na pewno głodni i spragnieni.

Sięgnął na podłogę i z uśmiechem, który nie zmniejszył smutku w jego oczach, wręczył Rachel manierkę i paczkę kanapek. Nieporadnie odkręciła pokrywkę i pociągnęła parę łyków. Nagle odstawiła manierkę i spojrzała na obu mężczyzn spod ściągniętych brwi.

— Unikacie drażliwego tematu. Dzikus zrozumiał, o co jej chodziło. Akira zmrużył swoje smutne oczy.

— Tak — powiedział.

— To, coście obaj mówili, brzmiało idiotycznie. O co tu chodzi? Ani Dzikus, ani Akira nie odezwali się słowem, tylko spojrzeli na siebie.

— „Widziałem ciebie” — zacytowała Rachel — To właśnie wołałeś tam, w basenie portowym, kiedy uciekaliśmy — powiedziała do Akiry, a potem zwróciła się do Dzikusa: — A ty krzyknąłeś to samo do niego... ale inaczej położyłeś nacisk. Powiedziałeś: Widziałem ciebie. Potem zagrzmiało i nie dosłyszałam następnych słów, poza jednym — „martwy”. Pamiętam, że zapytałam cię, czy znasz tego człowieka, a ty nie chciałeś o tym mówić. Dopiero trochę później powiedziałaś: „Bóg mi świadkiem, że tak”. W twoim głosie było słyhać przerażenie. „Widziałem go martwego pół roku temu”. Ale wiatr tak wył, że nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam. To wydawało mi się bez sensu, a teraz ten człowiek mówi, że widział ciebie...

— ...bez głowy. Dzikus, jak ty mogłeś przeżyć?

— A w jaki sposób ty przeżyłeś? — zapytał Dzikus.

— Miecz odciął ci głowę, a ona potoczyła się po podłodze.

— Twoja głowa zatrzymała się w pozycji pionowej — powiedział Dzikus. — A twoje oczy mrugnęły.

— To twoje oczy mrugnęły.

— O Boże — powiedziała Rachel. — Miałam rację. Obaj zwariowaliście.

— Nie — odrzekł Dzikus. — Ale ponieważ obaj żyjemy, jest oczywiste, że zaszła jakaś straszliwa pomyłka.

Zaczęło go palić w żołądku i nogi zrobiły mu się jak z waty. Rachel zbladła i potrząsnęła głową.

— Na litość boską, to niemożliwe. Jeżeli żaden z was nie zwariował, któryś musi kłamać. — Spojrzenie, jakie posłała Akirze, mówiło niedwuznacznie, że podejrzewała o to jego, obcego.

Słuchając jej zarzutów, Akira lekceważąco wzruszył ramionami. Nie odrywał oczu od Dzikusa.

— Jeszcze raz — powiedziała Rachel. — Jeszcze raz posłuchajcie samych siebie. Ty twierdzisz, że widziałeś go z obciętą głową?

— Dokładnie tak — odrzekł Akira, spoglądając z ukosa na Dzikusa.

— I ty też widziałeś go bez głowy? — zapytała Rachel Dzikusa. Dzikus przytaknął.

Przeszedł go dreszcz, jak gdyby w kabinie wraz z nim przebywał duch.

Rachel podniosła w górę rękę.

— Powiem to jeszcze raz. Ponieważ to się nie mogło zdarzyć, jest to kłamstwo.

— Czy mi ufasz? — spytał Dzikus.

— Wiesz, że tak. Ile razy mam ci to udowadniać? Przysięgałam, że poszłabym za tobą do piekła.

— Tak się czuję, jakbym tam właśnie był, bo ty się upierasz, że niemożliwe jest to, co ja mam stale przed oczami. Ja tam byłem. Wiem, co się stało, widziałem to. Mówię ci, Rachel... Myśl sobie, że jestem wariat, nic mnie to nie obchodzi... Mówię ci, że widziałem, jak japoński morderca odciął głowę temu człowiekowi. Prześladowało mnie to przez całe sześć miesięcy.

— Tak jak mnie prześladował widok twojej głowy — powiedział Akira.

— To, co ty mówisz, nie liczy się — odrzekł Dzikus. — Rachel i ja ufamy sobie nawzajem, ale czy mogę ufać tobie?

— Typowe podejście zawodowca. Ja również myślę podobnie.

Byłbym rozczarowany, gdybyś nie okazał podejrzliwości. Co więcej, sam musiałbym cię podejrzewać, gdybyś uwierzył zbyt łatwo.

— Obaj zaczynacie mnie przerażać — powiedziała Rachel.

— Zaczynacie...? Ja byłem przerażony od chwili, gdy zobaczyłem Akirę w posiadłości twojego męża.

— Więc możesz sobie wyobrazić, jak ja byłem wstrząśnięty — powiedział Akira — i jak broniłem się przed przyjęciem tego, co widziałem, gdy minąłeś mnie w samochodzie... kiedy ścigałem cię w miasteczku... kiedy wołałem do ciebie w porcie.

— To wszystko nieważne — odrzekł Dzikus. — Liczy się jedynie to, co widziałem pół roku temu. Tego jestem pewien. To nie tak, jak gdybyś został trafiony w pierś i wydawał się martwy, a potem lekarze zdołali cię ożywić.

— Więc dlaczego tu jestem? Jak mogę do ciebie mówić?

— Nie wiem, do cholery.

— Przestańcie — wtrąciła się Rachel. — Ja się naprawdę boję.

— Nie bardziej ode mnie — rzekł Akira. — Jak mogę cię przekonać? Słuchaj, Dzikus, przez ostatnie sześć miesięcy widziałem cię wciąż w koszmarnych snach. Podczas rekonwalescencji...

— Czym cię załatwiono?

— Bokkenami. Rachel zachnęła się.

— Mówcie po angielsku.

— To drewniane miecze — wyjaśnił Akira. — Połamano mi nimi ręce i nogi, naruszono żebra, śledzionę, wyrostek robaczkowy i czaszkę. Dojście do zdrowia zabrało mi pół roku.

— To samo przydarzyło się mnie — powiedział Dzikus. — A więc jesteśmy znów tam, skąd wyruszyliśmy. Albo obaj zwariowaliśmy, albo ty kłamałeś, albo też...

— Ty kłamałeś — powiedział Akira. — Wiem, co widziałem. Jak mogłeś przeżyć?

Dzikus zauważył, że poza smutkiem w oczach Akiry krył się rozpaczliwy zamęt.

— W porządku — powiedział. — Założmy, że każdy z nas widział, iż drugi zginął, ale to niemożliwe. — Desperacko raz jeszcze wyliczył wszystkie możliwe tłumaczenia: — Jeżeli nie jesteśmy wariatami... i jeśli żaden z nas nie kłamie...

— Tak? — Akira wychylił się do przodu.

— Myślisz równie logicznie jak ja. Jest jeszcze trzecia możliwość.

— Coś niewiadomego — przytaknął Akira. — A ponieważ ty żyjesz i ja żyję...

— Chociaż nie powinieneś.

— Ani ty.

Dzikusowi zakręciło się w głowie.

— To co się, u diabła, zdarzyło?

— Proponuję, abyśmy sobie nawzajem pomogli w odnalezieniu odpowiedzi na to pytanie.

— Światła za nami już nie wydają się tak bliskie — odezwała się Rachel. Dzikus popatrzył w tę stronę i zobaczył, że ścigający ich helikopter skręcił i zaczął obniżać lot w kierunku wyspy po prawej.

— Prawdopodobnie kończy im się paliwo.

— Dzięki Bogu. Przynajmniej jeden kłopot z głowy. — Rachel przymknęła oczy.

— A co z naszym paliwem? — zapytał Akira. Dzikus sprawdził na tablicy.

— Mamy jeszcze ćwierć zbiornika. Oczy Rachel rozwarły się.

- To wystarczy, żeby dotrzeć do stałego lądu?
- Tak, jeżeli pozostaniemy na tym kursie.
- Jeżeli? Dlaczego nie mielibyśmy się go trzymać?
- On chciał powiedzieć, że musimy być przygotowani na to, iż ścigający nas pilot przekazał już przez radio innym helikopterom, aby nas przechwyciły — powiedział Akira. — Będą wiedzieli, z jakiego kierunku nadlecimy, jeżeli więc zachowamy ten kurs, łatwo nas odnajdą.
- I dlatego polecimy tam, gdzie nas nie oczekują. — Dzikus zmienił kurs z północno-zachodniego na zachodni. — Potem polecimy wprost na północ.
- Ale to dłuższa droga do Aten. Zużyjemy więcej paliwa — zawołała Rachel.
- Tak, a w dodatku przy maksymalnej prędkości silnik pracuje mniej wydajnie, będziemy więc lecieć wolniej, aby oszczędzać — odrzekł Dzikus.
- Czy to znaczy, że mamy dosyć paliwa, aby dolecieć na miejsce? Dzikus nie odpowiedział.
- O kurwa — wymknęło się Rachel.

Wskaźnik paliwa pokazywał już niemal zero, a silnik prychał, gdy helikopter osiągnął wreszcie stały ląd. W szarówce przedświt uasiadł miękko na odludnej polanie, na której lądowałby też helikopter z Delos, gdyby Dzikus zdołał wykorzystać go do ucieczki. Kiedy wraz z Rachel i Akirą biegli ku ledwo widocznym krzakom na skraju lądowiska, przez szarpiącą nerwy chwilę Dzikus bał się, że Akira nagle wydobędzie broń i oświadczy, iż kłamał tylko po to, aby zdobyć jego zaufanie. Akira trzymał jednak ręce na wierzchu i wyglądał na przekonanego, że to właśnie Dzikus nieoczekiwanie wyciągnie swój pistolet.

- Za tymi krzakami jest gruntowa droga — powiedział Dzikus. — Idąc nią w lewo jakieś sto metrów, dojdziemy do stodoły.
- W której jest schowany samochód...? Dzikus przytaknął, ruszając biegiem.
- A co by było, gdybyśmy tu nie zdołali dotrzeć? — zapytał Akira.
- Przygotowałem jeszcze dwa lądowiska oraz kilka portów do wyboru, gdybyśmy uciekali łodzią. Znasz przecież zasadę, że jeśli coś może się zepsuć, zepsuje się na pewno. Trzeba mieć tyle zapasowych planów działania, ile tylko można.
- Ktokolwiek cię wykształcił, zrobił to dobrze. Dopadli drogi i pobiegli w lewo.
- Oczywiście władze znajdą helikopter — rzucił Akira. — Jeżeli Papadropolis zdecyduje się zgłosić jego kradzież, w laboratorium sprawdzą odciski palców.
- Twoje są w kartotece?
- Nigdy nie brano mi odcisków palców.
- Mnie brano — powiedział Dzikus.
- No to Papadropolis użyje wszystkich swoich wpływów, żeby je zidentyfikować, a potem wyśle za tobą ludzi, żeby cię zabili za porwanie jego żony.
- Zanim wysiadłem z helikoptera, wytarłem wszystko, czego mogłem dotknąć. Ale Papadropolis zna twoje nazwisko.
- Nie. Zna tylko pseudonim.
- Tak, to jedna z pierwszych rzeczy, jakich mnie nauczył mój trener — rzekł Dzikus. — Być anonimowym. Nie pozwolić, aby wytropił cię rozsierdzony przeciwnik.
- Mądry instruktor.
- Równie dobrze możesz go nazwać sukinsynem.
- Tacy są wszyscy mądrzy instruktorzy.
- Ja... — Rachel dyszała gwałtownie, oddech wydobywał się z jej piersi ze świstem. — Nie dam rady...

Odwrócili się obaj, chwycili ją pod ramiona i niosąc pomiędzy sobą dobiegli do stodoły, coraz wyraźniej widocznej w szarym świetle poranka. Czekal tam na nich ciemny fiat. Pięć minut później mknęli już drogą. Rachel siedziała między nimi na przednim siedzeniu. Prowadząc samochód, Dzikus wyczuwał tuż przy sobie jej przesiąknięte potem ubranie.

— Najgorsze już za nami. Teraz jesteś bezpieczna. Staraj się zasnąć. Wkrótce będziesz miała gorący posiłek, czyste ubranie i bardzo miękkie łóżko. Sam je sprawdziłem.

— Marzę tylko o kąpeli — westchnęła Rachel.

— Tak przypuszczałem — odrzekł Dzikus. — Wszystko przygotowane. I dużo ciepłej wody.

— Gorącej wody.

Akira obserwował szare niebo, które stawało się jaskrawobłękitne, w miarę jak poranek przeradzał się w dzień.

— Dokąd jedziemy?

— Do chłopskiej zagrody na wschód od Aten. — Oczy Dzikusa zamglilo zmęczenie. — Wynająłem opuszczony dom. Właścicielowi powiedziałem, że jestem pisarzem i potrzebuję odosobnienia, bo szykuję się do pisania nowej biografii Arystotelesa.

— A co na to właściciel?

— Myślał, że mówię o Arystotelesie Onassisie. Chciał, żebym mu opowiedział o wszystkich świństwach pomiędzy nim a Jackie.

— I opowiedziałeś?

— W mojej opowieści Ari wyszedł na świętego. Chłopu zaszklily się oczy. Powiedział tylko: „Ech, wy profesorowie”, i wziął moje pieniądze. Ma mnie pewnie za wariata i raczej nie złoży nam wizyty.

Akira zachichotał, a Rachel odpowiedziała mu chrapaniem.

Samochód ukryli za chałupą, wokół której rozciągały się zalane słońcem winnice. Dom wydawał się ruiną, wewnątrz jednak był czysty i komfortowo umeblowany. Parę dni wcześniej Dzikus osobiście doglądał jego urządzania.

Po drodze Dzikus i Akira niemal bez przerwy dyskutowali o swych koszmarnych przeżyciach, ale gdy tylko znaleźli się w domu, obaj zajęli się wyłącznie Rachel. „Czego chcesz? — pytali. — Jeść? A może spać?” — ale ona upierała się przy kąpeli. Nie stanowiło to problemu, dom bowiem był zelektryfikowany, a grzałka nastawiona na maksimum. Rachel spędziła w łazience godzinę. Kiedy z niej wyszła, ubrana w sukienkę od St. Laurenta, którą wybrała dla niej siostra, wyglądała przepięknie, mimo szram na twarzy.

Akira zmarszczył brwi.

— W helikopterze myślałem, że po dwóch nocach i całym dniu uciekania masz po prostu brudną twarz. Nie wyobrażałem sobie, że to, co brałem za brud, naprawdę jest...

Wiedziałem, że mąż traktował cię źle, ale żeby... Jakim trzeba być potworem... Próbowала zakryć ręką najgorsze szramy.

— Przepraszam — usprawiedliwiał się Akira. — Chciałem ci wyrazić moje współczucie, a nie sprawić przykrość. Pamiętaj, szramy nie są wieczne.

— Myślisz o tych na ciele? — zapytała Rachel.

— Nikt nie jest w stanie zranić twojej duszy. Rachel opuściła rękę i uśmiechnęła się.

— Dziękuję. Trzeba mi o tym przypominać.

Dzikus był zachwycony Rachel. Z jej cudownie błękitnych, podkreślonych czerwienią sukni, oczu promieniowała siła i godność. Wilgotne włosy zaczesaa za uszy, co uwypukliło szlachetny zarys jej podbródka, widoczny teraz lepiej, gdyż opuchlizna zaczęła się już cofać.

— Nie, nawet gdyby twój mąż cię zabił, nie mógłby naruszyć twojej

duszy — powiedział Akira. — Ja wyznaję shinto. Rachel niepewnie potrząsnęła głową.

— To najstarsza religia Japonii.

— Dalej nie wiem... nigdy nie interesowałam się zbyt religią.

— Kiedy umieramy, według shinto nasze dusze stapiają się ze światem wokół nas. Życie nie kończy się, tylko się zmienia. Zostaje wchłonięte, ale nie traci tożsamości. Akceptuje to i podąża z prądem. Twój mąż nie mógłby pokonać twojej duszy, bo jest ona niewrażliwa na

zewnątrzność. Po prostu przyjęłaby inne życie.

- Mnie interesuje to życie — odpowiedziała Rachel. Akira wzruszył ramionami.
- Shinto nie wymaga od ciebie, abyś pozbyła się obecnej formy istnienia, jeśli ją wolisz.
- A w tym życiu potrzebuję żywności.
- Właśnie się szykuje — powiedział Dzikus. — Duszone jagnię.
- To brzmi smakowicie.

I takie też było. W połowie posiłku Dzikus zwrócił się do Akiry i powiedział:

- Opowiedz mi to jeszcze raz.
- Mówiłem ci już pięć razy.
- Niech będzie szósty. Obaj umarliśmy, ale żaden z nas naprawdę. Zawsze, gdy na ciebie patrzę, czuję dreszcze, jakbym widział...
- Kami.
- Co?
- Ducha. No dobrze, ja też starałem się to zrozumieć, ale bez powodzenia, jeżeli więc chcesz usłyszeć wszystko jeszcze raz...
- Ale dokładniej. Za każdym razem wychodzi coś nowego. Po prostu nie przemyślałeś jeszcze tego należycie.

— Dobrze. Zostałem wynajęty przez Muto Kamichiego... Dzikus słuchał w napięciu, gdy Akira opisywał tego człowieka.

Dobrze po pięćdziesiątce, nieco przygarbiony, z wydatnym brzuchem, pasmami siwizny w czarnych włosach i obwisłymi smagłymi policzkami.

- Dokładnie tak go zapamiętałem — powiedział Dzikus. — Gdzie cię wynajął?
- W Tokio.
- Jaki był jego zawód?
- Nie wiem.
- Musiałeś czegoś się domyślać. Opisz jego biuro.
- Mówiłem ci już, że spotkaliśmy się na neutralnym gruncie. W parku.
- Tak — powiedział Dzikus. — A potem obaj wsiedliście do jego limuzyny.
- Zgadza się.
- Opisz, jak wyglądał szofer.
- Schludny facet, który dobrze wykonywał swoją pracę. Nie mogłem przyjrzeć mu się lepiej, bo przegroda z dymnego szkła była podniesiona.
- Czy Kamieni mógł być politykiem?
- Może, choć równie dobrze mógł być biznesmenem. Na mnie sprawiał wrażenie przede wszystkim zmęczonego.
- Zmęczony urzędnik — takie było moje wrażenie — rzekł Dzikus. — Ale może być wiele rodzajów urzędników. Powiedz mi coś o jego dłoniach.
- Na opuszkach palców miał zgrubienia, takie same jak na kantach dłoni.
- Jak ja i ty. Od trenowania karate.
- I ja tak przypuszczałem — odrzekł Akira. — W moim kraju, gdzie sztuki walki należą do tradycji, uprawia je również wielu urzędników.
- Jakie zlecenie otrzymałeś?
- Aby towarzyszyć Kamichiemu do Ameryki. Powiedział mi, że wybiera się tam, żeby wziąć udział w konferencji. Nie spodziewał się żadnych zagrożeń, ale uważał, że dobrze byłoby mieć eskortę.
- To mnie dziwi. Miał kierowcę, powinien więc mieć również paru służących, którzy mogliby spełniać rolę ochrony.
- Wytłumaczył mi to — powiedział Akira. — Potrzebny mu był obrońca znający amerykańskie obyczaje.
- Pracowałeś już dla Amerykanów?
- Pracowałem dla przedstawicieli wielu narodowości. Moja biegła znajomość

angielskiego czyniła mnie jednak szczególnie przydatnym dla bogatych Amerykanów przybywających do Japonii oraz bogatych Japończyków udających się do Stanów.

— Czy powiedział ci, że zamierzał również wynająć amerykańską ochronę?

— Tak. Nie widziałem w tym niczego zdrożnego. Potrzebny był mu ktoś, kto by mnie zastąpił podczas posiłków i snu, a poza tym wygodnie jest mieć współpracownika, który jest obywatelem kraju, w którym ma się pracować — powiedział Akira.

— A więc polecieście z Tokio do...

— Dallas.

— Czy coś zdarzyło się po drodze?

— Mój pan rozmawiał z innymi Japończykami, którzy byli na pokładzie samolotu, a potem spotkał się z paroma Amerykanami.

— Spotkanie odbyło się na lotnisku?

— Tak, i było bardzo krótkie. Nie słyszałem, o czym rozmawiali. Potem ruszyliśmy dalej do Nowego Jorku.

— Gdzie się spotkaliście — powiedział Dzikus. — A potem jechaliśmy samochodem przez godzinę i zatrzymaliśmy się.

— Mój pan powiedział, że otrzymałeś instrukcje. Po japońsku polecił mi przekazać ci szczegóły, o których nie wiedziałeś.

— Zatrzymaliśmy się u Howarda Johnsona i dokonaliśmy zamiany...

— Teczek. To mnie zdumiało...

— Mnie też. Potem dotarliśmy...

— Po wielu godzinach, już po ciemku, dotarliśmy do niezwyklej budowli, która przypominała jednocześnie wiele różnych budowli z cegły, kamienia i drzewa. Były one różnej wysokości — po trzy, cztery albo pięć pięter — i każda w innym stylu: kamienica, pagoda, zamek lub domek letni. Niektóre miały proste ściany, inne znów zaokrąglone. Kominy, wieżyczki, spiczaste dachy i balkony zwiększały jeszcze wrażenie — Akira zawahał się — architektonicznego bałaganu.

— Tak, właśnie bałaganu.

— Niepokoiła mnie sprawa zapewnienia bezpieczeństwa w takim miejscu.

— Nie, to ja się tym denerwowałem, a ty powiedziałaś, żebym się nie przejmował, bo odpowiednie kroki zostały przedsięwzięte.

Akira potrząsnął głową.

— Po prostu powtarzałem zapewnienia mego pana. Sam nic nie wiedziałem o tych zabezpieczeniach.

— Na zboczach stali strażnicy, a każdy z pozostałych trzech pryncypałów, biorących udział w konferencji, miał po dwóch ludzi z ochrony, podobnie jak Kamichi.

— Jakiej narodowości byli pozostali pryncypałowicze? — zapytał Akira.

— Amerykanin, Hiszpan i Włoch. Rachel odłożyła widelec.

— Nie znam się zupełnie na waszej robocie... Dzikus i Akira spojrzeli na nią.

— Jestem cywilem i być może powinnam milczeć, ale kiedy tak was słuchałam, jedna rzecz zwróciła moją uwagę.

— No? — powiedział Dzikus wyczekująco.

— Prawdopodobnie to nic nie znaczy, ale...

— Powiedz nam — poprosił Akira.

— Zastanawiam się, w jaki sposób Kamichi trafił na was? Akira zdawał się nie rozumieć.

— Obaj macie kompletnego bzika na punkcie anonimowości, wątpię więc, żebyście dawali ogłoszenie.

Dzikus roześmiał się.

— Jasne, że nie.

— To jak ty i Akira zostaliście wybrani do tej roboty? Akira wzruszył ramionami.



— Standardowa procedura. Załatwił to mój agent.  
— Ze mną było tak samo — powiedział Dzikus. — To nieistotny szczegół.  
— Pięć minut temu sam upierałeś się, że wszystko jest ważne.  
— Ona ma rację — rzekł Akira. — Musimy rozważyć każdy szczegół.  
— Ale mój agent nie wiedział nic o Kamichim — powiedział Dzikus. — Nie potrafił mi nawet powiedzieć, czy będę obrońcą biznesmena czy polityka. Kamichi po prostu zwrócił się do niego, oferując dobre wynagrodzenie w zamian za eskortę przez pięć dni.  
— Mój agent też nic o nim nie wiedział — stwierdził Akira, po czym zwrócił się do Rachel i wyjaśnił: — Ochrona biznesmena wymaga innej techniki niż ochrona polityka, ponieważ zazwyczaj grozi im co innego — jednemu porwanie, a drugiemu zabójstwo. Pamiętam, że byłem w rozterce z powodu braku tych informacji.  
— No dobrze, ponieważ obaj wciąż wypytujecie się nawzajem, o to, co się zdarzyło — powiedziała Rachel — czemu nie mielibyście również wpytać swoich agentów? Może oni pamiętają coś, co wcześniej nie wydawało się tak ważne? Dzikus uniósł brwi.  
— Być może — powiedział Akira.  
— Dlaczego nie? Warto spróbować. Sami nie dojdziemy do niczego.  
Niespodziewanie Dzikus jakby stracił zapal.  
— Twój agent jest w Japonii, a mój w Ameryce, a o takich sprawach nie możemy rozmawiać telefonicznie przez pół świata.  
— To pojedziemy — oświadczył Akira. — Ale dwa razy bliżej, niż się spodziewałeś. Nie muszę jeździć do Japonii. Kiedy pracuję w Ameryce, korzystam z usług amerykańskiego agenta.  
— Jak on się nazywa?  
Akira zawahał się, patrząc z ukosa na Rachel, jakby zastanawiał się, ile można wyjawiać w obecności osoby postronnej. Sztywno, najwyraźniej przynaglany przemożnym pragnieniem dowiedzenia się jak najwięcej, powiedział:  
— Graham Barker-Smythe.  
— O Boże! — zawołał Dzikus.

Wstał tak gwałtownie, że jego krzesło z trzaskiem upadło. — Tak się nazywa mój agent! To sukinsyn!  
— Graham to twój agent? — Twarz Dzikusa była tak zmieniona, że Akira także zerwał się na równe nogi. — Popełniłem omyłkę. Powiedziałem: Amerykanin, kiedy naprawdę on jest...  
— Anglikiem. Pod sześćdziesiątkę, z nadwagą, łysy. Pali cygara i zawsze nosi trzyczęściowe garnitury.  
— Tylko najlepsze — powiedział Akira. — Uwielbia szampana i kawior.  
— Bieluga i Dom Perignon. To Graham, ten sukinsyn.  
Rachel podniosła obie ręce.  
— Czy ktoś mógłby... Obaj korzystacie z usług tego samego agenta i żaden z was o tym nie wiedział?  
— Nie mogliśmy wiedzieć — odrzekł Dzikus. — Nasza profesja wymaga zachowania tajemnicy. Praca, jaką wykonujemy, czyni z nas dogodne cele.  
— Naszym panom gwarantujemy lojalność — powiedział Akira. — Nigdy nie zdradzamy zaufania, nie ujawniamy poufnych informacji, nie możemy jednak polegać na ich lojalności wobec nas i dlatego ukrywamy nasze personalia, na wypadek gdyby któremuś z nich przyszło do głowy ścigać nas, aby zapewnić sobie nasze milczenie, a także na wypadek gdyby któryś z ich wrogów zapragnął nas ukarać.  
— Mówisz tak, jakbyśmy żyli w dawnych czasach — powiedziała Rachel.

— Jeżeli to rozumiesz, to zrozumiałas wszystko — odrzekł Aki-ra. — O, jak bardzo bym tego chciał. Gdybym tylko mógł żyć trzysta lat temu...

Dzikus patrzył na Akirę zaintrygowany, a potem szybko przeniósł wzrok na Rachel.

— Chodzi o to, że my zawsze musimy być nieufni i podejrzliwi. Nie tylko z powodu naszych klientów, ale i dla bezpieczeństwa nas samych. Obrońca wierzy swemu agentowi bez zastrzeżeń, ponieważ agent to jedyne wspólne ogniwo łączące wroga, klienta, zlecenie i...

— ...i ciebie, czyli obrońcę — powiedziała Rachel, a potem odwróciła się do Akiry: — Oraz ciebie. A więc Graham, jako agent, również powinien być nieufny.

— I zarazem całkiem godny zaufania. Nigdy nie mógłby zawieść zaufania swego klienta — powiedział Dzikus.

— Albo zdradzić tożsamości obrońców, których reprezentuje? — spytała Rachel.

— Właśnie. Dlatego Dzikus i ja nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że mamy tego samego agenta. Gdyby Graham wyjawiał mi nazwisko innego obrońcy, którego jest przedstawicielem, natychmiast przestałbym mu ufać i poszukałbym sobie innego agenta.

Dzikus okrążył stół.

— A więc Graham postąpił etycznie, nie mówiąc nam, że przeżywamy taki sam koszmar?

— Spędziłeś sześć miesięcy na rekonwalescencji. Ja też. Czy on cię odwiedzał?

— Co sobotę — odrzekł Dzikus. — Nad zatoką Cheseapeake.

— Do mnie przyjeżdżał w każdy czwartek, na Martha's Vineyard.

— I przez cały czas wiedział, że ja sądziłem, iż ciebie zabito.

— Wiedział również, że ja jestem przeświadczony o twojej śmierci.

— Nie podoba mi się to. Powinien nam powiedzieć, o co tu chodzi.

— Sądzisz, że on był w to wplątany?

— To wygląda cholernie prawdopodobnie. Twarz Akiry stężała.

Rachel ujęła ich za ręce.

— Ja się nie denerwuję, przyjaciele, ale...

— Nie zostawimy cię i nie pobiegniemy złapać najbliższego samolotu do Stanów, jeśli tego się obawiasz — powiedział Dzikus. — Dla nas wciąż jesteś na pierwszym miejscu.

— W takim razie... — Rachel opuściła ręce. — Ja muszę... — Głowa jej opadła. — Jestem strasznie zmęczona.

— Idź do łóżka i wyśpij się. Rachel ziewnęła.

— A co z wami?

— Nami się nie przejmuj. Akira i ja będziemy spać na zmianę.

Jeden z nas zawsze będzie cię strzegł.

Rachel oparła głowę o stół, a wtedy Dzikus wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Kiedy powrócił do kuchni, Akiry tam nie było. Inne pokoje też były puste. Dzikus nachmurzył się, otworzył frontowe drzwi i natknął się na Japończyka, który siedział na rozklekotanych schodkach, wystawiając smagłą twarz ku słońcu.

— Coś nie tak? — zapytał Dzikus.

— Był już czas, żeby się rozejrzeć.

— I...?

Akira wskazał ręką winnice.

— Wszystko wygląda normalnie. Jest już po winobranii i wzrok sięga daleko między rzędami. Na polach nie ma nikogo. Wybór tego domu to świetna robota.

— Dziękuję. — Dzikus przysiadł obok niego. — W twoich ustach to duży komplement.

— Po prostu stwierdzenie faktu. Dzikus uśmiechnął się.

— Będę się cholernie starał, żeby zachować skromność. Akira odwzajemnił uśmiech, ale jego oczy pozostały smutne.

— Twoja angielszczyzna jest doskonała — powiedział Dzikus. — Gdzie nauczyłeś się...

— Kiedyś ci powiem.

— Jeśli będziesz w nastroju. Omote i ura, prawda? Akira obrócił się do niego.

— Myśli prywatne i publiczne? Znasz się na japońskiej logice?

— Staram się ją poznać.

— Muszę cię pochwalić, ale zarazem ci współczuję, bo nigdy nie zgłębisz jej do końca.

— Sam też doszedłem do tego wniosku.

— A kobieta? — spytał Akira.

— Trzymała się świetnie. Naprawdę zrobiła na mnie wrażenie. Ma powody, żeby być wyczerpana. Nawet nie drgnęła, kiedy ją przykrywałem kocem. Będzie spała chyba do zmierzchu.

— Tak — potwierdził Akira.

— Ale my też potrzebujemy snu. Jeśli pozwolisz, ja pierwszy będę stał na warcie. Będziesz mógł się wykapać i...

— Naharowałeś się więcej niż ja — odrzekł Akira — i dłużej. Jesteś bardziej zmęczony. Idź pierwszy.

— Moglibyśmy tak się kłócić do południa. — Dzikus podniósł dwa kamyki, potrząsnął nimi i wyciągnął przed siebie zaciśnięte dłonie. — Mniejszy kamyk idzie pierwszy.

— Dziecinna gra?

— Czemu by nie? To równie dobra metoda wyboru jak każda inna.

Akira wydawał się rozbawiony. Wybrał lewą dłoń, a Dzikus otworzył garść i porównał kamyki.

— Wygląda na to, że wkrótce będziesz już spał — powiedział. Akira skłonił się, a potem zaśmiał.

— Hai.

— Czy to znaczy „tak” po japońsku?

— Między innymi. Również „oczywiście”, „w istocie”, „bez wątpliwości”. Zależy od intonacji. — Akira przyjrzał mu się uważnie. — Jesteś, jak my to nazywamy, szczerym człowiekiem. Poza tym poważnym i z dobrymi intencjami.

— I ze strasznym problemem.

— Dwoma — powiedział Akira. — Po pierwsze, twoja pryncypałka musi wrócić do zleceńodawcy.

— Przygotowałem wszystko.

— Przyznaję, że jak dotąd pracowałeś wspaniale, ale proponuję, abyśmy współpracowali ze sobą, by przyspieszyć jej powrót.

— Będę zaszczycony. — Dzikus złożył dłonie i pochylił głowę.

— A potem pojedziemy do Nowego Jorku. Dzikus wyprostował się.

— I wydusimy wyjaśnienia z Grahama.

— Ale jest jeszcze coś, o czym z tobą nie rozmawiałem. To nie dotyczy tylko ciebie i mnie.

— Wiem — powiedział Dzikus. — Kamichi. Akira wydawał się zaskoczony.

— Czterdziestu siedmiu roninów — dodał Dzikus.

— Słyszałeś coś o nich?

— Zajęło to im dwa lata, ale w końcu pomścili śmierć swego pana.

— Kamichi to jedyny pryncypał, jakiego kiedykolwiek straciłem. — W głosie Akiry zabrzmiała gorycz.

— Jedyny, jakiego również ja straciłem. Jeżeli Graham maczał w tym palce... — Twarz Dzikusa spochmurniała. — To, co się stało z Kamichim...

— Musi być pomszczone. — Akira wstał. — Jeżeli zgadzasz się na ten warunek, to my...

— Możemy zostać przyjaciółmi — rzucił Dzikus.

Akira spojrzał na niego zezem.

— Przyjaciółmi...?

Posunąłem się za daleko, pomyślał Dzikus.

— Chwilowymi partnerami — rzekł Akira. — Aby oddać ci szacunek za twój szacunek, postąpię według twego zachodniego obyczaju.

Podali sobie ręce. Uścisk Akiry był tak silny jak uchwyt ręki samuraja na mieczu. To porównanie przypomniało Dzikusowi miecz, który przepołowił korpus Kamichiego i ściał głowę Akiry. Zacisnął mocniej dłoń i pomyślał o Grahamie.

## II.

### Czas poza pamięcią

#### Bieg z przeszkodami i łowy padlinożercy

Nie mogli skorzystać z lotniska w Atenach, ponieważ było oczywiste, że tam właśnie przede wszystkim poszukiwaliby ich ludzie Papadropolisa. Pozostałe międzynarodowe porty lotnicze znajdowały się w Salonikach, kilkaset kilometrów na północ, oraz w Korfu, równie daleko w kierunku północno-zachodnim. Niewątpliwie i one były pod nadzorem, gdyż Papadropolis, sam zawsze niecierpliwy, w pierwszym rzędzie musiał zwrócić uwagę na tę najszybszą formę transportu, choćby nawet dotarcie do lotnisk zabierało wiele czasu.

Kolejnym sposobem ucieczki z Grecji był wyjazd samochodem, ale byłaby to droga przez mękę. Aby znaleźć się w bezpiecznym miejscu, musieliby najpierw jechać na pomoc przez Jugosławię, kraj czterokrotnie większy od Grecji, a potem na zachód przez rozległe góry w północnych Włoszech, by wreszcie skrócić na południe i przez Francję dostać się w końcu do wyspiarskiego księstwa siostry Rachel w pobliżu Lazurowego Wybrzeża.

Najdogodniejsza wydawała się droga morska. Nawet ktoś tak bogaty jak Papadropolis nie mógłby śledzić jednocześnie wszystkich portów w Grecji, chociaż jego ludzie najprawdopodobniej kontrolowali te z nich, które znajdowały się w pobliżu Aten, podobnie jak dworce kolejowe. Dlatego właśnie Dzikus, Akira i Rachel pojechali samochodem do odległego o cztery godziny jazdy Patras na zachodnim wybrzeżu Grecji. Przez pewien czas zastanawiali się, czy nie przekupić jakiegoś rybaka, aby przesznułował ich morzem wprost do Włoch, wydawało się jednak bardziej prawdopodobne, że człowiek taki raczej wyda ich władzom, niż zdecyduje się na naruszenie granicy państwa. W tej sytuacji pozostawały im jedynie legalne środki transportu.

— Mimo wszystko nie bardzo mi się to podoba — stwierdził Akira. Była dziewiąta wieczór. Stali we trójkę w mrocznej alejce, obserwując samochody i przechodniów mijających kasę biletową, w pobliżu jasno oświetlonego nabrzeża, przy którym stał prom.

— Jasne, że tak będzie szybciej, niż jechać samochodem, ale zawsze wolniej niż samolotem.

— Uzgodniliśmy przecież, że ten wybór nie byłby najmądrzejszy — odrzekł Dzikus.

— Ta kasa może być równie niebezpieczna jak dworzec lotniczy.

— Sprawdzę ją. Wiedzą, że jestem biały i pewnie domyślają się, że jestem Amerykaninem, ale mogą uchodzić za Europejczyka. Japończyka wypatrzyliby od razu — powiedział Dzikus.

Powrócił po dziesięciu minutach.

— Nie zauważyłem, żeby kasa była pod obserwacją.

— To nie znaczy, że nie jest.

Dzikus wzruszył ramionami. Wręczył Rachel i Akirze ich bilety.

— Przypuszczam, że mogą także obserwować prom — stwierdził.

— Albo tylko sam prom — powiedział Akira. — Zamknięty teren i ograniczona swoboda ruchu.

— To działa również w drugą stronę. My też będziemy mieli większą szansę ich zauważyć.

Akira zastanowił się chwilę.

— Tak.

— Ile czasu będziemy płynąć do Włoch? — spytała Rachel.

— Dziewiętnaście godzin.

— Co?

— Prom płynie wzdłuż wybrzeża i zatrzymuje się dwa razy, zanim przetnie Adriatyk — odrzekł Dzikus. — To, że jest to tak powolna podróż, bardzo mi odpowiada. Papadropolis nie powinien się spodziewać, że wybierzemy drogę ucieczki, która zabiera tyle czasu. Odpływamy dopiero za pięćdziesiąt minut, wrócemy więc lepiej do samochodu.

Dzikus i Rachel podjechali do nabrzeża i dołączyli do kolejki • samochodów i małych ciężarówek, oczekujących na przejście przez kontrolę celną i wjazd na prom. Grecy kontrolowali bagaże wyjeżdżających, aby się przekonać, czy nikt nie przemycił zabytków starożytnej sztuki. Chociaż kontrola celna nie była tak surowa jak przy wjeździe, niemniej trzeba było okazać paszporty.

Właśnie — paszporty. Dzikus odebrał swój ze schowka depozytowego w Atenach, a Akira nigdzie nie ruszał się bez tego dokumentu, przechowywał go w wodoszczelnej torbie. Paszport Rachel jednak był w rękach Papadropolisa, który także w ten sposób starał się sprawować nad nią kontrolę.

W normalnych warunkach rozwiązanie tego problemu byłoby proste. Rachel powinna zgłosić się do ambasady amerykańskiej, oświadczyć, że zgubiła paszport, i wystąpić o wydanie nowego, mogło to jednak potrwać parę dni, bo Rachel nie miała żadnych innych dokumentów na potwierdzenie swego amerykańskiego obywatelstwa. Co ważniejsze, Papadropolis zapewne domyślał się, że jego żona będzie potrzebować paszportu, i w związku z tym mógł zarządzić obserwację amerykańskiej ambasady.

Dzikus miał jeszcze jedno wyjście — mógł przygotować dla Rachel fałszywy paszport. Nie było to jednak łatwe, ponieważ jej twarz pokrywały liczne blizny, których nie zamaskowałyby żadne kosmetyki. Kiedy urzędnik porównywałby fotografię w paszporcie z twarzą stojącej przed nim kobiety, byłoby dla niego oczywiste, że zdjęcie zostało wykonane nie dawniej niż dzień temu, więc paszport został sfalszowany. Dzikus nic nie wiedział o bliznach Rachel, zanim ją wyswobodził. Wiedziony nawykiem zawodowca, przygotował jednak rezerwowy plan, na wypadek gdyby z jakichś powodów nie mogła wzdąć ze sobą paszportu. Kiedy Joyce Stone pokazała mu fotografię swej młodszej o dziesięć lat siostry, Dzikusa uderzyło ogromne podobieństwo tych dwóch kobiet, jakby były bliźniaczkami.

Polecił więc Joyce Stone, aby w drodze powrotnej do swej wyspiarskiej posiadłości użyła całej swojej władzy i nie pozwoliła ostemplować sobie paszportu po przybyciu na miejsce. Paszport ten następnie został przekazany Dzikusowi przez posłańca z powrotem do Aten. W rezultacie nie było żadnego śladu, że Joyce Stone kiedykolwiek wyjeżdżała z Grecji.

Porównując fotografię w paszporcie z twarzą młodszej siostry Dzikus raz jeszcze doznał szoku z powodu niezwykłego podobieństwa obu kobiet. Tylko dwie rzeczy je różniły. Po pierwsze, Joyce Stone była blondynką, Rachel natomiast miała włosy koloru kasztanowego, po drugie zaś, Joyce Stone wciąż wyglądała jak gwiazda filmowa, podczas gdy Rachel była po prostu zmaltretowaną małżonką.

Dzikus doszedł do wniosku, że owe kontrasty mogą okazać się korzystne. Na farmie pod

Atenami dał Rachel farbę do włosów, aby przemieniła się w blondynkę, i teraz, prowadząc samochód w stronę stanowiska odprawy celnej w zabudowaniach przystani promowej, spoglądał na nią i potrząsał głową ze zdumienia. Dzięki zmianie koloru włosów Rachel stała się uderzająco podobna do siostry, a jej bliźny to podobieństwo jeszcze zwiększały, dzięki nim bowiem wydawała się starsza.

Celnik przeszukał samochód.

— Żadnych walizek?

— Mamy tylko bagaż ręczny — odpowiedziała Rachel zgodnie z instrukcją Dzikusa.

— Poproszę o paszporty.

Dzikus i Rachel wręczyli mu swoje dokumenty. Akira miał wkrótce wejść na pokład promu, osobno i na piechotę, aby cała trójka nie rzuciła się zbyt w oczy.

— Joyce Stone? — Urzędnik podniósł oczy znad paszportów i zaskoczony wlepił wzrok w Rachel. — Gorąco przepraszam, nie poznałem... Jestem wielbicielem pani filmów, ale...

— Chodzi panu o te szramy?

— Wyglądają tak strasznie. Co za okropny...

— Miałam wypadek drogowy w pobliżu Aten.

— Moje najgłębsze współczucie. Moi rodacy są niezdarnymi kierowcami.

— Ależ nie, to była moja wina. Dzięki Bogu, ani tamten człowiek, ani ja nie odnieśliśmy poważniejszych obrażeń. Wyrównałam mu koszty reperacji samochodu i spłaciłam dług w szpitalu.

Urzędnik wyprostował się.

— Wasza Wysokość jest niezwykle uprzejma. Nawet okaleczona jest pani tak piękna jak w swoich filmach — i równie szlachetna.

— Czy mogę prosić pana o przysługę?

— Jestem tylko skromnym wielbicielem pani. Sięgnęła po jego dłoń.

— Niech pan nikomu nie mówi, że jestem na pokładzie. W normalnych warunkach cenię sobie zainteresowanie. Wycofałam się z zawodu, ale nie zapomniałam o odpowiedzialności wobec tych, którzy wciąż jeszcze pamiętają lata mojej kariery.

— Pani uroda będzie wciąż wspominana.

— Nie wtedy, kiedy wyglądam jak teraz. Ludzie powiedzą, że jestem brzydka.

— Piękna.

— Jest pan bardzo uprzejmy — Rachel ciągle trzymała jego rękę — ale na promie mogą być fotografowie. Jeżeli lubił pan moje filmy...

— Uwielbiałem je...

— To proszę nie niszczyć tych wspomnień. — Rachel uściśniła jego rękę i uwolniła ją ze swojej dłoni.

Urzędnik cofnął się.

— To jasne, że nie przemyca pani żadnych antycznych dzieł sztuki. Bardzo proszę, niechaj polecą pani szoferowi, aby ruszał naprzód.

— Dziękuję. — Rachel wynagrodziła go wdzięcznym uśmiechem. Dzikus skierował samochód do promu.

— Jesteś lepszą aktorką niż twoja siostra — wyszeptał. — O wiele lepszą.

— Zawsze jej zazdrościłam — odrzekła, ledwo poruszając wargami. — Ona zawsze była lepsza, ale teraz, kiedy jestem w strachu, stać mnie na dużo więcej niż normalnie.

— Nie będę się z tobą spierał. — Dzikus zaparkował wóz na promie. — A teraz poczekamy na Akirę.

Minęło jednak dwadzieścia minut, prom wypłynął już z portu, Akira wciąż do nich nie dołączał.

— Zostań w samochodzie — przykazał Dzikus Rachel. Wysiadł, czując jak napinają mu się mięśnie karku, i rozejrzał się

dokoła. Ładownia śmierdziała naftą i spalinami. Wszystkie inne samochody były puste, ich pasażerowie bowiem wyszli na górne pokłady, aby się przespać lub posilić i podziwiać morze w świetle księżyca.

Metalowa podłoga ładowni drżała w rytm przytłumionego łomotania silników promu. Wokół ani śladu Akiry.

— Zmieniłem zdanie — powiedział Dzikus. — Wsiądź i stań przy mnie. Jeżeli cokolwiek się stanie, uciekaj. Na górze powinni być strażnicy. Masz się trzymać blisko mnie.

Rachel pospiesznie podeszła do niego.

— Czy coś nie tak?

— Jeszcze nie wiem na pewno — Dzikus wciąż rozglądał się po ładowni — ale Akira powinien już być z nami.

— O ile nie przesadza z ostrożnością w sprawdzaniu pasażerów.

— Może... albo coś mu się przydarzyło.

Pomimo otaczających go ze wszystkich stron samochodów, Dzikus poczuł się całkowicie odsłonięty.

Hołdował zasadzie, by nigdy nie przekraczać granic państwowych z bronią. Wprawdzie w wielu krajach prowadzono niezbyt drobiazgową kontrolę, a pistolety, wykonane w dużej mierze z plastiku, nie były widoczne nawet na ekranach rentgenowskich, szczególnie gdy były rozłożone, bronią Dzikusa był jednak całkowicie metalowy rewolwer typu Magnum, który miał odejmowany tylko cylinder. Poza tym Grecja i Włochy po ostatniej fali terroryzmu wzmocniły kontrolę na swych granicach. Dzikus i Akira wyrzucili więc swoją broń do ścieku, zanim jeszcze dotarli do przystani promowej. Dzikus bardzo tego pożałował, gdy nagle usłyszał odgłos czyichś kroków. Na schodkach pojawił się jakiś mężczyzna. Dzikus miał nadzieję, że ujrzy Akirę, ale nie — to był biały.

Poczuł ucisk w klatce piersiowej, po chwili jednak odetchnął swobodnie — mężczyzna był w mundurze. Marynarz z załogi promu rozejrzał się po ładowni, a potem obrócił do Dzikusa i Rachel.

— Przepraszam pana, ale pasażerom nie wolno tutaj przebywać.

— Moja żona zapomniała torebki, musieliśmy więc wrócić po nią. Marynarz poczekał, aż Dzikus i Rachel go wyminą, i poszedł

w głąb ładowni. Dzikus w tym czasie wpatrywał się w szczyt schodów.

— Powiada się, że w tłumie bezpieczniej, prawda? — powiedziała Rachel, starając się bez powodzenia nadać swemu głosowi ton pewności siebie. — Chodźmy więc wmieszać się między ludzi

— I odszukać Akirę. Tylko pamiętaj — powiedział Dzikus — ludzie twojego męża nie wiedzą, jak ja wyglądam, i szukają kobiety o kasztanowych włosach, a nie blondynki.

— Ale nie ukryję tych szram.

— Jeżeli staniesz przy relingu, oprzesz brodę na dłoniach i będziesz patrzeć w wodę, w ciemności nikt nie zauważy twojej twarzy. Gotowa?

Zawahała się, ale po chwili skinęła głową.

— Tylko trzymaj mnie za rękę.

Prom był duży, przystosowany do przewozu sześciuset pasażerów. Ponad ładownią, na pokładach B i A, znajdowały się kabiny i rzędy rozkładanych foteli. Dzikus wykupił jedną kabinę, ale obawiał się z niej skorzystać, aby nie wpaść w pułapkę. Chciał przedtem sprawdzić, co się stało z Akirą.

W miarę jak wchodzili po schodach i zbliżali się do głównego pokładu, słyszeli coraz więcej głosów, tworzących bełkotliwą mieszaninę dialektów i języków. Morski wiatr studził mokre od potu czoło Dzikusa. Ścisnął drżącą rękę Rachel i przestąpił próg luku. Znaleźli się w gromadzie pasażerów, którzy przepychali się potracając wszystkich naokoło.

Rachel wzdrygnęła się i cofnęła, ale Dzikus otoczył ją ramieniem i odprowadził dalej od

świateł, w stronę skrytego w mrokach relingu. Gdy tylko wsparła się na łokciach, kryjąc twarz w dłoniach, znów obrócił się ku tłumowi.

Gdzie mógł być Akira?

Promenada promowa okrążała restaurację z barem, położoną w centrum pokładu. Przez jej okna Dzikus widział pasażerów tłoczących się przy stolikach.

Akira — gdzie on jest, u diabła?

Minęło pięć minut, a potem dziesięć. Dzikus aż się skręcał, ale choć był zdecydowany wszcząć poszukiwania, nie śmiał pozostawić Rachel samej, nawet w wynajętej kabinie. Nagle z tłumu białych snujących się po pokładzie wynurzył się Azjata. Akira!

— Jest ich dwóch — szepnął, kiedy się przybliżył.

Dzikus zerknął na restaurację, a potem odwrócił się w stronę morza, pozornie nie zwracając uwagi na mijającego go Japończyka.

— Przeprowadź ich dookoła jeszcze raz — zamruczał pod nosem. Kiedy obrócił się plecami do relingu, Akira już zniknął w tłumie,

a za nim pospieszyło dwóch mężczyzn o ponurych twarzach, ubranych w garnitury zbyt ciasne na ich muskularne klatki piersiowe.

Dzikus zastanawiał się, czy nie spełniali oni przypadkiem roli przynęty, aby ich ofiara zorientowała się, że jest śledzona, podczas gdy druga część grupy miała obserwować jej zachowanie. Teoretycznie było to możliwe, ale ci dwaj faceci nie zachowywali się niezręcznie, a Akira nie był głównym celem poszukiwań. Tym celem była Rachel. Dopóki Akira ignorował idących za nim ludzi, nie mogli być pewni, że jest tym właśnie Japończykiem, o którego im chodziło. Jeśli zatem nie zamierzali schwytać i przepytać Akiry, pozostawało im tylko czekać, aż spotka się z białym mężczyzną i towarzyszącą mu białą kobietą. Tylko wtedy uzyskaliby pewność, że odnaleźli poszukiwaną osobę.

A więc co mamy robić? — zastanawiał się Dzikus. Bawić się w chowanego po całym promie?

Z bijącym sercem rozglądał się wśród tłumu, czujnie wypatrując każdego, kto mógłby obserwować jego i Rachel. Kiedy Akira przeszedł obok nich po raz drugi, a za nim w bezpiecznej odległości pojawili się ci sami dwaj mężczyźni, Dzikus doszedł do wniosku, że działają samotnie. Ale to wciąż jeszcze nie rozwiązywało sprawy.

Jezu, jak mamy sobie z nimi poradzić?

Najprostszą metodą byłoby pozwolić Akirze wodzić ich w kółko, aż pasażerowie pójdą spać i pokład spacerowy opustoszeje, a wtedy Dzikus mógłby spróbować obezwładnić tropicieli i wyrzucić ich za burtę.

Czy jednak tych dwóch kapusiów nie miało przykazane w regularnych odstępach składać raporty swym mocodawcom, nawet jeśli niczego nie znaleźli? W SEAL należało to do rutyny. Jeżeli zespół nie zameldował się w umówionym czasie, jego zwierzchnik z początku mógł przypuszczać, że nastąpiły nieprzewidziane trudności, zmuszające członków zespołu do pospiesznego ukrycia się w bezpiecznym miejscu, jeżeli jednak milczenie zespołu trwałoby dłużej, wiedzialby, że jego ludzie zostali schwytani lub nawet zabici.

Brak meldunków mógłby być więc wskazówką dla Papadropolisa, że tu właśnie należy skoncentrować poszukiwania.

W miarę jak Dzikus analizował ten problem, nasuwały mu się dalsze, coraz bardziej niepokojące pytania. Przypuśćmy, że oni już złożyli raport. Co będzie, jeżeli powiedzieli swoim przełożonym, że odnaleźli Japończyka, który wygląda jak Akira? W takim wypadku Papadropolis zarządzi najpewniej, aby jutro rano, na pierwszym postoju w Igumenitsy, na pokład promu weszły posiłki.

Zbyt wiele niewiadomych, ale przecież nie można pozwolić, aby ta sytuacja trwała nadal. Trzeba było koniecznie coś zrobić.

Przez okno restauracji Dzikus widział Akirę, który siedział przy stoliku i moczył torebkę herbaty w filiżance. Kapusie obserwowali go dyskretnie z odległego kąta. Jeden z nich coś powiedział. Drugi przytaknął, a wtedy pierwszy wstał i wyszedł z restauracji przez drzwi po drugiej stronie promu.



Dzikus wyprostował się.

— Idziemy, Rachel.

— Ale gdzie...?

— Nie ma czasu na wyjaśnianie.

Przeprowadził ją przez zatłoczony i zadymiony bar obok restauracji, wyrzwał na promenadę po drugiej stronie i dostrzegł stojącego przy szeregu aparatów telefonicznych faceta. Tamten włożył do jednego z nich kartę kredytową, a potem wystukał serię numerów.

— Oprzyj się o reling, tak samo jak przedtem — powiedział Dzikus do Rachel.

Szybko poszedł do automatów telefonicznych, zatrzymał się obok mężczyzny i podniósł słuchawkę sąsiedniego aparatu.

— Jeszcze nie wiemy — mówił właśnie facet, który wyczuł obecność Dzikusa, obrócił się do niego i rzucił mu wściekle spojrzenie.

— Tak, Japończyk — powiedział mężczyzna. — Pasuje do opisu, ale nie mieliśmy zbyt wielu danych. Wiek, wzrost i budowa to za mało, żeby mieć pewność.

— Cześć, kochanie — powiedział Dzikus do swojej słuchawki. Wybrał całkiem przypadkowe numery i słyszał tylko sygnał „zajęte”. — Chciałem ci powiedzieć, że udało mi się złapać prom z Patras.

— Mamy się upewnić? — spytał facet. — Jak...?

— Tak, będziemy we Włoszech jutro o piątej po południu — powiedział Dzikus.

— Przepytać go? — Facet znowu łypnął ponuro na Dzikusa, zły, że nie mógł mówić tak swobodnie, jak by sobie życzył. — Ale jeżeli to on, to ja myślałem, że chodzi o to, żeby skontaktował się ze swoimi kompanami. Z tego, co o nim słyszałem, nas dwóch nie wystarczy, żeby go przekonać do współpracy.

— Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę, kochanie — mówił Dzikus w słuchawkę.

— Tak, to dużo lepszy pomysł. Przyślij więcej negocjatorów.

— Nie, wszystko poszło dobrze. Widziałem się ze wszystkimi klientami na mojej liście — powiedział Dzikus do telefonu. — Niektórzy złożyli całkiem duże zamówienia.

— Korfu? — W głosie mężczyzny słychać było zmieszanie. — Ale to przecież drugi przystanek. Dlaczego nie mogą wsiąść w Igumenitsy? Aha, rozumiem, w porządku. Jeżeli wszyscy są już w porcie i na lotnisku w Korfu, to lepiej, żeby pozostali na miejscu, a poza tym o tej porze i tak nie mogliby się wydostać z wyspy. Nie udałoby się im przepłynąć przez cieśninę do Igumenitsy na czas, żeby złapać prom.

— Ja ciebie też kocham, najdroższa — wyznał Dzikus słuchawce.

— Dobra, zobaczymy się jutro o dziewiątej rano — powiedział mężczyzna. — Jeżeli do tego czasu coś się zdarzy, dam ci znać. — Rozłączył się i wrócił do restauracji.

Dzikus również odwiesił słuchawkę i trzymając się relingu wrócił po omacku do Rachel.

— Zmiana planów — powiedział.

— Nie rozumiem.

— Ja sam też nie jestem pewien, czy rozumiem — zasepił się Dzikus. — Wciąż jeszcze obmyślam szczegóły.

O pierwszej w nocy pokład spacerowy wyludnił się niemal całkowicie. Większość pasażerów poszła spać i tylko nieliczni goście pozostali w barze i w restauracji.

Jednym z ludzi w restauracji był Akira. Zamówił posiłek i smakował każdy kęs tak długo, że obaj kapusie, wciąż zajmujący stolik w kącie, zaczęli zwracać na siebie uwagę. Teraz w każdej chwili mogli wstać, by poszukać innego miejsca do obserwacji swej ofiary.

— Już czas — odezwał się Dzikus do Rachel, która stała tak, by nie być widzianą przez okno restauracji, podczas gdy on ustawicznie zerkał do wnętrza. Uświadomił sobie, że zaczyna to wyglądać podejrzanie. Tak, pomyślał, najwyższy czas.

— Jesteś pewien, że to się uda? — Głos Rachel drżał.

- Nie, ale to jedyny plan, jaki zdołałem wymyślić.
- Nie powiem, aby to mnie całkowicie uspokajało.
- Dasz sobie radę. Powtarzaj w myślach, że to jeszcze jedna szansa, aby wykazać, że jesteś lepszą aktorką niż twoja siostra.
- Za bardzo się boję, żeby mnie to obchodziło.
- No, zaskocz mnie. Idź tam. Szturchną ją lekko i uśmiechną się.

Popatrzyła na niego z namysłem, odpowiedziała uśmiechem, a potem głęboko odetchnęła i weszła do restauracji.

Stojąc w ciemności przy relingu Dzikus obserwował obu mężczyzn, którzy spojrzeli na Rachel i niemal wypuścili z rąk filiżanki. Akira natomiast jadł dalej z wystudiowanym spokojem.

Kiedy Rachel usiadła przy nim, Akira odłożył sztućce, jak gdyby była osobą, na którą czekał, i nachylając się do niej coś powiedział. Rachel odpowiedziała mu, gestem wskazując dolne pokłady. Akira wzruszył ramionami i przytaknął ruchem głowy.

Na drugim planie facet, który wcześniej dzwonił z automatu, wstał i wyszedł z restauracji. Kiedy skręcił w stronę rzędu telefonów ze wzrokiem rozjaśnionym poczuciem zwycięstwa, Dzikus już czekał na niego, kryjąc się w cieniu.

Szybki rzut oka w lewo i w prawo upewnił Dzikusa, że w pobliżu nie ma innych pasażerów, chwycił więc mężczyznę za lewe ramię, podbił w górę jego prawą nogę i przerzucił go przez burtę. Przy upadku z wysokości pięciu pięter woda ma twardość betonu, a facet był zbyt zaskoczony, aby bodaj krzyknąć.

Dzikus obrócił się do okna. Wewnątrz restauracji Akira wstał, uregulował rachunek i wyszedł razem z Rachel na drugą stronę promu.

Drugi kapuś zawahał się, jakby się zastanawiał, kiedy jego partner wróci od telefonu, ale Dzikus wiedział, że nie może pozwolić, aby Rachel i Akira zniknęli mu z pola widzenia. Tak jak przypuszczał, facet szybko wstał, rzucił pieniądze na stół i poszedł ich śladem.

Dzikus ruszył przez pusty pokład. Nie musiał przechodzić na drugą burtę i pilnować tamtego. Dobrze wiedział, dokąd pójdzie.

Bez pośpiechu zszedł schodami na pokład A. Poruszał się powoli, albowiem Akira i Rachel potrzebowali czasu na dotarcie do kabiny, którą Dzikus wykupił, a tropiący ich mężczyzna koniecznie musiał widzieć, jak wchodzi do środka i zamykają drzwi od wewnątrz.

Dopiero wtedy mógł zawiadomić swego kumpla, że już wie, gdzie się ukrywa żona ich pana.

Dzikus schodził w dół udając, że z przepicia płaczą mu się nogi, i gmerał w kieszeniach, jak gdyby nie mógł odnaleźć klucza od swojej kabiny. Kapuś wyskoczył wprost na niego. Dzikus zadał mu cios w żołądek, a potem drugi — kantem dłoni w szczękę.

Nieprzytomnego, a dla postronnych obserwatorów po prostu pijanego faceta powłókł pustym korytarzem do drzwi kabiny, do których zapukał trzy razy.

Drzwi uchyliły się na cal.

- Obsługa — powiedział Dzikus.

Kabina była mała, dwuosobowa, a na jej spartańskie wyposażenie składały się dwie umocowane w pionie koje, komoda, mała szafa i umywalnia. Czworo dorosłych ludzi nie miało w niej zbyt wiele miejsca. Kiedy Rachel zamknęła drzwi, Akira pomógł Dzikusowi ułożyć wciąż nieprzytomnego kapusia na dolnej koi. Szybko i sprawnie związali mu ręce za plecami jego własnym paskiem, a do skrupowania nóg w kostkach posłużył krawat. Następnie obszukali go i odetchnęli z ulgą stwierdziwszy, że nie ryzykował przekraczania granicy z bronią.

- On jest strasznie blady — powiedziała Rachel — a jego szczęka... taka spuchnięta.

Napięcie w jej głosie sprawiło, że Dzikus musiał się obejrzeć. Uświadomił sobie nagle, że Rachel po raz pierwszy zetknęła się ze skutkami przemocy wobec kogoś innego niż ona

sama.

— Nie przejmuj się — powiedział Dzikus. — Nie uderzyłem go aż tak mocno, żeby zrobić mu jakąś krzywdę. Powinien się zaraz obudzić.

— Zobaczmy, czy da się go zachęcić. — Akira przyniósł szklanekę wody z łazienki i spryskał twarz nieprzytomnego. Ten zamrugał i powoli zaczął odzyskiwać zdolność widzenia. Kiedy zobaczył Dzikusa, Akirę i Rachel stojących wokół niego, spróbował wstać, ale gdy stwierdził, że ma związane ręce i nogi, przeraził się jeszcze bardziej.

— Leż spokojnie — odezwał się Dzikus. — Nie wygłupiaj się i nie wzywaj pomocy. Twój kumpel nie może cię usłyszeć.

— Gdzie...

— Wpadł za burtę — odrzekł Dzikus.

— Ty skurwysynu!

— Mamy dla ciebie propozycję — powiedział Akira. — Chcielibyśmy, żebyś się dobrze wyspał w nocy, a rano wykonał dla nas jeden telefon.

— Nie zabijecie mnie?

— Zawsze jest taka możliwość. — W oczach Akiry pojawiło się jeszcze więcej smutku. — Bylibyśmy szczęśliwi, gdybyś zechciał z nami współpracować i nie musiał dołączać do swoich antenatów.

— Antenatów? To jakaś japońska sztuczka?

— Tak, jeśli Jak to nazywasz. — Akira uśmiechnął się ironicznie. — Japońska sztuczka.

— Co to ma być za telefon?

— Prom przy pływa do Igumenitsy jutro o siódmej rano. Kiedy odpłynie dalej na Korfu, zadzwonisz do swoich przełożonych i powiesz im, że rozpoznaliśmy was obu. Powiesz, żeśmy wpadli w panikę i zeszliśmy na ląd w Igumenitsy, skąd jedziemy samochodem na wschód, w głąb lądu, w stronę Joanniny, drogą numer dziewiętnaście.

— Ale naprawdę wszyscy zostaniecie na promie, który będzie płynął do Korfu? — spytał facet.

— Dokładnie tak. Dzięki temu posiłki, które miały wejść na pokład w Korfu, zostaną odwołane.

— A co potem? — Facet naraz stał się podejrzliwy. — Co będzie, jak dopłyniemy do Korfu? Popłyniemy dalej do Włoch?

— Nie będziemy ci się tłumaczyć z naszych planów.

— Chodzi mi o to, co się ze mną stanie, do jasnej cholery. Po co mam dzwonić? Zabiliście mojego kolegę, to co wam przeszkadza zabić mnie?

— Masz nasze słowo, że nie stanie ci się krzywda — powiedział Akira. Facet roześmiał się.

— Wasze słowo? No nie, trzymajcie mnie. Wasze słowo gównu znaczy. Jak tylko stanę się dla was bezużyteczny, to już po mnie. Przecież nie możecie puścić mnie żywego, żebym powiedział Papa-dropolisowi, dokąd naprawdę uciekliście.

Oczy Akiry zapłonęły gniewem.

— Moje słowo nie jest, jak ty mówisz, gównem. Mężczyzna zwrócił twarz ku Dzikusowi.

— Słuchaj, obaj jesteście Amerykanami, to powinno coś znaczyć. Do cholery, czy nie pojmujesz, w jakich jestem opałach?

Dzikus usiadł obok niego na koi.

— Oczywiście. Z jednej strony obawiasz się, że zabijemy cię po tym, jak zadzwonisz i już nie będziesz nam potrzebny, z drugiej strony zaś boisz się, że wykończy cię Papadropolis, kiedy się dowie, że pomogłeś nam w ucieczce. Jego nie będzie obchodziło, że zrobiłeś to, aby ratować życie. Będziesz dla niego zdrajcą, toteż cię ukarze, i to najciężej. Zgadzam się, że jesteś w opałach, ale teraz musisz rozstrzygnąć, czy wolisz umrzeć zaraz, czy też nieco później.

— I zapewniam cię, że jeśli odmówisz, dołączysz do swego kumpla w morzu — odezwał się Akira. — Mamy też inne sposoby na wyjście z tej matni.

— Więc skorzystajcie z nich, na Boga.

— Ale co zrobimy z tobą? — spytał Dzikus. — W tej chwili nie zajmujemy się Papadropolisem, zajmujemy się tobą. To na co się decydujesz?

Mężczyzna przenosił przerażony wzrok z Dzikusa na Akirę i z powrotem. W końcu wlepił oczy w Rachel.

— Pani Papadropolis, niech pani im nie pozwoli...

,— Nienawidzę tego nazwiska — odpowiedziała — i niech mnie pan tak nie nazywa. Nie chcę go więcej słyszeć. Nazywam się Stone.

— Panno Stone, błagam, niech pani nie pozwoli, żeby mnie zabili. Pani zbladła, kiedy dowiedziała się, że ten człowiek — głową wskazał Dzikusa — zabił mojego partnera. Będzie się pani czuła jeszcze gorzej, kiedy dopuści pani do drugiego zabójstwa. Widziała mnie pani z bliska, rozmawiała pani ze mną. Nazywam się Paul Farris, mam trzydzieści cztery lata i jestem specjalistą od ochrony, a nie mordercą. Mam żonę i dziecko i mieszkam z nimi w Szwajcarii. Jeżeli pozwoli pani tym ludziom zamordować mnie, będzie się pani czuła winna do końca życia.

Rachel zmarszczyła czoło i przełknęła ślinę.

— Nieźle się starasz, ale obszukaliśmy cię, zanim się obudziłeś — powiedział Dzikus. — Przejrzeliśmy twój portfel. Nie nazywasz się Paul Farris, tylko Harold Trask. Jedyna prawdziwa rzecz w tym, co powiedziłeś, to twój wiek. Nie rozczulaj się nad nim, Rachel.

— Myślicie, że jestem taki głupi, żeby nosić prawdziwe dokumenty przy pracy? — spytał mężczyzna. — Gdyby ludzie, których śledzę, wiedzieli, kto im siedzi na karku, mogliby się dostać do mojej żony i dziecka, żeby mi odplącić. Mogę się założyć, że wy obaj też nie macie prawdziwych dokumentów.

— Przekonałeś mnie — powiedział Akira. — Ale odchodzimy od tematu. Wciąż jeszcze nie rozwiązałeś swojego własnego problemu. Nawet gdyby Rachel zabroniła nam zabić ciebie, niewiele to pomoże. Ona nie ryzykuje życiem. Gdyby Papadropolis ją odnalazł lub sama zdecydowała się wrócić do niego...

— Nigdy! — zawołała Rachel. — Nigdy do niego nie wrócę.

— ...jej mąż bez wątplenia zabiłby ją jeszcze bardziej bestialsko, ale by jej nie zabił, natomiast zabiłby nas, gdyby wiedział, kim jesteśmy, i zdołał nas ująć. Uciszenie ciebie jest więc dla nas po prostu samoobroną.

— Zdecyduj się — powiedział Dzikus. — Będziesz z nami współdziałał?

— To znaczy zadzwonię do moich zwierzchników, a potem puścicie mnie wolno?

— Już ci to obiecaliśmy. Mężczyzna zastanowił się.

— Najwyraźniej jestem do tego zmuszony.

— Rozsądny z ciebie chłopiec — pochwalił go Akira. W oczach mężczyzny pojawiło się wyrachowanie.

— Mimo to jednak...

— Oj, bo stracę cierpliwość.

— Potrzebowałbym dodatkowej zachęty.

— Pieniądzy? Nie igraj z losem — powiedział Dzikus, ale Rachel przerwała mu:

— Zapłać.

Dzikus odwrócił się do niej z nachmurzoną twarzą.

— On wiele ryzykuje — powiedziała. — Kiedy mój mąż dowie się, że skłamał, dostanie furii.

— To prawda, panno Stone. Będę musiał zabrać żonę i córkę i zniknąć na pewien czas, a to będzie raczej kosztowne.

— Jeśli w ogóle masz żonę i córkę — powiedział Dzikus. — Ile?

— Ćwierć miliona.

— Coś ci się przyśniło.

— To niech będzie dwieście tysięcy — poprawił się facet.

— Dam ci pięćdziesiąt tysięcy i jeszcze będziesz dziękował.

— Ale skąd będę wiedział, że je masz? Dzikus pokiwał głową z niesmakiem.

- Czy masz jakiś wybór? Twarz mężczyzny pobladła.
- Uważaj, żebym nie stracił cierpliwości — powiedział Dzikus.
- W porządku — wymamrotał mężczyzna. — Umowa stoi, ale jest jeszcze jedna sprawa.
- Jesteś niemożliwy — odezwał się Akira.
- Nie, słuchajcie. Chciałbym, żebyście mi pomogli ukryć się przed Papadropolisem.
- Odlóżmy to do jutra — powiedział Dzikus.
- Moglibyście przynajmniej rozwiązać mi ręce i nogi.
- Ja bym ci jeszcze zakneblował usta — rzucił Akira.
- Muszę pójść do toalety. Zirytowany Akira podniósł rękę.
- Nie wiem, czy będę w stanie tolerować tego człowieka do jutra rana.
- Ale masz minę! — wybuchnęła śmiechem Rachel.

Była siódma dziesięć rano następnego dnia. Kiedy prom opuścił mały port w Igumenitsy, kierując się na zachód w stronę wyspy Korfu, Dzikus, Akira i Rachel stanęli wokół mężczyzny, który prowadził rozmowę telefoniczną. Dzikus trzymał go mocno za ramię, słuchając uważnie tego, co przekazywał swoim przełożonym.

— Sam wiem, że to burdel, nie musisz mi tego mówić, ale to nie moja wina, do cholery. Mój partner podszedł za blisko i Japończyk go zauważył, tuż przed cumowaniem w Igumenitsy. Japończyk uciekł i zabrało nam trochę czasu odnalezienie go z powrotem, ale wtedy już byli z nim razem Amerykanin i pani Papadropolis. Pewnie spali w jakiejś kabinie. A co ja miałem robić, pukać do każdych drzwi i pytać: „Pani Papadropolis, jest tam pani?” Japończyk to była oczywiście przynęta, żeby sprawdzić, czy prom jest śledzony. Gdyby wszystko poszło dobrze, popłynęliby dalej do Korfu.

Mężczyzna przestał mówić, i wtedy Dzikus usłyszał, że na drugim końcu linii ktoś głośno krzyczy.

— Nie, nie mogliśmy ich zatrzymać, zanim zjechali z promu — ciągnął dalej mężczyzna. Z drugiej strony znowu odpowiedział mu krzyk.

— Słuchaj, mówię ci, że to nie moja wina. Mój partner tak się przeraził tą wyspą, że zwiął. Bał się, że Papadropolis go zabije.

Mężczyzna skrzywił się i odsunął słuchawkę od ucha, żeby przeczekać kolejną falę wrzasku. Potem znów zaczął mówić:

— No dobra, ale to jego tyłek, nie mój. Ja nie rzuciłem roboty, tyle że cholernie trudno ścigać ich samemu. Ledwo ich dopadłem, zanim wyjechali z Igumenitsy. Jadą na wschód, drogą numer dziewiętnaście. Dlaczego nie zadzwoniłem wcześniej? A jak miałem to zrobić, żeby ich nie stracić z oczu? Teraz mogę dzwonić tylko dlatego, że zatrzymali się na stacji benzynowej. Jestem w pobliskiej knajpie i widzę ich przez okno. Nawet nie przypuszczają, że... Chwileczkę. Cholera, już się zbierają. Słuchaj, wydaje mi się, że jadą do Joanniny. Stamtąd do granicy z Jugosławią jest mniej niż godzina jazdy. Powiedz wszystkim, żeby obserwowali przejście graniczne. Chryste, odjeżdżają! Nie mogę dłużej mówić. Odezwę się później.

Udając, że nie może złapać tchu, mężczyzna trzasnął słuchawką o widelki, a Dzikus zwolnił uścisk na jego ramieniu.

Więzień otarł spocone czoło. Drżał tak, że musiał oprzeć się o telefon.

- Dobrze było?
- Wyjątkowo wiarygodnie — stwierdził Akira.
- A co teraz? — zapytał mężczyzna lękliwie, jak gdyby podejrzewał, że Dzikus i Akira mimo wszystko zechcą go zabić.
- Będziemy odpoczywać i cieszyć się podróżą — odpowiedział Akira.
- Naprawdę?
- Dopełniłeś swojej części umowy. Mężczyzna wyprostował się i głęboko odetchnął.
- Myślę, że Papadropolisa mam już z głowy. Będą szukać przede wszystkim mojego

partnera.

— Którego nigdy nie znajdą — powiedział Akira. — Tak, chyba masz już za sobą swoje zmartwienia.

— I nasze — dodała Rachel. — Nikt na nas nie będzie czekał na Korfu. Będą próbowali przechwycić nas po drodze do Jugosławii.

— Dokąd w ogóle nie mamy zamiaru jechać. — Dzikus obrócił się do mężczyzny. — Tylko żebyś na pewno jak najszybciej wrócił na ląd. Musisz udawać, że nas ścigasza. Dzwon do nich, przekazuj im fałszywe raporty.

— Pewnie, że tak zrobię. Jeżeli nie spotkałbym się z całą naszą grupą na którymś z przejść, nie uwierzyliby w moją opowieść. Ale do tego czasu już was zgubię.

— Właśnie.

— Jest jeszcze jedna sprawa — powiedział mężczyzna.

— Tak? Co takiego?

— Zapomniałeś wypłacić mi forszę.

Półtorej godziny później, kiedy prom przycumował w Korfu, • przyglądali się, jak ich mimowolny współpracownik wyjeżdża samochodem na nabrzeże i rozplywa się w potoku aut.

— On może nas jeszcze zdradzić — powiedział Akira.

— Nie sądzę — zaprzeczył Dzikus. — Rachel miała rację mówiąc, żeby mu zapłacić. On wie, że gdyby powiedział, gdzie naprawdę jesteście, pociągnęlibyśmy go za sobą, a Papadropolis zabiłby go za wzięcie łapówki.

— To teraz płyniemy do Włoch? — spytała Rachel.

— Po co nam ten kłopot? — uśmiechnął się Dzikus. — Lotnisko w Korfu już nie jest pod nadzorem, możemy więc polecieć najbliższym samolotem do Francji. Wieczorem będziesz u swojej siostry.

Rachel jednak wyglądała na zatroskaną. Dlaczego? — głowił się Dzikus.

— A potem ty i ja wsiądziemy do następnego samolotu, do 164

Nowego Jorku — Akira zwrócił się do Dzikusa, a w jego oczach pojawił się gniew. — Zmusimy Grahama, aby powiedział nam, czemu widzieliśmy nawzajem swoją śmierć.

— Czy się przejmuję? Tak, oczywiście. Dlaczego miałabym się nie przejmować? — powiedziała Rachel.

Na lotnisku w Korfu pozostawili swój samochód i polecili samolotem Alitalii do Rzymu, gdzie przesiedli się na odrzutowiec Air France, lecący do Nicei.

Było wczesne popołudnie i wspaniała pogoda. Rachel miała miejsce przy oknie i dlatego mogła mówiąc spoglądać ku zachodowi na Korsykę, a potem w dół, na odbłask słońca na powierzchni Morza Śródziemnego. Dzikus wyczuwał jednak, że robiła to nie tyle z chęci podziwiania krajobrazu, co raczej po to, aby ukryć wyraz twarzy, kiedy odpowiadała na jego pytanie.

— Tam, na promie, nie byłaś specjalnie uszczęśliwiona, kiedy wspomniałem, że już dziś wieczór spotkasz się z siostrą — powiedział Dzikus.

Rachel wciąż patrzyła w okno.

— Spodziewałaś się, że będę podskakiwać do góry z radości? Po tym wszystkim, co się zdarzyło, jestem zupełnie wypompowana i czuję się jak ogłuszona. Wciąż nie mogę uwierzyć, że uciekłam.

Dzikus spojrzał na jej rękę. Palce miała zaciśnięte tak mocno, że kostki zbieleły.

— Rachel...

Pięść zacisnęła się mocniej.

— Chciałbym, żebyś spojrzała na mnie. Przysunęła się bliżej do okna.

— Czy chcę zobaczyć siostrę? Naturalnie. Ona jest dla mnie kimś więcej niż tylko

siostrą, jest moim najbliższym przyjacielem. Gdyby nie ona... i ty... nigdy nie wy dostałabym się z Mykonos i mój mąż dalej by mnie katował.

Zadygotała.

— Rachel, bardzo cię proszę, popatrz na mnie. Zesztywniała, lecz potem powoli obróciła się w stronę Dzikusa.

Miała posępny wyraz twarzy.

Dzikus ujął jej pięść, rozgiął palce i zamknął je w swojej dłoni.

— Czemu się martwisz?

— Próbuję sobie wyobrazić, co mnie czeka. Moja siostra, radosne spotkanie, szansa na wypoczynek i wyzdrowienie. O tak, z pewnością będę rozpieszczana, będę miała wszystko co najlepsze, ale co potem? Klatka to zawsze klatka, choćby ze złota. Wciąż będę więźniem.

Dzikus czekał, co Rachel powie dalej, cały czas świadom tego, że Akira, który siedział w tyle samolotu, czujnie obserwuje pozostałych pasażerów.

— Mój mąż nie spocznie, póki mnie nie dopadnie. Kiedy dowie się, gdzie jestem, wprowadzi stały nadzór posiadłości mojej siostry. Nigdy nie będę mogła się stamtąd ruszyć.

— Zawsze są jakieś sposoby, żeby się wymknąć.

— No właśnie — wymknąć. Ale poza jej posiadłością nigdy nie będę się czuła bezpieczna. Gdziekolwiek pójdę, będę musiała używać fałszywego nazwiska, zmieniać wciąż wygląd i starać się nie rzucać w oczy. Przez całe życie nic, tylko się wymykać.

— Nie jest tak źle, jak mówisz.

— Jest! — Rachel pospiesznie rozejrzała się po pasażerach z tyłu i z drugiej strony przejścia, zakłopotana, że ktoś mógłby zwrócić uwagę na jej podniesiony głos. Potem odezwała się szeptem, ale z naciskiem: — Jestem przerażona. Co się dzieje z ludźmi, których uratowałeś?

Dzikus musiał skłamać. Wiedział, że jego pomoc oznaczała tylko doraźne rozwiązanie problemów. W ten sposób nie można było usunąć zagrożenia, a jedynie odsunąć je w czasie.

— Żyją dalej tak jak przedtem.

— Pieprzysz. Drapieżnik nigdy nie daje za wygraną. Nic nie odpowiedział.

— Mam rację? Spojrzał w stronę przejścia.

— Hej, do diabła, odpowiedz mi!

— W porządku, jeśli domagasz się mojej opinii, to uważam, że twój mąż jest zbyt arogancki, aby się przyznać do klęski. Tak, będziesz musiała być bardzo ostrożna.

— O, to kurewsko pięknie. — Wyrwała rękę z jego dłoni.

— Chciałaś prawdy.

— I mam ją, a jakże.

— Zazwyczaj próbuje się pertraktacji.

— Nie mów do mnie jak adwokat.

— To czego chcesz?

— Przez te ostatnie parę dni, choć bywało strasznie, czułam się bezpieczna. Było mi tak dobrze jak nigdy dotąd, bo byłam z tobą. Ty sprawiałeś, że czułam się ważna, godna szacunku i troski. Traktowałeś mnie, jakbym znaczyła dla ciebie wszystko.

— Bo tak było.

— Jako klientka — powiedziała Rachel. — A kiedy dostarczysz mnie mojej siostrze, otrzymasz zapłatę.

— Nic o mnie nie wiesz — odrzekł Dzikus. — Nie ryzykuję życiem tylko dla pieniędzy. Robię to, ponieważ ludzie mnie potrzebują, ale nie mogę zostawać na stałe z...

— ...każdym, kto cię potrzebuje?

— Wcześniej czy później będę musiał odejść. Twoja siostra czeka na ciebie.

— I wtedy zapomnisz o mnie?

— Nigdy — odpowiedział Dzikus.

— To zabierz mnie ze sobą.

— Co? Do Nowego Jorku?  
— Bez ciebie nie będę się czuła bezpieczna.  
— Rachel, za trzy tygodnie nawet nie wspomnisz o mnie, popijając szampana przy basenie twojej siostry.  
— Potrafię być lojalna.  
— Miewałem już podobne rozmowy wcześniej — powiedział Dzikus. — I to wiele razy.  
Człowiek, który mnie wykształcił...

— Graham.  
— Tak. On zawsze powtarzał: „Nigdy nie wiąż się ze swoim klientem” i miał rację. Uczucia są przyczyną błędów, a błędy kończą się bardzo źle.  
— Zrobiłabym dla ciebie wszystko.  
— Na przykład poszła za mną do piekła?  
— Obiecałam ci to.  
— Ale przeżyłaś. Akira i ja mamy nasze własne piekło i koniecznie musimy zrozumieć, dlaczego to się nam przydarzyło. Uwierz mi, tylko byś przeszkadzała. Ciesz się basenem siostry... i pomyśl czasem o dwóch facetach, którzy próbują wyjaśnić koszmar.

— Nie ruszaj się przez chwilę.  
— Dlaczego?  
Rachel przysunęła się do niego i ujęła jego twarz w ręce. Dzikus skulił się.

— Nie — powiedziała — nie ruszaj się.  
— Ale...  
— Spokojnie. — Zaczęła go całować. Z początku jej wargi zaledwie musnęły jego usta, drażniąc je, ale stopniowo zwiększała nacisk, aż wreszcie przywarła do niego z całą siłą. Dzikus nie opierał się, ale też, mimo erekcji, wcale jej nie zachęcał.

Rachel powoli odsunęła się.  
— Jesteś piękna, Rachel.  
Pogładził palcem jej policzek. Zadrżała..  
— Nie wolno mi złamać zasad — powiedział. — Odwiozę cię do siostry, a potem razem z Akirą pojedę do Nowego Jorku.  
Odwróciła się gwałtownie od niego.  
— Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę siostrę.

Wylądowali w pobliżu Nicei parę minut po czwartej po południu. Zanim wylecieli z Korfu, Dzikus zadzwonił do Joyce Stone i uprzedził ją o ich przybyciu. Kiedy teraz weszli na teren odprawy celno-paszportowej, na ich spotkanie wyszedł, omijając innych przybyszów, szczupły mężczyzna w dobrze skrojonym szarym garniturze. Za nim szedł strażnik w uniformie. Mężczyzna miał w klapie znaczek identyfikacyjny, ale Dzikus nie wiedział, co oznaczały kolorowe paski na nim.

— Monsieur Dzikus? — zapytał wytwornie wyglądający pan.  
— Tak.  
— Zechcą państwo pójść z nami.  
Po Akirze nie było znać śladu napięcia. Zrobił jednak porozumiewawczy grymas do Dzikusa, który skinął uspokajająco głową i wziął Rachel za rękę.  
Weszli do bocznego pomieszczenia. Strażnik zamknął drzwi, a wytworny pan zasiadł za biurkiem.

— Monsieur, orientuje się pan zapewne, że przybywający do Francji powinni okazać nie tylko paszport, ale również wizę wjazdową.  
— Tak. Spodziewam się, że wszystko jest w porządku. — Dzikus położył swój paszport i wizę na blacie. Zanim jeszcze przyjął zlecenie, poprosił Joyce Stone, aby załatwiła wizy dla nich obojga, wiedział bowiem, że będzie musiał odwiedzić Rachel do Francji.



Urzędnik przejrzał dokumenty.

— A to paszport panny Stone — powiedział Dzikus. Ponieważ Rachel używała paszportu swej siostry, która była obywatelką francuską, nie musiała mieć wizy wjazdowej.

Urzędnik sprawdził paszport.

— Doskonale — powiedział. Nie wydawał się wcale przejęty tym, że rozmawiał z kobietą o tak wielkiej władzy i sławie.

— Mój przyjaciel ma paszport — Dzikus wskazał Akirę — jednak obawiam się, że nie zatroszczył się o uzyskanie wizy.

— Tak, właśnie tak przedstawiła mi sprawę pańska wpływowa znajoma. Ale gdy państwo byliście w drodze, to niedopatrznie zostało 168

naprawione. — Urzędnik położył wizę na blacie i wyciągnął rękę po paszport Akiry, przekartkował go, podstemplował wszystkie dokumenty i zwrócił je właścicielom.

— Czy deklarują państwo coś do oclenia?

— Nic.

— To proszę za mną.

Wyszli z biura, minęli zatłoczone stanowiska kontroli celnej i paszportowej i wreszcie doszli do wyjścia z budynku dworca lotniczego.

— Miłego pobytu — powiedział urzędnik.

— Doceniamy pańską pomoc — odrzekł Dzikus. Urzędnik wzruszył ramionami.

— Wasza wpływowa znajoma usilnie się tego domagała. Oczywiście bardzo uroczo. Miło mi spełniać jej życzenia, jeśli to tylko możliwe. Poleciała mi również powiedzieć, że zadbała o transport dla państwa. Tymi drzwiami proszę.

Zaciekawiony Dzikus wyszedł na zewnątrz, a za nim Rachel i Akira. W oślepiającym blasku słońca ujrzał jezdnię przedzieloną pasem trawy, parking na tle palm, przy krawężniku zaś coś, co go przeraziło. Mimo że jeszcze w Atenach zalecał jej używanie nie rzucających się w oczy samochodów, Joyce Stone przysłała po nich rolls-royce'a. Co gorsza, za kierownicą siedział jeden z tych krzepkich goryli, których Dzikus spotkał w hotelowym apartamencie gwiazdy.

— Nie podoba mi się to — powiedział Akira.

— Dlaczego? — spytała pełnym napięcia głosem Rachel.

— Tego się tak nie robi — wyjaśnił Dzikus. — Brakuje tylko napisu na drzwiczkach: „Uwaga, wewnątrz ważne osobistości”. Równie dobrze można by tam wymalować tarczę celowniczą.

Krzepki szofer wysiadł z samochodu, skrzyżował ramiona i wyszczerzył zęby do Dzikusa.

— A więc naprawdę ci się udało. Zrobiło to na mnie niezłe wrażenie.

Dzikus poczuł się jeszcze bardziej przerażony.

— Powiedziano ci? Wiedziałeś, że będziemy twoimi pasażerami?

— Szefowa przez trzy dni gryzła palce, aż wreszcie nie mogła się powstrzymać i powiedziała mi. — Facet wciąż się szczyrzył.

— O kurwa.

— Spokojnie, wszystko cacy.

— Nie — odrzekł Akira. — Nie cacy. Facet przestał suszyć zęby.

— A ty kto jesteś, do diabła?

Akira zignorował go i zwrócił się do Dzikusa:

— Może moglibyśmy wziąć inny samochód?

— A co złego w tym? — zapytał goryl.

— Nie dasz rady zrozumieć.

— Dajcie spokój, ten samochód jest dobrze nafaszerowany.

— Akurat teraz nie zależy nam na stereo ani na klimatyzacji — odrzekł Akira.

— Nie, chodzi mi o to, że on jest naprawdę nadziany do pełna. Dzikus czuł się nieswojo w strumieniu pojazdów i pieszych

opuszczających lotnisko, minęła więc dobra chwila, zanim zrozumiał, co tamten

powiedział.

— Nadziany...? — powtórzył pytająco.

— Pod przednimi błotnikami automatyczne strzelby na loftki, po bokach wyrzutnie petard, a z tyłu wytwornica dymu. Kuloodporny. Opancerzony zbiornik paliwa, ale na wszelki wypadek, gdyby go trafił pocisk z moździerza, w bagażniku unosi się stalowa płyta, która nie pozwala na rozprzestrzenianie się ognia. To właśnie mówię: nadziany jak cholera całym tym terrorystycznym żelastwem. Szefowa wierzy w zabezpieczenia.

Akira zmarszczył brwi i spojrzał na Dzikusa.

— Tylko że on tak cholernie rzuca się w oczy — powiedział Dzikus.

— Ale może nie tu, w południowej Francji. Przez ten czas, kiedy tu gadamy, minęło nas już pięć równie wulgarnych samochodów — stwierdził Akira.

— Wiesz, chyba masz rację — odpowiedział Dzikus.

— Wulgarny? — odezwał się goryl. — Ten wóz nie jest wulgarny, jest jak ze snu.

— Zależy, jakie kto ma sny — odpowiedział Dzikus. Rachel poruszyła się nerwowo.

— Nie podoba mi się, że tak tu stoimy.

— Dobra — powiedział Dzikus. — Bierzemy go. — Ośłaniał Rachel, która otworzyła tylne drzwi i szybko wsiadła do samochodu. — Akira, usiądziesz przy niej. — Odwrócił się do krzepkiego goryla. — Ja prowadzę.

— Ale...

— Siadaj obok albo pójdiesz piechotą. Facet przybrał skrzywdzony wygląd.

— Ale musisz obiecać, że ty bierzesz całą odpowiedzialność.

— To pewnik.

— Co?

— Że nie jesteś odpowiedzialny. Wsiadaj. 170

Podczas gdy Dzikus usadawiał się za kierownicą, goryl pospiesznie zajął miejsce obok niego i zatrzasnął drzwiczki.

— Gdzie sterowanie i wskaźniki?

— To jest automat.

— Chodzi mi o te petardy, dymy i strzelby.

— Podnieś klapkę na prawo od dzwigni biegów.

Pod klapką Dzikus ujrzał rząd wyraźnie oznaczonych przycisków. Przekręcił kluczyk i ostro ruszył naprzód.

Nie kierował się na wschód, w stronę Nicei, lecz skręcił w nadmorską drogę N 98, która wiała się wzdłuż Lazurowego Wybrzeża przez Antibes i Cap d'Antibes, prowadząc do znajdującego się parę kilometrów dalej Cannes. Wśród wysp leżących w sąsiedztwie tej przesławnej miejscowości znajdowało się równie sławne księstwo Joyce Stone, którym władała w imieniu złożonego

chorobą męża.

— Tak — odezwał się krzepki goryl — trzymaj się tej drogi, aż...

— Byłem już kiedyś w południowej Francji.

Półtora roku temu Dzikus towarzyszył pewnemu amerykańskiemu producentowi filmowemu na festiwalu w Cannes. W owym czasie terroryści grozili atakiem na wszystkich „dostawców narzędzi imperialistyczno-rasistowskiego ucisku”, Dzikus pochwalił więc decyzję swego pryncypała, który w tej napiętej politycznie atmosferze zatrzymał się nie w samym Cannes, lecz w jednej z pobliskich wiosek, dzięki czemu przynajmniej podczas snu znajdował się w bezpiecznym oddaleniu od miejsca spodziewanych zamachów.

Przygotowując się do podjęcia tego zlecenia, Dzikus przyjechał parę dni wcześniej i starannie spenetrował Cannes i okolice, obserwując ruch na głównych i drugorzędnych drogach, na wypadek gdyby musiał stąd szybko wywieźć

swego pryncypała.

— Tak, byłem już kiedyś w południowej Francji — powtórzył. — Na pewno trafię do twojej szefowej.

Im bardziej oddalał się od nicejskiego lotniska, tym ruch drogowy stawał się słabszy,

większość samochodów skręcała bowiem na leżącą nieco dalej na pomoc autostradę. Biegła ona równoległe do drogi, którą jechali, i doprowadziłaby ich do Cannes wcześniej, ale Dzikus nie miał zamiaru wjeżdżać do miasta. Poinstruował Joyce Stone, aby przygotowała motorówkę, która powinna czekać na nich przy plaży, jakieś pół kilometra przed wjazdem do Cannes. Motorówka miała ich przewieźć na jacht, który dostarczyłby ich na wyspę Joyce Stone — w ten sposób Rachel zostałaby sprawnie i dyskretnie przekazana siostrze.

— Przykro mi to mówić — odezwał się Akira — ale wydaje mi się, że mamy towarzystwo.

Dzikus zerknął w lusterko wsteczne.

— Ta furgonetka?

— Jedzie za nami od chwili, gdy wyruszyliśmy z lotniska.

— Może do któregoś z uzdrowisk przy tej drodze.

— Ale ona wymija inne samochody, aby tylko trzymać się za nami. Gdyby gdzieś się spieszyła, wyminęłaby i nas.

— Sprawdźmy to.

Dzikus zwolnił i furgonetka również przyhamowała. Kiedy wyprzedził ich szybki porsche, Dzikus dodał gazu. Furgonetka natychmiast również zwiększyła prędkość.

Dzikus spojrzał na siedzącego obok goryla.

— To byłoby pewnie zbyt piękne, gdybyś miał przy sobie jakieś pistolety?

— Nie przypuszczałem, żeby były potrzebne.

— Jeżeli to przeżyjemy, stłukę cię tak, że długo popamiętasz. Na twarzy Rachel pojawiło się przerażenie.

— Jak oni nas znaleźli?

— Twój mąż domyślił się pewnie, że wszystko to zorganizowała Joyce.

— Ale przecież on przypuszcza, że jedziemy przez Jugosławię.

— Racja. Większość jego ludzi właśnie tam nas szuka — powiedział Dzikus dodając gazu — ale widocznie jakaś grupa czekała także tu, we Francji, na wypadek gdybyśmy zdołali dotrzeć aż tak daleko. Lotnisko było pod obserwacją.

— Nie zauważyłem żadnych szpicli — powiedział Akira.

— Bo obserwowano pewnie nie wewnątrz, ale na zewnątrz portu lotniczego, a kiedy ten dureń zaczął demonstrować rollsa...

— No, no, uważaj, kogo nazywasz durniem — obruszył się goryl.

— ...mechanizm pułapki zaczął działać. Na pewno nie są sami. Gdzieś w przodzie musi być inny samochód, który kontaktuje się z nimi przez radio. A jeżeli ty — Dzikus popatrzył groźnie na goryla — nie stulisz pyska, poproszę Akirę, żeby cię udusił.

Dzikus wyminął powolną ciężarówkę pełną kurcząt. Furgonetka powtórzyła ten manewr.

Patrząc w lewo, w dół zбочa, Dzikus widział Antibes, rozciągające się wzdłuż morskiego brzegu. Miasteczko o wąskich, starych uliczkach tonęło w rozległych ogrodach, spośród których wystrzelała wspaniała romańska katedra. Po prawej stronie, na stokach wzgórz, rozlokowane były malownicze wille.

Dzikus dojechał do zakrętu i w jego połowie wduślił pedał gazu. Przekładnia opieszale zaczęła zmieniać bieg, aż wreszcie zaskoczyła.

— Automat — mruknął Dzikus. — Aż trudno uwierzyć. — Znów spojrzał na goryla. — Czyżbyś nie wiedział, że w razie ucieczki standard jest znacznie lepszy?

— Tak, ale automat jest wygodniejszy w ruchu miejskim, a jazda przez te miasteczka to jak bieg przez płotki. W standardowym wozie można dostać szału z ciągłym zmienianiem biegów.

Dzikus zaklął i wziął kolejny zakręt. Teraz na opadającym stoku widać było stłoczone hotele, niemal całkowicie przesłaniające widok na morze.

Ścigająca ich furgonetka była coraz bliżej.

— Może być jeszcze inne wyjaśnienie — odezwał się Akira.

t- Tego, że nas wymacali? — Dzikus starał się jak najszybciej wyprowadzić rollsa z

zakrętu.

— To mógł być twój telefon przed wyjazdem z Korfu. Ten niekompetentny człowiek, który siedzi obok ciebie, przyznał, że twoja pracodawczyni mówiła otwarcie o uwolnieniu.

— Ejże, co to znaczy „niekompetentny”?

— Jeżeli jeszcze raz się odezwiesz — odpowiedział Akira — być może naprawdę cię uduszę.

Dzikus zmarszczył czoło przy następnym zakręcie.

— Podejrzewam, że telefony twojej pracodawczyni są na podsłuchu — ciągnął Akira. — Podejrzewam również, że w jej domu są szpiedzy.

— Ostrzegałem ją — powiedział Dzikus. — Zanim wziąłem się do tego, uprzedziłem ją, że bezpieczeństwo Rachel zależy od zachowania absolutnej dyskrecji.

— Ale potem ona pewnie poczuła się zwolniona z tego obowiązku i zapragnęła pogadać z kimś o swoich kłopotach.

Dzikus łypnął ponuro we wsteczne lusterko. Furgonetka była coraz bliżej.

— Chyba masz rację. Ktoś ze służby Joyce Stone musi być szpiegiem Papadropolisa i dlatego ci ludzie czekali na lotnisku.

— To co w takim razie robimy? — zapytał goryl.

— Przede wszystkim — odpowiedział Dzikus — chciałbym wyrzucić cię na zbity pysk.

— Z przodu — warknął Akira.

Dzikus poczuł ucisk w piersiach, gdy przed sobą ujrział następną furgonetkę. Nagle zakręciła, weszła w poślizg i zablokowała wąską drogę.

— Rachel, sprawdź, czy masz dobrze zapięty pas.

Dzikus lekko uniósł stopę z pedału hamulca, drugą cały czas przyciskając gaz, i obrócił kierownicę. Był to trudny manewr, Gdyby zbyt mało poluzował hamulec, zablokowałby tylne koła. Musiał tak wypośrodkować między hamowaniem a przyspieszeniem, aby tylne koła toczyły się w czasie poślizgu — wówczas różnica sił obracała samochód.

Gdy Dzikus skrzył kierownicę, samochód zawirował. Obrót o sto osiemdziesiąt stopni sprawił, że opony zapiszczały i poszedł z nich dym, a pas bezpieczeństwa werżnął się w ciało Dzikusa.

Blokująca drogę furgonetka znalazła się za nimi, a ścigających mieli teraz z przodu. Dzikus oderwał stopę od hamulca i kopnął pedał gazu. Rolls skoczył na spotkanie nadjeżdżającego pojazdu, którego kierowca w ostatniej chwili zdołał skrzyć, i Dzikus przemknął obok niego jak rakieta. We wstecznym lusterku zobaczył, że furgonetka wpadła w poślizg i zatrzymała się. Dalej w głębi widać było jednak, że samochód, który dotychczas blokował przejazd, ruszył, wyminął drugi pojazd i znów podjął pogoń.

— Przynajmniej oba są teraz za nami — rzekł Dzikus. — Gdyby udało nam się zawrócić i wjechać do Antibes, moglibyśmy ich zgubić.

Naraz poczuł, jak lodowata ręka ścisła mu serce. Zza zakrętu przed nimi wyłoniła się trzecia furgonetka.

— Jezu — odezwał się goryl — chłopcy mieli posiłki. Furgonetka obróciła się bokiem, blokując drogę. W lusterku

Dzikus dostrzegł, że jeden z pozostałych samochodów zatarasował przejazd z tyłu, podczas gdy trzeci kierował się wprost na nich.

— Jesteśmy w potrzasku — powiedział.

Droga była zbyt wąska, aby wyminąć blokujący pojazd. Po lewej grunt wznosił się stromo do góry, a schodzące w dół zbocze po prawej stronie było jeszcze bardziej nachylone. Dzikus sięgnął do przycisków na konsoli.

— Oby tylko zadziałały — mruknął.

Był to system wymyślony dla bossów południowoamerykańskich gangów przemycających narkotyki. Dzikus nacisnął jeden guzik i nad każdym z reflektorów odsłonił

się w karoserii otwór; nacisnął drugi i poczuł, jak rolls zatrzęsł się od rytmicznie powtarzanych strzałów. Zamontowane pod każdym z błotników strzelby pluły seriami grubego śrutu przez odsłonięte otwory.

Furgonetka przed nimi aż podskakiwała w rytm łomoczącej w nią kanonady. Po chwili jej szyby rozprysły się.

Siekance darły metal, tworząc w karoserii furgonetki koliste pole dziur o średnicy około metra, malejącej w miarę jak rolls podjeżdżał coraz bliżej. Ciągły ogień dosłownie rozrywał furgonetkę na strzępy.

Dzikus puścił przycisk i napał na hamulec. Rolls zarzucił tyłem, wpadł w poślizg i zatrzymał się o włos od zderzenia z wrakiem samochodu. Dzikus obrócił się, by spojrzeć za siebie. Jedna z pozostałych furgonetek wciąż zamykała drogę, druga zaś podjechała tuż-tuż i właśnie zahamowała. Wyskakiwali z niej ludzie z bronią gotową do strzału.

— Rachel, zamknij oczy i zatkaj uszy — powiedział. Uruchomił dwa następne przyciski i natychmiast sam zastosował

się do swoich poleceń, zaciskając mocno powieki i zasłaniając dłońmi uszy. Mimo to cały aż zadygotał, wokół bowiem rozpętało się piekło.

Naciśnięcie guzików spowodowało wystrzelenie z obu boków rollsa urządzeń zwanych „błysk i huk”, które eksplodowały z chwilą, gdy dotknęły ziemi. Ich nazwa była myląca, przywodziła na myśl zwykle petardy, gdy tymczasem płomień i podmuch wybuchu tych metalowych przedmiotów kształtu i wielkości pudełka od zapalek były tak potężne, że mogły na pewien czas ogłuszyć i oślepić. Nawet jeden potrafił wywołać niezłe zamieszanie, skutki zaś kilkunastu niemal jednoczesnych wybuchów były wręcz nieprawdopodobne.

Siedząc wewnątrz rollsa Dzikus ujrzał przez mocno zaciśnięte powieki rozbłyskującą gwałtownie lunę, a huk eksplozji przeniknął przez przyciśnięte do uszu dłonie. Słyszał również jakieś stłumione krzyki, może ich prześladowców, a może dochodziły one z wnętrza wozu; może nawet to on sam krzyczał. Rolls cały drżał, w uszach dźwięczały Dzikusowi dzwony.

I naraz całe to piekło ucichło.

— Wysiadać! — krzyknął Dzikus.

Wygramolił się zza kierownicy i znalazł się na zewnątrz, w kłębach gęstego dymu. Nie był to dym z eksplozji, lecz z ciśnieniowych pojemników pod tylnym zderzakiem, które sam uruchomił.

Zarówno petardy, jak i dym miały za zadanie wprowadzić zamieszanie wśród napastników, umożliwiając potencjalnym ofiarom ucieczkę, ale wybuch petardy w bezpośredniej bliskości człowieka mógł grozić śmiercią. Z powodu dymu Dzikus nie był w stanie stwierdzić, czy któryś z ludzi Papadropolisa został przypadkowo zabity, niemniej jednak był pewien, że przez najbliższe pół minuty wszyscy będą unieruchomieni.

Macając na oślep, obszedł pospiesznie rollsa, zderzył się z gorylem Joyce Stone, odepchnął go na bok i dopadł Akiry, który trzymał straż przy Rachel. Nie trzeba im było słów. Obaj wiedzieli, że jedyna droga ucieczki prowadzi w dół zbocza, w stronę hoteli nad brzegiem morza.

Skryci w dymie zaczęli oddalać się szybko od drogi, prowadząc Rachel między sobą. Posuwali się na wycucie wśród skał i trawy, byle dalej w dół zbocza, aż naraz znaleźli się w oślepiającym blasku słońca.

— Biegnij — zawołał Dzikus.

Rachel nie trzeba było zachęty. Wyrwała się przed nich, przeskoczyła niewielki stopień i wylądowała na stoku półtora metra niżej. Impet upadku sprawił, że straciła równowagę. Przeturlała się, ześlizgnęła na plecach i znów poderwała na nogi. Dzikus i Akira pobiegli za nią. W każdej chwili ich prześladowcy mogli się ocknąć, wydostać z chmury dymu, dostrzec swoje ofiary i rzucić się za nimi w pościg.

Rachel zaczęła się potykać, ale Dzikus i Akira chwycili ją pod ręce. Biegnąc wciąż w dół minęli kort tenisowy. Gracze stali nieruchomo i patrzyli w górę, w stronę kłębow dymu na drodze. Paru z nich zauważyło przebiegającą obok trójkę ludzi, ale natychmiast wrócili do

obserwacji dziwnego dymu.

W miarę jak nachylenie zbocza malało, budynki hotelowe stawały się coraz wyższe i bliższe. Dzikus zatrzymał się wraz z Akirą i Rachel za jakimś budynkiem gospodarczym w pobliżu basenu kąpielowego. Na zboczu nie było jeszcze widać ani śladu pogoni, Dzikus jednak zauważył goryla Joyce Stone, który ciężko dysząc zbliżał się ku nim niepewnym krokiem.

— Jezu, niemal was zgubiłem. Dzięki, żeście na mnie poczekali.

— Nie czekaliśmy na twoje towarzystwo — powiedział Akira. — Zastanawiamy się, co dalej robić, ale jedna sprawa wydaje się całkiem jasna...

Mężczyzna otarł spoconą twarz.

— Tak? No to powiedz szybko, o co chodzi?

— Nie życzymy sobie, żebyś dalej był z nami. Gdziekolwiek pójdziemy, ty pójdiesz w przeciwną stronę.

— No dobra, żarty na bok. Jedziemy na jednym wózku.

— Nie — odrzekł Akira.

— Tam, na górze — odezwał się Dzikus.

Akira poszedł za jego wzrokiem i zobaczył pościg, ruszający w dół stoku.

— Nie, nie jedziemy na jednym wózku. — Akira schwycił faceta za kark i wbił palce za jego lewe ucho. Goryl zwiotczał z bólu. Jęcząc i wijąc się, usiłował wyzwolić się z chwytu, ale Akira naciskał jeszcze mocniej.

— Nie pójdiesz za nami.

Twarcz nieszczęśnika pobladła od potężnego ucisku.

— Dobra, znikam stąd.

— Jazda. — Akira puścił go i pchnął. Facet spojrział jeszcze raz ze strachem na Japończyka i poczłapał w stronę pobliskiego hotelu.

Gdzieś w oddali zawyły syreny.

— Lepiej żebyśmy i my ruszyli — powiedział Dzikus. Wskazał palcem pościg, Ictóry przebył już ćwierć drogi w dół stoku, po czym chwycił Rachel za rękę i ruszył biegiem, ciągnąc ją za sobą.

— Dokąd? — wydyszała Rachel.

Przebiegli pomiędzy dwoma hotelami i dopadli ruchliwej ulicy, biegnącej tuż nad morzem. Dzikus gestem zatrzymał taksówkę, do której natychmiast wsiedli, i dopiero wtedy odpowiedział na pytanie Rachel:

— Dokąd? Pracowałem w tej okolicy półtora roku temu. Poznałem tu pewnego człowieka, który winien mi jest wdzięczność.

Potem odwrócił się do kierowcy i podał mu po francusku adres.

— Jesteśmy spóźnieni na przyjęcie. Zapłacę podwójnie, jeśli zawiezie nas pan tam w pięć minut.

— Bien entendu, monsieur. — Ruszając w stronę Antibes, szofer wskazał w górę na chmurę dymu na szosie. — Qu'est ce que c'est?

— Un accident d'automobile.

— Serieux?

— Je pense.

— Quel dommage.

— Trop de gens ne regardent pas la route.

— C'est vrai, monsieur. C'est vrai. — Kierowca spojrział przed siebie, wzdrygnął się i szarpnął kierownicę, w ostatniej chwili unikając zderzenia z ciężarówką.

Dzikus obrócił się na tylnym siedzeniu, aby spojrzeć za siebie. Ich prześladowcy jeszcze nie wybiegli spomiędzy hoteli na wysadzaną palmami ulicę, kiedy więc tu dotrą, nie będą już w stanie odczytać numeru rejestracyjnego taksówki.

Antibes ma ponad sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców, a chociaż w październiku szczyt sezonu turystycznego już minął, gości wciąż nie brakowało i wąskie uliczki były zatłoczone. Kiedy taksówka zaczęła poruszać się denerwująco powoli, Dzikus nakazał kierowcy

zatrzymać się, wypłacił mu obiecaną premię i wysiadł wraz z Rachel i Akirą.

Skryli się w ciasnej uliczce, ponad którą na sznurkach zwisała uprana bielizna. Z prawej dobiegł Dzikusa szum fal, bijących o piasek plaży, z lewej zaś, ponad domami, mignął mu zarys wysoko wznoszącego się starożytnego zamku.

Rachel szybko maszerowała ulicą, której ciasnotę zwiększały jeszcze stosy śmieci pod ścianami, ale w pewnej chwili zwróciła się do Dzikusa ze zmarszczonymi brwiami:

— Podalesz szoferowi adres. Jeżeli ludzie mego męża przesłuchają go, dowiedzą się, gdzie nas szukać.

— Adres był zmyślony — odpowiedział Dzikus.

— Normalna praktyka — dorzucił Akira.

Kiedy doszli do końca uliczki, Rachel przystanęła, by złapać oddech.

— A więc wszystko jest kłamstwem?

— Nie — odrzekł Dzikus. — Nasze zobowiązanie, że będziemy cię chronić, nie jest kłamstwem.

— Dopóki jestem coś warta.

— Mówiłem ci już przedtem. To nie pieniądze, tylko ty jesteś ważna. — Dzikus lekko pchnął ją w kierunku kolejnej uliczki.

— Twój mąż ma szpiegów na wyspie Joyce — powiedział Akira. — Jeżeli będziemy dalej starać się tam dotrzeć, trafimy na następną zasadzkę, potem na kolejną, aż wreszcie schwytają cię.

— To znaczy, że nie ma nadziei?

— Musisz wciąż mi ufać — powiedział Dzikus.

Przecięli szeroką zatłoczoną ulicę i skręcili w następny zaułek.

— Półtora roku temu — powiedział Dzikus — kiedy pracowałem w tej okolicy, potrzebowałem pewnych przeróbek w samochodzie. Znalazłem człowieka w Antibes, który potrafił to zrobić, ale nie chciał ode mnie zapłaty. Powiedział, że pieniądze nic nie znaczą, jeśli nie można za nie kupić tego, czego się pragnie, chciał więc prosić o coś innego. Co takiego? — spytałem. I czy zgadniecie, o co mu szło? Otóż zobaczył w samochodzie parę plakatów filmowych, które zostawił mój klient, pomyślał sobie, że mam coś wspólnego z festiwalem w Cannes i że mogę mu pomóc spotkać jego idola, Arnolda Schwarzeneggera. Odpowiedziałem, że jest to możliwe pod warunkiem, że przy ewentualnym spotkaniu nie będzie z nim rozmawiał, tylko uściśnie mu dłoń. W zamian, kiedy znów się tu pojawię, zażądam czegoś od niego. Nie ma sprawy, odpowiedział, przysługa za przysługę, szczególnie za taką.

— I teraz zażadasz przysługi? — spytał Akira.

— Samochodu.

— A potem co? — zapytała Rachel.

— To, co wymuszają na nas okoliczności — odrzekł Dzikus. — Mamy swoje własne kłopoty, ale ochrona ciebie to nasz obowiązek. Wygląda na to, że spełni się twoje życzenie, na które chciałaś uzyskać ode mnie zgodę jeszcze w samolocie.

— Zabierzesz mnie ze sobą? — szepnęła Rachel. — Do NowegoJorku?

— I do Grahama — powiedział Akira. — Ale ja mogę na to udzielić zgody tylko warunkowo.

— Dlaczego? — zapytał Dzikus.

— Ponieważ już nie ochraniaamy wyłącznie tej kobiety — odrzekł Akira. — Ochraniaamy również samych siebie. Staramy się wyjaśnić nasz wspólny koszmar, zagadkę twojej i mojej śmierci. Jeżeli ta kobieta stanie nam na drodze...

— Będziesz ją ochraniał — powiedział Dzikus.

— Ależ oczywiście — rzekł Akira, a smutek przyćmił jego oczy. — Dziękuję, żeś mi przypomniał. Wszyscy troje jesteśmy związani, ale nasze interesy są różne.

— Nie mamy wyboru — powiedział Dzikus.

## Zniknięcie

Trzydzieści sześć godzin później byli już na nowojorskim lotnisku Kennedy'ego. Mieli za sobą jazdę samochodem do Marsylii, a stamtąd lot do Paryża. Dzikus uznał, że szramy na twarzy Rachel zbladły wystarczająco, aby po niewielkim makijażu mogła sobie zrobić zdjęcie paszportowe. Udawanie dłużej własnej siostry stawało się ryzykowne. Dzięki swym znajomościom Dzikus załatwił w Paryżu komplet pierwszorzędnie podrobionych dokumentów, wystawionych na nazwisko Susan Porter. Gdyby ktokolwiek, a w szczególności urzędnik imigracyjny, zwrócił uwagę na podobieństwo do Joyce Stone, Rachel miała po prostu odpowiedzieć: „Dziękuję za komplement”, tak się jednak złożyło, że oboje z Dzikusem przeszli kontrolę na lotnisku w Nowym Jorku bez żadnych incydentów.

Wkrótce potem dołączył do nich Akira, który stał nieco dalej w kolejce, aby nie sprawiać wrażenia, że podróżuje wraz z nimi.

— Przypatrywałem się ludziom — powiedział — ale nikt się nami specjalnie nie interesował.

— Tak jak przewidywaliśmy. Papadropolis nie miał żadnej możliwości dowiedzieć się, dokąd Rachel pojechała. Prawdopodobnie przypuszcza, że wciąż jeszcze jesteśmy w południowej Francji i staramy się przedostać na wyspę jej siostry.

Szli przez hałaśliwy, gęsty tłum ludzi.

— A więc jestem wolna? — spytała Rachel.

— Powiedzmy raczej „w zawieszaniu” — odrzekł Dzikus. — Muszę ci uczciwie powiedzieć, że twoje kłopoty zostały tylko odsunięte, ale nie zlikwidowane do końca.

— Godzę się na to, co mogę mieć. Na razie czuję wielką ulgę, że nie muszę już się bać tego, co za plecami.

— Ale my musimy załatwić sprawę z Grahamem — odezwał się Akira.

— Rozumiem, opóźniam was. Przepraszam. Gdyby nie wy dwaj... nie wiem, jak... to wydaje się tak mało, ale — dziękuję.

Objęła ich i uściskała.

Pojechali taksówką na Central Station, weszli na dworzec od • Czterdziestej Drugiej Ulicy, a wyszli na Lexington Avenue, gdzie złapali kolejną taksówkę, którą pojechali do Central Park. Stąd przeszli na piechotę dwa kwartały, aż wreszcie dotarli do hotelu przy jednej z przecznic Piątej Alei.

Apartament, który Dzikus zarezerwował telefonicznie, okazał się obszerny.

— Sypialnia należy do ciebie, Rachel — powiedział Dzikus. — My z Akirą będziemy spali na zmianę na kanapie.

Rozpakowali walizki, które kupili przed wyjazdem z Paryża.

— Kto jest głodny? — Dzikus wysłuchał życzeń i zamówił do pokoju kanapki z wędzonym łososiem, sałatki, owoce i wodę mineralną.

Przez kilka następnych godzin nie robili nic poza wypoczywaniem, kąpaniem się i jedzeniem. Chociaż spali w samolocie, różnica czasu wciąż dawała się im we znaki, zamówili więc jeszcze kawę i herbatę, które podziały na nich pobudzająco. Tuż przed piątą Dzikus wyszedł do pobliskiego sklepu, żeby kupić płaszcze i rękawiczki, telewizyjna prognoza pogody ostrzegła bowiem, że noc będzie chłodna i wilgotna.



Czekali do dziewiątej.

— Gotowi? — zapytał Dzikus.

— Jeszcze nie — odpowiedział Akira. — Pozostały jeszcze pewne sprawy do omówienia. Znam z góry odpowiedzi, ale to nie znaczy, że nie trzeba postawić pytań. Czy nie byłoby lepiej, gdyby Rachel została w hotelu?

— Przypuszczamy, że nikt nas nie śledził, ale nie możemy być tego całkowicie pewni — odpowiedział Dzikus. — Jeżeli zostawimy ją bez ochrony, może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

— Mogłaby.

— To niedopuszczalne ryzyko.

— Zgadza się — powiedział Akira.

— To o co chodzi?

— O coś, z czego powinienem sobie zdawać sprawę, a co dopiero teraz niespodziewanie przyszło mi do głowy. Twoja umowa o ochronie Rachel — powiedział Akira.

— Co ona ma do rzeczy?

— Ja podpisałem umowę na ochronę jej męża. Przybyłem na Mykonos dzień przed tobą. Graham załatwił moje wynagrodzenie

i Graham posłał ciebie, abyś wy dostał Rachel. Czy nie wydaje ci się „.. dziwne, że człowiek, który przydzielił nas obu do ochrony Kamichiego, "I zaaranżował również nasz wspólny wyjazd na Mykonos jako pierwsze i zlecenie po tym, jak wyzdrowieliśmy?

— Sądzisz, że chciał, abyśmy się spotkali? — Dzikusowi ciarki przebiegły po krzyżu.

— Nie było żadnej gwarancji, że się zobaczymy, ale przecież ja ciebie szukałem.

— Tak samo, jak ja bym ciebie szukał, gdybyśmy zamienili się rolami — powiedział Dzikus. — Graham wiedział, że może polegać na naszym poczuciu obowiązku.

— I na moich umiejętnościach. Choćbym szukał nie wiedzieć jak długo, w końcu bym cię znalazł.

— Niewielu ludziom bym to przyznał, ale ty, tak, ty jesteś naprawdę dobry i w końcu byś mnie znalazł. Niewątpliwie mieliśmy się spotkać twarzą w twarz — powiedział Dzikus.

— I porównać nasze koszmary.

— Koszmary, których nie było. Tylko dlaczego myślimy, że one zdarzyły się naprawdę? Dlaczego Graham doprowadził do naszych spotkań — pół roku temu i teraz?

— Właśnie dlatego muszę zadać kolejne pytanie. Ponieważ nie wiemy, z czym mamy do czynienia, czy mamy prawo wplątywać w to Rachel? Możemy wpakować ją w jeszcze gorsze tarapaty niż te, w których była dotychczas.

— To co zrobimy? Zostaniemy tu?

— Muszę wyjaśnić, dlaczego wciąż mam przed oczami martwego człowieka.

— I ja też — odrzekł Dzikus.

— No to ruszajcie — odezwała się Rachel. Obejrżeli się, zaskoczeni.

— I ja z wami.

Prognoza pogody była bezbłędna. Zimny, wilgotny wiatr hulał • po Piątej Alei, wyciskając Dzikusowi łzy z oczu. Wytarł je ręką, zapiął szczelnie płaszcz i popatrzył, jak światła pozycyjne taksówki, z której przed chwilą wysiadł, oddalają się w stronę Greenwich Yillage. Obok niego, ramię w ramię z Akirą, stała Rachel.

— Powtarzam jeszcze raz — powiedział Dzikus. — Jeżeli cokolwiek się zdarzy, uciekaj. Nie martw się o mnie ani o Akirę, tylko wracaj do hotelu. Jeżeli nie skontaktujemy się z tobą do południa, wyprowadź się z hotelu i wyjedź z miasta. Te dziesięć tysięcy dolarów, które ci dałem, powinno wystarczyć na początek. Powiedziałem ci, jak możesz kontaktować się z rodzicami i siostrą oraz podjąć pieniądze tak, aby twój mąż nie mógł tego wykryć. Wybierz jakieś miasto na chybił trafił i zacznij nowe życie.

— Na chybił trafił...? Ale jak mnie wtedy znajdziecie?  
— Nie znajdziemy, podobnie jak nikt inny. O to właśnie chodzi. , Dopóki będziesz się trzymała z dala od wszystkich i wszystkiego, co związane z twoim poprzednim życiem, twój mąż nie będzie w stanie cię wytropić. Będziesz bezpieczna.

— I bardzo samotna. — Rachel zadrżała.  
— Każde inne wyjście jest jeszcze gorsze.

Ruszyli razem wzdłuż Piątej Alei. O trzy przecznice dalej, w pobliżu Washington Square, odnaleźli zaułek, do którego wejścia broniła brama z kutego żelaza o ostro zakończonych prętach. Kiedy Dzikus nacisnął klamkę i pchnął wierzeje, stwierdził, że brama jest zamknięta na klucz. Nie zdziwiło go to zbyt. Przyjrzał się prętom. Były wysokie, a na ulicy kręciło się zbyt wielu przechodniów, aby dwóch mężczyzn i kobieta mogli wdrapać się na nie niepostrzeżenie. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, że nowojorczyki pilnują tylko własnego nosa, było więcej niż pewne, że w takiej sytuacji znalazłby się ktoś, kto dałby znać policji. — Czyń honory domu, Akira.

Idąc tu, wstąpili po drodze do pewnej knajpy na East Side, której właściciel, jeden z informatorów Dzikusa, sprzedał im komplet wytrychów. Dzięki nim Akira otworzył zamek tak gładko, jak gdyby posługiwał się kluczem. Obaj często tu bywali, wiedzieli więc, że przy bramie nie ma żadnego systemu alarmowego. Akira uchylił skrzydła bramy, poczekał, aż Dzikus z Rachel przejdą, i zamknął je ponownie, ale tylko na klamkę, na wypadek gdyby musieli się stąd szybko oddalić. Jeśli zauważyłby to ktoś z mieszkańców tego zaułka, mógłby co najwyżej ubolewać nad nieodpowiedzialnością swoich sąsiadów.

Stanęli teraz w zaułku, który sto lat temu otaczały stajnie i wozownie. Budynki z zewnątrz były starannie odnowione, z wyraźną troską o zachowanie ich historycznego charakteru. Obok wąskich drzwi wejściowych znajdowały się osobliwe dwuskrzydłowe wrota, które dawno temu prowadziły do szop. Pozostawiono brukowaną kocimi łbami nawierzchnię zaułka. Lamy elektryczne w kształcie staroświeckich latarni potęgowały jeszcze wrażenie, że czas się tutaj zatrzymał.

Ekskluzywne osiedle dla bogaczy.

Z okien sączyło się światło, Dzikusa obchodziło jednak tylko oświetlone okno w czwartym domu po lewej. Podszedł ku niemu razem z Rachel i Akirą, zatrzymał się przy wejściu i nacisnął guzik domofonu. Dzikus wiedział, że dębowe drzwi były zbrojone stalą, mimo to jednak słyszał słaby dźwięk dzwonka wewnątrz mieszkania. Po dziesięciu sekundach zadzwonił jeszcze raz, odczekał chwilę i znów powtórzył próbę. Oczekiwał głosu Grahama w głośniku domofonu, ale nie było żadnej odpowiedzi.

— Czyżby spał? — powiedział w rozterce.  
— O dziesiątej wieczorem? I przy włączonym świetle?  
— To może nie chce, żeby mu przeszkadzać, albo wyszedł.

— Możemy to sprawdzić tylko w jeden sposób — powiedział Akira. — Jeżeli jest w domu, drzwi powinny być zamknięte nie tylko na klucz, ale i na sztabę. Zawsze tak robił.

Akira szybko otworzył wytrychem dwa ryglowe zamki, po czym pchnął drzwi. Otworzyły się bez trudu.

Dzikus pospiesznie wszedł do środka. Bywał tu tak często, że dobrze poznał osobliwości systemu zabezpieczeń Grahama. Okna były nie tylko zakratowane, lecz wyposażone również w czujniki anty-włamaniowe, podobnie jak drzwi do garażu. Inaczej sprawa wyglądała z drzwiami od mieszkania: gdy tylko zamki zostały otwarte, każdy, kto wchodził, musiał sięgnąć do szafki po lewej stronie i nacisnąć kilka guzików na tablicy, dzięki czemu sygnał alarmowy nie budził całej okolicy, a miejscowy komisariat policji nie wysyłał wozu patrolowego w odpowiedzi na migające światelko na planie jego rewiru. Wszystko to trzeba było zrobić w ciągu piętnastu sekund.

Szarpnięciem otworzył drzwiczki szafki. Rok temu, po paru próbach, do których pchnął go nawyk zawodowca, zdołał wysledzić zestaw numerów, jakie naciskał Graham. Wystukał teraz tę samą serię i czerwone światło zgasło.

Nie było słycać żadnej syreny.

Dzikus z ulgą oparł się o szafkę. Drgnął, gdy w drzwiach stanął Akira.

— Sprawdziłem parter, ale po nim ani śladu.

Dzikus był dotąd tak skupiony, że nie zwracał uwagi na drażniącą rytmiczną muzykę.

— Heavy metal.

— To radio — wyjaśnił Akira. — Graham pewnie nie wyłączył go, kiedy wychodził.

Gdyby ktoś próbował się włamać, usłyszałby muzykę, pomyślałby, że ktoś jest w domu, i poszedłby szukać szczęścia gdzie indziej.

— Ale po co Graham miałby to robić? Jeżeli jakiś intruz dotknąłby czujnika, wycie syreny wystraszyłoby go znacznie bardziej niż muzyka. Poza tym, kiedy staliśmy na zewnątrz, ledwie słyszałem dźwięk dzwonka, a muzyki zupełnie nie. Radio nie nadaje się do odstraszania.

— To nie pasuje do Grahama — wyjść i zapomnieć je wyłączyć. I, dlaczego heavy metal? On przecież nienawidzi elektrycznych gitar, uznaje tylko klasyczną muzykę.

— Coś tu nie tak. Sprawdź wyższe piętra, a ja zajmę się suteroną.

Zostań tu, Rachel.

Kiedy Akira zaczął się skradać po schodach na górę, Dzikus poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Musiał przejść przez duży pokój, zajmujący niemal cały parter. Znajdowało się tu biuro Grahama, chociaż jedynym sprzętem, który na to wskazywał, było stojące w głębi biurko, całe ze szkła i chromowanej stali. Pod każdym innym względem pokój wyglądał jak zwykły salon. Po prawej stronie półki z książkami otaczały kominek, po lewej zaś stała szafka z zestawem stereofonicznym i kolumnami firmy Boston Acoustics, z których wydobywała się rytmiczna muzyka. Pośrodku pokoju, pomiędzy dwoma skórzanymi kanapami, znajdował się stolik do kawy w tym samym stylu co biurko. Wypastowana do połysku dębowa posadzka była prawie cała zakryta ogromnym afgańskim dywanem. W każdym kącie stały wielkie donice z paprociami. Olśniewająco białe ściany, na których wisiało tylko kilka obrazów — wyłącznie Moneta — potęgowały wrażenie przestronności, stwarzane przez skąpe umeblowanie.

Dzikus wiedział — o czym nie mógł mieć pojęcia nikt obcy — że służbowe dokumenty Graham trzymał we wnękach za półkami, a zestaw radiofoniczny zainstalowany został po to, aby przekonać tych nielicznych klientów, których Graham zapraszał do domu, że narastające kadencje wspaniałej Beethovenowskiej „Eroiki” uniemożliwią rejestrację ich głosów przez jakiś nie wykryty mikrofon.

Przechodząc obok stolika Dzikus zauważył trzy puste butelki po szampanie, a kiedy zbliżył się do biurka, zobaczył popielniczkę pełną niedopałków i kieliszek na wysokiej nóżce, na którego dnie pozostała jeszcze reszтка płynu.

Dotarł do drzwi po lewej stronie biurka i ostrożnie je otworzył. Skryte w cieniu schody prowadziły do ciemnej sutereny. Rozpiął płaszcz i wyjął pistolet kalibru 45, który kupił od właściciela baru na East Side razem z wytrychami. Akira sprawił sobie taki sam.

Trzymając pistolet w prawej ręce, Dzikus pomacał drugą ręką po ścianie, znalazł przełącznik i zapalił światło. Czując, jak się poci, zaczął powoli schodzić w dół.

Przy końcu schodów wstrzymał oddech i zeskoczył na podłogę, sprężony i gotów do strzału. Trzy stoły zajęte były przez stosy przewodów, baterii i jakichś okrągłych przedmiotów. Rozmaite wymyślne urządzenia podsłuchowe na wszelkich możliwych etapach montażu.

Piec centralnego ogrzewania. Trzymając czterdziestkępiątkę w pogotowiu, Dzikus zajrzał w kąt między ścianą a piecem: pusto. Z czoła ściekał mu pot. W suterenie nie było innych kryjówek, poszedł więc z powrotem na górę, ale nie poczuł ulgi.

Kiedy wrócił Akira, który przeszukał wyższe piętra i również nie znalazł niczego niezwykłego, Dzikus wciąż jeszcze nie mógł się uspokoić.

Rachel opadła na kanapę, a Akira schował pistolet do kabury. Elektryczne gitary wciąż

zawodziły.

— Może przesadzamy. Może ten nietypowy dla Grahama wybór muzyki ma całkiem proste wytłumaczenie.

— Nie brzmi to zbyt przekonująco. Rachel zasłoniła uszy dłońmi.

— A może on lubi się torturować?

— Zróbmy sobie przyjemność. — Dzikus nacisnął przełącznik tunera i poprzednia radiostacja litościwie umilkła.

— Dzięki Bogu — powiedziała Rachel, przyglądając się uważnie stolikowi. — Zauważyliście te puste butelki?

Akira skinął głową.

— Szampan. Graham go uwielbia.

— Tak dużo? Trzy butelki w jeden wieczór?

— Graham waży tyle, że dobrze znosi nawet bardzo duże ilości alkoholu — odrzekł Dzikus — ale masz rację, to rzeczywiście wygląda dziwnie. Nigdy nie widziałem, żeby przebrał miarę.

— Może miał towarzystwo — zauważył Akira.

— Jest tylko jeden kieliszek — stwierdziła Rachel. — Gdyby miał gości i pobierał po nich kieliszki, to dlaczego miałby nie zabrać również swojego i pustych butelek? I jeszcze coś — zwróciliście uwagę na etykiety na butelkach?

— Nie — powiedział Dzikus — a co takiego?

— Kiedy rozmawialiście o Grahamie na farmie pod Atenami, wspomnieliście, że pije tylko Dom Perignon.

— To jedyna marka, jaką uznaje — potwierdził Akira.

— No, a tu na dwóch etykietkach jest napis „Dom Perignon”, a na trzeciej „Asti Spumante”.

— Co? — Dzikus wyprostował się.

— Słyszycie ten hałas? — spytała nagle Rachel.

Dzikus rozejrzał się nerwowo dookoła. Choć jego słuch powoli przywykał do ciszy po łomocie muzyki, teraz i on usłyszał stłumiony pomruk.

— Tak — powiedział Akira. — Chyba jakiś silnik... tylko gdzie?

— Lodówka? — rzucił Dzikus.

— Kuchnia Grahama jest na drugim piętrze — powiedział Akira. — Nie usłyszelibyśmy lodówki z takiej odległości.

— A może to piec się włączył? — zasugerował Dzikus. Akira przysunął rękę do otworu nawiewowego.

— Nie ma ruchu powietrza.

— To co...

— Wydaje mi się — powiedziała Rachel, przechodząc ze zmarszczonymi brwiami obok Dzikusa — że to dochodzi spoza tych drzwi obok półki.

Otworzyła drzwi i zatoczyła się do tyłu, otoczona obłokiem gęstego szarego dymu. Słaby pomruk przerodził się w warkot. Rachel rozkaszała się od gryzącego smrodu, jaki wydzielał ten dym. Tyle że to nie dym, olśniło naraz Dzikusa. Garaż Grahama. Dzikus rzucił się do drzwi. W garażu było ciemno, ale światło padające z salonu przez otwarte drzwi przenikało wystarczająco przez gęste opary spalin, dzięki czemu mógł dostrzec cadillaca, którego silnik pracował na wolnym biegu, a za jego kierownicą bezwładną postać tęgiego łysego mężczyzny.

Pospiesznie sięgnął przez otwarte okno i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zgasł. Starając się nie oddychać, szarpnął drzwiczki po stronie kierowcy, chwycił Grahama i powłókł go po betonowej podłodze garażu do salonu.

Rachel zatrzasnęła drzwi, ale do salonu i tak zdążyło się już dostać tyle spalin, że kiedy wreszcie Dzikus zaczerpnął powietrza, atak kaszlu zgiał go wpół.

Akira przykłęknął przy Grahamie, starając się wyczuć puls.

— On ma siną twarz — powiedziała Rachel.

— To tlenek węgla. — Akira przyłożył ucho do piersi Grahama. — Serce już nie bije.

Dzikus ukląkł po drugiej stronie Grahama.

— Spróbuj metody usta-usta, a ja popracuję nad jego sercem. Kiedy Akira otworzył usta Grahama i zaczął sztuczne oddychanie,

Dzikus uderzył mocno w pierś leżącego, a ppterem położył obie dłonie na jego mostku i zaczął rytmicznie uciskać.

— Rachel, zadzwoń pod dziewięćset jedenaście — rzucił nie przerywając masażu.

Rachel sięgnęła po telefon na biurku Grahama i zaczęła wystukiwać numer.

— Nie, Rachel. — Głos Akiry brzmiał, jakby mu było niedobrze. — Daj spokój. —

Popatrzył na Grahama i powoli podniósł się.

— Nie przerywaj — krzyknął Dzikus. Akira potrząsnął głową.

— Nie czujesz, jaki on jest zimny? Popatrz na jego nogi. Kiedy go położyłeś na podłodze, pozostały zgięte, jakby wciąż siedział w wozie. Jest martwy od dłuższego czasu i nic go nie ożywi.

Dzikus zerknął na zgięte w kolanach nogi Grahama, przełknął ślinę i przerwał masaż klatki piersiowej. Rachel odstawiła telefon. Przez kilka sekund żadne z nich się nie poruszyło.

— Jezu. — Dzikusowi trzęsły się ręce i z trudem trzymał się na nogach. Mięśnie na karku Akiry napięły się tak, że wyglądały jak grube postronki.

Rachel podeszła do nich, starając się nie patrzeć na zwłoki Grahama. Dzikus zauważył nagle, że jest straszliwie blada, i chwycił ją akurat na czas, by nie pozwolić jej upaść. Podprowadził Rachel do kanapy stojącej tyłem do Grahama i powiedział:

— Opuść głowę między kolana.

— Po prostu na chwilę straciłam równowagę.

— Jasne.

— Czuję się już lepiej.

— Oczywiście. Przyniosę ci trochę wody — powiedział Akira.

— Nie, naprawdę, chyba już doszłam do siebie. — Na jej twarzy znowu pojawiły się kolory. — Przez chwilę widziałam wszystko jak przez mgłę, ale teraz... Tak. — Zebrała siły. — Już jest dobrze. Nie musicie się martwić, nie zemdleję. Przyrzekłam sobie, że nie będę wam zawadzać ani was opóźniać. — W jej błękitnych oczach pojawił się upór i duma.

— Zawadzać? Wręcz przeciwnie — zaprotestował Dzikus. — Gdyby nie ty, prawdopodobnie byśmy go nie znaleźli... — Zagryzł dolną wargę i spojrzał na ciało Grahama. — Biedaczysko. Kiedy tu szedłem, miałem ochotę go udusić, a teraz bym go uściskał, gdyby tylko żył. Mój Boże, będzie mi go bardzo brak. — Zrobił gest ręką, jakby chciał odepchnąć od siebie wzruszenie. — Co się stało, u diabła?

— Trzy puste butelki po winie... — powiedział z namysłem Akira.

— Właśnie. Pijany mężczyzna postanawia wyjść wieczorem z domu. Uruchamia samochód, ale traci przytomność, zanim jeszcze zdołał otworzyć garaż. Spaliny powodują jego śmierć.

— Koroner odrzuci tę wersję.

— Oczywiście — odpowiedział Dzikus.

— Nie rozumiem — odezwała się Rachel.

— W garażu było ciemno, a drzwi od salonu zamknięte — powiedział Akira. — Nawet pijany by zauważył, że garaż nie jest otwarty, gdyby musiał błędzić po omacku. Pierwszym odruchem powinno być otwarcie drzwi na zewnątrz.

— Jeśli nie miał drzwi otwieranych automatycznie, bo wtedy mógł zakładać, że włączy zdalne sterowanie, kiedy silnik zaskoczy.

— Ale garaż Grahama ma dwuskrzydłową bramę. Tak jak w drzwiach do stajni, które ma udawać, każde skrzydło otwiera się osobno na boki i trzeba to zrobić ręcznie.

— A więc garaż był zamknięty celowo.

— Coś mi umknęło — wtrąciła się Rachel. — To brzmi jak... Graham popełnił samobójstwo?

— Siedzi tu sam, radio ryczy na cały regulator, a on pali, pije i rozmyśla. Kiedy jest już dostatecznie pijany i napięcie nerwowe sięga szczytu, wychodzi do samochodu. Nawet nie myśli o wyłączeniu radia... bo czy to teraz ważne? Sprawdza, czy drzwi do salonu są dobrze zamknięte — garaż powinien być szczelny. Przekręca kluczyk. Spaliny śmierdzą okropnie, ale po paru głębokich wdechach jego powieki stają się ciężkie i zapada w sen. Umiera. Bez hałasu, bez ambarasu. Tak — powiedział Dzikus — koroner to kupi.

— Graham zrobiłby to właśnie w ten sposób. Za bardzo dbał o swój wygląd, żeby sobie wpakować kulę w głowę. Krew zniszczyłaby jego trzyczęściowy garnitur — zauważył Akira. Rachel wyglądała na zaniepokojoną.

— Ale musiał mieć jakiś powód, żeby się zabić — powiedział Dzikus.

— Jakieś kłopoty ze zdrowiem? Dzikus wzruszył ramionami.

— Kiedy go widziałem ostatni raz, trzy tygodnie temu, zupełnie nie wyglądał na chorego. Oczywiście, był nadmiernie otyły, ale dziarski jak zawsze. Nawet gdyby niespodziewanie okazało się, że ma raka, to nie był typem człowieka, który by się rozczulił nad sobą i uznał za pokonanego, dopóki by nie wyczerpał wszystkich szans, jakie daje medycyna. Wtedy mógłby popełnić samobójstwo, ale nie wcześniej.

— To może problemy z interesami?

— Już lepiej — odrzekł Dzikus.

— Ciągłe nie mogę was zrozumieć — powiedziała Rachel.

— Ale to nie mogło mieć nic wspólnego z pieniędzmi — stwierdził Akira. — Graham był bogaty i mądrze lokował kapitał, a więc musiał to być klient, który zwrócił się przeciw niemu, albo też wróg klienta, który odkrył, że Graham szykuje przeciw niemu atak.

Dzikus przez chwilę rozważał tę koncepcję.

— To mogłoby pasować. W młodości, kiedy Graham był w brytyjskich komandosach, niebezpieczeństwo go podniecało, ale kiedy się wycofał, rozleniwił się i utył od nadmiaru szampana i kawioru, stwierdził, że stracił odporność na ból. Szkolił mnie, ale jego własne umiejętności były już tylko cieniem dawnej świetności. Pewnego razu wyznał mi, że nie miałby szans w walce z doświadczonym przeciwnikiem. Gdyby wiedział, że jest tropiony, i był pewien, że umrze w mękach, prawdopodobnie wybrałby łagodne samobójstwo.

— Szczególnie gdybyśmy to my go tropili — powiedział Akira.

— Tyle że kiedy Graham wysłał nas na Mykonos, musiał uwzględnić, że w końcu pojawimy się tu i zażądamy wyjaśnień. Równocześnie znał nas na tyle dobrze, żeby być pewnym, że nie zabijemy go, choćbyśmy byli nie wiem jak wściekli. Poza tym koroner nie wie o naszym istnieniu i nie sądzi, żeby nawet chciano, aby wiedział.

— Zgadza się z tobą — powiedział Akira. — Jednak koroner będzie musiał uwierzyć, że ktoś tropił Grahama, w przeciwnym razie cały scenariusz jest do niczego. Policja odnajdzie gdzieś — najpewniej za tymi półkami, w tajnych aktach Grahama — dowody świadczące, że Graham obawiał się o swoje życie.

— I wiedział, że czekają go męczarnie.

— A więc wybrał honorową śmierć z własnej ręki. — Akira uniósł brwi. — Bardzo w japońskim stylu.

— Czy moglibyście mi wreszcie wytłumaczyć, o co tu chodzi? — zapytała Rachel.

— Graham nie popełnił samobójstwa — odrzekł Akira.

— Ale mówicie w taki sposób...

— Staramy się naśladować tok myślenia koronera — powiedział Dzikus. — Orzeknie samobójstwo, bo nie wie przecież, że Graham nigdy nie nastawiłby radia na taką muzykę, ani nie mieszałby Dom Perignon z Asti Spumante. Graham został zamordowany. Został zmuszony — przypuszczam, że przez paru ludzi — do wypicia szampana, który miał w domu, jednak dwie butelki nie wystarczyły. Posłali kogoś, żeby dokupił jeszcze jedną, ale ten wybrał według swojego gustu, a nie Grahama. Kiedy Graham stracił przytomność,

posadzili go w samochodzie, włączyli silnik, zamknęli drzwi do salonu, poczekali, aż umarł, i odeszli.

— Ale przedtem nastawili radio, żeby się nie nudzić — dodał Akira — i też zgodnie ze swoimi upodobaniami. Pewnie sądzili, że muzyka doda realizmu całej sytuacji, nie wyłączyli więc potem radia, tylko uruchomili alarm przy drzwiach i poszli.

— Niemal doskonała robota — powiedział Dzikus. — Skurwysyny.

Ja bym im...

— Odplacił? — Oczy Akiry płonęły. — Nie ma dwóch zdań.

Dzikus wziął Grahama pod pachy, a Akira chwycił go za nogi. Rachel otworzyła drzwi i odwróciła głowę od kłębow spalin, które wdarły się do pokoju, gdy obaj mężczyźni wnosili zwłoki do garażu.

Umieścili ciało z powrotem za kierownicą cadillaca. Trujące wyziewy były wciąż tak gęste, że Dzikus musiał wstrzymać oddech, kiedy sprawdzał, czy Graham znajduje się dokładnie w tej samej pozycji co przedtem. Wiedzieli, że po zgonie krew spływa w najniższej położone partie ciała, tworząc plamy opadowe, gdyby więc teraz pozycja zwłok była inna, koroner wiedziałby, że ktoś ruszał zmarłego. Na szczęście zwłoki Grahama nie leżały w salonie dostatecznie długo, aby plamy zdążyły się przenieść na plecy, koroner więc nie powinien mieć żadnych podejrzeń.

Dzikus przekręcił kluczyk w stacyjce i usłyszał warkot silnika. Zatrzasnął drzwiczki samochodu i razem z Akirą pobiegli do wyjścia.

Pokój wypełniał dym. Przez kaszel Dzikus usłyszał, jak Rachel zamyka drzwi.

— Okna — rzucił Akira.

Skoczyli w oba końce pokoju, wyłączyli alarmy i unieśli szyby. Zachłysłeni się świeżym powietrzem. Zimny wiatr uniósł zasłony. Szare pasma dymu zawirowały pod sufitem i zrzędyły.

Poprzez cichy świst wiatru docierał do Dzikusa stłumiony warkot silnika samochodu. Odwrócił się w stronę drzwi, za którymi krył się garaż.

— Wybacz, przyjacielu.

— Czy Graham był przyjacielem? — spytał Akira. — Przyjaciel by nas nie oszukał.

Dlaczego on to zrobił?

— Sprawdzimy to. — Głos Dzikusa stał się ochrypły od gniewu i smutku.

Przeszedł przez pokój i pchnął półki z książkami. Ściana odsunęła się, odsłaniając dalsze półki, a na nich metalowe pudła. Archiwum Grahama.

Dzikus i Akira zaczęli pospiesznie przeglądać dokumenty.

— Powiedziałeś, że nie sądzisz, aby koroner w ogóle mógł wiedzieć o waszym istnieniu. Co to miało znaczyć? — spytała stojąca za nimi Rachel.

— Za dużo zbieżności. Morderstwo Grahama, nasz przyjazd tutaj... to wszystko się wiąże ze sobą. — Dzikus przewracał kartki.

— Nie możesz tego udowodnić.

— Przeciwnie — odezwał się Akira — możemy. — Przeglądał kolejne pudło z teczkami.

— Graham przetrzymywał te dokumenty tylko z jednego powodu: żeby się wytłumaczyć ze swych dochodów przed urzędem podatkowym. Gdyby nie to, ostrożność nie pozwoliłaby mu na tworzenie żadnego archiwum. Oczywiście zabezpieczył je, używając pseudonimów do oznaczania swoich pracowników

1 klientów, tak że gdyby nawet ktoś znalazł te teckki, nie dowiedziałby się z nich niczego istotnego. Kod do pseudonimów znajduje się w sejfie bankowym, a umowa z bankiem polega na tym, że przy otwarciu sejfu muszą być obecni Graham i jego adwokat, wiemy więc, że kod jest bezpieczny. Dzikus i ja nie potrzebujemy jednak kodu, żeby znać nasze pseudonimy, ponieważ sami je wybraliśmy. Prawdę mówiąc, imiona, pod którymi nas znasz, są właśnie naszymi pseudonimami.

Zaczęli przeszukiwać następne pudła.

— Czego szukacie? — spytała Rachel.

— Graham prowadził podwójną dokumentację, powiązaną systemem odsyłaczy: jeden zestaw dotyczył jego pracowników i ich zleceń, drugi zaś klientów, którzy zlecali pracę. Znalazłeś je?

Akira sprawdził ostatnie pudło.

— Nie.

— Ja też nie.

— Czego nie znaleźliście? — zapytała Rachel.

— Naszych teczek — odpowiedział Dzikus. — Zniknęły.

— Nie wiemy, jaki pseudonim Graham nadał Kamichiemu, ani twojej siostrze i mężowi — powiedział Akira — ale ponieważ nie ma naszych teczek, zakładam, że i tamte również zniknęły. To właśnie jest dowód, o którym wspominałem. Ten, kto zabił Grahama, musiał zabrać teczki. Koroner ma nie wiedzieć o naszym istnieniu, nawet pod pseudonimami. Grahama zabito, aby nie wytłumaczył nam, dlaczego widzieliśmy nawzajem własną śmierć.

— A to list samobójcy. Akira przewidział, że go znajdziemy. Oczywiście napisany na maszynie, bo nie Graham go ułożył.

— Zostawili go mordercy. Dobrze — powiedziała Rachel — przekonaliście mnie, ale skąd oni mieli pewność, że policja zajrzy za te półki?

— Bo nie były domknięte.

— Lepiej wyносmy się stąd — odezwał się Akira. — Sąsiad od strony garażu Grahama może zainteresować się tym warkotem za ścianą i wezwać policję.

Ułożyli z powrotem teczki i ustawili metalowe pudła w pierwotnym porządku. Dzikus zasunął półki, pozostawiając wąską szczelinę, tak samo jak to zrobili zabójcy Grahama. Akira włączył radio, z którego znów popłynął łomot i zawodzenie gitar.

— Pokój już wywietrzony, nie czuję spalin. — Rachel pozamykała okna.

Dzikus rozejrzał się wokół.

— Czy wszystko jest tak, jak zastaliśmy? Odcisków palców nie będzie, bo wszyscy byliśmy w rękawiczkach. W porządku.

Akira wyszedł pierwszy na dwór, sprawdził, czy alejka jest pusta, i skinął na Rachel. Dzikus tymczasem włączył instalację alarmową w szafce przy wyjściu, wyszedł na zewnątrz, zamknął frontowe drzwi i poczekał, aż Akira zarygluje wytrychem obydwie zamki.

Kiedy ruszyli zaufkiem ku wyjściu, Dzikus ujął Rachel pod rękę i poczuł, że cała drży.

— Nie zapomnijcie zamknąć bramy za nami — powiedziała.

— Nie obawiaj się, nie zapomnimy, ale dzięki za przypomnienie — powiedział Akira. — Moje uznanie, Rachel. Robisz postępy.

— Mam straszne przeczucie, że kiedy się to wszystko skończy, jeśli w ogóle się skończy, stanę się ekspertem.

Szli pogrążoną w nocy Piątą Aleją, mijając kolejne latarnie, w stronę mrocznego Washington Square. Zimny wilgotny wiatr dał jak przedtem, znów wyciskając Dzikusowi łzy z oczu.

— Czy mordercy wynieśli się stąd?

— Przypuszczam, że tak. Skończyli swoją robotę — powiedział Akira.

— Ale czy na pewno skończyli? Jeżeli chodziło o uciszenie Grahama, to znaczy, że musieli się spodziewać naszego przyjazdu.

— Skąd mogli o nas wiedzieć?

— Jedynym wytłumaczeniem, jakie mi przychodzi do głowy...

— Mów.



— ...jest to, że Graham nie tylko pracował z ludźmi, którzy go zabili, ale i dla nich — powiedział Dzikus.

— Ale dlaczego? Nie potrzebował pieniędzy. Nade wszystko cenił sobie lojalność, dlaczego więc zwrócił się przeciwko nam?

— Ejże — odezwała się Rachel. — Czy dobrze zrozumiałam? Mówicie, że jesteście obserwowani przez morderców Grahama? — Obejrzała się za siebie. — I że oni będą się starali zabić również nas?

— Będą nas śledzić — powiedział Akira. — Ale zabić? Raczej wątpię. Ktoś dołożył bardzo wielu starań, aby przekonać Dzikusa i mnie, że widzieliśmy nawzajem swoją śmierć. Nie wiem, kto to był, ale dla niego jesteśmy bardzo ważni, więc będzie raczej ochraniał swoją inwestycję.

Dzikus zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i kiedy wszyscy już wsiedli, powiedział do kierowcy:

— Times Square.

Przez następną godzinę zmienili kilka taksówek, potem przesiedli się do metra, znowu wzięli taksówkę, aż wreszcie poszli spacerem przez Central Park.

Rachel była zdumiona, że napotykali wielu biegaczy.

— Myślałam, że nocą w parku nie jest bezpiecznie.

— Oni biegają grupami. Żaden narkoman ich nie zaczepi. Zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy nagle stwierdziła, że nie ma

Akiry.

— Gdzie...

— Wraca drogą, którą szliśmy. Jeżeli ktoś nas śledzi, on się z nim rozprawi.

— Ale przecież nie powiedział, co zamierza.

— Nie musiał — odrzekł Dzikus.

— Czytacie nawzajem w swoich myślach?

— Wiemy, co należy robić.

Dziesięć minut później Akira wysunął się spomiędzy krzaków.

— Jeżeli nawet ktoś nas śledził, to nie był taki głupi, żeby iść za nami przez Central Park o północy.

Spowita mrokiem ścieżka rozwidlała się.

— Tędy, Rachel. — Dzikus skręcił w prawo. — Możemy bezpiecznie wracać do hotelu.

Czwarty mężczyzna zamachnął się kataną. Jej klinga świsnęła, trafiła Kamichiego w pasie i przecięła go w pół, nie wytracając prędkości, jakby przeszła przez powietrze. Górna i dolna połowa Kamichiego upadły w przeciwnych kierunkach.

Trysnęła krew, na podłogę wylały się pokaleczone wnętrzności. Akira zawył ze zgrozy i rzucił się, aby zadławić mordercę, zanim zdoła zadać drugi cios, było już jednak za późno. Zabójca oczekiwał go, dzierżąc dwoma rękami katanę.

Z bolesnej perspektywy Dzikusa na podłodze mogło się wydawać, że Akira zdołał uskoczyć na czas, aby uniknąć ostrza, ale człowiek z mieczem nie uderzył po raz trzeci. Stał i patrzył obojętnie, jak głowa Akiry spada z karku.

Jak z jego przeciętej szyi chluszcze krew.

Jak jego tułów stoi groteskowo przez trzy sekundy, po czym upada. Głowa Akiry uderzyła o podłogę z głuchym stuknięciem, potoczyła się i zatrzymała na wprost Dzikusa, oparłszy się na kikucie szyi. Jej oczy znalazły się na wprost jego oczu. Oczy były otwarte. Mrugnęły. Dzikus krzyknął.

Jak oszalały, starał się pokonać ból w połamanych rękach i nogach i dźwignąć się z podłogi. Nie zdołał ochronić Kamichiego ani dopomóc Akirze, ale pozostał mu obowiązek pomszczenia ich śmierci, zanim mordercy zabiją jego samego. Kiedy wreszcie zmusił swe obolałe kończyny do reakcji i zerwał się z ziemi, poczuł, jak chwytają go czyjeś ręce,

obejmują ciasno, przyciskają jego ramiona do boków i gniotą, wyduszając mu powietrze z płuc.

— Nie — powiedział Akira. Dzikus wciąż się miotał.

— Nie — powtórzył Akira.

Nagle Dzikus uspokoił się i zamrugał. Pomimo potu lejącego się z czoła, jego skóra była przeraźliwie zimna. Zadrżał.

Akira — ależ to niemożliwe! — trzymał go w uścisku.

Nie, przecież nie żyjesz.

Tuż o centymetry przed nim widniała twarz Akiry ze smutnymi oczyma, zmrużonymi przez trwogę, tymi samymi, które dopiero co mrugnęły do Dzikusa ze ściętej głowy, pionowo stojącej na podłodze.

Akira jeszcze raz powiedział, tym razem szeptem:

— Nie.

Dzikus powoli rozejrzał się dookoła. Obraz zbryzganego krwią korytarza w „Górskim Ustroniu” w Medford Gap zamazał się i rozpląnął. Był znowu w umeblowanym pokoju hotelowym w pobliżu Piątej Alei.

Większa część pokoju tonęła w mroku. Palila się tylko słaba lampka przy krześle, które stało w kącie, na lewo od wyjścia na korytarz. Akira, który spał, gdy Dzikus stał na warcie, miał teraz swoją kolejkę czuwania.

Dzikus odetchnął.

— W porządku — powiedział i odprężył się.

— Na pewno? — Akira wciąż nie wypuszczał go z objęć.

— To koszmar.

— Na pewno ten sam, co i mnie dręczy. Napnij mięśnie nóg. Dzikus kiwnął głową i Akira rozluźnił chwyt. Dzikus opadł na kanapę.

Drzwi sypialni otworzyły się i stanęła w nich Rachel. Popatrzyła na Dzikusa i Akirę, głęboko odetchnęła i szybko do nich podeszła. Miała na sobie tylko niebieską, przykrótką koszulę nocną. Bawełniana tkanina ciasno opinała jej piersi, a szybki krok sprawił, że rąbek koszuli uniósł się zbyt wysoko, ale nie spieszyła się, gdyż nikt nie zwracał na to uwagi. Była po prostu jednym z członków zespołu.

— Krzyczałeś — powiedziała. — Co się stało?

— Koszmar — odrzekł Dzikus.

— Ten koszmar?

Dzikus przytaknął, a potem obrócił się do Akiry.

— Ja też to przeżywam — powiedział Akira. — Co noc. Dzikus wpatrywał się w niego z rozpaczliwym zamętem w głowie.

— Myślałem, że skoro spotkaliśmy się ponownie, powinno to się wreszcie skończyć.

— Ja też miałem taką nadzieję, ale tak się nie stało.

— Staralem się o tym nie mówić. — Dzikus rozłożył bezradnie ręce. — Cały czas nie mogę się pozbyć pewności, że widziałem twoją śmierć. Widzę cię, słyszę twój głos, mogę cię dotknąć, ale to nic nie zmienia. Przebywamy ze sobą od paru dni, ale ciągle jestem pewien, że widziałem, jak umierałeś.

— Tak jak ja widziałem ciebie — odrzekł Akira. — Za każdym razem, kiedy zaczynam w to wątpić, staje mi przed oczyma sześć miesięcy męczarni, gdy dochodziłem do zdrowia. Przypominają mi o tym blizny na rękach i nogach.

Dzikus rozpiął koszulę i pokazał dwie blizny pooperacyjne, jedną po lewej stronie poniżej klatki piersiowej, a drugą na prawym boku, w pobliżu miednicy.

— Tędy usunięto mi śledzionę i wyrostek robaczkowy, ponieważ popękały na skutek pobicia.

— Mnie usunięto te same organy. — Akira obnażył muskularną pierś i tułów, ujawniając dwie identyczne jak u Dzikusa szramy.

— A więc wiemy... możemy udowodnić... że obaj zostaliście pobici — powiedziała

Rachel — ale niewątpliwie wasze „śmierci” są tylko tym, czym były — koszmarem.

— Nie rozumiesz, że to nie o to chodzi? — powiedział Dzikus. — To, że Akira żyje, nie ma wpływu na to, o czym wiem, że z pewnością widziałem. To trochę jak de jure, ale niezupełnie. Sam nie wiem, jak to nazwać. Może jamais vu, ponieważ to, co widziałem, nigdy się nie zdarzyło. Ale przecież zdarzyło się, a to, co teraz widzę, jest nieprawdopodobne. Muszę zrozumieć, dlaczego widzę ducha.

— Obaj widzimy — poprawił go Akira.

— Ale Graham nie żyje, a kto inny mógłby nam wytłumaczyć, co się właściwie stało? Jak znaleźć odpowiedź? Od czego zacząć?

— Dlaczego nie... — Rachel urwała.

— Tak? Mów dalej — zachęcił ją Dzikus.

— To tylko propozycja.

— Dotychczas twoje propozycje były bardzo dobre — powiedział Akira.

— To takie oczywiste. — Rachel wzruszyła ramionami. — Zresztą rozpatrywaliście już tę możliwość i odrzuciliście ją.

— Co to takiego?

— Zaczynajcie tam, gdzie rozpoczęły się wszystkie wasze kłopoty. W tym miejscu, o którym wciąż mówicie. W „Górskim Ustroniu”, w Medford Gap.

Zjedli śniadanie w pokoju i wymeldowali się zaraz po siódmej. W godzinę później, klucząc jak zwykle, dotarli do agencji wynajmu samochodów, która właśnie zaczynała pracę. Dzikus rozważał też możliwość uzyskania wozu przez jednego ze swoich informatorów, ale przeważało w nim w końcu nerwowe przecucie, że im mniej ludzi będzie wiedziało o jego pobycie w mieście, tym lepiej, szczególnie teraz, gdy Grahama nie było już między żywymi.

Rachel przyznała się, że i ona miała koszmarny sen, w którym widziała Grahama, jak sztywno wyprostowany siedzi za kierownicą swego cadillaca, otoczony kłębami spalin. Ale paliwo w samochodzie kiedyś wreszcie się wyczerpie i jeśli sąsiad nie usłyszał słabego pomruku silnika zza ściany, było całkiem możliwe, że Graham będzie tak siedział przez kilka dni, rozdęty, rozkładający się, drażony przez robaki, aż wreszcie smród dochodzący z garażu zmusi kogoś do wezwania policji. Wizja nozdrzy Grahama, pełnych robactwa, była tak straszna, że w tym momencie się przebudziła.

— Dlaczego nie mielibyśmy zadzwonić na policję, udając sąsiada zaniepokojonego dźwiękami dochodzącymi z garażu Grahama? — zapytała.

— Ponieważ policja ma automatyczny skomputeryzowany system kontroli rozmów telefonicznych na wypadek gdy ktoś ich wzywa nie podając swego numeru. Gdybyśmy zadzwonili z domu Grahama albo z automatu, policja od razu wiedziałaby, że to nie sąsiad, a ponieważ nie znamy zamiarów zabójców Grahama, lepiej niech wypadki toczą się według ich scenariusza.

Kiedy Dzikus wyjechał wynajętym taurusem z miasta, Rachel pograżyła się w myślach. Akira spał na tylnym siedzeniu.

Starając się odtworzyć tamtą podróż, Dzikus opuścił Manhattan przez most George'a Washingtona i jechał przez New Jersey między-stanową autostradą numer 80. Po dwudziestu minutach zaczął uważnie obserwować motele stojące przy zjazdach z drogi.

„Holiday Inn”, „Best Western” i...

— O, tu — odezwał się Dzikus. — „Howard Johnson”. To tu Kamichi zamienił teczkę.

Była przepiękna październikowa pogoda, słońce rozpraszało chłód minionej nocy. Kiedy opuścili New Jersey i wjechali na teren Pensylwanii, po bokach autostrady pojawiły się wzgórza, które po półgodzinie jazdy stały się górami.

Rachel wyraźnie się odprężyła.

— Zawsze uwielbiałam jesień i liście zmieniające barwę.

— Kiedy jechałem tędy poprzednio, na drzewach nie było nawet pączków. Wszędzie leżały płaty brudnego śniegu. Zmierzchało się i chmury wyglądały, jakby były z węglowego pyłu. Akira, obudź się. Zaraz zjeżdżamy z autostrady.

Dzikus skierował wóz w stronę zjazdu. Kierując się wspomnieniami sprzed pół roku kluczył wśród labiryntu wąskich dróg, aż w końcu zobaczył tablicę z nazwą miasta: MEDFORD GAP. Miasteczko było małe i ubogie. Niemal nie było tu ruchu, niewielu przechodniów na chodnikach, a większość wystaw zasłaniały żaluzje.

— Czy to jest droga, którą pamiętasz, Akira?

— Kiedy tu przyjechaliśmy, było już całkiem ciemno. Prawie nic nie widziałem. Skręciliśmy w lewo na głównym skrzyżowaniu w mieście.

— To ta ulica ze znakiem stopu. — Dzikus zahamował i skręcił w wysadzaną drzewami górską drogę. Szosa cały czas zakręcała, aż doprowadziła go z powrotem do Medford Gap.

— Najwyraźniej nie było to główne skrzyżowanie — stwierdził. Przejechał jeszcze kilka kilometrów.

— O, tu. Tak, to jest to.

Skręcił na światłach w lewo i pojechał w górę stromą, krętą drogą. Pół roku temu błoto i śnieg na poboczach sprawiały, że obawiał się spotkania ze zjeżdżającym z góry samochodem. Droga była tak wąska, że nie mógłby go wyminąć nie ryzykując wpadnięcia do rowu. I teraz jednak, tak samo jak wtedy, nie napotkał nikogo jadącego z przeciwka. Zresztą o tej porze roku gruntowa droga była sucha i bezpieczna, a w dziennym świetle manewr mijania nie przedstawiał żadnych trudności.

Wziął ostry zakręt i jechał dalej w górę, mijając samotne chatki otoczone gęstym lasem.

— Poczekaj, aż to zobaczysz, Rachel. To najdziwniejszy budynek, jaki znam: dobre trzysta metrów długości i mieszanina wszystkich możliwych stylów.

Dotarł do grzbietu góry, wykręcił wokół skały i zahamował tak gwałtownie, że pas bezpieczeństwa wpił mu się w piersi, a samochód zarzucił.

Gapił się przed siebie w oszołomieniu.

Tuż przed nimi droga kończyła się. Dalej nie było nic, poza skałami i bajecznie kolorowymi drzewami.

— Co jest?

— Znowu pojechałeś złą drogą.

— Niemożliwe. To jest ta droga.

— Przecież nie możesz być całkiem pewien. Spróbuj jeszcze raz. Dzikus posłuchał, a kiedy sprawdził już wszystkie drogi prowadzące w lewo z Medford Gap, zatrzymał się przy miejscowej knajpie. Przed wejściem stała grupka mężczyzn. Poprawiali czapki, spluwając tytoniowym sokiem.

— Jak mógłbym trafić do „Górskiego Ustronia” w Medford Gap? — zapytał Dzikus.

— „Górskie Ustronie”? — Mizerny człeczyna spojrział na niego spode łba. — Pierwsze słyszę.

Dzikus jechał coraz szybciej. Nie mógł opanować przemożnej chęci ucieczki. Wpatrywał się uporczywie w przerywaną linię biegnącą środkiem wąskiej drogi, ślepy na przepyszne jesienne barwy drzew na górskich zboczach.

— Ależ on tam był! — Jeszcze przyspieszył. — Obaj z Akirą widzieliśmy go, spaliśmy w nim, jedliśmy. Chodziliśmy za Kamichim po korytarzach. Trzy noce i trzy dni.

— Był bardzo stary — odezwał się Akira. — Żyrandole z kół od wozów, staroświeckie schody. Wciąż jeszcze czuję zapach pleśni w hallu i dym z bierwion na kominku w salonie.

— Ale nie ma go tam — powiedziała Rachel.

Taurus z piskiem opon wszedł w zakręt. Mocując się z kierownicą, Dzikus zorientował się, że jedzie ponad setką, i zwolnił nacisk na pedał gazu. Minąwszy nagie zbocze, przy

którym był znak ostrzegający przed spadającymi skałami, dostrzegł opuszczoną stację benzynową z przekrzywionym szyldem i powybijanymi oknami. Zjechał z drogi i zatrzymał się przy betonowych blokach stojących na miejscu dawnych pomp.

Czuł, że się dusi. Szarpnięciem otworzył drzwi samochodu i wyskoczył na zewnątrz, wciągając w płuca świeże powietrze.

Rachel i Akira poszli w jego ślady.

— Przecież to nie był żaden mały hotelik na tyle daleko od Medford Gap, żeby miejscowi mogli o nim w ogóle nie słyszeć. — Dzikus patrzył na urwiska wznoszące się za stacją. — To turystyczna atrakcja położona bardzo blisko miasta.

— Ale sprawdziliśmy wszystkie drogi na szczyt góry — powiedział Akira.

— Pojechaliśmy nawet jeszcze raz tą drogą, którą, jak utrzymujesz, jechałeś pół roku temu — odezwała się Rachel. — Przeszukaliśmy też las, na wypadek gdyby hotel zniszczył pożar, lecz tam nie było żadnego pogorzelnika. Pół roku to za krótko, żeby roślinność skryła ślady.

— Tak — powiedział Dzikus — krzaki nie zdążyłyby zarosnąć nawet miejsca po spalonej chałupie, a co dopiero po wielkim hotelu. Zresztą byłby to ogromny pożar i miejscowa ludność nie zapomniałaby go tak szybko. A nawet jeśli był pożar, ogień przecież nie mógł zniszczyć jeziora, nad którym stał hotel — a jednak jeziora też tam nie ma.

— Mimo to obaj jesteście pewni, że był tam hotel i było jezioro — rzekł Akira.

— Pewni? — zapytał Dzikus. — Tak jak jesteście pewni, żeśmy widzieli naszą śmierć? Ale nie umarliśmy.

— A więc... — Akira zawahał się — „Górskie Ustronie” nigdy nie istniało.

Dzikus przytaknął i odetchnął głęboko. — Mam takie dziwne uczucie... to, o czym mówiłem w nocy w hotelu. Jamais vu. Wszystko wydaje się nierealne. Nie dowierzam własnym zmysłom. Zupełnie jakbym tracił rozum.

— Co nam się przydarzyło? — spytał Akira.

— I gdzie? — Dzikus zasepił się. — I dlaczego?

— Idźcie dalej po swoich śladach — odezwała się Rachel. — Gdzie znaleźliście się później?

— W szpitalu — odpowiedział Dzikus.

— Ja byłem w szpitalu w Harrisburgu — powiedział Akira — sto mil stąd na południe. Musieli mnie przewieźć helikopterem.

— W Harrisburgu? — Dzikus poczuł, że dłonie i stopy mu drętwieją. — Nigdy nie mówiłeś...

— Jakoś się nie złożyło. Co tak patrzysz? Nie mów mi tylko, że ciebie też tam przewieziono.

— Czy twój lekarz był blondynem?

— Tak.

— I miał piegi?

— I nosił okulary?

— I nazywał się...

— Hamilton.

— Kurwa! — wyrwało się Dzikusowi. Ruszyli pędem do samochodu.

— Co ją tam trzyma? — niepokoił się Akira.

— Minęło dopiero dziesięć minut. — Dzikus pozwolił Rachel pójść samej, ponieważ nie mógł znaleźć wolnego miejsca do zaparkowania i musiał jeździć w kółko. Pomimo uspokajającej odpowiedzi potrzeba ochraniać Rachel i narastająca sympatia do niej sprawiały, że Dzikus bardzo denerwował się jej nieobecnością.

Było wczesne popołudnie i ruch w mieście przybierał na sile. Dzikus dojechał do skrzyżowania, skręcił w prawo i wyprostował się, wskazując palcem.

— Tak — powiedział Akira. — W porządku, jest tam.

Dzikus patrzył z ulgą na Rachel, która wyszła z miejskiej biblioteki publicznej, dostrzegła ich taurusa, podbiegła i szybko wsiadła. Natychmiast ruszyli.

— Przejrzałam książkę telefoniczną — mówiła. — To jest odbitka planu miasta, a tu mam listę szpitali. To nam zabierze więcej czasu, niż myśleliśmy, bo jest ich dość dużo. Na pewno nie pamiętacie nazwy szpitala?

— Nikt jej nigdy nie wymieniał — powiedział Akira.

— Ale powinna być odbita na pościeli i piżamach.

— Byłem oszołomiony demerolem — powiedział Dzikus. — Nie zauważyłbym stempla na prześcieradle, nawet gdyby tam był.

Akira przejrzał listę szpitali i zaczął ją odczytywać Dzikusowi.

— Gminny Ogólny Szpital Osteopatyczny, Szpital Miejski w Harrisburgu, Szpital Stanowy...

— Osteopatyczny? — spytał Dzikus. — Czy to ma coś wspólnego z chiropraktyką?

— Nie, osteopatia to teoria medyczna, która mówi, że przyczyną chorób jest nacisk przesuniętych kości.

Dzikus pokręcił głową.

— Nasza kuracja była konwencjonalna. Spróbujmy...

— Bardzo mi przykro, proszę pana — powiedziała starsza pani, siedząca w okienku informacji Szpitala Miejskiego. — Żaden doktor Hamilton u nas nie pracuje.

— Bardzo panią proszę — powiedział Akira z naciskiem — niech pani sprawdzi jeszcze raz.

— Przecież sprawdzałam już trzy razy. Komputer w ogóle nie reaguje na to nazwisko.

— Może on nie należy do personelu — powiedział Akira. — Może prowadzi prywatną praktykę i tylko wysyła tutaj swoich pacjentów?

— No tak, to oczywiście jest możliwe — powiedziała pani zza biurka.

— Nie — odezwała się Rachel. Dzikus i Akira obrócili się w jej stronę.

— Kiedy przeglądałam książkę telefoniczną, sprawdziłam również prywatnych lekarzy, ale go nie znalazłam.

— W takim razie nic tu po nas — stwierdził Akira. Ruszyli przez zatłoczony hali w stronę wyjścia.

— Zaniepokoiło mnie — powiedziała Rachel — że doktora Hamiltona nie było również w spisie abonentów mających zastrzeżone numery.

— Co to za lekarz, który ma zastrzeżony domowy telefon? — zapytał Dzikus.

Gruby mężczyzna, który zasiadał w okienku informacji w Szpitalu Stanowym, potrząsnął głową, postukał jeszcze raz w klawiaturę komputera, wpatrzył się w ekran i wyduł wargi.

— Nie, nie ma tu żadnego doktora Hamiltona. Przykro mi.

— Ależ to niemożliwe — zawołał Dzikus.

— Po Medford Gap nie ma niemożliwych rzeczy — odrzekł Akira.

— Musi być jakieś wytłumaczenie. — Dzikusowi przyszło nagle coś do głowy i powiedział: — To było pół roku temu. O ile wiemy, potem on złożył rezygnację i przeniósł się do innego miasta, do pracy w innej instytucji. Jak w takim razie moglibyśmy zdobyć o nim informacje?

— Musielibyście pójść do kadr. Komputer podaje tylko aktualną listę personelu.

— A gdzie...

Mężczyzna powiedział im, jak trafić do kadr.

— Ale musicie się pospieszyć. Już prawie piąta i zaraz kończą pracę.

— Ja to zrobię — szybko wtrącił Akira. — Dzikus, ty podzwoń po biurach kadr w innych szpitalach.

Ruszył korytarzem, a Dzikus pospiesznie skierował się ku rzędowi automatów

telefonicznych przy ścianie hallu wejściowego, starając się nie potrącać odwiedzających.

— Zaraz wrócę — powiedziała Rachel.

— A ty dokąd?

— Mam pewien pomysł.

Idąc w swoją stronę Dzikus usłyszał, jak pytała informatora:

— Gdzie się znajduje dział rozliczeń?

Dzikus zastanawiał się, po co jej to, po chwili jednak zapomniał

o tym. Wszystkie telefony były zajęte. Spojrzał na zegarek. Była za sześć piąta. Starając się opanować nerwy, wyciągnął z kieszeni monety, a potem przejrzał listę szpitali z adresami i numerami telefonów, którą wręczyła mu Rachel. Wreszcie jakaś kobieta skończyła rozmowę

1 Dzikus rzucił się do automatu. Kiedy usłyszał sygnał, spojrzął na drugą stronę hallu, ale Rachel już tam nie było.

Siedzieli w szpitalnianej kawiarence, wpatrując się w plastikowe kubki.

— W biurze kadr twierdzą, że nie było u nich żadnego doktora Hamiltona na liście przez ostatnie pięć lat — powiedział Akira.

— W jednym ze szpitali mieli lekarza o tym nazwisku — odezwał się Dzikus.

Akira wyprostował się.

— Trzy lata temu — ciągnął Dzikus. — To była kobieta. Niemłoda. Umarła na zawał.

Akira opadł z powrotem na krzesło.

— To wszystko zaczyna wyglądać tak, jak gdyby nasz doktor

203

Hamilton nie był ani trochę bardziej realny niż „Górskie Ustronie” — powiedział Dzikus.

— I nie tylko on — odezwała się Rachel. — Wy dwaj możecie sobie wyobrazić, że istniejecie naprawdę, ale tak nie jest.

— O czym ty mówisz? — zapytał Akira.

— Poszłam do tutejszego działu rozliczeń i kiedy oni szukali tego, o co poprosiłam, zadzwoniłam do działów rozliczeń w innych tutejszych szpitalach, żeby zdążyć, zanim skończą pracę. Wszystkich pytałam

o tę samą rzecz.

— Jaką? — zapytał Akira.

— Dział rozliczeń wysyła rachunki pacjentom. Wcześniej podaliście mi nazwiska, jakich używaliście podczas pobytu w szpitalu. Udawałam, że jestem agentką ubezpieczeniową, której firma opłaciła wasz pobyt w szpitalu sześć miesięcy temu, a teraz otrzymała od was zażalenie. Pytałam w każdym szpitalu, dlaczego wysyłają wam ponaglenia do zapłacenia zaległych rachunków. Ludzie, z którymi rozmawiałam, byli bardzo uprzejmi. Wszyscy twierdzili, że to bardzo łatwe do wyjaśnienia

1 sprawdzali w swoich komputerach. Nie zgadniecie, z jakim rezultatem. Otóż nie ma żadnego śladu waszego pobytu w jakimkolwiek tutejszym szpitalu.

Dzikus ścisnął swój kubek tak mocno, że omal go nie zgniół.

— To gdzie do diabła byliśmy?

— Może w Szpitalu Osteopatycznym — orzekła Rachel. — Ale obawiam się, że kiedy pójdziemy tam jutro...

— ...otrzymamy te same odpowiedzi — wpadł jej w słowo Akira. — „Górskie Ustronie” w Medford Gap nie istnieje, nie widzieliśmy, jak umieramy, nigdy nie spotkaliśmy doktora Hamiltona, nie byliśmy w szpitalu w Harrisburgu. Co jeszcze się nie zdarzyło?

Dzikus naraz wstał gwałtownie i ruszył przed siebie.

— Dokąd idziesz? — Rachel natychmiast pospieszyła za nim, a za nią Akira.

— Do informacji.

— Ale po co? — Rachel starała się dotrzymać mu kroku. — Pytaliśmy o wszystko, o co tylko było można.

— Nie, nie zapytaliśmy o jedną rzecz. Jak trafić do pogotowia ratunkowego.

Znużona pielęgniarka, siedząca za kontuarem w jasno oświetlonym westybulu, spojrzała na wchodzących — Słucham? W czym mogłabym...

Przerwała i zmarszczyła brwi, widząc napięcie na twarzy Dzikusa. Z niepokojem zerknęła na Rachel i Akirę.

— Chciałbym się widzieć z lekarzem — powiedział Dzikus.

— Jakiś wypadek? — Wstała. — Nie wygląda pan na poszkodowanego. Czy ktoś...

— Powiedziałem, że chciałem się widzieć z lekarzem. Zaskoczona pielęgniarka zamrugła.

— Oczywiście. — Cofnęła się nerwowo. — Niech pan tu poczeka. — Zniknęła w korytarzu.

— Uspokój się — powiedział Akira do Dzikusa.

— Staram się, ale to trudne. Muszę wiedzieć.

Pielęgniarka szybko wróciła w towarzystwie młodego mężczyzny w zielonym szpitalnym kitlu.

— Tak, słucham...? — Lekarz powoli podszedł do Dzikusa. — Jestem doktor Reynolds, przełożony tego oddziału.

— Chciałbym zrobić sobie prześwietlenie.

— Dlaczego? — Lekarz przyglądał się Dzikusowi uważnie. — Czy odczuwa pan ból?

— Jeszcze jaki.

— Ale gdzie? W piersiach? W ręku?

— Wszędzie.

— Co takiego?

— Chciałbym... potrzebuję... chodzi mi o prześwietlenie całego ciała.

— Całego ciała? Po co...? Niech pan opisz objawy.

— Boh' mnie wszystko, od stóp do głów. Nie mogę już dłużej tego znieść. Muszę wiedzieć, co się dzieje. Po prostu niech mnie pan prześwietli.

— Nie możemy tak...

— Zapłacę.

— Ale nie można... Czy lekarz domowy wie o pańskich bólach?

— Dużo podróżuję i nie mam lekarza domowego.

— Ale bez diagnozy...

— Mówiłem, że chcę zapłacić.

— Nie chodzi o pieniądze. Nie możemy prześwietlać ot tak, bez potrzeby. Jeżeli pańskie bóle są rzeczywiście takie poważne, niech pan wejdzie na oddział i pozwoli się zbadać.

— Poproszę pańskie nazwisko — odezwała się młoda kobieta, która zastąpiła przy kontuarze pielęgniarkę. Dzikus odwrócił się do niej. — I nazwę pańskiej agencji ubezpieczeniowej — dodała.

— Zmieniłem zdanie — powiedział Dzikus.

Lekarz nachmurzył się.

— Nie chce pan się poddać badaniu?

— Sądziłem, że jeśli poproszę o prześwietlenie... Mój przyjaciel miał rację. Powinienem się uspokoić.

— Z panem jednak jest coś niedobrze.

— Ma pan rację, problem tylko w tym, że nie wiem co. Ale niech się pan nie martwi — posłucham pana rady i pójdę do lekarza.

Z drzwi oznaczonych tabliczką **WEJŚCIE TYLKO DLA JŁ, J. PRACOWNIKÓW TECHNICZNYCH** wyszedł niemłody już lekarz, który miał siwe wąsy i nosił spodnie na szelkach, a ponadto nie miał nic przeciwko prześwietleniu całego ciała komuś, kto płacił za



to pięć tysięcy dolarów. Co więcej, zamiast odsyłać swoich pacjentów do jednego ze szpitali, wybrał się wraz z nimi do prywatnej kliniki radiologicznej. Kiedy teraz wszedł do poczekalni, na jego widok Dzikus, Rachel i Akira zerwali się z miejsc.

— No i... — spytał Dzikus.

— Zdjęcia wyszły doskonale. Nie ma potrzeby powtarzać. Obejrzałem je bardzo dokładnie.

— Ale co pan znalazł? — Dzikus nie był w stanie ukryć niepokoju w głosie.

— Zapłaciliście państwo tyle za zrobienie tych zdjęć, że dlaczego nie mielibyście zobaczyć ich sami?

Poprowadził całą trójkę za sobą. Weszli do słabo oświetlonego pokoju, którego prawą stronę zajmował długi stół laboratoryjny z szafami od podłogi do sufitu. Po lewej znajdowała się ściana, na której wisiały rzędem zdjęcia rentgenowskie, podświetlone od tyłu lampami jarzeniowymi.

— Te są pańskie — powiedział doktor wskazując na Dzikusa — a te dalej należą do pana — rzekł do Akiry.

Przyglądali się z bliska zdjęciom. Po chwili Akira potrząsnął głową i zwrócił się do doktora:

— Nie wiem, jak je odczytać.

— Chcieliście, abym stwierdził, w jakim stopniu zostały zaleczone wasze kontuzje. W odpowiedzi to ja pytam panów, o jakie kontuzje chodzi?

— Jezu — jęknął Dzikus. — Miałem rację.

— Nie bardzo wiem, o czym pan mówi, ale ręczę za to, co należy do mojego zawodu. — Doktor zaczął wodzić ołówkiem po zdjęciach. — Oszczędzę panu medycznej terminologii. To górna część pańskiej lewej nogi, a to dolna. To prawa noga, góra i dół. Żebra z prawej strony, a tu z lewej. Kilka ujęć czaszki.

Doktor przeszedł do rentgenogramów Akiry i objaśnił je w ten sam sposób, używając ołówka jako wskazówki:

— Kości są nietknięte. Nie ma śladów zwapnień, wskazujących na miejsca, gdzie się zrastały. Dlaczego obaj powiedzieliście mi, że każdy z was miał połamane ręce, nogi i żebra oraz pęknięcia czaszki, kiedy widać od razu, że nic takiego wam się nie przydarzyło?

— Myśleliśmy, że się przydarzyło — powiedział Akira.

— Myśleliście? Tak rozległe urazy nie pozwalają na wątpliwości. Cierpielibyście potworne męki.

— I tak było — rzekł Dzikus.

Zadrżał. Rachel mocno ścisnęła jego ramię.

— Jak mogliście cierpieć — zapytał doktor — jeśli nie było obrażeń?

— Cholernie dobre pytanie. Niech mi pan wierzy, że mam szczerzy zamiar to wyjaśnić.

— No dobrze, skoro przy tym jesteśmy, to niech pan wyjaśni coś jeszcze — powiedział doktor. — Obaj twierdzicie, że odnieśliście identyczne obrażenia, chociaż nic takiego się wam nie przytrafiło, ale rzeczywiście u obu panów są ślady interwencji chirurgicznej — wskazał ołówkiem na dwa zdjęcia — która nie była skutkiem złamania kości. Nie lubię takich zbiegów okoliczności.

— Tak, obaj mieliśmy usuniętą śledzionę i wyrostek robaczkowy — powiedział Akira.

— Pokazywaliście mi blizny — odrzekł doktor. — Wyglądają rzeczywiście tak, jak powinny, gdybyście mieli naprawdę usunięte te organy. Zdjęcia nie są oczywiście na tyle kontrastowe, aby potwierdzić moje podejrzenia — to mogłaby wykazać tylko kolejna operacja — ale nie to jest najważniejsze. Chodzi mi nie o operację jamy brzusznej, ale o operację czaszki.

— Co...? — zdumiał się Dzikus.

— Oczywiście. Z powodu pęknięć — powiedział Akira.

— Nie. — Doktor wskazał dwa zdjęcia obok siebie. — Widzicie te maleńkie kółeczka nad uchem każdego z was? To niepodważalne dowody.

— Czego?  
— Operacji lewego płata skroniowego mózgu. — Doktor spojrział na Dzikusa, a potem na Akirę. — I żaden z was nie wiedział o tym?  
Dzikus zawahał się.  
— Zadałem panom pytanie.  
— Nie — odpowiedział Dzikus. — Nie wiedzieliśmy.  
— Trudno w to uwierzyć.  
— Inaczej by pan mówił, gdyby pan wiedział, co przeżywamy. Błagam — Dzikus przełknął żółć — niech pan nam pomoże.  
— Jak? Zrobiłem tyle, ile mogłem.  
— Ale gdzie mamy się udać? Kogo dalej pytać?  
— Mogę tylko tyle powiedzieć — doktor odwrócił się w stronę zdjęć — że ten chirurg był geniuszem. Jestem tylko zwykłym internistą na progu emerytury, ale nie zaniedbywałem czytania najnowszej literatury fachowej. Nie słyszałem o czymś tak wyrafinowanym. Połączenie wyciętych fragmentów kości z resztą czaszki jest zrobione niemal idealnie. Wspaniała technika. Dokąd macie się udać? Chyba tam, gdzie za odpowiednie pieniądze można kupić supergwiazdy, najlepszych neurochirurgów w największych instytutach.

## Jamais vu

Neurochirurg nazywał się Anthony Santizo. Miał gęstą czarną czuprynę, śniadą cerę i niezwykle bystre oczy. Jego przystojna twarz była nieco wymizerowana. Pewnie ze zmęczenia, pomyślał Dzikus, doktor bowiem skończył właśnie siedmiogodzinną operację. W przeciwieństwie do twarzy jego ciało było jednak w doskonałej kondycji — dzięki zamiłowaniu do gry w squasha, którego kolejną partyjkę, jak wyjawiał, będzie grał już za godzinę.

— Wiemy, że jest pan bardzo zajęty — powiedział Dzikus. — Chcielibyśmy podziękować, że znalazł pan dla nas trochę czasu.

Santizo podniósł w górę obie ręce.

— Normalnie bym tego nie zrobił, ale neurochirurg, z którym wasz lekarz rozmawiał w Harrisburgu, przypadkiem zna mego dobrego przyjaciela ze studiów w Harwardzie. Oczywiście i w Harrisburgu są doskonali lekarze, ale z tego, czego dowiedziałem się o waszych problemach, wnioskuję, że mój przyjaciel postąpił właściwie wysyłając was do mnie.

Znawali się w Filadelfii, w szpitalu uniwersytetu stanowego. Była to najbliższa tego rodzaju placówka, zaledwie sto mil na wschód od Harrisburga. Inny uniwersytecki szpital w Pensylwanii był w Pitts-burgu, dużo dalej na zachód.

— Zawsze pociągały mnie tajemnice — powiedział Santizo. — Sherlock Holmes, Agata Christie, wspaniałe zagadki i rozkoszne łamigłówki, ale największą tajemnicą jest mózg. To klucz do drzwi, za którymi kryje się sekret naszego człowieczeństwa. Dlatego właśnie wybrałem tę specjalność.

Do gabinetu wkroczyła sekretarka, niosąc na tacy filiżanki i imbryk.

— Doskonale — powiedział Santizo. — W samą porę. To moja ziołowa herbata. Czy zechcą państwo...

— Tak — odezwał się Akira. — Ja poproszę.

— Obawiam się, że nie jest tak mocna jak ta, do której przywykł pan w Japonii.

Akira skłonił się.

— Z pewnością będzie odświeżająca. Santizo odwzajemnił ukłon.

— W Harvardzie studiowałem z jednym z pańskich ziomków i nigdy nie zapomnę, co mi kiedyś powiedział. Zaczynaliśmy właśnie kurs interny i byłem wykończony długimi godzinami ciężkiej harówki. Wydawało mi się, że nie dam rady, i wtedy pański krajan powiedział mi: „Musisz sobie znaleźć jakieś ćwiczenie, które polubisz i będziesz je wykonywał w wolnym czasie”. Odpowiedziałem, że nie rozumiem. Skoro już jestem zmęczony, dlaczego jeszcze miałbym mieć ochotę na jakieś ćwiczenia? I wiecie, co mi odpowiedział? „Twoje zmęczenie jest wywołane pracą umysłu. Możesz je zwalczyć tylko fizycznym zmęczeniem. Jedno usunie drugie.” Wydawało mi się to bez sensu i powiedziałem mu to, a on odpowiedział jednym słowem...

— *Wa* — powiedział Akira. Santizo roześmiał się.

— Tak. Przypomina mi pan tamtego mojego kolegę.

— *Wa*? — zapytała Rachel marszcząc brwi, ale kiedy wszyscy na nią spojrzeli, zakłopotana sięgnęła niezręcznie po filizankę.

— To znaczy: „równowaga” — powiedział Akira. — Zmęczenie umysłowe jest neutralizowane przez...

— Ćwiczenia fizyczne — dokończył Santizo. — Ten pański ziomek miał rację. Tak ciężko znaleźć wolny czas, że niekiedy się załamuję. Zwykle jestem tak wyczerpany, że sama myśl o wysiłku fizycznym jest mi wstrętna, ale muszę to robić, ponieważ sęuash czyni ze mnie lepszego neurochirurga. — Spojrzał na zegarek. — I właśnie za pięćdziesiąt minut muszę być na korcie, pokażcie mi więc te zdumiewające zdjęcia.

Wziął do ręki dużych rozmiarów kopertę.

— No, nie załamujcie się. Pamiętajcie o *wa*. Sęuash i neurochirurgia. Sherlock Holmes.

— Hmm.

Santizo stał w kącie gabinetu, przyglądając się dwóm rentgeno-gramom przymocowanym do podświetlonego ekranu.

Patrzył na zdjęcia od dobrych paru minut, stojąc ze skrzyżowanymi rękami i słuchając opowieści Dzikusa o zdarzeniach, które ich tu przywiodły.

— Samodzielni obrońcy? — Santizo nie odrywał wzroku od zdjęć. — Wygląda na to, że obaj macie fascynujący zawód, ale nawet w takim wypadku...

Obrócił się do Dzikusa i Akiry, wyjął z kieszonki koszuli miniaturową latarkę i starannie obejrzał każdemu z nich lewą połowę głowy.

— Hmm.

Usiadł za biurkiem, pociągnął łyk herbaty i zadumał się na chwilę.

— Ten chirurg wykonał wspaniałą robotę, po prostu dzieło sztuki. Chodzi mi tylko o kosmetyczny aspekt zabiegu, o zręczne ukrycie śladów operacji. Zwapnienia wokół fragmentu kości, który został wyjęty, a potem znów włożony na miejsce, są minimalne. Standardowa metoda polega na wywierceniu kilku otworków na obrzeżu fragmentu czaszki, który będzie usuwany. Następnie w jedną z dziurek wprowadza się cienki, ale bardzo mocny ostry drut, którym manewruje się tak, aby nie dotykając mózgu wyszedł przez drugą dziurkę. Chirurg chwyta wtedy oba końce i ciągnie za nie na przemian, wypilowując szczelinę w czaszce. Powtarza to przy każdej następnej parze dziurek, aż wreszcie fragment czaszki da się oddzielić. Jak już powiedziałem, drut jest cienki, nie na tyle jednak, aby pomiędzy wyjętym i później włożonym na miejsce fragmentem a resztą czaszki nie powstały wyraźne zwapnienia. Zresztą nawet gdyby ich nie było, i tak na zdjęciu rentgenowskim nie można by było nie zauważyć owych dziurek, w tym jednak wypadku — Santizo potarł podbródek — żadnych dziurek nie ma. Jest tylko małe kółeczko, jak gdyby z czaszki wyjęto korek i potem wciśnięto go na miejsce, tak ciasno, że zwapnienia na obrzeżach są praktycznie niewidoczne. Zdumiewa mnie, że lekarz, u którego byliście, w ogóle coś wykrył. Ktoś nie przygotowany mógłby równie dobrze to przeoczyć.

— Jeżeli jednak nie posłużono się standardową techniką, to w takim razie jaką? —

zapytał Dzikus.

— Oto jest pytanie, prawda? — powiedział Santizo. — Chirurg mógł użyć wiertła o pięciomilimetrowej średnicy, żeby wywiercić otwór taki jak ten „korek”, ale jemu była potrzebna metoda, która nie pozostawia widocznych śladów. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to... „Korek” został wycięty z czaszki promieniem lasera. Laserów używa się już obecnie w tak precyzyjnych operacjach, jak łączenie arterii czy przyklejanie siatkówki, a zatem jest tylko kwestią czasu, kiedy wejdą one do powszechnego użytku również w innych działach chirurgii. Ja też eksperymentowałem z nimi. To właśnie miałem na myśli, kiedy mówiłem o dziele sztuki. Ktokolwiek wykonał tę operację, jest bez wątpienia niezwykle biegłym i utalentowanym chirurgiem, choć muszę dodać, że nie jedynym. Znam przynajmniej z tuzin, łącznie ze sobą, wybitnych neurochirurgów, którzy potrafiliby równie dobrze ukryć ślady zabiegu, ale to tylko pozorny test jakości. Ostatecznym kryterium byłoby stwierdzenie, czy chirurg osiągnął zamierzony cel, a ponieważ nie wiemy, po co dokonano tej operacji, nie mogę w pełni ocenić kunsztu jego dzieła.

— Ale — powiedział Akira z wahaniem — czy chirurgia może wytłumaczyć...

— Wasz dylemat? Być może — odrzekł Santizo. — Chociaż z drugiej strony może i nie. Jakiego to terminu pan użył? Przeciwiństwo deja vm?

— Jamais vu — odpowiedział Dzikus.

— Właśnie. Coś, o czym się sądzi, że się widziało, chociaż nie widziało się tego nigdy. Nie znałem tej koncepcji, ale lubię się uczyć i zapamiętam tę definicję. Zdajecie sobie chyba sprawę — Santizo odstawił filiżankę — że gdyby nie te rentgenogramy, uznalibyśmy was za stukniętych i pozbyłbyśmy się was.

— Przyznaję, że to, co opowiedziałem, brzmi dość dziwnie — powiedział Dzikus — ale musieliśmy zaryzykować i mieć nadzieję, że pan nam uwierzy. Jesteśmy pragmatykami jak pan. W naszym zawodzie mamy do czynienia z faktami, z namacalnymi problemami — jak dostarczyć naszych pryncypałów bezpiecznie do celu, jak uniknąć kuli zabójcy lub zgubić ścigający nas samochód. Nagle jednak fakty przestały nam pasować do rzeczywistości, a w każdym razie do tego, co odbieramy jako rzeczywistość. To nas nie tyle denerwuje, bo napięcie nerwowe jest dla nas normalną rzeczą, ile wprawia w kompletne pomieszanie, i to jest przerażające.

— To oczywiste — powiedział Santizo. — Widać to po pańskich oczach. Pozwólcie więc, że i ja będę szczerzy. Mój plan dnia jest tak napięty, że zgodziłem się zobaczyć z wami tylko dlatego, że prosił mnie o to kolega ze studiów. Sądził, że to mnie zaintryguje, i rzeczywiście miał rację. Jestem zaintrygowany. — Spojrzał na zegarek. — Za pół godziny zaczynam mecz squasha, a potem muszę jeszcze pobiegać. Spotkajmy się tutaj — policzył w myśli — za dwie i pół godziny. Postaram się sprowadzić jednego z moich kolegów. Chciałbym, żebyście panowie w tym czasie poszli na oddział radiologii. — Sięgnął po słuchawkę.

— Jeszcze jeden rentgen? Żeby upewnić się, czy pierwsze prześwietlenie dało prawdziwe wyniki? — zapytał Dzikus.

— Nie, zamawiam dla was badanie metodą rezonansu magnetycznego.

Kiedy wrócili, przy biurku naprzeciwko Santiza siedział wątłej budowy mężczyzna ze szpakowatą brodą, ubrany w nieco zbyt obszerną sportową marynarkę.

— To doktor Weinberg — przedstawił go Santizo. Wymienili powitania.

— Doktor Weinberg jest psychiatrą — dodał Santizo. Dzikus poczuł, że uwiera go oparcie krzesła.

— Czy to panom przeszkadza? — spytał Weinberg miłym głosem.

— Nie, oczywiście, że nie — powiedział Akira. — Mamy problem i bardzo chcemy go rozwiązać.

— Wszelkimi metodami, jakie okażą się niezbędne — dodał Dzikus.

— Doskonale. — Weinberg wyjął z kieszeni marynarki notes i pióro. — Nie mają

państwo nie przeciwko temu?

Dzikus zaniepokoił się. Zawsze starał się, aby jego wypowiedzi nie były dokumentowane, ale sytuacja zmuszała go do zgody.

— Niech pan notuje, co pan uważa za potrzebne.

— Dobrze. — Weinberg nabazgrał parę słów.

Jak przypuszczał Dzikus, była to data i godzina konsultacji.

— Wyniki nie są jeszcze gotowe. Przyślą mi je tutaj — powiedział Santizo — pomyślałem więc, że w tym czasie doktor Weinberg mógłby zadać państwu parę pytań.

Dzikus gestem zachęcił Weinberga, aby zaczynał.

— Jamais vu. Powiedziano mi, że to pan wymyślił ten termin.

— Zgadza się. Tyle zdołałem wymyślić, aby oddać zamęt, jaki odczuwam.

— Niech pan opisz dokładniej swoje odczucia.

Dzikus zrobił to, a Akira od czasu do czasu dorzucał jakiś szczegół.

— A więc podsumujmy. Obaj myśleliście, że każdy z was widział śmierć kolegi? Nie udało wam się odnaleźć hotelu, w którym rzekomo doszło do tych wypadków? Nie mogliście również znaleźć szpitala, w którym udzielono wam pierwszej pomocy, ani lekarza, który się wami opiekował?

— Wszystko się zgadza — powiedział Dzikus.

— I wszystkie te zdarzenia, których skutkiem były urazy, miały miejsce pół roku temu?

— Tak — potwierdził Akira. Weinberg westchnął.

— Jak na razie... — odłożył pióro — mogę traktować wasz dylemat tylko jako hipotetyczny.

— Niech pan go traktuje, jak się panu podoba — powiedział

Dzikus.

— Nie jestem waszym wrogiem.

— Nie powiedziałem, że pan nim jest.

— Proszę mnie zrozumieć. — Weinberg usiadł wygodniej na krześle. — Z zasady moi pacjenci trafiają do mnie już wstępnie przygotowani. Otrzymuję dokumentację i historię choroby, a w razie potrzeby mogę przeprowadzić wywiad z ich rodzinami i pracodawcami. W tym wypadku nie wiem o was kompletnie nic. Mam tylko waszą opowieść o, mówiąc ogólnie, dość niezwykłych przygodach. Nie mogę jednak w żaden sposób sprawdzić, czy mówicie prawdę, i nie mam powodu, żeby wam wierzyć. Z tego co wiem, moglibyście być patologicznymi łgarzami żądnymi rozgłosu albo nawet reporterami testującymi łatwo wierność tych, których popularnie nazywa się „doktorami z wariatkowa”.

Oczy Santizo zabłysły.

— Max, mówiłem ci przecież, że ich opowieść i zdjęcia rentgenowskie bardzo mnie intrygują. Powiedz nam, jaka jest twoja teoria.

— Ale tylko jako ćwiczenie logiczne — powiedział Weinberg.

— W porządku — zgodził się Santizo. Weinberg znowu westchnął, a potem rozłożył ręce.

— Najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem jest, że obaj cierpicie na omamy, spowodowane pobiciem niemal na śmierć.

— Jak to? Prześwietlenie wykazało, że nie byliśmy pobici — zdumiał się Dzikus.

— Niezupełnie. Prześwietlenie wykazało tylko, że nie mieliście połamanych kończyn i żeber ani pękniętych czaszek, jak wam się wydawało, ale to nie znaczy, że nie byliście pobici. Spróbuję zrekonstruować prawdopodobny przebieg wydarzeń. Obaj zostaliście wynajęci do ochrony pewnego człowieka...

— Tak.

— Człowiek ten udał się na konferencję do hotelu na prowincji i tam został w niezwykle brutalny sposób zamordowany.

Akira kiwnął głową.

— W trakcie obrony obaj zostaliście pobici aż do utraty przytomności — ciągnął Weinberg. — Tuż przed zemdleniem wydawało się wam, że widzicie ginącego kolegę.

Ponieważ obaj żyjecie, coś musiało spowodować halucynację, a najbardziej logicznym tłumaczeniem jest połączenie bólu i dezorientacji.

— Ale dlaczego obaj mieliby mieć taką samą halucynację? — zapytała Rachel.

— Poczucie winy.

— Zgubiłem się... — Dzikus zmarszczył brwi.

— Jeżeli dobrze pojąłem, to, co robicie, jest dla was czymś bardzo ważnym. Potrzeba ochraniać, ratowania życia jest dla was nakazem sumienia. Pod tym względem przypominacie lekarzy.

— To prawda — powiedział Akira.

— W odróżnieniu jednak od lekarzy, którzy z natury rzeczy tracą swych pacjentów i w związku z tym muszą wytworzyć hamulce dla swoich emocji, wy, o ile się zorientowałem, mieliście niezwykle powodzenie w pracy. Nigdy nie straciliście klienta.

— Poza...

— ...wydarzeniami, które rozegrały się pół roku temu w prowincjonalnym hotelu — dokończył Weinberg. — Wtedy po raz pierwszy — i jedyny — ponieśliście porażkę. To był dla was silny psychiczny wstrząs. Nie mając doświadczenia w przegrywaniu, nie byliście przygotowani na taki cios, tym większy że towarzyszyły mu makabryczne okoliczności śmierci waszego klienta. Naturalną reakcją było poczucie winy. Żyliście, podczas gdy człowiek, za którego bezpieczeństwo byliście odpowiedzialni, zginął. Bez wahania poświęcilibyście swoje życie, aby go uratować, ale los zrządził inaczej. W tej sytuacji poczucie winy stało się nie do zniesienia. Podświadomość każdego z was starała się je skompensować, podsuwając obraz ginącego wraz z klientem kolegi. Wtedy łatwiej mogliście przyjąć, że to, co się stało, było nieuniknione. Zginął przecież nie tylko klient, ale i jeden z was, drugi zaś został ciężko ranny, starając się bohatercko, ale niestety daremnie, wypełnić swoje zobowiązanie. Przy tak podobnych osobowościach jak wasze powstanie wspólnej halucynacji jest zrozumiałe, a nawet przewidywalne.

— Dlaczego więc nie możemy znaleźć hotelu? — zapytał Dzikus.

— Ponieważ głęboko w waszej psychice kryje się dążenie do wymazania z pamięci tego, że ponieśliście klęskę. Czyż jest lepsza metoda na to od przekonania samych siebie, że nie istnieje hotel, gdzie wszystko się wydarzyło, czy szpital, w którym dochodziliście do zdrowia? One istnieją, przynajmniej jeśli wasze opowiadanie jest prawdziwe, ale przestają istnieć z chwilą, gdy wasze dążenie do zaprzeczenia pcha was do poszukiwań.

Dzikus i Akira spojrzeli po sobie i równocześnie potrząsnęli głowami.

— Dlaczego — ton głosu Akiry był sceptyczny — obaj wiedzieliśmy, gdzie powinien być hotel i szpital i jak wyglądał lekarz?

— To najłatwiejsze do wytłumaczenia. Wzmacniamy się wzajemnie. Co jeden powie, drugi natychmiast przyjmuje, aby przedłużyć ułudę i ulżyć swemu poczuciu winy.

— Nie — powiedział Dzikus. Weinberg wzruszył ramionami.

— Powiedziałem wam już, że to tylko hipoteza.

— Dlaczego — spytał Akira — byliśmy w gipsie, jeżeli nie mieliśmy połamanych rąk i nóg? Dlaczego przez tyle miesięcy cierpieliśmy męki, żeby odzyskać sprawność mięśni?

— Gips? — odpowiedział pytaniem Weinberg. — A może były to tylko opatrunki unieruchamiające kończyny? Może opatrunek na klatce piersiowej tworzyła w rzeczywistości gruba, ciasno owinięta taśma, chroniąca poobijane, ale nie połamane żebra? Może naprawdę mieliście pęknięcia czaszki, ale cieniutkie jak włos, tak że zrosły się idealnie i nie można ich wykryć rentgenem. Sami przyznaliście, że podawano wam demerol, a ten lek zakłóca poczucie rzeczywistości.

— Chwileczkę — odezwała się Rachel. — Oczywiście mnie tam nie było. Nie doświadczyłam ich bólu. Przyznaję, że szczerze polubiłam tych dwóch mężczyzn. Przeżyliśmy razem wiele, ale z całej naszej trójki to ja mam największe prawo uważać się za obiektywną. I twierdę, że moi przyjaciele nie wzmacniali wzajemnie swoich złudzeń.

— Cóż, na pewno słyszała pani o „zasadzie sztokholmskiej” — powiedział Weinberg. —

Ludzie w stresie z reguły identyfikują się z tymi, od których zależy ich bezpieczeństwo.

— A pan oczywiście słyszał o zasadzie strusia — odpaliła Rachel. — Każdy psychiatra chowa głowę w piasek, kiedy nie może dać sobie rady z problemem, o którym nigdy przedtem nie słyszał.

Weinberg spochmurniał, ale po chwili się roześmiał.

— Miałeś rację — powiedział do Santizo. — To mi się zaczyna podobać.

— Przyznaj, że ona cię rozzłościła, Max.

— Tylko hipotetycznie.

Teraz z kolei Santizo wybuchnął śmiechem.

— No tak, oczywiście. Napiszmy więc razem hipotetyczny artykuł o zjawisku hipotetycznej złości.

— O co chodzi? — odezwał się Dzikus. Santizo przestał się śmiać.

— To był test. Chodziło o sprawdzenie, czy nie macie poprze-stawianych klepek. Nie miałem innego wyboru, a Max jest doskonały. Niezwykle zdolny człowiek, ze wspaniałym umysłem i talentem aktorskim.

— Ja nie grałem — powiedział Weinberg. — To, co usłyszałem, było tak oszałamiające, że chciałbym poznać dalszy ciąg.

Ktoś zapukał do drzwi. Santizo obrócił się na pięcie.

— Proszę.

Ta sama sekretarka, która wcześniej przyniosła herbatę, trzymała teraz w ręku dużą brązową kopertę.

— Wyniki.

Santizo wstał i wziął je od niej. Po dwóch minutach podniósł głowę znad zdjęć i powiedział:

— Dziękuję, Max. Przejmuję od ciebie prowadzenie.

— Na pewno?

— Tak. Winien ci jestem kolację. — Santizo znów wpatrzył się w zdjęcia. — To jest znowu mój problem, bo psychiatria tego nie potrafi wytłumaczyć.

Dzikus, Akira i Rachel próbowali coś dojrzeć na ciemnych zdjęciach. Na każdym z nich znajdowało się dwanaście obrazów, uszeregowanych w trzy kolumny. Dzikusowi niewiele one mówiły. Wydawały się trudniejsze do odczytania nawet od rentgenogramów.

— Piękne — zachwycił się Santizo. — O lepszych nie mógłbym nawet marzyć.

— To wygląda jak jakieś kleksy — powiedział Akira. Santizo odchrząknął.

— Domyślam się, co mogło panu nasunąć takie porównanie. — Znowu przyjrzał się zdjęciom. — Właśnie dlatego będę musiał rozpocząć od podania paru podstawowych informacji, abyście państwo mogli mnie łatwiej zrozumieć, chociaż obawiam się, że nawet one będą brzmiały cokolwiek specjalistycznie... Otóż fotografowanie za pomocą rezonansu magnetycznego jest techniką bardzo nowoczesną, dzięki której można przeniknąć przez czaszkę i zajrzeć w głąb ludzkiego mózgu. Dotychczas obraz mózgu można było otrzymać jedynie dzięki tomografii komputerowej, ale nie jest to metoda specjalnie dokładna, natomiast od tych zdjęć lepsze może być tylko otwarcie czaszki i zajrzenie do wnętrza. Robimy tyle ujęć pod różnymi kątami, aby po ich złożeniu otrzymać analog obrazu trójwymiarowego.

— Ale czego pan się z nich dowiedział? — spytał Akira.

— Jeszcze trochę cierpliwości — odrzekł Santizo. — Mózg składa się z wielu części. To prawa półkula, a to lewa. — Wskazał odpowiednie miejsca na zdjęciach. — Prawa półkula kontroluje lewą stronę naszego ciała, lewa zaś — prawą. Zdolność do orientacji przestrzennej zawdzięczamy prawej półkuli, lewa natomiast rządzi między innymi naszym ośrodkiem mowy. Półkule dzielą się na tak zwane płaty. To płat czołowy, dalej ciemieniowy, potyliczny i skroniowy. W płatach z kolei wyróżniamy szereg bardziej wyspecjalizowanych ośrodków, jak na przykład ośrodek wzroku, węchu, ośrodek wrażeń dotykowych, przysadka

mózgowa i tak dalej. Sprawne działanie tego nieprawdopodobnie skomplikowanego organu zawdzięczamy milionom połączeń nerwowych, które przekazują energię i informację. Można je porównać do drutów elektrycznych czy kabli telefonicznych, ale jest to duże uproszczenie. Naprawdę nie da się ich opisać przez żadną analogię... A propos, czy cierpiał pan kiedyś na epilepsję? Pytanie było tak nieoczekiwane, że Dzikus zamrugał.

— Epilepsję? Nie, ale o co chodzi? Dlaczego pan pyta?

— Chcę coś wyjaśnić. — Santizo wskazał ciemną plamkę na jednym ze zdjęć. Plamka znajdowała się nieco na lewo od środka obrazu. — To jest zdjęcie pańskiego mózgu od tyłu. Plamka leży w środkowej części płata skroniowego, w okolicy ciała migdałowatego, dokładnie na linii tego „korka”, który wyjęto, a potem wstawiono panu w czaszkę.

Dzikus poczuł lodowaty chłód w żołądku.

— Plamka? Jezu, co...

— Dlatego właśnie pytałem o epilepsję. Anomalie w tym miejscu wywołują czasem podobne objawy.

— Chce pan powiedzieć, że coś mi rośnie w mózgu?

— Nie. — Santizo zwrócił się do Akiry i wskazał na inne zdjęcie.

— Identyczna plamka znajduje się w tej samej okolicy w pańskim mózgu. Ta zbieżność każe mi przypuszczać, że cokolwiek to jest, nie utworzyło się samo.

— Więc co to jest? — zapytał Akira.

— Uszkodzenie tkanki na skutek czegoś, co zrobiono z pańskim mózgiem.

Kiedy Santizo powrócił do swego biurka, Dzikus wciąż jeszcze trwał w szoku.

— Powróćmy jeszcze do podstaw — powiedział. — Pierwszą zasadą jest eliminacja rzeczy oczywistych. Celem operacji, której dokonano na was obu, nie było usunięcie guza. Operacja tego rodzaju wymaga poważnej ingerencji we wnętrze mózgu, w tym "celu należy więc usunąć duży fragment czaszki.

— A nie krążek o średnicy pół centymetra — odezwała się Rachel.

— Oczywiście. Tak mały dostęp do mózgu — Santizo zastanawiał się przez chwilę — mógł wystarczyć na przykład do implantacji elektrody.

— Po co? — Dzikus oddychał z trudnością.

— Wspomniałem o epilepsji. Elektroda wszczepiona do mózgu może mierzyć impulsy elektryczne, generowane przez różne skupiska neuronów. Przy epilepsji w poszczególnych warstwach mózgu mogą pojawiać się patologiczne prądy i jeżeli można zlokalizować ich źródło, usuwa się je operacyjnie.

— Ale my nie jesteśmy epileptykami — powiedział Dzikus.

— To był tylko przykład — odpowiedział Santizo. — Dam państwu inny. Pacjenci, którzy mają kłopoty ze wzrokiem, słuchem lub węchem w wyniku zakłóceń pracy odpowiednich ośrodków mózgowych, mogą niekiedy być wyleczeni przez stymulowanie owych ośrodków elektrodami.

— Ale my widzimy i słyszymy... węch też mamy w porządku — powiedział Akira.

— A jednak obaj myślicie, że każdy widział śmierć drugiego. Nie potraficie odnaleźć hotelu, gdzie zostaliście pobici, szpitala, w którym was leczono, ani lekarza, który się wami opiekował. Ktoś zakłócił wasze funkcje mózgowie, szczególnie zaś zdolność...

— Zapamiętywania — dokończył Dzikus.

— A może ktoś sprawił, że pamiętacie to, co się nigdy nie zdarzyło? Jamais vu. To pańskie określenie jest fascynujące.

— Pamiętać to, czego nie było? Nie brałem tego tak dosłownie. Nigdy bym nie przypuszczał...

— Mógłbym was zaprowadzić na dół, na oddział patologii — powiedział Santizo — i wypreparować z ciała nieboszczyka mózg, by pokazać wam każdą jego część składową. Mógłbym wytłumaczyć, w jaki sposób powstają wrażenia wzrokowe i słuchowe, dlaczego możemy odczuwać smak, zapach i dotyk, dlaczego odczuwamy ból, chociaż sam mózg jest



na ból niewrażliwy. Ale jednej rzeczy nie byłbym w stanie pokazać — myśli. Tym bardziej nie jestem w stanie wskazać w mózgu żadnego określonego miejsca, które byłoby odpowiedzialne za naszą umiejętność zapamiętywania. Od dziesięciu lat prowadzę badania nad pamięcią i im więcej się dowiaduję, tym mniej wiem... Spróbujcie opisać, co się dzieje, kiedy przypominacie sobie jakieś minione zdarzenie.

Dzikus i Akira zawahali się, ale Rachel odpowiedziała natychmiast:

— To jest chyba tak, jakbym oglądała film w myślach.

— Tak to opisuje większość ludzi. Doświadczamy czegoś i wydaje nam się, że mózg pracuje jak kamera filmowa, która dokonuje serii zdjęć tego zdarzenia. W miarę przybywania doświadczeń, w mózgu gromadzi się coraz więcej filmów, kiedy zaś musimy sięgnąć do

przeszłości, aby zrozumieć terażniejszość, wtedy wybieramy odpowiednią taśmę i wyświetlamy ją sobie. Zakładamy przy tym, że te filmy są trwałym środkiem zapisu, niezmiennym jak rzeczywista taśma filmowa. Rachel przytaknęła.

— Ale prawdziwy film nie jest trwały. Taśma pęka, traci kolor, mogą z niej wypaść całe sceny. W naszym mózgu tak naprawdę nie ma oczywiście filmów ani ekranu, my je tylko sobie wyobrażamy. Fenomen pamięci staje się jeszcze trudniejszy do wytłumaczenia, kiedy przechodzimy od konkretnych zdarzeń do pojęć abstrakcyjnych. Kiedy na przykład myślę o matematycznym sensie liczby „pi”, nie widzę żadnego filmu w głowie, a jednak w jakiś sposób rozumiem, co oznacza ta liczba. Nie widzę też filmu, kiedy myślę o pojęciach takich jak na przykład honor — po prostu wiem, co znaczy to słowo. Dlaczego jestem w stanie przypomnieć sobie i zrozumieć te pojęcia?

— Zna pan odpowiedź? — Dzikus odczuwał ból w piersiach.

— Najbardziej rozpowszechniona teoria utrzymuje, że wspomnienia są zakodowane w neuronach w całym mózgu. Te miliardy neuronów nie tylko przewodzą prądy, ale i w jakiś sposób gromadzą zawarte w nich informacje. Często używa się tu analogii z komputerem, ale to nie tłumaczy wszystkiego. Nasz system pamięciowy jest nieskończenie bardziej złożony niż jakikolwiek komputer. Po pierwsze, neurony prawdopodobnie są zdolne do przenoszenia informacji z jednej sieci neuronów do drugiej, dzięki czemu wspomnienia zachowują się pomimo zniszczenia części mózgu. Po drugie, istnieją dwa rodzaje pamięci, bezpośrednia i trwała, a związek między nimi wydaje się paradoksalny. Pamięć chwilowa gromadzi bieżące, także niezbyt istotne informacje. Kiedy na przykład chcę zamówić wizytę u mojego dentysty, sprawdzam numer w książce i zapamiętuję go na chwilę, dzwonię, po czym natychmiast zapominam, aż do momentu, gdy zechcę umówić się na następną wizytę — wtedy jednak znów muszę zajrzeć do książki. Pamięć trwała przechowuje natomiast informacje o istotnym znaczeniu. Na przykład numer mojego telefonu domowego. Jaki mechanizm sprawia, że łatwo zapominam numer dentysty, ale pamiętam swój własny? Czemu pacjenci cierpiący na pewien rodzaj amnezji nie mogą zapamiętać żadnych bieżących wydarzeń, ani błahych, ani istotnych, ale jednocześnie są w stanie przypomnieć sobie ze wszystkimi szczegółami sceny sprzed czterdziestu lat? Nikt nie potrafi wytłumaczyć tych zjawisk.

— A co pan przypuszcza? — zapytał Akira.

— Musical Lerner i Loewego.

— Nie rozumiem...

— Chodzi o „Gigi”. Maurice Chevalier i Hermione Gingold śpiewają tam uroczą piosenkę pod tytułem „Pamiętam doskonale”. Grają dawnych kochanków, którzy wspominają czasy swojej młodości. „Byliśmy tu — nie, byliśmy tam — miałaś taką sukienkę — nie, miałam inną sukienkę — a tak, pamiętam doskonale.” Oczywiście oboje niczego nie pamiętają. W piosence to starość jest przyczyną kłopotów z pamięcią, ale wcale nie jestem pewien, czy my wszyscy również nie zapominamy mnóstwa rzeczy szybciej, niż nam się zdaje. My obaj z doktorem Weinbergiem mamy taki zwyczaj, do którego jesteśmy bardzo przywiązani... Otóż każdego sobotniego wieczoru, jeśli nie jesteśmy na dyżurach, wybieramy się razem z naszymi żonami do miasta na film, a potem idziemy na kolację.

Kiedy wczoraj Max zaczął wspominać ostatni film, powiedziałem mu: „Słuchaj, Max, ale ja ten film widziałem w telewizji kablowej, a nie w kinie”. „Nie — upierał się Max — oglądaliśmy go razem w ubiegłym tygodniu w kinie.” „Niemożliwe — powiedziałem mu — ostatniej soboty byłem na konferencji, a wy poszliście do kina z moją żoną, ale beze mnie.” Przepytaliśmy nasze żony, ale one też nie pamiętały dokładnie, i wciąż nie wiemy, jak było naprawdę.

— Oczywiście — powiedział Dzikus. — Sam pan przecież tłumaczył, co to jest pamięć bezpośrednia.

— Ale nie wiemy, gdzie ona się kończy i kiedy zaczyna się pamięć długotrwała. I w jakim stopniu ta druga pamięć jest trwała. Podstawowym problemem jest ograniczenie świadomością. Jesteśmy w stanie stwierdzić, że pamiętamy coś tylko wtedy, kiedy pamiętamy. Nie można być świadomym czegoś, o czym się zapomniało... Spróbujcie opisać przyszłość...

— Ja nie potrafię. Przyszłość nie istnieje — powiedział Dzikus.

— Podobnie jak przeszłość, chociaż pamięć stwarza iluzję, że istnieje naprawdę — ale tylko w naszych myślach. Moim zdaniem zapisy pamięciowe nie pozostają niezmiennie. Jestem głęboko przekonany, że wciąż się zmieniają — coś ubywa, czegoś przybywa — tak że w rezultacie każdy z nas tworzy własną wersję przeszłości. Rozbieżności między nimi są zazwyczaj niezbyt istotne, bo i jakie znaczenie ma na przykład to, czy Max i ja oglądaliśmy ten film razem, czy też oddzielnie — czasami jednak nabierają wielkiej wagi. Max miał kiedyś pacjentkę neurotyczkę, która w dzieciństwie była stale żoną przez swojego ojca. Wymyśliła sobie więc idylliczne dzieciństwo u boku dobrego, kochającego ojca. Aby wyleczyć tę kobietę, Max musiał ją nauczyć, jak odrzucić fałszywe wspomnienia i dotrzeć do prawdziwych doświadczeń przeszłości.

— Fałszywe wspomnienia — powtórzył Dzikus. — Jamais vu. Ale nasze fałszywe wspomnienia nie mają psychologicznej przyczyny. Prześwietlenie mózgu wykazało, że najprawdopodobniej ktoś zmienił nasze możliwości zapamiętywania. Czy to jest możliwe?

— Jeżeli chodzi panu o to, czy byłbym w stanie tego dokonać, odpowiadam, że nie. I nie znam żadnego neurochirurga, który potrafiłby to zrobić. Ale czy możliwe...? Tak, teoretycznie tak. Chociaż ja, nawet gdybym umiał przeprowadzać podobne operacje, nie podjąłbym się takiego zadania. To już jest psychochirurgia i prowadzi do zmiany osobowości pacjenta. Poza nielicznymi wyjątkami, takimi jak konieczność usunięcia fragmentu tkanki mózgowej epileptykowi, aby powstrzymać ataki choroby, albo lobotomia w celu zlikwidowania impulsów autodestrukcyjnych, nie jest etycznym działaniem.

— Ale tak teoretycznie... jak by się pan do tego zabrał? — spytała Rachel.

Santizo zawahał się wyraźnie.

— Bardzo pana proszę...

— Z racji swojej profesji jestem ciekawy, ale niekiedy, wbrew własnej naturze, powstrzymywałem się przed badaniem jakiegoś niezwykle ciekawego zjawiska. Chociaż czasami, kiedy zaszła taka potrzeba, umieszczałem elektrody w mózгах moich pacjentów, po czym wypytywałem ich, co odczuwają.

— Chwileczkę — wtrącił Akira. — Jak oni mogli cokolwiek opowiadać, kiedy mieli otwarte czaszki? Powinni być przecież uśpieni.

— Przepraszam — odrzekł Santizo — ciągle zapominam, że nie rozmawiam z kolegami po fachu. Otwarty mózg to nie to samo co odsłonięte serce. Mózg nie odczuwa bólu. Pod znieczuleniem miejscowym mogę spokojnie wyciąć część puszki mózgowej i odsłonić jej wnętrze. Jeżeli wszczępię w odpowiednie miejsce mózgu elektrodę, mogę sprawić, że pacjent będzie czuł zapach nie istniejących pomarańczy, że usłyszy melodię znaną z dzieciństwa, że poczuje smak jabłka, że dozna orgazmu. Manipulując odpowiednio jego receptorami zmysłowymi mogę doprowadzić do tego, że będzie przekonany, iż żegluje w pełnym słońcu wzdłuż Wielkiej Rafy Koralowej w Australii.

— Ale będzie pamiętał wywołane przez pana iluzje? — spytała Rachel.

— Oczywiście. Tak, jak zapamięta zdarzenie rzeczywiste, czyli operację.

— To by wyjaśniało wszystko, co nam się przydarzyło — powiedział Dzikus.

— Panu i pańskiemu koledze? W żadnym wypadku — odrzekł Santizo. — Mówiłem o pobudzaniu pamięci pacjenta za pomocą stymulacji prądem różnych neuronów, ale wy pamiętacie zdarzenia, które najwyraźniej...

— ...nigdy nie miały miejsca — dokończył Akira. — Dlaczego więc je pamiętamy?

— Powtarzam, że to tylko teoria — powiedział Santizo — ale gdybym odsłonił wam lewe płyty czołowe... i stymulował neurony elektrodami... gdybym opisał szczegółowo to, co powinniście zapamiętać, gdybym puszczał wam filmy albo zaaranżował fikcyjne zdarzenia z udziałem aktorów... gdybym zaaplikował wam amfetaminy, aby przyspieszyć proces zapamiętywania... i gdybym użył elektrody do uszkodzenia wybranych neuronów, aby usunąć wspomnienie samej operacji... Pamiętalibyście wtedy tylko to, co nie zdarzyło się nigdy, i zapomnielibyście o tym, co zdarzyło się naprawdę.

— Przeszliśmy więc pranie mózgow?

— Nie — odpowiedział Santizo. — „Pranie mózgu” to bardzo nieprecyzyjne określenie, które powstało w czasie wojny koreańskiej. Oznaczało to procedurę, dzięki której można było zmusić jeńca do odstąpienia od głęboko wpojonych przekonań politycznych. Metoda ta powstała w Związku Radzieckim i opierała się na stworzonej przez Pawłowa teorii bodźca i reakcji. Jeńcowi ustawicznie zadawano ból i tłamszono go psychicznie, a potem obiecywano nagrodę w zamian za zdradę ojczyzny. No cóż, jak wiemy, wielu żołnierzy rzeczywiście się załamało. Ale — co najbardziej zaskakujące — większość z nich pozostała jednak nieugięta, chociaż zastosowano także środki psychotropowe. Chyba przypominacie sobie kroniki z lat pięćdziesiątych i wiecie, że tak potraktowanych jeńców zdradzał sam wygląd: wynędzniałe twarze, drżące ręce i szkliste oczy. Wy obaj nie wykazujecie takich symptomów. Jesteście wprawdzie przerażeni, ale całkowicie sprawni umysłowo. Co więcej, wygląda na to, że nie zaszły żadne zmiany w waszym zachowaniu czy osobowości. Nie, nie byliście poddani „praniu mózgu”. Wasz problem nie jest związany z przyszłością, nie zostaliście zaprogramowani. Chodzi o to, co wam się przydarzyło w przeszłości, a raczej nie przydarzyło, i o to, co zdarzyło się naprawdę, a czego nie pamiętacie.

— A więc dlaczego nam to zrobiono? — spytał Dzikus.

— Dlaczego? Jedyna odpowiedź, jaką ewentualnie... Zadzwoił telefon i Santizo podniósł słuchawkę.

— Halo? — Naraz zaczął słuchać uważniej i twarz mu spoważniała. — Zaraz tam będę. — Odłożył słuchawkę. — Mam pilne wezwanie. Muszę natychmiast iść na oddział operacyjny. — Wstał i wskazał na półki z książkami. — Macie tutaj państwo trochę podstawowych dzieł: „Programy mózgu” Younga, „Psychologia pamięci” Baddeleya oraz „Pamięć, imprinting i mózg” Horna. Poczytajcie sobie, a jutro zadzwońcie do mojej sekretarki i umówcie z nią termin następnego spotkania. Naprawdę muszę już iść.

Kiedy Santizo pospiesznie ruszył w stronę drzwi, Akira zerwał się z krzesła.

— Ale zaczął pan mówić, dlaczego przypuszczalnie...

— Dano wam fałszywe wspomnienia? — Santizo obrócił się na pięcie. — Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego. Chciałem tylko powiedzieć, że jedyną osobą, która mogłaby to wiedzieć, jest ten, kto wykonał operację.

Udało im się dostać pokój w hotelu w pobliżu szpitala. Właśnie zachodziło słońce, przyćmione welonem smogu. Po zamówieniu do pokoju kolacji, na którą składała się ryba z ryżem dla Akiry i steki z frytkami dla Rachel i Dzikusa, każde z nich wzięło książkę i pograżyło się w lekturze.

Kiedy przyniesiono posiłek, skorzystali z przerwy, aby porozmawiać.

— Mam trudności ze zrozumieniem terminów medycznych — powiedział Akira. — Wstyd mi przyznać, ale moja znajomość angielskiego okazuje się ograniczona.

— Nie — zaprzeczyła Rachel — twój angielski jest doskonały. Ja też, choć bardzo się staram, nie potrafię sobie z nimi poradzić. Dla mnie równie dobrze mogłyby być pisane po

japońsku.

- Doceniam ten komplement. Jesteś bardzo uprzejma. Arigato — odpowiedział Akira.
- A co na to powinnam odpowiedzieć?
- Domo arigato, co oznacza: dziękuję ci bardzo.
- O to mi chodziło — odrzekła Rachel. — Domo arigato.
- No dobrze — odezwał się Dzikus — podczas gdy wy bawicie się w wymianę

kulturalną...

- Nie zrzedź — odparowała Rachel.

Dzikus popatrzył na nią i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Może to tak zabrzmiało, ale chciałem powiedzieć, że chyba rozumiem częściowo tę książkę, i to, co pojąłem, przeraziło mnie.

Rachel i Akira słuchali go z uwagą.

— Pamięć jest czymś o wiele bardziej skomplikowanym, niż mogłem przypuszczać. Nie chodzi tylko o to, że tak naprawdę nikt nie wie, w jaki sposób neurony gromadzą informacje. Problem w tym, co to właściwie znaczy, że jesteśmy w stanie pamiętać? To właśnie mnie przeraża. — Dzikus czuł pulsowanie w skroniach. — Myślimy

o pamięci jako o mentalnym zapisie przeszłości, kłopot jednak polega na tym, że przeszłość tak naprawdę wcale nie istnieje. Jest to tylko cień tego, co było teraźniejszością. To nie tylko to, co stało się rok temu, w zeszłym miesiącu czy wczoraj, ale dwadzieścia minut, a nawet chwilę temu. To, co mówię, jest już przeszłością, już przeszło do naszej pamięci.

Słuchacze czekali na ciąg dalszy.

— Ta książka prezentuje teorię, zgodnie z którą, jeśli widzimy jabłko spadające z drzewa, słyszymy jego upadek, podnosimy je, wąchamy, próbujemy smaku, to nie doświadczamy wszystkich tych odczuć jednocześnie ze zdarzeniami. Zanim impulsy z receptorów zmysłowych dotrą do mózgu, zawsze musi upłynąć pewien czas, choćby nawet rzędu jednej milionowej sekundy. W momencie, kiedy stwierdzamy smak jabłka, to, co uważaliśmy za teraźniejszość, jest już przeszłością. Tym opóźnieniem można tłumaczyć zjawisko deja vu. Wchodzimy na przykład do jakiegoś pokoju i odnosimy wrażenie, że już tu kiedyś byliśmy, chociaż to nieprawda. Dlaczego tak się dzieje? Wszystko z powodu tej milionowej części sekundy, która upływa, zanim mózg odbierze sygnały wzrokowe i powie nam, co one oznaczają. Jeżeli półkule mózgowe są akurat w tym czasie chwilowo nie zsynchronizowane, wówczas jedna z nich odbierze sygnał nieco wcześniej od drugiej i w ten sposób będziemy widzieli pokój dwukrotnie. Sądzimy, że odbieraliśmy to wrażenie wcześniej, i tak w rzeczywistości jest, tyle że nie działo się to w odległej przeszłości, ale zaledwie ułamek sekundy temu.

— Nasz problem nie polega jednak na deja vu, lecz na jamais vu — powiedział Akira. — Co cię tak zdenerwowało w tym, co przeczytałeś?

— To, że nie mogę być pewny teraźniejszości, a co dopiero przeszłości. Teraźniejszość w ogóle nie istnieje, w każdym razie nie dla mojego mózgu. Wszystko, co mi on przekazuje, jest tylko spóźnioną reakcją.

— Może to nawet prawda — powiedziała Rachel. — Jednak w praktyce wszystko, co postrzegamy, nawet uwzględniając tamto opóźnienie, możemy spokojnie traktować jako teraźniejszość. Masz wystarczająco poważne kłopoty, więc nie przesadzaj.

— Czy ja przesadzam? Jestem przerażony, ponieważ myślałem, że walczę z fałszywymi wspomnieniami, które ktoś zaszczepił mi w mózgu przed sześcioma miesiącami, ale czy to naprawdę było aż tyle czasu temu? Skąd mam wiedzieć, czy ta operacja nie została przeprowadzona całkiem niedawno? Skąd mam mieć pewność, co się zdarzyło wczoraj czy nawet dzisiaj rano? — Dzikus zwrócił się ku Rachel. — Kiedy dowiedziałaś się, że nosimy pseudonimy i mamy zmyślane życiorysy, powiedziałaś, że wszystko, co nas dotyczy, wydaje się kłamstwem. Nigdy tak o tym nie myślałem, ale w pewnym sensie być może masz rację. Skąd mam wiedzieć, kim jestem? Jak mogę być pewny, że ty i Akira jesteście osobami, za które się podajecie? A może jesteście aktorami, wynajętymi po to, by mnie oszukać i

ugruntować moje złudzenia?

— Ale nie jesteśmy — powiedział Akira. — Zbyt wiele przeżyliśmy razem — uwolnienie Rachel, ucieczka helikopterem, prom z Grecji, pościg we Francji...

— Ja jednak twierdzę, że wszystko to być może w ogóle się nie zdarzyło. Moje fałszywe wspomnienia mogły powstać dopiero dzisiaj. Cała moja historia, wszystko, czym jestem, może być kłamstwem, z którego nie zdaję sobie sprawy! Czy w ogóle spotkałem twoją siostrę, Rachel? Czy Graham naprawdę nie żyje?

— Myśl tak dalej — odezwał się Akira — a zawędrujesz do domu wariatów.

— Rzeczywiście — odrzekł Dzikus. — Właśnie dlatego jestem tak przerażony. Czuję się, jakbym nie miał pewnego oparcia dla stóp, jakbym znajdował się w spadającej windzie. Jestem kompletnie zdezorientowany. Treścią mojej osobowości była dotychczas obrona innych, ale jak obronię się sam przed swoimi myślami?

Rachel objęła go ramieniem.

— Musisz uwierzyć, że nie jesteśmy aktorami. Jesteśmy wszystkim, co masz. Zaufaj nam.

— Ufać wam? Nie ufam nawet samemu sobie.

Tej nocy Dzikus przebudził się nagle z niespokojnego, pełnego koszmarów snu, gdy jakaś ręka pogładziła jego policzek. Nie wiedząc co się dzieje, chwycił ją i usiadł wyprostowany, gotów do obrony. W łagodnym świetle stojącej w kącie lampy ujrzał zatroskaną twarz Rachel. Klęczała przy nim na podłodze.

— Co się stało? — Dzikus rozejrzył się po pokoju. — Gdzie Akira?

— W hallu. Poprosiłam go, żeby zostawił nas samych.

— Dlaczego...?

— Bo go o to poprosiłam — powtórzyła z naciskiem. Przez jej blond włosy przesączało się słabe światło lampy.

— Ale dlaczego?

— Bo chcę być z tobą sama.

— To nie jest odpowiedź na moje...

— Cśśś. — Rachel dotknęła jego warg. — Za dużo myślisz.

Zadajesz za dużo pytań.

Dzikus poczuł zapach jej perfum.

— Nie mogę sobie wyobrazić...

— Tak — powiedziała. — Wiem, że nie możesz. Byłeś obrońcą tak długo, że już z przyzwyczajenia jesteś podejrzliwy. Pytania to środki ostrożności. Odpowiedzi dają poczucie bezpieczeństwa, a bezpieczeństwo jest dla ciebie wszystkim. — Dotknęła jego policzka. — Zbyt wiele lat już nie mówiłam tego nikomu...

— Czego nie mówiłaś?

— Kocham cię.

Dzikus drgnął i odepchnął jej rękę.

— To absurdalne.

— Właśnie tak mówi Kierkegaard w „Lęku i drzeniu”: „Abraham wierzył w Boga prawem absurdu. Wiara jest absurdalna i miłość też, ponieważ ani wiara, ani miłość nie mają sensu. Bóg może nie istnieć, a osoba, którą kochasz, może cię zdradzić.”

— Co przez to rozumiesz?

— Od kiedy wszedłeś do mojej sypialni na Mykonos, traktowałeś mnie zawsze, jakbym była dla ciebie wszystkim. To niezwykle doświadczenie. Nie mogę cię nie kochać, choć zdaję sobie sprawę, że jesteśmy razem tylko dlatego, bo zostałeś wynajęty do mojej ochrony. Powinnam być mądrzejsza, ale kocham cię... prawem absurdu.

— Zwróć uwagę na to, co powiedział Weinberg. Ludzie w stresie mają skłonność do identyfikowania się z tymi, od których zależy ich bezpieczeństwo.

— Tak, jestem od ciebie zależna — powiedziała Rachel — i identyfikuję się z tobą, ale ponad wszystko chcę cię kochać.

— Nie, ja...

— Tak.

— Ale...

— Do diabła, leż spokojnie.

Całując go, zaczęła mu odpinać pasek, a Dzikus, ku swojemu zdumieniu, pozwolił jej na to.

We śnie kochał się z siostrą Rachel. Sen był dokładnie taki sam, jak najsłynniejsza scena w filmie Joyce Stone zatytułowanym „Koci pazur”. Aktorka grała w nim przebywającą na Riwierze Francuskiej bogatą Amerykankę, którą uporczywie starał się uwieść pewien czarujący złodziej klejnotów. Skończyło się na tym, że to ona go uwiodła, aby zdobyć jego zaufanie i wydostać pewną informację. Złodziej był przekonany, że panuje nad sobą na tyle, aby się w niej nie zakochać, mylił się jednak.

Joyce Stone i Rachel Stone. We śnie Dzikusa obie siostry stały się jedną osobą. Kochał się nie tylko z legendarną gwiazdą filmową, ale i z klientką, której sam poprzysiągł obronę. Pieszcząc piersi kobiety ze swojego snu, jej gładkie, smukłe ramiona i sprężysty brzuch, muskając jedwabiste włosy łonowe, wciąż powtarzał sobie, że postępuje nie jak zawodowiec, źle, podle, niemal kazirodczo. Przez tyle lat pracy w zawodzie obrońcy nigdy nie uległ pokusom, na jakie od czasu do czasu był wystawiany. Graham zawsze powtarzał: „Nigdy nie wplątuj się w aferę miłosną z klientką, bo to nie pozwala na obiektywność, rozprasza uwagę, i w rezultacie może prowadzić do jej śmierci.”

Dzikus śnił dalej, a poczucie winy walczyło w nim z pożądaniem. Kiedy Rachel zajęczała, wyprężając się pod nim i wpijając palce w jego włosy, czuł pustkę. Zdradził samego siebie i ogarnęła go płynąca z głębi duszy melancholia. Miał ochotę krzyknąć: nie, nie powinienem! Dlaczego zabrakło mi sił?

Nagle jego sen się odmienił. Orgazmowi towarzyszył niespodziewany huk wystrzału z colta 45. Dzikus był znowu małym chłopcem, który od dawna już przeczuwał, że w domu dzieje się coś niedobrego, i sypiał nerwowo. Teraz właśnie — ciągle we śnie — obudził się i pobiegł w dół po schodach wprost do gabinetu ojca. Matka usiłowała go zatrzymać, ale nie zdążyła zasłonić sobą widoku zza uchylonych drzwi. Krew, było tam tyle krwi — ręcznik owinięty po lewej stronie głowy, od strony rany wlotowej, miał zmniejszyć wpływ krwi, lecz nadal wyglądało to okropnie. Ciało ojca na podłodze gabinetu sprawiało wrażenie kupy lachmanów.

Łzy ciekły strumieniami po jego policzkach. Łkając, wykrzykiwał słowa szokujące u tak małego dziecka: „Ty skurwysynu, obiecałeś, że już nigdy nie odejdziesz! Niech cię wszyscy diabli!”

I wtedy matka uderzyła go w twarz.

Przez chwilę Dzikus nie mógł pojąć, dlaczego nie stoi przed gabinetem ojca, patrząc na tamtą straszną scenę. Zaraz potem spodziewał się, że ujrzy elegancki apartament w hotelu na Riwierze Francuskiej, gdzie rozgrywały się sceny z filmu Joyce Stone, zamiast tego jednak zobaczył pokój w hotelu w Filadelfii. Akira, który siedział w rogu na krześle, odłożył czytany magazyn, zmarszczył brwi i podszedł do niego.

— Przykro mi, ale nie spałeś zbyt dobrze. Dzikus przetarł oczy.

— A myślisz, że mogłem dobrze spać po wizycie Rachel?

— Nic nie myślę. — Akira usiadł obok niego. — Poprosiła mnie, żebym popilnował hallu. Twierdziła, że ma do ciebie osobistą sprawę.

— O tak, nawet bardzo osobistą.

— Nie interesują mnie szczegóły.

— Rzeczywiście? Pewnie już ci wszystko opowiedziała.  
— Nic mi nie powiedziała poza tym, żebym wrócił do pokoju. Potem poszła do sypialni i, o ile wiem, śpi do tej pory.

— To lepiej niż ja.

— Nie obchodzi mnie, co między wami zaszło.

— Wspaniale.

— Jesteś najwyraźniej pociągający dla naszej pryncypalki i, jeśli wolno zauważyć, ona również pociąga ciebie.

— A to, co stało się tej nocy, jest tego najlepszym dowodem. Ale to błąd.

— W normalnych warunkach tak — powiedział Akira. — Jednak to nie są normalne warunki. Jesteś za bardzo samokrytyczny. Czujesz się zagrożony i...

— To nie usprawiedliwia mojego zachowania. Ty też czujesz się zagrożony, ale panujesz nad sobą.

— Pozwól, że opowiem ci pewną historię... — Akira przerwał na chwilę. — Mój ojciec był lotnikiem podczas Wielkiej Wojny Wschod-nioazjatyckiej.

Dzikus nie zrozumiał tego określenia.

— To ta, którą nazywacie drugą wojną światową — wyjaśnił Akira. — Po klęsce Japonii ojciec chciał wrócić do domu, ale jego dom w Hiroszynie już nie istniał. Stracił rodziców, żonę i dwoje dzieci. Przez wiele lat nie mógł się z tym pogodzić, to była jego obsesja. Jediną pociechę czerpał z udziału w odbudowie kraju. Jako doświadczony mechanik zajmował się adaptacją samolotów wojskowych dla potrzeb cywilnych i zdołał nawet osiągnąć pewien sukces finansowy. W końcu ponownie się ożenił. Byłem jedynym owocem ich związku, albowiem jego druga żona, czyli moja matka, mieszkała w pobliżu Hiroszimy w czasie, gdy nad miastem eksplodowała bomba. Na lewym ramieniu miała blizny po oparzeniach, a długotrwały wpływ promieniowania spowodował jej śmierć w wyniku białaczki. Rozpacz ojca była ogromna. Zdołał dać sobie z nią radę tylko dlatego, że zostałem mu jeszcze ja. — Akira zamknął na chwilę oczy. — Japonię tak często pustoszyły tajfuny, fale tsunami i trzęsienia ziemi, że fatalizm stał się naszą narodową cechą, a troska o bezpieczeństwo — narodową obsesją. Ojciec mawiał, że skoro nie możemy zapanować nad klęskami żywiołowymi, jakie zsyła na nas natura, możemy przynajmniej wyrobić w sobie dyscyplinę i godność, aby w ten sposób stawić im czoło. Dlatego właśnie posyłał mnie do najbardziej wymagających sensei w dojo o najostrzejszym regulaminie, jakie mógł wyszukać. Uczyłem się dzudo, dzudzitsu, aikido, rozmaitych japońskich odmian karate i oczywiście szermierki. W odpowiednim czasie zdecydowałem się wykorzystać swe umiejętności, by przeciwstawić się wrogiemu światu, zostałem więc obrońcą, chociaż już rozumiałem, że nawet dyscyplina i godność nie ochronią przed losem, że w ostatecznym rachunku nic nas nie obroni. Mój ojciec został śmiertelnie raniony przez samochód, kiedy przechodził przez ulicę.

— Wiele wycierpiałeś — powiedział Dzikus. — Zaczynam rozumieć, dlaczego tak rzadko się uśmiechasz i dlaczego nawet wtedy twoje oczy pozostają smutne.

— Mój sensei nazywał mnie „człowiekiem pozbawionym radości” — Akira wzruszył ramionami — ale moje rodzinne kłopoty tylko częściowo przyczyniły się do tego, że się rzadko uśmiecham. Kiedyś ci to wytłumaczę. Teraz pozwoliłem ci wejrzeć na chwilę w moje prywatne sprawy po to, abyś wiedział, że ja też czuję się zagrożony. To, czego dokonano z naszą pamięcią, stawia pod znakiem zapytania wszystko, czym jestem. Może nic z tego, co ci opowiedziałem, nie jest prawdą, a taka możliwość nie tylko mnie przeraża, ale i budzi we mnie gniew. Czyżbym opłakiwał ludzi, którzy nigdy nie istnieli? Muszę to wyjaśnić.

— Tak — odrzekł Dzikus. — Ja też chciałbym wiedzieć, jak wiele z tego, co jest zapisane w mojej pamięci, nigdy się nie zdarzyło.

— Może to się nam w ogóle nie uda.

— Musi.

— Ale jak?

— Jutro pojedziemy do Baltimore. Jest tam ktoś, kogo muszę zobaczyć. Teraz nie mogę ci nic więcej na ten temat powiedzieć.

— Ale powiedziałaś: „pojedziemy do Baltimore” — niespodziewanie odezwała się Rachel. — Czy to oznacza, że zdecydowałaś się znowu nam zaufać?

Dzikus odwrócił się i spojrział na nią. Stała w otwartych drzwiach sypialni. Jego ciało zachowało pamięć ich bliskiego kontaktu. Chociaż widać było, że spała równie źle jak on, wyglądała pięknie.

— Powiedzmy, że chcę wam zaufać — odpowiedział Dzikus.

Baltimore leży na południowy zachód od Filadelfii, półtorej godziny szybkiej jazdy samochodem. Kiedy Dzikus zatrzymał taurusa przed dwupiętrowym domem w dobrze utrzymanym osiedlu na peryferiach miasta, najpierw przez pewien czas przyglądał się wiecznie zielonym wystrzyżonym krzewom, otaczającym starannie rozplanowany ogród, a dopiero potem wyłączył silnik. Pomimo październikowego chłodu jego czoło było zroszone potem.

— Kto tu mieszka? — spytała Rachel.

— Cholernie dobre pytanie — odrzekł Dzikus. Wsiadł z samochodu i zadrzał.

— Pomóc ci w czymś? — Akira sięgnęła do klamki.

— Nie. — Dzikus zrobił zdecydowany ruch ręką. — Sam muszę się o tym przekonać.

— Przekonać się...? — zapytała Rachel.

— Gdybym wam powiedział, o co chodzi, na pewno uznalibyście mnie za wariata. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, dam wam znak ręką, żebyście weszli. Tak czy inaczej, to nie będzie trwało długo.

Dzikus zebrał się w sobie i ruszył ścieżką, mijając puste o tej porze roku klomby kwiatowe. Doszedł do ganku i znalazł się przy drzwiach wejściowych.

Zastanawiał się, czy nie zapukać, ale uznał, że powinien zachowywać się tak, jak zawsze. Po prostu wejść.

Mroczny korytarz zalatywał pleśnią. Przez ten zapach przebijał się smakowity aromat duszonej pieczeni, przyprawionej czosnkiem i winem. Po prawej stronie widać było salon przepelniony meblami, przykrytymi płachtami plastiku dla ochrony przed niszczycielskimi pazurami kilku agresywnych kotów.

Z głębi korytarza, od strony kuchni, dolatywały Dzikusa melo-dramatyczne głosy aktorów jakiegoś popularnego programu telewizyjnego. Usłyszał też postukiwanie drewnianej łyżki o metalowe naczynie, co mogło oznaczać tylko jedno — ucieranie ciasta na naleśniki.

W przeciwieństwie do korytarza kuchnia była jasno oświetlona. Dzikus wszedł do środka i ujrzał siwą, pomarszczoną i przygarbioną kobietę, która mieszała ciasto, zerkając w ekran małego kolorowego telewizora, stojącego obok kuchenki mikrofalowej.

Kiedy Dzikus zbliżył się do wspartego na pieńkach blatu, przy którym pracowała kobieta, na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Niespodzianka, mamó.

Gwałtownie obróciła głowę w jego kierunku i upuściła łyżkę.

— Ty...

— Wiem, że nie odwiedzam domu tak często, jak należy, lecz jestem bardzo zajęty. Ale przynajmniej co miesiąc przysyłam pieniądze. Widzę, że dbasz o dom. Wygląda wspaniale.

— Dzikus wciąż się uśmiechał.

— Co tu robisz?

— Powiedziałem ci. Niezbyt często przychodzę w odwiedziny. Przepraszam, mamó, postaram się poprawić.

— Odpowiedz na moje pytanie. Co tu robisz?

— Nie jestem w kłopotach, jeśli o to ci chodzi. Nie musisz mnie ukrywać i wzywać lekarza, jak to było ostatnio. Po prostu zachciało mi się wpaść i pogadać o dawnych czasach, o tacie. — Dzikus podszedł bliżej, aby ją uścisnąć, ale ona cofnęła się.

— Daj spokój, mamó. Nie złość się. Przecież mówię, że przepraszam za...

— Z daleka ode mnie. Kim jesteś?



W tej chwili Dzikus pojął, że to, czego się obawiał, już się stało. Ogarnęła go mdląca słabość i nogi ugięły się pod nim, ale zdołał postąpić jeszcze krok.

— Twoim synem. Krzyknęła.

— Nie, nie, proszę...

Krzyk przybrał na sile, stał się ostry, piskliwy. Na schodach piwnicy załomotały kroki i do kuchni wtargnął krzepki starszy mężczyzna w koszuli z podwiniętymi rękawami, które odsłaniały żylaste przedramiona. Włosy miał siwe i przerzedzone, a na twarzy plamy wątrobowe, mimo wieku jednak emanowała z niego siła.

— Co się stało, Gładys?

Twarz kobiety stała się tak blada jak ciasto, które wyrabiała. Przestała krzyczeć i oparła się o szafkę przy zlewie, ale oddychała z trudem, wskazywała więc tylko Dzikusa drżącym kościstym palcem.

— A ty kto jesteś, u diabła? — warknął mężczyzna.

— Frank, on mówi... — Kobieta dyszała. — Otworzył drzwi i wszedł wprost do środka. Przestraszył mnie niemal na śmierć. Nazwał mnie... On myśli, że jest naszym synem.

Twarz mężczyzny spurpurowiała. Odwrócił się do szafki, wyszarpnął szufladę i wyjął z niej młotek.

— Po pierwsze, koleżko, nasz jedyny syn umarł dwadzieścia lat temu na włókniaka pęcherza. — Mężczyzna uniósł młotek i zaczął zbliżać się do Dzikusa. — A po drugie, daję ci siedem sekund, żebyś stąd zniknął, zanim rozwalę ci czaszkę i wezwę gliny.

Dzikus podniósł ręce na znak poddania. Czuł się, jakby w żołądku miał kłębowisko węży.

— Wysłuchajcie mnie tylko. Stało się coś strasznego. Musicie pomóc mi to wyjaśnić.

— Tak, rzeczywiście stało się coś strasznego. Władowałeś się do mojego domu i przestraszyłeś moją żonę. A coś naprawdę strasznego stanie się z tobą, jeśli nie wyniesiesz się stąd w diabły.

Kobieta rzuciła się do telefonu, który wisiał na ścianie obok lodówki.

— Chwileczkę! — zawołał Dzikus. Nacisnęła trzy klawisze.

— Błagam was, musicie mnie wysłuchać! — prosił Dzikus.

— Panie oficerze, to pilne wezwanie!

— Wynocha! — krzyknął mężczyzna i uniósł młotek.

Dzikus cofnął się i uderzył plecami o framugę drzwi. Stracił wszelką zdolność ruchu, sparaliżowany szokiem, albowiem krzepki starszy pan, który zamierzał się nań młotkiem, był jego ojcem. I to nie takim, jakim pamiętał go Dzikus z ostatniej rozmowy na parę godzin przedtem, zanim się zastrzelił, lecz takim, jakim powinien być, gdyby miał szansę się zestarzeć. Znał ten dołek na kanciastej twarzy i szparę między zębami w dolnej szczęce, rozpoznawał też szramę na grzbiecie lewej dłoni.

Roztrzęsiona kobieta podała swemu rozmówcy adres.

— Nie! — wykrzyknął Dzikus. — Jesteście moimi rodzicami. Jestem waszym synem!

— Jesteś wariat, i tyle! — wrzasnął mężczyzna. — Może tym młotkiem wybiję ci...

— Co się stało, że mnie nie pamiętacie?

Dzikus uchylił się przed ciosem młotka, który ze świstem przemknął obok i rąbnął o framugę. Huk był tak głośny, że zadzwoniło mu w uszach.

— Przestańcie!

Mężczyzna zamachnął się znowu.

Potyając się, Dzikus wycofywał się korytarzem. Kiedy po drodze mijał gabinet, w którym jego ojciec się zastrzelił, nie wiadomo skąd wyskoczył kot i wpił się pazurami w jego nogę.

Mężczyzna biegł za nim, wywijając młotkiem.

— Nie! Jesteś przecież moim ojcem! — Dzikus odwrócił się do niego i macał za sobą, usiłując w panice otworzyć drzwi wyjściowe. Kot wciąż wisiał u jego nogi, strząsnął go więc i odrzucił od siebie. — Kim ja jestem, na Boga?

W końcu udało mu się wydostać z domu. Przebiegł przez ganek i niemal przewrócił się,

skacząc po stopniach. Rachel i Akira obserwowali go ze zdumieniem ze stojącego przy krawężniku taurusa. Dzikus wgramolił się do wozu.

— Ty skurwielu! — Mężczyzna gonił go jeszcze, ale naraz przystanął i rzucił młotkiem, który grzmotnął o drzwi samochodu.

Dzikus kopnął pedał gazu. Taurus wyrwał do przodu z piskiem opon. Z oddali słychać było syrenę policyjną.

— Co się stało? — zapytał Akira.

— Zobaczyłem nieboszczyka. — Dzikus masował sobie gardło, ale mimo to jego głos był chrapliwy, jakby przed chwilą ktoś go dusił.

— Mówisz bez sensu — odezwała się Rachel.

— To wszystko jest bez sensu. Na litość boską, co oni nam zrobili?

— Wyobrażałem sobie, że tak może być, ale nie chciałem w to uwierzyć. — Dzikus prowadził jak wściekły, wyprzedzając każdy doganiany samochód. — To logiczny wniosek z jamais vu. Przeraziła mnie ta możliwość, chciałem więc przekonać sam siebie, że moje obawy są tylko obawami, a nie prawdą. Chciałem udowodnić, że moje fałszywe wspomnienia ograniczają się do „Górskiego Ustronia” w Medford Gap i do szpitala w Harrisburgu, ale co teraz? Do jasnej cholery, ci ludzie to naprawdę moi rodzice. Wychowałem się w tym domu. Widziałem matkę rok temu i wyglądała dokładnie tak samo, jak ta kobieta, a mój ojciec, gdyby żył, wyglądałby kropka w kropkę tak samo, jak ten facet. Rachel i Akira nie odzywali się.

— Nie wierzycie mi? — spytał Dzikus. — Myślicie, że wybrałem sobie dom na chybił trafił i po prostu wpakowałem się do środka?

— Nie, to nie tak — odpowiedział Akira. — Ja ci wierzę, tyle że...

— Co? Widzieliśmy nawzajem naszą śmierć, musisz więc wierzyć i w resztę.

— Sądzę, że Akira chciał powiedzieć — zaczęła Rachel — że wolałby ci nie wierzyć. To, co mówiłeś wczoraj wieczorem... Przypuszczałam, że to z przemęczenia, że byłeś zbyt długo w stresie, ale w końcu zrozumiałam. Nie, po prostu wyczułam to. Jeżeli twoja pamięć została całkowicie przebudowana, nie masz nic, na czym mógłbyś polegać. Wszystko, czego byłeś pewny, może teraz okazać się urojeniem.

— Dlatego właśnie jedziemy do Little Creek w Wirginii — powiedział Dzikus. — Żeby sprawdzić, czego jeszcze nie mogę być pewny.

Las przerzedził się, ustępując miejsca najpierw mokradłom, a potem piaszczystym plażom.

Na południowym brzegu ujścia Zatoki Chesapeake Dzikus skręcił z drogi nr 60 na zachód i po dwóch milach jazdy dotarł do bazy Marynarki Wojennej w Little Creek.

— Nie wiedziałam, że jest taka wielka — zdumiała się Rachel.

Za ogrodzeniem bazy widzieli skupiska budynków administracyjnych i osiedla mieszkaniowe, osiemnastodołkowe pole golfowe, dwadzieścia kortów tenisowych, dwa parki przeznaczone na pikniki, ośrodek rozrywkowy, przystań jachtową, otwarty basen i jezioro pełne kajaków i łodzi wiosłowych. W porcie doliczyli się trzydziestu dwu okrętów.

— Ilu marynarzy tu stacjonuje? — zapytała Rachel.

— Dziewięć tysięcy, a poza tym w bazie mieszka jeszcze trzy tysiące osób obsługi — odpowiedział Dzikus. — Ale „marynarz” to bardzo ogólne określenie. Większość z nich stanowi obsadę tradycyjnych jednostek, ale pewną ich liczbę przydzielono do zadań specjalnych. Mieści się tutaj poligon ćwiczebny oddziałów SEAL dla wschodniego wybrzeża. — Rozejrzał się wokół z dumą. — Właśnie dokładnie tak ją pamiętam. — W jego głosie brzmiała jednak nuta lęku. — Spieszyłem się, żeby tu dojechać, a teraz...

Przemógł się, aby wysiąść z samochodu i podejść do wartownika w bramie. Serce biło mu mocno.

— Słucham pana? — Wartownik stanął na baczność.

— Chciałbym się widzieć z kapitanem Jamesem MacIntoshem.

- W jakiej sprawie, proszę pana?
- Jesteśmy przyjaciółmi. Nie widziałem go już od paru lat, a ponieważ przypadkowo jestem tutaj, pomyślałem, że nieźle byłoby zamienić z nim parę słów.
- Wartownik spojrział na niego podejrzliwie.
- Nie chcę wchodzić na teren bazy — powiedział Dzikus. — Nie mam zamiaru naruszać tajemnicy wojskowej. Proszę mu tylko powiedzieć, że tu jestem.
- O jaką jednostkę chodzi? Puls Dzikusa zaczął bić szybciej.
- On wciąż jeszcze jest tutaj?
- Nie potrafię panu tego powiedzieć, dopóki nie wiem, jaki jest jego przydział.
- Oddział ćwiczebny SEAL. Wartownik spojrział na niego spode łba.
- Chwileczkę, proszę pana. — Wszedł do budynku, stojącego obok bramy. Przez otwarte drzwi Dzikus widział, jak rozmawia przez telefon. Wrócił po minucie. — Proszę pana, kapitan Macintosh wyszedł z terenu bazy. Ma dwudziestoczworgodzinną przepustkę.
- Nie powiedzieli, dokąd poszedł? Wartownik wyprężył się jeszcze bardziej.
- Nie, proszę pana.
- Oczywiście. W każdym razie dziękuję. Jutro spróbuję jeszcze raz.

Gospoda „Pod Zacumowanym Okrętem” znajdowała się o jedną przecznicę od morza. Dzikus wyczuwał sól w powietrzu i słyszał mewy unoszące się nad plażą. Kiedy wraz z Rachel i Akirą wszedł z ozłoconej zachodzącym słońcem ulicy do mrocznego wnętrza baru, uderzył go w nozdrza gryzący dym papierosowy, a w uszach rozbrzmiała preslejowska wersja piosenki „Johnny B. Goode”.

Gdy jego oczy przywykły do półmroku, ujrzał tłoczących się przy stolikach młodych, krótko przystrzyżonych mężczyzn, najwyraźniej nie nawykłych do cywilnego ubioru, którzy rozmawiali i tego popijali. Pod ścianami stały szklane gabloty z modelami lotniskowców, krążowników, niszczycieli, łodzi podwodnych, trałowców, okrętów desantowych i łodzi patrolowych. Były tam między innymi również modele „Merrimaca” i „Monitora”, pierwszych amerykańskich okrętów wojennych, które przeszły chrzest bojowy w wojnie secesyjnej.

— Właściciel tej knajpy służył dawniej w SEAL — tłumaczył Dzikus, prowadząc Rachel i Akirę w stronę wąskiego przejścia przy zatłoczonym barze. — Kiedy został zwolniony, nie mógł rozstać się z jednostką, założył więc ten interes. Bywa tu wielu marynarzy, szczególnie tych z SEAL.

Kiedy usiedli, podszedł do nich barman. Miał około pięćdziesiątki, przystrzyżone najeża włosy i budowę piłkarza. Nosił białą marynarską koszulkę. Krótkie rękawy odsłaniały wytatuowaną na prawym przedramieniu fokę, która stała się symbolem jednostki dzięki przypadkowej zbieżności znaczenia skrótu jej pełnej nazwy z nazwą gatunkową zwierzęcia w języku angielskim.

- Co sobie życycie?
- Wodę mineralną. Barman wzruszył ramionami.
- Pamiętasz mnie, Harold? — zapytał Dzikus.
- Nie mogę powiedzieć. — Barman namyślał się. — A powinienem?
- Przychodziłem tu często, kiedy byłem na przepustce.
- Przewala się tutaj masa marynarzy. Jak dawno to było?
- Październik, osiemdziesiąty trzeci.
- Bez urazy, ale po latach każdy wygląda tak samo.
- Rozumiem.

Barman łypnął na Akirę i poszedł po wodę mineralną.

— To, że mnie nie pamięta, jeszcze niczego nie dowodzi — powiedział Dzikus. — Ale musi być coś w tym, że ja pamiętam jego i że wiedziałem o tej knajpie.

Rachel nie wyglądała na przekonaną.

— Tak, jak wiedziałem, gdzie mieszka moja matka...? — spytał Dzikus. — O tym pomyślałaś?

Nim zdążyła odpowiedzieć, powrócił barman z zamówionymi napojami.

— Trzy siedemdziesiąt pięć. Dzikus dał mu pięć dolarów.

— Reszty nie trzeba.

— Dzięki, chłopie.

— Czy kapitan Macintosh wciąż tu bywa?

— Mac? Jasne, widuję go parę razy na miesiąc.

— Będzie tu dzisiaj?

— Nie. Gdyby był, obsługiwałaby go jedna z kelnerek. Barman znowu spojrzał spode łba na Akirę i odszedł w stronę kasy.

— On chyba nie lubi Japończyków — powiedział Akira.

— Albo ich tu jeszcze nigdy nie było. Nie tylko on gapi się na ciebie — odrzekła Rachel.

— Zauważyłem.

— Może to ty jesteś atrakcją — zwrócił się Dzikus do Rachel. — Gdybyś była tu sama, już setka marynarzy proponowałaby ci drinka.

— Nie wiem, czy to komplement, czy ostrzeżenie. — Rachel zmrużyła oczy.

— Opowiedz nam o tym kapitanie MacIntoshu! — poprosił Akira.

— Służyłem z nim razem w SEAL. Ja po Grenadzie zrezygnowałem, a on dostał awans i objął dowództwo oddziału ćwiczebnego. — Dzikus potrząsnął głową. — Byliśmy przyjaciółmi. Ćwiczyliśmy razem i razem walczyliśmy. Wspólnie przychodziliśmy tutaj, piliśmy i rozrabialiśmy. On nie może być jeszcze jednym fałszywym wspomnieniem... Zresztą — Dzikus poczuł, że mu kark zeszywniał — oto on we własnej osobie.

Do knajpy wszedł dobrze zbudowany jasnowłosy mężczyzna nieco po trzydziestce. Był wysoki, z opaloną, wyrazistą twarzą, miał na sobie dżinsową kurtkę i spodnie. Rozpięta u góry koszula odsłaniała jasnopłowe owłosienie na piersiach. Na ręku miał zegarek dla nurków.

Kiedy pomachał grupie ludzi przy stoliku i z uśmiechem ruszył w ich kierunku, Dzikus odepchnął się od baru i zaczął przepychać się przez tłum.

— Mac!

Mężczyzna zatrzymał się i obejrzał zaskoczony, starając się określić, skąd dochodzi głos.

— Mac — powtórzył Dzikus, podchodząc do niego. — Jak się masz? Mac patrzył na niego z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Dzikus opanował zakłopotanie i z wysiłkiem zdobył się na swój

najlepszy przyjacielski uśmiech.

— Co z tobą?. Nie pamiętasz mnie? Po tym wszystkim, cośmy razem przeszli?

— Ciebie? — Mac wciąż wpatrywał się w niego ze zmarszczonym czołem.

Nie, pomyślał Dzikus, tylko nie to. Czuł się, jakby się zapadał pod ziemię, oszołomiony, z pustką w żołądku i zdrętwiałymi rękami i nogami.

Mac zacisnął wargi i obrócił się, aby odejść.

Dzikus zastąpił mu drogę.

— Poczekaj, proszę cię. Naprawdę nie...

— Mówiłem ci, że mam pieniądze. Masz tu, do cholery, te twoje dwadzieścia dolców, i przestań mnie ścigać. Wynoś się stąd.

Dzikus zachnął się czując w dłoni banknoty. Świat zawirował wokół niego.

— Ale...

Mac znowu ruszył przed siebie.

— Nic mi nie jesteś winien... — Ogłupiały Dzikus szedł za nim. — O co tu chodzi?

Mac przystanął i przysunął się blisko do niego, mówiąc pełnym napięcia szeptem:

— Cholernie dobre pytanie. Co tu robisz? Zwariowałeś, Doyle? Wiesz przecież, że nie powinniśmy być widziani razem.

— Co?

— Wynocha.

— Ale...

Szept Maca ledwie było słychać:

— W tylnej alejce. Za piętnaście minut.

Mac podszedł do przyjaciół przy stoliku w kącie sali.

— Facet pożycz mi dwadzieścia dolców, a potem myśli, że mu nie zwróć. Tak to jest, jak się gra w karty z cywilami.

Dzikus czuł się jak w pułapce, ściśnięty i stłamszony. Zgiełk w barze wydał mu się naraz ogłuszający, a przesiąknięte dymem powietrze nie nadawało się do oddychania. Odszukał wzrokiem Rachel i Akirę i wskazał im ręką, aby spotkali się na zewnątrz.

Zmierzch przeszedł już w noc. Stojąc na hałaśliwej, pełnej ludzi ulicy Dzikus potrząsnął głową, zdumiony tak, że niemal nie mógł mówić.

— Nazwał mnie Doylem... Rachel przyjrzała mu się bacznie.

— A więc on rzeczywiście ciebie pamięta?

— Nie, nie zrozumiałaś. Moje prawdziwe nazwisko nie brzmi Doyle. Dlaczego on miałby... Jezu, czyżby skradli mi nazwisko i nauczyli innego? Kim jestem, do diabła?

Alejkę otaczały zwały kartonów i puszek oraz pojemniki na śmieci. Mniej więcej w połowie jej długości słaba żarówka nad drzwiami po prawej stronie usiłowała rozproszyć mrok.

— To tylne wyjście z baru — powiedział Dzikus. Stał wraz z Rachel i Akirą w spokojnej bocznej ulicy, przypatrując się miejscu umówionego spotkania. — Musiałem tu już kiedyś być, jeżeli to wiem.

— A może to...

Dzikus domyślił się, co Akira chciał powiedzieć.

— Jeszcze jedno fałszywe wspomnienie? Coś wreszcie musi być prawdą. Mac naprawdę mnie rozpoznał. Jestem tego pewien, chociaż nie pamiętam, żebym nosił nazwisko, którego użył. Powiedział, że za piętnaście minut. To już zaraz. Chcę odpowiedzi.

Dzikus wszedł w alejkę.

— Czekaaj! — zawołał Akira. Dzikus obejrzał się nerwowo.

— Co jest?

— Nie mogę pozwolić, żebyś spotkał się z nim sam na sam.

— Ale Rachel...

— Tak, nie może tu zostać bez ochrony — odpowiedział Akira — ale jeśli wejdzie ze mną w alejkę i coś się stanie, będzie nam przeszkadzać. Od kiedy zdecydowałeś w Nowym Jorku, że zabieramy ją ze sobą, wiedziałem, że nadejdzie taka chwila. Nie mogę cię osłaniać i jednocześnie strzec jej.

— Ja zdecydowałem? Przecież zgodziłeś się ze mną.

— Ale niechętnie.

— Obiecałam, że nie będę przeszkadzać — odezwała się Rachel. — Idź z nim, Akira. Nic mi się tu nie stanie.

— Nie. Dopóki jesteś z nami, jesteśmy za ciebie odpowiedzialni — odrzekł Akira.

— Mój mąż na pewno nie wie, gdzie jestem. Nic mi nie będzie.

— W tej chwili nie chodzi o twojego męża. Cokolwiek nam się przydarzy, jeśli to spotkanie zrobi, jak to wy mówicie, klapę...

Pomimo ciemności Dzikus zobaczył, że oczy Rachel rozbłysły.

— Bezpieczeństwo Dzikusa leży mi na sercu tak samo, jak tobie — powiedziała. — Bardziej niż moje własne. Jeżeli nie na rękę ci zostawić mnie tutaj, pójdziemy z nim oboje. Nie ma innego wyjścia.

— Boję się, że ona ma rację — powiedział Dzikus.

— A jeśli coś się stanie? — nie ustępował Akira.

— Usunę się na bok. Schowam się — odrzekła Rachel.  
— A jeśli będziemy musieli się rozdzielić?  
— Trzeba ustalić miejsca spotkań. Po pierwsze tam, gdzie zaparkowaliśmy samochód. Jeżeli nie zdołamy tam dotrzeć, wynajmę pokój w „Holiday Inn”, tu w pobliżu. Znam wasze pseudonimy z kart kredytowych, a wy znacie mój — Susan Porter. Będziemy dzwonić do wszystkich hoteli „Holiday Inn”, aż złapiemy kontakt, a jeżeli po dwóch dniach i to się nie uda, postępujemy według najgorszego scenariusza: przerywamy poszukiwania i działamy na własną rękę.  
— Nieźle — stwierdził Dzikus.  
Akira tylko uniósł brwi z niechętną aprobatą.  
— Miałam dobrych nauczycieli — powiedziała Rachel. — Kwadrans już niemal upłynął — zwróciła się do Dzikusa. — Twój przyjaciel w każdej chwili może wyjść z tamtych drzwi. Dzikus spojrział wyczekująco na Akirę.  
Japończyk westchnął i ruszył alejką, trzymając Rachel blisko przy sobie. — Tutaj — odezwał się do niej. — Schowamy się w tym kącie. Dzikus poszedł dalej w stronę tylnego wyjścia z knajpy.

Drzwi otworzyły się i alejkę wypełnił gwar głośnych rozmów ITT oraz dźwięki piosenki „Bye Bye Love”, śpiewanej przez Everly Brothers. Z miejsca, gdzie stał, u skraju kręgu słabego światła, Dzikus widział, jak Mac wychylił się zza drzwi i badawczo rozejrzał dookoła. Widoczny za jego plecami korytarz prowadził do głównej części gospody. Po lewej stronie znajdowały się drzwi, opatrzone napisem „Dla mężczyzn”. Mac dostrzegł Dzikusa, wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi, tłumiąc głosy i muzykę.

— Chłopaki, z którymi jestem, myślą, że wyszedłem się odlać, nie mogę więc zostać zbyt długo. Co się dzieje, Doyle? Chryste Panie, po co pokazujesz się tutaj? Gdyby ktoś cię rozpoznał...

— To trudno wytłumaczyć. Musimy porozmawiać o wielu rzeczach. Zajęłoby to trochę czasu. Nie tutaj.

— Powiedziałem ci, że nie mogę odejść na dłużej. Niechby tylko ktoś nas tu zobaczył...

— A dlaczego nie powinien?

— Do diabła, Doyle, znasz przecież zasady. To ty chciałeś, żeby tak było. Upierałeś się, żebyśmy do spotkań używali kodów i sprawdzonych domów.

— O czym ty mówisz?

— Doyle, czy ty się dobrze czujesz?

— Pytałem cię tam, w środku, czy mnie pamiętasz?

— To chyba oczywiste, nie?

— Ale po co ta cała historia z oddawaniem mi pieniędzy?

— To wszystko, co mogłem wymyślić, żeby usprawiedliwić nasze zachowanie — poza stłuczeniem cię na kwaśne jabłko. Mógłbym i to zrobić, bo to pasuje do twojego kamuflażu, ale ktoś mógłby wezwać żandarmów i policję i... Chwileczkę, Doyle. Czy o to właśnie ci chodziło? Miałem znowu bić się z tobą?

— Jezu, nic nie rozumiem. O czym ty mówisz? Dlaczego nazywasz mnie „Doyle”?

Mac wyprężył się, skrzyżował ramiona i głęboko zaczerpnął powietrza. Jego oczy stały się czujne.

— No dobra, gdzie oni są? — zapytał chrapliwym głosem.

— Kto?

— Ta blondynka i Japończyk, którzy wyszli za tobą z baru. Przecież są z tobą. Po co ci to? Żeby się reklamować? Żeby każdy cię zauważył? Do diabła, jeśli masz jakiś plan, to dlaczego nie powiadomiłeś mnie wcześniej? Nie mogę ci pomóc, jeżeli nie wiem... Pytam jeszcze raz, gdzie oni są?

Dzikus dał znak ręką. W połowie alejki z ciemności wyszli Akira i Rachel i zatrzymali się pomiędzy cieniami, rzucanymi przez światło nad wejściem do baru.

— No jasne — rzekł Mac z gniewem, który zniekształcił jego twarz. — Obserwacja, podsłuchiwanie. To test, prawda? Żeby sprawdzić, czy wciąż stosuję się do zasad. Co teraz będzie? Masz mi do powiedzenia więcej niż ja tobie. Jak zostanę ukarany? Parszywym przydziałem czy wymuszonym zwolnieniem? Doyle, ty draniu, myślałem, że jesteśmy wciąż przyjaciółmi, chociaż mamy udawać wrogów.

— Nie wiem, o czym mówisz. Słuchaj, Mac, ktoś zrobił ze mną coś dziwnego. Mówiłem ci, że to trudno wytłumaczyć. Pamiętam rzeczy, które się nigdy nie zdarzyły, ale za to nie wiem, co zdarzyło się naprawdę. Nie wiem, dlaczego mówisz do mnie „Doyle”, nie wiem, dlaczego...

Nagle Dzikus obrócił się na pięcie, słysząc za sobą huk potężnego silnika. W alejkę skręcał wielki pojazd o groteskowych kształtach, nadjeżdżający z tego samego kierunku, z którego i on przyszedł. Reflektory wehikułu oślepiły go, podniósł więc rękę, aby osłonić oczy, i wtedy zobaczył, jak Rachel i Akira wycofują się do swej kryjówki. Naraz zdał sobie sprawę, że sam nie ma gdzie się schować. Walcząc z chęcią ucieczki skulił się i przysunął bliżej do Maca. Odruchowo wetknął dłoń pod marynarkę, w pobliże tkwiącego za paskiem na plecach pistoletu. W tym momencie rozpoznał pojazd, który z hałasem zbliżał się do nich.

— To tylko śmieciarka — powiedział Mac. — Doyle, tobie rzeczywiście musiało się coś przydarzyć. Masz zszarpane nerwy. Czy dlatego dali ci eskortę? Żeby obserwować, jak się zachowasz? Co ty takiego powiedziałaś — że pamiętasz to, co się nie zdarzyło? A co się zdarzyło? Za wiele zadań, zbyt duże napięcie? Załamałaś się? Powiedz mi, Doyle, bo chciałbym ci pomóc.

Samochód zbliżał się powoli. Tylko spokojnie, pomyślał Dzikus, poczekaj, zachowaj zimną krew. Przecież nikt nie zdołałby zastawić takiej pułapki w ciągu piętnastu minut, chyba że sam Mac.

Dzikus popatrzył badawczo na człowieka, którego pamiętał jako swojego przyjaciela. Czy Mac zadzwonił z baru, kiedy czekałem na niego? Nie. Muszę zaufać instynktowi. Muszę wierzyć, że on był i jest moim przyjacielem. Nawet jeżeli zadzwonił, chociaż dlaczego miałby to zrobić, i tak minęło zbyt mało czasu, żeby ściągnąć tu ten samochód.

Kiedy śmieciarka podjechała bliżej, Dzikus stwierdził, że w kabinie znajduje się tylko kierowca o zmęczonej twarzy. Kierowca przyjrzał się pojemnikowi na śmieci, nacisnął guzik na tablicy rozdzielczej i opuścił potężne metalowe widły, zamocowane u szczytu samochodu, celując nimi w szczeliny po obu stronach wielkiej stalowej skrzyni.

Samochód stał teraz tuż przy Dzikusie, zmuszając go do przyciśnięcia pleców do muru z surowej cegły. Mac wcisnął się obok niego, a jego głos z trudem przebijał się przez coraz większy rumor:

— Martwisz mnie, stary. Kim są ci ludzie, ta blondynka i Japończyk? To twoi stróże? Z Agencji?

Dzikus przycisnął się jeszcze mocniej do ściany, oszołomiony hałasem i spalinami.

— Agencji? CIA?

— A jest jeszcze jakaś inna agencja? Doyle, ty mówiłeś poważnie? Naprawdę ktoś ci dłubał w pamięci?

— Dlaczego mówisz do mnie „Doyle”? To nie jest moje nazwisko.

— Ależ tak. Na imię masz Robert. W naszym oddziale był jeszcze drugi Bob.

Zwracaliśmy się do was po nazwisku, żeby nie było pomyłek. Nie pamiętasz?

— Nie. A powiedz mi, dlaczego mamy podobno udawać, że jesteśmy wrogami?

— To z powodu twojego kamuflażu.

— Co?

Lomot śmieciarki stał się ogłuszający. Podnośnik widłowy z wysiłkiem uniósł skrzynię i wysypał jej zawartość do wnętrza samochodu. Smród był taki, że Dzikusa aż zatykało. Podnośnik opuścił skrzynię z powrotem i odstawił ją z hukiem, zwielokrotnionym przez puste wnętrze. Rozległ się znowu warkot, widły poszły w górę i śmieciarka powoli pojechała dalej alejką.

— Kamouflażu...? — zapytał Dzikus.

— Kurwa! — Mac wskazywał coś palcem.

Dzikus obrócił się w stronę, z której nadjechała śmieciarka. Widział teraz niedawno zasłonięte przez samochód miejsce, gdzie ukryli się Akira i Rachel...

Akira i jakiś wysoki biały walczyli, wymieniając kopniaki i ciosy dłonią. Dalej w głębi alejki dwóch innych mężczyzn wlokło za sobą wijącą się i krzyczącą Rachel w stronę samochodu, który blokował wjazd od strony ulicy.

Dzikus zrozumiał, że napastnicy podkradli się za śmieciarką, wykorzystując ją jako osłonę. Nie mógł ich zauważyć ani usłyszeć i dzięki temu zdołali wziąć Akirę przez zaskoczenie.

Dwaj mężczyźni, którzy porwali Rachel, byli już blisko samochodu.

Akira zrobił unik i zawirował. Ciosy jego dłoni i stóp złamały nos przeciwnika, strzaskały mu klatkę piersiową i przerwały krtań. Walka

była skończona.

Gdy tylko Dzikus zobaczył, co się dzieje, rzucił się biegiem — lecz nie w stronę Akiry. Z góry zakładał, że jemu pomoc nie będzie potrzebna. Nawet gdyby było inaczej, Dzikus pospieszyłby mu w sukurs tylko wtedy, jeżeli nie byłaby zagrożona Rachel. Tylko ona była ważna. Klientka, której przyrzekli ochronę.

Akira dołączył do Dzikusa. Silnik stojącego u krańca alejki samochodu zawarczał głośno. Trzymający Rachel mężczyźni szarpnęli ją ku otwartym tylnym drzwiom.

Dzikus był zbyt daleko, aby zdążyć na czas. Nie było wyboru. Zatrzymał się i wyciągnął pistolet. W tej samej chwili stanął obok niego Akira. Jednocześnie odbezpieczyli broń. Ich ruchy były tak skoordynowane, jakby przeszli długie wspólne szkolenie. Obaj ustawili się identycznie, lekko zwrócenii w prawo, na szeroko rozstawionych nogach, ze stopami w skos dla zachowania równowagi. Tak samo obaj trzymali broń oburącz, a unosząc ją obaj identycznie prostowali lewe ramię i zginali nieco prawe, aby unieruchomić łokcie i pewniej celować.

Alejka wstrząsnął huk jednoczesnych eksplozji i choć każda z kul trafiła w cel, Dzikus i Akira wystrzelili dla pewności jeszcze raz. Mężczyźni przy samochodzie upadli martwi.

Rachel przestała krzyczeć. Była dostatecznie doświadczona, aby nie stracić głowy na widok broni. Padła na chodnik i rozpląszczyła się na nim, usuwając się z linii strzału.

Kierowca samochodu uniósł rękę do góry. Nawet z tej odległości można było rozpoznać zarys pistoletu.

Dzikus wycelował, ale kierowca strzelił pierwszy. Jego kula bzyknęła tuż obok głowy Dzikusa, który uchylił się w lewo. Akira zrobił unik w prawo.

Padając na ziemię, obaj jednocześnie wysunęli łokcie i zajęli pozycję strzelecką.

Za późno. Kierowca kopnął pedał gazu i samochód z rykiem silnika zniknął z wylotu alejki, pozostawiając po sobie tylko kłęby spalin. Dzikus zerwał się na nogi i rzucił do Rachel:

— Nic ci nie jest?

— Niemal wyrwali mi ręce ze stawów. — Potarła ramiona. — I poza tym... A co z wami?

Dzikus i Akira spojrzeli na siebie. Choć obaj trzęśli się i ciężko dyszeli, obaj uczynili gest mający oznaczać, że wszystko w porządku.

— A co z... — Nie dokończone pytanie Rachel przeszło w jęk. Obok tylnego wyjścia z baru leżał Mac. Światło mętnej żarówki odbijało się w rosnącej kałuży krwi.

— Nie! — Dzikus podbiegł do niego, ale otwarte oczy Maca nie mrugały.

— O Chryste — jęknął Dzikus. Pomacał przegub swego dawnego przyjaciela, przyłożył ucho do jego piersi i przysunął palec do nieruchomych nozdrzy. — Nie!

— Daj spokój — odezwał się Akira. — Nic już dla niego nie można zrobić. Przykro mi, ale musimy uciekać.

Tylne drzwi baru otworzyły się z trzaskiem. Dzikus obrócił się z bronią gotową do strzału.



Zbudowany jak piłkarz mężczyzna z fryzurą najeża i wytatuowaną na przedramieniu foką wlepił oczy w Rachel, Dzikusa i Akirę. Zobaczył Maca i leżących u wylotu alejki mężczyzn.

To był Harold, właściciel knajpy. Dzikus opuścił pistolet.

— Kiedy tylko wszedłeś, wiedziałem, że narozrabiasz — powiedział Harold.

Zwrócił złą twarz do Akiry.

— To wy, skurwiele, zabiliście mi ojca na Iwo Jimie. — Uniósł ręce do góry. — Słuchaj, Doyle, to trochę potrwało, ale teraz już sobie przypomniałem. No jazda, zabij mnie, ty sukinsynu. Umrę jak bohater, razem z Makiem. Jesteś chodzącą hańbą, nie byłeś godny być w SEAL. — I naraz rzucił się przed siebie.

Dzikus stał jak sparaliżowany, atak przechwycił więc Akira. Kopnął Harolda w krocze, szarpiąc jednocześnie Dzikusa za rękę, żeby zmusić go do ruszenia się z miejsca. Harold padł jak długi, a Akirze przyszła z pomocą Rachel, szturchając Dzikusa. Wreszcie jego poczucie dyscypliny wzięło górę. Odsunął ich i powiedział:

— Dobra, ruszamy.

Noc rozbrzmiewała wyciem syren. Pomimo zdenerwowania Dzikus zdołał się zmusić do nieprzekraczalnej dozwolonej prędkości i prowadzenia samochodu w sposób jak najmniej rzucający się w oczy. Rachel siedziała na podłodze przed przednim siedzeniem z podkulonymi kolanami i opuszczoną głową. Akira leżał z tyłu.

— Chyba nikt nie widział, jak wsiadaliśmy do samochodu — odezwał się Dzikus. — Nie będą znali naszego numeru rejestracyjnego. Nikt nie będzie szukał taurusa.

— Tylko dwóch mężczyzn i kobiety, blondynki i Japończyka — odpowiedziała Rachel. — Już Harold wytłumaczy policji, kogo mają szukać. Jeżeli gliny podjadą blisko, mogą zobaczyć mnie i Akirę.

— Może w świetle dziennym — powiedział Dzikus. — Ale w nocy? Nie zauważą was, chyba że poświecą latarką.

Starał się poprawić jej nastrój, ale w rzeczywistości reflektory samochodów i mijane latarnie wystarczająco oświetlały wnętrze taurusa. Sam patrzył wprost przed siebie i odpowiadając Rachel niemal nie poruszał ustami. Nie chciał zwracać na siebie uwagi, ktoś bowiem mógłby nie tylko pomyśleć, że mówi sam do siebie, ale i dojść do wniosku, że jego rozmówca jest ukryty gdzieś we wnętrzu wozu.

— Harold na pewno opowie wszystko policji — dobiegł zduszony głos Akiry z podłogi w tyle samochodu. — Mogłem go zabić, i teraz myślę, że powinienem to zrobić.

— Nie — odrzekł Dzikus. — Postąpiłeś prawidłowo. Jesteśmy obrońcami, a nie mordercami. Byliśmy zmuszeni zabijać w obronie Rachel i to był konieczny, ale etyczny wybór, natomiast zabicie Harolda byłoby...

— Niepotrzebne? — spytał Akira. — Bezsensowne? To, co widział i co opowie policji, jest dla nas groźne. Jeżeli zastrzelenie tych ludzi w obronie Rachel uważasz za usprawiedliwione, ja również powinienem być usprawiedliwiony, gdybym zabił Harolda w obronie nas wszystkich.

— To nie to samo — powiedział Dzikus. — Nie umiem ci powiedzieć, dlaczego jestem o tym przekonany — po prostu wiem. Harold musiał usłyszeć strzały, ale to mógł być przypadek. Kto wie? Może właśnie wychodził z ubikacji w korytarzu, otworzył więc drzwi na zewnątrz i zobaczył nas. Rewolwerowiec na usługach gangu zabiłby go na miejscu, ale powtarzam raz jeszcze — my nie jesteśmy mordercami. Nie zabijamy niewinnych ludzi tylko dlatego, że wybrali niewłaściwy moment.

— Jak widać, zgadzam się z tobą, bo go nie zabiłem.

— Dziękuję ci.

— To wszystko moja wina — powiedziała Rachel. Po jej głosie można było poznać, że jest jej ciasno i niewygodnie. — Gdybym nie ubłagała was, żebyście mnie wzięli ze sobą...

— Zgodziliśmy się i koniec sprawy — odrzekł Dzikus.

— Pozwól mi dokończyć — ciągnęła Rachel. — Gdybym nie poszła z wami, gdyby mnie nie było w alejce, ludzie mojego męża nie próbowaliby mnie porwać, a wy byście ich nie zastrzelili. Zabłąkana kula nie trafiłaby twojego przyjaciela, który powiedziałby ci to, czego chciałeś się dowiedzieć, i nie musiałbyś już dłużej się martwić ani uciekać przed policją. Wszystko, co się zdarzyło, było z mojej winy.

— Gdybyś...? Mój Boże — odrzekł Dzikus. — Naprawdę tak myślisz? Czy nie rozumiesz, co się stało? Ci ludzie, którzy nas napadli, nie mieli nic wspólnego z twoim mężem.

— Co takiego?

— Twój mąż nie mógł wiedzieć, gdzie jesteś — odezwał się Akira. — Bardzo starannie zacieraliśmy twoje ślady. Od tej napaści w południowej Francji wykorzystaliśmy każdy pomysł, jaki nam tylko przyszedł do głowy, żeby wymknąć się twemu małżonkowi. Jego ludzie po prostu nie mogliby cię tutaj wyśledzić.

— Może są lepsi, niż sobie wyobrażasz — powiedziała Rachel.

— Gdyby tak było, powinni podjąć próbę porwania dużo wcześniej, w którymś z hoteli, gdzie mieszkaliśmy, czy też przy jednym ze szpitali, w których szukaliśmy pomocy. Mógłbym podać jeszcze z tuzin idealnych miejsc do takiej akcji. Gdyby ludzie twego męża naprawdę chcieli cię schwytać, dlaczego mieliby czekać tak długo i próbować to zrobić w tak skomplikowanej sytuacji?

— Może chcieli wykorzystać te trudne warunki, licząc na rozproszenie waszej uwagi — odpowiedziała Rachel.

— Ale ludzie twojego męża nie mogli wiedzieć, że umówiłem się na spotkanie z Makiem w tej alejce! — przerwał jej Dzikus. — Gdyby twoja teoria miała być prawdziwa, należałoby założyć, że ci niby to bardzo mądrzy zawodowcy zdecydowali się od razu, bez żadnego planu, ot tak sobie, wykorzystać śmieciarkę, która wjechała w alejkę, i spróbowali cię schwytać licząc na hit szczęścia.

— Zrobili to bardzo dobrze — powiedziała Rachel. — Odłączyli mnie od Akiry.

— Nie mogę zrozumieć jeszcze czegoś — powiedział Akira. — Zanim zabrali się za ciebie, najpierw powinni mnie zabić. Mieli po temu okazję, a tymczasem jeden z nich zajął się mną, podczas gdy dwaj inni odciągali cię w bok. Nie zdążyłem nawet wyjąć broni, bo zostałem zmuszony do walki wręcz.

— Zareagowali na chwilowe zamieszanie — odrzekła Rachel.

— Jakie zamieszanie? Jeżeli śmieciarka była częścią planu, to my powinniśmy być dezorientowani, ale nie ludzie twojego męża. Oni powinni być gotowi i zrobić to, co było w tej sytuacji konieczne, czyli zabić mnie.

— Ale nie zrobili tego — wtrącił Dzikus — z czego wynika, że nie chcieli zabić Akiry, bo nie mieli takiego rozkazu.

— A przecież twój mąż z pewnością nalegał, żeby zabili mnie i Dzikusa za ujmę na jego honorze — powiedział Akira. — Ich taktyka była niewłaściwa. Powinni byli nas zastrzelić, zanim wzięli się za ciebie.

— Tak byłoby łatwiej i bezpieczniej — dorzucił Dzikus. — Zamiast tego jednak zginął Mac. Kierowca nie strzelał do mnie, strzelał do niego. Gdyby chciał trafić mnie, mógłby to zrobić bez trudu, ponieważ wystrzelił, zanim zrobiłem unik. Jego celem był Mac. Pod żadnym pozorem nie mogli dopuścić do tego, żeby zaczął mówić. Ty, Rachel, po prostu zawadzałaś. Nie przypuszczali, że będziesz z nami, ale skoro już się tam znalazłaś, to ten ktoś, kto zdołał przewidzieć, gdzie będzie mógł nas spotkać, postanowił upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Za jednym zamachem oddzielić cię od nas i nie pozwolić, aby Mac ujawnił to, co wiedział. A dodatkową korzyścią byłoby dalsze utrzymywanie Akiry i mnie w stanie dezorientacji.

— Ale po co? — spytała Rachel.

Mały pokój w motelu w Karolinie Pomocnej, który wynajęli, był obskurny, ale przynajmniej czysty. Ponadto wejście do niego prowadziło z korytarza w tylnej części

budynku, dzięki czemu Rachel i Akira mogli przemknąć się niepostrzeżenie. Jedyne otwarte o tak późnej porze restauracja, jaką zdołał znaleźć Dzikus, sprzedawała na wynos tylko pizzę, siedzieli więc we trójkę na podłodze, żując bez zapału ostro doprawioną, pięcioskładnikową „super” nie tyle z głodu, co z przekonania, że trzeba jakoś podtrzymać siły organizmu. Sześć puszek coca-coli ułatwiało im przełknięcie nie dopieczzonego ciasta. Akira, który hołdował narodowej skłonności do jarzyn, ryżu i ryb, starannie wydłubywał kawałki kiełbasy ze swojej porcji.

— Przeanalizujmy to wszystko jeszcze raz — powiedział. — Mac zakładał, że znane są ci rzeczy, o których naprawdę nie wiedziałeś nic, niczego więc nie tłumaczył ani nie wyjaśniał. W rezultacie to, co powiedział, brzmi zagadkowo, ale może nawet w takiej sytuacji jest coś, czego jesteś pewien?

— Mac na pewno mnie znał — odpowiedział Dzikus.

— Chociaż nazywał cię „Doyle”? To przecież nie jest twoje nazwisko.

— A jeśli jest? — powiedział Dzikus. — Jeżeli mam sfalszowane wspomnienia, skąd mogę wiedzieć, co jest prawdą? Ten, kto przeprowadzał operację, mógł sprawić, że zapomniałem prawdziwe nazwisko, i wmówić mi, że jeden z moich pseudonimów nie jest zmyślony — że to właśnie nazwisko, z którym przyszedłem na świat.

— Wszystko kłamstwo — powiedziała Rachel, z niesmakiem wyrzucając do kosza nie dojedzony kawałek pizzy.

Dzikus popatrzył na nią, po czym mówił dalej:

— To, że Mac i ja byliśmy przyjaciółmi, nie wydaje mi się produktem sfalszowanej pamięci. Wspominał o tym parokrotnie, ale powiedział również, że byliśmy wrogami czy też mieliśmy być uważani za wrogów. Mówił także o jakichś zasadach, o tym, że jeśli chcielibyśmy się zobaczyć, powinniśmy posługiwać się kodem i spotykać w bezpiecznych domach.

— To język agentów wywiadu — powiedział Akira.

— Tak. Mac myślał poza tym, że ty i Rachel byliście moimi, jak to nazwał, stróżami, którzy mi towarzyszą, ponieważ jestem w stresie. Mieliście jakoby obserwować, jak będę się zachowywał, starając się nawiązać z nim pozaplanowy kontakt, i jaka będzie jego reakcja. Wciąż mówił o tych zasadach i o tym, że się do nich stosuje. Wyglądało na to, że bał się, czy go nie sprawdzacie.

— Ale dla kogo mieliśmy według niego pracować? — zapytała Rachel.

Dzikus zawahał się, zanim odpowiedział.

— Dla CIA.

— Co...?

— Denerwował się, jakby sądził, że będzie ukarany za złamanie zasad i dopuszczenie do tej rozmowy w alejce.

Akira wyprostował się.

— Mac był w CIA?

— Nie mogę tego powiedzieć z pewnością. Dla członka SEAL to raczej bez sensu być agentem cywilnego wywiadu. Może wywiadu Marynarki Wojennej, ale nie tych z Langley. Nie — stwierdził Dzikus. — Odniosłem wrażenie, iż Mac myślał, że to ja pracuję dla Agencji.

— Mój Boże! — zawołała Rachel. — Czy to możliwe?

— Wydarzenia ostatnich dni pokazały, że wszystko jest możliwe, ale jeżeli zapytacie mnie, czy pamiętam, że byłem agentem, odpowiem: „nie”. Oczywiście zawsze możecie podejrzewać, że kłamię.

Akira potrząsnął głową.

— W Filadelfii mówiłeś, że sam już nie wiesz, co jest prawdą, a co nie, i dlatego bałeś się zaufać Rachel i mnie. Mówiłeś, że może nie jesteśmy tymi, za których się podajemy, że może zostaliśmy nasłani, żeby cię omamić. Prosiłiśmy cię wtedy, żebyś nam zaufał, ponieważ inaczej nie ruszylibyśmy z miejsca. Teraz role się odwróciły. Przyjacielu, oświadczam ci, że ci ufam i nie wątpię w twoją prawdomówność.

— „Abraham wierzył prawem absurdu” — odezwała się Rachel. Na twarzy Akiry pojawił

się wyraz zdziwienia.

— To są słowa, które powiedziałam Dzikusowi tamtego wieczoru w Filadelfii. — Rachel wstała. — Akt wiary.

— A więc musimy podać w wątpliwość sprawność mojej pamięci — powiedział Dzikus. — Doktor Santizo tłumaczył, że wprowadzenie fałszywych wspomnień wymaga usunięcia prawdziwych, inaczej nie mógłbym się sensownie zachowywać, a zatem być może rzeczywiście byłem — czy jestem — agentem CIA, chociaż teraz nic o tym nie wiem.

— Być może? Prawdopodobnie? To nas prowadzi donikąd — powiedział Akira. Dzikus potarł obolałe czoło.

— Mac powiedział mi jeszcze coś: „Czy mam znowu bić się z tobą?” Ale to bez sensu. Bić się z nim znowu? Z tego by wynikało, że biłem się z nim już wcześniej, tylko dlaczego, skoro byliśmy w przyjaźni? Kiedy rozmawialiśmy o tym, co się zdarzyło w barze, powiedział mi, że udawał, iż jest mi winien pieniądze, ponieważ był to jedyny pomysł, na jaki wpadł, żeby usprawiedliwić naszą rozmowę — i dodał: „poza stłuczeniem cię na kwaśne jabłko, a mógłbym to zrobić, bo to pasuje do twojego kamuflażu”.

— Kamuflażu...? — Akira zmarszczył czoło.

— Mac kilka razy użył tego określenia.

— Przyjaciele uważani za wrogów, kamuflaż, CIA... — odezwała się Rachel. — Kiedy Harold zobaczył nas w alejce, nagle sobie ciebie przypomniał. Powiedział, że jesteś hańbą dla SEAL i wściekł się tak, że nie zwracał uwagi na twój pistolet. Krzyczał, że umrze jak bohater, ale cię zaatakuję. Kamuflaż.

— Nie rozumiem — powiedział Dzikus.

— To tylko teoria, przypuszczenia... Jeżeli rzeczywiście miałeś pracować dla CIA, potrzebowałeś kamuflażu, jakiejś historyjki, żeby przekonać drugą stronę, że już nie jesteś lojalny wobec Ameryki. Dopiero wtedy Agencja cię werbuje. Ty odchodzisz z SEAL i stajesz się obrońcą. Strzegąc swoich klientów — ludzi ważnych, wpływowych i bogatych — równocześnie zbierasz o nich informacje. Robisz to, ponieważ są to ludzie dysponujący wielką władzą, a ich sekrety mają strategiczne znaczenie — albo też są kompromitujące do tego stopnia, że Agencja może ich szantażować i zmuszać do współpracy.

Dzikus wpatrywał się w podłogę. Wciąż czuł uporczywe pulsowanie w skroniach, które nie ustępowało pomimo masażu.

— Jak jednak mógłbyś przekonać swoich klientów, że nikt za tobą nie stoi? — ciągnęła dalej Rachel. — Tylko przez zaparcie się swego kraju i jego władz, ale dlaczego?

— Ponieważ znalazłem się w pierwszej grupie amerykańskich wojsk, które dokonały inwazji na Grenadę — odpowiedział Dzikus. — To, co tam widziałem, przekonało mnie, że marksistowski rząd tej wyspy, choć popełnił różne głupstwa, w niczym nie zagrażał Stanom Zjednoczonym. Cała ta inwazja była chwytem propagandowym, mającym odwrócić uwagę opinii publicznej od śmierci dwustu trzydziestu amerykańskich komandosów, którzy zginęli w Bejrucie na skutek terrorystycznego zamachu. Grenada była intrygą uknutą przez prezydenta dla podbudowania swojej popularności. Zbyt wielu moich kolegów poległo bez potrzeby, ogarnął mnie więc taki niesmak, że złożyłem rezygnację.

— I pobiłeś się z kolegą z SEAL, który się z tobą nie zgadzał i uważał, że zdradziłeś swoich towarzyszy? — zapytał Akira. — Taka publiczna bójka, która z przyjaciół czyni wrogów, to bardzo przekonujący kamuflaż.

Dzikus uniósł głowę.

— Szczególnie jeśli wiadomo, że mój ojciec popełnił samobójstwo, ponieważ czuł się oszukany, bo Biały Dom potrzebował kozła ofiarnego, żeby wytłumaczyć klęskę w Zatoce Świń. Niech to wszyscy diabli! — W oczach Dzikusa zabłysnął gniew. — Ta inwazja skończyła się fiaskiem, ponieważ amerykańscy politycy potracili głowy i zmienili miejsce desantu — z miasta na tamto cholerne bagno.

— To tworzy logiczne tło — powiedziała Rachel. — Kuba i Grenada, dwie inwazje, z których pierwsza wydaje się konieczna, lecz kończy się klęską, natomiast druga jest niepotrzebna.

— Ale za to odnosi sukces — dodał Dzikus. — A ponadto obie opierały się na...

— Kłamstwach?

— Dezinformacji. Ta koncepcja fascynowała Grahama. Zdarzenia, które były wielkim oszustwem, a jednak zmieniały bieg historii, jak na przykład niemieccy żołnierze przebrani w polskie mundury, którzy strzelali do Niemców, by usprawiedliwić agresję na Polskę. Albo wysłanie przez Stany Zjednoczone niszczyciela w głąb należącej do Wietnamu Północnego Zatoki Tonkińskiej po to, żeby zmusić Wietnamczyków do jego ostrzelania, a potem utrzymywać, że był to nie spowodowany atak. Incydent ten miał usprawiedliwić zwiększenie liczebności amerykańskich wojsk w Wietnamie Południowym. Przekonujące, łatwe do wyparcia się kłamstwa.

— Falszywa pamięć — powiedział Akira. — Całe narody pamiętają to, co nigdy się nie zdarzyło, ale teraz obchodzą nas wyłącznie twoje sfalszowane wspomnienia. Założmy, że twój ojciec — nie ten człowiek, którego spotkałeś w Baltimore, ale prawdziwy ojciec — rzeczywiście popełnił samobójstwo. W takim razie twoje odejście z SEAL dlatego, że inwazja na Grenadę była niepotrzebna i że ogarnął cię gniew z powodu daremnej śmierci kolegów, staje się całkiem wiarygodne. Wolaleś występować jako naprawdę wolny agent, bez powiązań

z rządem.

— Falszywe wspomnienia, kamuflaże, kłamstwa... Nic nie wiemy, niczego nie możemy być pewni...

— Niczego — potwierdziła Rachel. — Ta pizza... Niedobrze mi po niej. Kręci mi się w głowie... Nie mogę myśleć ze zmęczenia. — Sięgnęła po paczkę, którą Dzikus przyniósł z całodobowego sklepu samoobsługowego. — Ale jedno wiem na pewno: muszę przywrócić moim włosom ich pierwotny kolor i przespać się... — Wskazała na wąskie łóżko.

— Jeden z nas będzie stał na straży, a drugi położy się spać na podłodze — powiedział Akira.

— W żadnym wypadku — odrzekła Rachel. — Ustalcie, kto pierwszy stoi na warcie. Ten, który będzie miał wolne, podzieli łóżko ze mną. Nie mam ochoty być ochraniana przez zdrętwiałych, niewyspanych i połamanych facetów. Położę poduszkę między nami, żeby nikomu nie zakłócić spokoju ducha. Jesteśmy jak w rodzinie, prawda? Pomieścimy się wygodnie razem, ale nie poczujesz się chyba urażony, Akira, jeżeli, kiedy przyjdzie kolej na Dzikusa, obrócę się przez sen i go przytulę?

Nad Karoliną Północną wstawał rześki, jasny poranek. Po sprawdzeniu motelowego parkingu Dzikus przeszedł korytarzem do tylnego wyjścia i ruszył na drugą stronę ulicy do baru McDonalda po śniadanie na wynos. W drodze powrotnej kupił jeszcze kilka gazet w stojących na chodniku automatach.

Akira zarygnował za nim drzwi i zaczął przeglądać zawartość styropianowych pojemników, które Dzikus ustawił na biurku obok przyśrubowanego telewizora.

— Frytki? Kielbasa? Jajecznica i gorące bułeczki?

— I dżem truskawkowy. Przyznaję, że nie jest to całkiem w zgodzie z twoim zwykłym jadłospisem, ale to najlepsze, co mi się udało dostać — powiedział Dzikus. — A te frytki wyglądają cholernie apetycznie.

— Mów za siebie. — Akira unosił wieczka z parujących kubków z napojami. — Tylko kawa? Nie ma herbaty?

— Proszę, przyjacielu. — Dzikus wręczył Akirze torebkę herbaty i otworzył plastikowy kubek z gorącą wodą.

— Arigato — odpowiedział Akira, a kiedy już łyknął herbaty i podziobał frytek, dodał: — Może moi przodkowie mi wybaczą, że dałem się przekupić, bo to naprawdę smakuje doskonale.

— Skrobia — powiedział Dzikus. — Daje siłę.

— Przyda ci się — dorzuciła Rachel. Akira zmarszczył brwi.

— Co masz na myśli?

Rachel, ze znów kasztanowatymi włosami, siedziała na łóżku i ponurym wzrokiem wpatrywała się w rozłożoną obok gazetę. Plastikowy widelec z kęsem jajecznicy zawisł gdzieś w okolicy jej ust.

— To się wam nie spodoba — powiedziała i bezradnie odłożyła widelec. Dzikus i Akira podeszli do niej. Palcem pokazała stronę tytułową. — Virginia Beach. Czterech mężczyzn zabito na zapleczu gospody „Pod Zacumowanym Okrętem”. Trzech z nich zginęło od strzałów z broni palnej, czwarty — od uderzenia w krtań.

— Tyle trupów. To sensacja dnia — powiedział Dzikus. Rachel wciąż wskazywała na artykuł.

— Tak, a Harold zidentyfikował ciebie jako niejakiego Roberta Doyle'a. Powiedział, że ty i Mac byliście przyjaciółmi, ale pokłóciliście się. Doszło między wami do publicznej bójki i odtąd staliście się wrogami. To było w osiemdziesiątym trzecim roku. Dlatego, że występowałaś przeciwko amerykańskiej inwazji na Grenadę i utrzymywałaś, że twoi koledzy z SEAL zginęli niepotrzebnie. Harold wymienia również mnie, jako blondynkę, i Japończyka — to ty, Akira. Teraz nasza trójka, para Amerykanów i Japończyk, będzie wzbudzać podejrzenia, nawet pomimo zmiany koloru włosów przeze mnie.

Dzikus popatrzył na zegarek i włączył telewizor.

— Jest już prawie dwadzieścia pięć po siódmej. Może powiedzą coś nowego w porannych wiadomościach.

Udało mu się trafić na stację w Virginia Beach. Kończył się właśnie pierwszy odcinek „Dzień dobry, Ameryko” i Joan Lunden uśmiechnęła się do kamery: „W następnym półgodzinnym programie spotkamy się z Tonim Bennettem, który tym razem wystąpi nie jako piosenkarz, ale malarz”.

Reklama pasty do zębów, w której roześmiane dzieci chwaliły się rodzicom, że nie mają próchnicy, wydawała się nie mieć końca. Dzikus uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech.

Wreszcie pojawił się lokalny dziennik: zdjęcia radiowozów i karetok pogotowia z migoczącymi światłami, sanitariusze wynoszący z alejki przykryte prześcieradłami ciała i komentator, który z ponurą twarzą tłumaczył przebieg zdarzeń i podał rysopisy Dzikusa, Rachel i Akiry. Cały reportaż trwał półtorej minuty.

— Obrazowo, ale zwięźle. Nic ponad to, co można przeczytać w gazetach — powiedział Akira i z ulgą sięgnął do wyłącznika telewizora.

— Czekaj — powstrzymał go Dzikus. — Sprawdźmy, czy jest coś o nas w krajowym wydaniu dziennika, kiedy skończy się program lokalny.

— Przynajmniej nie pokazali naszych portretów pamięciowych na podstawie opisu Harolda — zauważyła Rachel.

— Policja już nad tym pracuje. — Dzikus sięgnął po walizkę. — Spakujmy się. Po wiadomościach krajowych będziemy musieli szybko wynieść się z hotelu.

— Ale co potem? — spytała Rachel. — Nawet jeśli wydostaniemy się stąd niepostrzeżenie, nie rozwiąże to naszych problemów. Policja będzie nas dalej szukać.

— Tak, to rzeczywiście kłopot — powiedział Dzikus. — Rachel, ty nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za to, co się stało, ale jeżeli złapią nas razem, będziesz oskarżona o współdziałanie. Kiedy wyjdiesz z tego budynku, idź prosto i nie oglądaj się za siebie. Znajdź przystanek autobusowy i jedź tak daleko, jak tylko można. Zaczynaj nowe życie.

— Nie! Dlaczego nie chcesz zrozumieć, że cię kocham?

Dzikus milczał.

— I nie opuszczę cię — dodała. — Bardzo możliwe, że już nigdy bym cię nie zobaczyła, pytam więc jeszcze raz: jeżeli zdołamy się stąd wydostać, co zrobimy potem? Przyszło mi coś na myśl. Przypuśćmy, że Mac miał rację i ty rzeczywiście pracujesz dla CIA. Czy oni nie mogliby nam pomóc?

Dzikus potrząsnął głową.

— Nawet jeśli to prawda, że jestem pracownikiem Agencji, to i tak nie wiem, jak nawiązać z nimi kontakt. Nie wiem, komu, gdzie ani jak przekazać wiadomość, pod jaki numer zadzwonić. Nie mogę przecież tak sobie zatelefonować do kwatery głównej w Langley i powiedzieć dyżurnemu w centrali, że jestem poszukiwany za kilka morderstw, ale przypuszczam, że pracuję dla władz, i powiedziano mi, że nazywam się tak a tak, więc bardzo proszę wyratować mnie z opresji. Każdy, kto by to usłyszał, uznałby, że rozmawia z wariatem. Nawet gdyby ci z Agencji wiedzieli, kim jestem, i tak musieliby zaprzeczyć, że kiedykolwiek o mnie słyszeli. Do diabła, kiedy teraz myślę, jak to wszystko jest pokręcone, wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że za tym kryje się ktoś z Agencji. Nie;— powiedział z uporem. — Musimy sobie dać radę sami.

— Wracają do programu ogólnokrajowego — odezwał się Akira. Dzikus spojrział na ekran telewizora. Promiennie uśmiechnięta Joan

Lunden zaintonowała wraz z całą świtą: „Dzień dobry, Ameryko!”

W ciągu najbliższej półgodziny miał wystąpić Sean Connery i Tony Bennett. Po nich zapowiadany był program o wypadkach na szkolnych lekcjach gimnastyki oraz dyskusja o tym, czy figle i przebieranki w czasie Halloween przeradzają się w kult diabła. Na szczęście pierwsze były wiadomości: niszczycielski huragan w Ameryce Środkowej, wielki skandal z handlem bronią, pożar drapacza chmur w Nowym Jorku...

Dzikus spojrział na zegarek.

— Ten dziennik trwa pięć minut, mamy więc jeszcze tylko minutę. Wygląda na to, że zabójstwa nie są traktowane jako wiadomości ogólnokrajowe.

— Dzięki Bogu — powiedziała Rachel. — Gdybyśmy zdołali pojechać dalej wzdłuż wybrzeża, do Karoliny Południowej albo nawet do Georgii...

— Tak --- odrzekł Dzikus. — Może tam policja nie będzie nas szukać.

Nagle Akira wskazał na ekran. Był blady i mówił coś szybko po japońsku. W jego głosie zabrzmiało zdumienie.

Dzikus spojrział na telewizor. Serce zabiło mu nierówno i przestraszył się, że zemdleje.

Nadawano reportaż z Tokio. Na ekranie japoński dyplomata podburzał do demonstracji wielotysięczne tłumy studentów, gniewnie wykrzykujących antyamerykańskie hasła i obnoszących antyamerykańskie transparenty wokół ambasady Stanów Zjednoczonych. Dyplomata był człowiekiem po pięćdziesiątce, dość tęgim, średniego wzrostu, o szpakowatych włosach i zmęczonej twarzy. Komentator wymienił jego nazwisko: Kunio Shirai, i powiedział, że jest on radykalnym przywódcą antyamerykańskiego stronnictwa, które rośnie w siłę tak szybko, że zagraża, to rozłamem w Partii Liberalno-Demokratycznej, głównym ugrupowaniu politycznym Japonii. W całej tej sprawie nie dziwiła specjalnie zajadłość studentów, albowiem od czasu do czasu demonstrowali oni z równą energią w rozmaitych sprawach, choć trzeba przyznać, że od lat siedemdziesiątych protesty nie wybuchały aż z taką siłą. Zdumienie budziło zachowanie samego Kunio Shiraiego. Występując publicznie politycy japońscy tradycyjnie demonstrowali dobre maniery, chłód i opanowanie, Shirai natomiast swoim zachowaniem bardziej przypominał Amerykanina niż Japończyka, choć jego hasła były antyamerykańskie.

W chwilę potem Joan Lunden zapowiedziała prognozę pogody i na ekranie pojawiła się mapa upstrzona liniami i strzałkami.

Dzikus i Akira dalej wpatrywali się w ekran jak zahipnotyzowani.

— Kto to był? — zapytała Rachel.

— Kunio Shirai — odpowiedział Dzikus.

— Ale to nie jest jego nazwisko — westchnął Akira.

— A przynajmniej nie to, które nam podano. — Dzikus odwrócił się do Rachel. — Tamto nazwisko brzmiało Muto Kamichi. „Górskie Ustronie” w Medford Gap i człowiek, do którego ochrony zostaliśmy najęci. Człowiek, którego zabito.

— Myśmy przeżyli, choć każdy z nas widział śmierć drugiego — powiedział Akira. — Nigdy jednak nie wątpiłem w śmierć Kamichiego. Nigdy mi to nie przyszło do głowy. W koszmarnych snach wciąż widzę miecz, który przecina go na pół.

- I krew, tyle krwi.
- Na twarzy Akiry widać było zdecydowanie.
- Teraz już wiemy, co robić.
- Tak — warknął Dzikus. — I dokąd jechać.
- Nie rozumiem — powiedziała Rachel.
- Do Japonii.

### III.

#### Kraina Bogów

#### Sztuki pokoju i walki

Dzikus miał nadzieję, że nikt nie widział, jak opuszczali motel. Akira, jak poprzednio, leżał na podłodze z tyłu samochodu, ale Rachel po ufarbowaniu włosów mogła zająć miejsce obok Dzikusa. Teraz studiowała mapę drogową.

— Najbliższe duże lotnisko jest w Raleigh, sto pięćdziesiąt mil na zachód.

— Nie, Raleigh nie nadaje się — odrzekł Dzikus. — Stamtąd lata niewielu Japończyków, więc Akira z pewnością zwracałby uwagę. — Kiedy dojechali do autostrady, skierował się na pomocny zachód. — Czy ta droga omija Virginia Beach?

Rachel spojrzała na mapę.

— Tak, ale dokąd jedziemy?

— Do Waszyngtonu, na Międzynarodowe Lotnisko imienia Dullesa. Japończycy często z niego korzystają, toteż Akira nie będzie się wyróżniał.

Przejechawszy jeszcze parę mil, Dzikus skręcił na parking dla ciężarówek. Stał daleko od innych pojazdów, aby nikt nie mógł zajrzeć na tylne siedzenia taurusa. W budce telefonicznej wyszukał w książce tanie połączenia i zadzwonił do kilku linii lotniczych. Oczywiście łatwiej byłoby zadzwonić z motelu, ale nie chciał zostawiać za sobą żadnych śladów.

— Mamy szczęście — powiedział, wsiadając znów do samochodu. — Udało mi się zarezerwować trzy miejsca na lot American Airlines.

— O której odlatuje? — zapytał Akira.

— Jutro rano, za dziesięć ósma.

— Ale lotnisko Dullesa jest...

— O czterysta mil stąd, uwzględniając okrężną trasę, którą jesteśmy zmuszeni pojechać, żeby ominąć wschodnią część Wirginii — powiedział Dzikus. — Kontrola bezpieczeństwa na lotnisku trwa dłużej dla lotów transkontynentalnych. Mamy tylko ręczny bagaż, to nam oszczędzi czasu. Ale i tak, żeby odebrać bilety i mieć pewność, że zdążymy na samolot, musimy być na lotnisku najpóźniej o piątej rano.

— Zdążymy? — spytała Rachel. Dzikus spojrzał na zegarek.

— Czterysta mil przez resztę dnia? Zrobi się. Nawet jeśli na drodze będzie tłok, będziemy w Waszyngtonie dziś wieczór.

Pomimo pewności w głosie odruchowo przyspieszył, natychmiast jednak zreflektował się i zwolnił do dozwolonej szybkości. Nie mogli sobie pozwolić na to, żeby zatrzymał ich patrol policji drogowej.

— Mamy mnóstwo czasu — powiedział po chwili.

— Powinniśmy go więc wykorzystać — stwierdził Akira. — Musimy się wiele nauczyć.

— Co masz na myśli? — spytał Dzikus.



— O ile wiem, żadne z was nie było dotychczas w Japonii. Dzikus i Rachel potwierdzili.  
— No tak — powtórzył Akira. — Musicie się wiele nauczyć.  
— Czytałem różne książki o Japonii — powiedział Dzikus.  
— Ale ja nie wiem, czy to były dobre książki i czy zapamiętałeś z nich to, co najważniejsze — odrzekł Akira. — A Rachel najwyraźniej wie o Japonii tyle co nic.  
— To prawda — przyznała Rachel.  
— Musicie być przygotowani na to, że już wkrótce zetkniecie się z całkowicie odmienną kulturą. Zachowania zupełnie dla was naturalne mogą zostać uznane za grubiaństwo. I odwrotnie — to, co wam się wyda obrażą, może być oznaką szacunku. Przebywając na Zachodzie nauczyłem się zachowywać tak jak jego mieszkańcy, dostosowałem się do waszego systemu wartości i przyjąłem wasz sposób myślenia, być może więc uważacie, że Amerykanów od Japończyków różni, poza językiem, jedynie dobór ulubionych potraw i kolor skóry. W rzeczywistości jednak różnice między nami są znacznie większe. Abyśmy mogli wyjść cało z groźących nam opresji, musicie postępować według moich wskazówek, a przynajmniej spróbować nauczyć się tego, bo nie mamy zbyt wiele czasu.

Boeing 747 unosił się na wysokości dwunastu kilometrów nad • połyskliwą powierzchnią Pacyfiku. Dzikus żałował, że nie może słuchać Akiry przez całą długą podróż. Jednakże miejsca, jakie udało im się zdobyć, znajdowały się w różnych punktach, daleko od siebie, i Dzikus ze swego fotela nie mógł nawet dostrzec Japończyka.

Co gorsza, nie widział również Rachel.

Bardzo go to denerwowało. Obrońca powinien być zawsze blisko swojego pryncypała, którego miał chronić. Ponadto z pewnym oporem zdał sobie sprawę, że obok profesjonalnej potrzeby sprawowania opieki nad klientem narodziło się w nim jeszcze inne pragnienie. Przywykł do troszczenia się o innych, nigdy nie dbał o swoje własne bezpieczeństwo, ale teraz to się zmieniło. Jak mógł być czegokolwiek pewien, jeśli dręczyły go koszmarne sny, w których nieboszyk znowu powracał do życia? Jak mógł zawierzyć swemu poczuciu rzeczywistości? Musiał mieć coś, na czym mógłby polegać. Miłość dawała mu takie oparcie.

Spojrzał przez okno. Od wielu godzin w dole nie było widać niczego poza oceanem. Rozumiał teraz, czemu Akira powiedział, że na wschód od Japonii jest już tylko zachód. Stało się dla niego oczywiste, dlaczego Japończycy czuli się tak silnie związani ze słońcem. W starożytności świetlista kula, która każdego dnia zdawała się wyłaniać z bezmiernych przestworzy oceanu, z pewnością wywierała ogromne wrażenie na ludziach. To był kraj wschodzącego słońca i taki symbol widniał na japońskiej fladze państwowej. Jak to powiedział Akira? „Japonia to jedyny kraj, którego tradycja głosi, że jego obywatele są potomkami bogów, a w szczególności jednego bóstwa — Amaterasu, bogini Słońca.”

Dzikus poczuł w uszach zmianę ciśnienia. Nie potrzebował słuchać komunikatu pilota, aby stwierdzić, że samolot zaczął się obniżać. Przysunął się bliżej do okna. Niebo było bezchmurne, tylko na horyzoncie unosił się opar, z którego wkrótce zaczęły się wyłaniać zarysy linii brzegowej. Dzikus dostrzegł statki wyglądające jak okruszki na tle oceanu, a po kwadransie widział już domy, stłoczone wzdłuż wybrzeża.

„Japonia ma sto dwadzieścia pięć milionów ludności — opowiadał mu Akira — co czyni z niej szósty kraj na świecie pod względem zaludnienia. Jej całkowita powierzchnia jest mniej więcej równa obszarowi Montany, ale trzy czwarte kraju stanowią góry i większość moich rodaków mieszka w pasie przybrzeżnym. Tak więc naprawdę przestrzeń, na której żyje owe sto dwadzieścia pięć milionów ludzi, jest mniejsza niż wasz stan Connecticut.”

Odrzutowiec schodził coraz niżej. Patrząc na ciasno ściśnięte budynki na wybrzeżu, Dzikus nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu. Akira wyjaśnił mu, że ponad trzysta lat temu Japończycy postanowili rozwiązać problem nadmiernego zatłoczenia przez rozszerzenie swych granic. Przemieszczając masy ziemi, poszerzyli pas niziny nadbrzeżnej i prace te trwają po dziś dzień, dzięki czemu ponad czterdzieści procent wybrzeża, w tym również część Tokio, to tereny wydarte morzu.

Dzikus zorientował się, że opar, w który zanurzył się samolot, nie był mgłą ani niskimi chmurami, lecz warstwą miejskiego smogu. Mimo to zdołał jeszcze zobaczyć niewyraźne zarysy postrzępionych łańcuchów górskich w głębi lądu i przytłaczający pejzaż ciągnących się jedno za drugim i zlewających się ze sobą miast. Nie mógł nie zauważyć, jaka ironia kryła się w tym, że naród tak znany z troski o przyrodę sam żyje w miejskim środowisku. Dobrym tego przykładem była historia lotniska Narita, ku któremu kierował się boeing.

W 1966 roku, kiedy na skutek szybkiego rozwoju gospodarczego pojawiła się potrzeba wybudowania nowego, większego lotniska międzynarodowego, rząd Japonii wyznaczył pod tę inwestycję cenne tereny rolnicze na wschód od Tokio. Zamiast jednak pertraktować z przeciwnymi tej decyzji rolnikami, władze przymusowo wykupiły ziemię po zaniżonej cenie. Rolnicy rozpoczęli burzliwe protesty. Poparli je okoliczni mieszkańcy, którzy cenili swój spokój i bali się uciążliwego sąsiedztwa lotniska. Do demonstracji dołączyli wkrótce studenci i rozmaite ugrupowania antyrządowe, wzniesząc taki chaos, że lotnisko Narita przez siedem lat po ukończeniu robót nie mogło być otwarte. Akcja protestacyjna trwała nadal. W wyniku wybuchów bomb i zamachów z bronią w rękę zginęło przynajmniej trzynaście osób, a liczba rannych przekroczyła osiem tysięcy. Wizytujący Japonię przywódcy innych państw byli nieraz zmuszeni, ze względu na bezpieczeństwo, do lądowania na starym lotnisku Haneda, położonym w obrębie Tokio. Nawet teraz, kiedy samolot już wylądował, Dzikus zauważył patrole policyjne, uzbrojone transportery, zasieki i wieżyczki strażnicze oraz kilka pierścieni wysokich płotów wokół Narity. Mimo wszystko lotnisko rozbudowywało się i niewiele już zostało z tego, co niegdyś było idyllicznym zakątkiem. To właśnie był postęp.

Dzikus czuł ból w nogach po siedemnastu godzinach lotu. Według czasu miejscowego była czwarta po południu, ale jego zegar wewnętrzny wskazywał pierwszą w nocy. Wysiadł z samolotu wyczerpany, pozwalając się potrącać i poszturchiwać przez tłum współpasażerów. W hali przylotów czekali Akira i Rachel, oboje równie zmęczeni. Dzikus podszedł do nich i zanim zorientował się, co robi, objął i przytulił Rachel.

— Boże, jestem wykończona — powiedziała. — Czuję się, jakby przybyło mi z pięć kilo. Jak tylko usypiałam, budzono mnie na kolejny posiłek.

Akira uśmiechnął się, choć jego oczy pozostały smutne.

— Tędy idzie się do kontroli celno-paszportowej — powiedział. Odprawa trwała długo, ale przebiegła bez zakłóceń. Idąc przez

hałaśliwy i zatłoczony dworzec lotniczy ku wyjściu, Dzikus był coraz bardziej zakłopotany. Nigdy jeszcze nie czuł się tak bardzo nie na miejscu, tak nieprzyjemnie świadomy swej przynależności do białej rasy jak tu, otoczony przez tysiące Japończyków. Jego skóra wydawała mu się nienaturalnie blada, ciało zbyt duże, a ruchy niezgrabne. Dzikus zastanawiał się, czy Akira odczuwał podobne zakłopotanie na Zachodzie, w otoczeniu samych białych.

— Zaraz sprowadzę taksówkę — powiedział Akira.

— A dokąd pojedziemy? — spytała Rachel.

W oczach Akiry duma na chwilę zajęła miejsce smutku.

— W najbardziej wyjątkowe miejsce na świecie.

Odziany w skórę szofer prowadził samochód przez labirynt wąskich i zatłoczonych ulic północnego Tokio. Ruch i hałas był oszałamiający nawet dla kogoś, kto przywykł do Nowego Jorku. Podczas czterdziestopięciminutowej drogi do miasta uwagę Dzikusa zwróciło wariackie pomieszanie stylów architektonicznych mijanych budynków. Hotele i biurowce zachodniego typu sąsiadowały bezpośrednio ze świątyniami i wiśniowymi sadami.

W granicach miasta przeważała jednak zabudowa w stylu zachodnim, jedne przy drugich tłoczyły się drapacze chmur, supermarkety i budynki mieszkalne, podobne do klocków z betonu. Spomiędzy nich wystrzelała konstrukcja ze stalowych kratownic,

przypominająca wieżę Eiffia.

— W ostatnich miesiącach Wielkiej Wojny Wschodnioazjatyckiej, to znaczy drugiej wojny światowej — poprawił się Akira — dywanowe naloty amerykańskie i będące ich konsekwencją ogromne pożary zniszczyły wiele dzielnic Tokio. Zginęło wtedy ponad sto tysięcy ludzi. Panował kompletny chaos, trzeba było szybko odbudować miasto i nikt nie miał czasu zadbać o nadanie odbudowie planowego charakteru. Liczyło się wówczas co innego. Spadkiem po tym okresie jest niełatwy do przeniknięcia labirynt tokijskich ulic. W ciągu siedmiu lat amerykańskiej okupacji wojskowej budownictwo w zachodnim stylu wyparło tradycyjną architekturę.

Dzikus przypatrywał się mijanym ulicom. Przechodnie ubrani byli na zachodnią modłę, importowane z Ameryki restauracje serii „Ken-tucky Fried Chicken” sąsiadowały z tradycyjnymi barami sushi, a japońskim ideogramom na reklamach często towarzyszyło angielskie tłumaczenie.

Akira podał kierowcy dodatkowe instrukcje. Taksówka skręciła za róg, minęła parę sklepów i domów mieszkalnych w amerykańskim stylu i zatrzymała się przy wysokim kamiennym murze, pośrodku którego widniała brama z polerowanego drewna.

Podczas gdy Akira regulował rachunek, Dzikus zastanawiał się, czemu przywiózł ich właśnie tutaj. Już sięgał do klamki, kiedy przypomniał sobie niezwykłą konstrukcję japońskich taksówek, poczekał więc, aż kierowca pociągnął za dźwignię, która otwierała drzwi dla pasażerów.

Dzikus wysiadł i stanął na chodniku wraz z Rachel i Akirą. Wyjęli torby podróżne z bagażnika, który również obsługiwany był zdalnie, i obrócili się w stronę muru.

Mur był dwa razy wyższy od Dzikusa. Co się za nim kryło? Ta myśl tak go absorbowała, że nawet nie zauważył odjazdu taksówki. Spojrzał na Rachel i pytająco podniósł brwi, ale ona potrząsnęła głową — również nie wiedziała, gdzie przyjechali.

Akira zbliżył się do domofonu w murze obok bramy i nacisnął guzik. Po paru sekundach usłyszeli słaby kobiecy głos, który powiedział coś po japońsku. Odpowiedź Akiry wywołała natychmiastową reakcję kobiety, w tonie jej głosu brzmiał teraz szacunek i radość. Akira obrócił się do Dzikusa i Rachel.

— W porządku. Przez chwilę obawiałem się, że sprowadziłem was do kolejnego fałszywego wspomnienia. ! — Do najbardziej wyjątkowego miejsca na świecie? Akira przytaknął skinieniem głowy.

Zza drzwi dobiegło stukanie i szcęk. Brama otworzyła się do wewnątrz i Dzikus stanął oko w oko ze starszą kobietą, ubraną w sandały i bajecznie kolorowe kimono, pierwszy tradycyjny ubiór, jaki zobaczył od chwili przyjazdu.

Kimono z gładkiego, połyskliwego jedwabiu pokrywał zawily wzór kwiatowy. Dzikus usłyszał, jak Rachel westchnęła z zachwytem.

Kobieta miała długie siwe włosy, zwinięte z tyłu głowy w węzeł, umocniony ozdobnym bambusowym grzebieniem. Oparła o wewnętrzną ścianę muru grubą drewnianą belkę, złożyła dłonie i ukloniła się Akirze. Akira odwzajemnił ukłon, powiedział coś, co wywołało uśmiech na jej twarzy, i gestem zaprosił Rachel i Dzikusa do środka.

Weszli i kobieta zamknęła za nimi bramę, zabezpieczając ją drewnianą belką. Dzikus był tak zdumiony tym, co zobaczył, że zatrzymał się i postawił bagaż na ziemi.

Stał na ścieżce wysypanej białymi kamykami. Po lewej i prawej stronie ścieżki rozpościerał się złocisty, starannie zagrabiony piasek. Ślady grabi tworzyły falisty wzór, który stanowił doskonale tło dla rozmieszczonych tu i ówdzie odłamków wulkanicznych skał. Każdy z kamieni miał inną wielkość i kształt, inne krawędzie i spękania. Ich urodę podkreślały krzewy kryptomerii, dwa po prawej i jeden po lewej stronie.

Całość tworzyła harmonijną kompozycję, w której żaden element nie klócił się z pozostałymi. Wysoki mur tłumił hałas ulicy do tego stopnia, że Dzikus mógł usłyszeć cichy szmer wody.

U końca krętej ścieżki Dzikus ujrzał parterowy dom. Był to zwykły, prostokątny drewniany budynek. Jego pokryty dachówką dach, wsparty na symetrycznie

rozmieszczonych słupach, wystawał poza ściany, tworząc ze wszystkich stron podcienia. Skraj dachu był lekko wywinięty ku górze, co Dzikusowi kojarzyło się z zakrętami ścieżki i falującymi wzorami na piasku.

Dwa okna, które znajdowały się dokładnie pośrodku pomiędzy drzewami i słupami narożnymi, zasłaniały bambusowe rolety; spoza nich sączyło się światło lamp.

Czystość, harmonia, piękno i ład.

— Tak — odezwała się Rachel. Zmierzyła wzrokiem widoczne wokół przytłaczające masywy betonowych bloków, po czym ponownie skupiła uwagę na domu i jego ogrodzie. — To rzeczywiście najbardziej wyjątkowe miejsce na świecie.

— Czuję się, jakbym przeszedł przez szczelinę w czasie — powiedział Dzikus — ale tylko do połowy. Część mnie przebywa wciąż w teraźniejszości, podczas gdy druga część jest w...

— ...przeszłości — dokończył Akira. — Na zewnątrz przeszłość jest przyczyną naszych kłopotów, ale tu dodaje mi otuchy.

— Ale skąd...

— Ten dom był własnością mego ojca. Mówiłem ci już kiedyś, że po wojnie prowadził warsztaty przerabiające wojskowe samoloty na użytek cywilny i stał się do pewnego stopnia niezależny finansowo. Większość zarobionych pieniędzy wydał na zakup tej posiadłości. W pięćdziesiątym drugim roku ten teren znajdował się na przedmieściach Tokio, nawet wtedy jednak ziemia była droga, kupił więc tylko tyle. Nie było wtedy tej ulicy za murem, no i oczywiście budynków, które nas otaczają, ale ojciec przewidywał, co przyniesie przyszłość, i tęsknił za przeszłością, za spokojem, jakiego zażywał jako mały chłopiec na wsi, wiele lat przed wojną. Dlatego właśnie zbudował ten dom w starym stylu, a po ukończeniu budowy otoczył go murem i co dzień po pracy komponował ogród. Cierpliwe zestawianie elementów zajęło mu piętnaście lat. Niekiedy godzinami się zastanawiał, po czym powoli przykucał i ostrożnie przesunął parę kamyków. Zanim zmarł w szpitalu po potrąceniu go przez samochód, skarżył się, że nie dane mu było ukończyć pracy nad ogrodem. Pracuję wciąż nad nim przez pamięć o ojcu.

Rachel dotknęła jego ramienia.

— Jest piękny.

— Arigato. — Akira wyprostował się i pokonując wzruszenie wskazał ręką niemłodą Japonkę. — To Eko. Prowadziła dom dla mojego ojca.

Odezwał się do niej po japońsku. Pośród niezrozumiałych słów Dzikus rozróżnił imię Rachel i swoje własne. Eko skłoniła się im, więc oboje także odpowiedzieli jej ukłonem.

Na ścieżce zazgrzytały kroki. Od strony domu zbliżał się ku nim szczupły młodzieniec o pociągłej twarzy i wysokim czole. Nosił beżowe kimono karateki, zwane gi, przewiązane brązowym pasem, a na nogach, jak Eko, miał sandały.

— To Churi, wnuk Eko — przedstawił go Akira.

Nastąpiła kolejna wymiana ukłonów.

— Kiedy jestem w domu — powiedział Akira — próbuję pełnić rolę sensei dla Churiego. Zrobił niezwykle postępy w sztukach walki, ale powinien jeszcze udoskonalić fechtunek. Musicie wiedzieć, że ani Eko, ani Churi nie znają angielskiego, ale jestem pewien, że będą wyprzedzać wasze życzenia.

— Jesteśmy ci wdzięczni za twoją gościnność — powiedziała Rachel.

— Masz japońską duszę. — Akira przyjrzał się jej z aprobatą, a potem powiedział coś do Eko i Churiego, którzy pospiesznie odeszli. — Będę zaszczycony — zwrócił się do Rachel i Dzikusa — jeśli zechcecie wejść do domu.

Wszedłszy na niską werandę, Dzikus zsuł buty, starając się • wyprzedzić Akirę, chciał bowiem dać mu do zrozumienia, że dobrze pamięta jego lekcje. Rachel też zsunęła pantofle. Widząc to, Akira z zadowoleniem pokiwał głową, postawił swoje buty obok ich obuwia, otworzył drzwi i cofnął się, aby przepuścić ich do środka.

Lampy przy oknach rzucały ciepłe, delikatne światło. Wdychając zapach kadzidła

Dzikus patrzył z podziwem na belki stropowe z wypolerowanego drewna. Odstępy pomiędzy nimi i odsunięcie ich od sufitu sprawiało, że pokój wydawał się znacznie obszerniejszy. Białe, podzielone na sektory ściany były zrobione z papieru, na który padały cienie przedmiotów znajdujących się w sąsiednich pokojach. Podłogę pokrywały prostokątne maty ze słomy ryżowej, zwane, jak im to powiedział Akira, tatami. Ich sprężyste, ciasno splecione włókna przyjemnie masowały stopy.

Rachel podeszła do wiszącego na ścianie rysunku, który przedstawiał gołębia na bezlistnej gałęzi. Obrazek wykonany był tuszem, oszczędną, lecz pełną ekspresji kreską.

— Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek zobaczę coś tak... — Kiedy odwróciła się, jej oczy błyszczały.

— Pochodzi z szesnastego wieku — powiedział Akira. — Kolekcjonowanie klasycznej sztuki japońskiej to moje hobby. Jest to niewątpliwie kosztowna pasja, ale daje mi wiele satysfakcji. — Dotknął części ściany i przesunął ją w prawo, otwierając wejście do sąsiedniego pokoju. — Czy chciałabyś zobaczyć inne?

— Bardzo proszę.

Przez następne dwadzieścia minut Dzikus miał nierealne uczucie przeniesienia w przeszłość, które wzmagало się w miarę, jak Akira prowadził ich z pokoju do pokoju, rozsuwając kolejne ściany i pokazując coraz wspanialsze dzieła sztuki japońskiej: jedwabne parawany, rzeźby, ceramikę, rysunki tuszem. Wykwintna prostota tych obrazów, przedstawiających przyrodę lub żołnierzy w walce, sprawiała, że Dzikus często wstrzymywał oddech, jakby w lęku, że może zniweczyć subtelność doznań estetycznych.

— Wszystkie te rzeczy, które wam pokazałem, mają jedną wspólną cechę — powiedział Akira. — Zostały wykonane przez samurajów.

Rachel nie mogła ukryć zdziwienia.

— Ludzi wojennego rzemiosła, poświęcających się sztukom pokoju — dokończył Akira.

Dzikus przypomniał sobie, co Akira opowiadał wcześniej. Samurajowie doszli do znaczenia w dwunastym wieku, kiedy to lokalni wojskowi władcy, daimyo, zaczęli odczuwać gwałtowną potrzebę posiadania drużyn, złożonych z lojalnych wojowników, aby móc sprawnie kontrolować swoje posiadłości. W następnym stuleciu do Japonii sprowadzono z Chin zen, odmianę buddyzmu, który już dużo wcześniej przyszedł z Korei. Nacisk, jaki kładła ta religia na dyscyplinę zarówno ciała, jak i ducha, bardzo odpowiadał samurajom, którzy potrafili docenić korzyści płynące ze zharmonizowania tych dwóch przeciwstawnych dotąd stron ich ego. Działanie bez myślenia, to znaczy natychmiastowe, instynktowne reagowanie na bodźce, dawało przewagę nad przeciwnikiem, który planował ciosy. Medytacja zen pozwalała wyzbyć się emocji i osiągnąć wewnętrzny spokój. Samurajowie uczyli się nie bać śmierci i nie pragnąć zwycięstwa, dzięki czemu przystępowali do walki skupieni i przygotowani na każdą — nawet najgorszą — ewentualność.

— Przez pewien czas klasy rządzące pogardzały prostymi wojownikami, w których ręce złożyły swe bezpieczeństwo — mówił Akira. — Samurajowie wyuczyli się więc sami dworskich manier i wszelkich innych umiejętności, aż w końcu znacznie przewyższyli poziomem snobistyczną elitę. Te malowidła, rzeźby i ceramika są wspaniałym przykładem twórczego oddziaływania doktryny zen na samurajów, jednak najdoskonalszym dziełem ich sztuki jest miecz.

Akira otworzył jeszcze jedno przejście i poprowadził Dzikusa i Rachel ku wiszącym na ścianie mieczom w pochwach.

— Samuraj rozpoczynał dzieło tworzenia narzędzia swojej pracy od medytacji. Po oczyszczeniu samego siebie i swojego warsztatu nakładał białą szatę i dopiero wtedy rozpoczynał długą i żmudną procedurę nakładania jednej warstwy stali na drugą, a następnie rozgrzewania ich, zwijania i wielokrotnego, cierpliwego kucia. Gotowy miecz musiał mieć idealną sprężystość i idealną twardość, dzięki czemu klinga łatwo poddawała się naciskowi i długo zachowywała ostrość — zupełnie tak samo, jak duch i ciało samuraja. Długich mieczy używano do walki, krótkie zaś, takie jak ten — Akira zdjął jeden ze ściany i

wyjął go z pochwy, a następnie obrócił kilkakrotnie, aż ostrze rozbłysło odbitym światłem — służyły do seppuku, rytualnego samobójstwa. Jeżeli samuraj zawiódł w bitwie lub ciężko obraził swego pana, zobowiązany był do odebrania sobie życia przez otwarcie brzucha. Tego wymagał kodeks honorowy. — Akira westchnął, schował miecz do pochwy i odwiesił go na ścianę. — Zachowuję się jak człowiek Zachodu. Wybaczcie mi moją gadatliwość.

— Nie przepraszaj. Słuchałam jak zaczarowana — powiedziała Rachel.

— Jesteś bardzo uprzejma. — Wydawało się, że Akira chciał powiedzieć coś jeszcze, ale urwał i odwrócił się, gdyż właśnie weszła Eko, skłoniła się i coś powiedziała. — Kąpiel gotowa — wyjaśnił Akira swoim gościom.

Po kolei umyli się w połyskującej nieskazitelną bielą kabinie prysznic, która znajdowała się w głębi domu, i owinięci w ręczniki spotkali się ponownie na dyskretnie oświetlonym tylnym ganku.

— Umycie się jest tylko wstępem do kąpieli — powiedział Akira. — Aby czuć się naprawdę wykąpanym, trzeba nasiąknąć.

— W basenie z gorącą wodą? — zapytała Rachel.

— Obok elektryczności i kanalizacji basen to kolejne moje ustępstwo na rzecz dwudziestego wieku. Tak jest łatwiej utrzymać odpowiednią temperaturę wody.

Basen obudowany był drewnem, ale jego wnętrze wykonano z plastiku. Znajdował się w lewym krańcu ganku, pod okapem, który dawał wrażenie intymności. Z powierzchni wody buchała para.

Rachel weszła po stopniach na platformę, zanurzyła stopę w wodzie i natychmiast ją cofnęła.

— Parzy!

— To tylko pierwsze wrażenie — powiedział Akira. — Zanurzaj się powoli, a twoje ciało się dostosuje.

Nie wyglądała na specjalnie przekonaną.

— Kąpiel musi być bardzo ciepła — zapewnił ją Akira i, aby potwierdzić swoje słowa, bez wahania zanurzył się po szyję.

Zagryzając wargi, Rachel ostrożnie poszła w jego ślady.

Dzikus śmiało dołączył do nich, skacząc do wody, i aż go zatkało.

— Mój Boże, ależ to ukrop! — zawołał.

Rachel wybuchnęła śmiechem. Za chwilę wszyscy, nawet Akira, zaśmiewali się i opryskiwali wodą.

Po paru minutach Dzikus zauważył, że gorąco nie dokucza mu już tak bardzo. Ciepło przenikało w głąb mięśni, usuwając zmęczenie. Oparł się o krawędź basenu, zanurzony powyżej ramion w wodzie, i zaczął z zachwytem przyglądać się Rachel.

Mokre włosy miała szesane za uszy, co podkreślało kształt jej głowy i delikatne rysy twarzy. Skroplona para połyskiwała na zarumienionych policzkach. Błękitne oczy, wciąż jeszcze roziskrzane od śmiechu, przypominały szafiry. Poczul, że jej stopa trąca jego stopę. Uśmiechnął się i przeniósł wzrok poza ganek, w stronę ogrodu na tyłach domu.

Choć zapadł już mrok, blask lamp w oknach i światło na ganku pozwalały dostrzec niewyraźne zarysy skał i krzewów.

Z oddali dobiegał szmer wody.

— Tam jest sadzawka, ale nie widać jej po ciemku — powiedział Akira, jak gdyby wiedząc, o czym myśli Dzikus.

— Ze złotymi rybkami i liliami wodnymi?

— Bez nich nie byłaby to prawdziwa sadzawka.

— Oczywiście. — Dzikus wciąż się uśmiechał.

— Tu jest tak pięknie. Dlaczego w ogóle się stąd ruszałeś? — spytała Rachel.

— Chciałem być użyteczny.

— To teraz nasz wspólny kłopot.

— Nie jedyny — dodał Akira, płosząc czar i sprowadzając Dzikusa z przeszłości znów do teraźniejszości. — Nie byłem w Japonii od czasu, kiedy Muto Kamichi wynajął mnie do ochrony.

— Od kiedy ci się wydaje, że wynajął cię do ochrony — poprawił go Dzikus.

— Falszywe wspomnienie — zgodził się Akira.

— Ale już wiemy, że jego nazwisko brzmi nie Muto Kamichi, lecz Kunio Shirai...

— Wojowniczy neonacjonalistyczny polityk. Wcześniej, zanim jeszcze zaczął się nasz koszmar, nigdy o nim nie słyszałem. Oczywiście w Japonii istnieją ultrakonserwatywne grupy, które głoszą antyamerykanizm, lecz są małe i nie mają wpływu. Natomiast ten człowiek, którego widzieliśmy w telewizji, potrafił zapewnić sobie poparcie tysięcy studentów. Komentator powiedział, że Shirai dysponuje dostateczną siłą, by doprowadzić do rozłamu w największej partii Japonii. To wszystko brzmi bezsensownie. Kim jest ten człowiek? Skąd się wziął? Jak zdołał tak szybko zdobyć popularność?

— I co wy obaj macie z nim wspólnego? — spytała Rachel. — Kto chce wam wmówić, że pół roku temu widzieliście jego śmierć?

— Jutro poznamy odpowiedzi na niektóre z tych pytań — powiedział Akira.

Dzikus spojrzał na niego zezem.

— Skąd?

— Z rozmowy z pewnym mądrym i świętobliwym człowiekiem. Dla Dzikusa nie było to zbyt jasne, zanim jednak zdążył poprosić

Akirę o więcej szczegółów, na ganku pojawiła się Eko, ukloniła się i wypowiedziała kilka japońskich słów. Choć Dzikus i Rachel nie znali języka, wyczuli w tonie jej głosu pytanie.

— Ona chciałaby wiedzieć, czy nie jesteście głodni — przetłumaczył Akira.

— O Boże, nie — zaprotestowała gwałtownie Rachel. — Wciąż jeszcze trawię te fury żywności, jakie wmusili w nas w samolocie.

— Ja też dziękuję — powiedział Dzikus, i Akira odesłał Eko.

— Tak mi dobrze. — Rachel ziewnęła. — Woda jest taka kojąca, że mogłabym usnąć tu na miejscu.

— Wszystkim nam należy się trochę snu — powiedział Akira. Wyszedł z basenu i owinął mokrym ręcznikiem biodra. W tym momencie, jak na dany sygnał, znów pojawiła się Eko, niosąc trzy płaszcze kąpielowe. Akira założył jeden, a pozostałe wręczył Dzikusowi i Rachel, którzy też wyszli z kąpeli. — Zaprowadzę was do waszych pokoi.

Wewnątrz domu, w ciasnym korytarzu, Akira rozsunął ścianę, otwierając wejście do dwóch sąsiadujących ze sobą pokoi. W każdym z nich na niskim stoliku stała zapalona lampa. Na zaścielających podłogę matach tatami leżały materace, zwane futonami, które, jak wyjaśnił Akira, za dnia były rolowane i przechowywane w szafach. Na każdym materacu leżała poduszka i koc. Bagaże Rachel znajdowały się w pokoju po lewej stronie, torba Dzikusa stała po prawej.

— Mój pokój znajduje się po drugiej stronie korytarza — powiedział Akira. — Dom wyposażony jest w instalację alarmową, tak samo jak mur. Poprosiłem Churiego, żeby stanął na warcie. Można polegać na nim i jego umiejętnościach. Śpijcie spokojnie. o-yasumi nasai, czyli po waszemu „dobranoc”.

Uklonił się, wszedł do swojego pokoju i zasunął za sobą drzwi. Dzikus odwrócił się do Rachel. Czuł się dziwnie niezręcznie, kiedy powiedział:

— Zobaczmy się rano.

— Tak. — Rachel wyglądała na równie skrepowaną. Pocałował ją. Zaprzagnął poprosić, żeby przyszła do jego pokoju,

ale w tym domu panowała atmosfera świątyni i na dodatek Akira przydzielił im osobne pokoje, więc byłoby niedelikatnie zmieniać jego ustalenia. Co więcej, ściany były tak cienkie, że Akira mógłby czuć się zakłopotany odgłosami ich intymnego zbliżenia.

— Dobranoc, kochanie — powiedziała Rachel przez ściśnięte gardło. — o-yasumi nasai.

Dzikus pogłaskał ją po policzku i cicho wyszeptał to samo japońskie pożegnanie, po czym z ociąganiem wszedł do swego pokoju i zasunął drzwi.

Stał nieruchomo, czekając, aż uspokoi mu się oddech i serce wróci do normalnego rytmu. Na stoliku leżała czarna piżama. Kiedy ją zakładał, zauważył, że na półeczce położono szczoteczkę do zębów i małą tubkę pasty. Obok stała szklanka z wodą, a poniżej pomarań-czowo-niebieska porcelanowa miska, również napelniona.

Akira zadbał o wszystko, pomyślał.

Zmęczenie dawało znać o sobie. Ospale wyszorował zęby, zgasił światło i ułożył się na futonie. W ciemności przez ścianę obok widział słabe światło z sąsiedniego pokoju, a na jego tle poruszający się cień Rachel. Potem lampa zgasła i usłyszał, jak Rachel mości się na swoim materacu. Wpatrzył się w ciemny sufit rozmyślając o tym, co ich tu przywiodło, co ich mogło spotkać jutro i jakie mieli szansę przeżycia.

Nie mamy wyboru. Musimy podjąć ryzyko, jesteśmy skazani na to, żeby iść dalej. Ale jeśli przeżyjemy, co będzie z Rachel i ze mną? Może ona chce tylko czuć się teraz bezpieczna, po prostu mieć kogoś oddanego, kto by ją ochraniał?

A może na tym właśnie polega miłość? Czyż nie pragniemy wszyscy czuć się bezpiecznie? Nie zapominaj, że miała już okazję odejść. Ryzykuje własnym życiem tylko po to, by być z tobą. Więc o co chodzi? Co cię gryzie?

Obawiam się, że jeśli zaangażuję się na dobre... Kiedy ona spostrzeże, że jej obrońca jest tylko człowiekiem i tak jak inni nie jest wolny od wad, może zechcieć odejść.

Potrząsnął głową. Dość tego myślenia. Co to Rachel ciągle powtarza? „Abraham wierzył prawem absurdu.” Wiara jest absurdalna, i miłość też. Musisz zaufać.

Nie martw się o przyszłość, liczy się tylko teraźniejszość. Obrócił się w stronę ściany, która dzieliła go od Rachel. Uświadomił sobie nagle, że Akira kazał położyć materace jego i Rachel tuż przy ścianie dzielącej ich pokoje — gdyby nie ona, mógłby dotknąć Rachel wyciągniętą ręką. Właśnie, ściana...

Serce zabiło mu szybciej, kiedy zrozumiał, jak delikatnie postąpił Akira. Zamiast niedyskretnie dopytywać się, czy woleliby jeden pokój czy dwa, zostawił im wolną rękę w rozstrzygnięciu tego problemu. Wszystko, co Dzikus musiał zrobić, to...

Wyciągnął rękę i przesunął część ściany w bok. Ujrzał zarys ciała Rachel. Była od niego zaledwie o metr, a ponieważ jego wzrok przywykł już do ciemności, widział, że leży na boku, twarzą do niego. Oczy miała otwarte i uśmiechała się.

Uniósł koc. Szybko wsunęła się na jego materac i kiedy naciągnął koc, miał wrażenie, że leżą oboje w śpiworze w namiocie.

Usta trafiły na usta i serce zabiło mu szybciej. Objęli się mocno. Ich pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne. Jednocześnie oboje zaczęli nawzajem zsuwać sobie spodnie od piżam. Przesunął palcami po jej udach, pieścił brzuch i piersi.

— Chodź — zamruczała.

Z głową wciąż schowaną pod kocem uniósł jej bluzę od piżamy i zaczął całować sutki, które twardniały pod dotykiem jego warg.

— Chodź — powtórzyła.

Westchnęła, kiedy w nią wszedł, a on starał się poruszać ostrożnie, by nie sprawić jej bólu.

Kiedy doszli do szczytu, ich pocałunek był tak głęboki, że Akira nie mógł ich usłyszeć, przełknęli bowiem nawzajem swój jęk rozkoszy.

Dzikus obudził się w kompletnej ciemności. Lampy w korytarzu i w pozostałych częściach domu musiały być zgaszone, ponieważ żaden blask nie przenikał przez papierowe ściany pokoju. W domu panowała cisza. Obok niego leżała Rachel, z ręką przerzuconą przez jego pierś i głową tuż przy jego głowie. Czuł zapach jej włosów i słodki aromat skóry. Uśmiechnął się, gdy przypomniał sobie, jak się kochali. Jej obecność tuż obok dawała mu poczucie wyróżnienia i spełnienia.

Rozprostował nogi, rozkoszując się miękkością futonu, i spojrział na świecące cyfry na zegarku. Było siedemnaście po trzeciej, a więc spał ponad sześć godzin. Normalnie-byłoby



to dla niego w sam raz, ale po wyczerpującym locie z Ameryki i miłości z Rachel powinien spać dłużej. Pomyślał, że może to jego wewnętrzny zegar nie dostosował się jeszcze do zmiany strefy czasowej i podświadomie wyczuwał, że w Ameryce jest teraz ranek, a nie środek nocy, jak tu, w Japonii.

Rachel westchnęła przez sen i przytuliła się do niego. Znowu się uśmiechnął. Śpij dalej, powiedział sobie w duchu, korzystaj z wypoczynku, ile możesz. Dopóki możesz. Poddał się ciepłu koca, ziewnął i zamknął oczy — i natychmiast otworzył je z powrotem.

Z lewej strony, gdzieś z tyłu domu albo z ogrodu, dobiegło go stłumione kasznięcie. Sprężył się i niemal usiadł, ale zaraz się opanował. To nie mógł być nikt inny jak Churi, który stał na warcie na zewnątrz domu.

Nasłuchiwał w napięciu przez pięć minut, ale nie usłyszał drugiego kasznięcia. Uspokój się, mówił sobie, ale nie mógł nie zastanawiać się, czy Churi, wyszkolony przecież przez samego Akirę, kasłałby na warcie, i to tak głośno, by było go słychać w domu. Akira z pewnością nakazał mu, aby niczym nie zdradzał swojej obecności.

Jednak Churi był młody i jego szkolenie jeszcze się nie zakończyło, mógł więc na chwilę zapomnieć o dyscyplinie. Dzikus wzruszył ramionami i mocniej przytulił się do Rachel. Nagle jednak znów coś go zaalarmowało. Poderwał głowę.

Słaby, suchy szelest słomy ryżowej, jak gdyby coś naciskało splecione włókna tatami, sprawił, że jego wzrok powędrował ku ścianie dzielącej go od korytarza.

Kiedy usłyszał następny delikatny szelest, nie miał już wątpliwości — to były kroki. Ktoś szedł ostrożnie, powoli i z namysłem. Musiał być boso, co najwyżej w skarpetkach. Gdyby nie papierowe ściany, nic nie byłoby słychać.

Czy to Akira szedł do toalety?

Natychmiast odrzucił tę możliwość, ponieważ nie słyszał dźwięku odsuwanej ściany.

A może Churi patrolował korytarz?

Po co? Wnętrze domu było strzeżone przez instalację alarmową, Churi mógł być użyteczny tylko na dworze.

Eko? Może obudziła się wcześniej, jak to często zdarza się starszym ludziom, i zdecydowała wykorzystać ten czas na niezbędne prace domowe, na przykład przygotowanie uroczystego śniadania?

Nie, pomyślał Dzikus. Chociaż jej pokój znajdował się z tyłu domu, był pewien, że gdyby to ona wychodziła, też usłyszałby, jak odsuwa ściankę.

Poza tym owe ciche kroki nie dochodziły z tyłu domu, gdzie mieściła się kuchnia i toaleta, lecz dokładnie z miejsca pomiędzy pokojami jego i Akiry.

Przez chwilę chciał dotknąć Rachel, by ją zbudzić i ostrzec, ale powstrzymał się. Nawet gdyby zasłonił jej usta ręką, mogła jakimś panicznym ruchem zaalarmować człowieka na korytarzu. Ostrożnie wysunął się spod przykrywającego ich oboje koca. Poczul nagły przypływ adrenaliny. Napiął mięśnie klatki piersiowej, powstrzymując odruchowo przyspieszenie oddechu, i usiadł na brzegu materaca. Nie odważył się jednak zejść z niego. Gdyby stąpnał na matę, wywołałby ten sam cichy dźwięk, co intruz. Musiał pozostać bez ruchu i czekać w pogotowiu do chwili, gdy okoliczności zmuszą go do działania.

Nie miał broni palnej. Zanim jeszcze dojechali do lotniska Dullesa, obaj z Akirą wyrzucili swoje czterdziestki do kanału, nie mieli bowiem szansy przemycić ich przez kontrolę na lotnisku. Gdyby więc intruz wszedł do jego pokoju, Dzikus musiałby zbliżyć się do niego na tyle, aby móc nawiązać walkę wręcz.

Napiął mięśnie i utkwiał wzrok w ciemnej ścianie. Po chwili usłyszał ciche skrzypienie, świadczące o tym, że ktoś ostrożnie odsuwa drzwi.

Ale nie w jego ścianie — dźwięk dochodził spoza niej. Po drugiej stronie korytarza ktoś próbował wejść do pokoju Akiry.

Teraz. Musiał zacząć działać, zanim Akira zostanie zniecka napadnięty. Wstał z materaca i postąpił krok do przodu, ale natychmiast uskokzył. Ściana jego pokoju pękła do wewnątrz, strzępy papieru i odłamki drewna poleciały na wszystkie strony, a do środka wpadło i zważyło się na podłogę dwóch mężczyzn. Upadli tak ciężko, że ten, który był na

dole, aż jęknął od uderzenia.

W mężczyźnie znajdującym się na górze Dzikus rozpoznał Akirę, który właśnie zadawał cios kantem dłoni w twarz swojemu przeciwnikowi. Intruz ubrany był całkiem na czarno, nawet głowę okrywał mu czarny kaptur. Jęknął znowu, tym razem od uderzenia Akiry, i jednocześnie wystrzelił z pistoletu z tłumikiem. Kula trafiła w sufit. Dzikus rzucił się w stronę Rachel i zaczął ją ciągnąć do sąsiedniego pokoju. Rachel przebudziła się z krzykiem, gdy pękła ściana i obaj walczący upadli na podłogę. Teraz krzyknęła znowu, kiedy Dzikus szarpał ją, starając się rozpaczliwie usunąć z linii strzału.

Pomimo gradu ciosów Akiry intruz wystrzelił znowu, i tym razem kula uderzyła w ścianę obok Dzikusa i Rachel.

Rachel była tak zszokowana, że nawet nie mogła już krzyczeć. Łkając poszła za przykładem Dzikusa i puściła się biegiem na czworakach. Prerażona i zdezorientowana, po ciemku w nie znanym domu nie zauważyła, że już dobiegła do kolejnej ściany, którą powinna odsunąć. W rozpędzie przebiła się przez nią i oszołomiona upadła na maty w sąsiednim pokoju.

Dzikus pomógł jej wstać i popchnął przed siebie.

— Biegnij dalej, aż przed front domu. Na czworakach! Nie wstawaj! — krzyknął.

Kiedy Rachel zniknęła, Dzikus zawrócił do Akiry, zatrzymał się jednak nagle, gdy uświadomił sobie, gdzie się znajduje — był to ten sam pokój, w którym Akira pokazywał im samurajskie miecze. Skoczył do ściany, wyszarpnął jeden z nich z pochwy i zdumiał się jego długością. Trzymając miecz pionowo do góry, żeby się nie skaleczyć, skoczył ku walczącym.

Pistolet intruza odezwał się znowu. Kula przebiła ścianę w chwili, gdy Dzikus przebiegał przez pokój Rachel. Ujrzał, jak Akira raz jeszcze trafia kantem dłoni w twarz napastnika, który pada na ziemię. Odetchnął z ulgą, ale natychmiast musiał krzyknąć:

— Akira, za tobą!

Przez dziurę w ścianie widać było drugą postać, celującą z pistoletu.

Akira padł na ziemię i przekoziółkował. Kula mordercy z głuchym plaśnięciem trafiła w nieruchome ciało na podłodze. Dzikus wciąż trzymał miecz w ten sposób, że jego czubek celował w sufit. Ściskając obiema dłońmi rękojeść, włożył teraz całą siłę ramion w cięcie ostrzem w dół, i jednocześnie zwolnił chwyt, wyrzucając miecz przed siebie, w stronę człowieka w korytarzu.

Czubkiem klingi celował w pierś napastnika, ale w ciemności nie mógł widzieć toru lotu miecza. Spodziewał się, że usłyszy trzask rozcinanego materiału i krzyk, zamiast tego jednak rozległ się głośny brzęk metalu uderzającego o metal. Ostrze trafiło w pistolet.

Broń stuknęła o podłogę, a ciemna sylwetka intruza zniknęła. Na korytarzu załomotały pospieszne kroki, kierujące się na tył domu. Dzikus usłyszał krzyk Eko i odgłos czyjegós upadku. Skoczył w stronę dziury w ścianie, ale Akira był tam już przed nim, pochylił się i czegoś szukał.

— Gdzie ten gnat? — warknął i dorzucił jakieś japońskie przekleństwo, kiedy jego ręka niczego nie wymacała. Klnąc bez przerwy, chwycił miecz i rzucił się na korytarz.

Dzikus pospieszył za nim i zdążył dostrzec, jak napastnik pochyła się nad kimś leżącym w przejściu, podnosi miecz i wybiega przez otwarte tylne drzwi.

Martwym człowiekiem na podłodze był Churi, leżący twarzą do dołu; z nogami skierowanymi w stronę ganku.

Z okrzykiem bólu Akira przeskoczył przez ciało i zatrzymał się, gotów natychmiast użyć miecza, gdyby morderca czekał na niego w ukryciu, po czym przemknął przez ganek i zniknął w mrokach ogrodu.

Dzikus już był gotów pognać korytarzem i dołączyć do pościgu, ale nagle jego stopa natrafiła na jakiś przedmiot. Był to pistolet, którego bezskutecznie poszukiwał Akira. Dzikus podniósł go i dopiero wtedy ruszył biegiem. Po drodze cudem wyminął Eko, ciągle półprzytomną po zderzeniu z napastnikiem. Przeskoczył przez ciało Churiego, kątem oka zauważając ciemną plamę na jego plecach, i przycupnął na ganku, celując z pistoletu w stronę ogrodu.

Z kształtu broni Dzikus wywnioskował, że była to beretta kalibru 9 mm, powszechnie stosowana w wojskach NATO i Stanów Zjednoczonych. Koniec lufy pistoletu opatrzony był tłumikiem. W magazynku mieściło się piętnaście nabojów.

Dzikus nerwowo poszukał schronienia za schodkami prowadzącymi do basenu i stamtąd dalej obserwował ogród, cały czas trzymając wycelowany pistolet. Księżyc i odbłask światła zza muru sprawiały, że w ogrodzie nie było tak ciemno, jak we wnętrzu domu. Widać było cienie rzucane przez kamienie i krzaki, a nawet faliste linie wyrysowane grabiami.

Dzikus dostrzegł ślady stóp wskazujące, któredy Akira pogonił za intruzem w największy mrok w głębi ogrodu.

Chociaż jednak wyteżał wzrok, nie widział dalej niż na trzydzieści kroków. Wydawało się, że resztę ogrodu spowija czarna chmura. Spoza muru dobiegały odgłosy ruchu ulicznego — stłumiony klakson, pisk hamulców gdzieś w oddali. Nagle w głębi ogrodu zabrzmiało uderzenie stali o stal, ostry, wysoki, rozedrgany dźwięk skrzyżowanych mieczy.

Dzikus wyskoczył zza schodków i ze ściśniętym sercem pognął do ogrodu. Stopy zapadały mu się w chłodnym piasku, gdy lawirował pomiędzy kamieniami i krzewami. W miarę jak zagłębiał się w ogród, widoczność coraz bardziej się poprawiała. Dostrzegał już odbłask księżyca na klingach. Odgłosy uderzeń przybrały na sile. Zatrzymał się gwałtownie, gdy wprost na niego wyskoczyła tyłem ciemna postać z uniesionym do góry mieczem, która odparowała cios, odskoczyła w prawo i sama zadała pchnięcie.

Dzikus był tak zaskoczony tym błyskawicznym manewrem, ledwo widocznym w mroku, że nie zorientował się, czy była to sylwetka Akiry, czy też napastnika. Uniósł pistolet, czekając na moment, kiedy nie będzie miał wątpliwości, do kogo celuje, a tymczasem obaj walczący dalej krążyli wokół siebie, trzymając oburącz miecze skierowane ostrzami ku górze.

Akira. Dzikus nareszcie go rozpoznał. To on był tą postacią, która niespodziewanie pojawiła się przed nim. Złożył się do strzału, ale zanim zdążył nacisnąć spust, obaj mężczyźni natarli na siebie, po czym odskoczyli w bok i znów zaczęli szybko krążyć.

Dzikus skoncentrował wzrok na muszce pistoletu. Z czoła kapał mu pot, a palec na spuście drętwiał z napięcia. Żeby się tylko zatrzymali, błagał w myślach, stanęli na sekundę. Tylko tyle, sekundę, nic więcej. W sam raz na jeden dobry strzał.

Ale obie postacie wciąż zadawały ciosy, uskakiwały i bezustannie zmieniały położenie. Przez chwilę intruz znalazł się na linii strzału, ale zanim Dzikus zdążył zareagować, już jego miejsce zajął Akira. Miecze zadzwoniły w jeszcze szybszym rytmie. Dzikus dalej celował.

— Zostaw go, Dzikus! On jest mój! Za Churiego!

Dzikus niechętnie opuścił broń, rozumiał jednak, że gdyby zastrzelił obcego, pozbawiłby Akirę możliwości spełnienia honorowego obowiązku pomszczenia swego ucznia, a tego Japończyk nigdy by mu nie wybaczył.

Odstąpiwszy od udziału w walce, obserwował ją dalej z rosnącym lękiem. W ustach czuł gorzki smak bezradności.

Ostrze miecza Akiry błysnęło, kierując się w stronę piersi intruza. Przeciwnik zrobił unik i zamarkował cios w głowę Akiry. Kiedy ten chciał go odparować, intruz z oszałamiającą prędkością wykonał zamach w udo Akiry.

Cios był zadany z taką siłą, że odrąbałby nogę, ale Akira dysząc ciężko zdołał uskoczyć w tył. W chwili, kiedy stopami dotknął piasku, uchylił się w lewo, unikając następnego, szybkiego jak mgnienie oka cięcia. Kiedy ostrze ze świstem przemknęło obok niego, Akira zakołysał się i zrobił kilka kroków do przodu, zmuszając przeciwnika do cofnięcia się.

W sekundę później zaatakował całą serią cięć z góry, z boku i z dołu, cały czas pracując do przodu.

Nagle skręcił w bok i zgiął lewą rękę na wysokości piersi. Klingę położył na płask na przedramieniu, trzymając miecz drugą ręką w ten sposób, że czubek ostrza celował wprost przed niego, i ruszył na przeciwnika miękko, ale nieustępliwym krokiem.

Niespodziewanie napastnik przesunął się w lewo i zaczął okrążyć Akirę, który zatrzymał

się i obrócił, żeby nie stracić go z pola widzenia.

Intruz rzucił się do ataku. Akira zrobił unik, ale poślizgnął się na piasku, poleciał w tył i uderzył o głaz. Dzikus jęknął. Poderwał pistolet i wycelował.

Napastnik zadał cios.

Akira uskokzył. Miecz odłupał okruchy skały obok niego i wtedy Akira uderzył od dołu, tnąc na ukos, przez klatkę piersiową i brzuch przeciwnika.

Tamten zacharczał i wypuścił miecz. Zatoczył się w tył i runął ciężko do sadzawki, rozbryzgując wysoko wodę. Kiedy jej powierzchnia się uspokoiła, trup unosił się na niej, z twarzą do góry i szeroko otwartymi oczyma.

Dzikus podszedł bliżej. W ciemnościach nie mógł zobaczyć szkarłatu, jakim zabarwiła się woda, ale wyobrażał to sobie. Dookoła pływały zwoje jelit. Pomimo lat obycia ze śmiercią, teraz zachciało mu się wymiotować.

Akira patrzył na zwłoki ciężko oddychając. Przełknął głośno i zwrócił się do Dzikusa:

— Dziękuję, że nie przeszkodziłeś.

— Musiałem się powstrzymać ze wszystkich sił.

— Ale wiedziałem, że mogę na tobie polegać. — W świetle księżycy twarz Akiry

błyszczała od potu.

— Słuchaj — powiedział Dzikus — tam, w domu, nie pomogłem ci od razu, ponieważ...

— Musiałeś zadbać najpierw o bezpieczeństwo naszej pryncypalki.

— Tak... To był automatyczny odruch i nie miał nic wspólnego z tym, co do niej czuję.

— A gdyby ona nie była naszą pryncypalką, tylko po prostu kobietą, którą kochasz? — spytał Akira.

Dzikus nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

— W takim razie sądzę, iż szczęśliwie się złożyło — powiedział Akira — że kobieta, którą kochasz, jest zarazem naszą pryncypalką.

— Chyba tak — odrzekł Dzikus, zakłopotany, ale jednocześnie wdzięczny Akirze za wybaczenie. — Wyjątkowo szczęśliwie.

— Jak oni dostali się do środka? Przecież na szczycie muru są czujniki. — Akira ominął sadzawkę, nie patrząc więcej na pływające w niej ciało, podszedł do muru i pomaszerował wzdłuż niego.

Dzikus podążył za nim. Po piętnastu sekundach natknęli się na linę, zagłębioną w piasku. W drugą stronę lina biegła ukosem ku górze, w stronę dachu sąsiedniego czteropiętrowego budynku. Akira pogrzebał w piasku i kiedy dotarł do twardego podłoża, stwierdził, że do liny umocowana była kotwiczka.

— Wystrzelili ją z dachu tamtego domu — stwierdził Akira. — Urządzenie, którym się posłużyli, musiało mieć tłumik, albo też była to jakaś niezwykle silna katapulta, coś cichego, może kusza, skoro Churi tego nie usłyszał.

— A kiedy lina była już zakotwiczona, zjechali po niej ponad szczytem muru — dodał Dzikus. — Ale przecież w domu również są czujniki antywłamaniowe, więc jak dostali się do wnętrza?

Przygnębiony Akira ruszył w stronę domu.

— Churi ich wpuścił... — odrzekł.

— Jak to? Sądziłem, że mu ufałeś.

— Bez zastrzeżeń. — Byli już koło ganku z tyłu domu i Akira wskazał na ciało Churiego.

— Zwróć uwagę na jego pozycję. Jęży w otwartych drzwiach, na brzuchu, z głową na korytarzu. Na plecach ma krew z otworu od kuli.

— Więc zastrzelili go z tyłu, kiedy wchodził do domu — powiedział Dzikus.

Akira przyklęknął i dotknął ramienia Churiego. Głos miał ochrypły od żalu:

— Wszystko na to wskazuje. Koło basenu jest ukryty wyłącznik systemu alarmowego. Po wielogodzinnej warcie Churi chciał wejść do domu, prawdopodobnie do toalety. Kiedy wyłączył czujniki i otworzył drzwi, został zastrzelony.

A więc to kasznięcie, które usłyszałem, to był zapewne jego ostatni spazmatyczny

oddech, pomyślał Dzikus. Musiał mnie obudzić odgłos otwieranych drzwi i upadku Churiego, ale nie byłem świadomy, że to słyszałem. Te same dźwięki obudziły Akirę.

— Broń krótka jest w Japonii pod ścisłą kontrolą — powiedział Akira. — Właśnie dlatego Churi miał tylko miecz, który ten człowiek z sadzawki porwał, uciekając z domu. Churi najprawdopodobniej chciał z powrotem włączyć system alarmowy po wejściu do domu i zaryglowaniu drzwi. Zwróć uwagę na plamy od moczu na jego ubraniu. — Akira pogładził głowę Churiego. — Drogi przyjacielu, jak mogłeś tak niemądrze postąpić? Tyle razy ci powtarzałem, żebyś nigdy nie opuszczał posterunku. Mówiłem ci, żebyś wypróżniał się przed przystąpieniem do zadania, a jeśli potrzeba cielesna będzie ponad siły, lepiej ulżyć jej po cichu, w ubranie. Trochę niewygody to nic w porównaniu z koniecznością wypełnienia powinności obrońcy. Dlaczego, Churi? Czyżbym nie wykształcił cię dostatecznie? Czy byłem złym sensefl — Ramiona Akiry zadrżały. Załkał, pochylił się nisko i ucałował kark Churiego.

Dzikus patrzył na to bezradnie. Każde słowo pociechy, jakie przychodziło mu na myśl, wydawało się głupie i nie na miejscu.

— Tak mi żal — powiedział w końcu po prostu, obejmując wstrząsane łkaniem ramiona Akiry.

Akira złapał oddech, otarł łzy i odrzekł łamiącym się głosem:

— Domo arigato.

Uwagę Dzikusa zwrócił jakiś ruch na korytarzu. Uniósł głowę i zobaczył Eko, która stanęła nad Churim z twarzą zalaną łzami. Powoli przyklęła, a potem usiadła, tuląc w ramionach głowę wnuka.

Dzikus czuł, jak coś go ściska za gardło, ale jego wzrok znów powędrował w stronę korytarza. Z mroku wyszła Rachel, poruszając się jak zahipnotyzowana. Jej twarz była niepokojąco blada i bez wyrazu. Patrzyła prosto przed siebie, najwyraźniej nie dostrzegając siedzącej tuż przed nią Eko ani Akiry i obejmującego go za ramiona Dzikusa.

Mój Boże, przebiegło przez myśl Dzikusowi, i zadrżał, kiedy bowiem przyjrzał się jej opuszczonym wzdłuż ciała rękoma, zauważył, że w prawej trzyma pistolet, skierowany w swoją stopę. Kiedy wybiegli z domu, musiała wrócić do jego pokoju i tam na podłodze, obok pierwszego napastnika, którego zabił Akira, znalazła pistolet. Ale przecież mówił jej, żeby została przed domem. Dlaczego nie posłuchała? Po co jej ta broń?

Czując bębnienie krwi w uszach ostrożnie się wyprostował. Poruszając się powoli w obawie, że Rachel mogłaby się przestraszyć i odruchowo wystrzelić, ominął na palcach Akirę, Eko i Churiego i delikatnie ujął w dłonie jej ręce. Kiedy już uniósł broń tak, że celowała w mur, odsunął jej palec od spustu i rozluźnił zaciśniętą dłoń.

— No i już — powiedział. Z ulgą odłożył pistolet na podłogę. — Tak będzie lepiej. Rozumiem, że się przeraziłaś, ale nie powinnaś brać broni do ręki. Mogłaś postrzelić siebie albo jednego z nas.

Nie odpowiedziała. Wydawało się, że nawet nie zauważyła, iż odebrał jej pistolet, bo dalej wpatrywała się w noc.

— Zanim znowu weźmiesz broń do ręki — powiedział Dzikus — lepiej poczekać, aż cię nauczę, jak się nią posługiwać.

— Wiem — wyszeptała.

— Wiesz?

— Jak się nią posługiwać.

— Tak, oczywiście — mruknął uspokajająco. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to tak, jakby się z niej wyśmiewał.

— Ojciec mnie nauczył. — Chociaż Rachel była tuż obok, jej szept wydawał się dobiegać z oddali.

Dzikus czekał, co powie dalej. Obejmując ją ramieniem, wyczuwał nienaturalną sztywność jej ciała.

— Strzelby, karabiny, pistolety, co niedziela strzelanie do rzutków. Raz nawet zmusił mnie do zabicia bażanta. — Zadrżała.

— To było dawno — powiedział Dzikus. — A to, co zdarzyło się dzisiaj, już się skończyło.

Teraz jesteś bezpieczna.

— Tylko na razie. To się nie skończy. Przyjdą inni. Nigdy nie przestaną.

— Mylisz się — odrzekł Dzikus. — Przestaną. Zmusimy ich do tego, a ja będę cię ochraniał.

— Musiałam... Wzięłam pistolet. Było ich trzech.

— Nie bardzo rozumiem, co ty...

Nagle Dzikus zrozumiał, o co jej chodziło, i zadrżał tak samo, jak ona. — Trzech...?

Obróciła się powoli, cał po calu, tak jakby to nie ona się poruszała, lecz podłoga pod jej stopami, i utkwiała wzrok w mrocznym korytarzu.

Dzikus chwycił pistolet i ruszył w głąb domu. Wymacał przełącznik, zapalił światło i mrużąc oczy od nagłego blasku przeszedł przez zniszczoną ścianę do swego pokoju. Na podłodze leżał trup ciemno odzianego człowieka, którego zabił Akira.

Było ich trzech?

Dzikus zajrzał do pokoju Rachel, lecz nie znalazł tam nikogo. Ostrożnie wszedł do następnego pokoju i zapalił światło, ale i to pomieszczenie okazało się puste. Przez chwilę przypatrywał się wiszącym na ścianie samurajskim mieczom i pustemu miejscu po broni, którą stąd zabrał, po czym odsunął część ściany i wrócił na korytarz. Stojąca na jego końcu Rachel nie poruszyła się. Jak w transie, wpatrywała się wciąż w niego, plecami obrócona do Akiry i Eko, którzy oplakiwali Chudego.

— Czy jesteś tego pewna, Rachel?

I wtedy właśnie zauważył łuski, walające się na matach pomiędzy pokojem Akiry i jego. Trzymając pistolet w gotowości, podszedł do rozsuniętej ściany pokoju Akiry.

Wewnątrz leżał na wznak czarno odziany człowiek z otwartymi oczyma, w których zastygło zdumienie. Wokół było pełno krwi. Pierś trupa była podziurawiona jak rzeszoto, a u jego stóp było pełno łusek. Dzikus obrócił się i spojrzał na łuski w korytarzu i dalej, w swoim

pokoju. Część z nich została po strzałach, jakie oddał intruz walczący

z Akirą, ile ich jednak mogło być? Cztery, może pięć. Wszystko rozgrywało się wtedy tak szybko, że Dzikus nie pamiętał tego dokładnie. Przerażony swoim odkryciem, wyjął magazynek z kolby pistoletu i sprawdził go.

Magazynek był pusty.

Odciągnął zamek pistoletu i stwierdził, że komora nabojoya również była pusta. Pistolet był tak skonstruowany, że po wyrzuceniu ostatniej łuski zamek pozostawał w tylnym położeniu, i to zmyliło Dzikusa. Rachel po ostatnim strzale prawdopodobnie nacisnęła spust jeszcze raz i zamek przesunął się do przodu tak, jakby pistolet był naładowany.

Odtworzył drogę, jaką wskazywały łuski: z jego pokoju przez korytarz do sypialni Akiry. Jezuu, pomyślał, ten trzeci napastnik ukrył się w domu, kiedy ich plany zaczęły brać w łeb. Rachel wróciła do swojego pokoju, znalazła pistolet i wtedy usłyszała go albo zobaczyła i zaczęła strzelać aż do opróżnienia magazynka, cały czas idąc za nim aż do pokoju Akiry i strzelając nawet wtedy, kiedy już upadł.

Jezuu, powtórzył w myślach, była tak straszliwie przerażona, że całkiem straciła panowanie nad sobą. Nic dziwnego, że wygląda jak manekin. To nie sama napaść tak ją zszokowała, to...

Wszedł z domu i przytulił ją mocno.

— Nie miałaś wyboru.

Stała sztywna, z opuszczonymi bezwładnie ramionami.

— Rachel, pomyśl, musiałaś się bronić. On zabiłby cię, a prawdopodobnie uratowałaś też życie Akiry, Eko i moje. Postąpiłaś słusznie.

Oddychała głęboko, z wysiłkiem.

— Trupy. Gdziekolwiek pójdziemy, giną ludzie... A teraz i ja zabiłam.

Nie musiała dodawać, że to z jego powodu, ponieważ pokochała go i została z nim.

Jak wielką cenę trzeba płacić za miłość, pomyślał Dzikus.

— Ja go nie tylko po prostu zastrzeliłam, ja go zmasakrowałam — powiedziała Rachel i

rozpląkała się. Jej łzy przesiąkały przez bluzę od piżamy Dzikusa.

Gdyby Rachel była tylko moją pryncypalką, a nie kochanką, pomyślał, wiedziałbym, co robić. Moim obowiązkiem byłoby zostać przy niej. Akira ponosi odpowiedzialność sam za siebie. No tak, ale skoro nie wiedziałem, czy ochraniam moją pryncypalkę, czy też kochankę, poczułem się winny opuszczenia Akiry przez dbałość o własne sprawy.

No właśnie, Akira. Kolejna zasada, którą złamałem. Zaprzyjaźniłem się z nim, a przecież obrońca nie może przyjaźnić się z innym obrońcą. W takich wypadkach nie wiadomo, kogo bronić przede wszystkim, przyjaciela czy pryncypała.

Nie wolno mi było biec na pomoc Akirze, kiedy już zapewniłem bezpieczeństwo Rachel, powinienem przeszukać tę cholerną chałupę, żeby sprawdzić, czy nie ma więcej napastników. Ona musiała zabić tego człowieka, ponieważ ja spieprzyłem robotę.

Rachel wstrząsało konwulsyjne łkanie. Dzikus przytulił ją mocniej.

— Bardzo mi cię żal — powiedział.

Mówię to już drugi raz tej nocy, pomyślał, a ile jeszcze razy będę musiał to powtórzyć?

— Dałbym wiele, aby móc odwrócić wszystko, co zaszło — dodał. Chciał jeszcze dorzucić: „Im szybciej się ode mnie uwolnisz, tym lepiej dla ciebie”, ale w tym momencie Rachel objęła go ramionami.

— Bóg mi świadkiem, że chciałabym odplacić tym ludziom, którzy zmusili mnie do zabójstwa, kimkolwiek są — zawołała. — Jestem tak wściekła, że mogłabym znowu zabić.

Zszokowany tym wybuchem, Dzikus spojrział w stronę wylotu korytarza, gdzie Eko i Akira nachylali się nad ciałem Churiego.

Akira właśnie wstał, jeszcze rozdygotany, i zwrócił się w stronę ogrodu, mówiąc zdławionym ze wzruszenia głosem:

— Przez piętnaście lat mój ojciec zajmował się wyłącznie tworzeniem tego ogrodu. Ja pracowałem nad nim niemal tak długo, jak on — a teraz... Ich buty zniszczyły całe piękno, piasek nasiąkł krwią, sadzawka została zbezczeszczona. Dzieło połowy ludzkiego życia leży w ruinie. Ten, kto wynajął tych bandytów, aby napadli na mój dom, jest tak wyzuty z wszelkiej szlachetności, że nie zasługuje na to, by traktować go jak godnego przeciwnika. Kiedy go odnajdę, zabiję, poćwiartuję jego ciało z pogardą i rzucę je w morze. Jego duch nie zazna radości przebywania wraz z duchami swych przodków. Przysięgam, że tego dokonam za to, co zrobiono z ogrodem mego ojca — Akira zaczerpnął powietrza — i za Churiego.

Gniew Akiry i wybuch Rachel legły ciężko na sercu Dzikusa, a ich ślubowanie pomsty zmroziło mu krew w żyłach. Cóż to takiego mówiła Rachel? Trupy. Gdzie pójdziemy, tam giną ludzie. Tak, tyle śmierci wokół nas, pomyślał. Kiedyś wierzyłem w to, czego uczył mnie Graham, wierzyłem, że zemsta jest sprawą honoru, ale teraz? Ta gorycz w głosie Rachel, okrutny wyraz twarzy Akiry... Nasze starania, aby przeżyć ten koszmar, mogą nas zniszczyć.

Usłyszał tuż przy sobie szloch Rachel i przytulił ją mocniej do siebie.

Siedzieli na poduszkach przy niskim czarnym stoliku, w pokoju, który nie został zbrukany walką i śmiercią.

— Kto nasłał tych ludzi? Skąd wiedzieli, że nas tu znajdą? — zapytał Dzikus.

Melancholijna zazwyczaj twarz Akiry była teraz stężała od gniewu.

— To nie przypadek, że zaatakowali nas tej nocy, kiedy przyjechaliśmy. Czekało na nas.

— Co oznacza, że ktoś spodziewał się, iż w końcu dotrzemy tu z Ameryki... — odezwała się Rachel. — Virginia Beach, a teraz to.

— Nie sądzę, aby te dwa napaści były jakoś powiązane — odrzekł Dzikus. — W Virginia Beach chodziło chyba o to, żeby zabić Maca, zanim przekaże informacje, i o oddzielenie cię ode mnie i Akiry, abyś nie... Może abyś nie przeszkadzała w osiągnięciu celu, dla którego zafałszowano nam pamięć? Najwyraźniej nie byłaś przewidziana w tej grze.

— Teraz szli już na całość — powiedział Akira. — Do domu miały dostęp tylko te osoby, którym ufam całkowicie. Ani Eko, ani Churi nie powiedzieliby nikomu o tym, co się dzieje

wewnątrz, napastnicy nie mogli więc wiedzieć, gdzie jest moja sypialnia ani gdzie znajdują się pokoje gościnne. Ich celem nie była żadna konkretna osoba z naszej trójki. Gdyby chcieli porwać Rachel, wybraliby dogodniejszą sytuację, nie stwarzającą tylu trudności. Po co by wkradali się do mego domu? Wygląda na to, że przyszli tu, aby zabić nas wszystkich troje.

Rachel zmrużyła oczy. — A więc człowiek, który wynajął napastników w Virginia Beach, nie jest tym samym, który nasłał tych trzech ludzi dziś w nocy?

— Na to wygląda — odpowiedział Dzikus. — Te dwie napaści były kierowane przez różnych ludzi, chcących osiągnąć różne cele.

Pierwszemu z nich zależy, abyśmy kontynuowali poszukiwania, ten drugi natomiast chce im położyć kres. Ale kim on jest? Do diabła, o co tu w ogóle chodzi?

Rachel zwróciła się do Akiry:

— Wspominałeś o człowieku, z którym chciałeś porozmawiać. Nazwałeś go „mądrym i świątobliwym”.

Akira skinął głową potakująco.

— Chciałem, żebyśmy spotkali się z nim dziś rano, ale teraz obawiam się, że będziemy musieli odłożyć tę wizytę na później... z powodu Churiego. Trzeba poczynić pewne przygotowania.

Dzikus słyszał dochodzący z głębi domu płacz Eko, zapewne wciąż tulącą w ramionach głowę wnuka, którego ciało wniesiono do wnętrza domu.

— Gdyby chodziło tylko o tych trzech, spróbowałbym pozbyć się ich ciał — powiedział Akira. — Co prawda nie mam samochodu, aby je wywieźć, a zanimbym wynajął wóz, na ulicach byłby już taki ruch, że ktoś mógłby zauważyć nas podczas wynoszenia ciał... Inna możliwość to zakopanie trupów w ogrodzie pod osłoną tej resztki nocy, która nam pozostała, lecz to rozwiązanie jest dla mnie nie do przyjęcia. Nie zgodziłbym się na dalsze bezczeszczenie ogrodu mego ojca. Ale

! chodzi mi nie tyle o tych najemników, co o Churiego. Należy mu się godziwy pogrzeb. Musi być pochowany zgodnie z rytuałem, a poza tym chcę, abyśmy razem z Eko mogli go często odwiedzać i modlić się przy jego grobie. Wynika stąd, że mam tylko jedno wyjście — zawiadomić policję.

Dzikus popatrzył na niego uważnie.

— Chyba tak.

— Kiedy oni przybędą, was nie powinno być tutaj — rzekł Akira. — Jeżeli w sprawę zabójstwa byłaby włączona para Amerykanów, policja musiałaby przeprowadzić znacznie bardziej wnikliwe dochodzenie. W jego wyniku stwierdziliby, że wjechaliście do Japonii na podstawie sfałszowanych paszportów, i aresztowaliby was. Zresztą nawet gdyby tego nie wykryli, sprawa nabrałaby rozgłosu, co mogłoby zaszkodzić naszym poszukiwaniom.

— Ale co powiesz policji? — spytała Rachel.

— Powiem im, że trzech ludzi włamało się do mojego domu, aby zrabować kolekcję dzieł sztuki, i zastrzelili Churiego. Kiedy obudziłem się na skutek hałasu, wywiązała się walka. Jednego z nich zabiłem w pojedynku wręcz, a potem z jego pistoletu zastrzeliłem drugiego, opróżniając cały magazynek. Następnie wziąłem miecz i dogoniłem trzeciego, który również walczył mieczem, ale nie zdołał się przede mną obronić. Użycie miecza nada sprawie posmak heroizmu i przemówi na moją korzyść.

Dzikus przemyślał to raz jeszcze.

— Wszystkie szczegóły pasują do siebie. Powinni to kupić. Dobrze byłoby, dodał w myślach.

— Ale tylko pod warunkiem, że usunę odciski palców z broni, którą wy trzymaliście w rękach — dodał Akira. — Następnie będę musiał wcisnąć pistolety w rękę trupa w twoim pokoju i tego w ogrodzie. Będę musiał też sam oddać strzał, żeby na mojej ręce zostały ślady prochu na wypadek, gdyby policja zapragnęła sprawdzić, czy rzeczywiście strzelałem...



— Tak — powiedział Dzikus. — Moje odciski są jeszcze na jednym z mieczy.  
— Zajmę się tym, ale wy musicie zabierać się stąd już zaraz, zanim zmiany pośmiertne zajdą tak daleko, że lekarz nabierze podejrzeń, iż pomiędzy walką a moim telefonem upłynął dziwnie długi czas.

Rachel niechętnie przyjęła tę propozycję.

— Ale dokąd mamy pójść i jak się z tobą skontaktujemy? Tak przyzwyczyłam się już do tego, że jesteśmy razem we trójkę, że sama myśl o rozstaniu...

— Dołączę do was, gdy tylko będę mógł — odrzekł Akira. — Dam wam mój numer telefonu, ale możecie dzwonić tu tylko wtedy, gdy będzie to absolutnie konieczne. Powiem wam również, jak trafić do mojej ulubionej restauracji. Bądźcie tam w południe. Jeżeli nie będę mógł się z wami spotkać, to tam zatelefonuję. Właściciel zna mnie i ja mu ufam.

— A jeśli nie będziesz miał możliwości zadzwonić? — Głos Rachel zadrżał.

— Wtedy przyjdziecie do restauracji znowu o szóstej wieczorem.

— A jeżeli i wtedy nie nawiążesz z nami kontaktu?

— Spróbujcie jeszcze raz jutro rano o dziewiątej. Jeżeli dalej nie dam znaku życia, zadzwońcie do domu. Kiedy usłyszycie, że Eko mówi „moshi, moshi”, co znaczy „halo”, będziecie wiedzieli, że jestem nieobecny, ale nie dzieje się nic złego i na pewno zadzwonię do was. Jeżeli jednak odezwie się „hai”, czyli „tak”, a jest to niezbyt niegrzeczna reakcja, będziecie wiedzieli, że jest bardzo niedobrze. Przerwijcie wtedy połączenie i jak najszybciej wyjeżdżajcie z Japonii.

— Nie mogę tego zrobić — powiedział Dzikus. Akira zmarszczył brwi. — Dlaczego?

— Zabrnąłem już za daleko, zbyt wiele przeszedłem. Muszę rozwiązać tę zagadkę, z tobą lub bez ciebie.

— Nie dasz rady sam, nie znając na dodatek japońskiego. Przypomnij sobie, co ci mówiłem. Japończycy to społeczeństwo plemienne. Na sto dwadzieścia pięć milionów ludności Japonii mieszka tu mniej niż piętnaście tysięcy Amerykanów. Wszystkich nowych przybyszów traktuje się bardzo podejrzliwie. Nikt ci nie pomoże w poszukiwaniach. A w ogóle gdzie chciałbyś je zacząć?

— W tym samym miejscu, w którym ty zamierzałeś — odpowiedział Dzikus. — Gdzie mógłbym znaleźć tego świątobliwego człowieka, o którym wspominałeś?

— Nie będzie chciał z tobą rozmawiać.

— Może, ale muszę spróbować, a więc powiedz mi na wszelki wypadek, gdzie on przebywa?

— Twój upór jest godny pochwały — powiedział Akira, ale wyraz wątpliwości nie opuścił jego twarzy, kiedy wyjął z małego lakierowanego biureczka pióro i papier, na którym wypisał serię cyfr wraz z objaśnieniami, jak trafić pod podany adres. — Ten świątobliwy człowiek to mój sensei. Prawdopodobnie znajdziesz go w tym miejscu. — Akira postukał palcem w kartkę. — Ale najpierw musisz iść do restauracji.

Dzikus schował kartkę.

— Oczywiście — powiedział i wstał.

— Postaram się być gotowa jak najszybciej — odezwała się Rachel. Dzikus wyszedł za nią z pokoju. W drugim końcu korytarza klęczała Eko, głaszcząc włosy wnuka i skrapiając jego twarz

łzami.

Boże, zlituj się nad nią, pomyślał Dzikus. Boże, zlituj się nad nami wszystkimi.

W kwadrans później Rachel i Dzikus szli wysypaną białymi kamykami ścieżką, dźwigając swoje bagaże. Ogród, niegdyś pełen kojącego spokoju, sprawiał teraz złowrogie wrażenie. U bramy Dzikus odwrócił się i złożył Akirze ukłon. Akira odklonił się mu i powiedział:

— Sayonara.

— Sayonara. Miejmy nadzieję, że nie na długo się rozstajemy.  
— Załatwię sprawę z policją i zaraz do was dołączę — powiedział Akira i nagle wykonał ruch tak nieoczekiwany, że przez chwilę Dzikus nie mógł zrozumieć jego intencji.

Akira wyciągnął przed siebie rękę. Odstępując od japońskiego obyczaju, zamierzał uścisnąć dłoń Dzikusa.

Dzikus poczuł ciepło wokół serca, gdy ich dłonie się spotkały. Uścisk Akiry był lekki, ale pewny. Za jego delikatnością kryła się siła.

W chwilę później Akira usunął drewnianą sztabę z zaczepów po obu stronach bramy. Dzikus ostrożnie uchylił drzwi, wychylił głowę i rozejrzał się po pustej, ciemnej ulicy. Nie stwierdziwszy żadnego zagrożenia, wyszedł ostrożnie na chodnik, cały czas osłaniając Rachel. Pod marynarką niósł jeden ze zdobycznych pistoletów. Liczył na to, że policja nie będzie dociekać, dlaczego z trzech napastników uzbrojonych było tylko dwóch.

Drzwi zamknęły się cicho za nimi, stuknęła tylko sztaba, wkładana z powrotem w zaczepy. Kiedy skręcili za róg, Dzikus pomimo obecności Rachel stwierdził, że ogarnia go poczucie pustki i samotności.

## Amaterasu

Sprawdzając cały czas, czy nikt ich nie śledzi, przebyli piechotą dobre parę mil. Słońce już wzeszło i ulice były pełne ruchu i hałasu. Przechodząc przez skrzyżowania, Dzikus musiał przypominać sobie, aby nie patrzeć w lewo, jak w Ameryce i prawie całej Europie, lecz w prawo, gdyż tak jak w Anglii, obowiązywał tu ruch lewostronny.

W pierwszym odruchu Dzikus chciał wziąć taksówkę, ale jak na razie oboje z Rachel nie bardzo wiedzieli, dokąd jechać. Zresztą nawet gdyby mieli jakiś cel, nie potrafili przecież porozumieć się z kierowcą. Akira częściowo rozwiązał ich problem językowy, dając im japońsko--angielskie instrukcje, jak trafić do restauracji i jego sensei, jednak w obecnej chwili nie było z nich wielkiego pożytku, Rachel i Dzikus czuli się więc całkiem zagubieni.

Mimo to jednak musieli dokądś pójść. Włóczęga była nie tylko bezcelowa, ale i męcząca. Bagaże zaczynały już im ciążyć.

— Może pojedziemy autobusem — zaproponowała Rachel. — Przynajmniej będziemy mogli usiąść.

Szybko zmieniła zdanie, kiedy zobaczyła, jak bardzo wszystkie autobusy były zatłoczone. Dzikus zatrzymał się przy wejściu do metra.

— W pociągu będzie taki sam tłok — powiedziała Rachel.

— To bardziej niż prawdopodobne, ale na wszelki wypadek sprawdzmy.

Zeszli w głąb przyprawiającego o klaustrofobię labiryntu. Podróżni tłoczyli się wokół w takim pośpiechu, że mało kto zwracał na nich uwagę. Torba Dzikusa uderzała boleśnie o jego nogę. Z przodu dobiegł go zwielokrotniony echem hałas nadjeżdżającego pociągu.

U wyjścia z tunelu ukazały się przed nimi pełne ludzi i ogłuszającego gwaru perony. W przeciwieństwie do nowojorskiego metra japońska stacja była przynajmniej czysta i jasno oświetlona. Na ścianie wisiała mapa, na której krzyżowały się rozmaitego koloru linie, a poniżej japońskich ideogramów Dzikus zauważył również objaśnienia po angielsku.

— To mapa sieci metra — powiedziała Rachel.

Z wysiłkiem udało im się odcyfrować mapę i stwierdzić, że ta linia kolei podziemnej nazywa się Chiyoda. Jej znaczone zielonym kolorem trasa prowadziła do śródmieścia Tokio. Na wschód od centrum widniała czarna linia z napisem GINZA.

Dzikus spojrział na kartkę, którą dał mu Akira.

— Ta restauracja znajduje się w Ginzie. Jeżeli pojedziemy pociągiem i wysiądziemy na jednej ze stacji w śródmieściu, może trochę zbliżymy się do miejsca spotkania.

— Albo zgubimy się jeszcze bardziej.

— Nie trać wiary — odpowiedział Dzikus. — Czyżbyś sama mi tego nie powtarzała?

Podróżni ustawiali się w kolejkę przy wejściu na peron, aby kupić bilety w automacie. Dzikus poszedł w ich ślady, posługując się monetami, które wymienił na lotnisku. Kiedy nadjechał pociąg, oczekujący tłum runął do otwartych drzwi, wpychając Rachel i Dzikusa do środka.

Po paru przystankach wysiedli z pociągu i weszli po zatłoczonych schodach prosto w pulsujący zgiełk centrum Tokio. Wokół wznosiły się biurowce i wielkie magazyny, a przeraźliwy tłok na chodnikach i jezdniach przyprawiał niemal o utratę zmysłów.

— Nie możemy się dalej targać z tymi bagażami — stwierdziła Rachel.

Postanowili znaleźć jakiś hotel, ale zamiast tego trafili na wielki budynek dworca kolejowego. W pełnej ludzi hali znajdowały się schowki, gdzie umieścili torby i, wyzwoleni wreszcie od ich ciężaru, poczuli się jak nowo narodzeni.

— Dopiero dziewiąta — zauważył Dzikus. — W restauracji powinniśmy się zjawić nie wcześniej niż w południe.

— No to chodźmy pozwiedzać miasto — powiedziała wesoło Rachel.

Dzikus wyczuwał, że ten jej promienny z pozoru nastrój był wymuszony rozpaczliwym pragnieniem oderwania myśli od okropności minionej nocy. Udawało się jej zachowywać pozory bez troski aż do chwili, gdy przy wyjściu z dworca natknęła się na automat z gazetami.

Zatrzymała się przy nim i palcem wskazała okładkę magazynu, na której widniało duże zdjęcie tego samego Japończyka, którego widzieli w telewizji w motelu w Karolinie Pomocnej.

— Muto Kamichi! — Dzikus gwałtownie sapnął, nie mogąc powstrzymać sfabrykowanego wspomnienia rozciętego na pół ciała Kamichiego, ale natychmiast poprawił się, używając nazwiska, którym posługiwał się komentator telewizyjny, mówiąc o tym antyamerykańskim polityku: — A raczej Kunio Shirai.

Fotografia przedstawiała siwowłosego Japończyka, przemawiającego do tłumu wzburzonej młodzieży.

Dlaczego muszę sądzić, że widziałem go martwego, zastanawiał się Dzikus. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Czy on też myśli, że widział naszą śmierć?

— Wyjdźmy stąd — odezwał się — i poszukajmy jakiegoś spokojniejszego miejsca. Muszę pomyśleć.

Poszli na zachód od dworca i dotarli do wielkiego placu zwanego Kokyo Gaien. W oddali, za fosą, błyszczał w słońcu pałac cesarski. Idąc z Rachel szeroką żwirowaną aleją w stronę południowej pierzei placu, Dzikus starał się uporządkować myśli.

— Wygląda to niemal tak, jak gdybyśmy obaj razem z Akirą byli celowo zmuszeni do przyjazdu do Japonii.

— Nie pojmuję, jak by to było możliwe. Przecież za każdym razem podejmowaliśmy własne decyzje. Od Grecji przez Francję i Amerykę aż dotąd — powiedziała Rachel.

— A jednak ktoś przewidział, że znajdziemy się w domu Akiry. Grupa napastników czekała na nasz przyjazd...

— Ale w jaki sposób mogli to przewidzieć?

— Nie wiem.

Wyszli na ulicę i znowu ruszyli w kierunku zachodnim. Po lewej stronie mieli budynek parlamentu, a po prawej, za fosą, znajdowały się Ogrody Cesarskie, ale Dzikus był zbyt pogrążony w myślach, aby zwrócić na nie uwagę.

Przez pewien czas szli przed siebie w kłopotliwym milczeniu.

— Jeżeli dwóch ludzi myśli, że widzieli siebie nawzajem martwych, a potem spotykają się oko w oko — odezwał się w końcu — to jak powinni się zachować?

— Ależ to oczywiste. — Rachel wzruszyła ramionami. — Tak samo, jak ty i Akira. Będą za wszelką cenę chcieli dowiedzieć się, co się naprawdę zdarzyło.

— No, a jeśli stwierdzą, że ktoś, kogo oni znają, zaaranżował wcześniej ich spotkanie?  
— Pójdą do tej osoby i będą domagać się wyjaśnień — odpowiedziała Rachel.  
— Logiczne, więc dające się przewidzieć. A więc poszliśmy do Grahama i stwierdziliśmy, że został zamordowany. Nie znaleźliśmy odpowiedzi na nasze pytania, ale ponieważ koniecznie chcieliśmy je uzyskać, dokąd jeszcze mogliśmy się zwrócić?  
— Była tylko jedna możliwość — stwierdziła Rachel. — Tam, gdzie widzieliście nawzajem własną śmierć, czyli do „Górskiego Ustronia” w Medford Gap.  
— Które, jak się przekonaliśmy, nie istnieje, a więc można było również przewidzieć, że będziemy się starali dowiedzieć, co jeszcze z naszych wspomnień nigdy nie istniało — ciągnął Dzikus. — To znaczy, że się udamy do szpitala w Harrisburgu, w którym jak nam się wydawało, byliśmy obaj leczeni przez tego samego lekarza.  
— Ale w tym miejscu twoja teoria się załamuje — rzekła Rachel — ponieważ nikt nie mógł przewidzieć, że zdecydujecie się na prześwietlenie, aby sprawdzić, czy rzeczywiście odnieśliście jakiegokolwiek obrażenia, a już z pewnością nie można było przewidzieć waszej rozmowy z doktorem Santizo w Filadelfii.

Minęli dwa budynki, wyglądające na siedziby jakichś instytucji. Za nimi rozciągał się gęsto zadrzewiony park. Na tabliczce przy wejściu pod japońską nazwą widniało jej angielskie tłumaczenie: Wewnętrzny Ogród Świątyni Meiji.

— Ale mogli czekać na nas w szpitalu — mówił dalej Dzikus. — Albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, w Medford Gap, gdzie łatwo było nas zauważyć, kiedy rozpytywaliśmy o „Górskie Ustronie”. W Nowym Jorku upewniliśmy się, że nikt nas nie śledzi, ale po wizycie w Medford Gap byliśmy już mocno rozkojarzeni i łatwo mogliśmy nie zauważyć kogoś, kto siedzi nam na ogonie. Kiedy w Harrisburgu zostawiliśmy samochód i biegaliśmy po szpitalach, tamci mogli bez trudu zainstalować w nim radionadajnik, dzięki czemu znali nasze wszystkie ruchy aż do Virginia Beach, gdzie zabili Maca, aby powstrzymać go od mówienia, i próbowali oddzielić cię od nas. Kiedy teraz zastanawiam się nad tym, widzę, że śmierć Maca miała na celu nie tylko uniemożliwienie przekazania nam informacji, ale i obciążenie nas winą za to morderstwo, co tym bardziej zmuszało nas do ucieczki.

— A kiedy zobaczyliście Kunio Shiraiego w telewizji, wiedzieliście również, dokąd macie jechać — powiedziała Rachel. — Do Japonii. — Potrząsnęła głową. — W tym rozumowaniu jest jednak pewien błąd. Jak można było mieć pewność, że zobaczycie Shiraiego?

— Musieliśmy ustalić, co policja mówi o tym morderstwie. Natrafilibyśmy na niego tak czy inaczej, jeśli nie w telewizji, to w gazetach.

— To prawda... Dzikus zmarszczył brwi.

— Ale ta grupa, która zabiła Maca, pracuje dla kogoś innego niż ci, którzy próbowali nas zabić tej nocy. Jedni chcą, abyśmy szukali dalej, drudzy zaś chcą nas od tego powstrzymać.

Mówiąc to wszystko, Dzikus żywo gestykułował, zły i zdezorientowany.

Szeroka aleja prowadziła ich poprzez wielką drewnianą bramę, której boczne słupy łączyła w pobliżu szczytu poprzeczna belka, a u samej góry znajdowała się następna, znacznie dłuższa. Konstrukcja ta przypominała Dzikusowi ogromny japoński ideogram. Jego wzrok powędrował obsadzoną drzewami i krzewami aleją ku wysokiej pagodzie. Smukłość trzypiętrowej bryły podkreślały niskie i długie budynki po obu stronach. To była Świątynia Meiji. Jej dach był płaski, ale skrzydła opadały w dół, na samym skraju podwinięte, tworząc połączenie między niebem a ziemią. Dzikusa zachwyciła elegancja i harmonia tej konstrukcji.

Nagle ze zdumieniem usłyszał jakiś głos mówiący po angielsku. Rachel chwyciła go za ramię, a on obrócił się nerwowo i zobaczył coś tak nieoczekiwanego, że aż zamrugał z oszołomienia.

To byli Amerykanie, i to nie kilku, a kilkudziesięciu. Wprawdzie Dzikus przybył do Japonii zaledwie wczoraj, ale już tak zdążył przywyknąć do tłumów, złożonych wyłącznie z przedstawicieli żółtej rasy, że przez chwilę ta ciżba białych wydawała mu się obca.

Mówiący po angielsku głos należał jednak nie do jednego z nich, lecz do mniej więcej dwudziestoletniej przystojnej Japonki. Dziewczyna ubrana była w ciemnoczerwony

kostium, krojem przypominający mundur. W rękę trzymała plik kartek, spięty klamerką, i bez przerwy kręciła głową, tłumacząc coś postępującym za nią Amerykanom. Dzikus zorientował się, że była to grupa turystów. — Świątynia Meiji jest jednym z najpopularniejszych miejsc pielgrzymkowych w Japonii — powiedziała przewodniczka. Jej angielska wymowa była bardzo dobra, chociaż rozróżnienie „l” i „r” sprawiało jej wyraźne trudności.

Zatrzymała się w miejscu, gdzie aleja przechodziła w dziedziniec, a grupa stanęła półkolem wokół niej.

— W tysiąc osiemset sześćdziesiątym siódmym roku — powiedziała — po ponad dwustu pięćdziesięciu latach, w czasie których absolutnym władcą Japonii był shogun, cesarz ponownie zajął pierwsze miejsce w państwie. Imię Jego Cesarskiej Wysokości brzmiało Meiji — tu skłoniła głowę — i dlatego przywrócenie władzy cesarzowi nosi nazwę Restauracji Meiji. Jest ona uważana za jeden z czterech największych przełomów kulturowych w historii Japonii.

— A jakie były pozostałe trzy? — przerwał jej mężczyzna w spodniach w niebieską kratkę.

— Wpływy chińskie w piątym wieku, ustanowienie shogunatu w roku tysiąc sześćsetnym i reformy okresu okupacji amerykańskiej po drugiej wojnie światowej — odpowiedziała dziewczyna.

— A czy to nie MacArthur zmusił cesarza, żeby przyznał, że nie jest bogiem?

Przewodniczka uśmiechnęła się z przymusem.

— Tak, wasz generał zażądał od Jego Wysokości, aby zrezygnował ze swej boskości. — Uśmiechnęła się jeszcze bardziej sztucznie, po czym wskazała ręką pagodę. — Kiedy cesarz Meiji zmarł w tysiąc dziewięćset dwunastym roku, na jego cześć wzniesiono tę świątynię. Oryginalna budowla została zniszczona w czterdziestym piątym, a tę replikę wzniesiono w pięćdziesiątym ósmym. — Taktownie nie wspomniała, że powodem zniszczenia świątyni były amerykańskie naloty bombowe.

Dzikus przyglądał się, jak prowadziła swoją grupę przez dziedziniec. Już zamierzał pójść za nią w stronę świątyni, ale odruchowo obejrzał się za siebie i aż go ścisnęło w dołku, kiedy zauważył, że kilku Amerykanów nie ruszyło za grupą, lecz pozostało o jakieś trzydzieści metrów w tyle na wysadzonej drzewami alejce.

Dzikus spojrzał na świątynię.

— Chodź, dołączymy do grupy — powiedział do Rachel. Starał się, aby to zabrzmiało lekko, ale trudno mu było ukryć napięcie w głosie.

Rachel obróciła się gwałtownie ku niemu.

— Co się dzieje?

— Po prostu patrz przed siebie i idź obok mnie. Udawaj, że bardzo cię interesuje to, co mówi przewodniczka.

— Ale co...

Poczuł ukłucie w sercu.

— Powiem ci, ale teraz nie oglądaj się za siebie.

Zbliżyli się już do grupy. Rozległy dziedziniec był skąpany w słońcu, ale Dzikus czuł, jak ciarki mu chodzą po plecach.

— W porządku, nie obejrzę się — powiedziała Rachel.

— Pięciu ludzi w alejce. W pierwszej chwili myślałem, że to też turyści, ale oni noszą garnitury i bardziej ich interesują krzaki przy ścieżce niż ta świątynia. Przede wszystkim jednak są zainteresowani nami.

— O Boże!

— Nie rozumiem, jak nas odnaleźli. Pilnowaliśmy się, a w metrze było zbyt ciasno, aby ktokolwiek mógł nas mieć na oku.

— Może to naprawdę tylko turyści. Jacyś biznesmeni, którzy mają parę godzin wolnego i starają się przywyknąć do zmiany czasu. Może świątynia interesuje ich mniej, niż się spodziewali, i teraz żałują, że nie poszli do gejszy.

— Nie — odrzekł Dzikus czując, jak mu łomocze puls. Doszli już do grupy turystów i musiał mówić cicho. — Rozpoznałem jednego z nich.

Rachel wzdrygnęła się. — Jesteś tego pewien?

— Tak pewien jak tego, że widziałem Akirę bez głowy i Kamichiego przeciętego na pół. Jeden z tych ludzi był w „Górskim Ustroniu” w Medford Gap.

— Ale „Górskie Ustronie”...

— Nie istnieje, wiem o tym. Pamiętam, że on tam był. Skronie Dzikusa pulsowały. Czuł zawrót głowy, spowodowany nawrotem jamais vu.

Chociaż starał się nie mówić zbyt głośno, ton rozpaczy w jego głosie sprawił, że turyści zaczęli obracać się ku niemu, patrząc gniewnie, a jakaś paniusia po pięćdziesiątce z błękitnymi włosami powiedziała nawet:

— Cśśś...

Japońska przewodniczka zająknęła się, szukając wzrokiem źródła zamieszania.

Dzikus wymamrotał przeprosiny i odciągnął Rachel od grupy, kierując się pospiesznie w stronę wznoszącej się przed nimi świątyni.

— Tak, to sfalszowane wspomnienia — odezwał się do Rachel — ale mimo to istnieją w mojej głowie. Odbieram je jako realne. Obaj z Akirą pamiętamy, że w konferencji oprócz Kamichiego uczestniczyło trzech mężczyzn. Jeden z nich wyglądał na Włocha, drugi na Hiszpana, a może to był Meksykanin... W każdym razie trzeci był Amerykaninem, i to jego właśnie widziałem teraz za nami w alejce.

— Ale tej konferencji również nie było.

— Widziałem go jeszcze raz.

— Co takiego?

— W szpitalu, kiedy mnie leczono.

— W Harrisburgu? Przecież nigdy nie byłeś w szpitalu w Harris-burgu, jak więc możesz rozpoznawać człowieka, którego nigdy nie widziałeś?

— A jak mogliśmy razem z Akirą rozpoznać Kunio Shiraiego, znanego nam jako Kamichi?

— Przecież również nigdy nie spotkałeś Kamichiego... Dzikusa zalała fala przerażenia. Musiał zmobilizować całą swą

dyscyplinę, zdobytą przez wiele lat ćwiczeń, aby nie popaść w panikę. Obraz świątyni stojącej przed nim zdawał się falować i rozplýwać pod naporem fałszywych wspomnień, które starały się zająć jego miejsce. Jeżeli to, co pamiętam, nie jest prawdą, przebiegło mu przez myśl, jak mogą być pewien, że prawdą jest to, co widzę teraz?

Weszli do świątyni. W słabo oświetlonym korytarzu, który rozciągał się w prawo i w lewo, Dzikus ujrzał połyskliwe wrota, ozdobione złotym symbolem słońca. Ich skrzydła były szeroko otwarte, dając wgląd w coś, co przypominało sanktuarium. Poręcze z łańcuchów zamykały do niego dostęp.

— Tędy — powiedział Dzikus, popychając Rachel w lewo i potrącając Japończyka, wpatrującego się we wnętrze świątyni z nabożną czcią dla ceremonialnych przedmiotów, symbolizujących chwalebą przeszłość, z czasów poprzedzających amerykańską okupację i drugą wojnę światową.

Badając wzrokiem korytarz przed nimi, Dzikus rzucił przelotne spojrzenie w lewo, przez prowadzące na zewnątrz drzwi. Pięciu Amerykanów pod wodzą dystyngowanego, elegancko ubranego mężczyzny, którego pamiętał z „Górskiego Ustronia” i szpitala w Harrisburgu, szło szybkim, długim krokiem przez zatłoczony dziedziniec, zbliżając się do świątyni. Dzikus domyślał się, że nie zaczęli biec tylko dlatego, iż zdawali sobie sprawę, że i tak wystarczająco zwracali na siebie uwagę kolorem skóry. Każde zamieszanie w tym miejscu spowodowałoby szybką interwencję policji.

Przesycony aromatem jaśminu korytarz zakręcał w prawo. Starając się uniknąć zderzenia z kolejnymi grupkami medytujących Japończyków, Dzikus i Rachel biegli zygzakiem, uskakując w bok, skręcając i obracając się, byle tylko jak najszybciej dopaść

wyjścia.

Wypadli ze świątyni wprost w oślepiający słoneczny blask, zalewający kolejny dziedziniec, a kiedy usłyszeli za sobą oburzone japońskie głosy, puścili się pędem przed siebie.

— To on, jestem tego pewien — powiedział Dzikus. Z drugiej strony dziedzińca otwierała się zapraszająco następna wysadzana drzewami aleja. — Widziałeś? Ten elegancko ubrany mężczyzna z wąsami, który wygląda na ich szefa, po pięćdziesiątce, szpakowaty, z oczami polityka?

— Tak, widziałam go przez drzwi świątyni — odpowiedziała Rachel biegnąc.

— To on przyszedł mnie odwiedzić we wspomnieniach ze szpitala w Harrisburgu.

Powiedział, że nazywa się...

Przypomnienie nigdy nie wypowiedzianych słów sprawiło, że Dzikusa przebiegł dreszcz.

*Philip Hailey. Nazwisko równie dobre, jak każde inne. Anonimowe. Czysto amerykańskie.*

— *Kamichi i Akira. Co stało się z ich ciałami?*

— *Zostały szybko usunięte.*

— *A co z policją?*

— *Nie była zawiadomiona.*

— *...tyle krwi.*

— *Ten korytarz w hotelu jest teraz całkowicie przerobiony.*

— *Kto ich, do cholery, zabił, i dlaczego?*

— *Motywy tej zbrodni wiążą się niewątpliwie z celem konferencji, to jednak nie pańska sprawa. Spodziewamy się, że znajdziemy winnych. Niech pan uważa tę sprawę za zamkniętą. Przyszedłem tu, by zapewnić pana o naszym współczuciu dla pańskich cierpień i by powiadomić, że zostało zrobione wszystko, co można, aby pomścić ten straszliwy czyn.*

— *Inaczej mówiąc, trzymaj się pan od tego z daleka.*

— *Czy ma pan jakiś wybór? Niech pan traktuje te pieniądze jako wyrównanie długów. Uregulowaliśmy również pańską należność za leczenie. To zachęta, demonstracja naszej dobrej woli. W zamian liczymy na pańską dobrą wolę. Niech pan nas nie zawiedzie.*

*Pocziwy stary Phil nie musiał dodawać: „Jeśli nie będzie pan posłuszny, jeśli nie będzie się pan trzymał z dala od naszych spraw, to pańskie prochy zostaną zmieszane z prochami Kamichiego i Akiry.”*

Dzikus przyspieszył, popędzany strachem. Japońscy pielgrzymi odskakiwali na boki, patrząc ze zgrozaniem na to pogwałcenie pełnej spokoju atmosfery świątyni. Obok siebie słyszał stukot obcasów Rachel o-betonowe płyty dziedzińca.

Wysadzana drzewami ścieżka, w miarę jak Dzikus zbliżał się do niej, wydawała się coraz szersza. Jeszcze dziesięć metrów, jeszcze pięć. Cały zlany potem wpadł na nią, słysząc obok siebie szybki oddech

Rachel.

Nagle dobiegły go jakieś krzyki. Rzuciwszy szybkie spojrzenie za siebie ujrzał, jak ze świątyni wybiega pięciu mężczyzn z Philipem Haileym na czele, kierując się na przełaj przez dziedziniec.

— Forsyth! — krzyknął Hailey. — Zatrzymaj się! Forsyth...? Dzikus aż zdrewniał od nagłego przypomnienia. To przecież pseudonim, którego używał w szpitalu. Roger Forsyth. Ale przecież nigdy nie był w tym szpitalu, nigdy nie spotkał Haileya, więc skąd on to wie?

— Do jasnej cholery, Forsyth, stój!

I znowu wszystko w jego polu widzenia zamigotało, jak gdyby ścieżka, drzewa i krzaki nie były rzeczywiste: szybki tupot ludzi na dziedzińcu brzmiał jednak niezwykle realnie.

Dzikus zmobilizował siły, aby biec jeszcze szybciej.

— Jak się czujesz, Rachel? Dotrzymasz mi kroku?

— Te buty — wysapała. — Chyba nie nadają się do maratonu. Biegając długim krokiem zrzuciła z nóg pantofle i zrównała się z nim.

— Forsyth! — krzyczał Hailey. — Doyle! Zatrzymaj się, na litość boską...

Doyle...? Mac powiedział, przebiegło przez myśl Dzikusowi, że tak właśnie brzmi moje nazwisko. Robert Doyle. Tego nazwiska użył też barman, mówiąc policji, kto zabił Maca.

Ścieżka skręcała w prawo, ale tuż przed zakrętem przecinała się z inną ścieżką.

Dzikus zwolnił. Nie wiedział, co kryło się za zakrętem, może jakaś przeszkoda. Spojrzał rozpaczliwie w prawo i stwierdził, że poprzeczna ścieżka biegła prosto na długim odcinku i była niemal pusta. Będziemy dobrze widoczni, pomyślał, łatwe cele. Kiedy jednak obrócił się w lewo, zauważył, że po tej stronie od przecznicy odchodziło kilka odgałęzień.

Pociągnął Rachel za rękę i pobiegli w lewo; Hailey i jego ludzie byli już coraz bliżej.

— Doyle!

Dzikus był już prawie gotów wyciągnąć pistolet spod marynarki, dotychczas jednak nikt z grupy Haileya nie posłużył się bronią. Pomimo ich widocznego zdecydowania, aby powstrzymać Dzikusa przed dalszym poszukiwaniem klucza do zagadki — czyżby to oni byli odpowiedzialni za napaść na dom Akiry tej nocy? — nie byli tak głupi, żeby wszczynać strzelaninę, która spowodowałaby panikę wśród japońskich pielgrzymów i zmusiła służbę świątyni do wezwania policji. Hailey i jego ludzie będą musieli nas zabić dyskretnie, po cichu, pomyślał Dzikus, w przeciwnym wypadku bowiem nie zdołaliby się wydostać z parku przed zablokowaniem wszystkich wyjść. W razie strzelaniny każdy biały w tej okolicy byłby z pewnością zatrzymany i przesłuchany.

Biegając wzdłuż krzaków, Dzikus zauważył ścieżkę odchodzącą w prawo, a jakieś dwadzieścia metrów dalej następną, która odbiegała w lewo, ta jednak doprowadziłaby ich z powrotem do świątyni. Przez chwilę wstrząsnęło nim przypomnienie labiryntu Mykonos, przez który wraz z Rachel uciekali przed ludźmi jej męża.

Tak, to też był labirynt. Przyjrzawszy się dokładniej ścieżce po prawej zauważył, że i ona miała wiele odgałęzień, przebijających się przez gęste zarośla i krzewy. — Za mną! — zawołał do Rachel, skręcając w prawo.

— Doyle!

Kolejne skrzyżowanie. A teraz którędy? W prawo były inne ścieżki, prosto przed sobą miał ostry zakręt, też w prawą stronę, na lewo natomiast alejka kończyła się ślepo, zamknięta barierą krzaków i drzew.

Nie możemy wpaść w pułapkę, pomyślał Dzikus i już miał rzucić się wprost przed siebie, kiedy przyszło mu do głowy, że tak właśnie rozumowałby Hailey.

Być cały czas w ruchu, nie dać się osaczyć. Tylko dlaczego drzewa i krzewy miałyby być dla niego pułapką?

Dzikus gwałtownie zmienił kierunek biegu, skręcając w lewo, i pociągnął Rachel za sobą. Ścieżka była krótka i rzeczywiście kończyła się ślepo, Dzikus jednak wypatrzył szczelinę w gąszczu, chwycił więc Rachel za ramiona i pchnął w tym kierunku, po czym przygarbił się i poszedł w jej ślady. Lawirując wśród drzew i pełząc pod gałęziami wdrapał się na zbocze, przecisnął wśród skał i przycupnął w gęstwinie. Buty zapadały mu się w grubej warstwie wilgotnej próchnicy. Dookoła otaczały ich krzaki. Park stanowił harmonijne połączenie dzieła rąk ludzkich i naturalnego chaosu; starannie utrzymane ścieżki kontrastowały z rozbuchaną roślinnością wokół nich. Fragment dzikiej puszczy w samym centrum Tokio.

Dzikus czuł na policzku dotyk liści paproci. Wciągnął głęboko w płuca zapach próchnicy i wyjął zza paska berettę. Obok niego Rachel ciężko dyszała, pot kapał jej z czoła, a oczy wciąż miała rozszerzone lękiem. Gestem nakazał jej milczenie. Trzymając pistolet w pogotowiu, wpatrywał się w dół zbocza, drzewa rosły jednak tak gęsto, że nie było widać ścieżki.

Gęste liście tłumili dźwięki. Pospieszne kroki, szybkie oddechy i wyrażające zawód



przekleństwa zdawały się dochodzić z daleka, ale ich prześladowcy nie mogli znajdować się dalej niż o jakieś dwadzieścia metrów od nich.

- Która pieprzona...
- ...drogą. Skąd mam wiedzieć, gdzie oni...
- ...musieli pobiec...
- ...tędy. Nie...
- ...tamtędy. Nie mogli...
- ...wybrać pułapki. Ta druga ścieżka...
- ...prowadzi do innej ścieżki, która...
- ...prowadzi do zachodniego wyjścia. Do cholery, dajcie mi radio. Chryste Panie!

Dzikus uświadomił sobie, że ostatni głos należy do Haileya. Pamiętał go z przeraźliwą wyrazistością, ale nie z okrzyków, ścigających ich od świątyni. Był to głos, którym przemawiał jako wymuskany i pewny siebie, groźny i władczy arystokrata, próbujący przekupić go w szpitalu i straszący wyrokiem śmierci, gdyby Dzikus nie zechciał się wycofać.

Tak, to fałszywe wspomnienia, ale cóż za różnica. Nie wycofałem się, ty sukinsynu, pomyślał Dzikus, a jeśli chciałbyś pogadać o śmierci — mocniej ścisnął w rękę berettę — to bardzo proszę, podyskutujmy.

Z dołu, spoza gęsto splątanych drzew i krzaków, dobiegł go głos Haileya:

— Beta, tu Alfa. — Najwidoczniej mówił przez radiotelefon, który przyniósł mu jeden z jego ludzi. — Zgubiliśmy ich. Przekażcie to innym. Zablokować wszystkie wyjścia z parku.

W oddali zawyły syreny. Charakterystyczny sygnał, raz wyższy, raz niższy, świadczył o zbliżaniu się samochodów policyjnych. Czyżby zamieszanie było tak duże, że służba świątynna zdecydowała się powiadomić władze?

— Jezu Chryste! — odezwał się Hailey. — Beta, wycofaj się. Unikaj jakichkolwiek kontaktów z...

Dźwięk syren osiągnął maksimum i zaczął stopniowo słabnąć.

— Czekaście — powiedział Hailey. Syreny oddalały się coraz bardziej.

— Beta, odwołuję rozkaz wycofania. Kontynuujcie obserwację wyjść. Nie pozwólcie się rozpoznać. Koniec. — Jego głos zmienił się i przycichł, jak gdyby mówił do kogoś, kto stał tuż obok. — Chodźmy.

— Ale które? — zapytał człowiek na ścieżce.

— A skąd ja mam, u diabła, wiedzieć? Rozdzielmy się i sprawdźmy wszystkie ścieżki. Może oni zawrócili. Możemy być pewni tylko jednego — nie mogą stąd wyjść, a ich wygląd zwraca uwagę.

Słychać było, jak ludzie rozbiegali się we wszystkie strony.

— A jeśli skryli się w lesie? — odezwał się jakiś oddalony głos.

— Miejmy nadzieję, że tak się nie stało. — Głos Haileya również się oddalał. — Sto osiemdziesiąt akrów dżungli. Trzeba by jakiegoś pieprzonego Tonto czy Rin Tin Tina, żeby ich tu znaleźć... Nie, oni muszą czuć się osaczeni i będą chcieli się stąd jak najszybciej wydostać. Zanim zablokujemy wyjścia.

W tej części parku zapanowała cisza, tylko wiatr cicho szumiał w gałęziach i śpiewały ptaki.

Dzikus odetchnął cicho i ostrożnie opuścił rękę z pistoletem. Kiedy obrócił się do Rachel, przycupniętej za nim w krzakach, zobaczył, że otwiera usta, aby coś powiedzieć, szybko więc przykrył je dłonią i zdecydowanie potrząsnął głową. Wskazał przy tym na niewidoczną ścieżkę w dole i wzruszył ramionami, starając się dać do zrozumienia, że któryś z tamtych ludzi mógł pozostać na straży. Rachel mrugnęła na znak, że pojęła, o co chodzi, cofnął więc rękę i opadł na ziemię, starając się nie czynić hałasu. Twarz miał zroszoną potem, ale cień drzew przynosił ulgę jego rozpalonym skroniom.

Mimo to jednak wciąż nie opuszczało go uczucie strachu. Jak długo będą nas szukać, zastanawiał się, ilu ludzi ma Hailey oprócz tych, którzy brali udział w pościgu, kim on jest, dlaczego się mnie obawia i jak nas odnalazł?

Dreńczę pytania wprost rozsadały mu głowę.

Forsyth. Nazwał mnie Forsythem, a potem Doylem, ale dlaczego użył obu tych nazwisk i dlaczego tylko nazwisk, a nie wołał na mnie „Roger” albo „Bob”?

Imienia używa się tylko między przyjaciółmi, a po nazwisku zwracamy się do kogoś, kogo nienawidzimy albo...

Albo do kogo...? Do tego, nad kim mamy władzę. Podczas ćwiczeń z zadań specjalnych w SEAL instruktorzy zawsze posługiwali się tylko naszymi nazwiskami i starali się wymawiać je tak, jakby naprawdę nazywali nas dupkami żółdymi.

Ale to przecież nie SEAL. Hailey wygląda jak polityk czy członek jakiejś rady nadzorczej i niewątpliwie chce mnie usunąć, choć nie wiadomo, z jakiego powodu.

Dzikus zmarszczył brwi, niespodziewanie bowiem usłyszał jakieś głosy od strony ścieżki. Nie mogąc w pierwszej chwili zrozumieć słów podejrzewał, że to krzaki tak je zniekształciły, potem jednak zorientował się, że rozmowa toczy się po japońsku. W głosach nie było słyhać gniewu ani zdenerwowania, lecz raczej zachwyt nad urodą parku. Dzikus rozluźnił dłoń ściskającą kolbę pistoletu.

Kiedy znowu popatrzył na Rachel, nie mógł powstrzymać uśmiechu. Wachlowała się górą swej sukienki, starając się osuszyć pot, który spłynął jej na piersi. Odwrócił spojrzenie od mokrych plam, uwydatniających jej sutki, ściągnął z siebie przemokniętą koszulę, strzepnął żuczka z ramienia i zrobił grymas obrzydzenia. Jej błękitne oczy rozbłysły wesoło i nawiąźniej się rozluźniła, ale tylko na chwilę, nagle bowiem coś sobie przypomniała, stuknęła się w czoło i pokazała na zegarek. Była już niemal jedenasta, a o dwunastej mieli być przecież w restauracji w Ginzie i czekać na telefon od Akiry.

Tak, jeśli Akira miałby możliwość zadzwonić. Może policja nie uwierzyła jednak w jego opowieść o pokonaniu trzech napastników, może zabrano go na komisariat, aby dokładniej przesłuchać.

Może tak, a może nie.

Jeżeli Akira zadzwoni do restauracji o umówionej porze, a ich tam nie będzie, to wtedy...

Zadzwoni znowu o szóstej wieczorem, tak jak się umówili.

No a jeśli nie wydostaną się stąd i do szóstej? Następną awaryjną pora kontaktu przypadała na dziewiątą rano. Jeśli i to zawiedzie, jeśli nawet do tego czasu nie zdołają się wymknąć Haileyowi...? Akira będzie wtedy podejrzewał najgorsze, uzna, że wszystko skończyło się fiaskiem. Jedyną szansą nawiązania z nim kontaktu pozostanie wtedy telefon do domu. Eko nie zna angielskiego, ma więc przykazane odpowiedzieć tylko „moshi, moshi”, jeżeli Akira jest bezpieczny, lub niegrzecznie „hai” w przypadku jakiegoś zagrożenia.

Chryste Panie, pomyślał Dzikus, nie zaplanowaliśmy tego jak należy. Jesteśmy zawodowcami, ale nawykłymi do ochraniać innych, a nie siebie samych. Nam samym przydaliby się teraz obrońcy, ale skoro ich nie mamy, próbujemy chronić się sami, a przez to wszystko nam się wali. Zakładaliśmy, że tylko Akirze może grozić niebezpieczeństwo, a teraz...

Opanuj się, upomniał Dzikus sam siebie, na razie jesteście bezpieczni i nawet jeśli nie zdołacie dotrzeć do restauracji w południe, do szóstej wieczorem jest jeszcze dużo czasu.

Tak, pomyślał, i to właśnie mnie martwi. W tym czasie wszystko może się zdarzyć. Jeżeli Hailey i jego ludzie są uparci — a Dzikus zakładał, że tacy być powinni — nie wydostaniemy się stąd przed zmrokiem. A co potem?

Nie możemy tak po prostu wyjść przez bramę. Będziemy musieli przejść przez mur, a w mieście, gdzie żyje dwanaście milionów Japończyków i tylko parę tysięcy białych, natychmiast zwrócimy na siebie uwagę. Będziemy się rzucać w oczy jak Godzilla.

Cholera! Dzikus zebrał wszystkie siły, aby pohamować narastający niepokój i znów obejrzał się na Rachel. Liście oblepiały jej spódnicę, twarz miała brudną, kasztanowe włosy zwisały w strąkach, a mimo to wyglądała tak pięknie... była tak pełna życia, zgrabna, urocza i promienna.

Miał wielką ochotę zaryzykować i powiedzieć na głos, że ją kocha, zamiast jednak przerwać ciszę, podsunął się bliżej i delikatnie ucałował czubek jej nosa. Jej skóra miała smak kurzu i była słona od potu. Rachel przymknęła oczy, uniosła powieki, zamrugła nerwowo i pogładziła go po włosach.

Pamiętaj, powiedział sobie Dzikus w duchu, że dopóki to się nie skończy, ona jest przede wszystkim twoją pryncypalką. A poza tym może Akira czeka na nas? Może... ale za to ludzie Haileya szukają nas na pewno. To co w takim razie robimy?

Ruszamy!

Dzikus ujął Rachel za ramiona, pocałował ją i obrócił, wskazując gęstwinę za nimi.

Poruszyła ustami, ale dopiero po chwili zrozumiał, co chciała powiedzieć. Odczytał z ruchu warg bezdźwięczne słowa, które już znał: „Pójdę za tobą nawet do piekła...”

Pobrnęli po grząskim gruncie w głąb lasu.

Od czasu do czasu las ustępował miejsca polanom, porośłym wysokimi do pasa paprociami. Dzikus i Rachel omijali je w obawie, że wydeptana w nich ścieżka mogłaby naprowadzić na ich trop ludzi Haileya. Trzymając się cały czas lasu, Dzikus orientował się według słońca i kierował ku zachodowi. Bał się, żeby nie wypatrzył ich strażnik, kiedy będą przekraczali ścieżkę, najwyraźniej jednak był to najbardziej zapadły kąt parku, gdyż nie napotykali tu żadnych ścieżek. Chociaż temperatura nie dochodziła nawet do dwudziestu stopni, podobnie jak w październiku w Nowej Anglii, oboje z Rachel byli spoceni z wysiłku. Gałęzie szarpały ich brudną odzież, a nawet rozdarły sukienkę Rachel. Ponieważ musiała zrzucić buty, aby wymknąć się ludziom Haileya, jej bose stopy były teraz całe w zadrapaniach. Dzikus dał jej swoje skarpetki, a dałby i buty, gdyby nie były o wiele dla niej za duże. W tej sytuacji, idąc w butach założonych na gołe nogi, wyhodował sobie pęcherze. Czasami, kiedy błoto stawało się zbyt grzaskie, brał Rachel na rękę, ale i tak poruszali się coraz wolniej, aż wreszcie gdzieś koło pierwszej po południu padli na ziemię, całkiem wyczerpani.

— Ten park jest ogromny — powiedziała Rachel — a Japończycy narzekają na brak przestrzeni... Ale Hailey już by nas złapał, gdyby nie to — dodała, masując stopy. Przechyliła głowę i nasłuchiwała przez chwilę. — Czyżbym słyszała ulicę?

Dzikus natężył słuch. Gęsto rosnące drzewa tłumili dźwięki, lecz wydawało się, że z oddali... Wstał, czując nowy przypływ energii. — Pójdę sprawdzić.

Przebrnął przez błoto i drzewa, radośnie uśmiechnął się na widok tego, do czego dotarł, i szybko zawrócił do Rachel.

— Jakies pięćdziesiąt metrów stąd jest mur. Doszliśmy do ulicy.

— Dzięki Bogu. — Odetchnęła, ale zaraz się zafrasowała. — Co teraz? Ludzie Haileya prawdopodobnie wciąż nas szukają. Na pewno wezmą pod uwagę także i to, że będziemy chcieli przejść przez mur.

— Kimkolwiek jest ten Hailey, dysponuje ograniczoną liczbą ludzi. Musieliby się bardzo rozproszyć, żeby obserwować mur wokół całego parku, ale masz rację — jeśli nawet tylko jeden z nich nas zauważy, przywoła innych przez radio. Nie zdołamy im uciec z tymi obolałymi nogami. — Zamyślił się na chwilę. — Chodźmy wzdłuż muru.

Nie mając żadnych danych pozwalających na wybór kierunku, Dzikus zdecydował arbitralnie, że pójdą na północ. Mur był na tyle wysoki, że ich skrywał, ale zarazem dostatecznie niski, by w razie potrzeby mogli się nań wdrapać. Lawirując między krzakami wraz z kulejącą Rachel, Dzikus wyobrażał sobie zaniepokojenie Akiry, jeżeli zadzwonił w południe do restauracji. Jakich powodów braku kontaktu mógłby się domyślać?

Mur zakręcał na wschód, a potem znowu na pomoc. Po sześćdziesięciu metrach Dzikus usłyszał głosy mówiące po japońsku, sprężył się więc, opadł na czworaka i wyrzwał spod osłony niskich gałęzi. Zobaczył aleję biegnącą ze wschodu na zachód. Odgłosy ruchu ulicznego były tu znacznie silniejsze. Po lewej stronie przerwa w murze tworzyła wyjście z parku, przez które widać było kłębiące się tłumy przechodniów i kolumny samochodów.

Dzikus omiótł wzrokiem zasnutą spalinami ulicę i wycofał się czołgając przez krzaki do miejsca, gdzie mógł rozmawiać z Rachel bez obawy, że ich ktoś usłyszy. Konary drzew okrywały ich cieniem.

— Nie widziałem żadnych Amerykanów — powiedział — ale to nic nie znaczy. Nie będą przecież stali na widoku. Mogą kryć się za murem po obu stronach bramy, w samochodzie po drugiej stronie ulicy albo...

— Inaczej mówiąc, nic się nie zmieniło. Dalej nie możemy stąd wyjść.

Dzikus zawahał się.

— Tak.

— A więc...?

— Poczekamy do zmroku. Rachel szeroko otworzyła oczy.

— W takim razie nie zdążymy do restauracji na kolejny telefon Akiry.

— Jeżeli będziemy próbowali wyjść teraz, nie mamy żadnych szans. Ludzie Haileya złapią nas i nigdy nie dojdziemy do restauracji — powiedział Dzikus. — Nie wiem, dlaczego Haileyowi tak zależy na nas, ale bardziej bym polegał na cierpliwości Akiry, niż liczył na to, że Hailey straci cierpliwość.

— Czuję się tak... Czy to twój normalny sposób życia?

— Normalny? O ile można to tak nazwać.

— Jestem z tobą od niecałych dwóch tygodni, a już czuję się, jakbym brała udział w paru wojnach. Jak ty to wytrzymujesz?

— Teraz, po tym, jak cię poznałem — Dzikus przełknął ślinę — sam się zaczynam nad tym zastanawiać. To, czego pragnę, co sprawia, że chcę działać, to...

— Powiedz.

— Głupio nawet myśleć o tym. Jest taka plaża w pobliżu Cancun... Chciałbym, żebyśmy tam pojechali i kochali się w falach przyboju, w świetle księżyca.

— Mów dalej. Opisz dotyk fali.

— Nie mogę.

— Kochać się ze mną...?

— Rozpraszać się — powiedział Dzikus. — Przez miłość do ciebie mógłbym stać się tak nieostrożny, że doprowadziłbym do twojej śmierci.

— W tej chwili... Jak długo musimy czekać?

— Do zmierzchu.

— No to mamy mnóstwo czasu. Gdy przymykam oczy, słyszę łoskot przyboju.

Wyciągnęła do niego ręce.

Kiedy objęli się, zamknął oczy i również usłyszał huk fali przyboju.

Rachel spała, a Dzikus czuwał nad nią. Obudziła się dopiero, gdy cienie zgęstniały i zachód słońca był już blisko — piękna, choć zapuchnięta od snu.

— Teraz twoja kolej — powiedziała.

— Nie, ja muszę...

— Spać — odrzekła. — Jesteś bezużyteczny dla mnie w takim stanie. — W jej błękitnych oczach zamigotały iskierki.

— Ale przypuścimy, że ludzie Haileya...

Łagodnie wyjęła berettę z jego ręki. Wspomniawszy minioną noc, Dzikus nie wątpił, że potrafiłaby jej użyć, ale zdawał sobie też sprawę, jak wielki uraz musiała pokonać. Jej dłoń zadrżała na kolbie pistoletu, ale po chwili ścisnęła ją mocno i zdecydowanie.

— Jesteś pewna? — zapytał.

— A jak inaczej dotrzemy do Cancun?

— Coś cię może przestraszyć i...

— Obudzę cię, jeśli tylko będzie na to czas albo nie będę widziała celu.

Dzikus zmrużył oczy.

— Myślisz, że znowu stracę głowę... zacznę strzelać... strzelać... może nawet bez

powodu.

— Nie — odpowiedział Dzikus. — Myślałem, że nie zasłużyłaś sobie na to, aby żyć w moim świecie.

— Do diabła z twoim światem, chcę być z tobą. Połóż tu głowę — wskazała swoje kolana, ale on się opierał.

— Kładź — powtórzyła stanowczo. — Jeżeli będziesz zmęczony, możesz popełnić błąd. Nie kłóć się ze mną.

— Już po szóstej. Minął termin następnego telefonu Akiry. Będzie...

— Tak, będzie się denerwował, ale zadzwoni znowu jutro o dziewiątej.

— O ile coś się w tym czasie nie wydarzy. Nie powinniśmy się w ogóle rozdzielać.

— Nie było wyboru — odrzekła Rachel. — Ale jak ty o nim mówisz... jestem niemal zazdrosna.

Dzikus zaśmiał się.

— Jednak jestem z tobą, a nie z Akirą.

— Zamknij oczy i staraj się zasnąć.

— Chyba nie usnę.

— Uśniesz, jeżeli będziesz myślał o tej plaży w pobliżu Cancun. Wyobraź sobie fale bijące rytmicznie o brzeg. Nawet jeśli nie zaśniesz, odpoczynek dobrze ci zrobi.

— Jak tylko się ściemni...

— Obudzę cię — powiedziała Rachel. — Obiecuję.

Rachel szczękała zębami, Dzikus wyczuwał jednak, że drży raczej z zimna niż ze strachu. Z zapadnięciem nocy temperatura spadała coraz bardziej, zarzucił więc jej na ramiona swoją marynarkę i poprowadził dalej wzdłuż muru, gdyż uznał, że próba wyjścia z parku przez bramę byłaby teraz jeszcze bardziej ryzykowana niż za dnia. Ludzie Haileya łatwiej mogliby ich zabić z ukrycia i umknąć pod osłoną tokijskiej nocy, oślepiającej blaskiem neonów.

Prowadził Rachel na południe, w kierunku przeciwnym do tego, z którego przyszli, aż doszli do rogu, gdzie skręcili na zachód. Niewidoczne gałęzie szarpały go za koszulę i groziły wykluciem oczu. Gdyby nie łuna świateł ulicznych, nie mógłby nawet odnaleźć drogi. Spoza muru słychać było szum silników i sygnały klaksonów.

— Wystarczy — powiedział Dzikus. — Mam w dupie Haileya. To miejsce jest równie dobre, jak każde inne. Jeżeli będziemy tak dalej szli, obejdziemy cały park dookoła. Ja to pieprzę. Chodźmy.

Podniósł ręce, chwycił za krawędź muru, podciągnął się na tyle, aby móc wyrzeć na zewnątrz, i czujnie rozejrzał się po biegnącej poniżej ulicy. Jezdnią płynęła rzeka samochodów. Chodnikiem tuż pod nim szła para Japończyków, poza tym jednak przechodniów było niewielu.

Dzikus zeskoczył z powrotem na ziemię.

— Nie widzę żadnych przeszkód. Gotowa?

— Teraz i zawsze. — Jej głos zabrzmiał zdecydowanie. — Ale musisz mnie podsadzić.

Chwycił ją za nogi i uniósł, czując na policzku dotyk jej uda przez spódnice, ale już po chwili wywinęła się z jego uścisku i podciągnęła w górę. Kiedy tylko osiągnęła szczyt muru, natychmiast wdrapał się jej śladem. Razem zawisli na rękach po drugiej stronie, ale Dzikus zeskoczył pierwszy, aby jej dopomóc, zeskakując bowiem na beton mogła sobie uszkodzić bosa stopy.

Rozejrzał się na boki i mruknął ponaglająco:

— Szybko, na drugą stronę ulicy!

O jakieś sto metrów w lewo od nich z cienia wynurzył się mężczyzna. Blask reflektorów padł na jego twarz. To był biały. Warknął coś do radiotelefonu, który trzymał w ręku, i ruszył biegiem w ich kierunku, sięgając jednocześnie pod marynarkę.

— Jazda! — krzyknął Dzikus. — Przez jezdnię!

— Ale...

Pędzące samochody tworzyły ruchomą, lecz nieprzerwaną zaporę.

— Nie możemy tu zostać. — Z prawej strony biegł ku nim drugi biały mężczyzna.

— Teraz! — zawołał Dzikus. Zauważył małą przerwę w kolumnie pojazdów, chwycił Rachel za rękę i skoczył na jezdnię.

Szeregi reflektorów sunęły wprost na nich, piszczały hamulce, ale Dzikus nie ustawał w biegu, cały czas trzymając dłoń Rachel, choć ona już nie potrzebowała ponaglenia.

Przecinając następny pas, Rachel zakłęła na widok samochodu, który nawet nie zwolnił, i przemknęła tuż przed jego maską.

Wokół ryczały klaksony. Smród spalin drażnił nozdrza Dzikusa. Wreszcie dopadli pasa rozdzielającego kierunki jazdy. Dysząc ciężko, Dzikus obejrzał się za siebie i zobaczył obu białych, biegnących wzdłuż skraju chodnika i wypatrujących przerwy między samochodami, aby pobiec ich śladem.

Dzikus pomachał ręką do kierowców, jadących w drugą stronę, starając się ich ostrzec, że za chwilę będą oboje przebiegać przez ulicę. Jakaś toyota zwolniła, zaryzykował więc i rzucił się przed siebie, a Rachel dzielnie dotrzymywała mu kroku. Przeskoczyli przed jeszcze jednym wozem i wreszcie znaleźli się na chodniku.

Przechodnie gapili się na nich w blasku rozświetlonych wystaw. W pobliżu otwierał się zachęcający wylot jakiegoś zaułka. Dzikus zamierzał już dać weń nurka, ale przedtem jeszcze raz obejrzał się i zobaczył obu białych biegnących na przełaj przez jezdnię. W tej samej chwili podświadomie wyczuł, że coś się do niego zbliża. Obrócił się i ujrzał furgonetkę, która odłączyła się od strumienia samochodów i kierowała wprost w zaułek.

Nie zdążył jeszcze rzucić się do ucieczki, kiedy przednia szyba furgonetki pokryła się siecią gwiazdzistych pęknięć, a z licznych dziur prysnęło szkło. To były dziury od kul.

Furgonetka uderzyła o krawężnik, podskoczyła, zawisła nad chodnikiem, po czym gruchnęła o ziemię, skręciła i rąbnęła prosto w wystawę na lewo od zaułka.

Zgrzytnął metal i posypało się szkło, ale Dzikusowi zdawało się, że oprócz huku zderzenia słyszał również krzyki ludzi z wnętrza wozu. Krzyczeli również przechodnie, słychać było także głosy ludzi z drugiej strony ulicy.

W pobliżu zatrzymało się kilka samochodów. Rachel trzęsła się cała, nie mogąc ruszyć z miejsca. — Biegiem! — krzyknął Dzikus i szarpnął ją za rękę. Strach przewyciężył obezwładniający ją paraliż. Ruszyli przez ciemny zaułek, lawirując wśród kublów na śmieci.

A jeśli to ślepa uliczka, przyszło naraz Dzikusowi do głowy, jeśli ludzie Haileya czekają na nas w głębi?

Nie, przecież nie mogą być wszędzie.

Kto strzelał do furgonetki? Kto ją prowadził?

Skonsternowany Dzikus nie mógł połapać się w sytuacji. Bał się, że w tym zamieszaniu może utracić zdrowy rozsądek.

Ktoś chce nas powstrzymać, a ktoś inny pragnie, żebyśmy kontynuowali poszukiwania.

Ale kto i dlaczego?

Co mamy robić, do diabła?

Dotarli do następnej ulicy. Na widok nadjeżdżającej taksówki Dzikus podjął decyzję. Zatrzymał ją gwałtownym machaniem ręki, wepchnął Rachel do środka, sam wgramolił się za nią i rzucił: — Ginza — licząc na to, że kierowca zrozumie, iż tam właśnie chcieliby dojechać. Szofer w czapce i białych rękawiczkach skrzywił się na widok obszarpanych i potarganych białych pasażerów. Wyglądał, jakby się zastanawiał, czy w ogóle ma ochotę na takich klientów, ale kiedy Dzikus pokazał mu garść tysiącjenowych banknotów, przytaknął skinieniem głowy i włączył się w ruch uliczny.

Dzikus usłyszał narastający jęk syren policyjnych radiowozów. Nie było wątpliwości, dokąd się kierują. Miał nadzieję, że kierowca nie będzie podejrzewał, iż jego pasażerowie mają z tym coś wspólnego.

Taksówka skręciła za róg. Z przeciwka nadjeżdżały wozy policyjne, migocząc światłami, z coraz głośniejszym wyciem syren, ale kierowca, choć obejrzał się za nimi, nie zatrzymał

samochodu.

Dzikus dotknął ręki Rachel. Jej palce drżały.

Pośród potoku samochodów dotarli w końcu do dzielnicy Ginza. Akira wytłumaczył im, że nazwa ta oznaczała „Srebrny Dom” i pochodziła stąd, iż kilkaset lat temu znajdowała się tu mennica; obecnie na tym terenie mieściło się największe centrum handlowe Tokio, pełne niezliczonych sklepów, barów i restauracji.

Najlepszym porównaniem, jakie Dzikusowi przychodziło do głowy, był nowojorski Times Square z czasów, gdy jego urody nie splamiły jeszcze dziwki, ćpuny i porno-shopy, ale nigdzie na świecie nie widział tylu neonów. Gdziekolwiek spojrzeć, jaskrawe światła zamieniały noc w dzień, tworząc zdumiewające zestawienia barw. Niektóre z nich płonęły bez przerwy, inne zaś migotały lub wyświetlały informacje ciągnące się przez całe budynki, jak na gigantycznej taśmie telegraficznej. Luna reflektorów stłoczonych na jezdni samochodów przydawała jeszcze blasku temu widokowi. Chodniki były pełne szukających tu rozrywki, dobrze ubranych przechodniów.

Dzikus nie chciał pokazywać kierowcy kartki z wypisanymi przez Akirę po japońsku wskazówkami, jak trafić do restauracji, do której, zgodnie z ich umową, miał dzwonić. Policja mogła wpaść na pomysł, aby przepytała wszystkich taksówkarzy, którzy wieźli białych pasażerów, a jemu zależało, aby miejsce umówionego spotkania pozostało tajemnicą. Zresztą oboje z Rachel nie musieli się tam pojawiać przed terminem kolejnego kontaktu, to znaczy przed dziewiątą rano następnego dnia.

Dzikus miał jednak jeszcze inne powody, aby udać się do tej właśnie dzielnicy. Bujne nocne życie Ginzy przyciągało większość tych stosunkowo nielicznych białych, jacy tu przebywali, a Dzikus i Rachel koniecznie potrzebowali tła, na którym by się nie wyróżniali. Oboje musieli się przebrać, ale ponieważ byli śledzeni, nie odważyli się powrócić na dworzec, gdzie w schowku pozostawili swoje bagaże. Mogli ich tam już przecież oczekiwać ludzie Haileya, licząc na to, że zechcą odzyskać swój dobytek.

— Arigato — powiedział Dzikus do kierowcy, wskazując na krawężnik. Urękawiczony szofer zatrzymał samochód, przeliczył otrzymane od Dzikusa pieniądze i kiwnął głową z satysfakcją, po czym otworzył dźwignią tylne drzwi i Rachel z Dzikusem wysiedli.

Kiedy taksówka odjechała, Dzikus poczuł się jeszcze bardziej osaczony światłami. Przytłaczał go hałas ulicy i muzyka dobiegająca z barów, a nozdrza i płuca atakowały spaliny i ostre zapachy kuchenne z okolicznych restauracji.

Dzikus i Rachel starali się dopasować tempo marszu do otoczenia, aby nie zwracać na siebie uwagi, mimo to jednak wielu przechodniów wciąż im się przypatrywało. Dzikus zastanawiał się, czy to dlatego, że biali byli jednak rzadkością nawet w Ginzie, czy też powodem ciekawości były ich brudne twarze i podarta odzież? Na domiar złego Rachel szła kulejąc, i to w samych skarpetkach.

Podprowadził ją ku rozświetlonym wystawom sklepowym. — Musimy znaleźć...

Nagle zatrzymał się przed sklepem elektronicznym, a głos zamarł mu w gardle na widok obrazu na ekranach wystawionych telewizorów. Przez szybę wystawy nie dochodził żaden dźwięk, ale nie miało to znaczenia. Japoński tekst komentarza, towarzyszący obrazowi, i tak byłby dla niego niezrozumiały.

Tłumaczenie nie było mu zresztą potrzebne do zrozumienia przerażającej wymowy tego, co zobaczył. Z zamarłym sercem znów patrzył na ducha. Muto Kamichi... Kunio Shirai... człowiek, którego widział przepołowionego w nie istniejącym „Górskim Ustroniu”

w Medford Gap... przemawiał do wielotysięcznych tłumów demonstrujących Japończyków, którzy zgromadzili się z antyamerykańskimi transparentami przy bramie amerykańskiej bazy lotniczej. Jej płot otaczał kordon zdenerwowanych żołnierzy.

Sprawozdanie to bardzo przypominało reportaż, który Dzikus widział trzy dni temu w Ameryce, i zdjęcia na okładkach dzisiejszych pism z automatów na Dworcu Centralnym, były jednak dwie istotne różnice. Otóż dotychczas akcje protestacyjne odbywały się

wyłącznie przed siedzibami cywilnych instytucji amerykańskich, poza tym zaś wzrosła niezwykle nie tylko liczba uczestników demonstracji, lecz przede wszystkim ich agresywność.

Na szachownicy telewizyjnych ekranów pojawiły się twarze amerykańskich osobistości oficjalnych, wśród których Dzikus rozpoznał sekretarza stanu, z pobrużdżonym czołem udzielającego wywiadu Danowi Ratherowi. Kolejne ujęcie pokazywało rzecznika prasowego prezydenta, odpowiadającego z ostrożnym namysłem na pytania grupy reporterów.

Po chwili na ekrany powrócił Kamichi-Shirai, podburzający demonstrujących ludzi. Ten siwowłosy, nieco zbyt otyły mężczyzna po pięćdziesiątce, z twarzą o rozlanych rysach, przypominający steranego urzędnika, zaczynał promieniować nadspodziewaną charyzmą, gdy tylko stanął w obliczu tłumu. Władcze spojrzenie i dramatyczne gesty przekształcały go w natchnionego mówcę. Na każde uderzenie jego stwardniałych od karate dłoni demonstranci odpowiadali coraz bardziej agresywnie, a twarze ludzi wykrzywiała wściekłość.

— Ta demonstracja odbyła się chyba dzisiaj, kiedy ludzie Haileya osaczyli nas w parku — powiedział Dzikus. Odwrócił się do Rachel i zmarszczył czoło na widok jej bladości. — Dobrze się czujesz?

Niecierpliwie wzruszyła ramionami.

— Co się dzieje? Co to mogło wywołać?

— Może jakiś incydent, o którym nic nie wiemy. — Dzikus pokręcił głową. — Myślę jednak — dodał szybko — że Kamichi, przepraszam, Shirai, nie potrzebuje żadnych incydentów. Wydaje mi się, że tu chodzi o Amerykę... o obecność Amerykanów w Japonii.

— Ale przecież Ameryka i Japonia są w przyjaznych stosunkach.

— Nie bardzo, jeśli wierzyć tym manifestantom. — Dzikus wyczuł jakiś ruch za plecami i obrócił się nerwowo. Przechodnie gromadzili się przed wystawą, patrząc w ekrany.

— Chodźmy stąd — powiedział.

Przecisnęli się przez gęstniejący tłum. Dzikus czuł napięcie do chwili, kiedy oddalili się od zbiegowiska.

— To stało się tak zniecka — powiedziała Rachel. — Demonstracje są coraz większe i coraz groźniejsze.

— Za sprawą Kamichiego.

— Shiraiego.

— Nie mogę się przyzwyczaić do tego nazwiska — odrzekł Dzikus. — Dla mnie to Muto Kamichi, człowiek, którego wiozłem do Pensylwanii.

— Do hotelu, którego nie ma.

— W moich wspomnieniach wiozłem go właśnie tam. W mojej świadomości ten hotel istnieje. No ale dobrze. — Dzikus znowu doświadczył affaw wu i od tego zakręciło mu się w głowie — nazywajmy go Shirai. To on jest sprawcą tych demonstracji, choć nie wiem, dlaczego. W każdym razie on, Akira i ja jesteśmy w jakiś sposób związani. — Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl. — Hirohito, poprzedni cesarz, zmarł w styczniu osiemdziesiątego dziewiątego.

— Tak, i co z tego? — powiedziała Rachel nie przerywając marszu.

— Po drugiej wojnie światowej MacArthur wymusił na Japonii nową konstytucję, ale jeszcze wcześniej, zaraz po tym, jak Japonia poddała się w czterdziestym piątym, Amerykanie zażądali, aby Hirohito w przemówieniu radiowym nie tylko ogłosił bezwarunkową kapitulację, ale i zaprzeczył swojej boskości, oświadczając publicznie przed swoim narodem, że jest człowiekiem, a nie bogiem.

— Pamiętam, czytałam o tym — odrzekła Rachel. — To oświadczenie wstrząsnęło Japonią.

— I dopomogło MacArthurowi w przebudowie kraju. Jeden z najostrzej sformułowanych artykułów konstytucji mówił o rozdziale Kościoła od państwa. Odtąd religia i polityka nie mogły mieć ze sobą nic wspólnego.

— Ale co to ma wspólnego ze śmiercią Hirohito?



— Chodzi o jego pogrzeb. Wbrew konstytucji, był nie tylko uroczystością polityczną, ale i religijną. Ze względu na ekonomiczną potęgę Japonii przybyli na ten pogrzeb najwyżsi przedstawiciele rządów najważniejszych państw, i całe to towarzystwo spokojnie stało pod drewnianymi daszkami w ulewnym deszczu, patrząc jak trumnę Hirohito w asyście japońskiej kompanii honorowej przenoszą do świątyni, gdzie za zasłoną odprawiono tradycyjny shintoistyczny rytuał pogrzebowy, rytuał religijny! I nikt z tych ludzi nie zawołał: „Chwileczkę, to przecież wbrew prawu!”

— Uszanowali śmierć wielkiego człowieka — powiedziała Rachel.

— Albo raczej mieli pełne portki ze strachu, że gdyby zaprotestowali przeciwko temu, Japończycy wycofaliby kredyty. Do diabła, przecież Japonia pokrywa większość amerykańskiego deficytu budżetowego. Żaden kraj by się nie sprzeciwił, gdyby przywróciła swoją poprzednią konstytucję. Dopóki Japonia ma pieniądze, ma i władzę, więc jej rząd może robić, co zechce.

— W tym miejscu twoje rozumowanie się załamuje — powiedziała Rachel. — Japoński rząd zachowuje się odpowiedzialnie.

— Dopóki kierują nim umiarkowani politycy, ale co by się stało, gdyby taki Kamichi-Shirai objął władzę? Wyobraź sobie, że rządy przejmuje radykalna partia i powracają stare porządki. Czy ty wiesz, że Japonia, którą uważa się za państwo pokojowe, wydaje więcej na obronę niż jakikolwiek kraj NATO poza Stanami Zjednoczonymi? A oni odnoszą się nieufnie do Korei Południowej i zawsze mieli napięte stosunki z Chinami! A poza tym...

Dzikus zorientował się, że mówi za głośno, przechodnie bowiem zaczęli się na niego oglądać. Rachel utykała coraz mocniej.

— Chodź, musimy coś zrobić z twoimi nogami.

Wzrok Dzikusa przyciągnął jasno oświetlony sklep z ubiorami sportowymi, oboje weszli więc do środka. Wewnątrz prawie nie było klientów. Dwójka młodych sprzedawców, kobieta i mężczyzna, ukłoniła się im na powitanie, patrząc ze zdumieniem na stopy Rachel w samych skarpetkach.

Rachel i Dzikus odклонili się pospiesznie i weszli w głąb sklepu. Były tu również dzinsy, bawełniane koszulki i ortalionowe wiatrówki. Rachel z naręczem ubrań popatrzyła pytająco na ekspedientkę, która zrozumiała, że chodzi jej o przebieralnię, i wskazała kabinę w głębi z wejściem zasłoniętym kotarą. Rachel dorzuciła do stosu grube białe sportowe skarpetki oraz adidas i zniknęła z tym wszystkim za zasłoną.

W tym czasie Dzikus wybrał parę brązowych skarpetek w miejsce tych, które dał Rachel. Jego brudne spodnie i przepocona koszula również wymagały wymiany. Kiedy Rachel wyszła z kabiny, ubrana w wytarte dzinsy, ciemnoczerwoną bluzkę i niebieską ortalionową kurtkę, Dzikus natychmiast zajął jej miejsce, wyglądając od czasu do czasu przez szparę, aby się upewnić, czy w czasie, gdy Rachel pozostawała bez ochrony, do sklepu nie wszedł ktoś o podejrzanym wyglądzie. Po ośmiu minutach zapłacili i wyszli ze sklepu, niosąc brudne ubrania w torbie, którą po przejściu paru ulic upchnęli w kuble na śmieci.

— Najważniejsze były buty — westchnęła Rachel. — Jak dobrze już nie kuleć.

— Nie mówiąc o tym, że nie wyglądamy teraz, jakbyśmy ostatnią noc spędzili w rowie. — Dzikus miał m sobie spodnie koloru khaki, żółtą koszulę i brązową wiatrówkę. Pdobnie jak Rachel, skorzystał z przebieralni, aby się uczesać. — Zostało mi jeszcze parę plam na twarzy, ale ogólnie biorąc jest nie najgorzej. Za to ty wyglądasz naprawdę ślicznie.

— Przesadzasz, ale dziękuję za komplement. Dodatkową korzyścią z naszej przebieranki jest to, że świadkiem z parku trudno będzie nas rozpoznać, gdyby policja nas zgarnęła.

Dzikus popatrzył na nią z podziwem.

— Ty naprawdę się rozwijasz.

— Mając dobrego nauczyciela i siłą motywację, czyli strach, można się uczyć cholernie szybko. — Zmarszczyła czoło. — Pamiętasz tę furgonetkę koło parku? Wydaje imi się, że ona celowo skręciła w stronę zaułka i kierowała się wprost ia nas.

— Hailey na pewno miał kilka samochodów, które krążyły wokół parku, aby jego ludzie

mogli dać im znać, gdyby nas zauważyli. Na nasze nieszczęście furgonetka była w pobliżu.

— Nasze nieszczęście? Raczej na nieszczęście tych w środku — powiedziała Rachel. — Kiedy furgonetka ruszyła na nas, pękła jej przednia szyba. Czy to były dziury od kul?

Dzikus zacisnął usta i kiwnął głową.

— Ktoś bardzo nie chce, żeby ludzi Haileya nas złapali.

— Ale kto? I skąd wie, gdzie się znajdujemy?

— Właśnie. Ciekawe też, jak ludzie Haileya mogli nas wysledzić w metrze. Przecież byliśmy bardzo ostreżni. Idąc z dworca, cały czas sprawdzałem, czy ktoś nas nie tropi, a tu nagle oni pojawili się w parku. Zupełnie jakby myśleli to suno, co my, i jednocześnie z nami — a nawet z wyprzedzeniem.

— Mówiłeś wcześniej... — Rachel zastanawiała się przez chwilę. — Większość z tego, co robimy, można przewidzieć, jeśli zna się nasze problemy, ale park nie miał z nimi nic wspólnego. Trafiliśmy tam po prostu przypadkiem.

— Tak — przyznał Dzikus. — Nie pojmuję, jak im się udało nas tam przyłapać.

— Mój Boże. — Rachel obróciła się do niego. — Właśnie przyszło mi coś do głowy. Zakładaliśmy, że to Hailey chce nas powstrzymać.

— Racja.

— A może jest właśnie na odwrót? Może Hailey chce nas ochraniać? Może ci w furgonetce podlegali komuś, kto chce nas zabić, a ludzie Haileya ostrzelali ją, aby umożliwić nam dalsze poszukiwania?

Przez chwilę Dzikus nic nie mógł zrozumieć, oszołomiony raptowną zmianą punktu widzenia. Poczul się nagle tak, jakby głowę ścisnęły mu jakieś niewidzialne kleszcze. Miał wrażenie, że w mózgu, coś mu się przełączyło. Wzrok zasnuła mgła, a myśli szamotały się wśród niepokojących sprzeczności. Nie było nic pewnego, wszystko było fałszem. Jamais vu wypierało poczucie rzeczywistości, ale coś przecież musiało być prawdą! Musiało być jakieś wytłumaczenie. Nie mógł tego znieść.

Trzy tygodnie temu jego jedynym problemem było ponowne sprawdzenie samego siebie, a teraz?

Kompletny chaos.

Zachwiał się. Rachel chwyciła go za ramię i pomogła utrzymać równowagę, patrząc na niego rozszerzonymi oczami.

— Zbladłeś.

— Przez chwilę... już w porządku... nie... W głowie mi się kręci.

— Sama czuję się trochę niepewnie. Nie jedliśmy nic od wczoraj — wskazała ręką. — Tam jest restauracja. Musimy usiąść, odpocząć, napełnić brzuchy, a wtedy może rozjaśni nam się w głowach.

Tym razem to ona poprowadziła Dzikusa, a on czuł się tak bezradny, że nawet się nie opierał.

Kelnerka w kimonie wręczyła im menu. Kiedy Dzikus otworzył kartę, znów poczul się zdezorientowany. Poszczególne pozycje nie były wydrukowane poziomo, jak na Zachodzie, lecz pionowo, co jeszcze bardziej wzmacniało poczucie braku równowagi duchowej. Chociaż obok japońskich ideogramów litościwie umieszczono angielskie tłumaczenie, Dzikus tak niewiele wiedział o tradycyjnej kuchni japońskiej, że jedyne, co mógł zrobić, to wskazać kolumnę po lewej, która polecała specjalność zakładu — kolację dla dwojga osób.

— Sake? — zapytała kelnerka z ukłonem.

Dzikus pokręcił głową. W tej chwili alkohol był ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował.

— Herbaty — poprosił, pełen wątpliwości, czy będzie zrozumiany.

— Hai. Herbata — odpowiedziała kelnerka i oddaliła się drobnym krokiem.

W głębi restauracji, w gwarnym barze koktajlowym, japoński piosenkarz country wykonywał utwór Hanka Williamsa „Jestem taki samotny, że chce mi się płakać”.

Dzikus zastanawiał się, czy śpiewak rozumiał słowa piosenki, czy też tylko wyuczył się ich na pamięć.

*Pociąg o północy...*

— Jeżeli jesteśmy w tarapatkach, a myśleliśmy, że grozi to tylko Akirze... — Dzikus potrząsnął głową.

— Rozumiem. Boję się nawet pomyśleć, co mogło mu się dzisiaj przydarzyć. — Rachel wyciągnęła rękę przez stół. — Ale nie możemy mu w żaden sposób pomóc, w każdym razie nie teraz. Mówiłam ci, żebyś odpoczął. Zaraz będzie jedzenie. Musisz postarać się odprężyć.

— Zauważyłaś tę zmianę ról?

— Że ja się teraz opiekuję tobą? — odrzekła. — Uwielbiam to.

— Nie lubię uczucia, że...

— Że nie panujesz nad sytuacją? Będziesz miał jeszcze wiele okazji, aby robić to, co robisz najlepiej, i to zapewne wkrótce, ale dzięki Bogu nie w tej chwili.

*Czyż nie słyszysz głosu lelka...*

Restaurację wypełniał dym papierosowy i ostry zapach sosów. Rachel i Dzikus siedzieli na poduszkach przy niskim stole, pod którym znajdowało się wgłębienie pozwalające na opuszczenie nóg, swego rodzaju koncesja na rzecz długonogich cudzoziemców, którzy pragnęli stosować się do japońskiej tradycji, ale bez połączonych z tym niewygód.

— Musimy spotkać się z Kamichim... to znaczy Shiraim — powiedział Dzikus. — Obaj z Akirą musimy wiedzieć, czy on widział naszą śmierć tak, jak my widzieliśmy jego śmierć.

— Gdybym była na jego miejscu i organizowała demonstracje przeciwko amerykańskim bazom lotniczym, sprawiłabym sobie taką ochronę, przez którą nawet wy nie potrafilibyście się przebić — odrzekła Rachel. — Na pewno niełatwo do niego dotrzeć, a ponieważ jesteś Amerykaninem, wątpię, żebyś mógł po prostu zadzwonić do niego i umówić się na spotkanie.

— Tak czy inaczej, już my sobie z nim porozmawiamy — odpowiedział Dzikus. — Mogę się o to założyć.

Kelnerka podała im ciepłe, wilgotne serwetki, a potem pojawił się ich posiłek, na który składała się zupa z kawałków cebuli i grzybów, przyprawiona tartym imbirem, yamy w sosie sojowym z dodatkiem słodkiego wina, ryż w sosie curry i gotowana ryba z jarzynami. Dzikus nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był głodny. Chociaż porcje były bardziej niż obfite, wymiółł wszystko do ostatka i to z takim

apetytem, że nie przeszkadzało mu nawet brak wprawy w posługiwaniu się pałeczkami.

Cały czas myślał jednak o Akirze. Przez te osiemnaście godzin, od kiedy się rozdzielili, zmieniło się tak wiele, że ich ustalenia co do utrzymywania kontaktu nie były już teraz zbyt przydatne.

— Nie mogę czekać do jutra do dziewiątej rano — powiedział. Przełknął resztkę herbaty, dołożył sowity napiwek do rachunku i wstał. — W hallu widziałem automat telefoniczny.

— Co chcesz zrobić...?

— Zadzwonię do Akiry.

Telefon wisiał w kącie pomiędzy szatnią a wejściem do restauracji, częściowo ukryty za parawanem, wymalowanym w jaskrawe słoneczniki. Dzikus wrzucił monety i nakręcił numer, który mu podał Akira.

Telefon zadzwonił cztery razy.

Dzikus czekał, zaciskając palce na słuchawce.

Piąty dzwonek.

Nagle odezwał się kobiecy głos. To była Eko. Dzikus nie pomyliłby jej głosu z żadnym innym.

— *Hai!* — Na dźwięk tego szorstkiego tonu pod Dzikusem ugięły się kolana. To był sygnał, że Akira jest w poważnych kłopotach i że on wraz z Rachel powinni jak najszybciej wyjechać z Japonii.

Serce zabiło mu gwałtownie. Rozpaczliwie pragnął wypytać ją, dowiedzieć się, co się

stało, ale Akira powiedział przecież wyraźnie, że Eko nie zna angielskiego.

Nie mogę tak po prostu zerwać kontaktu, pomyślał. Muszę wymyślić jakiś sposób porozumienia...

W słuchawce rozległ się trzask i niespodziewanie odezwał się inny głos. Głos męski, który mówił również po japońsku.

Dzikusowi łomotało serce, gdy słuchał zdezorientowany, nie mogąc rozpoznać mówiącego ani pojąć sensu jego przemowy. Nagle głos przeszedł na angielski:

— Doyle? Forsyth? Diabła tam, wszystko jedno, jak tam się zwiesz, słuchaj, chłopie. Jeśli ci życie miłe, lepiej być...

Dzikus odruchowo trzasnął słuchawką o widełki. Nogi wciąż mu się trzęsły. Oblęd. Z hałaśliwego baru słyhać było refren piosenki Hanka Williamsa:

*Jestem taki samotny, że nie chce mi się żyć.*

— Kto to był? — spytała Rachel.

Szli skrajem tłumy po rozświetlonej neonami ulicy. Od ogromnych ścian światła promieniowało ciepło.

Dzikus czuł niepokój w żołądku. Obawiał się, że zwymiotuje cały suty posiłek.

— Nigdy go nie słyszałem. O jego japońszczyźnie nie mam zdania, ale po angielsku mówił doskonale. Wydaje mi się, że to Amerykanin. Nie wiem, po czyjej jest stronie. W jego głosie brzmiało zdenerwowanie, złość i groźba. Nie mogłem dalej słuchać. Jeżeli telefon był na podsłuchu, dowiedzieliby się, że trzeba nas szukać w Ginzie. W każdym razie jedna rzecz jest pewna. Akira nie wpuściłby żadnych obcych do domu, a Eko nie odpowiadałaby „hai” bez powodu.

— Policja?

— Nie zatrudniają Amerykanów, a poza tym skąd by wiedzieli, że można się do mnie zwracać per Forsyth albo Doyle? Akira nie powiedziała im tego.

— Dobrowolnie na pewno nie...

Dzikus wiedział, jak skutecznie niektóre narkotyki potrafią skłonić niechętnych informatorów do współpracy. — Sądzę, że Akira jest w tarapatkach, ale nie wiem, jak można by mu pomóc.

Drgnął, usłyszawszy dźwięk syreny, i obrócił się, gotów do biegu, ale to tylko karetka pogotowia przemknęła obok nich. Odetchnął głęboko.

— Nie możemy włączyć się po ulicach — powiedziała Rachel.

— Tak, tylko gdzie moglibyśmy bezpiecznie spędzić noc?

— Nawet jeżeli udałoby się nam coś znaleźć, w żaden sposób nie potrafiłabym usnąć — rzekła Rachel. — Jestem tak spięta, że...

— Mamy dwa wyjścia. Pierwsze to znaleźć jakąś kryjówkę, przeczekać do rana i pójść do restauracji w nadziei, że Akira zadzwoni o dziewiątej. Ale tam możemy wpaść w pułapkę.

— A jakie jest drugie wyjście? — spytała Rachel.

— Dać sobie spokój z planami. Powiedziałem Akirze, że nawet jeśli Eko przekaże mi przez telefon sygnał ostrzegawczy, ja i tak nie wyjadę z Japonii. Muszę znaleźć odpowiedzi na parę pytań. — Dzikus sam zdziwił się twardym tonem w swoim głosie. — Akira powiedział, że to mądry i świątobliwy człowiek... — Mówiąc to, Dzikus rozwinął kartkę ze wskazówkami, którą przekazał mu Akira. — To jego sensei, chciał z nim rozmawiać. No cóż, przekonajmy się, jak mądry jest ten świątobliwy mąż.

W przeciwieństwie do jarzącej się światłami Ginzy, ta część Tokio była mroczna i sprawiała przynębiające wrażenie. Kilka latarni i nieliczne lampy w wąskich oknach nie były w stanie rozproszyć ciemności. Ale kiedy Dzikus zapłacił za kurs i wysiadł razem z

Rachel, poczuł się paradoksalnie widoczny. Mięśnie jego ramion odruchowo napięły się.

— Może się okazać, że to nie był taki dobry pomysł — powiedziała Rachel.

Dzikus rozejrzał się po ciemnej ulicy. Daleki gwar miasta jeszcze podkreślał panującą wokół ciszę. Chociaż ulica była ciemna, Dzikus dostrzegał liczne zaułki i załomy, z których mogły ich obserwować czujne oczy jakiegoś nocnego rabusia.

— Wspaniale... Skąd możemy mieć pewność, że trafiliśmy tam, gdzie chcieliśmy?

— „Abraham wierzył prawem absurdu” — przypomniał Dzikus jej ulubiony cytat. — Nie pozostaje nam nic innego, jak ufać.

— Wspaniale — powtórzyła Rachel. Dzikus rozłożył ręce w geście bezradności.

— W takiej sytuacji należałoby wysiąść z taksówki parę przecznic wcześniej i resztę drogi do celu odbyć na piechotę. — Rozejrzał się dookoła. — Ale w Tokio niewiele ulic ma nazwy. Nie wiem, czy bez pomocy taksówkarza zdołałbym odnaleźć to miejsce, nawet gdybym był tylko kilka ulic dalej.

„To miejsce” było pozbawionym okien, obskurnym pięciopiętrowym budynkiem z betonu. Wyglądał jak magazyn i wydawał się nie na miejscu pośród domów mieszkalnych o maleńkich oknach, ciągnących się wzdłuż ulicy, choć były nie mniej obskurne.

Budynek spowijała ciemność.

— Trudno mi uwierzyć, żeby tu ktoś mieszkał — powiedziała Rachel. — To chyba pomyłka.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. — Dzikus jeszcze raz omiół wzrokiem ciemną ulicę, położył rękę na pistolecie ukrytym pod wiatrówką i podszedł do drzwi frontowych.

Drzwi były ze stali.

Nie znalazł przycisku dzwonka ani domofonu. Nie było również widać żadnego zamka.

Nacisnął klamkę. Ustąpiła.

— Najwidoczniej nikomu nie przeszkadza, że obcy mogą tu wejść — powiedział Dzikus z nie ukrywanym zdumieniem w głosie. — Trzymaj się blisko mnie.

Pchnął ciężkie drzwi i skrzywił się na widok słabo oświetlonego korytarza.

— Szybko! — rzucił, wciągając Rachel za sobą, aby ich sylwetki nie stały się łatwym celem.

Zamknął drzwi i zauważył, że od wewnątrz również nie było zamka. Coraz bardziej zdziwiony rozejrzał się po korytarzu.

Korytarz kończył się ślepo po trzech metrach. Nigdzie nie było żadnych drzwi, tylko schody, wiodące w górę.

— Co za... — zaczęła Rachel, ale zamilkła, bo Dzikus położył palec na jej ustach.

Pokiwał głową na znak, że rozumie jej zdziwienie. On też nie widział nigdy magazynu ani domu mieszkalnego o podobnej konstrukcji. Żadnych znaków czy napisów na ścianach, wskazujących kierunek lub informujących o przeznaczeniu pomieszczeń, żadnych skrytek pocztowych ani dzwonek, żadnych kolejnych drzwi z systemem zabezpieczeń, które odcinałyby dostęp do wnętrza budynku.

Schody były betonowe. Kiedy Dzikus i Rachel ostrożnie wchodzili na górę, ciche szuranie ich butów odbijało się echem od ścian. Na piętrze znowu trafili na krótki, ślepy, słabo oświetlony korytarz i prowadzące wyżej schody.

Wchodząc po nich, Dzikus denerwował się coraz bardziej. Dlaczego Akira przekazał niepełne instrukcje? Jak, u diabła, można kogoś odnaleźć, jeżeli nie ma wizytówek na drzwiach, a nawet samych drzwi...?

I naraz zrozumiał, że instrukcje Akiry były właśnie takie, jakie powinny być.

Brak drzwi eliminował możliwość pomyłki. Iść można było tylko w jednym kierunku, w górę, a kiedy minęli trzecie i czwarte piętro, równie niegościnnie jak niższe piętra, stało się oczywiste, że cel może być tylko jeden — piąte piętro.

Klatka schodowa kończyła się tu, podobnie jak i niżej, krótkim korytarzem, ale tym razem u jego końca widniały stalowe drzwi.

Dzikus zawahał się, trzymając rękę na pistolecie. Podobnie jak przy drzwiach, przez

które weszli do budynku, i tutaj nie było widać śladu domofonu, dzwonka ani zamka.

Rachel zmrzyła oczy. Widać było, że jest oszołomiona i ogarnia ją lęk. Dzikus ścisnął ją za ramię, po czym z bijącym pulsem sięgnął do klamki, ale zmienił zamiar. Uznał, że te pozbawione zabezpieczeń drzwi najprawdopodobniej wiodą do czyjegoś mieszkania, nie wypada więc tak po prostu ich otwierać. Wstrzymując oddech, uniósł rękę i zastukał.

Drzwi odpowiedziały stłumionym dźwiękiem. Dzikus zapukał raz jeszcze, ale teraz mocniej. Stalowa blacha zawibrowała, oddając uderzenia głuchym echem.

Minęło pięć sekund, dziesięć, piętnaście.

Sensei Akiry wyszedł z domu, pomyślał Dzikus, albo już tu nie mieszka — albo śpi tak głęboko, że mnie nie słyszy, albo... Ale to przecież zawodowiec... żaden zawodowiec nie śpi tak głęboko. E tam, pieprzę to.

Nacisnął klamkę, pchnął drzwi i wszedł do środka.

Rachel trzymała go z tyłu za kurtkę, ale Dzikus nie zwracał na nią uwagi. Patrzył przed siebie na ogromną salę z przyćmionymi światłami. Nie, „przyćmione” to nie było właściwe słowo. Żarówki, ukryte za kartuszami obramowującymi cały sufit, jarzyły się tak słabo, że trudno było znaleźć właściwe określenie. Ani szarówka, ani sztuczny świt nie oddawały dobrze charakteru tego oświetlenia. Było słabsze niż światło Świec, wystarczało go akurat na to, by ukazać wielkie dojo i niezliczone maty tatami na podłodze. Było jak światło księżycy.

Oświetlone fragmenty sali rozdzielały pasma głębokiego mroku.

Dzikus poczuł się przytłoczony i przejęty grozą, jak gdyby wszedł do świątyni. Nawet w półmroku dojo emanowało aurę świętości, i podniosłości.

Pomieszczenie przeniknięte było wspomnieniem bólu i wysiłku, dyscypliny i pokory — zawierał się w nim cały mistycyzm orientalnych sztuk walki. Święte miejsce, gdzie umysł i ciało, dusza i mięśnie stapiają się w jedno. Dzikus postąpił krok do przodu i wtedy usłyszał, jak metal ślizga się po metalu.

Nie był to szelest, tarcie ani zgrzyt, lecz gładki, oleisty, śliski świst, na dźwięk którego całe ciało pokryła mu gęsia skórka.

Świst rozległ się z wielu miejsc wokół niego jednocześnie. Wydawało się, że mroczne ściany ożyły, nabrzmiały i pękły, uwalniając połyskliwe ostrza, w których odbijały się nieliczne słabe żarówki okalające sufit. Długie, zakrzywione, błyszczące klingi wydawały się wisieć w powietrzu. Potem ze ścian wyłoniły się cienie, przybierając kształty ludzi ubranych na czarno, w kapturach i maskach, szczelnie zakrywających ich twarze. Byli ledwo widoczni na tle ścian, a każdy trzymał wydobyty z pochwy miecz.

Dzikus obrócił się i ujrzał, że jest otoczony ze wszystkich stron. Ciarki przebiegły mu po krzyżu. Wyjął pistolet. Rachel jęknęła. Zerkając w stronę otwartych drzwi, Dzikus rozpaczliwie zastanawiał się, jak skupić się na walce i jednocześnie umożliwić Rachel ucieczkę.

Magazynek beretty mieścił piętnaście nabojów, ale przeciwników było z pewnością więcej.

Nagle drzwi zatrzasnęły się, a ludzie z mieczami zagrodzili dostęp do nich. Dzikusowi zamarło serce. W kompletnej rozpaczycy uniósł pistolet i wycelował w blokadę.

Wszystkie światła wybuchły naraz oślepiającym, palącym blaskiem, jak gdyby w mrocznym dojo zaświeciło nagle mnóstwo słońc. Dzikus poderwał rękę do oczu, chcąc osłonić je przed klującymi promieniami, i w tej samej chwili poczuł szybki ruch powietrza, gdy niewidzialny napastnik rzucił się ku niemu i wyrwał mu berettę z dłoni. Oszołomiony Dzikus mrugał, próbując usilnie przywrócić oczom zdolność widzenia i usunąć z siatkówki wypalony tam obraz rozżarzonych do białości słońc.

Kiedy jego źrenice przystosowały się w końcu do blasku, opuścił rękę i ze ściśniętym sercem, cały oblany zimnym potem mimo żaru bijącego od lamp, przyjrzał się tym, którzy go pojмали. Zrozumiał teraz, że ich maski nie tylko pomagały skryć się w mroku, ale i osłaniały przed nagłym oślepiającym blaskiem oczy, widoczne tylko przez wąskie szczeliny.

Rachel jęknęła znowu, ale Dzikus musiał pozostać obojętny na jej kłopoty i skupić całą

uwagę na ludziach, którzy go uwięzili. Pozbawiony broni, nie mógł nawet marzyć o próbie przebicia się i ucieczki, oboje z Rachel zostaliby bowiem niechybnie posiekani na plasterki.

Ale przecież ten człowiek, który wyrwał mi pistolet, mógł mnie spokojnie przerząbać na pół, kiedy byłem oślepiiony, pomyślał Dzikus, a jednak wycofał się z powrotem pod ścianę. Czy to oznacza, że nie bardzo wiedzą, co z nami począć?

Jak gdyby na rozkaz, choć żaden widoczny sygnał nie został dany, otaczający ich ludzie postąpili krok naprzód i dojo jakby zmalowało. Potem opuścili miecze, kierując je ku Dzikusowi i Rachel, i zrobiło się jeszcze ciaśniej.

Zrobili jeszcze krok. Każde z licznych stąpień było niemal niesłyszalne na matach tatami, rozlegał się tylko cichy szmer, jakby splecione włókna wdychały pod ciężarem.

Dzikus obracał się powoli, w napięciu rozglądając się po wnętrzu i szukając jakiegoś najdrobniejszego znaku słabości w pierścieniu okrażenia. Ale niczego takiego nie dostrzegł.

Zamaskowane i zakapturzone postacie posunęły się do przodu jeszcze jeden krok, zacieśniając coraz bardziej krąg połyskujących mieczy. Obracając się wokół, Dzikus skierował spojrzenie przymrużonych oczu w stronę ściany w głębi, naprzeciw wejścia, i w tejże chwili kolejny niedostrzegalny sygnał rozszedł się po sali. Ludzie z mieczami wstrzymali swój nieustępliwy pochód. W dojo zapanowała martwa cisza.

Uzbrojeni w miecze ludzie, posuwający się od ściany w głębi, rozstąpili się na obie strony, tworząc lukę, w której pojawił się mężczyzna kryjący się dotąd za ich plecami. On również dzierżył miecz i nosił czarny ubiór z kapturem i maską, w odróżnieniu od pozostałych był jednak niski i wychudzony, a jego ostrożny chód zdradzał kruchość budowy. Odrzucił kaptur i zdjął maskę, odsłaniając niemal całkiem łysą czaszkę i pomarszczoną twarz starego Japończyka. Tylko siwe wąsy i ciemne błyszczące oczy świadczyły, że to nie twarz mumii.

Patrząc na niego, Dzikus miał jednak wrażenie, że jego kroki były nie tyle ostrożne, co precyzyjne, że kruchość stanowiła jedynie pozór — i że ten stary człowiek był prawdopodobnie znacznie bardziej sprawny i niebezpieczny niż którykolwiek z pozostałych ludzi z mieczami. Patrząc groźnie na Dzikusa i Rachel, starzec wykonał ruch mieczem, jakby zamierzał się do cięcia. Niespodziewanie rzucił się przed siebie szybkimi susami, ale jego cios nie mierzył w Dzikusa. W Rachel!

Dzikus skoczył przed nią, gotów gołymi rękami zablokować cios, przemknąć się pod ostrzem i złamać kark starucha. Ani na chwilę nie powstrzymała go myśl o tym, co mogłoby się z nim stać, gdyby mu się nie powiodło. On się nie liczył, ważna była tylko Rachel. Był to odruch, działanie pod wpływem instynktu, który pchał go do wypełnienia naczelnej powinności jego profesji — obrony.

Błyskawicznie zebrał się w sobie, szykując się na przyjęcie pchnięcia miecza, którego migoczący brzeszczot poruszał się tak szybko, że niemal nie było go widać. Sparował cios ramieniem, choć zanim to zrobił, już widział daremność swojego porywu.

Ale przecież nie mogą opuścić rąk. Nie mogą pozwolić, aby miecz trafił Rachel, myślał gorączkowo. W wyobraźni widział, jak klinga miecza przecina jego przedramię, jak jego dłoń z kikutem nadgarstka koziółkuje w powietrzu, a z przeciętych arterii wypływa pulsująca krew, lecz nie cofnął się. Ostrze zatrzymało się raptownie, jakby zahamowała je jakaś niewidzialna siła. Wypolerowana, błyszcząca klinga miecza zawisła nieruchomo tuż nad rękawem kurtki Dzikusa. Jego wyostrzony strachem wzrok działał jak szkło powiększające: dostrzegł na rękawie kilka nadciętych nitek. Jezu, westchnął.

Starzec łypnął na niego z ukosa, skinął głową i burknął coś po japońsku, co brzmiało jak pytanie. Pytanie to kierował jednak nie do Dzikusa, ale do kogoś za swoimi plecami, choć jeden Bóg wie, po czym Dzikus to poznał, bo starzec nie odrywał od niego oczu.

— *Hai* — odpowiedział ktoś z tyłu i serce Dzikusa drgnęło, gdyż poznał ten głos.

— Akira...? — Nigdy jeszcze Dzikus nie wypowiadał czyjegoś imienia z takim napięciem i obawą.

— *Hai* — odparł powtórnie Akira, ukazując się w luce pomiędzy ludźmi z mieczami. Tak jak i oni ubrany był na czarno, jednak w odróżnieniu od nich nie miał kaptura ani maski.

Jego przystojna twarz, która teraz wydawała się jeszcze bardziej kwadratowa, krótkie czarne włosy miał bowiem szesane na bok, z lewej strony na prawą, miała tak posepny wyraz, że Dzikus aż zmarszczył czoło. Smutek w oczach Akiry był jeszcze głębszy.

— Co tu się dzieje? — spytał Dzikus.

Akira otworzył usta, by odpowiedzieć, ale starzec przerwał mu, rzucając jakieś niezrozumiałe dla Dzikusa pytanie.

Akira odpowiedział w równie niezrozumiałym sposób.

Wymienili ze sobą jeszcze kilka uwag, a raczej krótkich, gwałtownych wybuchów dźwięków. Dzikus nie był w stanie zrozumieć nie tylko ich sensu, lecz także leżących u ich podłoża emocji.

— Hai. — Tym razem to nie Akira, lecz starzec posłużył się tym wieloznacznym potwierdzeniem. Sztywno skinął głową i odsunął miecz od rękawa Dzikusa.

Ostrze błysnęło, gdy starzec wsuwał miecz do pochwy, wciśniętej pod związany w węzeł czarny płócienny pas.

Akira wystąpił naprzód. Na jego twarzy, poza zwykłą melancholią, nie było widać żadnych emocji. Panował nad nimi doskonale, umiając oddzielić sferę prywatną od oficjalnej. Zatrzymał się obok starca i złożył ukłon Dzikusowi i Rachel.

Przez cały dzień Dzikus odczuwał pustkę, ale nie zdawał sobie sprawy, do jakiego stopnia brak mu Akiry, aż do tej chwili, gdy znów go odnalazł. Będąc w Ameryce, postąpiłby zgodnie z odruchem i po prostu uściskał Akirę, musiał jednak powściągnąć swoje pragnienia. Akira najwyraźniej starał się zachowywać zgodnie z oczekiwaniami swych ziomeków, Dzikus zastosował się więc do japońskiego protokołu i odwzajemnił ukłon, podobnie jak to zrobiła Rachel.

— Jak dobrze widzieć cię znowu — powiedział Dzikus, starając się zawrzeć w tych słowach głębokie uczucie, a jednocześnie nie zakłopotać

Akiry zbytnią ostentacją w obecności innych. — I wiedzieć, że jesteś bezpieczny.

— I nawzajem. — Akira zawahał się chwilę. — Nie byłem pewien, czy was jeszcze kiedyś zobaczę.

— Ponieważ Eko przekazała mi sygnał do ucieczki?

— Także dlatego — odpowiedział Akira. — Ale i z innych powodów.

Ta tajemnicza uwaga prowokowała do dalszych pytań, lecz Dzikus pohamował ciekawość. Chciał się dowiedzieć, co się przydarzyło Akirze i opowiedzieć mu ich własne perypetie, ale były pilniejsze sprawy.

— Wciąż mi nie odpowiedziałeś na moje pierwsze pytanie. — Dzikus wskazał ręką na ludzi z mieczami. — Co tu się dzieje?

Starzec znowu odezwał się po japońsku, głębokim, gardłowym głosem.

— Pozwólcie, że przedstawię wam mego sensei — powiedział Akira. — To Sawakawa Taro.

Dzikus uklonił się i powtórzył nazwisko, dodając do niego obowiązkowy zwrot grzecznościowy:

— Taro-sensei.

Oczekiwał w odpowiedzi kolejnego oszczędnego skinienia głowy, dlatego też zaskoczyło go, że starzec wyprostował ramiona i złożył taki sam ukłon.

— Twoja odwaga wywarła na nim wielkie wrażenie — wyjaśnił

Akira.

— Ponieważ przyszliśmy tutaj? — Dzikus wzruszył lekceważąco ramionami. — Biorąc pod uwagę to, do czego o mały włos mogłoby dojść, byłem nie tyle odważny, co głupi.

— Nie — zaprzeczył Akira. — Jemu chodzi o próbę obrony twojej pryncypałki przed jego mieczem.

— Dzikus uniósł brwi.

— Przecież sam znasz ten mechanizm. Nawet o tym nie myślałem.

Po prostu zrobiłem to, bo tak mnie wyszkolono.



— Właśnie o to chodzi — powiedział Akira. — Dla Taro-sensei odwaga oznacza instynktowne wypełnianie obowiązku, bez względu na konsekwencje.

— I tylko to nas uratowało? Akira potrząsnął głową.

— Byliście w niebezpieczeństwie tylko przez chwilę, zaraz po wejściu. Ale kiedy drzwi się zatrzasnęły i Taio-sensei rozpoznał cię z mojego opisu, wiedział już, że nie stanowicie zagrożenia.

— Co? Chcesz powiedzieć, że... Ci ludzie, którzy nas otoczyli... Ten sukinsyn sprawdzał mnie?

— Ani sukinsyn, ani skurwysyn — przerwał mu Taro starczym, zgrzytliwym głosem, patrząc na niego groźnym wzrokiem.

Dzikus zastygł z otwartymi ustami, a po skórze przebiegły mu dreszcze.

— Rozczarowałeś mnie — powiedział starzec. Chociaż niższy od Dzikusa o dobre czterdzieści centymetrów, wydawał się nad nim górować. — Spodziewałem się po tobie czegoś więcej. Nigdy nie należy zakładać, że jeśli nieznajomy odzywa się do ciebie w swoim języku, to nie rozumie twojej mowy.

Dzikusa paliła twarz.

— Przepraszam. Zachowałem się głupio i ordynarnie.

— I co gorsza, nieostrożnie — powiedział Taro. — Nie jak zawodowiec. Już miałem pochwalić tego, kto cię wyszkolił, ale teraz...

— Winien jest uczeń, a nie nauczyciel — odrzekł Dzikus, przypominając sobie ze smutkiem ciało Grahama za kierownicą cadillaca w pełnym gryzących spalin garażu, skąd odjechał na wieczny spoczynek. — To mój błąd. Nie mam usprawiedliwienia dla swego zachowania, ale błagam o wybaczenie, Taro-sensei.

Starzec patrzył jeszcze groźnie, ale powoli jego wzrok łagodniał.

— Chyba odpokutowałeś swój grzech... Nauczyłeś się od swego instruktora przyznawać do błędów.

— W sprawach twojego kraju moim instruktorem był Akira — odpowiedział Dzikus — ale i tu nie zawinił nauczyciel, lecz uczeń. Akira ostrzegał mnie, że muszę uważać, aby kogoś nie urazić. Będę jeszcze bardziej starał się zachowywać jak Japończyk.

— Staraj się — powiedział Taro — ale chyba nie podołasz temu zadaniu. Żaden obcy, żaden gaijin nigdy naprawdę nie zrozumie naszej kultury... a zatem i nigdy nie będzie potrafił zachowywać się jak Japończyk.

— Nie zniechęcam się tak łatwo.

Taro wykrzywił pomarszczone wargi, być może w uśmiechu, i zwrócił się po japońsku do Akiry. Akira coś mu odpowiedział, a wtedy Taro znowu obrócił się do Dzikusa.

— Powiedziano mi, że jesteś człowiekiem poważnym, takim, którego my nazywamy „szczerym”, ale nie w tym sensie, który na Zachodzie oznacza dziwny obyczaj udawania, że czyjeś myśli prywatne i publiczne są takie same. — Starzec zastanawiał się chwilę. — Być może zbyt szybko się pospieszyłem z oceną. Twoje przewinienie jest ci wybaczone. Zapraszam was do mojego skromnego domu. Czy ty i twoja pryncypałka pozwolicie poczęstować się odrobiną herbaty?

— Tak, z przyjemnością — odrzekł Dzikus. — Strach zazwyczaj wysusza mi usta. — Wskazał na miecz Taro i zmrużył oczy.

— Hai. — Taro wymówił to słowo tak, jakby się zaśmiał. — Bardzo proszę. — Skłonił się. — Chodźcie.

Prowadząc Dzikusa, Rachel i Akirę w głąb dojo, Taro wykonał nieznaczny ruch ręką i natychmiast, jak jeden mąż, zakapturzone postacie ukryły miecze w pochwach. Zwielokrotnione ostre metaliczne „sss” gładkiej stali sprawiło, że Dzikusowi znowu ciarki przebiegły po plecach.

— Taro-sensei, chciałbym o coś zapytać — powiedział Dzikus. — Dręczy mnie pewien problem, ale nie chciałbym nikogo urazić.

— Masz moje zezwolenie — odrzekł starzec.

— Kiedy tu weszliśmy, kiedy już przekonałeś się, że nie jesteśmy wrogami... — Dzikus

zawahał się. — Mogę zrozumieć, dlaczego chciałeś nas sprawdzić. Musiałeś wiedzieć, jak zareagujemy na zagrożenie, aby zorientować się, czy możesz na nas polegać. Jesteśmy obcy, ale mimo to... — Dzikus zmarszczył brwi. — Nie miałeś żadnej gwarancji, że nie wpadnę w panikę. Przypuśćmy, że nie wytrzymałbym nerwowo i zacząłbym strzelać, chociaż przy braku planu ucieczki byłoby to marnowanie amunicji, która mogła mi się przydać później. W takim wypadku zginęłoby wielu twoich ludzi.

— To mądre pytanie — powiedział Taro. — Ale mój test miał zabezpieczenie.

— Tak? Jakiego rodzaju? Jestem pewien, że twoi ludzie są wspaniale wyszkoleni, a ich miecze niewiarygodnie szybkie, lecz nie szybsze od kuli.

— Gdybyś spróbował użyć broni...

Taro nie musiał kończyć zdania. Kiedy Dzikus zbliżył się do tylnej ściany dojo, ujrzał dwóch mężczyzn ukrytych za rzędem ludzi z mieczami. Każdy z nich trzymał napięty bambusowy łuk ze strzałą opatrzoną groźnie wyglądającym grotem, w każdej chwili gotów do

strzału.

Tak, pomyślał Dzikus, gdybym tylko próbował, nie miałbym nawet czasu pociągnąć za spust.

Natychmiast przyszło mu do głowy następne pytanie, ale siłą woli powstrzymał się od jego zadania. Krople zimnego potu spływały mu po plecach, gdy zastanawiał się, czy łucznicy mieli tylko obezwładnić rękę, trzymającą broń, czy też zabić...?

— Dom Taro-sensei jest samowystarczalny tłumaczył Akira.

Siedzieli na poduszkach wokół niskiego drewnianego stołu. Papierowe ściany małego pokoju zdobiły wykwintne rysunki. Dzikusowi przypominało to wnętrze domu Akiry.

W widoczny sposób okazując im szczególną uprzejmość, Taro odprawił służącego i osobiście nalewał herbatę do maleńkich, przepięknie malowanych filiżanek z cienkiej porcelany. Na każdej z nich widniał jakiś motyw przyrodniczy, przedstawiony oszczędnymi pociągnięciami pędzla. Akira mówił dalej:

— Piąte piętro to oczywiście dojo. Na pozostałych piętrach są sypialnie, kaplica, biblioteka, kuchnia i jadalnia, strzelnica... wszystko, czego trzeba uczniom Taro-sensei, aby mogli doskonalić ducha, umysł i ciało, czyniąc z nich jedno.

Przerwał i sięgnął po filiżankę. Pociągnął łyk herbaty i posmakował.

— Doskonała, Taro-sensei.

Dzikus obserwował Akirę i naśladował dokładnie jego sposób trzymania filiżanki. Zanim jeszcze wyjechali z Ameryki, Akira dokładnie objaśnił im ceremoniał picia herbaty. Początki tej tradycji sięgały czternastego stulecia, a celem tego rytuału było osiągnięcie poczucia czystości, spokoju i harmonii, zwanego wabi. Celebrowanie picia herbaty trwało wiele godzin i wymagało przynajmniej trzykrotnej zmiany miejsca, połączonej z podaniem świeżej herbaty i rozmaitych towarzyszących jej dań. Herbatę parzył mistrz ceremonii, sypiąc ją do wrzątku i mieszając bambusowym pędzlem. Podczas rozmowy można było poruszać tylko miłe i kojące tematy. Goście mieli poczuć się wyzwoleni spod władzy czasu i zamętu zewnętrznego świata.

W tym wypadku cała ceremonia była z konieczności mocno zredukowana, jednak szacunek dla rytuału obowiązywał nadal. Widząc, jak uroczyście zachowują się Akira i jego sensei, Dzikus powstrzymał chęć zadawania dręczących go pytań i uniósł błyszczącą filiżankę do ust, wdychając przez chwilę aromat parującej herbaty, po czym skosztował przezroczystego płynu.

— Mój duch czuje się pokrzepiony, Taro-sensei — powiedział z ukłonem.

— Ten napój gasi pragnienie mojej duszy — dodała Rachel. — Arigato, Taro-sensei. Taro zachichotał.

— Mój nie całkiem niedobry uczeń — tu wskazał na Akirę — dobrze was wykształcił. Akira skromnie opuścił oczy, a jego smagła twarz zaróżowiła się lekko.

— Rzadko można spotkać cywilizowanych białych. — Taro uśmiechnął się i odstawił filiżankę. — Akira wspomniał o bibliotece w tym budynku. Większość sensei w ogóle nie pozwala swoim uczniom czytać. Myślenie koliduje z działaniem, słowa psują odruchy, ale niewiedza sama w sobie jest wrogiem. Nigdy bym nie pozwolił moim uczniom na czytanie jakichś fikcji, powieści — machnął lekceważąco ręką — ale już poezja to całkiem inna sprawa. Sam ich zachęcam, aby ćwiczyli ducha, komponując haiku i studiując takie klasyczne wzory, jak na przykład niezrównany Matsuo Basho. Jednak większość z tego, co czytają, to książki zawierające konkretne informacje: historia — przede wszystkim Japonii i Ameryki, podręczniki dotyczące budowy i posługiwania się bronią dawną i współczesną, a także książki o zasadach działania zamków, systemów antywłamaniowych, elektronicznych urządzeń podsłuchowych i różnych innych narzędzi ich pracy. Również podręczniki do nauki języków. Wymagam od każdego z moich uczniów, aby władał biegle trzema językami poza japońskim, a jednym z tych języków musi być angielski.

Dzikus zerknął ukradkiem na Akirę. Już wiedział, w jaki sposób jego towarzysz nauczył się tak płynnie mówić po angielsku. Ale dlaczego taki nacisk na angielski, zastanawiał się w myślach. Czy dlatego, że jest tak szeroko rozpowszechniony na świecie, czy też z powodu zwycięstwa Ameryki w drugiej wojnie światowej? Dlaczego Akira posmutniał, kiedy Taro podkreślał, że jego uczniowie muszą doskonale znać historię i język Ameryki?

Taro przerwał i znów zaczął popijać herbatę.

Akira bacznie obserwował swego sensei. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że Taro na razie nie zamierza dalej mówić i że przerwanie milczenia nie będzie poczytane za niegrzeczność, albowiem podjął

swoją opowieść:

— Kiedy skończyłem dziesięć lat, mój ojciec wysłał mnie do Taro-sensei, abym studiował sztuki walki. Przychodziłem tu pięć razy w tygodniu na dwugodzinne zajęcia, a w domu ćwiczyłem wszystko, czego mnie tutaj nauczono. Większość chłopców w Japonii uzupełnia swoje szkolne wykształcenie przygotowując się do egzaminów wstępnych na uniwersytet. Odpadnięcie przy egzaminach, szczególnie na Uniwersytet Tokijski, jest wielkim wstydem. Ale ja, w miarę jak nauka u Taro-sensei wciągała mnie i zajmowała coraz więcej czasu, coraz częściej stwierdzałem, że w ogóle nie mam ochoty starać się o przyjęcie na uniwersytet. Pomyślałem, że to właśnie Taro-sensei i jego szkoła będą moim uniwersytetem. Mimo że nie byłem tego godzien, mój nauczyciel łaskawie przyjął mnie na wyższy kurs, a więc w moje dziewiętnaste urodziny przyszedłem tu z paroma osobistymi drobiazgami i nie wychodziłem stąd przez następne cztery lata.

— Cztery lata? — Rachel była tak zdumiona, że nawet nie próbowała tego ukryć.

— Raczej umiarkowany czas, zważywszy na cel nauki — Akira wzruszył ramionami — próbę zostania samurajem. W naszym zepsutym i pozbawionym honoru dwudziestym wieku dla Japończyka, który szanuje tradycje swego narodu i gorąco pragnie zostać samurajem, jedyną szansą jest wybór piątej profesji. Zostać samodzielnym obrońcą, to stać się współczesnym samurajem, albowiem teraz, tak jak i przedtem, samuraj bez pana to wojownik bez celu, sfrustrowany wędrowiec, zdeorientowany ronin.

Dzikus ścisnął kruchą filiżankę.

— I powiadasz, że ci ludzie w dojo...

— To starsi uczniowie Taro-sensei. Niektórzy z nich już wkrótce ukończą naukę — odpowiedział Akira. — Można by ich porównać do mnichów lub pustelników. Do tego domu nie ma dostępu żaden obcy, poza dostawcami żywności i innych niezbędnych produktów.

— Ale przecież drzwi wejściowe nie były zamknięte — powiedział Dzikus — podobnie jak drzwi do samego dojo. Nie widziałem nawet zamka. Każdy mógł wejść do środka.

Akira potrząsnął głową.

— Każde drzwi w tym domu mają ukryte, sterowane elektronicznie rygle, ale dzisiaj były one otwarte — na wypadek, gdyby moi wrogowie zdołali dojść za mną aż tutaj. To była

przynęta, aby ich pochwycić i przepytać. Klatka schodowa staje się pułapką, kiedy drzwi są zablokowane.

Dzikus zacisnął wargi i kiwnął głową ze zrozumieniem. Taro zaczerpnął powietrza.

Akira obrócił się w jego stronę, domyślając się, że mistrz zamierza zabrać głos.

— Chociaż moi uczniowie usuwają się od świata — powiedział Taro — nie chciałbym, żeby byli nieświadomi jego spraw, dlatego też wiedzą wszystko o bieżących wydarzeniach, czytają bowiem prasę i oglądają telewizję. Są jednak instruowani, aby teraźniejszość traktować z takim samym dystansem, jak przeszłość. Mają stać z boku, być obserwatorami, a nie uczestnikami, albowiem obrońca może być skuteczny tylko wtedy, kiedy jest obiektywny. Dla samuraja najważniejszą sprawą jest zachowanie neutralności i spokoju serca.

Taro rozważył swoje słowa, pokiwał głową i łyknął herbaty, dając znak, że teraz mogą mówić inni.

— Proszę o wybaczenie, Taro-sensei, ale chciałbym zadać znowu pytanie, które może okazać się niedelikatne — powiedział Dzikus.

Taro przyzwolił skinieniem głowy.

— Akira stwierdził, że czasy, w których żyjemy, są zepsute — mówił dalej Dzikus. — W takim razie nawet w Japonii powinno być niewielu młodych ludzi, chcących dobrowolnie skazać się na zamknięcie i poddanie się tak wymagającemu szkoleniu.

. — Tak, rzeczywiście niewielu, ale to w zupełności wystarczy — odpowiedział Taro. — Ścieżka samuraja przeznaczona jest tylko dla najlepszych i najbardziej zdecydowanych. Mówiono mi, że i ty też wstąpiłeś do najbardziej elitarnej formacji w armii amerykańskiej, do SEAL.

Dzikus zeszywniał. Starał się nie patrzeć wrogo na Akirę, ale zastanawiał się, co jeszcze mógł wyjawić? Starając się nie pokazać po sobie niepokoju, odpowiedział:

— Ale ja nie byłem tam odcięty od świata, a za moje szkolenie płaciło wojsko. Ta szkoła... z pewnością niewielu kandydatów byłoby w stanie ponieść kosztą... Taro zachichotał.

— Ostrzegaleś mnie, to prawda, ale twoje pytanie jest bardzo niedelikatne. Amerykanie rzeczywiście mówią, co myślą. — Po chwili powiedział: — Żaden z moich uczniów nie ponosi kosztów pobytu tutaj. Jedyne kryteria przyjęcia to zdolności i determinacja.

Wyposażenie, posiłki, noclegi, wszystko, czego im potrzeba, otrzymują na miejscu.

— Ale jak w takim razie... — Dzikus zawahał się, nie mógł przecież zadać jeszcze bardziej niedelikatnego pytania.

Taro wpatrywał się w niego uporczywie.

Cisza przedłużała się, aż wreszcie przerwał ją Akira:

— Za twoim przyzwoleniem, Taro-.sensei... Mrugnięcie oczu oznaczało zgodę.

— Mój mistrz jest zarazem moim agentem — powiedział Akira — podobnie jak jest nim dla każdego ucznia, który miał dosyć siły woli, aby ukończyć kurs. Taro-.sensei załatwia mi zamówienia, służy radą, a w zamian otrzymuje część tego, co ja dostaję.

Dzikus czuł się wstrząśnięty, jego myśli goniły jedna drugą. Jeżeli Taro jest agentem Akiry... Jeżeli tak było, Taro musiał coś wiedzieć o Kunio Shiraim, którego Dzikus znał pod nazwiskiem Muto Kamichi i widział przepołowionego w „Górskim Ustroniu” w Medford Gap. Akira powiedział, że kiedy wykonywał zlecenie na terenie Ameryki, współpracował z Amerykaninem. To był Graham, ale nie on był jego głównym agentem. Był nim Taro, i dlatego Taro mógł znać odpowiedzi, których Dzikus tak potrzebował.

Ale Kamichi, to znaczy Shirai, nigdy nie był w „Górskim Ustroniu”, pomyślał, tak samo jak my. Skrzywił się, poczuł bowiem, że jamais vu znowu zaatakowało jego umysł.

Jeżeli nigdy nie spotkaliśmy Kamichiego, nie mogliśmy zostać wynajęci do jego ochrony, więc Taro może nic o nim nie wiedzieć! Ale przecież ktoś to zaplanował. Ktoś sprawił, że Akira i ja wyobrażaliśmy sobie, iż zostaliśmy wynajęci. Kto i kiedy? W którym miejscu jamais vu ma punkt wspólny z rzeczywistością? Jednego wszakże Dzikus mógł być

pewien. Akira ukrył coś przed nim. Podkreślając, że jego agentem był Graham, świadomie odwracał uwagę od Taro. Czyżby Akira też był wrogiem? Wcześniejsze podejrzenia Dzikusa znów ożyły. Jego poczucie rzeczywistości było zagrożone do tego stopnia, iż obawiał się, że już nie będzie w stanie nikomu ufać. Nawet Rachel? Nie, jej muszę ufać, bo jeśli nie będę mógł polegać na niej, nikt mi już nie pozostanie. I znowu borykał się z problemem, jak jednocześnie chronić Rachel i siebie. Potrzebny był mu obrońca, a na taki luksus w tej chwili nie mógł sobie pozwolić.

— Obawiam się, że będę musiał być niegrzeczny — powiedział na głos. — Wiem, że rozmowa przy herbacie powinna być przyjemna, ale jestem zbyt zdenerwowany, aby postępować zgodnie z ceremoniałem. Akira, co się z tobą, u diabła, działo od czasu, kiedy widzieliśmy się ostatni raz...?

Pytanie zawisło w powietrzu. Akira popijał herbatę i nie dał • po sobie poznać, że je w ogóle słyszał. Pociągnął jeszcze łyk, przymknął oczy rozkoszując się smakiem napoju, po czym odstawił filiżankę i skierował wzrok na Dzikusa.

— Policja pojawiła się bardzo szybko. — Głos Akiry brzmiał dziwnie beznamiętnie, jak gdyby to, o czym opowiadał, przydarzyło się komuś innemu. — Najpierw przyjechał jeden samochód, potem dwa i jeszcze trzy. Przybył koroner, fotografowie, zespół medycyny sądowej i wyżsi oficerowie policji. Doliczyłem się dwudziestu dwóch policjantów w moim domu. Wszyscy wysłuchiwali moich zeznań, które musiałem powtarzać kilkakrotnie. Ich pytania stawały się coraz bardziej szczegółowe. Przecwiczyłem sobie moją relację i poczyniłem niezbędne przygotowania, aby sceneria miejsca zbrodni zgadzała się z moim opisem usiłowania włamania i gwałtownej reakcji napastników na ich ujawnienie. To jednak nie jest Ameryka, gdzie zabójstwa wydają się być chlebem powszednim. U nas napady z użyciem broni są raczej rzadkie, ekipa dochodzeniowa była więc bardzo dociekliwa. Chociaż strzelałem z pistoletu odebranego napastnikowi, na moją korzyść przemawiało przede wszystkim to, że w obronie domu posłużyłem się również mieczem... Nadeszło południe, a ja wciąż byłem przesłuchiwany. Wyobrażałem sobie, jak będziecie się denerwować, jeśli nie zadzwonię w umówionym czasie, poprosiłem więc, aby pozwolono mi zatelefonować. Możecie sobie wyobrazić, co czułem, kiedy dowiedziałem się, że w ogóle nie byliście w restauracji, ale musiałem ukryć moje uczucia i dalej odpowiadać na pytania. Było już dobrze po południu, kiedy zabrano ciała ofiar. Pomimo rozpacz, Eko znalazła dość siły, aby towarzyszyć ciału Churiego do kostnicy i tam przygotować je do pogrzebu. Co do mnie, policjanci zdecydowali, że powinienem udać się z nimi na komisariat i tam złożyć formalne zeznanie. Na ulicy kłębił się już tłum reporterów zwabionych widokiem wozów policyjnych. Staralem się unikać ich obiektywów, ale co najmniej jeden z nich na pewno zdołał mnie fotografować.

Dzikus dobrze rozumiał, dlaczego przy tych słowach ton głosu Akiry stał się posepny. Obrońca powinien być anonimowy. Jeżeli zdjęcie zostałoby opublikowane, zdolność Akiry do obrony pryncypała byłaby znacznie pomniejszona, zamachowiec mógłby rozpoznać bowiem go rozpoznać i unieszkodliwić przed atakiem na swój główny cel. W ich wypadku jednak komplikacje byłyby prawdopodobnie jeszcze poważniejsze. Zdjęcie Akiry w prasie mogło przyciągnąć prześladowców, uniemożliwiając dalsze poszukiwania

— Nic na to nie można poradzić — odezwał się Dzikus

— Podczas gdy na komisariacie dyktowałem moje zeznanie, policja sprawdzała jego wiarygodność. Powiedziałem im, że jestem specjalistą od spraw ochrony. Kilka dużych firm, dla których pracowałem, przekazało pozytywną opinię o mnie, ale wyczułem, że policja sprawdzała również inne źródła informacji. Nie wiem, z kim rozmawiali, ale od tej chwili zaczęli mnie traktować inaczej, z szacunkiem. Nie mogłem zrozumieć powodów tej zmiany, ale oczywiście nie

— Twoja strata. — Dzikus wzruszył ramionami.

Taro poderwał głowę ze zdumienia, ale natychmiast wtrącił się Akira, mówiąc coś do

niego poważnym tonem. Taro przytaknął.

— Ach, tak. Żalosne silenie się na dowcipy... Jakież to amerykańskie i zabawne, ale to jeszcze jeden powód, dla którego nie moglibyśmy się zaprzyjaźnić.

— Rozumiem to i nie mam do ciebie żalu. Ale jestem twoim kolegą po fachu, obrońcą, i to dobrym, proszę więc o zawodową uprzejmość. — Nie dając Taro szansy na zareagowanie, Dzikus odwrócił się szybko do Akiry i zapytał:

— A potem przyszedłeś tutaj?

— I czekałem — na wypadek, gdyby moi wrogowie przyszli za mną. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie poszliście do restauracji, tak jak się umówiliśmy. Obawiałem się, że nie będzie was tam również jutro rano.

— Tak jak i my baliśmy się o ciebie po ostrzegawczym sygnale Eko.

— Co się z wami działo?

Dzikus skupił myśli, starając się jak mógł najlepiej opisać obiektywnie i bez emocji wszystko to, co im się przydarzyło: pościg w świątyni Meiji, ucieczkę z parku i napaść na ulicy.

— Ale dalej nie wiemy, czy ludzie Haileya byli w furgonetce, czy też do niej strzelali. — Głos Rachel załamał się. Słysząc w nim było rozpacz. — Coraz więcej pytań, a odpowiedzi wciąż nam umykają.

— I może właśnie o to chodzi — powiedział Akira. — Żebyśmy byli zdezorientowani, wytrąceni z równowagi.

— Bieg z przeszkodami i łowy padlinożercy — odezwał się Dzikus. Akira nie zrozumiał, o co chodzi.

— Graham miał taką definicję życia i to doskonale pasuje do naszej sytuacji. Prowadząc poszukiwania, staramy się zarazem wymknąć tym, którzy chcą nas powstrzymać.

— Ale nie wiemy, kto jest kto — zauważył Akira i powtórzył wypowiedziane już raz słowo: — Oblęd.

— Będę mógł wam pomóc w sprawie Kunio Shirai — odezwał się Taro.

Dobrą chwilę trwało, zanim Dzikus pojął, co Taro powiedział, a kiedy wreszcie zrozumiał, serce mu podskoczyło. Ze zdumieniem popatrzył na tego niepozornego starca.

— Zanim przejdę do wyjaśnień, myślę — zwrócił się do niego Taro — że chciałbyś się upewnić, co wiem na temat tej całej sprawy. Otóż nigdy nie słyszałem nazwiska, pod którym poznaliście go, czy też raczej wydaje się wam, że go poznaliście. O ile wiem, nazywasz to jamais vu.

Dzikus zmarszczył czoło i aż się wyprostował z wrażenia.

— Nie musisz się denerwować. Mój doskonały uczeń — tu Taro wskazał Akirę — już wcześniej opowiedział mi o nieprawdopodobnych wydarzeniach w nie istniejącym „Górskim Ustroniu”. Widzieliście nawzajem własną śmierć, widzieliście też, jak człowiek zwany Muto Kamieni, który, jak już wiecie, nazywa się Kunio Shirai, został rozrąbany na pół, ale naprawdę nic takiego się nie zdarzyło. Jamais vu, w rzeczy samej. Określenie równie dobre, jak każde inne. Jestem buddystą i wierzę, że świat to iluzja, ale wiem też, że trzęsienia ziemi, fale tsunami czy wybuchy wulkanów to zjawiska realne, zmuszam się więc do rozróżnienia między iluzją a prawdą. Kunio Shirai istnieje realnie, lecz ja nigdy nie wysyłałem mojego doskonałego ucznia, aby mu towarzyszył do Ameryki. Nie znam tego człowieka osobiście ani nie prowadziłem z nim rozmów przez pośredników. Proszę cię, abyś uwierzył moim słowom.

Dzikus łypnął spode łba, ale poczuł rozluźnienie mięśni karku i przytaknął skinieniem głowy. W powracających co chwila przyływach zwątpienia we własną świadomość ratował się powtarzaniem ulubionego cytatu Rachel: „Abraham wierzył prawem absurdu”.

Taro zwrócił się do Akiry:

— Bardzo dużo wydarzyło się w naszym kraju przez te pół roku, od kiedy widziałem cię poprzednio. — Źrenice starca rozszerzyły się, jakby patrzył gdzieś w dal. — Pewna mała grupa niedostrzegalnie zaczęła rosnąć w siłę. To zaczęło się jeszcze wcześniej niż pół roku

temu, w styczniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku, wraz ze śmiercią Hirohito, naszego dostojnego cesarza, kiedy to na jego pogrzebie odprawiono zabronione rytuały shintoistyczne.

Dzikus poczuł, że siedząca obok niego Rachel drgnęła, i przypomniał sobie rozmowę, jaką prowadzili w Ginzie na ten sam temat.

Żrenice Taro naraz skurczyły się, przestał wpatrywać się w jakiś odległy obiekt i wpił oczy w Dzikusa.

— Powojenna konstytucja nakazywała rozdział polityki od religii, kładąc nacisk na to, aby już nigdy więcej wola boża nie kierowała rządami naszego narodu, ale słowa w dokumencie, wymuszonym przez zwycięskich gaijinów, nie mogą zerwać ciągłości tradycji ani zmienić duszy ludzkiej. Stare obyczaje wciąż są kultywowane indywidualnie lub w niewielkich grupach zagorzałych patriotów, do których należy również Kunio Shirai. Jego przodkowie pochodzą z okresu szczytowego rozwoju japońskiej kultury, z początków shogunatu rodu Tokugawa w siedemnastym wieku. Ten bogaty człowiek jest przeciwnikiem obecnego rozkładu moralnego i pragnie powrotu dawnych obyczajów. Wielu ludzi, i to bardzo wpływowych, podziela jego poglądy. Ludzie ci wierzą w bogów, wierzą, że Japonia jest krainą bogów i że od nich pochodzą wszyscy Japończycy. Wierzą w Amaterasu.

Imię to, brzmiące jak czarodziejskie zaklęcie, przejęło Dzikusa dreszczem. Usiłował przypomnieć sobie, gdzie już je słyszał, i naraz pamięć powróciła — to Akira wymienił je w drodze na lotnisko Dullesa, starając się przed podróżą przekazać Dzikusowi i Rachel nieco wiedzy o Japonii.

— Tak, Amaterasu. — Kiwnął głową. — Bogini Słońca. Antenatka każdego cesarza, a zarazem wspólna matka wszystkich Japończyków od zarania dziejów.

Taro przechylił głowę. Najwyraźniej nie spodziewał się, aby to imię było znajome Dzikusowi.

— Mało który gaijin mógłby... Gratuluję ci wiedzy o naszej kulturze.

— Pochwała należy się Akirze. Jest doskonałym nauczycielem... Ale co z Amaterasu?

— Symbolizuje ona wielkość Japonii — mówił starzec głosem pełnym nabożnej czci — jej czystość i godność z czasów, zanim nasze wspaniałe obyczaje uległy rozkładowi. Kunio Shirai wybrał sobie Amaterasu na godło swojej idei i źródło inspiracji. Oficjalnie ruch, któremu przewodzi, nazywa się Tradycyjną Partią Japonii, między sobą jednak on i jego najbardziej oddani zwolennicy nazywają swoją grupę Armią Amaterasu.

Dzikus wyprostował się gwałtownie.

— O czym my tu mówimy? Chodzi o nowy imperializm? Czy Shirai chce powtórzyć to, co stało się w latach trzydziestych? Znów religia, patriotyzm i siła jako usprawiedliwienie próby zdominowania obszaru Pacyfiku i...

— Nie — odrzekł Taro. — Wręcz odwrotnie. On chce, żeby Japonia się wyłączyła, odizolowała.

To było tak zdumiewające, że Dzikus pochylił się do przodu, z trudem hamując się, aby nie mówić zbyt głośno:

— Ale przecież to godzi we wszystko, co...

— ...Japonia osiągnęła od końca amerykańskiej okupacji. Tak. — Taro gestem podkreślił zgodę. — W nasz cud gospodarczy. Japonia stała się największą finansową potęgą świata. To, czego nie udało nam się zdobyć środkami militarnymi w latach trzydziestych i czterdziestych, osiągnęliśmy w siódmej i ósmej dekadzie tego wieku dzięki rozwojowi przemysłu. Podporządkowaliśmy sobie inne kraje ekonomicznie. W czterdziestym pierwszym zbombardowaliśmy Hawaje, ale nie zdołaliśmy ich zdobyć. Teraz po prostu je wykupujemy, podobnie jak duże obszary na kontynencie amerykańskim i w wielu innych krajach. Zapłaciliśmy jednak za ten sukces postępującym rozkładem naszej kultury.

— Wciąż nie bardzo rozumiem... — Dzikus w zakłopotaniu masował uda. — Czego właściwie chce Shirai?

— Wspomniałem już, że jego ród pochodzi z początków siedemnastego wieku, który był zarazem początkiem shogunatu Tokugawów. Czy Akira opowiadał ci, co się wtedy wydarzyło?

— Tylko bardzo ogólnie. Zbyt wiele było do przekazania w tak krótkim czasie... Ty mi opowiedz.

— Mam nadzieję, że docenisz wartość historii.

— W trakcie szkolenia wpojono mi, że trzeba wyciągać wnioski z błędów przeszłości, jeżeli o to ci chodzi — odpowiedział Dzikus.

— Nie tylko z błędów, ale i z sukcesów. — Taro skrzyżował ramiona. Wydawało się, że nagle urósł. Wzrok znowu utkwiał gdzieś w oddali. — Historia... W średniowieczu Japonia była ustawicznie narażona na wpływy obcych kultur. Przybywali tu Chińczycy, Koreańczycy, Portugalczycy, Anglicy, Hiszpanie i Holendrzy. Z pewnością nie wszystkie z tych wpływów były złe. Chińczycy na przykład dali nam buddyzm i konfucjanizm, a poza tym pismo i system administracyjny. Złe było jednak wprowadzenie przez Portugalczyków broni palnej, która rozpowszechniła się w Japonii bardzo szybko i niemal całkiem wyparła bushido, starożytną i szlachetną ścieżkę wojownika i miecza. Hiszpanie przywieźli tu chrześcijaństwo, które usiłowało wyprzeć naszych bogów i pozbawić Japończyków wiary w ich niebiańskie pochodzenie.

W tysiąc sześćsetnym roku Tokugawa Iyeyasu pokonał licznych lokalnych władców i zdobył władzę nad całą Japonią. On i jego następcy zwrócili Japonię Japończykom. Obcokrajowcy zostali usunięci. Kolejno wypędzono Anglików, Hiszpanów i Portugalczyków — jedynym wyjątkiem była mała faktoria holenderska na południowym zachodzie, w pobliżu Nagasaki. Wykorzeniono też chrześcijaństwo i zakazano podróży zagranicznych. Zniszczono wszystkie statki, zdolne do osiągnięcia kontynentu azjatyckiego, zezwalając jedynie na budowę małych łodzi rybackich, które z powodu słabości swojej konstrukcji musiały trzymać się blisko brzegów. A jakie były tego konsekwencje? — Taro uśmiechnął się. — Przez ponad dwieście lat Japonia pozostawała odcięta od reszty świata. W ciągu całego tego czasu rozkoszowaliśmy się pokojem i największym rozkwitem japońskiej kultury. Zżyliśmy jak w raj.

Twarz starca spochmurniała nagle. Po chwili milczenia podjął swoją opowieść:

— Wszystko to skończyło się w tysiąc osiemset pięćdziesiątym trzecim roku, kiedy to eskadra amerykańskich okrętów wojennych pod dowództwem twojego rodaka, komandora Perry'ego, rzuciła kotwicę w zatoce Yokohama... Do dziś wspominamy ich złowieszczy, ponury kolor. To były „Czarne okręty” Perry'ego. Komandor zażądał, aby Japonia znów otwierała granice dla handlu zagranicznego. Wkrótce nastąpił upadek shogunatu, a cesarz, dotychczas trzymany w odosobnieniu w Kioto, przeniósł się do Edo — które niezadługo zmieniło nazwę na Tokio — gdzie stał się marionetką w rękach żądnych władzy polityków. Nazwano to Restauracją Meiji. Skażenie kulturą zachodnią powróciło, tym razem jeszcze silniejsze.

Taro przerwał, oceniając wrażenie, jakie wywarł na słuchaczach.

Rachel odetchnęła głęboko i zapytała:

— A Kunio Shirai pragnie powrotu dawnych porządków, ustanowionych przez shogunat Tokugawów?

— Nietrudno zrozumieć jego intencje — odpowiedział Taro. — Jako plemię nie stosujemy się już do dawnych obyczajów. Nasza młodzież nie szanuje starszych i z pogardą odnosi się do tradycji. Otaczają nas zachodnie paskudztwa — europejskie ubiory, hamburgery, muzyka rockowa. — Taro skrzywił usta z obrzydzeniem. — W końcu Japonia nasiąknie jak gąbka wszystkim, co najgorsze w innych kulturach, i naszym jedynym bogiem stanie się nie Amaterasu, lecz mamona.

— Mówisz, jakbyś się zgadzał z Shiraim — powiedział Dzikus.

— Tak, z jego motywami, ale nie z metodami. Ten budynek, czteroletnia izolacja, na



którą musi się zgodzić każdy z moich uczniów... to mój sposób realizacji idei Tokugawów. Brzydzą się tym, co widzę poza murami tego domu.

— Jesteś członkiem jego partii? Taro spojrział na niego z ukosa.

— Jako samuraj i obrońca muszę być neutralny. Uczestniczę w wydarzeniach, ale ich nie tworzę. Moim zadaniem jest utrzymywać dystans, służyć swoim panom, ale bez zaangażowania i bez prób oceny. Shogunat Tokugawów wymagał tego typu stosunków pomiędzy pryncypałami i ich świtą. Chciałbym, żeby Shirai odniósł sukces, chociaż nie sądzę, by tak się stało. Prąd historii płynie raczej w przód,

a nie w tył. Shirai może posługiwać się swym bogactwem, władzą i wpływami, aby kogoś przekupić, przymusić lub zwabić tłumy demonstrantów, ale w telewizji widziałem twarze, a szczególnie oczy tych ludzi. Oni nie są oddani chwale przeszłości. Zzera ich nienawiść do dzisiejszych obcych, do tych, którzy są spoza ich plemienia. Nimi powoduje pycha i długo powstrzymywany gniew, albowiem to Ameryka zwyciężyła w wojnie na Pacyfiku i to ona zrzuciła atomowe bomby na nasze miasta.

Dzikus poczuł dreszcz, kiedy zobaczył oczy Akiry, jeszcze smutniejsze niż zwykle. Przypomniał sobie, że przecież ojciec Akiry utracił swoją pierwszą żonę, rodziców i rodzeństwo na skutek wybuchu bomby atomowej nad Hiroszimą, a jego druga żona, matka Akiry, zmarła na raka spowodowanego napromieniowaniem.

W cichym głosie Taro zabrzmiały zgrzytliwe tony:

— Uważaj, abyś się nie pomylił w ocenie ludzi naszej rasy. Każdy Japończyk, z którym będziesz rozmawiał, pomimo okazywanej ci uprzejmości i grzeczności, zawsze będzie pamiętał o tamtych dwóch bombach — nazywają je „Grubasem” i „Chłopczykiem”. Właśnie ta pamięć jest siłą napędową mas ludzkich, które zgromadził Shirai. On sam chciałby tylko powrócić do chwalebnej i uświęconej przeszłości, ale wszyscy pozostali wyczekują sygnału, by ruszyć do walki o zdobycie dominacji.

— To się nigdy nie uda — stwierdził Dzikus kategorycznie.

— Chciwość jest potężnym uczuciem i jeśli Shirai pomylił się w ocenie sytuacji, podburzane przez niego tłumy wymkną się spod jego kontroli. One pragną ziemi, pieniędzy i wszelkich innych dóbr, a nie pokoju, równowagi i harmonii. Shirai ma rację, protestując przeciwko amerykańskiej obecności w Japonii. Jednak w pustce, która pozostanie po waszym odejściu, Armia Amaterasu może stać się nie błogosławieństwem, lecz przekleństwem.

Dzikus czuł, że jego mięśnie słabną od napięcia. Siedząc wciąż po turecku na poduszce przy niskim stoliku, odchylił się w tył i próbował rozluźnić.

— Skąd to wiesz? — zapytał z wysiłkiem, prawie szeptem.

— Usunąłem się od świata, ale wielu moich byłych uczniów utrzymuje wciąż ze mną kontakty, wiem więc, co się dzieje w moim kraju. Kunio Shirai zgromadził potencjał zdolny wywołać katastrofę. Jeśli będzie naciskał coraz mocniej, jeśli potrafi przyciągnąć jeszcze potężniejszych i bardziej gorliwych zwolenników...

Dzikus zwrócił się w stronę Akiry.

— Czy to, co się zdarzyło, a raczej nie zdarzyło, w „Górskim Ustroni” w Medford Gap, ma jakiś związek z tym, o czym mówimy?

Akira podniósł swoje smutne oczy.

— Taro-sensei wspominał o usunięciu się od świata. W domu mego ojca, nad którym sprawuję pieczę, zachowałem część przeszłości, choć zbyt rzadko miewam okazję, aby się nią nacieszyć. Żałuję teraz, że nie cieszyłem się nią stale, bo po tym wszystkim, co zaszło, nie wierzę już w sens obrony innych. Chciałbym tylko obronić siebie. Wycofać się, jak Taro-sensei, jak Tokugawowie.

— W takim razie najlepiej byłoby porozmawiać z Shiraim — powiedział Dzikus. — Mam już dość tego wszystkiego. — Spojrzął na Rachel i objął ją ramieniem. — Dojadło mi już być zawsze sługą, tarczą, psem łańcuchowym. Najwyższy czas, żebyśmy zatroszczyli się o siebie samego. — Znowu spojrzął na Rachel.

— W takim wypadku jednak utracisz swoją duszę — powiedział Taro. — Piąta profesja, ścieżka obrońcy, to najszlachetniejsza...

— Wystarczy — odrzekł Dzikus. — Chcę tylko... Akira, a co ty powiesz? Czy jesteś gotów pomóc mi to zakończyć?

## Czarne okręty

— Co oni krzyczą? — zapytał Dzikus.

Tłum zaryczał jeszcze głośniej. Niektórzy ludzie wymachiwali transparentami i planszami, inni tylko wściekle potrząsali pięściami. Przypominało to Dzikusowi wzburzoną rzekę. Była dziesiąta rano i pomimo smogu słońce świeciło oślepiająco. Osłaniał ręką oczy przed jego blaskiem, rozglądając się po ogromnym zbiorowisku, które wypełniało po brzegi ulicę i wiele kolejnych przecznic. Furia tłumu była skierowana przeciwko ambasadzie amerykańskiej. Ile tu może być ludzi, pomyślał Dzikus. Dokładna ocena liczby demonstrujących nie była możliwa, ale musiało tu ich być co najmniej dwadzieścia tysięcy. Zawodzili rytmicznie, cały czas powtarzając to samo krótkie hasło, coraz głośniej i głośniej, aż wreszcie hałas, wzmocniony echem rezonansu ścian domów, stał się niemal nie do wytrzymania.

— Oni wołają: „Czarne okręty” — powiedział Akira.

Po chwili zresztą tłumaczenie stało się niepotrzebne, demonstranci bowiem przeszli na angielski. Dzięki nocnej rozmowie z Taro Dzikus rozumiał aluzję, zawartą w tym haśle. „Czarne okręty” to była amerykańska armada, która pod dowództwem komandora Perry'ego zarzuciła kotwice w zatoce Yokohama w 1853 roku. Było to hasło-sym-bol, proste i zrozumiałe dla każdego, doskonale tłumaczące powody niechęci demonstrantów do amerykańskiej obecności w Japonii.

Niemniej jednak, na wypadek gdyby mimo wszystko nie trafiło do adresatów, tłum zaczął skandować: „Precz z Ameryką! Precz z białymi!” Ryk stał się ogłuszający. Dzikusowi dzwoniło w uszach, chociaż obaj z Akirą stali w drzwiach domu znajdującego się nieco na uboczu. Poczucie skrępowania i zagrożenia, które poznał po raz pierwszy na lotnisku Narita, kiedy jako jeden z zaledwie kilku białych znalazł się wśród tysięcy Japończyków, teraz było tak silne, że aż paliło go we wnętrzu od nadprodukcji adrenaliny.

Jezu, myślał sobie, telewizja może pokazać rozmiary demonstracji, ale nie jest w stanie oddać wściekłości tych ludzi. Miał wrażenie, że przebywa w pobliżu masy krytycznej, lada chwila gotowej eksplodować.

— Nie przedostaniemy się do niego przez taką masę ludzi — powiedział Dzikus. Chodziło mu o Kunio Shiraiego. Widać go było z daleka, jak z naprędce skleconej trybuny przed samą ambasadą przemawia do demonstrantów. Od czasu do czasu tłum przestawał skandować hasła, a wtedy Shirai zaczynał zachęcać ludzi do jeszcze głośniejszych okrzyków.

— Jeżeli będziemy trzymać się brzegu, możemy poszukać miejsca, skąd lepiej widać — powiedział Akira.

— Gdyby ten tłum zauważył Amerykanina za jego plecami...

— Na razie możemy zrobić tylko tyle, chyba że wolisz wrócić do Taro-sensei i tam poczekać na mnie.

Dzikus ponuro potrząsnął głową.

— Dosyć się już naczekałem. Chcę zobaczyć tego faceta.

Tej nocy, leżąc w sali sypialnej na trzecim piętrze domu Taro, bez powodzenia usiłował zasnąć. Krótkie okresy drzemki nieodmiennie kończyły się koszmarami. Widział w nich najrozmaitsze wersje rozcinań na pół ciała Kamichiego i brodził po kolana w wijących się

jak węże wnętrznościach, zaścielających zalaną krwią podłogę. Innym znów razem miecz bez ustanku odcinał głowę Akiry, jego tułów stał pionowo, głowa toczyła się po podłodze, wiele głów nakładających się jedna na drugą, a każda z nich zatrzymywała się przed Dzikusem i mrugała.

Rachel także spała niespokojnie i przebudziła się zrana potem. W ciemności opowiedziała mu ochryplym szeptem o uporczywie powracającym śnie, w którym mąż bił ją i gwałcił.

Kiedy objęli się, aby dodać sobie otuchy, Dzikus zaczął rozmyślać. Zastanawiał się z niepokojem, jak też idzie uczniom Taro próba uwolnienia Eko z rąk ludzi przebywających w domu Akiry. Poprosił Taro, aby kazał go obudzić, gdyby grupa ratownicza powróciła. Do świtu nie było od nich żadnego sygnału, potem zresztą też.

Podczas śniadania Taro nawet nie próbował ukryć przygnębienia, ujawniając w ten sposób prywatne myśli przed obcymi.

— Nie mogę uwierzyć, że ich złapano — powiedział. — Nie próbowaliby przedrzeć się do środka, dopóki nie byliby pewni powodzenia. Na pewno czekają na dogodny moment...

W zdenerwowaniu przeczekali większą część poranka.

— To nie ma sensu — stwierdził w pewnym momencie Akira. — Ci ludzie znają się na swojej pracy i wykonują ją, kiedy tylko będą mogli. My w tym czasie musimy zająć się swoją robotą.

— Czyli zlokalizowaniem Kunio Shiraiego — powiedział Dzikus. — Trzeba znaleźć jakiś sposób, aby się z nim spotkać twarzą w twarz i przepytac go. Na osobności. Czy widział naszą śmierć, tak jak my widzieliśmy jego śmierć?

Nawiązanie kontaktu z Shiraim okazało się jednak jeśli nie niemożliwe, to w każdym razie bardzo trudne. Domowy telefon był zastrzeżony. W jego spółce, która stanowiła osobliwe połączenie firm wydawniczych i biur handlu nieruchomościami, powiedziano, że Shirai powinien być w swojej centrali partyjnej. Kiedy tam zadzwonili, otrzymali tajemniczą odpowiedź, że łatwo będzie go odnaleźć, jeśli rozmówca uda się pod podany adres. Adres ten, jak się okazało, wskazywał budynek znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie ambasady amerykańskiej.

— Kolejna demonstracja? — Rysy twarzy Akiry stwardniały w bolesnym grymasie. Dzikus wstał, ruchem ręki wzywając Akirę, aby szedł za nim ku drzwiom.

— Ale... — zaprotestowała Rachel.

— Nie. Teraz jest inna sytuacja. Nie możesz pójść ze mną — powtórzył Dzikus zdecydowanie. — Dotychczas miałem podwójne obowiązki. Musiałem dowiedzieć się, co stało się z Akirą i ze mną, a jednocześnie chronić ciebie. — Odetchnął głęboko. — Ale teraz nareszcie jesteś bezpieczna. Tutaj, w tej fortecy, wraz z Taro sensei i jego uczniami, nikt ci już nie może zagrozić. Nie muszę już dzielić uwagi między ciebie i naszą sprawę. Mogę nareszcie wykonać moje drugie zadanie, bo nic mnie nie rozprasza.

Spojrzała na niego wzrokiem skrzywdzonego dziecka.

— Robię to dla ciebie, Rachel. — Zawrócił i ucałował ją czule. — Pragnę tylko dwóch rzeczy. Zlikwidować moje koszmary i spędzić resztę życia z tobą.

Taro i Akira patrzyli w bok, zakłopotani tak jawnym okazywaniem uczuć.

— Ale muszę to zrobić sam — dodał Dzikus. — No nie, nie całkiem sam. Z Akirą.

Jej błękitne oczy rozbłysły. Czyżby to była zazdrość? — przemknęło przez myśl Dzikusowi. Nie, to idiotyczne.

— Dotąd pomagałam ci... podsuwałam pomysły... u Grahama... w szpitalu w Harrisburgu... — powiedziała.

— Tak, Rachel, nie przeczę, byłaś ogromnie pomocna, ale to, co zamierzamy zrobić teraz razem z Akirą, jest bardzo niebezpieczne... ciebie też mogliby zabić, gdybyś poszła z nami. A ja chcę, żebyś żyła, aby kiedy wrócę — jeżeli wrócę...

— A idź, i niech cię wszyscy diabli — rozzłościła się. — Ale jeśli wrócisz martwy, nigdy się już do ciebie nie odezwę. Wynocha!

W godzinę później, słuchając tłumu skandującego: „Precz z Amerykanami! Precz z białymi!”, Dzikus czuł pustkę, przywykł już bowiem w stresujących sytuacjach mieć Rachel obok siebie. Razem z nim był jednak Akira i w tym obcym kraju, wśród wrzasku japońskich demonstrantów, Dzikus czuł się paradoksalnie bezpiecznie, kiedy obaj prześlizgiwali się skrajem tłumu, ostrożnie zbliżając się do Shiraiego — dwaj zawodowcy zdecydowani na wszystko, aby wreszcie wyjaśnić dręczącą ich zagadkę, móc na zawsze porzucić swój zawód i z powrotem stać się sobą.

Ścisk był potworny. Demonstranci parli plecami na Dzikusa, dociskając go do ściany domu. Wywinął się bokiem, ale za chwilę zgmiotła go inna grupa ludzi. Czuł się, jak gdyby fale rzucały go o skały, fale tak silne, że wygniatały mu powietrze z płuc. Cała jego skóra była lepka od potu.

Dotarł wreszcie do Akiry, któremu udało się znaleźć trochę miejsca w bramie domu stojącego parę metrów dalej.

— To był błąd — powiedział.

Najbliżej stojący obrócili się z gniewem na twarzach, słysząc Amerykanina, ale Akira uniósł rękę, jakby sygnalizując im, że ma go pod kontrolą.

Reszta demonstrantów nie przestawała krzyżeć: „Precz z białymi!” — w rytm tnących powietrze stwardniałych od karate dłoni Kunio Shiraiego. Jego głos, silniejszy od ich okrzyków, ochrypli z wściekłości, zagrzewał ich do jeszcze większego zapału.

— W ten sposób nie uda nam się do mego zbliżyć — mówił dalej Dzikus. — A jeśli tłum zacznie się burzyć, możemy zostać zgniecieni.

— Zgadza się z tobą — odrzekł Akira — ale musimy przypatrzeć mu się z bliska. Nie dowierzam fotografiom w gazetach ani migawkom, które pokazują w telewizji. Kamera często kłamie. Musimy się upewnić, czy to rzeczywiście Kamichi.

— Masz rację, ale jak mamy tego dokonać?

Wzdłuż całej ulicy rozmieszczone były głośniki, wspomagające swym jazgotem natchnione okrzyki Shiraiego.

— Głos ma dokładnie taki sam, jak Kamichi. Gdybyśmy zdołali 346 się przepchnąć przez tłum jeszcze trochę dalej, jeszcze jedną przecnicę — powiedział Akira — byłibyśmy dostatecznie blisko, żeby...

— Czekaj — przerwał mu Dzikus. — Myślę, że jest lepszy sposób.

Akira zatrzymał się.

— Shirai ogromnie ryzykuje podczas tych swoich występów — ciągnął Dzikus. — Przypuszczam, że wokół mównicy stoi jego ochrona, a wśród tłumu zauważyłem policję, ale gdyby wszyscy ci ludzie stracili panowanie nad sobą i ruszyli na niego, musiałby mieć całą armię, żeby się uratować. Oczywiście oni go uwielbiają, ale to również może być groźne. Gdyby każdy z nich chciał go choćby tylko dotknąć, Shirai zostałby rozgnieciony.

— To jak on zamierza stąd odejść? — spytał Akira. — Nie widzę jego limuzyny, ale nawet jeśli stoi gdzieś w pobliżu mównicy, Shirai nie może mieć pewności, że uda mu się wsiąść do samochodu ani że tłum się rozstąpi, aby pozwolić mu odjechać.

— No właśnie — powiedział Dzikus. — Zwróć uwagę, jak zbudowana jest ta mównica. Dokoła otacza ją barierka i nie widać żadnych schodów. Jak on tam wszedł? A poza tym mównica stoi nie na jezdni, lecz na chodniku, i tyłem przylega do tamtego budynku. — Wskazał palcem.

Błysk w oczach Akiry świadczył, że pojął, o co chodzi.

— Muszą tam być schody, prowadzące do drzwi w tym domu. W ten sposób Shirai wszedł na mównicę i tak samo zamierza ją opuścić. Po schodach, do budynku i...

— Przez budynek? — Dzikusowi z podniecenia zabiło żywiej serce. — Jeżeli zaplanował to właściwie i nie zwrócił na siebie uwagi, parkując na bocznej ulicy, nie będzie go tam oczekiwał żaden tłum. Będzie mógł szybko wyjść tylnymi drzwiami, wsiąść do samochodu

otoczonego kordonem strażników i odjechać, zanim demonstranci zorientują się, co zaszło.

Akira wyprostował się.

— Pospieszmy się. Nie wiadomo, jak długo jeszcze zamierza przemawiać.

Z wysiłkiem wycofali się w tę samą stronę, z której nadeszli. Kątem oka Dzikus zauważył fotoreportera i uchylił się przed obiektywem jego aparatu. Kiedy próbował wyminąć policjanta, tłum pchnął go tak, że uderzył barkiem o ścianę. Wywalczył kilka kroków i znowu z trudem oparł się kolejnemu pchnięciu, które niemal rzuciło nim o wielką szybę wystawową.

Oblał go zimny pot, gdy wyobraził sobie własne ciało najeżone odłamkami szkła i tryskające krwią. Sprężył się i rzucił przed siebie. Zdawał sobie sprawę, że pół roku temu, zanim rozpoczął się jego koszmar, nie byłby tak bliski paniki, z drugiej strony jednak wtedy nie pozwoliłby wciągnąć się w sytuację, nad którą byłby do tego stopnia pozbawiony kontroli. Jamais vu zmieniło go, osłabiając zdolność prawidłowej oceny zdarzeń. Już nie był obrońcą, lecz kimś, kto sam potrzebował obrońcy.

Diabła tam, muszę się stąd wydostać, pomyślał. Ostatnim szaleńczym rzutem wyrwał się z tłumu i zaczerpnął powietrza, starając się opanować drżące mięśnie.

Ledwo starczyło mu czasu, żeby przyjść do siebie, gdyż Akira w przodzie tylko się obejrzał, aby się upewnić, że Dzikus nadaża, a potem ruszył biegiem przez jezdnię. Dzikus pospieszył za nim, choć pot ściekał mu z czoła. Przemykali się między samochodami, zatrzymanymi przez demonstrację, ale ponieważ oczy wszystkich były skierowane w stronę tłumu, nikt nie zwracał uwagi na ich szaleńczy bieg. Dopadli przecznicy i pobiegli nią, kierując się w stronę ulicy równoległej do tej, na której Shirai przemawiał do swych zwolenników.

Na rogu Dzikus skręcił w prawo i kamień spadł mu z serca, gdy stwierdził, że ruch na tej ulicy jest normalny. Nawet tu jednak dolatywały wyraźne okrzyki: „Precz z gaijinami!”, odbijając się echem o ściany domów.

Pośpiech przydawał sił nogom Dzikusa. Szybkimi, długimi susami wkrótce dogonił Akirę. Spojrzeli na siebie i kiwnęli głowami, zaciskając wargi w grymasie, który miał być uśmiechem. Przyspieszyli jeszcze bardziej, lawirując wśród przechodniów, i tak przebiegli jedną, a potem drugą przecznicę, szybko zbliżając się do budynku, z którego, według ich przewidywań, miał wyjść Shirai.

Akira wskazał coś palcem. O kilka domów przed nimi przy krawężniku stała długa czarna limuzyna, a w jej pobliżu na chodniku przechadzała się grupa silnie zbudowanych Japończyków w słonecznych okularach, niebieskich dwurzędowych garniturach i białych krawatach. Część z nich obserwowała wyjście z budynku, pozostali zaś bacznie przyglądali się przejeżdżającym samochodom i przechodniom zbliżającym się do limuzyny.

Dzikus nie musiał ustalać z Akirą ich następnego posunięcia. Poczul chłód w żołądku, jakby połknął kawał lodu, i raptownie zwolnił kroku. Akira naśladował go, przechodząc do marszu i stając się zwykłym przechodniem, spoglądającym na towary na wystawach i nie wyróżniającym się na tle innych.

— Nie wygląda na to, żeby nas zauważyli — powiedział Dzikus — a jeżeli tak, to są zbyt dobrze wyszkoleni, żeby zareagować gwałtownie i ostrzec nas przedwcześnie.

— Zasłaniała nas ta rodzina przed nami — zauważył Akira. — W każdym razie dla strażników możemy wyglądać co najwyżej jak dwaj biznesmeni idący na spotkanie. Nie mają powodu, żeby się nami zainteresować.

— Poza tym, że jestem Amerykaninem — powiedział Dzikus — a to rzuca się w oczy.

— Nic na to nie poradzimy. Dopóki nie będziemy zachowywać się podejrzanie, dadzą nam spokój. Chcemy tylko popatrzeć z bliska na Shiraiego. Nie powinno to być trudne, jeśli tylko zdołamy przejść obok we właściwym momencie. Jeżeli strażnicy nie będą zbyt zdenerwowani, być może uda nam się nawet z nim porozmawiać.

— Te ich niebieskie garnitury wyglądają jak mundury — powiedział Dzikus.

— I te białe krawaty, i okulary słoneczne. Bardzo możliwe, że to uniform — odrzekł Akira. — Yakuza.

— Co? Ale czyż to nie...

— To, co byś mógł nazwać japońską mafią. W Ameryce przywykłeś do tego, że bandyci żyją poza nawiasem społeczeństwa, tutaj jednak politycy i biznesmeni często wynajmują gangsterów jako oficjalnych obrońców. To powszechna praktyka.

Dzikus szeroko otworzył oczy. — A opinia publiczna nie ma nic przeciwko temu?

Akira wzruszył ramionami. — Stara zasada do ut des. Nawet premierzy wynajmują członków yakuzy do ochrony, a na zebraniach akcjonariuszy wielkich koncernów gangsterzy często pełnią rolę odstraszać od zadawania niewygodnych pytań. Wrzeszczą, rzucają krzesłami. To jest u nas normalne. Władze tolerują gangsterów, a w zamian za to yakuza nie zajmuje się przemytem narkotyków i nie angażuje w akcje z użyciem broni.

Dzikus potrząsnął głową oszołomiony. Jak wiele innych rzeczy, których dowiedział się o Japonii, również i ta symbioza władzy i świata przestępczego wydawała mu się niepojęta. Niepojęte było również i to, że ci gangsterscy ochroniarze mieli na sobie coś w rodzaju mundurów. Było to dokładnym przeciwieństwem jednej z podstawowych zasad, wpajanych mu przez Grahama, która mówiła, że należy jak najmniej rzucać się w oczy.

W tej chwili jednak Dzikusa zakłopotala najbardziej wzmianka Akiry o broni, przypomniała mu bowiem, że, chociaż niechętnie, był jednak zmuszony pozostawić swoją berettę u Taro. Nie mógł ryzykować, że w razie jakiegoś incydentu policja zatrzyma go i znajdzie przy nim pistolet, co w Japonii jest jednym z najcięższych przestępstw w każdych okolicznościach, a już szczególnie w czasie demonstracji politycznej.

— Czy to oznacza, że ochrona Shiraiego nie ma przy sobie broni? — zapytał.

— Być może. Jest to bardzo prawdopodobne, chociaż Shirai stał się tak znany i wzbudza tyle namietności, że mogli zdecydować się na złamanie tej zasady.

— Inaczej mówiąc, nie wiemy, co nas może spotkać.

— Właśnie — odrzekł Akira. — Ostatecznie to jest Japonia. Kiedy Dzikus z Akirą podeszli bliżej strażników, krzywiąc się

z dezaprobatą na dolatujące z sąsiedniej ulicy ryki demonstrantów, znów zareagowali jednocześnie, jak gdyby nawzajem czytali sobie w myślach: jak jeden mąż skreśli do pobliskiej kwiaciarni, aby tam poczekać na pojawienie się Shiraiego. Akira udawał, że wybiera kwiat z szeregów chryzantem, Dzikus zaś zajął pozycję w pobliżu drzwi. Dudniący odgłos okrzyków słyhać było dobrze nawet przez szklaną taflę, Dzikus nasłuchiwał więc, czy nie nastąpi jakaś zmiana w skandowaniu haseł, w ich rytmie lub natężeniu, cokolwiek, co wskazywałoby na odejście Shiraiego.

Poczuł mrowienie w rękach, kiedy uświadomił sobie, że przez ostatnie pół minuty Shirai ani razu nie przerwał tłumowi. Opanował ogarniające go zdenerwowanie, skinął na Akirę i pospiesznie wyszedł na zewnątrz.

Razem skreśli w prawo, wprost na odległych o jakieś trzydzieści metrów strażników, i spostrzegli, że gangsterzy poprawiają okulary i wygładzają garnitury, słowem, stają na baczność. Większość z nich skierowała oczy na drzwi wyjściowe z budynku, których strzegło dwóch mężczyzn, trzymając je szeroko otwarte. Inni dwaj strażnicy stali przy otwartych drzwiczkach limuzyny. Tylko paru z nich dalej rozglądało się po ulicy.

To nie zawodowcy, pomyślał Dzikus z ulgą. Ten bałagan przypominał mu karygodne zlekceważenie zasad ochrony, które w 1981 roku w Waszyngtonie umożliwiło niejakiemu Johnowi Hinckleyowi podejść dostatecznie blisko, aby zranić prezydenta Reagana, jego sekretarza prasowego, agenta tajnej służby i policjanta. Prezydent przemawiał wówczas w śródmiejskim hotelu, a kiedy wychodził, oczekiwał go kordon strażników, którzy mieli ochraniać jego przejście do samochodu. Kiedy Reagan ukazał się w drzwiach, strażnicy nie zdołali jednak oprzeć się chęci spojrzenia na swego gwiazdora, i ta krótka chwila odwrócenia uwagi wystarczyła Hinckleyowi, aby się zbliżyć i oddać kilka strzałów.

W nerwowym napięciu mignęło Dzikusowi wspomnienie intensywnego treningu, jaki

przeszedł u Grahama po opuszczeniu SEAL. Graham żądał, aby Dzikus starannie i wielokrotnie przeglądał filmy o nieudanych i udanych zamachach na życie znanych polityków. „Nie patrz na swojego pryncypała — powtarzał przy tym uparcie. — Dobrze wiesz, jak on wygląda. Choćby to była nie wiem jak sławna osoba, ty nie jesteś turystą, twoja praca nie polega na podziwianiu znanych osobistości. Zadaniem obrońcy jest obserwacja tłumu.”

A ludzie w dwurzędowych garniturach i białych krawatach tego właśnie nie robili.

Może więc nam się poszczęści, pomyślał Dzikus, zdając sobie sprawę z ironii losu, która sprawiła, że on, obrońca, był zmuszony do posługiwania się taktyką zamachowca.

Mięśnie na karku Dzikusa stwardniały, a żyły napęczniały od pulsującej krwi.

Z budynku wyszła grupa strażników z Shiraim pośrodku. Cała ochrona na chodniku zwróciła ku niemu twarze, dając Dzikusowi i Akirze szansę podejścia na parę metrów.

Dzikus wciągnął głęboko powietrze, starając się uwolnić od niewidzialnych rąk, które boleśnie ścisnęły go za gardło. Sądził, że przygotował się na to tak żarliwie wyczekiwane spotkanie, ale spojrzenie na twarz Shiraiego z bliska wstrząsnęło nim. Rzeczywistość walczyła o lepsze z ułudą.

Z dreszczem przypomniał sobie jatkę, jaką był przeżyty na jawie potworny koszmar w „Górskim Ustroniu” w Medford Gap. Teraz już nie miał żadnych wątpliwości. Kamery mogły kłamać i Shirai na zdjęciach w prasie lub w migawkach telewizyjnych mógł tylko przypominać Kamichiego, jednakże człowiek, na którego Dzikus patrzył w tej chwili, z całą pewnością był tym, którego widział rozrąbywanego na pół w hotelowym korytarzu. Shirai był Kamichim, Kamichi to Shirai!

Ale przecież Kamichi nie żyje. Jak mógłby...? Rzeczywistość waliła się w gruzy. Pamięć też mogła kłamać, tak jak kamera.

Siwowłosa Shirai, pięćdziesięciolatek z obwisłą twarzą, nieco zbyt niski i nieco za tłusty, a mimo to pełen zdumiewającej charyzmy, był cały zlany potem z wysiłku, jaki włożył w swą gwałtowną i namiętą przemowę. Idąc szybko w stronę limuzyny, cały czas ocierał chusteczką kark i rzucał szybkie spojrzenia na ludzi widocznych spoza kordonu ochrony.

Nagle zamarł bez ruchu. Jego smagła twarz stała się kredowobiała. Utkwił wzrok w Dzikusie i Akirze.

Krzyknął, wyrzucając z siebie urywane japońskie zdania, po czym zatoczył się w tył, wskazując ich z przerażeniem palcem.

Jego ochrona rozglądała się na wszystkie strony.

— Nie! — zawołał Dzikus, ale Shirai krzyczał w dalszym ciągu. Strażnicy już dostrzegli przyczynę zamieszania i sprężyli się do ataku.

— Chcemy z tobą porozmawiać — wołał dalej Dzikus. — Pamiętasz nas? Rozpoznajesz? My cię znamy. Musimy pogadać i zadać ci parę pytań. Chcemy zrozumieć, co zaszło w...

Shirai rzucił krótką komendę i strażnicy skoczyli naprzód.

— Posłuchaj! — wrzasnął Dzikus. — My...

Najbliższy strażnik już się na niego zamierzył. Dzikus zrobił unik i jeszcze raz zawołał:

— Nie mamy złych zamiarów. Chcemy tylko porozmawiać... Strażnik uderzył stwardniałym kantem dłoni, ale Dzikus uniknął

ciosu, odskoczywszy w tył. Zaraz jednak ruszyli ku niemu inni. Odbiegł kilkanaście kroków do tyłu i zdołał jeszcze zobaczyć przerażoną twarz człowieka, którego znał pod nazwiskiem Kamieni, wsiadającego do limuzyny.

— Pozwól nam ze sobą porozmawiać! — krzyknął za nim, dźgając jednocześnie łokciem najbliższego przeciwnika w splot słoneczny. Miał wrażenie, że trafił w worek cementu, ale siły uderzenia wystarczyło, aby napastnik zacharczał, zgiął się w przód z otwartymi ustami, a potem zatoczył do tyłu, wpadając na kolejnego strażnika.

Limuzyna Shiraiego ruszyła na pełnym gazie, z piskiem opon, pozostawiając swąd spalonej gumy.

Strażnicy wciąż napierali na Dzikusa, niektórzy z pałkami w ręku. Obok niego Akira rozdzielał na wszystkie strony kopniaki, które na chwilę zahamowały impet ataku.

Dzikus wyrwał się z kotłowaniny i obaj z Akirą rzucili się do ucieczki, słysząc za sobą szybki tupot i gniewne okrzyki. Biegając w stronę skrzyżowania zobaczył coś, co sprawiło, że jego serce na moment zamarło: z lewej strony na ulicę wylewała się fala uczestników zakończonej demonstracji. Przyspieszył na ten widok i w tej samej chwili tuż koło jego głowy świsnęła rzucona w biegu nadziana ołowiem pałka. Kiedy gruchnęła o chodnik, Dzikus zdrzął na myśl, co by się stało, gdyby trafiła w jego czaszkę.

W płucach go paliło, nogi słabły i serce łomotało nierówno. Gdyby strażnicy byli prawdziwymi zawodowcami, powinni wkrótce zaprzestać pościgu, wypełniwszy obowiązek obrony pryncypała. Powinni wziąć pod uwagę możliwość, myślał Dzikus, że my możemy służyć tylko do odwrócenia uwagi, podczas gdy prawdziwe zagrożenie nadejdzie z innego kierunku, gdzieś po drodze. Z drugiej strony jednak kontuzjowaliśmy trzech z nich, mogą więc być wściekli do tego stopnia, że nie zważając na nic chcą nas złapać i rozbić nam głowy, aby wyrównać rachunki.

A może chcą się przekonać, co my za jedni? Obrońca musi wiedzieć, kto przesładuje jego klienta. Jak jednak w takim razie zdołamy im wytłumaczyć, że nie chcemy skrzywdzić Shiraiego, lecz tylko z nim porozmawiać?

Ryki strażników słychać było coraz bliżej. Kiedy Dzikus przeciskał się pomiędzy zdeorientowanymi przechodniami, w jego ramię uderzył jakiś ciężki przedmiot. Była to kolejna rzucona na oślep pałka. Siła uderzenia była tak duża, że Dzikus zatoczył się do przodu, krzywiąc się z bólu. Powstrzymał jednak jęk, zdołał odzyskać równowagę i wyrównać krok. Przyspieszył jeszcze bardziej, tupot stóp za plecami przybliżał się bowiem z każdą chwilą.

Akira pomknął przez jezdnię lawirując między stłoczonymi samochodami w stronę kolejnej przecznicy, która pozwalała im oddalić się od demonstracji. Dzikus dotrzymywał mu kroku, choć dyszał ciężko i musiał dobrze wyciągać nogi. Pot przesiąkał mu przez koszulę, a uderzone ramię pulsowało.

Pomyślał z nadzieją, że przecież obaj z Akirą mogą łatwiej prześlizgnąć się przez gęsty tłum niż zwarta grupa wściekłych strażników, wkrótce jednak przekonał się, jak bardzo był w błędzie.

Kiedy tylko wskoczył pomiędzy pieszych po drugiej stronie ulicy, jakaś dłoń chwyciła go za rękaw. Wyrwał się, ale natychmiast złapała go inna ręka i poczuł, jak go opuszcza nadzieja. Nadal myślał jak człowiek Zachodu, jak mieszkaniec Nowego Jorku — i to był błąd. Na Manhattanie każdy przechodzień starałby się unikać dwóch ściganych ludzi, ale nie tu. Zapomniał, co mu mówił Akira. Japończycy są jednym z najbardziej zdyscyplinowanych i przestrzegających prawa narodów. To społeczeństwo plemienne, dla którego grupa jest zawsze ważniejsza od jednostki. Dwóch ludzi ściganych przez grupę, szczególnie gdy jeden z tych dwóch jest Amerykaninem, stanowi z pewnością zagrożenie dla społeczności, albowiem większość zawsze ma rację.

Nagle jakaś następna ręka ucepiała się Dzikusa, tym razem jednak była to ręka Akiry, który obrócił się i wciągnął go do wnętrza jasno oświetlonego sklepu. Na zewnątrz strażnicy objęli się o przechodniów, tworząc kłębowisko, które zablokowało wejście. Mijając w biegu lady i zdumionych sprzedawców, Dzikus dostrzegł po lewej drzwi wyjściowe, prowadzące na inną ulicę. Niemal bez tchu wybełkotał w biegu do Akiry:

— Musimy się rozdzielić.

— Ale...

— Tobie uda się zniknąć w tłumie. Ścigają Japończyka i Amerykanina. Jeżeli znikniesz im z oczu, będą dalej ścigać tylko mnie, bo się wyróżniam.

Dopadli bocznych drzwi i wydostali się na zewnątrz, słysząc, jak strażnicy wdzierają się do sklepu frontowym wejściem.

— Nie mogę cię opuścić — powiedział Akira.

— Musisz. Spotkamy się u Taro.



— Nie, nie zostawię cię samego.

Dzikus zauważył posłańca w uniformie, który właśnie wsiadał na swoją hondę, skoczył więc w tamtą stronę, odepchnął chłopaka i zajął jego miejsce na siodełku.

— Posuń się! — Akira skoczył za Dzikusa i objął go w pasie. Dzikus wrzucił bieg, dodał gazu i ostro ruszył przed siebie,

wymijając samochody. Nie słyszał już za sobą odgłosów pogoni. W miarę jak jego oddech się uspokajał, coraz wyraźniej słyszał tylko odgłosy ruchu ulicznego, warkot silnika motocykla i cały ogłuszający, a tak nieoczekiwanie normalny tokijski hałas.

— Wkrótce będziemy musieli pozbyć się tego motoru — zauważył Akira, kiedy Dzikus wziął zakręt i dodał znowu gazu. — Zaraz zawiadomię o jego kradzieży i policja zacznie go szukać.

— Teraz obchodzą mnie tylko ci ochroniarze.

— Dziękuję ci, że chciałeś służyć za przynętę, abym mógł uciec — odezwał się Akira zza jego pleców.

— Po prostu przyjacielska przysługa.

— Tak. — W głosie Akiry zabrzmiał jakiś dziwny ton. — Przyjacielska... — Wydawało się, że czegoś nie może zrozumieć.

Trzy przecznice dalej porzucili motocykl na chodniku w pobliżu wejścia do metra w nadziei, że policja wyciągnie stąd wniosek, iż taka była ich dalsza trasa ucieczki. W pobliżu skrzyżowania ulic zatrzymali taksówkę. Nie musieli sobie wyjaśniać, że będzie to tylko pierwsza z wielu taksówek, których użyją na zygzakowatej trasie, maskującej ich właściwą drogę do domu Taro.

— Ten posłaniec pewnie już nigdy nie zobaczy swego motoru — powiedział Dzikus.

— Nieprawda — odrzekł Akira. — Może ktoś go przesunie, żeby nie zawadzał przechodniom, ale nikt nie ośmieli się go ukraść. To jest Japonia.

— Nie rozumiem. Co powiedział Shirai? — zapytał Dzikus. Siedział na krześle w małym ambulatorium na czwartym piętrze w domu Taro. Był bez koszuli, starzec obmacywał jego ramię. Obok stali Akira i Rachel, a z jej zmrużonych oczu Dzikus czytał jasno, że siniak od uderzenia rzuconą pałką nie wyglądał najlepiej.

— Podnieś rękę — powiedział Taro. Dzikus posłuchał, zagryzając wargi z bólu.

— Porusz nią w tył i w przód.

Udało mu się to zrobić, ale nie do końca i z dużym wysiłkiem.

— Opisz ból.

— Głęboki, gniotący, a jednocześnie pulsujący.

— Nic cię nie kłuje? — spytał Taro.

— Nie. Chyba nie ma złamania.

— Mimo to powinieneś pójść do szpitala i zażądać prześwietlenia. Dzikus pokręcił głową.

— Dzisiaj dostatecznie już zwróciłem na siebie uwagę.

— Hai — odrzekł Taro. — Dam ci coś na zmniejszenie opuchlizny. Bark masz tak sztywny, że w razie czego nie będziesz mógł się posłużyć tą ręką.

— Jeśli będę musiał, na pewno zrobię z niej użytek. Pomarszczone wargi Taro ułożyły się w uśmiech. Potarł namoczoną w spirytusie watką ramię Dzikusa.

Dzikus poczuł ukłucie. Taro wyjął igłę i powiedział:

— Nowokaina, epinefryna i steroid. Posiedź z ręką na udzie i rozluźnij ramię.

Kark zaczynał mu drętwieć. Dzikus westchnął i spojrzał na Akirę.

— I co właściwie powiedział Shirai? Mówił tylko po japońsku, nie zrozumiałem więc ani słowa, chociaż dotarło do mnie, że był przerażony naszym widokiem.

Akira patrzył ponuro.

— Tak... przerażony, ale nie dlatego, że widział w nas anonimowych zamachowców ani

też, że tuż po antyamerykańskim przemówieniu zobaczył obok siebie Amerykanina. Krzyczał: „Wy...?! nie, to niemożliwe, jesteście... to nieprawdopodobne! Trzymajcie ich z daleka!”

— I to wszystko?

— Jeszcze parę wykrzykników, kiedy wsiadał do samochodu, ale ich sens był ten sam. Dzikus zamyślił się. Zastryk robił swoje, ból w ramieniu zastąpił kompletny brak uczucia. Jego myśl jednak też odrętwiała, wyczerpana porannymi wydarzeniami.

— Jaki więc stąd wniosek? Że mieliśmy rację?

— Nie widzę innego wytłumaczenia. — Akira westchnął. — Pamięta nas tak, jak my jego.

— Chociaż naprawdę nigdy się nie spotkaliśmy... — powiedział Dzikus. — Tak jak my, pamięta zdarzenia, które nigdy nie miały miejsca.

— Ale jakie zdarzenia? — zastanawiał się Akira. — To, że nas rozpoznał, nie oznacza jeszcze, że widział nas martwych, tak jak nam się wydaje, że pamiętamy jego. Nie możemy zakładać, że jego fałszywe wspomnienia są takie same, jak nasze. Z tego, cośmy usłyszeli, można by przypuszczać, że w jego koszmarze właśnie my jesteśmy mordercami, przed którymi ledwo zdołał uciec.

Rachel przysunęła się bliżej do nich.

— To mogłoby tłumaczyć wyraz przerażenia na jego twarzy i rozpaczliwe pragnienie, żeby się od was oddalić.

— Być może. — Dzikus spojrział na nią z ukosa. — Ale niekoniecznie. Tak samo mógłby się zachować, stając niespodziewanie twarzą w twarz z dwoma ludźmi, których wcześniej widział martwych. Zatopiony w myślach, zmęczony, wracał z demonstracji, marząc tylko o bezpiecznym schronieniu w swojej limuzynie, gdy wtem zobaczył dwa widma, nic dziwnego więc, że wpadł w panikę. Czy będąc na jego miejscu chciałabyś zatrzymać się i pogawędzić, czy też poczułabyś się tak zszokowana, że twoją jedyną myślą byłoby uciec jak najdalej?

Rachel zastanowiła się chwilę.

— Pewnie wybrałabym tę drugą możliwość, ale po pewnym czasie bym ochłoneła i chciałabym się dowiedzieć, dlaczego żyjecie, jak wam się udało uniknąć śmierci i co robiliście przy moim samochodzie. I z pewnością byłabym wściekła na strażników, że was nie złapali, abym mogła wam zadać te wszystkie pytania.

— Dobrze — pochwalił ją Dzikus. — Właściwe podejście. — Uniósł brwi i zwrócił się do Akiry. — A więc jak sądzisz? Może będzie chciał z nami mówić?

— Może... Możemy to sprawdzić tylko w jeden sposób.

— Jasne. Zadzwońmy do niego.

Kiedy Dzikus wstał, jego ręka zwisała bezwładnie. Pomasażował ją z roztargnieniem i wtedy przypomniał sobie, że mają jeszcze jeden problem.

— Taro-sensei, czy twoi ludzie jeszcze nie wrócili? Nie ma od nich żadnych wiadomości?

Twarz starca pokryła się jeszcze gęstszymi zmarszczkami, a on sam jakby zmalął i zeszcupłał, jakby go ubyto w obszernym gi. Tym razem wrażenie kruchości nie było skutkiem świadomego udawania.

— Minęło już prawie dwanaście godzin, a oni nie dali znaku życia.

— To nie musi oznaczać klęski — odezwał się Akira. — Taro-sensei uczył nas, aby nie podejmować działań, dopóki nie jesteśmy przekonani, że osiągniemy zamierzony cel. Może są w stanie gotowości, czekając na dogodny moment. Mówiłem ci to już.

— Ale czy nie powinniśmy złożyć raportu? — zapytał Dzikus.

— Nie, jeżeli ich plan wymaga, aby wszyscy byli na miejscu, gotowi do skoordynowanej akcji — odrzekł Taro. — Nie wiemy, na jakie natrafili przeszkody.

— Powinienem być pójsz z nimi — powiedział Akira. — Oni robią to przecież dla mnie. Powinienem dzielić z nimi ryzyko.

— Nie — zwrócił się do niego Taro — nie masz sobie nic do wyrzucenia. Oni poszli

dlatego, żebyś ty mógł skontaktować się z Shiraim. Nie zawiodłeś w wypełnianiu obowiązków. Nie możesz robić dwóch rzeczy naraz.

Wargi Akiry zdrząły. Wyprostował się sztywno i złożył głęboki ukłon.

— Arigato, T&To-sensei.

Taro skinął ręką, jak gdyby strącał ciężar z ramion Akiry.

— Idź. Zadzwoń.

— Ale nie stąd — wtrącił Dzikus. — Nie możemy dopuścić, aby Shirai po telefonie trafił do tego domu.

Taro zmrużył otoczone zmarszczkami oczy, a jego zwiędłe wargi, pomimo troski o nieobecnych uczniów, znowu ułożyły się w cień uśmiechu.

— Twój sensei zasługuje na pochwałę.

— On nie żyje — powiedział Dzikus. — Nie wiem, jaki był jego udział w tym wszystkim, ale tak, masz rację — on, jak i ty, zasługuje na szacunek. — Wykrzywił twarz w grymasie mającym przypominać uśmiech. — Mam prośbę.

— Mój dom jest twoim domem.

— Chciałbym z powrotem berettę. Mój pistolet.

Akira wybrał automat telefoniczny w innej dzielnicy Tokio, zabezpieczając się — na wypadek, gdyby rozmowa była podsłuchiwana — przed możliwością skierowania uwagi strażników Shiraiego na dom Taro. Automat znajdował się w głębi salonu gry w pachinko, jaskrawo oświetlonej wielkiej sali, wypełnionej rzędami czegoś, co przypominało pionowo ustawione bilardy mechaniczne. Była to jedna z najpopularniejszych rozrywek w Japonii. Gracze tłoczyli się przy automatach, a dochodzący z ich wnętrza głośny grzechot stalowych kulek sprawiał, że nikt poza Dzikusem, który stał tuż obok telefonu, nie mógł podsłuchać rozmowy Akiry.

Chociaż Akira rozmawiał po japońsku, Dzikus wiedział mniej więcej, co mówi, obaj bowiem zawnaz ustalili zasadniczą treść rozmowy. Najpierw zadzwonili do siedziby partii Shiraiego, ale portier twierdził, że Shirai nie wrócił tu po demonstracji, spróbowali więc skontaktować się z biurem jego firmy, lecz i tam Shiraiego nie było. Kiedy Dzikus i Akira byli na demonstracji, Taro użył swych licznych kontaktów, aby uzyskać zastrzeżony numer domowy Shiraiego, jednak gdy Akira go nakręcił, dowiedział się, że i tu go nie ma.

— Oczywiście mogli kłamać — powiedział Akira po odłożeniu słuchawki — ale wszędzie zostawiłem wiadomość: „Dwóch mężczyzn, których widział pan dziś rano przy samochodzie, pilnie pragnie z panem porozmawiać”. Powiedziałem też, że będę dzwonił co piętnaście minut.

— A więc musimy poczekać. — Dzikus poczuł bolesny zawód. Chciał coś zrobić, zmierzyć się ze swym problemem i rozwikłać wreszcie ten koszmar. — Może poszukamy innego telefonu.

Akira wzruszył ramionami.

— Każda rozmowa zajęła nie więcej niż czterdzieści sekund, a to za mało, żeby ktokolwiek mógł sprawdzić, skąd dzwoniło.

— No, ale na wszelki wypadek — powiedział Dzikus.

— Hai. Chodźmy.

Następne rozmowy prowadzili z automatu, który znajdował się w pobliżu gwarne go placu zabaw w małym, gęsto zadrzewionym parku, kontrastującym z przebiegającą górą zatłoczoną autostradą.

W siedzibie partii Shiraiego portier powtórzył to samo, co mówił przedtem. Akira nakręcił numer firmy i już po paru słowach, które usłyszał, jego twarz przybrała czujny wyraz, chociaż pilnował się, aby w głosie nie było słychać najmniejszego śladu podniecenia.

Dzikus przysunął się bliżej, szybko oddychając. Akira odłożył słuchawkę.

— Shirai jest w swoim biurze. Jesteśmy umówieni z nim na rozmowę za godzinę.

Dzikus poczuł, że puls mu przyspieszył. Odprężył się i nawet zaczął się uśmiechać, ale po chwili znów sposepniał.

— O co chodzi? — zapytał Akira.

Z autostrady dochodził nieustanny szum jadących samochodów.

— Tak po prostu? — powiedział Dzikus. — Nie wytłumaczył, dlaczego się przeraził, kiedy nas zobaczył, dlaczego wszedł do limuzyny i uciekł w popłochu? I dlaczego, pomimo tego strachu, zgadza się spotkać z nami?

Akira odszedł od telefonu i ruszył obok Dzikusa.

— Nie wytłumaczył, ponieważ w ogóle nie miałem okazji z nim rozmawiać. Jego sekretarka przekazała wiadomość.

Dzikus jeszcze bardziej się nachmurzył.

— Nie.

— Nie rozumiem — powiedział Akira. — Co ci się nie podoba?

— Sam chciałbym to wiedzieć, ale coś tu się nie trzyma kupy. Wtedy po demonstracji reakcja Shiraiego na nasz widok była tak gwałtowna, że trudno mi uwierzyć, aby tak szybko mógł wrócić do normy i zgodzić się na spotkanie.

— Ależ właśnie dlatego jest to prawdopodobne — powiedział Akira. — Był przerażony i zdenerwowany, stracił panowanie nad sobą... Niezależnie od tego, co tkwi w jego fałszywych wspomnieniach... może mu się zdaje, że widział nas martwych, albo że to my chcieliśmy go zabić... ja na jego miejscu bardzo chciałbym uzyskać odpowiedzi na moje pytania, tak jak my staramy się je znaleźć.

— On też chce odpowiedzi, to oczywiste. — Dzikus szedł przed siebie, rozglądając się po pełnej ludzi ulicy, cały czas czujnie wypatrując ewentualnego zagrożenia. Instykt obrońcy kazał mu być w ciągłej gotowości. — Ale jeżeli sekretarka powiedziała mu, że będziesz dzwonił co piętnaście minut, to po co kazał jej umówić spotkanie za godzinę? Zamiast narażać się na kontakt twarzą w twarz, mógł przecież po prostu polecić jej, aby przełączyła rozmowę na jego aparat. Wtedy mógłby rozmawiać bezpiecznie, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo bezpośredniego spotkania z nami.

— Na pewno to spotkanie odbędzie się w obecności jego ochrony — odpowiedział Akira. — On już zadba o swoje bezpieczeństwo.

— A co z naszym bezpieczeństwem? Jeżeli jego ochrona to ci sami ludzie, którzy nas gonili po demonstracji, mogą na nas czekać z szerokim uśmiechem i pałą za plecami. — Dzikus potarł ramię, które znów zaczynało pulsować, środek usmierzający przestał już bowiem działać. Czuł się, jakby oberwał kijem baseballowym. — Nie wiem, co uszkodziłem pierwszemu, który mnie dopadł, ale ty z pewnością złamałeś rękę jednemu z nich. Mogą być dla nas niezbyt sympatyczni.

— To zawodowcy. Wykonywali swoją pracę, ale za godzinę będą mieli inne zadanie i nie wolno im mieszać do tego własnych uczuć. Pierwszeństwo mają życzenia pryncypała.

— A jeśli Shirai życzy sobie tego samego, co oni? To znaczy by usunąć nas z drogi? — zapytał Dzikus.

— Jestem przekonany — Akira przerwał na moment — że Shirai chce informacji.

— Chciałeś powiedzieć, że to przede wszystkim my chcemy informacji, a więc jesteśmy gotowi zaufać człowiekowi, którego śmierć widzieliśmy.

— Co to Rachel lubi powtarzać? Jej ulubiony cytat...? — spytał Akira.

— „Abraham wierzył prawem absurdu.”

— Mówiąc inaczej, wiara to tajemnica. Czasami, kiedy jesteśmy już zbyt zdezorientowani, musimy zaufać — stwierdził Akira.

— Graham nazwałby mnie idiotą. Ufać? To przeczy wszystkiemu, czego mnie uczono, a jeśli Taro usłyszałby, co powiedziałeś, byłby przerażony.

Akira potrząsnął głową i zachichotał.

— Mój sensei zażądałby powtórzenia kursu.

- Nie potrzebujemy powtórki. Ale musimy cofnąć się o krok i postarać się wyobrazić sobie, że ochraniaamy kogoś innego.
- Ach, o to chodzi... — powiedział Akira.
- Właśnie. Umówmy się, że naszym klientem jest ktoś inny, a nie my sami.
- W takim razie pierwszeństwo uzyskują sprawy bezpieczeństwa, a nie odpowiedzi na nasze pytania.
- A więc róbmy to, co potrafimy, to, co robimy najlepiej. Głos Akiry przypomniał Dzikusowi złowieszczy syk wypolerowanego miecza, wyciąganego z pochwy.
- Trzeba sprawdzić niebezpieczną strefę.

Budynek, w którym mieściła się firma Shiraiego, jeden z niezbyt licznych w nękaney trzęsieniem ziemi Japonii wieżowców, zbudowano ze szkła i stali, ale Dzikus domyślał się, że w jego konstrukcji wprowadzono najnowsze modele elastycznych zabezpieczeń. Patrzył na dom z odległości dwóch przecznic, zbliżając się powoli od strony południowej. Cały czas towarzyszyła mu dręcząca świadomość, że choćby nie wiadomo jak się starał upodobnić do otoczenia, jako gaijin wciąż będzie się rzucał w oczy. Wiedział, że w tej samej chwili Akira obserwuje budynek od strony północnej, zastanawiając się nad zasadzkami, jakie mogły się w nim kryć. Umówili się, że w razie najmniejszego zagrożenia wycofają się i spotkają w umówionym miejscu. Właściwie mieli kilka takich miejsc — ot tak, na wszelki wypadek. Dzikus czuł dumę ze starannego zaplanowania ich rekonesansu. Po raz pierwszy od chwili przyjazdu do Japonii miał wrażenie, że działa, że jest panem samego siebie, jak uczeń Grahama, a nie jak zaszczuta ofiara.

Zatrzymał się o jedną przecznicę od wznoszącego się wysoko budynku Shiraiego. Patrząc przez strumień ludzi i samochodów zauważył, że oprócz głównego wejścia do domu prowadziło również nieco skromniejsze wejście boczne. Ulice były tak zatłoczone, że wszędzie obowiązywał zakaz parkowania. Na krótko mogły zatrzymywać się tylko wozy dostawcze, jak na przykład furgonetka hamująca właśnie przy głównej bramie. Poniżej ideogramów na jej bocznej ścianie widniał wymalowany bukiet kwiatów, nie pozostawiając wątpliwości, o jaki rodzaj dostawy tu chodzi. Przy bramie bocznej stała zaparkowana ciężarówka, a o jej przedni błotnik opierał się znudzony człowiek w kombinezonie i czapce. Czytał gazetę i od czasu do czasu spoglądał na zegarek, a potem w stronę bramy, po czym wzdychał i potrząsał głową, jak gdyby nie mógł doczekać się powrotu swego kolegi.

Wszystko to wyglądało pozornie naturalnie, Dzikus poczuł jednak mrowienie w karku, kiedy spostrzegł, że kierowca zamiast ciężkich roboczych butów ma na nogach eleganckie mokasyny.

O kurwa, zaklął w myślach, obrócił się na pięcie i pomaszerował na południe, w kierunku, z którego przyszedł. Kiedy znalazł się w bezpiecznej odległości, przeszedł na drugą stronę ruchliwej ulicy, minął kilka przecznic w kierunku wschodnim, a potem skręcił za róg i skierował się znów na północ, w stronę budynku Shiraiego, aby obejrzeć tę część wieżowca, której nie mógł widzieć z pierwszego stanowiska.

U tylnego wyjścia zaparkowana była ciemna limuzyna z nieprzezroczystymi szybami, a z boku Dzikus zobaczył ciężarówkę z plakietką przedstawiającą telefon na karoserii.

Zacisnął pięści. Był zdecydowany dokładnie wykonać swoje zadanie, okrążył więc gmach ponownie, obserwując go uważnie, a następnie wycofał się na miejsce spotkania.

Długa kolejka posiadaczy biletów wpełzła do wnętrza kina. Stojąc obok na chodniku, Dzikus udawał, że ogląda plakat amerykańskiego filmu sensacyjnego. Zdumiewało go, że ludzie w kraju notującym najmniejszą liczbę przestępstw z bronią w ręku fascynują się widokiem muskularnego Amerykanina z obnażonym torsem, który

mierzy do nich z ręcznej wyrzutni rakiet.

Obok niego pojawił się Akira i powiedział cicho:

— Wszystkie wejścia są obstawione.

Dzikus dalej wpatrywał się w plakat. — W każdym razie Shirai docenia naszą inteligencję, nie trzyma bowiem tych samych pojazdów w jednym miejscu. Kiedy drugi raz obchodziłem budynek, stały już przy nim inne ciężarówki, furgonetki i limuzyny.

— Musimy założyć, że w każdym z tych samochodów kryje się paru ludzi.

— Z pewnością — powiedział Dzikus i obrócił się twarzą do ulicy, aby sprawdzić, czy nie był śledzony w drodze od budynku Shiraiego. — Problem w tym, czy są to zwyczajne środki ostrożności, czy też Shirai chce nas schwytać i wyeliminować?

Akira rozłożył ręce.

— Czy jesteś gotów to sprawdzić, ryzykując wejście do budynku?

— Straciłem wiarę — odrzekł Dzikus.

— Podobnie jak ja.

— „Abraham wierzył prawem absurdu”? Nie ma głupich — powiedział Dzikus.

— To co robimy?

— Zadzwoń do Shiraiego — powiedział Dzikus. — Powiedz jego sekretarce, że przepraszamy za spóźnienie i poproś, by przełączyła rozmowę na jego aparat.

— Nic z tego nie będzie. Wydaje mu się, że zastawił na nas doskonałą pułapkę, odmówi więc i dalej będzie próbował zwabić nas do budynku.

— I ja tak przypuszczam — odpowiedział Dzikus — ale warto spróbować. Zakładając, że rzeczywiście odmówi, postaraj się przełożyć spotkanie na późniejszą godzinę.

Przypuszczam, że się zgodzi.

— Bez wątpienia, ale to tylko opóźni sprawę, a niczego nie rozwiąże — powiedział Akira. — Wciąż chcemy z nim porozmawiać, lecz przecież nie odważymy się wejść do tego budynku.

— No to urządzimy spotkanie gdzie indziej, tam, gdzie on się nie spodziewa — odrzekł Dzikus. — Kiedy okrążyłem budynek, przyszedł mi do głowy pewien pomysł, ale nie będziemy mogli go zrealizować, jeżeli nie uda się nam zatrzymać Shiraiego w biurze do chwili, aż będziemy gotowi do akcji. Dlatego zadzwonimy do niego i odłożymy spotkanie, a w tym czasie zatelefonujemy do Taro.

— Po co?

— Zapytać go, czy mógłby promować przed terminem jeszcze paru uczniów.

W głośniku trzeszczało. Dzikus wyprostował się na tylnym siedzeniu wypożyczonej toyoty, starając się rozluźnić zeszytowane mięśnie. Miał nadzieję, że dla Akiry zniekształcony męski głos, który zaskrzeczał w radiotelefonię, był pomimo złego odbioru zrozumiały.

Akira prowadził samochód, z trudem przeciskając się przez szczególnie o tej porze tłoczne ulice i krążąc po tej samej trasie dookoła budynku Shiraiego. Sięgnął teraz po walkie-talkie, powiedział coś krótko po japońsku, kiwnął głową słysząc dochodzący przez trzaski głos i dodał coś jeszcze.

Jego twarz znieruchomiała, kiedy usłyszał odpowiedź. Odłożył odbiornik, chwycił obiema stwardniałym od karate dłońmi kierownicę i skręcił w niespodziewaną lukę na sąsiednim pasie, a potem skręcił raz jeszcze, tym razem za róg, przepychając się wśród ruchu ulicznego coraz bliżej siedziby Shiraiego.

Dzikus aż kipiał od pytań, ale zmusił się do milczenia, aby nie przerywać skupienia Akiry.

Wreszcie Akira ulżył udrękom Dzikusa.

— Widzieli go — powiedział.

Dzikus odchylił się na oparcie, ale jego napięcie nie zelżało. Wyobrażał sobie uczniów Taro, doskonale wyszkolonych w sztuce kamuflażu i dlatego niewidocznych w tłumie

przechodniów, czujnie obserwujących budynek Shiraiego ze wszystkich stron. Akira opisał wygląd samochodu Shiraiego i podał część numeru rejestracyjnego, jaką zdołał zapamiętać dziś rano, gdy widział go po zakończeniu demonstracji, Taro zaś rozdał uczniom zdjęcia polityka opublikowane w prasie. Uczniowie zresztą znali wygląd Shiraiego z reportaży telewizyjnych przedstawiających jego radykalnie konserwatywny program, wiarę w Amaterasu i ideę przywrócenia w Japonii kulturowej izolacji, wiedzieli więc świetnie, kogo mieli obserwować.

— A więc limuzyna Shiraiego w końcu wyjechała z podziemnego garażu?

Akira był zbyt zajęty, aby odpowiedzieć, właśnie pospiesznie skręcał w kolejną lukę w rzece samochodów.

— Jest jednak pewien kłopot — powiedział Dzikus. — Limuzyna Shiraiego... czy nam się to podoba, czy nie, w dalszym ciągu jest to tylko akt wiary... przecież Shiraiego może nie być w samochodzie.

— Nie ma wątpliwości — odrzekł Akira.

— Nie ma...?

— Widziano go — powiedział Akira.

— Kto? Jak? To niemożliwe. Tylna okna limuzyny są zasłonięte, a przecież żaden z uczniów Taro nie mógł przedostać się do podziemnego garażu i zobaczyć, kto do niej wsiada.

— Ale Shiraiego widziano, jak wsiadał do samochodu, i to nie w podziemnym garażu.

— A gdzie...?

— Dwie minuty temu limuzyna ukazała się przed pomocnym wyjściem z budynku — powiedział Akira. — Wkrótce potem na chodnik wyszli strażnicy i uformowali kordon. Następnie pojawił się Shirai, przeszedł między strażnikami i wsiadł do limuzyny. Ruszyli na zachód.

Radiotelefon znowu zatrzeszczał. Akira wziął go do ręki, wysłuchał kolejnego zniekształconego głosu, powiedział: „Hai” — i odłożył aparat na siedzenie.

— Wciąż jadą na zachód. Jeden samochód pełen strażników eskortuje limuzynę z przodu, a drugi z tyłu.

— Standardowa procedura.

Dzikus oczyma wyobraźni widział uczniów Taro, którzy na motocyklach śledzili limuzynę, dbając o zachowanie bezpiecznej odległości. Ich zadaniem było utrzymywać nadzór i stale informować przez radio o trasie przejazdu do chwili, gdy Akira będzie w stanie przejąć kolumnę samochodów i dalej śledzić ją samodzielnie.

— Zgodnie z naszymi przewidywaniami Shirai w końcu stracił cierpliwość — powiedział Akira. — Zrozumiał wreszcie, że nie mamy najmniejszego zamiaru stawić się na to oszukańcze spotkanie.

— Jest albo rozwścieczony, albo zdezorientowany, najważniejsze jednak, że to on reaguje na nasze posunięcia, a nie odwrotnie — odrzekł Dzikus. — Ale jeżeli Shirai udaje się w miejsce publiczne, nie będziemy mieli okazji, żeby porozmawiać z nim sam na sam.

— Nie szkodzi — powiedział Akira. — Pojedziemy za nim dalej. W końcu trafimy na naszą szansę, i to tam, gdzie się najmniej będzie tego spodziewał, gdzie nie będzie przy nim armii strażników.

— Więc teraz rozluźnij się i ciesz się jazdą.

— Rozluźnić się...? — Akira zerknął na Dzikusa i uniósł brwi. — Chyba nigdy nie przywyknę do amerykańskiego poczucia humoru. — W radiotelefonie odezwał się głos. Akira odpowiedział i znowu spojrzął na Dzikusa. — Kiedy skręcimy w lewo w następną ulicę, znajdziemy się o dwie przecznice za limuzyną.

— Przy takim ruchu nie będziemy jej widzieć — zauważył Dzikus.

— Uczniowie Taio-sensei trzymają się jej nadal. Kilku z nich jedzie w tym samym tempie równoległymi ulicami, uprzedzą nas więc, jeśli kierowca Shiraiego zmieni trasę.

Dalej przebijali się przez ruch uliczny kierując się na zachód, kierowani radiowymi meldunkami uczniów Taro. W miarę jak zapadał zmierzch, na ulicach robiło się coraz luźniej. Dotarli do autostrady, gdzie można było przyspieszyć, i naraz daleko w przodzie zobaczyli limuzynę, którą ochraniały dwa nissany, jeden z przodu, a drugi za nią. Akira przekazał przez radio podziękowania dla grupy pościgowej, nakazując większości uczniów powrót do domu Taro. Tylko paru z nich miało towarzyszyć im dalej w pogoni za Shiraim. Akira prowadził ostrożnie, dbając o to, aby pomiędzy kolumną a nimi stale znajdowało się kilka samochodów. Dzikus potarł obolałe ramię.

— Nie wiem, dokąd wybiera się Shirai, ale wygląda na to, że wkrótce wyjedzie poza miasto.

Akira wzruszył ramionami.

— W okolicy jest wiele innych miast.

— Trwa to już tak długo, że Shirai musi mieć chyba poważny powód, aby jechać tak daleko. — Dzikus zamyślił się, a potem dorzucił: — Ci ludzie na demonstracji... Nie wyobrażałem sobie, że Shirai ma tak wielkie poparcie.

Akira nie odrywał wzroku od celu pogoni.

— Nie daj się zwieść pozorom. Decydująca bitwa jest wciąż jeszcze przed nim.

Większość Japończyków nie zgadza się z Shiraim, chociaż jego wpływy rosną z dnia na dzień. Cud gospodarczy i związana z nim prosperity sprawiają, że moi rodacy z zapalem robią interesy z obcokrajowcami, przynajmniej dopóki przynoszą im one zyski. Ów „rozkład kulturalny”, który tak bardzo drażni Shiraiego, dla pokolenia Japończyków urodzonych po wojnie jest dowodem postępu cywilizacyjnego.

— To dlaczego te demonstracje mają tak wielki zasięg? — spytał Dzikus.

— Wielki? W porównaniu z czym? W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku setki tysięcy ludzi protestowało przeciwko odnowieniu paktu obronnego z Ameryką. Jeden z proamerykańskich polityków został wtedy publicznie zabity mieczem. Demonstranci żądali usunięcia wojsk amerykańskich z Japonii przede wszystkim dlatego, że nie życzyli sobie broni nuklearnej na naszym terytorium. Jak powiedział wczoraj wieczorem Taro, nigdy nie zapomnimy, że jesteśmy jedynym narodem na świecie, który doświadczył ataku atomowego. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku amerykański samolot zgubił bombę wodorową w pobliżu brzegów Japonii. Wasz rząd przyznał się do tego wypadku dopiero w osiemdziesiątym pierwszym roku, ale i tak utrzymywał, że bomba spadła pięćset mil od brzegu. To kłamstwo, albowiem w osiemdziesiątym dziewiątym stwierdziliśmy ostatecznie, że wypadek miał miejsce zaledwie o osiemdziesiąt mil od wybrzeża. Takie incydenty i niedomówienia tylko rozpalają stare antyamerykańskie urazy... Czy słyszałeś coś o Mishimie?

— Oczywiście — odpowiedział Dzikus.

Mishima był jednym z najbardziej znanych pisarzy japońskich. Zdaniem Dzikusa spośród pisarzy amerykańskich najbliższy mu był — zarówno pod względem osobowości jak i poruszanych tematów — Hemingway. Wyznawany przez Mishimę kodeks moralny przyciągnął do niego grupę zwolenników, która z czasem osiągnęła rozmiary małej prywatnej armii. Jej członkowie na specjalne okazje przywdziewali nieco przerobioną wersję japońskiego munduru wojskowego, którą zaprojektował sam Mishima. Ze względu na sławę i wpływy pisarza dowództwo jednej z baz japońskich Lądowych Sił Samoobrony zezwoliło, aby Mishima i jego ludzie ćwiczyli się na jej terenie w sztukach walki.

W 1970 roku Mishima wraz z garstką najbliższych towarzyszy przybył do owej bazy i poprosił o rozmowę z jej dowódcą, po czym wziął go w niewolę, opanował jego kwaterę i zażądał, aby wszyscy żołnierze z bazy zebrali się i wysłuchali jego przemówienia. W obawie o bezpieczeństwo zakładnika władze zgodziły się na żądania Mishimy. Jego mowa okazała się chaotycznym zlepkiem patetycznych sloganów, których treść dawała się sprowadzić do stwierdzenia, że Japonia jest w stanie upadku, że kraj musi odzyskać dawną czystość, aby umocnić swą wielkość i wrócić na drogę przeznaczenia, wytkniętą przez bogów. Był to wykład nacjonalistycznego militarysty, mającego wiele wspólnego z ideami głoszonymi



przez Armię Amaterasu Shiraiego. Zmuszeni do wysłuchania tyrady Mishimy żołnierze drwili i szydzili z niego.

Poniżony i znieważony Mishima wycofał się do biura dowódcy, wyjął z pochwy miecz, który nosił na znak związku z samurajską tradycją, przyklęknął i popełnił seppuku, otwierając sobie brzuch, ale wcześniej uprosił najbardziej oddanego towarzysza, aby stanął obok niego — również z mieczem w ręku — i dopełnił rytuału, odcinając mu głowę.

— Ten incydent wywołał burzliwe dyskusje — powiedział Aki-ra. — Wielu Japończyków podziwiała zasady i odwagę Mishimy, kwestionując jednak zarazem sens jego samobójstwa. Jakiemu celowi miało to służyć? Nie było społecznego nacisku, który by go do tego zmuszał. Czyż nie mógł znaleźć innego sposobu dla wyrażenia swojej rozpacz? A może rzeczywiście wierzył, że popełnienie seppuku skłoni innych do podjęcia jego idei?

Dzikus nie wiedział, co na to odrzec. Myślał o swoim ojcu, nie tym obcym, którego spotkał w Baltimore, ale o człowieku, którego zapamiętał z dzieciństwa, człowieku, którego tak kochał, i który pewnej nocy wsadził sobie kulę w głowę. O tak, częścią duszy Dzikus był w stanie głęboko współczuć desperacji Mishimy, ale jego wychowanie oparte było na amerykańskim systemie wartości, a w nim liczył się przede wszystkim pragmatyzm, przeżycie nawet za cenę wstydu, wytrwanie bez względu na ujmę na honorze.

Akira przerwał kłopotliwą ciszę:

— Mishima to przykład idealny, symbol. W dwadzieścia lat po śmierci jest wciąż pamiętany i szanowany, może więc rzeczywiście osiągnął swój cel. — Akira oderwał rękę od kierownicy, gestem podkreślając słowa. — Nie nastąpiło to natychmiast, jak się spodziewał, ale jednak nastąpiło. Musisz coś zrozumieć. W Japonii lewicowe demonstracje są dławione w zarodku. Uważa się je za komunistyczne, a komunizm budzi powszechną nienawiść. Nie wszyscy są równi, ale wszyscy tę nierówność akceptują. Społeczeństwo japońskie ma strukturę poziomą. Od shoguna do daimyo, od samuraja do... Szkieletem tego kraju jest hierarchia. Ale demonstracje prawicowe to inna sprawa. Władze tolerują je, występują one bowiem w obronie systemu kontroli ładu społecznego, w którym każdy element pasuje do innego: pan do sługi, mąż do żony, rodzice do dziecka, pracodawca do robotnika.

— Mówisz tak — Dzikus zmarszczył brwi — jakbyś się z tym zgadzał.

— Próbuję ci wyjaśnić, że choć prawica jest u nas w mniejszości, jest jednak bardzo silna, i to ona właśnie stanowi bazę zwolenników Shiraiego. W tym celu musi on oczywiście przekształcić umiarkowanych w ekstremistów, a tego, jak dotychczas, nie był w stanie dokonać. Większość Japończyków przypatruje się demonstracjom z zainteresowaniem, a nawet być może z sympatią, ale raczej bez specjalnego przekonania, że program Armii Amaterasu jest możliwy do zrealizowania.

— Na razie...

Akira wzruszył ramionami.

— Możemy starać się uczyć z historii, ale zawracanie jej biegu jest praktycznie niemożliwe. Mimo że nienawidzę „Czarnych okrętów” komandora Perry'ego i tego, co przyniosły memu krajowi, nie wierzę, żeby Sbirai mógł nas zawrócić do kulturowej czystości shogunatu Tokugawów. Trzeba by było jakiegoś katalizującego wydarzenia, bojowego okrzyku, ale dotychczas nie potrafił go znaleźć, podobnie jak Mishima.

— Nie można jednak powiedzieć, żeby nie szukał.

Akira przytaknął ze smutkiem w ciemnych oczach, które utkwiał w limuzynie Shiraiego. Słońce już zaszło i kolumna wylaniała się co chwila z mroku, oświetlona reflektorami mijających ją samochodów. Starał się trzymać jak najdalej z tyłu.

Dzikus nie widział żadnych oznak świadczących, iż ktokolwiek w kolumnie spostrzegł pościg.

— Nie odpowiedziałem na twoją wcześniejszą uwagę — odezwał się Akira. — Potępiam taktykę Shiraiego, ale szanuję jego przekonania. To człowiek, z którym normalnie bym się identyfikował... jednak okoliczności zmuszają mnie, abym traktował go jako potencjalnego wroga.

— A może on też jest ofiarą, jak my?

— Wkrótce się tego dowiemy. Być może jego koszmar wyjaśni w końcu nasze koszmary.

Kolumna samochodów zjechała z autostrady. Akira zwiększył dystans, jaki go dzielił od limuzyny. Od czasu do czasu mijały ich inne samochody, urozmaicając monotonię jazdy i utrudniając strażnikom Shiraiego zauważenie stale towarzyszącej im daleko w tyle pary świateł. Z jednej drogi skręcili w drugą, a potem w jeszcze jedną. Zupełnie jak w labiryncie, pomyślał Dzikus, czując, że traci poczucie kierunku. Miejska luna ustąpiła miejsca światełkom w oknach napotykanym od czasu do czasu wiosek. Zaniepokojony Dzikus wyjrzał przez boczne okna przy swoim tylnym siedzeniu. Otaczały ich jakieś, ledwo widoczne w ciemności, wielkie kształty.

— Czy to góry? — Robak strachu poruszył się w jego wnętrznościach.

— Wjeżdżamy na teren japońskich Alp — powiedział Akira. Dzikus zerkał na wznoszące się wokół górskie grzbiety z coraz

większym lękiem. Sprężył się cały, kiedy toyota przemknęła po wąskim moście, pod którym w szybko płynącej wodzie migotało światło księżyca. Wąwóz zakręcał ostro, wznosząc się w stronę porośniętych lasem ciemnych zboczy.

— Alpy...? — pytającym tonem powtórzył Dzikus.

— To nazwa trochę na wyrost. Nie przypominają wcale skalistych Alp europejskich, lecz raczej wysokie, choć łagodne wzgórza na wschodzie Stanów.

— Ale czy ty nie... Poczulem nagle... Mój Boże, zupełnie, jakbyśmy byli znowu w Pensylwanii. — Dzikus zadygotał. — Co prawda teraz jest październik, a nie kwiecień, i liście właśnie zaczynają opadać, ale drzewa wydają się tak samo nagie jak wtedy wiosną, kiedy...

— ...kiedy wieźliśmy Kamichiego do „Górskiego Ustronia” w Med-ford Gap?

— Co w rzeczywistości nie miało miejsca...

— Tak — odparł Akira. Dzikus zadrżał.

— Ja też to odczuwam... jakieś dziwne przekonanie, że już tu kiedyś byłem, chociaż wiem, że to nieprawda — powiedział ochryplym głosem Akira.

Toyota przejechała nad kolejnym wąwypem. Dzikusowi kręciło się w głowie, jego myśli wirowały.

Tym razem przeżywał wejama<sup>s</sup> vu, lecz de<sup>j</sup>a vu, a raczej połączenie obu wrażeń, przy czym jedno wzmacniało drugie. Czując, że robi mu się mdło od strachu, w przerażającym poczuciu nierzeczywistości przypatrywał się Akirze, człowiekowi, którego widział pozbawionego głowy.

Droga ustawicznie wznosiła się i opadała, wijąc się przez nieprawdopodobnie znajome zalesione góry.

Japonia i Pensylwania.

Shirai i Kamieni.

Fałszywe wspomnienia.

Widma.

Przerażenie Dzikusa narastało. W głębi duszy rozpaczliwie pragnął krzyknąć, aby Akira zawrócił. Instynkt samozachowawczy ostrzegał go, żeby zaprzestał poszukiwań, wrócił do Rachel, wycofał się i nauczył żyć ze swoim koszmarem, albowiem gdzieś w podświadomości odezwało się straszliwe przeczucie, że oczekuje go jeszcze gorszy koszmar.

Akira najwyraźniej czytał w jego myślach, a może po prostu dręczył go taki sam dławiący strach, gdyż naraz odezwał się:

— Nie. Zaszliśmy już za daleko, przeżyliśmy już zbyt wiele. Nie możemy się zatrzymać. Muszę wiedzieć. Nie mogę pozwolić, aby przez resztę mego życia dręczyły mnie zjawy.

Dzikus drgnął, przypominając sobie błysk ostrza, które odcięło Akirze głowę lecz w tym momencie inne uczucie wybuchnęło w jego sercu i potężną falą zmyło strach, i rozlało się po całym ciele.

To był zdumiewający gniew, wściekłość silniejsza od wszystkiego, co kiedykolwiek

odczuwał.

Nigdy jeszcze nie doświadczył podobnej furii. Grahamowi by się to nie podobało. Zawsze powtarzał, że należy unikać wzruszeń. To nie dla zawodowca, nie pozwala bowiem zachować obiektywizmu i prowadzi do błędów.

Ale nie tym razem, pomyślał Dzikus, teraz właśnie to uczucie uchroni mnie przed popełnieniem błędu. Będę je kontrolował. Użyję go, aby usunąć strach. Będę z niego czerpał siłę i wolę wytrwania.

— Masz rację — powiedział do Akiry. — Ktoś grzebał mi w pamięci... Chcę wiedzieć, kto i dlaczego, a ten ktoś, do diabła, zapłaci mi za to.

Minąwszy zakręt, Akira nagle wskazał coś palcem i nadepnął pedał hamulca. Droga przed nimi była niepokojąco ciemna. W oddali nie było widać żadnych tylnych świateł. Dzikusowi ciarki przebiegły po plecach.

Kolumna samochodów zniknęła. Dzikus wyciągnął beretkę.

— To pułapka. Zorientowali się, że są śledzeni.

— Niemożliwe. Byłem bardzo ostrożny.

— Ale przez ostatnie dziesięć minut za ich plecami były tylko nasze reflektory. Może postanowili sprawdzić — ot tak, dla zasady. Zjechali na bok, wyłączyli światła i teraz czekają. Kiedy będziemy przejeżdżać obok, eskortujące wozy spróbują wziąć nas w dwa ognie, zmuszą do zjechania na pobocze i sprawdzą.

Akira patrzył w ciemności poza zasięgiem świateł toyoty.

— Jeśli twoje domysły są słuszne, teraz są już pewni, że byli obserwowani, ponieważ zatrzymaliśmy się, kiedy tylko ich tylne światła zniknęły.

Dzikus opuścił szybę.

— Wyłącz silnik.

Akira zrobił to bez protestu, bo i tak wiedział, co Dzikus zamierza. W zapadłej nagle ciszy Dzikus nasłuchiwał dźwięków na drodze. Spodziewał się warkotu silników, chrzęstu kroków, skradających się po żwirze na poboczu, lub szelestu w krzakach okalających drogę, ale słyszał tylko naturalne odgłosy nocnego lasu — cykanie świerszczy, krótki trzepot ptasich skrzydeł, skrzypienie gałęzi poruszanych łagodnym wiatrem.

— Zgaszę światła — powiedział Akira. — Nie warto robić z siebie widocznego celu.

Chmura przesłoniła księżyc i ciemność przed nimi stała się absolutna.

Dzikusowi zaschło w ustach z niepokoju. Zacisnął dłoń na pistolecie.

— Nawet przy zgaszonych światłach wiedzą, gdzie jesteśmy.

— Jeśli na nas czekają — odrzekł Akira.

— Musimy to zakładać, a ponieważ mają broń, może im przyjść do głowy ostrzelać ten odcinek drogi.

— To nieprofesjonalne.

— Ale w ten sposób mogą odwrócić naszą uwagę, dając okazję któremuś ze swoich ludzi, by podczołgał się do nas przez las i opróżnił magazynek pistoletu przez to otwarte okno.

Akira włączył silnik, wrzucił wsteczny bieg i zaczął się cofać do początku zakrętu. Nie mógł nic poradzić na to, że kiedy hamował, zapaliły się światła stopu, ale w tym momencie toyota znajdowała się już prawdopodobnie poza zasięgiem wzroku potencjalnych wrogów, a światła pozwoliły Akirze ocenić miejsce, w którym zamierzał zaparkować. Wyłączył silnik i zdjął stopę z pedału hamulca, gasząc tym samym światła. Ponownie otoczyła ich ciemność.

— Być może przesadzamy z ostrożnością — powiedział Akira. — Utrzymywałem rozsądny dystans od kolumny. Być może oni wysforowali się tak daleko w przód, że byli już za następnym zakrętem na tej drodze, kiedy my dopiero wyjeżdżaliśmy z pierwszego. To by tłumaczyło, dlaczego nie widzieliśmy ich świateł.

— Tak. — Dzikus mówił głosem zduszonym z napięcia. — To możliwe. Ale problem w

tym, czy chciałbyś podjąć ryzyko dalszego ich ścigania, jeżeli jest prawdopodobne, że oni gdzieś na drodze zastawili pułapkę?

— Nie potrafię ci na to tak od razu odpowiedzieć... — Akira bębnił palcami w kierownicę. Pokiwał w zadumie głową, po czym nagle wziął walkie-talkie do ręki i powiedział parę słów po japońsku. W chwilę później nadeszła zniekształcona przez trzaski odpowiedź. Góry najwyraźniej utrudniały propagację fal radiowych. Akira skoncentrował się, powiedział parę słów, wysłuchał skrzekliwej odpowiedzi, dodał coś jeszcze i odłożył radiotelefon, po czym odwrócił się do Dzikusa.

— Oni nam wskażą, co mamy robić.

— Im wcześniej, tym lepiej — odrzekł Dzikus.

Dwie godziny temu, kiedy Akira nakazał większości uczniów Taro powrót do Tokio po zakończeniu inwigilacji, dwóch z nich poprosiło, aby ich nie odsyłano — na wypadek, gdyby nastąpiły jakieś komplikacje.

Uzgodnili między sobą, że obaj uczniowie Taro mają na swoich motocyklach odłączyć się od Dzikusa i Akiry i jadąc szybko naprzód wyminąć limuzynę Shiraiego i jej eskortę, a potem odjechać jeszcze dalej i utrzymywać ten dystans, tak aby nikt nie mógł domyślić się, że są obserwatorami. Ale teraz Akira nakazał im, aby się zatrzymali i zawrócili, starając się sprawdzić po drodze, czy kolumna samochodów jest wciąż jeszcze na szosie, i czy rzeczywiście aż tak wyprzedziła toyotę Dzikusa i Akiry.

Dwaj motocykliści mogli oczywiście obudzić czujność w strażnikach, mijając ich po raz drugi w przeciwnym kierunku. Co gorsza, mogli również wpaść w pułapkę, której istnienie na odcinku drogi bezpośrednio za zakrętem podejrzewał Dzikus.

Obawy Dzikusa zmalały nieco, gdy przypomniał sobie, że motocykl ma liczne zalety, jest bowiem szybki i zwrotny, a ponadto stanowi niewielki, a więc trudny do trafienia cel. W razie jakichś trudności obaj uczniowie Taro powinni mieć szansę, aby wymknąć się napastnikom i uciec przed nimi, jeśli wygaszą światła swoich motocykli.

Niemniej jednak podziwiał ich odwagę i zdawał sobie sprawę, jak wiele im zawdzięcza, modlił się więc w duchu, aby nic im się nie przydarzyło, i zarazem przeklinał okoliczności, które zmusiły go, by ryzykował ich życie.

Ale czy jest jakaś alternatywa?

Nie ma żadnej.

Przełknął gorycz i otworzył drzwi samochodu.

— Skoro czekamy...

Akira również otworzył przednie drzwi.

— W lesie będzie znacznie bezpieczniej niż w samochodzie. Kiedy wyszli na zewnątrz, obaj cicho zamknęli drzwi.

Jak gdyby czytając nawzajem swoje myśli, obaj przykucnęli, po czym popełzli przez rów i zniknęli w krzakach. Czekali tam w ciszy, wyciążając słuch. Dzikus kurczowo ścisnął w dłoni pistolet.

Zza zakrętu dobiegło brzęczące echo. Dzikus uniósł głowę. Brzęczenie przeszło w warkot. To były motocykle. Dzikus aż zdrętwiał, bojąc się, że za chwilę usłyszy strzały, pisk opon, zgrzyt dartego metalu i głuchy łomot ciał uderzających o beton. Warkot jednak trwał nieprzerwanie, stając się coraz bliższy i głośniejszy.

Zaraz dojadą do zakrętu! Zgięty wpool, Dzikus wybiegł z lasu w stronę drogi, Akira natomiast rzucił parę instrukcji do radiotelefonu, który wziął ze sobą z samochodu. Kiedy Dzikus dopadł toyoty, otworzył przednie drzwi i nacisnął przełącznik światel, raz i drugi.

Przekonawszy się, że błyski rozświetlające drzewa po drugiej stronie zakrętu muszą być widoczne dla każdego nadjeżdżającego, Dzikus przycupnął za toyotą, trzymając berettę w pogotowiu na wypadek, gdyby to była nowa pułapka.

Zza zakrętu ukazały się dwa motocykle. Kiedy światło ich reflektorów wydobyło toyotę z ciemności, jeźdźcy zahamowali gwałtownie i zatrzymali się za samochodem, pozostawiając

silniki na jałowym biegu. Dzikus przezornie nie wychylał się zza toyoty. Motocykliści wyłączyli silniki, ale nie zgasili reflektorów, skierowanych w stronę krzaków. Odbitego światła było wystarczająco dużo, aby Dzikus mógł widzieć dwóch młodych mężczyzn na motocyklach, lecz pleksiglasowe wizjery w hełmach nie pozwalały dostrzec ich twarzy. Dzikus zresztą i tak nie byłby w stanie ich rozpoznać, pierwszy i jedyny raz bowiem, kiedy ich spotkał, to znaczy poprzedniej nocy u Taro w jego dojo, mieli na twarzach maski.

Kiedy młodzieńcy zdjęli hełmy, odsłaniając okryte cieniem twarze, spod osłony przydrożnych krzaków odezwał się do nich Akira. Jeden z nich odpowiedział i wtedy Akira wyszedł na otwartą przestrzeń.

— W porządku, to nasi — powiedział do Dzikusa.

Dzikus opuścił pistolet, a motocykliści zgasili światła.

Akira podszedł bliżej i zaczął z nimi rozmawiać. Wysłuchawszy ich odpowiedzi, zwrócił się do Dzikusa:— Kiedy jechali z powrotem, nigdzie nie napotkali kolumny Shiraiego.

Dzikus zeszywniał.

— A więc mieliśmy rację. Kolumna stanęła gdzieś na drodze za tym zakrętem. Strażnicy Shiraiego zaczęli podejrzewać, że są śledzeni, i zastawili pułapkę. Mogą już mieć dość czekania i być może właśnie teraz podkradają się do nas. Musimy...

— Nie. — W głosie Akiry słychać było konsternację. — Chłopcy wypatrywali również samochodów zaparkowanych przy drodze, szczególnie w pobliżu tego zakrętu, ale pobocza były puste.

— Jak to? To niemożliwe. Ludzie Shiraiego musieli znaleźć jakąś kryjówkę dla samochodów, jeśli uczniowie Taro je przegapili.

— Zapewniają mnie, że byli bardzo uważni. Są pewni tego, co mówią. Nie ma żadnych samochodów ukrytych przy drodze.

— Nie mogły po prostu zniknąć. Gdzieś musiały się podziać — powiedział Dzikus. — Nie chcę urazić ludzi Taro, ale nie mamy wyboru — musimy sprawdzić sami.

Skulił się i przebiegł przez drogę, a tuż za nim Akira. Trzymając się blisko krzaków, minęli zakręt i pobiegli dalej drogą, gotowi w każdej chwili dać nurka pod osłonę lasu.

Im dalej jednak się posuwali, tym bardziej Dzikus utwierdzał się w przekonaniu, że uczniowie Taro mieli rację — a kiedy dotarli do następnego zakrętu, był już tego pewien. Kolumna nie była ukryta na tym odcinku drogi.

Ale w takim razie co, u diabła...

Z takim natężeniem skupiał uwagę na przeciwnym skraju szosy, że sam nie wiedział, co sprawiło, iż spojrzawszy w górę. Być może to jego podświadomość zarejestrowała dziwny szczegół na granicy pola widzenia i przesłała sygnał ostrzegawczy. Zresztą nieważne z jakiego powodu, dość, że podniósł wzrok na wzgórze za drogą i przebiegł go dreszcz: wysoko na zboczu dostrzegł niewielką plamę światła reflektorów samochodowych. Były ich trzy pary, tak pomniejszone przez odległość, że przypominały latarki kieszonkowe. Skręcając to w prawo, to w lewo, wznosiły się coraz wyżej, gasnąc stopniowo. — Jezu!

Akira poszedł za wzrokiem Dzikusa, a to, co mruknął pod nosem, nie wymagało przekładu — było z pewnością japońskim przekleństwem.

Natychmiast obaj przebiegli przez drogę. Zawsze istniała możliwość, że kolumna pozostawiła za sobą grupę strażników, że odległe światła w górze miały być przynętą, mającą ich zmusić do pośpiechu i zwabić w zasadzkę. Dzikus nie przestawał więc mierzyć z pistoletu w mrok, gotów do strzału przy najmniejszym podejrzanym ruchu.

Zamiast wypadających na nich z lasu strażników napotkali jednak tylko wąską gruntową drogę, która odchodziła od szosy mniej więcej w połowie jej zbadanego odcinka. Droga była obrośnięta po obu stronach gęstymi krzakami, a jej wylot był doskonale zamaskowany i wyglądał tak naturalnie, że zlewał się z otoczeniem. Dzikus popatrzył nachmurzony w ciemność poza drogą, a potem podniósł wzrok ku szczytowi góry, choć z tej perspektywy drzewa nie pozwalały mu dostrzec słabego, widmowego światła reflektorów.

— Niech to diabli, z pewnością nie jadą na wycieczkę — powiedział wzburzony.

— Najprawdopodobniej na jakieś spotkanie, i to tak ważne, że wymagało ustronnego

miejsca i kompletnej tajności.

— W samym środku głuszy? W nocy, w lesie na szczycie góry? Nawet ja nie jestem takim wariatem — odrzekł Dzikus. — Shirai jest zbyt zajęty, aby jechać tak daleko i marnować tyle czasu na spotkanie, które bez trudu mógłby urządzić znacznie bliżej, w równie bezpiecznych i na pewno mniej prymitywnych warunkach. A jeśli zechce sobie ulżyć? Jakoś nie wyobrażam sobie tego faceta siusiającego pod drzewem... a poza tym ta długa podróż powrotna do Tokio. Nawet jeśli zdołałby zasnąć w samochodzie, i tak byłby zmęczony.

— Ale ta droga... — powiedział Akira.

— Musi dokądś prowadzić. Nikt by jej nie oczyszczał i nie maskował jej wylotu tylko po to, aby umożliwić podziwianie widoku ze szczytu.

— Coś tam pewnie jest na górze.

— Dom — powiedział Dzikus.

— To jedyne wytłumaczenie, jakie mi przychodzi do głowy. — Akira podświetlił tarczę swojego zegarka. — Którą to mamy? Trochę po jedenastej. A więc Shirai planuje spędzić noc tam na górze.

Dzikus poczuł tętnienie pulsu.

Obaj mężczyźni skoczyli przed siebie, jakby poczuli uderzenie prądu, i pobiegli szosą w stronę zakrętu, za którym dwaj motocykliści stali na straży, oczekując ewentualnego ataku tropiących toyotę gangsterów.

Choć Dzikus spływał potem z wysiłku, wstrząsały nim zarazem dreszcze, ale ich przyczyną nie były wilgoć i chłód październikowej górskiej nocy, lecz uczucie déjà vu, które znów mąciło jego myśli.

— Parę minut po jedenastej? Czy to nie o tej godzinie dojeżdżaliśmy do...

— ...„Górskiego Ustronia” w Medford Gap — powiedział biegnący ramię w ramię z nim Akira. — To przecież nieprawda. Myśmy nigdy...

— ...tam nie byli — wydyszał Dzikus.

— Ale pamiętam to tak...

— ...jakby to było dzisiaj. — Dzikus przyspieszył. Ze strachu i wściekłości serce biło mu tak mocno, że aż robiło mu się niedobrze. — Ale to się dzieje...

— ...znowu. — Akira też zwiększył tempo.

W myślach Dzikusa rodziło się jakieś przecucie.

— Tej nocy... — rzucił Akira.

— ...dowiemy się, dlaczego.

Wybiegli zza zakrętu i ruszyli wprost do toyoty. Z krzaków wynurzyli się dwaj motocykliści, którym Akira rzucił jakieś polecenie, otwierając bagażnik samochodu. Światło w jego wnętrzu ukazało Dzikusowi dwa plecaki. Kiedy w Tokio Taro załatwił dla nich ten samochód, Akira powiedział, że jego mistrz zawsze dba o to, by pojazd używany do inwigilacji wyposażony był w „zestawy pierwszej potrzeby”, na które składa się broń, detektory mikrofal, podczerwieni i prądu elektrycznego, służące do ostrzegania przed czujnikami antywłamaniowymi, czarny ubiór i tubki maści maskującej.

— Czy powinniśmy iść drogą? — Dzikus pospiesznie naciągał na ubranie czarny, podobny do pizamy kombinezon.

— Musimy zakładać, że droga może być pod obserwacją — odpowiedział Akira.

— Tak. — Dzikus pokrył twarz i dłonie maścią maskującą. — Ta droga jest zbyt kusząca i za łatwa. Bylibyśmy na otwartej przestrzeni. Idealna pułapka. Musimy to wykonać trudniejszym sposobem.

— A czy kiedykolwiek istniał jakiś łatwy sposób? — Akira sprawdzał pistolet, który wyjął z plecaka.

— Nic mi o tym nie wiadomo. W górę, prawda? Wspinamy się na szczyt?

Akira skontrolował magazynek pistoletu.

— Tak, w górę. Będziemy się wspinać. Dasz radę?

— Czy to znaczy, że chcesz się ścigać? Ile stawiasz? Akira odciągnął zamek, aby

wprowadzić nabój do komory.

— Nasze życie.

— W takim razie, choć wiem, że mógłbym cię przegonić, proponuję być ostrożnym.

— Hai. — Akira schował pistolet do kabury, którą zawiesił przy pasie kombinezonu.

— Gotów? — spytał Dzikus.

— Jeszcze nie. — Akira odwrócił się do uczniów Taro i coś do nich powiedział po japońsku.

Dzikus czekał cierpliwie:

Uczniowie odpowiedzieli i Akira skinął głową.

— O co chodzi? — spytał Dzikus.

— Powiedziałem im, żeby czekali — odrzekł Akira. — Najpierw jednak, w czasie naszej wspinaczki, jeden z nich ma odprowadzić toyotę do najbliższej wsi i tam ją zaparkować na wypadek, gdyby ludzie Shiraiego zechcieli sprawdzić szosę w pobliżu wylotu tej drogi. Drugi uczeń pojedzie za nim na motorze, a potem zabierze pierwszego, wróć tu i gdzieś się ukryj. Jeżeli nie powrócimy do jutra wieczorem, mają zawiadomić Tam.

— A Taro nas pomści — dopowiedział Dzikus.

— To mój sensei. Zastępuje mi ojca. Jeśli umrę — Akira przełknął ślinę — zniszczy mojego zabójcę, kimkolwiek by był.

— Dostyc. Ani słowa więcej o śmierci. Najtrudniejsza sprawa to wspinaczka. A potem może wreszcie nastąpi koniec naszego wspólnego - koszmaru.

Dzikus zarzucił plecak na ramiona. Przez chwilę znowu miał dziwne uczucie, że już tu kiedyś był, ale teraz skojarzyło mu się to nie z „Górskim Ustroniem” w Medford Gap, lecz z przygotowaniami do wejścia na teren posiadłości męża Rachel. Przeszedł go dreszcz, gdy uświadomił sobie, że wszystko wraca do swych początków, a potem znowu pojawił się gniew. Od miesięcy czuł się jakby zamknięty w labiryncie, takim jak na Mykonos, tyle że był to labirynt jego własnej udręczonej duszy — i dziś musiał znaleźć z niego wyjście.

Wkroczyli w głąb lasu. Chmury przesunęły się, odsłaniając księżyc, który dawał wystarczająco dużo światła. Dzikus i Akira nie potrzebowali go jednak, obaj bowiem założyli podczerwone okulary i oświetlali drogę emitującymi podczerwień latarkami. Niewidoczne dla nie uzbrojonego oka promienie dawały dostrzegalną przez okulary zielonkawą poświatę wokół drzew, w większości pozbawionych już liści kasztanów, klonów i dębów, do złudzenia przypominających las porastający góry Pensylwanii. Kiedy wspięli się wyżej, Dzikus zobaczył sosny. Ich żywiczny aromat przywodził mu na myśl terpen-

377

tynę, ale nad wszystkim panował zapach wilgotnego, gąbczastego gruntu pod stopami i ostro, drażniący zapach gliny.

Grunt był miękki, pokryty opadłym listowiem i sosnowymi igłami, ale chociaż szło się po nim przyjemnie, nie można było iść cicho, dlatego też Dzikus, gdzie tylko to było możliwe, starał się stąpać po złomach skalnych. Łagodne początkowo zbocze wkrótce stało się strome i Dzikus poczuł, jak plecak swoim ciężarem wrzyna mu się w ramiona. Prawe ramię, to, które zostało uderzone pałką, nie przestawało go boleć. Obawiał się, że jego sztywność i bolesność mogłyby być przeszkodą w ewentualnej walce, zatrzymał się więc na chwilę, aby łyknąć kilka pastylek, których flakonik dał mu Taro. Idąc czuł strumyk potu spływający po plecach, a jednocześnie widział buchające z ust obłoczki pary, skraplające się w chłodnym nocnym powietrzu.

Akira szedł pierwszy. W pewnej chwili wyszli spomiędzy drzew i znaleźli się na trawiastym tarasie, który szybko przecięli, osiągając następny zalesiony stok. Tym razem droga była trudniejsza, grunt bardziej stromy, usłany głazami i zwalonymi drzewami, które hamowały ich marsz. Ponieważ nie mieli kompasów ani mapy, musieli często przystawać i wynajdywać luki między drzewami, przez które byłby widoczny szczyt góry, aby dokonać

korekty kierunku. Okolice stawała się coraz bardziej dzika. Przechodzili w bród lodowate strumienie, przekraczali ostre jak brzytwa żebra skalne, wspinali się na strome urwiska, aż wreszcie przyszedł moment, że musieli odpocząć.

Szczyt góry wznosił się nad nimi wyraźnym garbem, rysującym się na tle coraz bardziej zachmurzonego, bezgwiezdnego nieba. Dzikus zdjął podczerwone okulary, aby otrzeć pot z czoła, i wydało mu się, że księżyc świeci niewytłumaczalnie jasno. Szczyt otaczała jakaś poświata. Zmarszczył na ten widok czoło, lecz naraz wzdrygnął się cały, zrozumiał bowiem, że to nie blask księżyca ją powoduje. Tam na szczycie musiały być jakieś sztuczne źródła światła. Mieliśmy rację, pomyślał Dzikus, na wierzchołku jest jakiś budynek.

Akira też to zauważył. Wskazał w górę, gotów do dalszej drogi. Dzikus szczerze żałował, że w dostarczonym przez Taro wyposażeniu nie było mocnych butów na protektorach, ale ktoś mógł przewidzieć, że trafią w góry; miasto wydawało się bardziej prawdopodobnym terenem ich działania. W każdym razie jego półbuty nie nadawały się do takiej drogi. Ich gładkie skórzane podeszwy często ześlizgiwały się ze skał i Dzikus musiał stawiać każdy krok z najwyższą ostrożnością.

Wydeptany przez zwierzyńcę szlak pozwolił im na szybszy marsz przez gęsty las w górę zbocza, ale ścieżka skończyła się niespodziewanie i znowu musieli się przedzierać przez poszycie.

Pod czarnym kombinezonem jego własne ubranie lepilo się do skóry, przesiąknięte potem, ale po długiej jeździe samochodem mięśniom Dzikusa potrzebny był wysiłek. Pomyślał, że ta wspinaczka wydawałaby mu się spacerkiem po zakończeniu „piekielnego tygodnia”, próby kończącej szkolenie w SEAL. Parł do góry jak maszyna — pragnienie, aby osiągnąć cel, desperackie dążenie do uzyskania odpowiedzi kończących koszmar, dawało mu niespożyte siły.

Zatrzymali się znowu, lecz tym razem nie na odpoczynek, tylko po to, aby zdjąć plecaki i przygotować sprzęt wykrywający instalację alarmową. Dzikus zauważył z aprobatą, że otrzymane od Taro woltomierze i czujniki mikrofal zamiast świecących skał — łatwego celu dla każdego snajpera — były wyposażone w słuchawki. Jeżeli natkną się na urządzenie emitujące mikrofały lub pole elektryczne, cichy ostrzegawczy pisk w słuchawkach nie zdradzi ich pozycji wartownikom. Pomimo zadowolenia z profesjonalizmu Taro czuł się jednak zaniepokojony, ten sprzęt za bardzo przypominał mu jego własne wyposażenie, którego używał, przekradając się na teren posiadłości męża Rachel. Miał wrażenie, jakby był już tu kiedyś, jakby przeszedł to wszystko wcześniej. Chmury zgęstniały i po lesie niósł się teraz szmer deszczu, również dziwnie przypominający mu burzę, pod której osłoną uwalniał Rachel. Owładnęły nim wspomnienia, prawdziwe i fałszywe, ujrzał posiadłość na Mykonos i „Górskie Ustronie” w Medford Gap. Zadrżał i rzucił ponure spojrzenie na blask dochodzący ze szczytu.

Najwyższy czas, pomyślał, aby wymazać przeszłość. Do diabła z nią. Ważna jest teraźniejszość. I przyszłość. Rachel. W gwałtownym przypiływie zdecydowania zarzucił plecak na ramiona i poprawił słuchawkę detektora mikrofal. Akira zrobił to samo ze słuchawką czujnika napięcia. Dzikus przyjrzał mu się przez podczerwone okulary w świetle latarki. Otoczony zieloną poświatą Akira napiął mięśnie szczęk.

Dzikus skinieniem głowy potwierdził, że rozumie.

Ruszyli w górę.

Dalsza wspinaczka zabrała im dwie godziny. Dotarli w końcu do polany znajdującej się jakieś sto metrów poniżej celu, ale teraz pośpiech musiała zastąpić ostrożność. Nie dyskutowali na ten temat — obaj wiedzieli, że teraz przyszedł czas na skradanie się, na staranne sprawdzanie każdej przeszkody. Dom na szczycie góry niewątpliwie otaczała bariera czujników. Należało się również spodziewać patroli, być może nawet z psami.

Z mięśniami stwardniałymi od napięcia Dzikus szedł samym skrajem polany,



wyciągając przed siebie lewą rękę z detektorem mikrofal i przytrzymując się drzew, aby nie stąpnąć na odkrytą, porośniętą tylko trawą powierzchnię. Deszcz był coraz gęstszy i zimniejszy. Akira skradał się tuż za nim, stąpając po jego śladach i wystawiając daleko czujnik, gotów jak Dzikus w każdej chwili podnieść rękę na znak ostrzeżenia, gdyby usłyszał pisk w słuchawce.

Łuna bijąca ze szczytu wzmagiała się. Dzikus obserwował drzewa przez podczerwone okulary, omiatając las światłem latarki w poszukiwaniu ukrytych kamer telewizyjnych. Kiedy dotarł do płotu z siatki, który przypominał mu ogrodzenie domu na Mykonos, poczuł się skazany na powtórkę z przeszłości.

Na słupach płotu nie było żadnych skrzynek, drutów ani czujników drgań. Dzikus wdrapał się na siatkę i wylądował po drugiej stronie niemal jednocześnie z Akirą. Mimo wzmagającego się deszczu ruszyli ostrożnie dalej.

Dzikus niespodzianie uświadomił sobie, że wie, co ich czeka dalej, i nabrał jeszcze gorszych przeczuc. Miał rację. Pomiędzy drzewami było już widać następną przeszkodę — kolejny płot, tym razem jednak na jego słupach były skrzynki połączone ze sobą drutami. Taki sam układ, jak na Mykonos, pomyślał Dzikus. Ten, kto projektował zabezpieczenia dla męża Rachel, zrobił je również dla Shiraiego. Czy Shirai i Papadropolis wiedzą o sobie nawzajem? A może to tylko przypadek?

Nie, nie ma żadnych przypadków, myślał. Wszystko się łączy. Mykonos i Medford Gap, Kamichi, Shirai i Papadropolis.

Deja vu i fałszywe wspomnienia. Sądziliśmy, że jesteśmy wolni, ale każdy nasz ruch był kontrolowany i przewidziany.

Jesteśmy jak szczury w labiryncie.

Tu, na szczycie tej góry, to, co przypomina posiadłość męża Rachel i Medford Gap...

Dzikus wyciągnął rękę do Akiry, zamierzając pociągnąć go za sobą w dół zbocza. Chciał mu powiedzieć: „Musimy stąd uciekać. To pułapka. Tego właśnie chce Shirai. Zostaliśmy tutaj zwabieni. To...”

Akira wyczuł ruch Dzikusa i uchylił się. Wyraz niezrozumienia w jego oczach widać było nawet przez okulary. Rozłożył ręce, jakby chciał zapytać: „O co chodzi?”

Dzikus nie mógł się odezwać, nie ryzykując ujawnienia ich pozycji, w nerwowym pośpiechu wymachiwał więc rękami, starając się gestami wytłumaczyć, że muszą się wycofać.

Akira znowu rozłożył ręce i potrząsnął głową na znak, że nic nie rozumie.

Dzikus wyszeptał ochryple:

— Musimy się stąd wynosić. — Nagle usłyszał dobiegające zza płotu strzały i zamarł.

Grzechot broni automatycznej, trzaski pistoletów, huk strzelb, krzyki i jęki ludzkie.

Dzikus obrócił się w tył. Strzały i wrzaski nie ustawały. Rzucił się do płotu. Shirai został zaatakowany, przebiegło mu przez myśl, jeśli zginie, jeżeli nie dotrzemy tam na czas, aby go uratować, nigdy się nie dowiemy...

Jeszcze jeden strzał z pistoletu, jazgot pojedynczej broni maszynowej i nowe krzyki.

Kiedy Dzikus już miał dotknąć płotu, nagle zobaczył, że na słupie wisi skrzynka czujnika drgań — ale podłączone do niej przewody były przecięte. Ktoś już tu był przed nami, pomyślał. Grupa szturmowa. Musimy...

Skoczył, zawisł w połowie płotu, po czym podciągnął się i wspiął w górę. Przez szum deszczu i brzęk ogniwi siatki słyszał, jak Akira wspina się za nim. Zeskoczyli na ziemię, przeturlali się parę razy i natychmiast podnieśli na nogi. Z pistoletem w wyciągniętej ręce Dzikus rzucił się przed siebie, ku strzałom i krzykom.

I wtedy wokół zapadła nagle śmiertelna cisza.

Była to paraliżująca cisza cisza. Wydawało się, że czas stanął.

Dzikus i Akira natychmiast padli w błoto i dbając, aby nie zanieczyścić broni, poczołgali się na brzuchach w stronę poświaty promieniującej ze szczytu wzgórza.

To ostatnie podejście wiodło przez odkryty teren, znów przypominając Dzikusowi zbocze, którym podchodził do domu męża Rachel. Domyślał się, że następną przeszkodą, na jaką się natkna, będzie rodzaj niewidzialnego płotu, szereg słupów przekazujących wiązkę mikrofal i włączających system alarmowy, jeśli jakiś intruz je przeciął. Nawet z detektorem mikrofal trzeba było się sporo natrudzić, by znaleźć przejście przez tę zaporę. Dzikus doświadczył tego na Mykonos, poczuł więc ciarki na plecach, gdy czołgając się przez błoto i oświetlając sobie drogę podczerwoną latarką, rzeczywiście ujrzał takie właśnie słupy.

Ciszę przerwał pojedynczy strzał gdzieś w górze. Dzikus zamarł, celując z beretty na lewo od szczytu, skąd dobiegł go odgłos wystrzału. Plecy miał przemoczone deszczem, a całą pierś unurzaną w błocie. Wpatrywał się przed siebie przez okulary, nasłuchując jednocześnie w napięciu, czy ktoś się nie podkrada ku nim z przeciwka.

Zamiast tego jednak spoza krawędzi wierzchołka dał się słyszeć trzask zamykanych drzwiczek samochodu i warkot uruchamianego silnika — jednego, a potem drugiego. Po chwili warkot przybrał na sile; dołączył do niego odgłos opon, skrzypiących na żwirze i mlaszczących w błocie.

Akira szturchnął Dzikusa i wskazał ręką w lewo. W oddali rozbłysły światła reflektorów, skrząc się w kroplach deszczu, i ruszyły w dół drogą ze szczytu. Przez chwilę mignęły im niewyraźne sylwetki dwóch samochodów pędzących w stronę doliny, i zniknęły pomiędzy drzewami. Warkot silników szybko przycichał, tłumiony przez deszcz i las. Po trzydziestu sekundach Dzikus nie słyszał już nawet najłżejszego pomruku.

Powoli podniósł się na czworaka, cały ociekając błotem. Zbliżył się ostrożnie do szeregu słupów, nasłuchując uważnie reakcji detektora, ale w słuchawce nie rozległ się żaden dźwięk.

Zmarszczył brwi i zawahał się. Czy naprawdę można było założyć, że ten system nie działa?

A co to właściwie za różnica, uświadomił sobie naraz. Kto zareaguje na sygnał alarmowy? Nikt nie strzelał do odjeżdżających samochodów. Grupa szturmowa wykonała swoje zadanie. Ostatni strzał przed jej odjazdem to zapewne *coup de grace*. Na górze wszyscy są martwi.

Przeszedł pomiędzy słupami i ramię w ramię z Akirą, trzymając pistolet w pogotowiu, pobrnął w górę smaganego deszczem zbocza. Dopiero przed samym wierzchołkiem ponownie opadł w błoto i podczołgał się ostatnie parę metrów, by ponad krawędzią spojrzeć na lunę światła.

Obraz, jaki ujrzał, był tak zdumiewający, że serce mu na chwilę zamarło. Obok siebie usłyszał głębokie westchnienie Akiry. To było wstrząsające. Wspinaczka na tę górę i przekraczanie kolejnych linii zabezpieczeń niepokojąco przypominały Dzikusowi posiadłość Papadropolisa na Mykonos, teraz jednak poczuł się obezwładniony straszliwymi wspomnieniami związanymi z innym budynkiem. Z przerażenia nie mógł złapać tchu. Zdjął okulary i przejęty grozą wpatrywał się w „Góskie Ustronie” w Medford Gap — a raczej w jego cudaczną japońską replikę.

Był to wielki obiekt, oszalałmijąco długi, ciągnął się bowiem dobre dwieście metrów. Wokół płonęły lampy łukowe, a przez zasłonę deszczu widać było światło w każdym oknie. Centralna część budynku wznosiła się na pięć pięter. Wszystkie okolone były balustradami osłoniętymi pochyłym, wywiniętym na brzegach dachem. Z lewej i prawej strony dołączone były skrzydła, składające się z budynków o różnych wysokościach, zbudowanych w odmiennych stylach. Tradycyjny, pokryty strzechą japoński dom wiejski sąsiedował tu z czymś, co przypominało świątynię, a ceremonialny pawilon herbaciany wspierał się o drewnianą pagodę.

Dzikus potrząsnął głową, usiłując przemóc oszołomienie, które mroczyło jego myśli. Przeznaczenia większości fragmentów tego budynku nie mógł rozpoznać, jednego wszakże

był pewien — wszystkie łączył pewien wspólny mianownik. Cała ta surrealistyczna budowla odzwierciedlała poszczególne fazy rozwoju japońskiej architektury, będąc jej szczególnym pomnikiem.

Przytłoczony tym widokiem, odwrócił wzrok, zmrużył oczy oślepione blaskiem łukowych lamp i poczuł, jak ogarnia go jeszcze większa groza, a czoło marszczy się aż do bólu na widok trawnika zasłanego trupami.

Sami mężczyźni, jedni w garniturach, inni w tradycyjnych strojach adeptów japońskich sztuk walki. Każdy miał krwawą plamę na piersi albo na plecach — zależnie od pozycji, jaką w agonii zajęło ciało, zanim upadło na ziemię.

Doliczył się dziesięciu, samych Japończyków. Obok każdego z nich leżał pistolet lub automat.

Wszystkie ciała spoczywały w bezruchu. Dzikus poczuł we wnętrznościach przeszywający ból.

Pomimo deszczu smród prochu wciąż wisiał w powietrzu. Towarzyszył mu jeszcze inny zapach, który nabrał mocy, gdy Dzikus wstał i niepewnym krokiem zbliżył się do pobojuwiska. Był to smród gazów, wydostających się z trzewi pomordowanych, opróżnionych w śmiertelnych skurczach. Dzikus czuł w ustach metaliczny posmak krwi.

Akira spojrzał ponuro na porozrzucane w nieładzie ciała.

— Ci w garniturach — powiedział — to strażnicy. Kiedy rozpoczęła się strzelanina, wybiegli na spotkanie atakującym. Reszta, ci ubrani w gi, to karatecy, zapewne wybiegli z budynku, zamierzając iść tamtym z odsieczą.

— I wszyscy zostali wzięci przez zaskoczenie. — Starając się opanować drżenie, Dzikus podniósł jeden z pistoletów i powąchał wylot lufy. — Z tego nie strzelano.

Akira sprawdził w ten sam sposób leżące obok uzi.

— I z tego także.

— Grupa szturmowa musiała być dobrze zorganizowana, sprawna i doskonale wyszkolona.

— Podeszli od strony lasu — powiedział Akira. Dzikus przytaknął.

— Zrobili swoje i wykorzystali samochody kolumny do uciezki.

— Ale na drodze nie widzieliśmy żadnych pojazdów — zauważył Dzikus. — Jak się tu dostali?

— Może nawet parę dni wcześniej. Jeżeli wiedzieli, że ich cel z pewnością się tu zjawi, mogli cierpliwie czekać. Ja sam stałem kiedyś na warcie u jednego z pryncypałów przez czterdzieści osiem godzin.

— Mnie też uczono leżeć przez parę dni bez ruchu w dżungli — odrzekł Dzikus. — A więc z tego, co wiemy, zdołali się tu przedostać już pewien czas temu, ukryli się i...

— Ale kim jest ich *daimyoi*

Dzikus wzruszył ramionami z obrzydzeniem.

— To jakaś fanatyczną grupa lewacka, japońska „Czerwona Armia” czy coś takiego, czy to ważne zresztą? Nasza szansa przepadła. Dotarliśmy tu za późno. Cholera, już nigdy się nie dowiemy... — Wędrował wzrokiem od jednego trupa do drugiego.

Po chwili milczenia znów się odezwał:

— Wiem jedno. Ludzie, którzy tu leżą, byli przeszkodami na naszej drodze, barierami oddzielającymi nas od Shiraiego. Nasze pragnienie, aby dostać się do niego i przepytąć go, było równe ich gotowości do jego ochrony. Ich zawodem była piąta profesja, byli posłuszni jej prawom. Znali swe obowiązki i wypełnili swoją powinność, jak mogli najlepiej. Zginęli z honorem. Ja...

— Tak. — Akira otarł krople deszczu z oczu, wyprostował się, a potem skłonił i wymruczał coś cicho.

— Co powiedziałaś? — zapytał Dzikus.

— Poleciałem ich opiece przodków i obiecałem, że będę ich szanował aż do mojej śmierci. Przysiągłem w miarę swych sił nasłuchiwać ich, ich karni, w wietrze i deszczu.

— Dobrze — odrzekł Dzikus. — W Ameryce w takich razach mówimy, a przynajmniej

tak mówią katolicy, jak ja: „Wieczne odpoczywanie racz im dać, Panie”.

— Ich duchy rozumieją.

— Shirai... — powiedział nagle Dzikus. — A może on żyje? Może grupa szturmowa tylko go raniła i zdołał się ukryć? Musimy go odnaleźć. — Ruszył ..powoli, a potem zaczął biec w stronę budynku.

Akira dołączył do niego

— Nie licz na to. To na nic. Zabójcy znali się na robocie. Nic im nie przeszkadzało. Nie odjechaliby, gdyby nie wykonali zadania do końca.

— Ale zawsze jest jakaś szansa.

Dopadli centralnej części budynku, pięciopiętrowego obiektu z balustradami pod opadającymi dachami. Jego drzwi były otwarte, a ze środka sączyło się światło. Dzikus błyskawicznie znalazł się po jednej, a Akira po drugiej stronie drzwi i obaj zajrzeli do środka, sprawdzając wnętrze na wypadek, gdyby pozostał tam ktoś z grupy szturmowej lub też któryś z ocalałych gwardzistów Shiraiego, zdecydowani strzelać do wszystkiego, co wydawałoby się im nowym niebezpieczeństwem.

Nie stwierdziwszy żadnych oznak zagrożenia, Dzikus i Akira wskoczyli do środka i rozbiegli się w przeciwnych kierunkach. Skuleni, z bronią w ręku, rozglądali się wokół siebie, sprawdzając wszystko.

Nie było żadnego niebezpieczeństwa, ponieważ wszyscy dookoła byli martwi. Pokój, a właściwie wielka sala z polerowanego drewna tekowego, oświetlona żyrandolami w kształcie lampionów, była pełna trupów.

Dzikus skulił się i opuścił rękę z pistoletem. Znowu gardło dławił mu metaliczny posmak krwi i smród ekskrementów, uwolnionych w agonii przez zwieracze.

Po prawej, w pobliżu odsuniętej płyty drzwi, leżało pięć ciał w kałużach krwi. W głębi zauważyli jeszcze trzy, a cztery dalsze trupy leżały na schodach po lewej, mniej więcej w tym samym miejscu, gdzie znajdowały się schody w Medford Gap, i tak jak w „Górskim Ustroniu”, te schody również wznosiły się zygzakiem ku górze.

— Dobry Boże! — wyjąkał Dzikus. Przemógł się, aby wejść głębiej do hallu, i przyglądał się skutkom rzezi powstrzymując wymioty. — Ilu jeszcze znajdziemy?

Przeszukali sąsiednie pomieszczenia i ze zgrozą odkryli jeszcze więcej trupów.

— To za dużo, aby... — Dzikus bezwładnie oparł się o ścianę. Obok wisiały miecze i rysunek tuszem. Sztuki pokoju i walki. Otarł wilgotne czoło, na którym pot zmieszał się z deszczem. — Bywałem w strefie walki, nie warto mówić, jak często. Zabiłem tylu ludzi, że snią mi się legiony trupów, ale to... — Dzikus gwałtownie potrząsnął głową, jak gdyby dostatecznie silny sprzeciw mógł zlikwidować te jatki i sprawić, że wszystkie trupy poznikają. Zacisnął mocno powieki, niechętnie je rozwarł i twarz wykrzywił mu grymas przerażenia. — Za dużo. Kiedy to się skończy, kiedy wreszcie będziemy mogli porzucić tę robotę, wycofać się, będę się rozkoszował spokojem i bezpieczeństwem...

— Jakies zagrożenie zawsze będzie istniało — odrzekł Akira smutnym głosem. — Taki już jest ten świat.

— Jest jednak pewna różnica... — Dzikus głęboko odetchnął. — Nie będę już narażał życia dla obcych. Tylko dla Rachel.

— Twoje wyszkolenie wciąż ma wpływ na ciebie. Musisz o kogoś się troszczyć — powiedział Akira. — Ja zostanę swoim własnym pryncypałem. Będę ochraniał siebie.

— Będziesz bardzo samotny.

— Nie tak bardzo, mając ciebie za przyjaciela. Dzikus poczuł przyływ emocji.

— Czy ja dobrze słyszałem? Przyjaciela? Akira gestem ręki zamknął ten temat.

— Musimy odnaleźć Shiraiego. To się nie skończy...

— ...póki tego nie załatwimy. — Dzikus odepchnął się od ścia-. — Ale gdzie możemy...

Przeszukaliśmy te pokoje. Nie ma go...

Spojrzeli ku schodom. Udręczony panującą wokół śmiercią, Dzikus przeszedł przez hali,

popatrzył na krew kapiącą ze stopni i zaczął wchodzić na schody, mijając jedno ciało po drugim.

Dotarli do półpiętra i zawrócili, wspinając się teraz w przeciwnym kierunku.

— Czy to ci coś przypomina? — spytał Dzikus łamiącym się głosem.

— Schody w „Górskim Ustroniu”. Ostrożnie weszli na następne piętro. I tam znów były trupy.

— To się nigdy nie skończy — powiedział Dzikus.

— Jeśli nie ma go w tym budynku, przeszukamy pozostałe — odrzekł Akira. —

Nieważne, jak długo to potrwa.

Widząc biegnący w obie strony, pozornie nieskończony korytarz, Dzikus wycelował pistolet w prawo, a potem w lewo.

— Zapewne łączy się z pozostałymi przybudówkami — zauważył Akira.

Śmiertelna cisza była niemal namacalna.

— Zwróć uwagę na pokoje w korytarzu... Przesuwane płyty zamiast drzwi, ale poza tym...

— Taki sam układ, jak w „Górskim Ustroniu” w Medford Gap — powiedział Akira.

— Już wiem, gdzie go znajdziemy. Kamichiego — nie, Shiraiego.

— Gdzie?

— Tam, gdzie był zawsze. W moim koszmarze. Gdzie go zaprowadziliśmy, chociaż to się nie zdarzyło. — Dzikus wskazał w górę. — Trzecie piętro. Tam, gdzie był jego pokój. Tam, gdzie był, tam będzie.

Ruszyli schodami w górę.

I napotkali nowe trupy. Cała podłoga była we krwi. Było ślisko, a jednocześnie buty lepiły się do podłoża. Lodowe cęgi ugniatały piersi Dzikusa. Z wewnętrznym oporem schylał się i ujmował każdego z leżących za nadgarstek, ale nie wyczuł pulsu u nikogo. Pozbierał leżącą obok martwych ciał broń i obwąchał lufy.

— Z niczego nie strzelano.

— Co takiego? Ależ... Dzikus kiwnął głową.

— Mogę zrozumieć, że wartownicy na parterze zostali zaskoczeni, ale...

— Właśnie. Ci ludzie nie mogli nie słyszeć strzałów z zewnątrz.

— A także w pomieszczeniach na dole i na schodach. Grupa szturmowa musiała najpierw wykończyć tamtych, zanim dotarła do tych strażników.

— I pomimo całego zamętu nikt z tych ludzi nie zorientował się na tyle, by oddać choć jeden strzał?

— Coś tu nie gra — powiedział Dzikus.

Ubezpieczając się nawzajem, kontrolowali kolejne odcinki korytarza. Przesuwali się krok po kroku w prawo od klatki schodowej, rzucając nerwowe spojrzenia w górę mijanych schodów. Wkroczyli w głąb prawego skrzydła, bacznie obserwując przesuwane drzwi po obu stronach, i zatrzymali się przy piątym wejściu po prawej, gdzie...

...gdyby to były zwykłe drzwi, a nie przesuwana płyta...

...i gdyby to było „Górskie Ustronie” w Medford Gap...

...tu właśnie znajdowałby się pokój Kamichiego.

— Kopę lat — mruknął Dzikus.

— Nie rozumiem.

Dzikus zorientował się, że zaczyna bredzić. Z wysiłkiem starał się opanować.

— Gotów?

— Zawsze.

— Oślaniaj mnie. — Oddychając spazmatycznie, Dzikus chwycił krawędź płyty, szarpnął ją w bok i skoczył pod ścianę, celując w otwarte drzwi.

Akira, który przemknął na drugą stronę, również wycelował do wnętrza i nagle głośno sapnął.

Dzikusowi oczy wyszły z orbit.

Kamichi... Shirai... Nazwiska zlewały się w jedno. Przeszłość i terażniejszość stały się tym samym.

Naprzeciw nich za niskim stolikiem siedział po turecku Kamichi--Shirai, ubrany w czarne gi karateki, i popijał herbatę. Wyglądał jak zawsze — siwy, nieco zbyt otyły i z obwisłymi policzkami, pięćdziesięcioparoletni polityk lub biznesmen. Podniósł głowę i spojrzał na nich. Nie drgnął nawet na ich nagłe wejście. Nie było widać po nim zaskoczenia, zdziwienia ani zmieszania. Po prostu kiwnął głową, odstawił filiżankę i westchnął.

Oparł zgrubiałe od karate dłonie na stole, odepchnął się i powoli uniósł.

— Nareszcie — powiedział.

— Ale jak... — Dzikus postąpił krok naprzód. — Gdzie... Powinieneś się ukrywać. Mogliśmy być kolejnymi zabójcami, którzy przyszli, żeby cię... — Dzikus zająknął się i zdrętwiał. Uświadomił sobie naraz, że Kamichi (Shirai) mówi po angielsku, ale zrozumiał również, i to wstrząsnęło nim jeszcze bardziej, że jego pytania były bez znaczenia. Kamichi (Shirai) nigdy nie był w niebezpieczeństwie, nie miał powodu się ukrywać.

— Przyjmijcie, proszę, moją skromną pochwałę. — Kamichi złożył ukłon. — Moje najwyższe uszanowanie. Jesteście rzeczywiście profesjonalistami i ściśle wypełniacie zasady waszego kodeksu.

Dzikus odetchnął i wymierzył z pistoletu.

— Wszystko nas tu prowadziło.

— Tak.

— Dlaczego?

— Powiem wam, jeżeli opuścicie broń — odpowiedział Kamichi. Dzikus wciąż celował.

— Nie, powiesz mi teraz, albo...

— Zastrzelisz mnie? — Kamichi rozważył to i wzruszył ramionami. — Nie wierzę. W takim wypadku nigdy byście...

— Mów. — Zaciśnięta na kolbie pistoletu ręka Akiry drżała. — Czy spotkaliśmy się już wcześniej?

— W pewnym sensie.

— Co to znaczy, u diabła? — Palec Dzikusa zeszytywniał na spuście.

— Proszę, opuście broń — odrzekł Kamichi. — Mamy wiele spraw do omówienia. — Potrząsnął głową. — Ale nie czuję się bardzo... rozmowny... czy to dobre słowo?... kiedy mi grożą.

— A może mnie to nie obchodzi? — powiedział Dzikus. — Może, jeżeli cię zabiję, koszmary...

— Nie. — Kamichi podszedł bliżej. — Nie skończą się. Będą trwałe. Będziesz dręczony i pozbawiony odpowiedzi. Obaj będziecie, do końca życia.

Dzikus podniósł rękę, mierząc w pierś Kamichiego.

— Ale ty będziesz martwy.

— Czy to da ci jakąś satysfakcję? — Kamichi wyciągnął rękę do pistoletu Dzikusa.

— Stój!

— Czy zabicie mnie ulży twoim męczarniom? Pomyśl trzeźwo. Co jest dla ciebie ważniejsze? — Kamichi chwycił za pistolet. — Ty chcesz odpowiedzi.

— Tak, ale w tej chwili chcę, żebyś zabrał łapę od broni, zanim... — Dzikus odepchnął rękę Kamichiego i spojrzał w jego ciemne nieruchome oczy, a potem opuścił pistolet świadom, że Akira wciąż trzyma swój w pogotowiu. — A więc odpowiedz na moje pytanie. Czy spotkaliśmy się już kiedyś?

— Wolę odpowiedzieć na inne pytanie, to, którego nie zadałeś. — Kamichi poprowadził Dzikusa za sobą na korytarz. — Twoje nazwisko brzmi...

Oszołomiony Dzikus pozwolił prowadzić się Kamichiemu, upewniwszy się jednak najpierw, że Akira również wycofał się z pokoju, trzymając pistolet skierowany w pierś Kamichiego.

— Twoje nazwisko... Chcesz wiedzieć, jak się naprawdę nazywasz? — zapytał Kamichi,

kiedy znaleźli się na korytarzu.

Dzikus uznał, że należy zaufać słowom przyjaciela i byłego kolegi z SEAL, którego widział martwego w alejce w Virginia Beach.

— Nazywam się Robert Doyle.

Na twarzy Kamichiego pojawił się wyraz rozczarowania.

— Dowiedziałeś się więcej, niż przypuszczałem.

— Alternatywą mógł być tylko Roger Forsyth, ale wiedziałem, że to nie jest prawdziwe nazwisko, bo używałem go w moim koszmarze.

— No tak, lecz przecież używałeś od czasu do czasu nazwiska Forsyth jako pseudonimu.

— Domyśliłem się i tego — odpowiedział Dzikus. — Człowiek, którego znam z mego koszmaru jako Philipa Haileya, wytrpił mnie w Tokio. Kiedy uciekałem przed nim ze Świątyni Meiji, wołał za mną „Forsyth”, a kiedy nie zareagowałem, użył nazwiska Doyle. Uznałem, że skoro jedno z tych nazwisk jest fałszywe, powinien posłużyć się nim najpierw, a dopiero kiedy nie odpowiem na nie, mógłby zaryzykować ujawnienie prawdziwego nazwiska.

— Sprytnie — powiedział Kamichi.

— A więc kim on jest?

— Philip Hailey to również nie jest prawdziwe nazwisko. To pseudonim, podobnie jak Roger Forsyth.

— Pytałem, kim on jest?

— Twoim łącznikiem z CIA.

— Co? — Dzikus nie zdążył jeszcze zamknąć ust, otwartych ze zdumienia po odpowiedzi Kamichiego, gdy przeżył kolejny szok. Usłyszał zwielokrotniony, nakładający się na siebie dźwięk przesuwanego drewna. Płyty zamykające wejścia do pokoi w korytarzu otwierały się i z ich wnętrza wychodzili mężczyźni w garniturach. Japończycy, wszyscy z bronią w ręku.

— Rzućcie broń, proszę — powiedział Kamichi. Akira powiedział coś szorstko po japońsku.

Kamichi odpowiedział tonem cierpliwego pouczenia, a potem zwrócił się do Dzikusa:

— Twój towarzysz twierdzi, że raczej mnie zastrzeli.

— Nie jest sam — odrzekł Dzikus, kierując pistolet w jego stronę. — Jeżeli ci ludzie podejną bliżej, będziesz martwy.

— A ja myślałem, że chcecie odpowiedzi — powiedział Kamichi. — Poza tym, jeśli zabijecie mnie, oni was też zabiją. I po co to wszystko? Nie, lepiej będzie, jeżeli mnie posłuchacie.

Ludzie wokół posunęli się ostrożnie o jeden krok do przodu.

Dzikus przemknął za Kamichim i przycisnął go plecami do ściany, przykładając jednocześnie pistolet do jego głowy. Akira stanął obok niego, kierując broń w stronę otaczających ich ludzi.

— A więc Hailey jest moim kontaktem z CIA? — spytał Dzikus.

— Nie zdawałeś sobie sprawy, że pracujesz dla Agencji?

— Nie pytałbym...

— Doskonale. Podstęp się udał — powiedział Kamichi. — A ty? — zapytał Akirę. — Wiesz, że pracujesz dla japońskiego wywiadu?

Odpowiedzią była osłupiała mina Akiry.

— Tak — powiedział Kamichi. — Wspaniale. Plan pozostaje bez zmian.

— Ty sukinsynu, coś ty nam zrobił? — Dzikus przycisnął pistolet jeszcze mocniej, jakby chciał zgnieść Kamichiemu czaszkę.

— Odpowiedziałeś na to pytanie już wcześniej.

— Jak?

— Doprowadziłem was tutaj — odpowiedział Kamichi.

— Zaczynam pojmwować — powiedział Akira. — Tej nocy nic ci nie groziło.

— To prawda. A domyślasz się, dlaczego?

Głos Akiry brzmiał, jakby miał zaraz zwymiotować.

— Trupy. Tak dużo. Ten dom... w ogóle nie był atakowany. Mordercy nie zastrzelili tych wszystkich ludzi, nie szukali ciebie i nie uciekli. Nie było żadnych napastników. Ci ludzie...

— Obrzydzenie dławiło Akirę, nie dając mu wydusić z siebie ostatnich słów.

— ...zginęli z własnej woli. Odważnie i z honorem — powiedział Kamieni. — Za swego daimyo... dla swego kraju i swojej tradycji, a przede wszystkim dla Amaterasu.

— Mój Boże! — zawołał Dzikus. Zakręciło mu się w głowie. Zdawało mu się, że zachwiał się cały korytarz. — O Jezu, zwariowałeś!

Ludzie dookoła przysunęli się jeszcze bliżej, idąc z uniesioną bronią. Dzikus chwycił Kamichiego za ubranie na karku i zaczął go popychać w stronę schodów.

Akira nie przestawał mierzyć z pistoletu.

— Powiedz swoim ludziom, żeby się zatrzymali, bo inaczej ich pozabijam.

— Czyżbyś nie rozumiał? — Kamichi był spokojny i drażniący logiczny. — Oni są gotowi umrzeć, poświęcić życie za swego daimyo, za ducha narodu, za Krainę Bogów. Pragną wypełnić swój obowiązek i przyłączyć się do karni swoich przodków, samurajów.

Dzikus drżał cały. Z przerażeniem zaczynał dostrzegać rozmiary szaleństwa Kamichiego. Przyszła mu na myśl masakra w Jonestown, dzieło wyznawców tak oddanych swemu charyzmatycznemu wodzowi, że gotowi byli zrobić dla niego naprawdę wszystko, nawet napić własne dzieci i siebie trucizną.

Natychmiast zmienił perspektywę i sposób rozumowania, przypominając sobie, że psychotycy zawsze są przekonani o swojej normalności.

Równie nagle przypomniał sobie coś jeszcze. Uświadomił sobie, że to Wschód, i pomyślał o Mishimie, który wypatroszył sam siebie po nieudanej próbie namówienia japońskich żołnierzy do poparcia ruchu na rzecz przywrócenia ich krajowi minionej imperialnej potęgi i skierowania go drogą wyznaczoną przez bogów.

Pomyślał też o legendarnych czterdziestu siedmiu roninach, którzy dwa lata czekali, aby pomścić hańbiącą śmierć swego pana, a po odcięciu wrogowi głowy i złożeniu jej na grobie władcy popełnili zbiorowe seppuku. W Ameryce maniak z Jonestown uważany był powszechnie za potwora, w Japonii natomiast szanowano pamięć Mishimy jako kogoś, kto miał odwagę umrzeć za własne przekonania, a czterdziestu siedmiu roninów czczono za ich absolutną lojalność wobec swego daimyo.

Chociaż sam był gaijinem, mógł to w pewnym stopniu zrozumieć, być może z powodu samobójczej śmierci ojca, nie uśmierzało to jednak poczucia grozy, które wciąż go nie opuszczało.

— Teraz wiem, dlaczego nie używali broni. Z własnej woli..: — Dzikus potrząsnął głową. Przerażony, ale zarazem pełen szacunku, myślał o ich odwadze, o ogromnym zaufaniu, wierze w Amaterasu i przekonaniach silniejszych niż lęk przed śmiercią.

Zmusił się, aby mówić dalej, choć gardło miał tak ściśnięte, jakby go ktoś dusił, i głos mu ochrypl.

— A więc z własnej woli stawali na baczność i pozwalali się zastrzelić. Uroczyście oddawali swoje życie... godnie popełniali swoistą odmianę seppuku, aby naród sądził, że zginęli z ręki wrogów. Twoich wrogów.

— Jak na gaijina, orientujesz się w naszym systemie wartości lepiej, niż mógłbym się spodziewać — powiedział Kamieni.

— Kto ich zastrzelił? — spytał Akira. -- Ty?

— Ich koledzy samuraje, których z kolei zastrzelili inni, aż wreszcie pozostała ta ostatnia grupa — odrzekł Kamichi.

Straż znowu przybliżyła się o krok. Dzikus desperacko pchnął Kamichiego dalej wzdłuż ściany, trzymając wciąż pistolet przy jego głowie, podczas gdy Akira stał frontem do strażników.

— Ta rozmowa jest jednak pożyteczna — zauważył Kamichi rzeczowo. — Widzę teraz, że



popęknęłam pewien błąd.

— Cholernie słusznie mówisz — odezwał się Dzikus. — Ci ludzie nie powinni umrzeć, a przynajmniej nie z powodu twoich wariackich...

— Chodzi mi o ich broń — powiedział Kamichi.

Dzikus jeszcze mocniej wgniółł pistolet w jego czaszkę, obawiając się kolejnego ataku szaleństwa na własny, mocno nadwątlony zdrowy rozsądek. — Jak to o broń?

— Sądziłem, że przewidziałem każdy szczegół — rzekł Kamichi — ale teraz widzę, że zanim zostali zabici, powinni wystrzelić bodaj raz gdzieś w las, żeby było jeszcze więcej łusek, co przydałoby dramatycznego wyrazu ich śmierci. W ten sposób można by podkreślić, z jaką lojalnością i determinacją starali się do końca mnie bronić.

Palec Dzikusa na spuście pistoletu przyciśniętego do głowy Kamichiego drgnął.

To było takie kuszące.

Nie, usłyszał szept Grahama zza grobu, pozbądź się emocji. To przyczyna błędów. Zawodowiec musi zawsze panować nad sobą, myśleć obiektywnie i racjonalnie.

Racjonalnie? — odpowiedział mu w myślach Dzikus. Jak Kamichi? On jest tak kurewsko racjonalny, że zupełnie zidiociał.

Ale ty nie. Wytrzymaj. Pamiętaj o twoich zobowiązaniach. Wobec mnie, wobec siebie, wobec piątej profesji.

Tak, pomyślał Dzikus. Zdawał sobie doskonale sprawę, że on i Akira wciąż jeszcze żyją tylko dlatego, że strażnicy Kamichiego nie odważą się zaatakować, póki życie ich daimyo jest w niebezpieczeństwie.

Mimo to jednak czuł wielką pokusę, wyobrażał sobie, jak by to było słusznie i sprawiedliwie i z jaką satysfakcją pociągnąłby za spust.

Denerwująco rzeczowy głos Kamichiego przerwał tok jego myśli:

— Zajmę się tym później. Dopatrzę, aby broń przestrelano, przyciskając spusty palcami moich martwych lojalnych zwolenników, aby pozostały na nich ślady prochu na wypadek, gdyby przeprowadzono badania laboratoryjne. Każdy punkt planu musi zostać wypełniony.

— Co zamierzasz osiągnąć? — spytał Akira.

Kamichi obrócił ku niemu głowę, nie zważając na ucisk pistoletu Dzikusa.

— Jestem rozczarowany. Potrafiliście odgadnąć tak wiele, a nie możecie pojąć mojego szlachetnego motywu?

— Najwyraźniej jesteśmy aż tak głupi — odrzekł Akira.

— A więc powiedz nam — rzekł Dzikus. — Przekonaj nas, jaki jesteś sprytny.

Kamichi wyprostował się.

— Zapisy ujawnią... Historia odnotuje...

— Powiedz nam — powtórzył Dzikus.

— Jeszcze dziś wszyscy się dowiedzą — rzekł dumnie Kamichi — że zbrodniarze, wynajęci przez wrogów Amaterasu, widzieli we mnie takie zagrożenie, iż porwali się na dokonanie masakry, aby tylko mnie dopaść... ale to się im nie udało. Oddana mi elitarna grupa dzielnych samurajów zdołała ich odeprzeć, zabijając przy tym ich przywódców, ciebie — tu wskazał na Dzikusa — agenta CIA, i ciebie — tym razem pokazał ręką Akirę — agenta japońskiego wywiadu. Potrzebowałem jakiegoś dramatycznego incydentu o znaczeniu symbolu, który podziałałby jak katalizator na moich zwolenników, zachęcając ich do większej aktywności, i przyciągnął nowych ludzi do Armii Amaterasu. To, że widownią tej masakry była ta świątynia japońskiej historii i architektury, wzmocni jeszcze wymowę.

— Wymowę czego? — zapytał Dzikus.

— Tego, że mordercy naślani byli przez rząd amerykański i współpracowali z naszymi własnymi skorumpowanymi władzami. Incydent ten wznieci taki gniew i oburzenie, takie...

— Nikt ci nie uwierzy — powiedział Dzikus.

— W Ameryce nikt, ale w Japonii? Uwierzą na pewno. W przeciągu paru dni odmieni

się bieg historii tego narodu. Zmażę błąd Restauracji Meiji i przywrócę memu krajowi kulturową czystość z okresu shogu-natu Tokugawów. Wszyscy obcokrajowcy zostaną wypędzeni, a ich plugawe wpływy wykorzenione.

— A ty, jak przypuszczam, jesteś tym wielkim człowiekiem, który obejmie urząd shoguna — zauważył kwaśno Dzikus.

— W imieniu cesarza, który nie będzie musiał dłużej zaprzeczać swojej boskości.

— Zidiociałeś do tego stopnia — Dzikus pchnął go jeszcze bliżej schodów — że resztę życia spędzisz pewnie w wyściełanej izolatce.

— Najdziwniejsze w tym wszystkim — odezwał się Akira, wciąż celując w strażników — że ja się z nim zgadzam.

— Co takiego? — zdumiał się Dzikus.

— To przystań do mnie — powiedział Kamichi. — Mogę zmienić plan w ten sposób, że tylko gaijin będzie musiał zginąć. Możemy sfabrykować inne dowody powiązań tego człowieka i jego mocodawców z CIA z japońskim wywiadem. Twoje zdolności byłyby dla mnie bardzo użyteczne.

— Tak, zgadzam się z tobą... — powiedział Akira, nie opuszczając broni. — Chciałbym żyć w innych czasach. Chciałbym odwrócić bieg historii, aby nie było nie tylko amerykańskiej okupacji i wymuszonej przez nią konstytucji, ale także wojny na Pacyfiku i militarizmu, który ją wywołał, i Restauracji Meiji, a nade wszystko „Czarnych okrętów” komandora Perry’ego. Shogunat Tokugawów był okresem naszego najwspanialszego rozkwitu, kiedy żyliśmy sami dla siebie, zamknięci przed światem, patrząc w głąb i doskonaląc naszego ducha. Chciałbym, żebyśmy nie mieli w ogóle do czynienia z Ameryką. Bomby atomowe, które zrzucili na nas, były współczesną wersją „Czarnych okrętów” Perry’ego. Dlatego właśnie staramy się teraz zdominować świat ekonomicznie, a nie militarnie. Chciwość, żądza władzy, etos pracy tak surowy, że nie pozostawia nam czasu na kontemplację — to wszystko zło przybyło z Ameryki i niszczy piękno naszego ducha. Nie jesteśmy już Krainą Bogów. Zapomnieliśmy o bogach.

Dzikus nie mógł się zorientować, czy Akira rzeczywiście myślał to, co mówił, czy też po prostu starał się osłabić czujność Kamichiego i jego ludzi. Nie wiedząc, co o tym sądzić, przepchnął Kamichiego jeszcze bliżej schodów.

— A więc przyłącz się do mnie — ponowił wezwanie Kamichi.

— Nie — odrzekł Akira. — To, czego dokonałeś dziś w nocy, jest... — jego głos był pełen obrzydzenia — ...ohydne. Z tego nie może być nic dobrego. Ci ludzie nie musieli umierać. Wypaczyłeś kodeks lojalności. Nie jesteś zbawcą, jesteś potworem.

— A więc zdychaj wraz z gaijinem.

— Nie uda ci się to! — zawołał Dzikus. Popychając Kamichiego, dotarł już do schodów. — Wychodzimy stąd.

Kamichi odezwał się po japońsku do swoich ludzi, którzy wyprężyli się, a potem skłonili.

— Akira, co on powiedział?

— Powiedział: „Wiecie, co macie zrobić. Dopelnijcie waszej przysięgi. Oddaję wam cześć i polecam was Amaterasu.”

— O, cholera! — nie wytrzymał Dzikus.

Usłyszał nagle jakieś skrzypnięcie na schodach w dół. Rzucił okiem w tę stronę i ujrzał ośmiu mężczyzn, podkradających się ku niemu z bronią w ręku.

— To strażnicy, którzy udawali morderców i odjechali stąd — odezwał się Kamichi. — Mieli rozkaz powrócić tu po waszym przybyciu. Jeden z moich ludzi skontaktował się z nimi przez radio.

— Każ im się trzymać z daleka — powiedział Dzikus.

— Bo inaczej mnie zastrzelisz? Ten argument już nie ma znaczenia. Widzisz, właśnie rozpoczyna się ostatni etap.

— Ostatni etap...?

Jeden z ludzi na schodach wystrzelił do Dzikusa. Aż się skulił, gdy pocisk świsnął tuż koło jego głowy. Oderwał pistolet od czaszki Kamichiego i wypalił.

Strzelający upadł, ale pozostali natychmiast otworzyli ogień i korytarz wypełnił się ogłuszającym hukiem. Kule uderzały o ściany i darły drzazgi z balustrady.

Dzikus ustawicznie naciskał spust, raz za razem, puste łuski fruwały wokół niego, a ludzie padali z krzykiem. Dookoła słyszał inne strzały, strażników w korytarzu i Akiry, strzelając jednak bez przerwy wyczuwał, że coś tu jest niezupełnie w porządku. Kule wciąż dziurawiły ścianę za nim, Akira wciąż strzelał, ludzie krzyczeli i padali, krew tryskała. I dopiero kiedy padł ostatni z nich, a korytarz i klatka schodowa stały się wielkim pobojowiskiem, nad którym wisiał mdlący smród kordytu, krwi, wymiocin i ekskrementów, Dzikus zrozumiał nagle, co wydawało mu się nie w porządku.

Nie powinienem tego przeżyć, pomyślał. Ci ludzie byli trzy metry ode mnie. Kamichi padł plackiem na podłogę, kiedy tylko rozpoczęła się strzelanina, nie mogli więc posłużyć się nim jako tarczą. Dlaczego przy takiej palbie, gdy powietrze wokół było gęste od kul, żaden z nas nie został ani razu trafiony?

To niemożliwe.

Chyba że...

Zadygotał.

Chyba że oni tego w ogóle nie chcieli, nawet nie starali się trafić.

Dobry Boże, pomyślał, zmusili nas, żebyśmy ich zabili. Popelnili samobójstwo.

Obłęd nakładał się na obłęd. Za dużo tego wszystkiego i za długo to trwa.

Przeraził się, że jego rozum może nie przetrzymać kolejnego wstrząsu. Chciało mu się krzyczeć. Był bliski kompletnego załamania. Uratowała go wściekłość.

— Kamichi, ty sukinsynu! — ryknął i obrócił się, celując w podłogę, gdzie spodziewał się go zastać, ale Kamichi zniknął.

— Gdzie on...

— Tam! — krzyknął Akira. — Ucieka korytarzem!

Dzikus pognał za szaleńcem, biegnąc slalomem między ciałami na podłodze. Akira również puścił się biegiem, wykrzykując coś, co brzmiało jak japońskie przekleństwa.

Kiedy Dzikus zbliżył się do drzwi pokoju Kamichiego, naraz wydało mu się, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie, i&jamais vu i deja vu zderzają się i mieszają. Był już tu kiedyś. Wiedział, co się za chwilę stanie...

Zanim jednak zdołał zareagować na swe przeczucia i zatrzymać się, straszne uderzenie sparaliżowało nerwy jego nadgarstka i wytrąciło mu berettę z ręki. Za plecami usłyszał trzask kości, jęk Akiry i stuk pistoletu o podłogę.

Obrócił się i ujrzał dopełnienie swego koszmaru.

Stał twarzą w twarz z trzema muskularnymi, ubranymi na ciemno Japończykami po trzydziestce.

To byli mordercy z „Górskiego Ustronia” w Medford Gap. Wskoczyli z pokoju po drugiej stronie korytarza i szybkimi jak mgnienie oka uderzeniami drewnianych mieczy rozbroili Dzikusa i Akirę.

Dzikus przypomniał sobie nagle, że wtedy było nie trzech, a czterech mężczyzn, i ten czwarty dzierżył w dłoni prawdziwy samurajski miecz zamiast drewnianego bokkena.

Jego wątpliwości rozwiały się jednak, gdy Kamichi sięgnął do pokoju i zdjął ze ściany błyszczący miecz.

— Krąg się zamyka — powiedział.

Jeden z mężczyzn zamachnął się bokkenem. Dzikus obrócił się, aby uniknąć ciosu, ale było już za późno. Drewniany miecz rąbnął go w ramię z taką siłą, że rzucił nim o ścianę.

— Obiecałem zakończenie do waszego koszmaru — rzekł Kamichi. Drugi mężczyzna zamierzył się na Akirę, który zgiał się wpół od

uderzenia tępego końca bokkena prosto w żołądek i opadł w męce na kolana, trzymając się obiema rękami za brzuch.

— Odpowiedzi — powiedział Kamichi. — Tego chcieliście... Zaaranżowałem wszystko tak, abyście zabili tych ludzi, aby władze były przekonane, że rozegrała się tu decydująca bitwa, w której moi strażnicy dzielnie stawali w mojej obronie. Kule musiały pochodzić z

waszych pistoletów, musieliście mieć ślady prochu na dłoniach, a kiedy wreszcie stanęliście oko w oko ze mną, pozostało już tylko tych trzech samurajów, uzbrojonych w drewniane miecze.

— No i ty — wystękał Dzikus — ale nie z bokkenem, lecz z kataną, bo ty jesteś shogunem, bohaterem, swojej opowieści.

— Jak już mówiłem, potrzebuję incydentu, jakiegoś wydarzenia tak dramatycznego i tak wstrząsającego, aby cały naród poszedł za mną. Staniecie się wkrótce częścią legendy. Ludzie będą opowiadać przez tysiąc lat, jak to niegodziwy gaijin i zdrajca Japończyk sprowadzili oddział najemników, usiłując mnie zabić. Wybiliście wszystkich moich ludzi, aż w końcu, kiedy reszta waszej grupy została zmuszona do odwrotu przez mych bohatersko ginących samurajów, spotkaliśmy się ze sobą, wy i ja, pistolety przeciw katanie.

— I kto ma wygrać? — Dzikus rzucił się na ziemię po pistolet, chwycił go i wrzasnął, gdy drewniane miecze załomotały po jego głowie, plecach, ramionach i nogach.

Znowu. To wszystko działo się od nowa. Był zupełnie bezradny. Wszystko zostało zawczasu ułożone. Nie, p o czasie. Czas został zawrócony. Żył wstecz. Ale przecież historii nie można zmieniać.

Krzyknął znowu, tym razem jednak nie z bólu od ciosów drewnianych mieczy, lecz z furii:

— Ty skurwielu!

Tocząc się zwinięty w kłębek, kopnął najbliższego przeciwnika i poczuł satysfakcję, kiedy usłyszał chrupnięcie pękającej rzepki. Tamten zawył, upuścił miecz i upadł na podłogę, ściskając dłońmi kolano.

Dzikus toczył się dalej. Poczuł podmuch powietrza, kiedy jakiś bokken przemknął obok jego głowy i trzasnął o podłogę. Kopnął znowu, usłyszał stęknienie i chwycił beretę, zrywając się na równe nogi, lecz w tej samej chwili inny bokken z brutalną siłą trafił go w prawe ramię, to, które uszkodziła przedtem pałka. Rozbite ponownie ramię straciło wszystkie siły, mięśnie zdrętwiały i pistolet wysunął się z bezwładnych palców.

Ale ból zwiększył tylko jego wściekłość. Dźgnął lewym łokciem w tył, trafiając strażnika za plecami. Trzasnęły żebra, mężczyzna zacharczał i zgiał się wpół.

Dzikus obrócił się na pięcie, gotów kopnąć trzeciego przeciwnika, ale ten uskoczył, zadał cios bokkenem i trafił Dzikusa w bok, tuż nad lewą nerką. Ból był tak rozdzierający, że Dzikusowi zrobiło się ciemno przed oczami. Zdezorientowany, wirował dalej, aż wreszcie uderzyło ścianę. Tym razem strażnik zamierzył się w jego głowę. Dzikus uniósł lewe ramię, rozpaczliwie usiłując się osłonić, choć cios niewątpliwie strzaskałby rękę, nagle jednak jakiś mglisty kształt sparował uderzenie.

To był Akira. Klęczał dotychczas na ziemi, trzymając się za brzuch

1 starając się zapanować nad bólem od uderzenia bokkenem, który tępym końcem wbił się w jego trzewia, strażnicy uznali więc, że był na tyle obezwładniony, by mogli skupić całą uwagę na Dzikusie.

Mylili się, i to bardzo. Kiedy trzeci strażnik zamachnął się drewnianym mieczem, celując w głowę Dzikusa, Akira podbił jego nadgarstek stwardniałą od karate dłonią, powstrzymując cios, a kantem drugiej dłoni ciał strażnika przez nos i poprawił uderzeniem kolana w pachwinę. Strażnik upadł, z jego nosa chlusnął strumień krwi.

Dzikus walczył o odzyskanie równowagi umysłu. Zdołał oprzytomnieć na tyle, iż spostrzegł, że Akira zaatakował Kamichiego, ale kiedy usiłował ruszyć mu na pomoc, poczuł, że nogi nagle odmawiają mu posłuszeństwa. To strażnik ze strzaskanym kolaniem podpełzł do niego i uderzył go bokkenem w golenie. Dzikus upadł. Podłoga wybiegła mu naprzeciw i uderzył szczęką o deski. Ogłuszyło go to tak, że przez moment nic nie widział.

Kiedy odzyskał wzrok i uniósł oczy, ujrzał przez mgłę bólu, jak Akira szarżuje na Kamichiego.

Kamichi uniósł katanę.

Coś krzyknęło w duszy Dzikusa. Jamais vu stawało się rzeczywistością. To, czego nie było, działo się teraz. Krąg się zamykał, życie biegło wstecz. Widział początek tego

wszystkiego, tyle że początek był skłamany, to zaś nieznośnie rzeczywiste.

Jak gdyby patrzył na film, oglądany już zbyt wiele razy... Dzikus skulił się cały, patrząc na atak Akiry.

Czwarty morderca, człowiek z błyszczącym mieczem.

Jeżeli terazniejszość staje się przeszłością, krzyczał jego wewnętrzny głos, to czy może być zarazem zapowiedzią przyszłości?

Nie, Akira, nie rób tego!

Rozciągnięty w męce na podłodze, Dzikus wpił w niego półprzytomny wzrok.

Nagle serce mu drgnęło, wezbrane nadzieją, zauważył bowiem, że Akira po znokautowaniu trzeciego strażnika, który zamierzał rozłupać Dzikusowi czaszkę, wyrwał mu z ręki jego drewniany miecz.

Przeszłość, której nigdy nie było, nie odtwarzała się identycznie w terazniejszości. W koszmarze Dzikusa Akira nie był uzbrojony w bokken. To nie był zamknięty krąg. Rzeczywistość nie naginała się do fałszywych wspomnień. Przyszłość nie musiała powtarzać kłamstw przeszłości.

Kamichi zamachnął się błyszczącym mieczem.

Akira uchylił się i odparował uderzenie.

Kamichi ciął znowu i ponownie Akira odparował.

Krążyli wokół siebie, to rzucając się w przód, to znów wycofując.

Akira zrobił flintę w lewo, potem w prawo, i dostrzegł lukę, ale kiedy zadawał cios, leżący na podłodze strażnik rzucił swój bokken, który musnął jego ramię, i cięcie chybiło celu.

Miecz Kamichiego rozciął bokken Akiry na pół.

Z ust Dzikusa wydarł się okrzyk.

Akira odskoczył w tył.

Miecz Kamichiego świsnął w powietrzu. Wydawało się, że ostra jak brzytwa klinga nie tknęła szyi Akiry.

Omyliłem się, modlił się Dzikus, dobry Boże, błagam, nie, nie widziałem...

Jego szaleńcze prośby nie zostały jednak wysłuchane.

Akira upuścił swój bokken. Jego głowa spadła z karku, uderzyła o podłogę, stuknąwszy głucho, potoczyła się i zatrzymała na kikucie szyi tuż przed Dzikusem.

Jej oczy mrugnęły.

Wtedy Dzikus stracił kompletnie panowanie nad sobą, co w tym wypadku oznaczało, że je odzyskał, szok pomógł mu bowiem przezwyciężyć ból, który paraliżował jego ciało.

Ukląkł, podniósł się chwiejnie na nogi i zataczając się ruszył na Kamichiego ze skrzekliwym wrzaskiem.

Kamieni jednak również wydał z siebie skrzek, bezgłowy korpus Akiry bowiem wciąż jeszcze szedł do przodu, napierając na niego chwytając za ręce, które trzymały kataną. Wydawało się, jakby impulsy z odciętego mózgu przetrwały i wciąż jeszcze kierowały okaleczonym ciałem, jakby nienawiść była trwalsza od życia. Z szyi Akiry tryskała krew, spływała kaskadą po Kamichim, zalewając mu głowę i oczy, wsiąkając w odzież.

Z piskliwym wrzaskiem, w którym szaleństwo mieszało się z obrzydzeniem, Kamieni wypuścił z ręki zalany krwią miecz i odepchnął od siebie napierający nań bezgłowy korpus Akiry.

W tej samej chwili Dzikus, kuśtykając przez korytarz, znalazł się przy nim. Chwycił miecz, który ze zdumiewającą łatwością wyślizgnął się z rąk Akiry...

...jakby te pozbawione życia palce rozpoznały dotyk jego ręki...

...i z całej mocy ciął, szlochając zwycięsko, gdy ostrze katany przecinało tułów Kamichiego.

Kamichi zawył.

Krew rzygnęła szeroką strugą i jego korpus rozpadł się.

Nagle czerń zakryła oczy Dzikusa. Cios w głowę zgiął go wpół.

Strażnicy! Jednemu z nich udało się wstać, dopaść go i uderzyć bokkenem.

Dzikus padł na kolana, ale odruchowo machnął mieczem. Odzyskał już wzrok i zobaczył, jak strażnik odskakuje w tył.

Poczołgał się na kolanach z mieczem skierowanym do przodu, ale siły go opuściły i upadł.

Leżał na wprost głowy Akiry i nie mógł się poruszyć. Bezradny, krzywiąc się z bólu, z wysiłkiem skoncentrował wzrok na twarzy Akiry.

Będzie mi ciebie brak.

Staraliśmy się, przyjacielu.

Poznaliśmy odpowiedzi.

Ale nie wszystkie.

Tyle jeszcze się trzeba dowiedzieć.

Zabłąkany impuls nerwowy sprawił, że oczy Akiry jeszcze raz mrugnęły. Były jak zawsze smutne, teraz przesłonięte cieniem śmierci, lecz łzy, które w nich błyszczały, wydawały się jednak Dzikusowi – wbrew wszystkiemu – łzami pożegnania.

Strażnik zamachnął się bokkenem i świadomość Dzikusa rozpekła się na kawałki. Ale moment wcześniej usłyszał strzały.

## Epilog

### Klucz do labiryntu

#### Igraszka losu

Wydawało się, że to już wieki temu Dzikus spotkał się w Atenach z Joyce Stone, siostrą Rachel, odwiedził z nią Partenon i tam, pragnąc wyrazić naukę, jaka płynęła z widoku tychruin, zacytował fragment z „Ozymandiasa” Shelleya:

*Spójrz na me dzieło, o Potężny, i rozpaczaj.*

*...wokół szczątków*

*Tego kolosalnego wraku pustynia się roztacza,*

*Naga, dzika i płaska, bez końca ni początku.*

Joyce Stone zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć: „Nic, ani bogactwo, ani sława czy władza, nie jest wieczne”. To prawda. Niczego nie należy z góry zakładać. Przyszłość ocenia i interpretuje przeszłość – i częściej, niżliby się wydawało, wystawia ją na pośmiewisko.

Historia, fałszywe wspomnienia i dezinformacja to problemy, które prześladowały Dzikusa równie uparcie, jak jego koszmar. Kiedyś powiedział siostrze Rachel: „Chodziłem do dobrej prywatnej szkoły” – a że przywykł do medytacji w równym stopniu co do działania, nie zdziwił się, gdy starając się usilnie zrozumieć swoje przejścia, przypomniał sobie niespodzianie początek innego poematu, „Spalonego Nortona” T.S. Eliota:

*Czas teraźniejszy i czas przeszły*

*Są być może razem w czasie przyszłym,*

*A czas przyszły zawiera się w czasie przeszłym.*

*(...)To, co być mogło, jest abstrakcją,*

*Pozostającą nieustanną możliwością*

*Jedynie w świecie spekulacji.*

*To, co być mogło i to, co było,*

*Zmierz ku jednemu końcowi, który jest zawsze teraz.*

*Te słowa mówiły przecież o nieubłaganej, a zarazem oszukańczej i zdradzieckiej naturze czasu.*

Prawda, zawarta w poematach Shelleya i Eliota, wkrótce przybrała realne kształty. Po odkryciu masakry w górskiej kryjówce Kunio Shiraiego, japońskie środki masowego

przekazu przez wiele tygodni serwowały swoim czytelnikom, widzom i słuchaczom reportaże i spekulacje na ten temat. Zaciekawiona, ale i wstrząśnięta publiczność domagała się ciągle nowych szczegółów.

Szczególne zainteresowanie wzbudziło odnalezienie dziennika, który prowadził Shirai. Tak jak powiedział Akirze i Dzikusowi, zamierzał stworzyć legendę, żywiąc przekonanie, że naród będzie ją powtarzał przez tysiąc lat, chociaż, rzecz jasna, w dzienniku nie wyjawiał kłamstwa, które legło u jej podłoża. Wspierały tę legendę liczne przywołania wielkich postaci historycznych, japońskich bohaterów narodowych, którzy radykalnie zmieniali bieg dziejów. Oczywiście zamiarem Shiraiego było ujawnienie dziennika tuż przed albo zaraz po swojej śmierci, tak aby jego zwolennicy mogli czcić tę pisemną spuściznę tak samo, jak jego karni.

Bohaterem narodowym, z którym Shirai identyfikował się najmocniej, był Oshio Heihachiro, działacz polityczny z pierwszej połowy dziewiętnastego wieku. Poruszony nędzą niższych klas, Oshio wzniecił bunt, a był tak oddany swej sprawie, że sprzedał wszystko, co miał, aby zakupić miecze i broń palną dla głodujących chłopów. W 1837 roku jego rebelianci zaczęli palić i płądować dwory bogaczy i wkrótce całe miasto Osaka stanęło w płomieniach. Władzom wszakże udało się stłumić ten bunt. Zwolennicy Oshio zostali poddani torturom i straceni. Również sam Oshio został schwytany, udało mu się jednak uniknąć haniebnej śmierci, gdyż popełnił seppuku.

To, że Shirai wybrał tego właśnie bohatera za wzór, na pierwszy rzut oka wydawało się niezrozumiałe, i sam Shirai przyznawał to w swoim dzienniku. Ostatecznie powstanie Oshiego, choć było dziełem wielkiej odwagi, zakończyło się klęską. Shirai tłumaczył jednak, że sprawa, dla której Oshio poświęcił życie, miała dalsze konsekwencje. Po tym, jak „Czarne okręty” komandora Perry’ego rzuciły kotwicę na redzie Yokohamy w 1853 roku, pojawiło się nowe pokolenie rebelian-tów, protestujących przeciwko amerykańskim żądaniom przerwania kulturowej izolacji Japonii i zezwolenia obcym kupcom na prowadzenie

handlu, co miało doprowadzić do przekształcenia Japonii w satelitę Zachodu. Zainspirowani ideami Oshiego, nowi buntownicy cenili nade wszystko kulturową czystość shogunatu Tokugawów, podkreślając mistyczną wyjątkowość swego narodu, jego nihonjinron, boską japoń-skość przekazaną im w spadku przez boginię Słońca, Amaterasu. Wielu pozbawionych pana samurajów, którzy zwali siebie shishi, poprzysięgło wypędzić wszystkich intruzów. Doszło nawet do zabójstw, ale Shirai w swoim pamiętniku twierdził obłudnie, że nie popiera rozlewu krwi, że chodzi mu raczej o stworzenie powszechnego ruchu politycznego, w ramach którego Armia Amaterasu mogłaby urzeczywistnić hasło owych późniejszych naśladowców Oshiego: „Precz z barbarzyńcami” — i zwrócić Japonię Japonii.

W tym kontekście Oshio wydawał się rzeczywiście właściwym wzorcem dla Shiraiego. Cała ta sprawa miała jednak także pewne kłopotliwe konsekwencje, o których Shirai albo w ogóle nie wiedział, albo też wolał pominąć je milczeniem, gdyż w tym miejscu zmieniał temat i zaczynał rozwodzić się nad swoją patriotyczną gorliwością, z jaką obmyślił i zorganizował Armię Amaterasu. Jego dziennik przemilczał też, że spadkobiercy Oshiego radykalizowali się tak bardzo, iż pierwotne hasło ich zmarłego przywódcy: „Nakarmić biedaków” — zmieniło się w ich ustach w: „Przepędzić barbarzyńców”, „Dbaj o czystość Japonii” i ostatecznie przybrało formę: „Czcij cesarza”. Poczynając od 1600 roku shogunowie z rodu Tokugawów trzymali cesarzy na uboczu, w Kioto, z dala od rzeczywistego ośrodka władzy, który mieścił się w obecnym Tokio. Naśladowcy Oshiego, zniekształcając nieświadomie jego intencje, utożsamiali swoją japoń-skość z dawną świętością instytucji cesarstwa, domagali się więc jej przywrócenia, sprowadzenia cesarza z Kioto do stolicy i ponownego ustanowienia go symbolem wielkości Japonii.

Tak więc w 1867 roku doszło do Restauracji Meiji. Po ponad dwustu pięćdziesięciu latach istnienia shogunat Tokugawów upadł, a wyrachowani politycy stwierdzili, że ta zdumiewająca zmiana na najwyższych szczeblach władzy może im przynieść zarówno finansowe, jak i polityczne korzyści. Kontrolując cesarza i jego otoczenie, przechwycili

wszystkie korzyści płynące z wizyty „Czarnych okrętów”.

Masayoshi Hotta już w 1857 roku, zaledwie w cztery lata po przybyciu floty komandora Perry'ego, potrafił przewidzieć dalszy rozwój wypadków:

*Jestem przekonany, że powinniśmy postawić wszystko na tę kartę, podpisać układy o przyjaźni, rozesłać statki na wszystkie strony*

*i prowadzić handel, naśladować obcych w tym, w czym są najlepsi, aby w ten sposób uzupełnić nasze braki, wzmocnić siły narodu i skompletować uzbrojenie, a potem stopniowo poddawać obcokrajowców naszym wpływom, aż wreszcie w końcu wszystkie kraje zazną błogosławieństwa idealnego pokoju, gdy nasza hegemonia zostanie uznana na całym świecie.*

Usiłując zmienić bieg historii, Shirai nie dostrzegał tych faktów, Akira natomiast znał prawdę. Świadczy o tym to, co powiedział Dzikusowi w drodze do kryjówki Shiraiego na szczycie góry: „Możemy starać się czerpać naukę z historii, ale nie jesteśmy w stanie odwrócić jej biegu”. Mówiąc innymi słowy, pomyślał Dzikus, poruszamy się naprzód, i to nieodwracalnie. Można wspierać się na przeszłości, terażniejszość jednak, która tkwi pomiędzy dniem wczorajszym a jutrzejszym, to coś zupełnie innego, to nowe elementy, dzięki którym jutro zawsze będzie inne od wczoraj.

Nie ma dla nas powrotu, stwierdził ze smutkiem, wspominając beztroską szczęśliwość dzieciństwa i tę straszną noc, kiedy jego ojciec się zastrzelił.

Ale co w takim razie z ambicją, nadzieją, a przede wszystkim z miłością? Czy rzeczywiście są one z góry skazane na klęskę, ponieważ terażniejszość jest zaprogramowana przez przeszłość, choć od pewnego miejsca już od niej oddzielona, a przyszłość jest z samej definicji zmienną, którą sterują nieprzewidywalne zdarzenia?

Jamais vu. Deja vu.

Fałszywe wspomnienia. Dezinformacja.

Od miesięcy przeżywałem ponownie przeszłość, która nie była prawdziwa, pomyślał, a potem nadeszła chwila w terażniejszości, pozornie kopiująca dokładnie przeszłość, ale tylko pozornie. Tak... Akira umarł, ale jego śmierć nie była idealną powtórką mego koszmaru. Został pozbawiony głowy, która spadła na podłogę, potoczyła się ku mnie i jej oczy mrugnęły...

Ale zanim jego ciało upadło, martwe już ręce podały mi miecz.

To nie było to samo. To nie była przeszłość.

A więc może jednak jesteśmy w stanie odwrócić, zmienić to, co pozostało za nami?

Tyle że w takim wypadku przeszłość byłaby kłamstwem, czymś, co nigdy się nie zdarzyło. Wszystko to byłoby tylko złośliwym figlem, splątany nam przez pamięć.

Ale czyż nie jest tak ze wszystkim? Przypomnij sobie, co czytałeś w książce, którą ci dał doktor Santizo. Pamięć to nie to, co stało się rok, miesiąc czy nawet dzień temu. To miniona sekunda, chwila, w której przeszłość graniczy z terażniejszością, a ta z kolei ociera się o przyszłość. Jesteśmy uwięzieni we własnej świadomości w momencie postrzegania rzeczywistości. Przeszłości nie sposób udowodnić, przyszłość jest zagadką. Zawsze istniejemy tylko t e r a z, aż do śmierci.

A zatem co z nadzieją i miłością? Co z Rachel? Co z jutrem?

Ale przecież Rachel zna prawdę, którą tak często mi powtarzała: „Abraham wierzył prawem absurdu”.

Dopóki więc postępować będę w dobrej wierze, choć wiem, że czeka mnie ból i niedola...

...dopóki prę do przodu...

...w dobrej wierze...

...wbrew niedoli...

...wbrew bólowi...

...z Bożą pomocą...

...prawem absurdu...

...dopóty nie stanę się igraszką losu.



## Zmowa kłamstw

Koszmar Dzikusa podwoił się teraz, stał się ohydny, podwójnie naświetlony filmem, na którym Akira ginął dwa razy i dwukrotnie umierał Kamieni. Leżąc sparaliżowany w kałuży krwi i patrząc na odciętą głowę Akiry, w której mrugały smutne, pełne łez oczy, Dzikus krzyczał i usiłował się podnieść.

Powstrzymały go czyjeś ręce, a kojący głos zaczął go uspokajać. Przez chwilę Dzikus nie był pewien, czy nie znalazł się przypadkiem znów w hotelu w Filadelfii, gdzie Akira uspokajał go, gdy z krzykiem budził się z koszmarnego snu. Przebłysk nadziei natychmiast zmienił się w strach, kiedy Dzikus uświadomił sobie, że gdyby był wciąż jeszcze w Filadelfii, jego nieszczęsne finalne starcie z Shiraim dopiero miałyby się zdarzyć. Teraźniejszość byłaby przeszłością, a potworna przyszłość jeszcze nie byłaby przecierpiana.

Ta przerażająca myśl sprawiła, że Dzikus chciał krzyknąć raz jeszcze, ale uspokoiły go te same delikatne ręce i cichy głos. Nagle zorientował się, że głos należy do Rachel, on sam zaś siedzi bez sił na futonie z głową całą w bandażach, które spowijają również ciasno jego klatkę piersiową, a na prawym ramieniu ma opatrunek gipsowy. Wstrząsnął nim dreszcz, przypomniał sobie bowiem szpital w Harris-burgu, w którym nigdy nie był, opatrunki krępujące jego ciało, choć nogi i ręce były całe, i jasnowłosego, nigdy nie istniejącego lekarza.

— Nie powinieneś się denerwować — powiedziała Rachel. — Nie ruszaj się, nie próbuj wstawać. — Ostrożnie pomogła mu ułożyć się z powrotem na futonie. — Musisz odpoczywać. — Nachyliła się nad nim i ucałowała go w pokryty gęstym zarostem policzek. — Jesteś bezpieczny. Obiecuję, że będę cię ochraniać. Staraj się uspokoić i zasnąć.

Myśli Dzikusa rozjaśniały się powoli i dotarła do niego ironiczna wymowa zamiany ról. Rachel ochrania jego! Pomimo zamętu w głowie próbował się uśmiechnąć, poczuł jednak taki ból, jakby jakieś ostrze wwierciło się w jego mózg. Przymknął oczy.

— Gdzie jestem?

— U Taro — odpowiedziała Rachel. Dzikus spojrzał na nią z zaskoczeniem.

— Ale jak... — zapytał z trudem.

— Sprowadzili cię ci dwaj mężczyźni, którzy pozostali z wami, kiedy śledziliście Shiraiego.

— Dalej nie rozumiem... Jak...?

— Mówili, że ty i Akira kazaliście im czekać u stóp góry, kiedy ruszyliście na szczyt.

Pomimo bólu Dzikus kiwnął twierdząco głową.

— Po dwóch godzinach usłyszeli strzały — ciągnęła Rachel. — Ogień pojedynczy i serie z broni maszynowej. Twierdzili, że brzmiało to jak mała wojna. Wkrótce potem drogą z góry zjechały dwa samochody i szybko się oddaliły.

Dzikus głęboko zaczerpnął świeżego powietrza, usiłując się skoncentrować.

— A potem...? — Głos mu się załamał.

— Oszczędzaj siły. Ja będę mówić. Chce ci się pić?

— Tak — zdołał wyszeptać przez spieczone, pokryte strupami wargi.

Rachel wzięła szklankę z wodą i wsunęła mu do ust wygiętą rurkę. Dzikus ssał wodę, choć miał trudności z przelknięciem. Nie przerwałby picia, gdyby Rachel nie zabrała szklanki.

— Poczujesz się gorzej, jeśli będziesz pił za szybko. — Przyjrzała mu się uważnie, a potem mówiła dalej: — Obaj mężczyźni zdecydowali się sprawdzić, co się tam stało...

Dzikus znowu przymknął oczy.

— Chce ci się spać? Możemy o tym porozmawiać później.

— Nie — wydyszał Dzikus. — Chcę... muszę wiedzieć.

— Uczniowie Taro uznali, że strzelanina była dziełem ludzi w samochodach. Ponieważ piesza wspinaczka na górę zabrałaby im zbyt dużo czasu, zaryzykowali i pojechali drogą na

motocyklach.

Dzikus słabo poruszył swą sprawną ręką, dając jej znak, aby mówiła dalej.

— W pobliżu wierzchołka ukryli swoje motory i przekradli się przez las — opowiadała Rachel. — Natknęli się na wielki budynek, a raczej wiele różnych budynków, dziwacznie połączonych ze sobą.

Przypominało mi to twój opis „Górskiego Ustronia” w Medford Gap. — Zawahała się. — Na trawniku było pełno trupów. Przez twarz Dzikusa przebiegł skurcz.

— Wtedy powróciły samochody, obaj mężczyźni musieli się więc ukryć. Ludzie z samochodów weszli do wnętrza. Uczniowie Taro odczekali nieco, a potem poszli za nimi i znaleźli jeszcze więcej zabitych.

— Tak — powiedział Dzikus — było ich bardzo wielu. — Nozdrza go paliły wspomnieniem metalicznego zapachu krwi. — Wszędzie.

— Wtedy usłyszeli znowu strzały na wyższych piętrach. Nie wiedzieli, czego mogą się spodziewać. Było ich tylko dwóch, musieli więc poruszać się bardzo ostrożnie. Kiedy dotarli do trzeciego piętra, zobaczyli, że jest dosłownie zasłane trupami. — Rachel zagryzła wargę. — Akira leżał bez głowy, Shirai był przerąbany na pół, a trzech mężczyzn z drewnianymi mieczami szykowało się właśnie do rozwalenia ci głowy w drobny mak. Uczniowie Taro złapali leżące na podłodze pistolety i zastrzelili tych trzech, zanim zdołali cię zabić.

Dzikus poczuł, że jego koncentracja słabnie. Siłą woli powstrzymywał zawroty głowy, pragnąc dowiedzieć się reszty.

— Wciąż jednak nie powiedziałaś mi, jak się tu znalazłem?

— Jeden z uczniów Taro pojechał na motorze do pobliskiej wsi, gdzie ukryli wasz samochód. Wrócił nim, załadował ciebie i Akirę i przyjechał do domu Taro, a drugi z nich towarzyszył mu na motocyklu. Taro nakazał im wrócić na górę, aby zabrać pozostały motor i ułożyć ciała tak, żeby się wydawało, iż kilku ludzi Shiraiego próbowało go zabić, a pozostali go bronili. Jak wynika z gazet, władze dały się nabrać na ten podstęp, choć nikt nie potrafił wytłumaczyć, jaka była przyczyna buntu.

Świadomość Dzikusa zaczynała gasnąć.

— Taro zaopiekował się tobą — mówiła dalej Rachel. — Oczyszczył twoje rany, nastawił ci ramię, słowem zrobił wszystko, co mógł. Odwiezienie cię do szpitala byłoby zbyt ryzykowne, zwróciłoby na ciebie uwagę, ale wkrótce, gdybyś dalej nie odzyskiwał przytomności, sama bym się upierała, żeby oddać cię pod opiekę lekarzy.

Dzikus chwycił ją za rękę. Jego myśli blakły i szarzały.

— Nie opuszczaj mnie.

— Nigdy.

Odplýwał, zapadał się — i znowu przeżywał swój koszmar, a właściwie dwa koszmary, nałożone jeden na drugi.

Kiedy obudził się znowu, czuł się silniejszy i bardziej rzeński, chociaż nadal całe ciało miał obolale, a w głowie go łupało. Obok niego siedziała Rachel, trzymając go za rękę.

— Chce ci się pić? — zapytała.

— Tak... i jeść. Rozjaśniła się.

— Muszę cię zostawić na chwilę. Jest tu ktoś, kto chciałby cię pozdrowić.

Kiedy wyszła, Dzikus spodziewał się, że powróci z Taro, ale zamiast niego ku swej radości zobaczył w drzwiach Eko. Jej twarz naznaczona była bólem po stracie Churiego, ale oczy błyszczały z radości, że może usłużyć Dzikusowi. Niosła tacę, na której była filiżanka herbaty i miseczka rosołu.

Obok niej stała Rachel i obie kobiety wymieniły spojrzenia, które mówiły więcej niż słowa. Rachel gestem zachęciła Eko, aby przysiadła na futonie i nakarmiła Dzikusa bulionem, sama zaś od czasu do czasu podawała mu łyk herbaty.

Rozgrzany ciepłym rosołu i herbaty, Dzikus westchnął i odezwał się do Eko:

— A więc ludzie Taro w końcu uwolnili cię. — W tej samej chwili przypomniał sobie, że przecież Eko nie zna angielskiego.

— Nie wiem, jakie problemy wynikły w trakcie akcji ratunkowej — wyjaśniła mu Rachel — ale tej samej nocy, kiedy pojechałeś za Shiraim w góry, uczniowie Taro powrócili z Eko.

— Akira — przez chwilę wzruszenie nie pozwalało Dzikusowi wydobyć głosu — byłby taki uradowany, tak niezmiernie wdzięczny. Przynajmniej jedna rzecz się powiodła... Boże, jak bardzo mi go brakuje. Wciąż nie mogę uwierzyć, że on... Czy Eko wie, że Akira nie żyje?

— Pomagała przygotować jego ciało do uroczystości pogrzebowych.

— Bardzo bym chciał jej powiedzieć, jak mi żal — powiedział Dzikus.

— Ona to rozumie i współczuje ci.

— Arigało. — Bliski łez, Dzikus dotknął ręki Eko, a ona skłoniła głowę.

— Uczniowie Taro przywieźli jeszcze kogoś — powiedziała Rachel.

— Co? Kogo?

— To skomplikowana sprawa. Kiedy już nabierzesz dość sił, zobaczysz sam.

— Jestem wystarczająco silny już teraz. — Zdołał usiąść.

— Na pewno? — spytała Rachel. — Obawiam się, że...

— Teraz — powiedział Dzikus. — Pomóż mi wstać. Zbyt wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Jeżeli to jest ta osoba, o której myślę... Proszę cię, Rachel, pomóż mi.

Trzeba było wspólnych wysiłków Rachel i Eko, aby mógł stanąć na nogach i utrzymać równowagę. W asyście dwóch podpierających go kobiet pokuśtykał ku zasuwanej płycie drzwi.

Światło boleśnie uderzyło go w oczy. Znajdował się w pokoju z niskim drewnianym stołem, wokół którego ułożono poduszki. Po jednej stronie stołu siedział ze skrzyżowanymi nogami Taro, po drugiej zaś stronie...

Dzikus wlepił oczy w dobrze ubranego szpakowatego mężczyznę po pięćdziesiątce, którego znał jako Philipa Haileya.

Tym razem jednak Hailey był nie ogolony, w wymiętym garniturze, z rozluźnionym krawatem i rozpiętym kołnierzykiem przy koszuli.

Jego ręce trzęsły się bardziej niż ręce Dzikusa, a w oczach brak było wyrazu zimnego wyrachowania.

— Ach — westchnął Dzikus i opadł na poduszkę. — Zamyka się kolejny krąg. Kim jesteś?

— Znasz mnie jako...

— ...Philipa Haileya, tak. To ty byłeś w moim koszmarze w nie istniejącym „Górskim Ustroniu” w Medford Gap, i ty mnie ścigałeś w Świątyni Meiji, a Kamichi... Shirai powiedział mi, że jesteś moim łącznikiem, że ty i ja pracujemy dla CIA. Odpowiedz na moje pytanie: kim do diabła jesteś?

Wybuch gniewu wyczerpał Dzikusa. Zachwiał się, lecz Rachel go podtrzymała.

— Jeżeli nie pamiętasz, Doyle, to ze względów bezpieczeństwa lepiej byłoby nie używać prawdziwych nazwisk.

— Nie nazywaj mnie tak, ty łajdaku. Może Doyle to moje nazwisko, ale ja nie uważam go za swoje.

— Dobrze, więc będę cię nazywał Roger Forsyth, bo to twój pseudonim w Agencji.

— Nie, do cholery, będziesz używał wobec mnie innego pseudonimu. Tego, którego używałem, kiedy pracowałem z Grahamem. Wymień go.

— Dzikus.

— Dobrze. A teraz powiedz mi, co się ze mną stało? Chryste Panie, kto i co zrobił z moją głową?

Hailey szarpnął za kołnierzyk i trzęsącymi się rękami odpiął następny guzik.

— Nie upoważniono mnie, żeby ci to powiedzieć.

— Mylisz się. Masz najlepsze upoważnienie, jakie istnieje. Moje zezwolenie. A jak nie, to, kurwa, połamię ci ręce i nogi i... — Dzikus wziął nóż ze stołu. — A może obetnę ci palce, a potem...

Twarz Haileya pobladła. Podniósł ramiona w dramatycznym geście.

— Dobra, w porządku, ale uspokój się. Wiem, że wiele przeszedłeś. Rozumiem, że jesteś zdenerwowany, ale...

— Zdenerwowany? Ty skurwysynu, chciałbym cię zabić. Mów. Powiedz mi wszystko i nie przerywaj.

— To wszystko dlatego, że się — pierś Haileya unosiła się w ciężkim oddechu — przeliczyliśmy. Widzisz, to się zaczęło od... Może o tym nie wiedziałeś... Wojsko pracowało nad czymś, co nazwano „pigułkami odwagi”.

— Co...?

— Chodzi o to, że niezależnie od wykszolenia żołnierza nie można nic poradzić na to, że w czasie walki będzie się bał. Jest to naturalne. Jeśli ktoś strzela do ciebie, mózg wysyła alarmowy sygnał do twoich nadnerczy i zaczynasz się bać. Drżysz, chcesz uciekać. To instynkt samozachowawczy. Oczywiście ktoś z SEAL, taki jak ty, wytrenowany w sposób niemal doskonały, może zapanować nad tym odruchem, ale przeciętny żołnierz nie. A jeśli ucieknie, to sprawa skończona. Wojskowi wymyślili więc, że można zaradzić temu chemią. Gdyby żołnierz wziął taką pigułkę przed spodziewaną bitwą, środek chemiczny zablokowałby sygnał alarmowy, toteż żołnierz nie czułby strachu i mógłby skutecznie walczyć. Problem był jednak w tym — ciągnął Hailey — że choć testowany środek działał doskonale w sytuacji bojowej, wszystkie towarzyszące jej przeżycia pozostawały, utrwalone w pamięci, i w końcu powodowały załamanie psychiczne żołnierza, które czyniło go bezużytecznym w następnych akcjach.

— Tak — powiedział Dzikus. — Doskonale wiem, co to znaczy. — Zamierzył się w rękę Haileya nożem.

— Mówiłem ci, Dzikus, uspokój się. Powiem ci wszystko, co zechcesz.

— No to mów.

— Wojskowi uznali, że „pigułki odwagi” działają dobrze, a problem jest tylko z pamięcią, ale kiedy zastanowili się nad pourazowym zaburzeniem reakcji stresowej, doszli do wniosku, że można rozwiązać ten problem i upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Z jednej strony ulżyć cierpieniom weteranów z Wietnamu, którzy nie mogą dać sobie rady ze swymi wspomnieniami, z drugiej zaś zagwarantować skuteczne działanie pigułek, jeżeli uda się usunąć pamięć o strasznych przeżyciach, które owe pigułki nakazywały traktować jako coś normalnego.

— Neurochirurgia. — Dzikusowi głos się załamał.

— Tak, właśnie — odrzekł Hailey. — A więc zaczęli eksperymentować z usuwaniem wspomnień urazu, co zresztą okazało się łatwiejsze, niż przypuszczali, gdyż istniały już odpowiednie metody. Przy leczeniu niektórych przypadków epilepsji neurochirurdzy umieszczali elektrody w mózgu i drażniąc go w różnych miejscach odnajdywali grupy neuronów, które były przyczyną choroby. Chirurg usuwał następnie te komórki i epileptyk był wyleczony, ale nieuniknioną zapłatą za poprawę stanu pacjenta była częściowa utrata pamięci. Wojskowi chcieli posłużyć się tą samą techniką w celu usunięcia wspomnień walki, które u żołnierzy były przyczyną pourazowych zaburzeń reakcji stresowych. To był genialny pomysł.

— Jasne — powiedział Dzikus, czując pokusę zatopienia noża w sercu Haileya.

— Ktoś jednak słusznie zauważył, że żołnierzom będą pozostawać luki, pustka w pamięci, która spowoduje niepokojące poczucie, że z człowiekiem stało się coś ważnego, czego nie może sobie przypomnieć. Ten niepokój wpływałby niekorzystnie na ich zdolność do dalszej walki, dlaczego by więc nie spróbować wstawić im w pamięć innych wspomnień, fałszywych oczywiście, ale miłych i uspokajających? Narkotyki plus filmy i drażnienie elektrodami załatwiały całą sztuczkę.

— Taa... — odezwał się Dzikus. — Świetna sztuczka.

— A potem ktoś jeszcze wymyślił, że zamiast przyjemnych wspomnień można wstawić takie, które będą motywowały pacjenta do działania zgodnie z naszymi zamiarami, zaprogramują go, aby zrobił...

— Chwytam, o co chodzi — powiedział Dzikus, postukując nożem w rękę Haileya. — A teraz opowiedz o mnie. Gdzie ja się mieszczę w tym wszystkim?

— Japonia. — Hailey poruszył się nerwowo, patrząc na nóż. — Paskudnie nas urządzili w Pearl Harbor, ale myśmy ich pobili, rozdeptali, przyłożyliśmy im atomówką, i to dwa razy, a potem siedem lat wbijaliśmy im do głów, żeby nie próbowali z nami jeszcze raz. A oni znowu swoje. Tym razem nie wojskowo, lecz finansowo. Wykupują nasz kraj, zarzucają swoimi towarami nasz rynek, mają nasze pieniądze, kontrolują nasz deficyt handlowy. To oni są odpowiedzialni za nasz dług państwowy.

Pomarszczona twarz Taro poczerwieniała z wściekłości. Jego oczy płonęły.

— Trzymaj się tematu — powiedział Dzikus.

— Grupa ludzi z Agencji, ale nie sama Agencja — mówił Hailey — bo ona jest zbyt ostrożna, a więc nasza grupa postanowiła naprawić tę sytuację. Wiedzieliśmy o Shiraim, który już od dłuższego czasu starał się naruszyć status quo Japonii. Na przykład zeszłoroczny skandal z kupowaniem wpływów, kiedy to korporacja Recruit dawała łapówki czołowym politykom w postaci akcji o zaniżonej cenie, które wkrótce stawały się warte fortunę — za tym krył się Shirai. Kontrolował tę korporację przez podstawionych ludzi, a jednocześnie jego gazety zamieszczały przecieki informacyjne. Upadło wtedy wielu polityków, ówczesnych i byłych przywódców partii, jeden premier, a potem drugi. Cały system balansował na krawędzi katastrofy. Shirai zamierzał wkroczyć w odpowiednim momencie, by przejąć władzę, posługując się swoim bogactwem i wpływami, ale potrzebny był mu do tego jakiś incydent, jakieś wstrząsające zdarzenie o wymowie symbolu, które wywołałoby oburzenie i przyciągnęło do niego wystarczająco wielu zwolenników, aby zjednoczyć naród i osiągnąć cel — ekspansję, ale do wewnątrz, a nie na zewnątrz. Odrzucenie świata, ograniczenie Japonii do samej siebie. Mojej grupie w Agencji bardzo się to spodobało.

— Więc zdecydowaliście się mu dopomóc? — Dzikus ścisnął trzonek noża.

— A dlaczego by nie? Cele Shiraiego były zbieżne z naszymi. Gdyby Japonia zwróciła się do wewnątrz, przywróciła kulturową izolację i zlikwidowała handel zagraniczny, Ameryka przestałaby się dusić pod lawiną japońskich towarów. Mielibyśmy szansę uregulować deficyt handlowy, zmniejszylibyśmy, a może nawet zlikwidowali całkiem nasze długi państwowe. Człowieku, co za możliwości!

— Byliście gotowi pomagać... Na pewno przecież zorientowaliście się, że Shirai to szaleniec.

Hailey wzruszył ramionami.

— Wszystko jest względne. Woleliśmy myśleć o nim jako o idealistcie.

Dzikus zaklął.

— Agencja miała na oku Shiraiego już od dość dawna — ciągnął Hailey. — Jeden z jego zastępców był na naszym żołdzie. Dostarczał nam najświeższych wiadomości o poczynaniach Shiraiego, a my przez mego informowaliśmy o skandalach, w które wplątani byli politycy i wysocy urzędnicy, co dopomagało Shiraiemu w skłócaniu i rozbijaniu japońskiej elity władzy. Oczywiście Shirai nic nie wiedział o naszej pomocy, a my tylko czekaliśmy, kiedy nasza inwestycja zacznie przynosić zyski.

— To nie ma nic wspólnego ze mną — powiedział Dzikus.

— Obawiam się, że ma — odparł Hailey i wytarł pot z policzka. — Dopiero całkiem niedawno stwierdziłem, że część ludzi z naszej grupy utworzyła swoją własną frakcję. Jesteśmy konserwatystami i jesteśmy z tego dumni, ale tamci faceci... — Przełknął nerwowo ślinę. — Właśnie oni pomyśleli sobie: dlaczego by nie pójść na całość? Dlaczego by nie dać Shiraiemu szansy zaaranżowania sensacyjnego incydentu, dzięki któremu uzyskałby wszelką pomoc, jakiej mu potrzeba? Co by to było, gdyby się okazało, że Amerykanie czują się tak zagrożeni działalnością Shiraiego, że aż nasłali mordercę, funkcjonariusza CIA, aby go uciszył? Próba nie powiedzie się i agent zostanie zabity. Wtedy Shirai ujawni związki mordercy z Agencją i cała Japonia zawrze oburzeniem. Jeżeli z powodu zgubienia przez nas bomby atomowej o osiemdziesiąt mil od ich wybrzeża

demonstrowały dziesiątki tysięcy Japończyków, to manifestacje z powodu próby zamachu uknutego przez Amerykanów zgromadziłyby wieśset tysięcy, a może nawet miliony ludzi.

— Ci faceci są równie stuknięci jak Shirai. Co by to dało Ameryce, gdyby Japonia zwróciła się przeciw nam?

— Nie rozumiesz? Gdyby związki między naszymi krajami zostały zerwane, ustałby import japońszczyzny. Wygralibyśmy wojnę ekonomiczną — powiedział Hailey.

— No dobrze, ale przypuścimy, że Japonia wtedy zbratałaby się z Chinami albo z Sowietami.

— Nie, tak by się stać nie mogło, ponieważ Japonia nie jest w stanie współpracować ani z jednymi, ani z drugimi. Chińsko-japońska nienawiść trwa już od setek lat, a do Związku Radzieckiego Japonia ma pretensję o łańcuch wysp na pomocy, które do niej należały aż do końca drugiej wojny światowej.

Dzikus potrząsnął głową.

— Kompletne szaleństwo.

— Ta grupa odszczepieńców w Agencji postarała się, aby zastępca Shiraiego przedstawił mu ten plan, i Shiraiemu bardzo się on spodobał. Zwróć uwagę, że Shirai w dalszym ciągu nie wiedział, że jest to propozycja amerykańska. I tu właśnie — powiedział Hailey — ty wchodzisz na scenę. Niezależnie od tego, czy jest to w zgodzie z prawem, czy nie, jedna sprawa to nakazać funkcjonariuszowi zamordowanie kogoś, a całkiem inna posłać go na samobójczą misję. Tego nikt się nie podejmie, potrzebowano więc agenta, który nie wiedziałby, na co się naraża. A najlepiej, gdyby w ogóle nie wiedział, że pracuje dla Agencji.

— To jakiś absurd. Jak można byłoby... Hailey pocił się coraz bardziej.

— Zwerbowałeś cię, kiedy byłeś jeszcze w SEAL. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim udawałeś, że jesteś oburzony amerykańską inwazją na Grenadę. Powtarzałeś, że była to bezsensowna i niepotrzebna akcja o politycznych motywach, że twoi kumple z SEAL ginęli, żeby prezydent-aktor zyskał jeszcze większą popularność. Upijałeś się, wygłaszałeś przemowy w barach, pobiliś się ze swoim najlepszym przyjacielem.

— Z Makiem.

— Tak — potwierdził Hailey. — On też był częścią planu i przysiągł dochować tajemnicy. Razem zdemolowaliście bar i wtedy Mac oświadczył publicznie, że zabije cię, jeśli cię jeszcze raz spotka. Potem wystąpiłeś z SEAL i zostałeś samodzielnym obrońcą.

— Wyszkolonym przez Grahama.

— To też należało do naszego planu. W ten sposób zostałeś zakonspirowany jako Amerykanin, który nienawidzi polityki własnego rządu. Któż mógłby podejrzewać, że w rzeczywistości pracujesz dla Agencji i że każdy wpływowy klient, którego ochraniaasz, jest dla ciebie źródłem informacji? Obrońca, który ślubował lojalność, miewa dostęp do wielu brudnych spraw. Dzięki uzyskanym od ciebie informacjom mogliśmy wywierać nacisk na wielu ważnych ludzi.

Czując mdłości, Dzikus obrócił się do Rachel.

— Wspominałaś po śmierci Maca o takiej możliwości, pamiętasz? Ale ja nie chciałem w to uwierzyć. — Znów spojrział na Haileya. — Więc przez tyle lat byłem — poczuł smak żółci w gardle — szantażystą?

— No, nie jest tak źle. Nie oskarżaj sam siebie. Wielu ludziom uratowałeś życie. Jesteś utalentowanym obrońcą.

— Ale to nie zmienia faktu, że przyrzekałem moim klientom wierność, a potem ich zdradzałem — warknął Dzikus.

— Nie wszystkich. Większość twoich zleceń była wykonywana uczciwie, aby cię nie zdekonspirować... Ale niektórzy klienci... Tak, zdradzałeś ich, ale uwierz mi, oni zasługiwali na zdradę.

Dzikus wpatrywał się w błyszczący nóż, który trzymał w ręku.

— A ty byłeś moim łącznikiem i właśnie od ciebie ta frakcyjna grupa dowiedziała się o mnie...

— Spełniałeś idealnie wszystkie warunki. Człowiek świetnie wyszkolony wojskowo i

biegły w sztuce ochrony, z umiejętnościami, które pozwalały mu rozpoznać i przełamać każdy system zabezpieczeń. Głęboko zakonspirowany agent, którego braku nikt nie zauważy, jeżeli na pewien czas zniknie z pola widzenia. Poza tym był jeszcze jeden szczegół z twojej przeszłości, szczegół o decydującym znaczeniu.

— Co za szczegół?

— Poczekaj, Dzikus, tutaj zatrzymamy się na chwilę...

— Powiedz mi. Jaki to szczegół?

— Nie, teraz się potargujemy — odrzekł Hailey. — Nie opowiadam ci tego wszystkiego dla przyjemności. Ci faceci, którzy mnie tu sprowadzili, mogą mnie równie dobrze zabić, jak puścić wolno. Balansuję na linie. Moją ceną za przekazanie owego istotnego szczegółu z twojej przeszłości jest moja wolność. Jesteś bardzo czuły na punkcie honoru, a więc dobrze — chcę twojego słowa, chcę, żebyś przysiągł, że jeśli ci powiem, wyjdę stąd żywy. A teraz coś na przynętę: ta informacja dotyczy twojego ojca.

Dzikus ścisnął nóż tak mocno, że jego knykcie pobielwały.

— Co wiesz o moim ojcu?

— Nie będzie ci się to podobało.

— Zastrzelił się. Jeżeli to jest ten twój parszywy sekret, to już go znam.

— Tak, zastrzelił się — powiedział Hailey. — Pytanie tylko, dlaczego...?

— Brał udział w przygotowywaniu inwazji w Zatoce Świń. Kiedy ta akcja skończyła się fiaskiem, władze domagały się wskazania winnego, a wtedy mój ojciec, niech spoczywa w spokoju... był tak niewiarygodnie lojalny, że się zgodził. Wzdał całą winę na siebie i zrezygnował z pracy, ale upokorzenie zniszczyło jego ducha. Agencja była dla niego wszystkim. Poza nią nie miał żadnego celu w życiu. Zaczął pić, ale alkohol tylko pogłębiał pustkę, więc w końcu strzelił sobie w łeb.

— I tak, i nie.

— O czym ty mówisz?

— Umowa — powiedział Hailey. — Chcę stąd wyjść, a płacę za to prawdą o samobójstwie twego ojca.

— Jaką prawdą? Mój ojciec nie żyje. Jaka może być jeszcze prawda?

— Umożliw mi wyjście stąd, a dowiesz się.

— A może nie chcę wiedzieć? Może gdybym zabił cię już teraz... Hailey pokręcił głową.

— Żałowałbyś tego do końca życia. Zawsze chciałeś znać wszystkie tajemnice. Będę z tobą szczerzy. Ta prawda zada ci wielki ból, ale właśnie dlatego chcesz ją poznać.

Dzikus wlepił w niego wzrok.

— Ty... — Przypomniał sobie ze zgrozą tę noc, kiedy znalazł ciało ojca z ręcznikiem pod głową, aby zmniejszyć rozprysk krwi i mózgu. — Masz moje słowo.

— Nie tylko twoje. Chcę mieć jeszcze słowo tego człowieka. — Hailey wskazał na Taro.

— On nie ma żadnych zobowiązań wobec mnie, a poza tym jestem gaijinem. Wątpię, aby czuł się związany twoim słowem czy miał wyrzuty sumienia, gdyby mnie zabił.

Dzikus powoli obrócił się, kierując oczy na łysego, pomarszczonego, surowo spoglądającego Japończyka.

— Taio-sensei... — Skłonił się, starając się dobrać właściwe słowa. — Taro-sensei, zwracam się do ciebie z oficjalną prośbą o przysługę. Akira wytłumaczył mi, co wiąże się z takim żądaniem, a więc zgadzam się zostać twoim wiecznym dłużnikiem. Przyjmuję zobowiązania prawa giń. Proszę cię... z całym szacunkiem, błagam cię... oszczędź życie tego człowieka, jeżeli powie mi to, co muszę wiedzieć.

Taro zmrużył oczy, ważąc decyzję.

— Proszę cię o to — dodał Dzikus — przez wzgląd na pamięć

Akiry.

Taro jeszcze bardziej przymrużył oczy, wodząc nimi od Haileya do Dzikusa, tam i z powrotem.

— Dla Akiry? — zapytał wreszcie. — Hai. — Skłonił się.

— Dobra, Hailey, umowa stoi. Masz nasze słowo — powiedział Dzikus, ale tamten

jeszcze zwlekał.

— Pracuję w Agencji już tak długo, że nie przywykłem robić niczego na wiarę — stwierdził.

— Mów!

— W porządku, wierzę ci. A więc... twój ojciec popełnił samobójstwo, ale nie z tych powodów, które znasz. To nie miało nic wspólnego z Zatoką Świń.

— Co takiego?

— Twój ojciec kierował w Agencji komórką, która miała za zadanie zamordować Castro. Próbował wielokrotnie, ale każdy plan kończył się niepowodzeniem. Tymczasem Castro zorientował się w zamiarach Agencji i ostrzegł Stany, aby dano mu spokój, ale twój ojciec, związany rozkazami, nie wycofał się. Castro uznał wtedy, że tego już naprawdę za dużo, i zaaranżował zabójstwo prezydenta Kennedy'ego w Dallas. Twój ojciec zastrzelił się, ponieważ czuł się odpowiedzialny za śmierć Kennedy'ego.

— O Jezu! — Siły opuściły Dzikusa. Zaczął się osuwać do tyłu, lecz Rachel go podtrzymała.

— Mówiłem, że ci się to nie spodoba — powiedział Hailey — ale to prawda. A teraz kolej na ciebie, żebyś dopełnił umowy.

— Obiecałem — powiedział Dzikus z trudem — i będziesz mógł stąd wyjść. Ale dokończ...

— Ten właśnie szczegół z twojej przeszłości czynił z ciebie idealnego kandydata na zabójcę Shiraiego. Jaki ojciec, taki syn. W ten sposób Shirai mógłby nie tylko oskarżyć Stany Zjednoczone o próbę zamachu na jego życie, ale i powiązać ten zamach z zabójstwem Kennedy'ego i amerykańskimi usiłowaniami usunięcia Castro. Ujawniając te fakty, Shirai byłby w stanie przekonać swój naród, że jesteście bandą zbrodniarzy. O tak, nadawałeś się doskonale. Wszystko, co trzeba było zrobić, to wymazać te fragmenty twojej pamięci, które dotyczyły współpracy z CIA, a w to miejsce wszczepić potworny koszmar, który pchałby cię śladem Shiraiego.

— A co z Akirą? — westchnął Dzikus ze smutkiem. — Jakie jest jego miejsce w tym schemacie?

— Shirai chciał skompromitować japońską elitę władzy tak samo jak Amerykanów, dlatego więc nie miałyby użyć funkcjonariusza japońskiego wywiadu, który również był utajniony pod maską samodzielnego obrońcy? Jeżeli każdy z was sądził, że drugi zginął, a potem odkryliście, że obaj żyjecie, obaj musieliście zapragnąć poznać przyczynę waszego koszmaru. Niektóre z waszych posunięć były łatwe do przewidzenia — to, że pojedziecie do Medford Gap i stwierdzicie, że „Górskie Ustronie” nie istnieje, że udacie się do szpitala w Harrisburgu i przekonacie się, żeście nigdy tam nie byli, i tak dalej, i tak dalej. Oczywiście gdy tylko Shirai przystąpił do akcji, o czym zrobiło się głośno wszędzie, w prasie i w telewizji, musieliście rozpoznać w nim pryncypała, którego widzieliście przepołowionego, i z miejsca musieliście wyruszyć na jego poszukiwanie, aby stwierdzić, co wie o waszym koszmarze.

— Ale nie wszystko było do przewidzenia — powiedział Dzikus. — Na przykład moja decyzja, aby pojechać do Wirginii i porozmawiać z Makiem...

— Rzeczywiście. Dlatego po przygotowaniu was... nawiasem mówiąc, miało to miejsce w Japonii, w posiadłości Shiraiego... zanim nałożono wam gips na ręce i nogi, każdemu na jeden z zębów założono koronę z miniaturowym nadajnikiem radiowym. Było to o tyle łatwe, że i Akira, i ty, jak zresztą większość ludzi, już mieliście korony, a ich zamiana nie rzuca się w oczy nawet na zdjęciu rentgenowskim. Dzięki tym nadajnikom ludzie Shiraiego mogli was śledzić wszędzie, i gdyby było trzeba, popchnąć na właściwą drogę.

— Ale spotkanie z Makiem w Wirginii nie było na właściwej drodze.

— Tak — odrzekł Hailey. — Ludzie Shiraiego obawiali się, że Mac powie ci za dużo i zniszczy efekty naszych przygotowań. Musieli go więc zabić.



— I starali się porwać Rachel? Z jej przyczyny doszło do mojego spotkania z Akirą, ale potem już nie pasowała do planu — czy tak?

— Niestety, to prawda.

— A kim byli ci ludzie, których wziąłem za moich rodziców?

— Ci w Baltimore? — spytał Hailey. — Zwykła dekoracja. Żeby wprowadzić jeszcze więcej zamieszania. Z poduszczenia tej odszczepień-czej grupy w Agencji, która posługiwała się niektórymi ludźmi Shiraiego, chciał on wam tak zamieszać w głowach, żebyście natychmiast, gdy tylko go zobaczycie w telewizji czy w gazecie, rzucili wszystko i biegli się z nim spotkać. Oczywiście zawsze można było posłużyć się alternatywnym planem, to znaczy porwać ciebie i Akire, naszpikować was narkotykami, przewieźć do posiadłości Shiraiego i tam zabić, podczas gdy jego ludzie oddawaliby życie za ambicje swego wodza. Ten plan miał jedną istotną zaletę, a mianowicie prostotę. — Hailey wzruszył ramionami. — Ale to nie byłoby przekonujące, ponieważ powinniście pozostawiać za sobą ślady — w Grecji, w południowej Francji, w Ameryce, a przede wszystkim w Japonii. Stemple na waszych fałszywych paszportach, nie mówiąc już o rozmowach z taksówkarzami, pracownikami hoteli czy celnikami, to wszystko miały być ślady, które musieliście pozostawić, aby można było odtworzyć waszą drogę do Shiraiego.

— A śmierć Grahama? — Dzikus cały się trząsł.

— Agencja nie ma z tym nic wspólnego. Po tym, jak Graham zaaranżował dla ciebie i Akiry zlecenie w posiadłości Papadropolisa, ludzie Shiraiego uznali, że będzie im tylko zawadzał. Zabili go, starając się upozorować samobójstwo.

— A zatem Graham wiedział, co robi, kiedy wysyłał Akirę i mnie na Mykonos. To znaczy, że był lojalny w pierwszym rządzie wobec Agencji, a nie nas.

— Zadajesz zbyt wiele pytań. Nie grzeb za głęboko. Tak, był waszym przyjacielem, ale był również zawodowcem i musiał słuchać swoich przełożonych. A dlaczego by jeździł tam i z powrotem od Maryland do Massachusetts, pielęgnując ciebie i Akirę podczas rekonwalescencji? Kochał ciebie i Akirę, ale swoją profesję — a pamiętaj, że nie był obrońcą, lecz szpiegiem — kochał jeszcze bardziej. Dzikusowi zbierało się na wymioty. Oparł się o Rachel.

— Masz rację. Zadaję za wiele pytań. — Zdołał się wyprostować pomimo licznych bolesnych obrażeń. — Mam jednak jeszcze jedno.

— Pytaj, masz prawo. Zawarliśmy umowę. Ale potem wychodzę stąd.

— Dobra — powiedział Dzikus i zaczął z wysiłkiem wstawać. Rachel, niezawodna Rachel, dopomogła mu. Chwiejąc się w jej ramionach, Dzikus groźnie spoglądał w dół na Haileya. — Dobra, oto moje pytanie: czy w Świątyni Meiji chciałeś mnie zatrzymać, czy też przyspieszyć tempo naszych poszukiwań?

— Do diabła, chłopie, oczywiście, że zatrzymać. Plan się nam walił.

— A czy ta furgonetka była wasza?

— Zadałeś już jedno pytanie.

— Odpowiadaj mi, do jasnej cholery!

— Tak, nasza.

— Kto zastrzelił kierowcę?

— Ludzie Shiraiego. Pamiętaj o przekaźniku w twoim zębie. Mogli cię wszędzie śledzić, a nie chcieli, żebyśmy cię zatrzymywali.

— A co z...

— To już o dwa pytania za dużo — zauważył Hailey. — Chyba nie chcesz złamać umowy?

— Już niemal skończyłem. — Kolana pod Dzikusem zmiękły, lecz Rachel nadal go wspierała. — Kto napadł na dom Akiry i usiłował nas zabić?

— Człowieku, wiem tyle, co i ty.

— Nie — powiedział Dzikus. — Ty to zrobiłeś. Ty nakazałeś mordercom, aby nas sprzątnęli, ponieważ odkryłeś, do czego zmierzają te dupki z grupy odszczepieńczej, i

uznałeś, że trzeba to powstrzymać! A więc zdecydowałeś się wykończyć nas, a kiedy się nie udało, poszedłeś za nami do Świątyni Meiji, żeby tam nas zabić. Ty jesteś moim wrogiem, tak samo jak tamci idioci. Z tą jedną różnicą, że tobie prawdopodobnie kiedyś ufałem. Prawdopodobnie byłeś moim przyjacielem!

— No wiesz, Dzikus, przyjaźń a interesy...

Słabość ustąpiła miejsca furii, gniew zlikwidował ból. Zebrawszy wszystkie siły, Dzikus zamachnął się zdrowym ramieniem i — jakież to było wspaniałe uczucie! — rąbnął Haileya w sam środek twarzy. Trzasnęły zęby. Nos Haileya chrupnął i popłynęła krew. Poleciał w tył i jęcząc rozciągnął się na podłodze.

— Powinienem... — Dzikus chwycił go i poderwał w górę — zabić cię.

— Giri — wymamrotał Hailey przez rozcięte wargi i połamane zęby. — Dałeś swoje...

— ...słowo — powiedział Taro wstając. — I ja też. Oficjalna przysługa. Wieczne zobowiązanie. — Powstrzymał uzbrojoną w nóż rękę Dzikusa. — Zastosuj się do tego, bo inaczej okażesz się niegodny, bez honoru.

Trzęsąc się od gniewu i łkań, Dzikus powoli opuścił rękę z nożem.

— Wynoś się stąd, i to już! — krzyknął do Haileya. — Zanim zmienię zdanie. Przez ciebie zginął mój przyjaciel, ty...

Hailey zerwał się, osłaniając okaleczoną twarz, szarpnął płytę drzwi i zniknął, a po chwili ucichł również odgłos jego kroków.

— Postąpiłeś właściwie — powiedział Taro.

— To dlaczego czuję się tak parszywie?

— Jesteś szlachetnym człowiekiem, jak na gaijina.

— A ty jesteś? — Dzikus obrócił się., — Nasze porachunki jeszcze nie są skończone. Nie uwierzę, że nie wiedziałeś...

— Że Akira pracował w japońskim wywiadzie? — Starzec skinął głową. — Masz rację.

— I wiedziałeś też, co zamierzał Shirai. Wiedziałeś, że Akira i ja mieliśmy zginąć.

— Dla Japonii.

— Giri — wykrzyknął Dzikus. — Dzięki Bogu za giri, za tę uroczystą obietnicę, którą ci uczyniłem. Przysiągłem, że będę twoim wiecznym dłużnikiem, jeżeli pozwolisz odejść temu bydlakowi, ale gdyby nie to...

— Spróbowałbyś mnie zabić? — Taro zachichotał.

— Tak! — Rozjuszony do ostateczności Dzikus przełamał słabość, pochylił się nad Taro i dotknął czubkiem noża jego tętnicy szyjnej. — Twoim problemem jest arogancja. Nawet gaijin może być...

— Godnym przeciwnikiem. Dzikusie-saw, masz mój szacunek.

— I twoje słowo, że nie będzie żadnego obrzucania się oskarżeniami? GiriP.

— Tak. — Twarz Taro zmarszczyła się jeszcze bardziej. — Giri, przyjaźń, lojalność, powinność. Czy można wierzyć jeszcze w coś innego?

— W miłość. — Dzikus opuścił nóż. — Co zrobiłeś z ciałem Akiry?

— Zostało spalone. Urna z jego prochami jest w moim pokoju, ale japoński wywiad nie może dowiedzieć się o jego śmierci. Dochodzenie byłoby katastrofą. Dla nas wszystkich.

— Czy mogę je wziąć? — spytał Dzikus.

— Prochy Akiry?

— Tak. Jeżeli jego pogrzeb musi odbyć się w tajemnicy, Eko i ja wiemy, co zrobić.

Taro przypatrzył się mu. I złożył ukłon.

## Święto Zmarłych

Zanim Akira przywiózł Dzikusa i Rachel do Japonii, starał się im wytłumaczyć zawiłe obyczaje tego narodu o boskim rodowodzie. Wspomniał wówczas również o pewnym letnim rytuale, znanym pod nazwą Święta Lampionów, a nazywanym także Świętem

Zmarłych. Przez trzy dni wierni tradycji Japończycy celebrują nakazany przez shinto obyczaj, polegający na paleniu kadzideł, odprawianiu modłów i spożywaniu specjalnych posiłków w celu oddania godnej bogów czci swoim zmarłym.

Dzikus postąpił zgodnie z tym rytuałem, choć była to jesień, a nie lato, ale nie przepuszczał, by Akirze to przeszkadzało. Po trzech dniach skrupulatnego wypełniania nakazanych obyczajem obrzędów stanęli oboje z Rachel w ogrodzie na tyłach domu Akiry.

Otaczała ich noc, ale na ich twarzach odbijał się blask, gdyż Dzikus umieścił na ogrodowej sadzawce lampion.

Tego popołudnia spuścił całą wodę, usuwając kalającą ją krew mordercy. Następnie napełnił sadzawkę i znowu ją opróżnił.

I znów ją napełnił.

I ponownie opróżnił.

I jeszcze raz to zrobił, zdecydowany oczyścić ją do końca.

Kiedy wreszcie uznał, że nic już nie splami rytuału, zapalił lampion i puścił go na wodę.

— Boże, jak mi go brak — powiedział. Światło płomienia odbijało się na jego twarzy.

— Tak — odezwała się Rachel. — Mnie też-

— Jego oczy były zawsze takie smutne...

— Bo był człowiekiem z innego czasu.

— „Czarne okręty” komandora Perry'ego — powiedział Dzikus. —

Akira był samurajem. Powinien żyć w czasach, kiedy samuraje nie zostali jeszcze postawieni poza prawem. Zanim Ameryka zepsuła jego kraj. Czy wiesz — odwrócił się do Rachel i pocałował ją — zanim umarł, nazwał mnie...

Zakrztusił się z przejęcia i przełknął łzy.

— Nazwał mnie... O Jezu...

Rachel objęła go.

— Powiedz mi.

— Swoim przyjacielem.

— Bo przecież był twoim przyjacielem — powiedziała Rachel.

— Ale czy ty rozumiesz, ile wysiłku, ile poświęcenia wymagało to od niego? Całe życie nienawidził Amerykanów. Za Hiroszimę, Nagasaki, za „Czarne okręty” Perry'ego w porcie Yokohama. Akira był z innego stulecia — z czasów, kiedy Japonia była jeszcze czysta.

— Zawsze była czysta — powiedziała Rachel — i zawsze będzie, jeśli Akira nie był wyjątkiem... ten naród jest wielki, rozumie bowiem, co to honor.

— Ale on nie żyje.

— Tego wymagał jego honor.

Dzikus pocałował ją. Płomienie w lampionie strzeliły wyżej.

— Myślę...

— O czym?

— O Ameryce. O wojnie secesyjnej. Stworzyliśmy mit Południa przed wojną. Wspaniałe dwory, wytworny styl życia.

— A niewolnicy...? — zapytała Rachel.

— O to mi właśnie chodzi — odrzekł Dzikus. — Mit. Czasami niektórym ludziom mit służy do osłonięcia brzydoty i zaczyna żyć własnym życiem.

— Jak dezinformacja?

— Jak pamięć, ale pamięć to kłamstwo. Jezu, tego przede wszystkim się nauczyłem.

Liczy się tylko teraz.

Lampion rozgorzał jeszcze jaśniej, ale po chwili przygasł.

— A nie miłość? Nie przyszłość?

— A czyż nie mam nadziei?

— Ale nie przeszłość?

— Nie.

Milczeli przez chwilę.

— W Grecji, po tym, jak cię wyratowaliśmy — powiedział Dzikus — zapytałem Akirę,

czy moglibyśmy zostać przyjaciółmi, ale nie zgodził się.

— Tak był wychowany. Ty byłeś... 428

— Gaijinem.

— Ale go kochasz — powiedziała Rachel.

— Tak.

— Czy powinnam być zazdrosna?

— Nie — odrzekł Dzikus. — Nasza miłość jest odmienna. Zawsze będę cię uwielbiał.

— Zawsze?

— Wiem, co chcesz powiedzieć.

— Nie wiesz — Rachel nachmurzyła się.

— „Abraham wierzył prawem absurdu.” Uśmiechnęła się.

— Naprawdę wiedziałeś.

— No to co zrobimy? — spytał Dzikus. — Hailey tego nie powiedział, ale twój mąż także uczestniczył w tej zмовie.

— Co? — Rachel pobladła.

— Tak — odrzekł Dzikus. — Posłuchaj, Akira i ja, obaj wysłani na Mykonos po to, aby spotkać się podczas ratowania ciebie. A teraz Japonia dla Japonii. To bardzo pięknie, tylko że Japonia potrzebuje ropy, a to oznacza statki. Myślę, że twój mąż zrobił niezły interes, zapewniając im te statki. Dlatego też Akira i ja zostaliśmy wysłani na Mykonos. Posiadłość twojego męża była wygodna, skoro był wplątany w tę konspirację.

— A więc bił mnie i gwałcił z politycznych powodów?

— Z tego, co wiem, można przypuszczać, że robił to...

— Och! — zawołała Rachel i mocno ścisnęła go za rękę.

— ...bo lubił. Chwila wytchnienia w wirze interesów.

— A więc...

— Myślę, że chyba powinienem go zabić, bo w innym razie wciąż będzie nas ścigał — powiedział Dzikus.

Rachel z gniewem potrząsnęła głową.

— O co chodzi? — zapytał Dzikus.

— Koniec z zabijaniem. Za dużo tego. Za dużo, do cholery!

— To jakie mamy wyjście?

— Wspominałeś o plaży w pobliżu Cancun...

— Gdzie chciałbym...

— Kochać się ze mną?

— Prawdę mówiąc, chciałbym to robić właśnie teraz.

— Pomimo żalu za Akirą? — spytała.

— Z jego powodu. Dla upamiętnienia... dla uczczenia... życia. To wszystko, co mamy.

Nie przeszłość ani przyszłość. Dowiedziałem się, że moja przeszłość była skłamana, ale wolę chyba kłamstwo od prawdy. A przyszłość...

Płomyk w lampionie zgasł, pochłonięty przez wodę.

— Będę cię pamiętał, Akira, twój karni jest w wietrze i w deszczu. Odwrócili się i zobaczyli Eko, która złożyła im ukłon.

Dzikus i Rachel odkłoniли się jej i spojrzeli na starannie zagrabiony i wypielegnowany piasek buddyjskiego ogrodu, który ojciec Akiry urządzał przez długie lata i który po jego śmierci Akira starał się uporczywie doprowadzić do doskonałości.

Żaden z nich nie osiągnął swego celu.

Kiedy jednak Dzikus śledził wzrokiem wzór, który sam odtworzył drobiazgowo po zniszczeniu go przez morderców, uśmiechnął się melancholijnie czując, że jego oczy są równie smutne, jak oczy Akiry.

Albowiem prochy Akiry zostały rozsypane i zagrabione w piasku, stając się częścią natury.

— Wiem... Jestem pewien — powiedział Dzikus — że on spoczywa w pokoju.

— A co z nami? — spytała Rachel.

- Czy chciałabyś...
- Co?
- Czy chciałabyś zostać moją żoną?
- Dzikusie, przecież już jestem mężatką, a ten bydlak mnie ściga!
- Zдай się na mnie. Nie potrzeba nam żadnej prawnej ceremonii. Wystarczy prywatna.

Ty i ja.

- Już teraz?
- Tak, do cholery. — Pocałował ją. — Obiecuję cię kochać, czcić i pieścić.
- Brzmi to cudownie.
- I ostatnia obietnica... — Pocałował ją znowu.
- Co to takiego?
- Ochroniać.